

ZAMACH NA PREZYDENTA

Polecamy również

Terence Strong

BIAŁA ŻMIJA PIĄTY ZAKŁADNIK IMNY PONIEDZIAŁEK

TERENCE

STRONG

ZAMACH NA PREZYDENTA

Przekład PRZEMYSŁAW BIELIŃSKI

AMBER

Redakcja stylistyczna Mirella Remuszko
Korekta Renata Kuk Irena Stasińska
Ilustracja na okładce © Wydawnictwo Amber
Opracowanie graficzne okładki Wydawnictwo Amber
Skład
Wydawnictwo Amber Druk
Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp. z o.o.
Tytuł oryginału President Down
Copyright © Terence Strong, 2008. All rights reserved.
For the Polish edition
Copyright © 2008 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o. ISBN 978-83-241-3188-4
Warszawa 2008. Wydanie I
Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o. 00-060 Warszawa, ul. Królewska 27 tel. 620 40 13, 620 81 62
www.wydawnictwoamber.pl

Książkę tę dedykuje Help For Heroes, nowej fundacji charytatywnej zapewniającej wsparcie brytyjskim żołnierzom rannym w konfliktach ostatnich lat

1

Zupełnie mi się to nie podobało. Wszystko działa się zbyt łatwo. Cichy głosik w mojej głowie ciągle zrzedził, powtarzał, że coś tu jest nie tak, a mój instynkt rzadko się myli. Jak czujne zwierzę niemal węszyłem zapach niebezpieczeństwa w chłodnym powietrzu letniej nocy.

A mimo to duży, angielski, podmiejski dom z ogrodem, na który patrzyłem przez niewielką noktowizyjną lornetkę, nie mógłby wyglądać bardziej niewinnie. Noktowizor wzmacniał nocną poświatę, dając upiorny, zielonobiały obraz, jak blask księżycy w pełni.

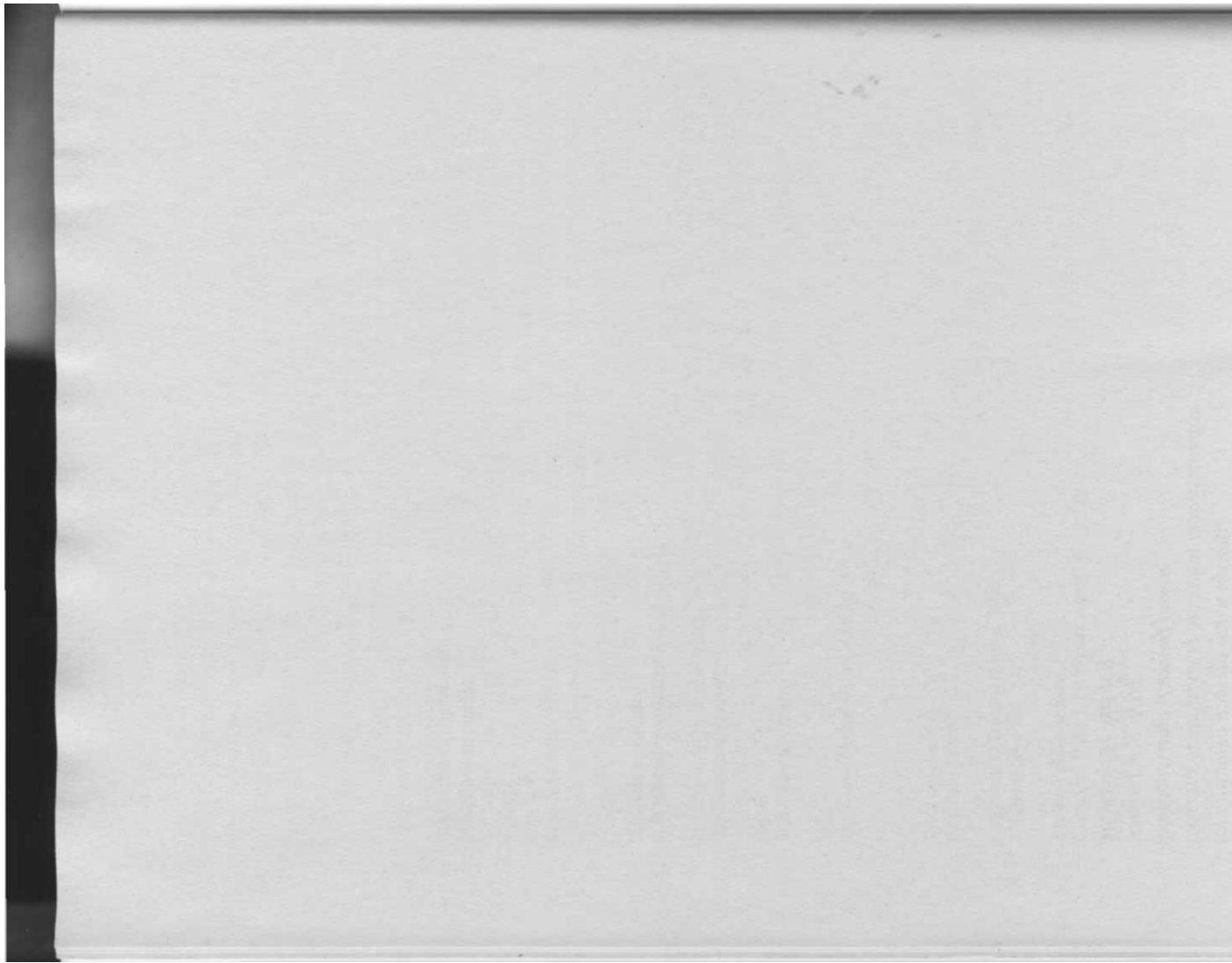
Wszystkie światła w domu zgasły o jedenastej, czyli prawie godzinę wcześniej. Mułła Reda Raszid był człowiekiem, który ma stałe nawyki.

Przez ostatnie pięć dni, kiedy go obserwowałem, imam siedł o tej porze do swojej sypialni na modlitwę - był to ostatni akt wiary przed snem. Codziennie wstawał o piątej rano. Jeden z dwóch młodych studentów teologii, którzy mieszkali razem z nim, przynosił mu do sypialni coś, co wyglądało jak czarna herbata. Potem jeden albo drugi zawoził mułłę Redę do pobliskiego meczetu, na poranne modły o szóstej. Każdego wieczoru, około wpół do ósmej, imama odwożono do domu, gdzie zjadał przygotowaną dla niego kolację.

Po kolacji kręcił się po rozległym ogrodzie, gdzie z pasją przycinał róże i podlewał rośliny w doniczkach. Kiedy robiło się ciemno, wracał do domu i pracował na laptopie aż do chwili, kiedy siedł spać. Czasami, bardzo rzadko, oglądał w telewizji jakiś serial albo wiadomości.

Codzienna rutyna. Nie było w tym zupełnie nic podejrzanego.

Według Lassitera, mojego oficera prowadzącego z MI-5, imam był człowiekiem spokojnym, łagodnym i umiarkowanym, miał też ogromne poczucie humoru. Zyskał nawet wśród swoich wierzycieli pełen sympatii przydomek „Wesołego



Muły". Ja jednak znałem Joego Lassitera od bardzo dawna, wystarczająco długo, by wiedzieć, że lubi trzymać karty przy orderach i potrafi być bardzo zaborczy w stosunku do swoich sekretów.

Dlaczego więc, spytałem go, zaufany prywatny detektyw i były żołnierz, taki jak ja, dostaje rządowe pieniądze, by obserwować imama dzień i noc?

Lassiter obdarzył mnie tym swoim wkurzającym, enigmatycznym uśmiechem.

- Słuchaj, Phil, jeśli mułła Reda jest takim niewinnym i miłym pokojem duchownym - odparł - musimy zadać sobie pytanie, dlaczego jego dom jest otoczony wysokim płotem i ma zainstalowane kamery przemysłowe? I po co dwa dobermany chodzą luzem po ogrodzie. I skąd miał pieniądze na ten wielki dom, na który nie ma prawa go stać, biorąc pod uwagę to, co wiemy o jego sytuacji finansowej?

To wszystko, co udało mi się wydobyć z Lassitera. Oczywiście chodziło o coś więcej, ale było jasne, że nie dowiem się, o co.

Byłem tylko skromnym „pobocznym”, jak nazywa się nas w branży wywiadowczej - nas, czyli zazwyczaj dawnych wojskowych albo policjantów o niepodważalnej reputacji, zatrudnianych jako wolni strzelcy w mniej ważnych sprawach, by odciążyć przepracowaną Służbę Bezpieczeństwa. Wiedziałem też, że od czasu 11 września, kiedy terroryści z Al-Kaidy porwali dwa samoloty pasażerskie i rozbili nimi wieżowce Twin Towers w Nowym Jorku, MI-5 pracowało ponad swoje siły.

Potem, w lipcu 2005 roku, sytuacja stała się poważniejsza, kiedy rozpoczęły się mordercze, skoordynowane zamachy w Londynie.

Problem polegał na tym, że nie było żadnego prostego i szybkiego rozwiązania tej sytuacji. Wszystkie brytyjskie agencje wywiadowcze zostały okrojone po upadku Związku Radzieckiego i kiedy zapanował niepewny, ale w miarę trwały pokój w Irlandii Północnej. Oczywiście wszyscy byli świadomi zagrożenia ze strony islamskich ruchów fundamentalistycznych, nazywanych przez Amerykanów Al-Kaidą, ale nie poświęcano mu tyle uwagi, ile należało. Jedenasty września zmienił to wszystko na dobre.

Ale MI-5 i Tajna Służba Wywiadowcza, MI-6, działająca za granicą, nie miały możliwości infiltrowania arabskich i azjatyckich społeczności w kraju i poza nim, by zdobyć informacje konieczne do ochrony brytyjskich interesów. W akcie desperacji usiłowały werbować ludzi spośród mniejszości etnicznych w Zjednoczonym Królestwie - bez większego powodzenia.

Stopniowo stało się jasne, że terrorystyczne siatki w Wielkiej Brytanii wysysają o wiele więcej młodych muzułmanów, niż początkowo sądzono. Dlatego liczba potencjalnych podejrzanych, których należało obserwować, rosła, rosła i rosła.

To był właśnie powód, jak się domyślałem, dla którego Lassiter kazał mi obserwować mułłę Redę. Nie narzekałem. Płacił dobrze, a Bóg jeden wie, jak bardzo akurat potrzebowałem pieniędzy.

Zmieniłem pozycję na drzewie, usiłując usiąść trochę wygodniej. Zapowiadała się długa i bez wątpienia bezowocna noc. Ogromny dąb rósł w tym miejscu prawdopodobnie od jakichś trzystu lat, na długo zanim w latach trzydziestych XX wieku zbudowano dom, a samo drzewo otoczono płotem i zamknięto na terenie ogrodu. Posługując się lekką drabinką wspiąłem się jak wiewiórka na gałęzie rosnącego obok na ulicy kasztanowca. Potem wciągnąłem drabinkę za sobą schowałem ją wśród liści i poczołgałem się grubym konarem, a następnie - ryzykując upadek - przeskoczyłem na gałąź dębu tam, gdzie korony obu drzew się stykały.

Nie robiłem czegoś takiego od lat, nawet jako snajper w królewskich marines, i nie brałbym takiej możliwości pod uwagę, gdybym znalazł jakąś inną pozycję dającą mi potrzebną osłonę i pole widzenia. Choć nauczyłem się sobie z tym radzić podczas służby w wojsku, nie lubiłem wysokości i wiedziałem, że w wieku czterdziestu trzech lat jestem za stary na takie rzeczy. Droga w dół była długa, a grunt twardy.

Podniosłem właśnie do oczu noktowizor, by rzucić okiem na zaciemniony dom, kiedy zauważyłem poruszenie na trawniku. Jakiś cień oddzielił się od iglastych zarośli i przebiegł przez trawnik i taras, pod zamkniętymi przeszkłonymi drzwiami. Był bardzo szybki; ledwie miałem czas zobaczyć, że to nie kot, ale miejski lis.

W tej samej chwili oślepiające światło eksplodowało mi prosto w oczy. Nagły rozbłysk włączanych czujnikiem termicznym reflektorów dosłownie oślepił, wzmocniony światłem noktowizora; miałem wrażenie, że wypalił mi siatkówkę. Jestem pewien, że głośno sapnąłem, upuszczając urządzenie na kolana i chwytając się gałęzi, by nie spaść.

Potem rozległo się złowrogie ujadanie psów i zza rogu wyskoczyły dwa dobermany, wyciągając szyje i ścigając się, który pierwszy dopadnie intruza. Jeden wyhamował, z potężnych szczęk kapłała mu ślina. Zatrzymał się przy krzaku, spod którego wybiegł lis. Drugi pies zwolnił i zawrócił, patrząc na swojego towarzysza, który ruszył szybko tropem przez trawnik i taras. Oba zniknęły mi z widoku, ale potem znów rozległo się szczekanie.

Wtedy w salonie zapaliło się światło, a drzwi na taras nagle się otworzyły. Wyszli z nich dwaj studenci teologii mułły Redy, z wyraźnym zaniepokojeniem rozglądając się po zalanym światłem reflektorów ogrodzie.

Byłem zaskoczony, że są ubrani, bo światło w domu nie paliło się już dość długo. Jeszcze bardziej jednak zaniepokoiło mnie to, że obaj mieli w rękach pistolety i wyglądali, jakby potrafili się nimi posługiwać.

Instynktownie wycofałem się głębiej pod osłonę liści. Jako snajper przywykłem do obserwacji, ale wtedy to ja kontrolowałem sytuację i byłem uzbrojony po zęby. Tutaj czułem się nagi i bezbronny jak noworodek. Dziękowałem Bogu, że postanowiłem wygrzebać mój stary, wojskowy ghillie - kamuflujący kombinezon z kapturem, obsyty jutowymi paskami. Zaprojektowano go dla snajperów; był wyposażony w uchwyty, w które można było wetknąć gałązki i liście dla

lepszego zamaskowania. Kombinezony ghillie zostały tak nazwane od szkockich leśniczych, którzy pierwsi wpadli na taki pomysł, kiedy walczyli z kłusownikami na początku XX wieku. I pomyśleć, że zdawało mi się, iż to przesada używać takiego kombinezonu podczas niezbyt poważnego, cywilnego zlecenia.

Jak bardzo się myliłem? Bardzo, jak się okazało; na taras wyszedł również muł-ła Reda, w białej szacie i koronkowej czapeczce. A więc on też nie kładł się do łóżka. Chyba wyciągałem niebezpiecznie mylne wnioski jeden po drugim.

- To pewnie tylko kot - usłyszałem jednego ze studentów. Drugi kiwnął głową.

- Też tak myślę, imamie, kamery nic nie pokazały.

Ale mułła Reda nie wyglądał na przekonanego. Podrapał się w brodę.

- Nie bądźcie zbyt pewni siebie, nie możemy sobie dzisiaj pozwolić na błędy - ostrzegł. - I pamiętajcie, jeśli jesteśmy obserwowani, to przez zawodowców.

Boże, a to dobre! A ja siedzę sobie na drzewie, bez żadnego zabezpieczenia, bez wsparcia, z prawie wylądowaną komórką jako jedynym środkiem łączności.

- W takim razie lepiej przeszukajmy dokładnie ogród - postanowił pierwszy student.

- To chyba najrozsądniejsze wyjście - zgodził się mułła. - Niech psy dobrze się rozejrzą i powęszą.

Duchowny wrócił do domu, a jego dwaj pomocnicy rozeszli się ostrożnie w przeciwnych kierunkach. Okrążali budynek, trzymając w pogotowiu pistolety.

Te kilka minut dłużyło mi się w nieskończoność. Ledwie śmiałem oddychać. W napięciu patrzyłem i czekałem; chwyciły mnie skurcze mięśni nóg, a w głębi gardła narastało drapiące łaskotanie. Chęć odkaszlnięcia była coraz większa, aż stała się w końcu prawie torturą. Nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić.

W końcu studenci wrócili, prowadząc psy na smyczach. Jeden z dobermanów ciągle patrzył w moją stronę, byłem tego pewien, ale dzięki Bogu nie warknął ani nie zaszczekał. Może ciągle jeszcze bardziej interesował go zapach lisa, który mu uciekł.

Studenci zabrali psy do domu, zamknęli za sobą drzwi na taras i zaciągnęli zasłony. Tym razem nie zgasili światła.

Poczułem, że się rozluźniam, a moje płuca znów zaczęły pracować. W końcu odchrząknąłem i zacząłem się zastanawiać, co robić dalej.

Miałem numer prywatnej komórki Lassitera, ale nie sądziłem, by był wdzięczny za telefon o tej porze. Mogłem jedynie potwierdzić jego przypuszczenia, że mułła Reda nie jest tak niewinny, jak sugerowała jego reputacja, a dwaj studenci teologii byli wyposażeni i zachowywali się jak zawodowi goryle. Uznałem, że można z tym poczekać do rana.

Prawdopodobnie oznaczało to, że Lassiter dostałby autoryzację, by przydzielić do sprawy dwóch obserwatorów MI-5. A więc przypuszczalnie sam odebrałbym sobie pracę.

Właściwie wiedząc, że w domu są uzbrojeni ludzie, przemyślałem całą rzecz i uznałem, że słusznie będzie zachować dyskrecję. Postanowiłem zaczekać jeszcze godzinę, a gdyby nic się nie wydarzyło, dać sobie spokój i opuścić moją kryjówkę na kasztanowcu.

Oczywiście wolałbym, żeby reflektory wokół domu były wyłączone, ale one wciąż irytująco świeciły. Może goryle wciąż wypatrywali na monitorach kamer śladów intruza.

Czekałem, a moje myśli błędziły; zdawałem sobie sprawę, że powieki ciężą mi ze zmęczenia. Zmuszając się do koncentracji, spojrzałem na zegarek. Nie mogłem uwierzyć; minęło dopiero pół godziny.

Wtedy właśnie zauważyłem światła samochodu, który skręcił w ulicę pode mną. Tuż za nim jechał drugi. Pierwszy zwolnił, zbliżając się do domu mułły Redy, a potem skręcił w podjazd prowadzący do bramy. Drugi zatrzymał się za nim.

Nagle w domu zaczęło się poruszenie. Podwójne frontowe drzwi się otworzyły i pod zdobionym portykiem na szczycie krótkich, wyłożonych terakotą schodów pojawiło się dwóch goryli. Potem elektryczna brama otworzyła się bezgłośnie, wpuszczając oba pojazdy, a goryle wyszli na spotkanie nowo przybyłym. Ale nie ryzykowali; pistolety trzymali w pogotowiu.

Sięgnąłem po swojego cyfrowego pentaksa z teleobiektywem.

Oba samochody były starszymi modelami Mercedesa z przyciemnianymi szybami. Wszystkie drzwi otworzyły się jednocześnie i żwirowy podjazd nagle zapełnił się ludźmi. Szybko policzyłem; ośmiu. Sami mężczyźni, o ciemnej karnacji sugerującej bliskowschodnie albo azjatyckie pochodzenie. Wszyscy byli ubrani w europejskim stylu - dwaj starsi w eleganckie, drogie garnitury, reszta w dżinsy, sportowe bluzy i czapki baseballowe. Dwaj młodszy nie próbowali nawet ukrywać pistoletów maszynowych Ingram.

Starałem się najpierw zrobić zdjęcia starszym mężczyznom, a potem ich ochroniarzom. Grupa zatrzymała się na chwilę naprzeciw goryli mułły Redy. Obie strony wydawały się spięte i niepewne, wszyscy patrzyli na siebie podejrzliwie. Krótki pojedynek spojrzeń zakończył się szybko, po chwili mężczyźni wyraźnie uznali, że wszystko jest w porządku. Goryle Redy odwrócili się i poprowadzili gości do domu.

Starszych Arabów udało mi się uchwycić niezłe, ale zrobiłem zdjęcia tylko trzem ochroniarzom, zanim odwrócili się do mnie tyłem. Zresztą podejrzewałem, że daszki czapek i tak uniemożliwią identyfikację.

Frontowe drzwi się zamknęły. Na zewnątrz na warcie zostali jeden goryl Redy i jeden z nowo przybyłych ochroniarzy.

Cicha, ciepła letnia noc znów się uspokoiła, ale reflektory w ogrodzie wciąż irytująco świeciły.

Najwyraźniej coś tu się działo. Na przedmieściach Birmingham w środku nocy doszło do jakiegoś tajnego spotkania uzbrojonych arabskich czy azjatyckich grup. Może to były komórki terrorystyczne, może przestępcze gangi. Powinienem natychmiast poinformować Lassitera. Ale gdybym się poruszył, przez te zapalone

lampy łukowe, na pewno by mnie zauważyli i namierzyli jak siedzącą kaczkę... czy raczej spadającą kaczkę, z dwunastu metrów. Gdybym użył na drzewie komórki, istniało poważne ryzyko, że wartownicy mnie usłyszą bo w nieruchomym, nocnym powietrzu dźwięk niósł się bardzo wyraźnie.

Cholera, SMS. Nigdy ich nie używałem, SMS-y były dla dzieciaków, których nie stać na płacenie rachunków za telefon.

Teraz żałowałem, że więcej nie ćwiczyłem, kiedy moja sekretarka Kate wyjaśniła mi, jak to działa, bo zupełnie sobie z tym nie radziłem. Wysłanie zrozumiałej wiadomości zajęłoby mi całą wieczność.

Musiałem zaryzykować telefon. Wyjąłem komórkę z kieszeni... ekranik się zaświecił, co oznaczało, że przynajmniej bateria nie padła, chociaż została mi już tylko jedna kreseczka.

Wyświetliłem numer Lassitera i zadzwoniłem.

Ale nie miałem większych nadziei, kiedy usłyszałem pierwszy sygnał. Lassiter na pewno spał i mógł nie usłyszeć dzwonka, zakładając, że nie zapomniał zostawić włączonego telefonu.

Dlatego byłem miło zaskoczony, kiedy odebrał niemal natychmiast.

- Phil, wszystko w porządku? - Wydawał się zupełnie rozbudzony i zmartwiony.

- Tak - szepnąłem. - Coś się tu dzieje.

- Przepraszam. Nie słyszę cię za dobrze. Mów głośniej. Cholerny idiota.

- Nie mogę, jestem na pozycji obserwacyjnej i mogą mnie usłyszeć.

- Ach tak, oczywiście. Co się dzieje?

- Dwaj goryle Redy są uzbrojeni i przyjechały dwa samochody na jakieś nocne spotkanie. Oni też są uzbrojeni.

- Dwa mercedesy? To mnie zaskoczyło.

- E, tak. Chcesz numery rejestracyjne?

- To nie będzie konieczne. Gości jest dwóch, tak?

- Ośmiu. Dwóch starszych facetów w garniturach, chyba Arabów. I sześciu młodszych.

- Tak, ich ochrona.

- Co tu się do cholery dzieje, Joe? Mówisz, jakbyś wszystko o tym wiedział.

- Wyjaśnię później. Nie ruszaj się z miejsca.

- Joe...!

- Zaufaj mi, stwierdził i przerwał połączenie.

Jezu, o co tu chodziło? „Zostań na miejscu” - powiedział, jakbym miał jakiś wybór.

Byłem zajęty rozmową i nie zauważyłem, że dwaj młodszy Arabowie spod frontowych drzwi szli bardzo powoli w moim kierunku. Marszczyli czoła i przekrzywiali głowy, jakby usiłowali coś usłyszeć. A ja cholernie dobrze wiedziałem, co.

Rozglądali się po ciemnych zaroślach, ale co jakiś czas rzucali okiem na drzewa.

Nagle jeden z nich spojrział, zdawało mi się, prosto na mnie. Potem odwrócił głowę, a ja znów zacząłem oddychać. Po raz kolejny uratował mnie kombinezon ghillie; jego kamuflujący wzór i dodane dębowe gałązki zlały się z gęstwiną drzewa, zacierając kształty rozpoznawalnej ludzkiej sylwetki.

- Jesteś pewien, że to był głos? - spytał jeden z ochroniarzy. Stał teraz tuż przede mną.

- Brzmiało to jak „Joe”.

- A może to sowa?

Ten drugi wzruszył ramionami.

- Była tu już wcześniej sowa.

Diabelskie łaskotanie w gardle wróciło jak na komendę.

Wtedy właśnie wszyscy trzej usłyszeliśmy ryk ośmiocylindrowych silników i jęklive wycie opon, kiedy pierwszy z kilku samochodów skręcił w pędzie w uliczkę. Dwaj mężczyźni przede mną popatrzyli na siebie niepewnie.

Ale nie mogli zobaczyć tego, co widziałem ja, siedząc na swojej grzędzie. Jadący na przedzie biały range rover, z orurowaniem i siatką osłaniającą okna, przyspieszył, skręcając na podjazd. Kierowca wcisnął gaz do dechy i przód samochodu uderzył z ogłuszającym hukiem w elektryczną bramę, wyrrywając stalowe sztaby z mocowań i odrzucając je do przodu jak parę olbrzymich skrzydeł nietoperza.

Pół tuzina policyjnych pojazdów, samochodów i transporterów, wpadło przez wyrwaną bramę i ustawiło się po obu stronach prowadzącego range rovera. Nagle ogród zapełnił się uzbrojonymi policjantami w niebieskich kamizelkach kuloodpornych i natowskich hełmach, z pistoletami Glock i pistoletami maszynowymi Heckler & Koch. Policjanci podzielili się na kilka grup. Jedna z nich ruszyła ku drzwiom wejściowym domu - wśród policjantów było dwóch krzepkich funkcjonariuszy dźwigających taran. Dwie inne rozbiegły się na lewo i prawo, by otoczyć dom, a czwarta zajęła pozycje wsparcia z karabinami snajperskimi Enfield Enforcer, kryjąc się za blokami silników swoich pojazdów. Natychmiast zaczął się szturm; dobrze wycelowanymi, pojedynczymi strzałami wybito szyby w oknach i wrzucono do środka granaty gazowe i dymne. Można było sobie tylko wyobrazić, jaki w budynku zapanował chaos po nagłej eksplozji gazu łzawiącego. Wszystko to dało grupom szturmowym kilkanaście sekund przewagi. Przypuścili atak przez okna na parterze zaraz po rozdzierającym uszy wizgu i oślepiającym błysku granatów ogłuszających.

Wszystko to tak mnie zaskoczyło, że dopiero po kilku chwilach zrozumiałem, iż cała akcja była wcześniej przygotowana.

Lassiter musiał trzymać uzbrojone grupy szybkiego reagowania na końcu ulicy, czekając na mój telefon. Zostałem wystawiony i prawie rzucony na pożarcie cholernym lwom.

Oczywiście cała operacja zajęła ledwie kilka sekund. Przeprowadzono ją bardzo profesjonalnie i z imponującą sprawnością, ale policja zupełnie nie zdawała sobie sprawy z jednego zagrożenia.

Kiedy rozpoczął się policyjny szturm, tuż przede mną dwaj zdezorientowani ochroniarze znieruchomieli, rozdziawiając szeroko usta. Ale gdy tylko stało się dla nich jasne, co się dzieje, przypomnieli sobie o swoim terrorystycznym wyszkoleniu. Nie wątpiłem, że z przyjemnością poszliby na skróty do nieba, gdyby tylko mogli zabrać ze sobą pół tuzina niewiernych gliniarzy. Nie zawahali się nawet ani nie usiłowali szukać kryjówki, tylko jednocześnie unieśli broń. Nie zostawili mi wyboru.

- Uzbrojeni napastnicy! - ryknąłem najgłośniejszym głosem, jak mogłem. - Tutaj! Dwóch policjantów z grupy wsparcia usłyszało mnie i odwróciło się w moją

stronę. Jednocześnie dwaj ochroniarze przede mną zaskoczeni spojrzeli w górę.

O cholera, pomyślałem, kiedy zobaczyłem wymierzony w siebie pistolet jednego z goryli Redy.

- Uzbrojona policja! - wrzasnął ktoś na podjeździe. - Stój, bo strzelam!

Błysk z lufy, huk wystrzału i gwizd kuli z pistoletu ochroniarza zwały się w jedno, razem z palącym uderzeniem w moje prawe ramię. Policyjna grupa wsparcia wystrzeliła krótką serię i obaj ochroniarze przede mną natychmiast padli, jakby coś odjęło im nogi.

Przycisnąłem prawą rękę do lewego ramienia, zobaczyłem poszarpaną dziurę w jucie ghillie i krew na dłoni. Kapała obficie na dwa trupy przede mną.

Zaciskając pięść i poruszając palcami, spróbowałem ocenić, jak poważna jest rana. Wszystko chyba działało. Pewnie tylko skaleczenie. Miałem sporo szczęścia.

Sześciu policjantów popędziło przez trawnik w stronę trupów leżących pod drzewem. Kiedy się zbliżyli, dwaj zostali w tyle, by osłaniać pozostałą czwórkę, która rzuciła się w stronę ciała. Nie wiedzieli, czy napastnicy są na pewno martwi, ale woleli nie ryzykować. Bezładne ramiona zostały wykręcone w tył i skute plastikowymi kajdankami. Bez oporu. Dopiero wtedy zwłoki ostrożnie odwrócono i zbadano zranienia. Ostrożność policjantów okazała się usprawiedliwiona; przy pasie jednego z zabitych znaleźli jakiś przedmiot.

- Co to jest? - spytał stojący dalej policjant.

Jego kolega podniósł przedmiot. Był to granat ręczny.

- Zabraliby nas ze sobą gdybyśmy im dali chociaż cień szansy. Drugi kiwnął głową, rozglądając się po zaroślach.

- Kto, u diabła, nas ostrzegł?

- Bóg jeden wie, ale kurewsko się cieszę, że to zrobił.

Sytuacja była śliska. Chociaż w domu nikt nie strzelał, hałas i zamieszanie trwały. Policjanci przede mną przed chwilą zostali ostrzelani i musiała im nieźle skoczyć adrenalina. Gdyby nagle mnie zauważyli, mogli zareagować odruchowo, zanim ktokolwiek zdążyłby pomyśleć czy zadać sobie jakieś pytanie.

Podjąłem szybką decyzję.

- Nie strzelać! - wrzasnąłem. - Służba Bezpieczeństwa! Powtarzam, nie strzelać!

Sześciu mężczyzn spojrzęło w górę, mierząc z hecklerów & kochów, któryś zaśwycił mi latarką w twarz.

- Co, do cholery...? Zmusiłem się do uśmiechu.

- Tajna operacja - wyjaśniłem.

Ciągle mierzyli we mnie. Minęła pełna napięcia chwila.

- Rzuć broń - rozkazał dowodzący policjant. To było dobre.

- Nie mam żadnej cholery broni, panie władzo. Byłem obserwatorem. I znów lufy ani drgnęły. Kolejna chwila wahania.

- Lepiej stamtąd złaź, kolego, musimy cię sprawdzić.

Wtedy zauważyłem Lassitera. Truchtał przez trawnik, niechlujna, zgarbiona postać w granatowym płaszczu przeciwdeszczowym i ciemnej fedorze. Wyglądał, jakby dźwigał na swoich barkach wszystkie problemy świata, ale wydawał się też nieświadomy faktu, że jest w samym środku policyjnej operacji z użyciem broni.

Zatrzymał się za półkolem policjantów i spojrzęł na mnie z kpięcio poważnym wyrazem twarzy.

- Wszystko w porządku, panowie - powiedział jak zwykle piskliwym głosem - to jeden z moich ludzi.

Dowódcy policjantów wyraźnie ulżyło.

- To dobrze. Ale prawdopodobnie będziemy musieli wezwać go na świadka.

- Nie sądzę - odparł cicho Lassiter. - Ale zawsze możecie spytać.

Sytuacja w domu się uspokoiła i policjanci z grupy szturmowej zaczęli wychodzić. Rozpoznałem mułkę Redę i niektórych z jego gości, skutych kajdankami i ładowanych do białych policyjnych furgonetek.

Policjanci pode mną czekali na przybycie techników, a Joe Lassiter podszedł bliżej i znów spojrzęł w górę. Jego twarz zawsze kojarzyła mi się z dynią. Widziałem, jak za okularami mruży oczy.

- Wyglądasz tam jak kot z Cheshire - powiedział, uśmiechając się po raz pierwszy.

Byłem wystarczająco wkurzony nawet bez jego dowcipów.

- Wyglądam, jakbym się, cholera, uśmiechał?

- Kto cię tak zdenerwował?

- Ty, jak zwykle.

Zignorował moje słowa i zaczął zapalać papierosa.

- Dobra robota, Phil - powiedział lekkim tonem. - Lepiej stamtąd złaź.

- Musimy pogadać - powiedziałem.

- Jasne, jutro.

Znałem Lassitera wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że jeśli tylko mu to pasowało, „jutro” znaczyło „nigdy”. Potrafił być nieuchwytny jak cień.

- Nie, teraz. Mam parę pytań, na które ktoś musi odpowiedzieć.

15

Zrobił zboloną minę.

- Jestem w tej chwili trochę zajęty, Phil, jak sam widzisz.

- To za mało, Joe. Westchnął.

- Coś ci powiem, wpadnę do ciebie, kiedy tylko tu wszystko załatwię.

- Nie wciskaj mi takich kitów, Joe - ostrzegłem. - Nie jestem w nastroju.

- Nie, obiecuję. Na grób babci i tak dalej. Wciąż mieszkasz w tym motelu pod miastem?

Nie próbował nawet ukryć pogardy. Nie przeszkadzało mi to - Joe Lassiter nie przeprowadzał rozwodu z żoną, która doła go z każdego grosza. Nie było mnie stać na dumę, musiałem oszczędzać pieniądze, gdzie się tylko dało.

- Dam ci dwie godziny... - zacząłem, ale przerwała mi nagła eksplozja. Wybuch wypchnął dwa okna na piętrze; kryształowa chmura odłamków szkła

załśniła przelotnie w świetle reflektorów, a dachówki wystrzeliły w górę jak udziwnione frisbee. Po pierwszym rozbłysku zobaczyłem płomienie szalejące w budynku i gęsty dym, który buchnął w noc. Zmroziło mi krew.

- Matko święta - mruknął pode mną Lassiter - tego nam było trzeba, pieprzonej bomby.

- To był gabinet Redy - zawołałem - tuż obok sypialni.

Ale nie wiem, czy Lassiter mnie usłyszał, bo ruszył w kierunku domu.

- Nie zapomnij, Joe! - krzyknąłem za nim. - Dwie godziny! Nie odwrócił się nawet, machnął tylko ręką.

Nie wiedzieć czemu nie wierzyłem, że się pojawi, przynajmniej w ciągu kilku najbliższych dni; będzie miał nadzieję, że przez ten czas ujdzie ze mnie trochę jadu. Dobrze znał odpowiedzi, które chciałem usłyszeć, i doskonale wiedział, dlaczego chciałem je usłyszeć. Niewiele brakowało, cholera, a bym przez niego zginął.

Wciąż kipiąc ze złości, spakowałem noktowizor do pokrowca przy pasie i zacząłem wycofywać się wzdłuż gałęzi, gotowy wykonać małą przerzut nad płotem na sąsiednie drzewo. Chociaż do tej pory całkiem nieźle się w tym wyćwiczyłem, wcale nie żałowałem, że to ostatni raz. Złapałem gałąź obiema rękami i opuściłem stopy na niższy konar, a potem przesunąłem się w stronę pnia. Stamtąd zsunąłem się niżej po kolejnych konarach, aż dotarłem do lekkiej, aluminiowej drabiny, którą ukryłem jakieś trzy metry nad ziemią. Opuściwszy ją, ostrożnie zszedłem na dół i wreszcie poczułem znów pod stopami błogosławiony twardy grunt.

W cieniu zdjąłem kombinezon i wepchnąłem go do plecaka razem z resztą sprzętu. Potem ruszyłem do swojego żaloznego starego forda transita, zaparkowanego dwie ulice dalej. Te jego fragmenty, których nie zżarła rdza, kiedyś miały bładoniebieski kolor - wyglądał jak samochód akwizytora, na który nikt nie spojrzalby dwa razy. Idealnie nadawał się do prowadzenia obserwacji i był moim domem - no, kilka razy mi go zastępował. Karimata, śpiwór, kuchenka turystyczna i pudełko z jedzeniem, czego więcej potrzeba mężczyźnie?

Zapaliłem górną lampkę, wyjąłem ze schowka pudełko na tytoń i zacząłem związać papierosa. Dopiero wtedy zauważyłem, że lekko trzęsą mi się ręce.

Nic dziwnego, pomyślałem, minęło sporo czasu, odkąd ktoś do mnie strzelał. Właściwie ostatni raz wtedy, kiedy straciłem ochotę, by odpowiedzieć tym samym. Przypomniało mi to o ranie na ramieniu, która zaczynała pulsować bólem; przyjrzałem się jej. Tak jak przypuszczałem, została „zahaczony”, jak to mówili na starych westernach dla dzieci. Krwawa bruzda, głęboka na centymetr i długa na trzy. Rozgrzana kula musiała przypiec ciało w przelocie, dlatego teraz rana krwawiła tylko trochę. W furgonetce nie miałem apteczki - to niedopatrzenie, które trzeba naprawić - ale nie przejąłem się tym. Rana mogła poczekać, aż wrócę do motelu. Tymczasem wyłowilem z kieszonki plecaka flaszkę i przetrarłem skaleczenie whisky, z ulgą dopijając resztkę.

Poczułem się trochę lepiej, drżenie rąk prawie ustąpiło, a moja złość na Lassi-tera zelzała - no, trochę zelzała. Ciekaw byłem, co mi powie na swoje usprawiedliwienie... jeśli się pojawi.

Odpaliłem silnik i ruszyłem w drogę powrotną do motelu pod miastem. Pojawienie się tanich, funkcjonalnych motelików ze wszystkimi podstawowymi wygodami było wspaniałą szansą dla rodzin, drobnych przedsiębiorców, takich jak ja, i korporacji usiłujących obciąć niebosiężne koszty swoich przedstawicieli handlowych. W mojej branży zapewniały także dodatkową atrakcję - całkowitą anonimowość. Oczywiście jest kilka sieci takich motelików, jedne lepsze, inne gorsze. Mój plasował się gdzieś pośrodku; najgorsze były posiłki serwowane w przyległym pubie. Twardy jak podeszwa stek i rozmiękłe frytki w lepkim tłuszczu wydawały mi się najbardziej apetyczną pozycją w menu. Odkąd rozpocząłem tę operację, nabrałem zwyczaju jedzenia sałatek, wychodząc z założenia, że tego kucharz spać nie zdoła. Unurzany w majonezie ślimak pełznący przez sałatę obalił i to przekonanie.

Motel miał przynajmniej dyżurnego recepcjonistę, obecnego całą noc. Znużona dwudziestolatka była wyraźnie zirytowana, że przerwałem jej nocne słuchanie Radia BRMB i niechętnie zaczęła szukać obowiązkowej apteczki. Wydobyła japo pięciu minutach grzebania pod biurkiem.

- Nie może jej pan zabrać - powiedziała surowo.

- Przecież jej nie ukradnę.

- Zdziwiłby się pan, co ludzie kradną praktycznie wszystko, co nie jest przymocowane na stałe. A ja za nią odpowiadam - dodała, kiedy otworzyłem zielone plastikowe pudełko i zajrzałem do środka. - Musi pan z niej skorzystać tutaj. Czego pan szuka?

- Maści na hemoroidy - odparłem złośliwie. Recepcjonistka spojrzała na mnie bardzo niepewnie. - Żartowałem.

Ulżyło jej; prawie się uśmiechnęła, kiedy wyjąłem płyn odkażający, gazę i bandaż. Podwinąłem rękaw, a dziewczyna zmarszczyła nos.

2 - **Zamach na prezydenta**

- Paskudnie to wygląda. Skaleczył się pan? Nie mogłem się powstrzymać.
- Ktoś mnie postrzelił. Uśmiechnęła się przelotnie.
- Niezły z pana numer.

Oczyściłem ranę i opatrzyłem ją gazą i bandażem, który dziewczyna mi zawiązała, kiedy zobaczyła, jak się męczę jedną ręką. Podziękowałem jej za pomoc i dałem piątką.

- Spodziewam się niedługo towarzystwa... Przerwała mi.
- Nie pozwalamy na wizyty, no wie pan, profesjonalistek... Polityka firmy.
- To mężczyzna hetero - odparłem, uśmiechając się szeroko. - Sprawa zawodowa.

Zerknęła na zegar na ścianie.

- O tej porze? - Zachichotała. - Przemycy pan narkotyki, czy coś?
- Gdybym pani powiedział, musiałbym... Chichot przeszedł w śmiech.
- Tak, tak, musiałby mnie pan zabić. Uśmiechnąłem się.
- Niech pani pamięta, żeby go wpuścić, dobrze?
- Jasne, lepiej panu nie podpadać, co? Wczułem się w rolę.
- Żebyś wiedziała, kotku.

Zostawiwszy ją w lepszym nastroju, niż zastałem, poszedłem do swojego pokoju. Był spory i byle jak urządzony, z podwójnym łóżkiem, obowiązkowym elektrycznym czajnikiem i płatną telewizją. Ominąłem tutejszy barek, wyjąłem z walizki własną butelkę szkockiej i nalałem sobie do szklanki.

Pijąc, dostrzegłem swoje odbicie w lustrze. Trochę mnie to zszokowało, jakbym zobaczył sam siebie w jakimś dziwnym świetle. Boże, nie wyglądałem za dobrze. Nie licząc całodniowego zarostu, twarz miałem pomarszczoną i wynędzniałą. Nawet moja naturalnie ciemna, latynoska cera wydawała się błąda, a siwiejące czarne włosy wołały o fryzjera. Oczy, odkąd pamiętam błękitne i psotnie wesołe, były zmęczone i zapadnięte. Widziałem, że schudłem - „dieta stresowa”, jak żartowałem zawsze, kiedy ktoś zwracał na to uwagę, przestawała być śmieszna.

Uniosłem szklankę w toaście do nędznika w lustrze.

- Zdrówko, Nina, wielkie dzięki!

Potem się odwróciłem. Nie chciałem myśleć o niej ani o tym, co się stało z naszym małżeństwem. Wyciągnąłem się na łóżku i bez większych nadziei postanowiłem poczekać na Lassitera. Natychmiast jednak zasnąłem.

Obudziło mnie mocne stukanie do drzwi. Przez chwilę byłem zdezorientowany, wciąż na wpół w świecie dziwnego snu, w którym huśtałem się jak Tarzan na

lianach, ścigany przez rozwścieczone zakonnice z kałasznikowami. Była czwarta nad ranem.

Z trudem zwlokłem się z łóżka i otworzyłem drzwi. Na progu stał Joe Lassiter, z nieszczęśliwym wyrazem twarzy na wpół zacienionej przez rondo fedory.

- Co za burdel - stwierdził. - Muszę się napić.

Cofnąłem się, żeby go wpuścić. Kiedy zamykałem drzwi, on już rozglądał się po pokoju, wypatrując butelki whisky.

- Myślałem, że będziesz miał jakąś gorzałę.

- Tylko po to przyszedłeś, Joe?

Jego wąskie usta wykrzywiły się odrobinę, ale trudno było powiedzieć, czy oczy za okularami też się uśmiechały.

- Oczywiście, że nie.

- Z wodą czy z lodem?

- Nie, czystą. I dużą.

- Poczęstuj się - powiedziałem. Lassiter wziął butelkę i spojrzał na nalepkę.

- Marka Tesco? - Nie próbował nawet ukryć pogardy.

- Tylko to mam - odparłem spokojnie.

Lassiter był największym skąpcem świata; w jego żyłach musiała płynąć krew szkockich, żydowskich i yorkshirskich przodków. Dostawał godną pozazdroszczenia pensję i pakiet emerytalny w Służbie Bezpieczeństwa, nie licząc rachunku służbowego na rozpieszczanie swoich agentów, czym między innymi ich zwabiał. Zawsze jednak ostatni sięgał do kieszeni, kiedy przychodziło postawić kolejkę w pubie. Nie zmienił się ani na jotę przez te wszystkie lata, odkąd go poznałem w Belfaście.

Kiedy nalał sobie pełną szklanekę, rzucił fedorę na łóżko, ukazując przerzedzone czarne włosy z „pożyczką” przykrywającą łysinę, i usiadł na krześle. Po raz któryś zauważyłem, jak niechlujnie i tandetnie wygląda. Płaszcz miał pognieciony, z plamami po jedzeniu na klapach, koszulkę przepoconą krawat krzywo zawiązany. Nigdy nie miałem pewności, czy to jego image szpiega, który został mu po przeczytaniu zbyt wielu tanich powieści, czy Lassiter naprawdę taki właśnie był.

Po raz pierwszy spojrzał prosto na mnie. Zauważył bandaż, który trochę nasiąknął krwią.

- Zraniłeś się?

- Dlatego właśnie chciałem z tobą porozmawiać - odparłem ostro. - Przez ciebie mnie dzisiaj postrzelili.

Jego blada twarz w jednej chwili zrobiła się biała.

- Matko święta, nie byłeś chyba na pogotowiu? Pytali cię...

- Spokojnie, Joe, wiem, co mam robić. Na szczęście to tylko draśnięcie. Ale jeszcze kilkanaście centymetrów i mogłem nie żyć.

Na jego twarz wróciły kolory.

- W takim razie miałeś dzisiaj szczęście. My nie możemy tego powiedzieć o sobie.
Chciałem rzucić jakąś ciętą ripostę, ale przypomniałem sobie wybuch w domu mułły Redy.

- Komuś coś się stało?

- Nikomu z naszych... no, właściwie nie - odparł Lassiter obojętnym tonem, sugerującym, że właściwie się tym nie przejmował. - Zastrzelono tych dwóch goryli, oczywiście. I psy. Aha, i jeden policjant został lekko poparzony, kiedy wybuchła ta cholerna bomba. Zniszczyła wszystkie dowody.
Zrozumiałem, o co mu chodzi.

- Była w gabinecie Redy, prawda? Obok jego sypialni?

Lassiter pokiwał ponuro głową i wychylił następny duży łyk mojej whisky.

- Ładunek zapalający. Musiał być podłożony pod jego biurkiem, właśnie na wypadek takiej sytuacji. Całkowicie zniszczył komputer, komórki i wszystkie papiery, zanim nasi chłopcy się do nich dobrali.
Zacząłem zwijać papierosa.

- I co teraz będzie?

- Niewiele - odparł Lassiter, wruszając ramionami. - Prawdopodobnie uda nam się zamknąć większość młodych goryli, za posiadanie broni i usiłowanie zabójstwa. Ale jeśli ich prawnicy są cokolwiek warci, Reda i tamci dwaj wyjdą na wolność. Ci najważniejsi.

Wypił whisky.

- Prawdopodobnie będziemy ich mogli objąć obserwacją policyjną co jest pewną pociechą. Wiesz, godzina policyjna, codzienne meldowanie się na najbliższym posterunku, żadnych komórek czy Internetu i żadnych gości bez naszego pozwolenia.

- To im chyba utrudni życie - powiedziałem. - A przy okazji, kim są tamci dwaj?

Lassiter podrapał się w szczecinę na brodzie.

- Jeden prowadzi islamską księgarnię. Uważa się ją za przykrywkę punktu werbunkowego Al-Kaidy w tym rejonie. Wiesz, jak to jest. Jątrząca literatura fundamentalistyczna. Wideo przemowy Bin Ladena i zdjęcia z Iraku oraz Afganistanu, przedstawiające tak zwane okrucieństwo amerykańskich i brytyjskich sił. Wszystko po to, aby rozwścieczyć i podjudzić młodych rekrutów.

- A drugi? - spytałem.

Lassiter wydawał się znużony, jakby odpowiadał na to pytanie po raz setny.

- Bogaty przedsiębiorca. Prowadzi sieć indyjskich restauracji, ale to Pakistańczyk. Tak samo większość jego personelu. Podejrzewamy, że jest zamieszany w nielegalną imigrację albo jest kanałem łącznikowym dla „fachowców” Al-Kaidy. Dawno nie obcowiałem ze szpiegowskim żargonem.

- „Fachowców”?

- Specjalistów - wyjaśnił Lassiter. - Fundatorów, pirotechników, ekspertów od łączności, instruktorów polowych. Gdziekolwiek na świecie Al-Kaida działa, tacy zagraniczni eksperci organizują zazwyczaj jej operacje, werbując miejscowych rekrutów. Potem pryskają, zanim bomba pójdzie w górę. Nie przeszkadza im, kiedy młodzi narwańcy się wysadzają ale samym im się do tego za bardzo nie spieszy.

Wiedziałem, o co mu chodzi.

- Ale w Wielkiej Brytanii po zamachach siódmego i dwudziestego pierwszego lipca właściwie nic się nie działo, prawda? Lassiter uśmiechnął się błado.

- Tylko dlatego, że mieliśmy szczęście, jak dotąd. Zapobiegliśmy jakimś dwóm setkom planowanych zamachów - westchnął. - Przetrzęsamy lokale księgarza i restauratora... - zerknął na zegarek - ...właśnie teraz.

- A więc może uda się wam to rozwikłać. - Chciałem, żeby zabrzmiało to optymistycznie.

- Wątpię, Phil, to cwane dranie. Prawdopodobnie profesjonalnie wyszkoleni w obozach Al-Kaidy. Nie zostawiają po sobie dowodów.

- A sam muła Reda? - spytałem. - Sympatyczna twarz umiarkowanego islamu?

Lassiter kiwnął głową.

- Prawdopodobnie zajmuje się rekrutacją. Wybiera rozczarowanych albo niedostosowanych młodych, którzy przechodzą przez jego zajęcia w meczecie. Zaprzyjaźnia się z nimi, podczas gdy ich rodziny i inni być może ich odrzucają mówi, że islam ma odpowiedź na wszystkie ich troski, i wysyła ich na dalszą naukę.

- Do księgarni? - zgałęm.

- Chyba tak. Trudno udowodnić tu coś konkretnego.

- A bomba w jego gabinecie? Lassiter niemal zaśmiał mi się w twarz.

- Powie, że to był skutek szturmowania policji! Po eksplozji i pożarze zostało najpewniej tak mało, że nie da się na tej podstawie niczego udowodnić. Co do pozostałych dwóch, prawdopodobnie zostaną nam chwiejne albo poszlakowe dowody od nas, MI-6 i GCHQ, których rząd Jej Królewskiej Mości nie będzie chciał użyć w sądzie.

Starłem się tchnąć w niego trochę optymizmu.

- Przynajmniej może storpedowaliście ich bezpośrednie plany, skoro muszą odsiedzieć swoje na dołku.

Lassiter opróżnił szklanekę.

- Mam nadzieję, że masz rację, Phil. Kłopot w tym, że nie wiemy, ilu jeszcze jest takich Redów...

Prawie zapomniałem, dlaczego tak bardzo chciałem się z nim spotkać.

- A więc, Joe, wiedząc to wszystko, wysłałeś mnie na obserwację, nieuzbrojonego i bez wsparcia.

Ciemne oczy za okularami zamrugały.

- Z tego, co pamiętam, nie kręciłeś nosem nad forszą.

Poczułem ukłucie gniewu, przypominając sobie wycelowaną we mnie lufę pistoletu Araba.

- Nie bądź taki cwany, Joe. Rozmyślnie nic mi nie powiedziałeś. Naprawdę myślisz, że zgodziłbym się to wziąć, gdybym wiedział, że mówimy o komórce Al--Kaidy pilnowanej przez uzbrojonych terrorystów?

- Nie wiedzieliśmy i wciąż nie wiemy, co to było.

- Nie wciskaj mi tu kitu, Joe - odparowałem. - Nie jestem zasranym sędzią i ławą przysięgłych, których musisz przekonać. Cholernie dobrze wiedziałeś, co to było! Cholera, miałeś w pogotowiu uzbrojony oddział policji. Myślisz, że ma dla mnie jakieś znaczenie, że nie możesz tego dowieść przed sądem? Wydymałeś mnie, wykorzystałeś.

Przerwałem na chwilę, żeby zebrać myśli.

- Chociaż nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłeś. Dlaczego, na Boga, nie posłałeś tam swoich ludzi z MI-5? Nie rozumiem tego.

Po raz pierwszy Lassiter wydawał mi się trochę zawstydzony.

- Mogę się jeszcze napić, Phil? Moje nerwy nie są w najlepszym stanie. Boże, on narzekał na zdenerwowanie. Szkoda, że sam nie siedział na tym drzewie.

- Proszę, częstuj się - warknąłem.

Czekałem z rosnącym zniecierpliwieniem, a Lassiter, nie spiesząc się, nalał sobie drugą pełną szklankę, usiadł i zastanawiał się, jak się z tego wykręcić.

- To nie moja decyzja, stary kumplu - powiedział w końcu. - To sprawa mojej przerażającej szefowej sekcji. Królowej Śniegu.

Pokręciłem głową w rozpacz.

- Co?

- Tak na nią mówimy - wyjaśnił. - Za jej plecami, oczywiście. Felicity Goo-dall. Pod czterdziestkę, a może tuż po. Wysoka, blondynka, ma figurę, za którą można oddać życie.

- Jasne - powiedziałem szybko. - Ale ja nie mam ochoty za nią ginąć. Lassiter się roześmiał.

- Nie, kumplu, nie masz. Bo ta piękna dziewczyna z rozkładówki jest wredną, twardą i ambitną suką o czarnym sercu. Na tym polega dzisiaj kłopot ze Służbą. Prawie wszystkim zawładnęły kobiety. Teraz mamy przynajmniej faceta za sterem, ale większość kierownictwa i kilku szefów oddziałów to kobiety. I wszystkie się nawzajem nienawidzą wszystkie się podgryzają i knują przeciwko sobie. Skończyło się jedwabne życie. One nie myślą tak jak my, Phil, to inny gatunek.

Miałem wrażenie, że Lassiter mnie zwodzi.

- Co to ma wspólnego z tym, jak mnie wystawiłeś?

Popatrzył na mnie, jakbym był tępy uczniakiem, który nie rozumie podstaw arytmetyki.

22

- Królowa Śniegu pnie się w górę. Chciała mieć wyniki, i to takie, które mogłaby przypisać tylko sobie. Nasza sekcja natknęła się na tę komórkę... ale była to, jak już tłumaczyłem, bardzo poszlakowa informacja od naszych agentów. Gdyby Królowa narobiła szumu i wezwała A-4, sprawa zostałaby przekazana dyrektorze wydziału.

- A-4? - spytałem.

- „Obserwatorzy”, czyli nasi eksperci od inwigilacji - wyjaśnił Lassiter poirytowany.

Kiwnąłem głową.

- A co by było złego w przekazaniu sprawy dyrektorze wydziału?

- Melissie Thornton? - Lassiter sprawiał wrażenie, jakby sama myśl o tym była świetnym dowcipem. - Meduza i Królowa Śniegu nienawidzą się. W szkole, u św. Godolfiny w Salisbury rywalizowały jako prefektki. Melissa odmówiłaby sankcjonowania tej operacji dla zasady albo przejęła ją i zagarnęła całą chwałę. Dlatego Felicity utajniła sprawę i przydzieliła do niej ciebie, ale przymilając się i kręcąc, nakłoniła miejscowego szefa policji, żeby postawił w stan gotowości jednostkę antyterrorystyczną.

Z niedowierzaniem pokręciłem głową.

- Komedie pomyłek - mruknąłem.

- Nic niezwykłego w naszej zabawie - przytaknął Lassiter.

- A jak to wszystko wyjdzie na jaw, czy ta cała Felicity Goodall nie będzie miała kłopotów?

Lassiter wzruszył ramionami.

- Raczej nie. Liczą się wyniki, a ona ma wynik, można powiedzieć. Poza tym szefem Melissy i Felicity jest dyrektor Wydziału G, zajmującego się fundamentalistami i terrorystami, który bardzo się napalił na Felicity. Więcej chyba mówić nie muszę.

- Bardzo makiaweliczne - skomentowałem kwaśno.

Na twarzy Lassitera pojawił się prawie autentyczny uśmiech.

- Jak więc widzisz, Phil, to wszystko było niezależne ode mnie. Nie zamierzałem odpuścić mu tak łatwo.

- O nie, Joe. Mogłeś narobić smrodu, wychylić się z nory i powiedzieć tej Felicity, że robi źle.

Lassiter nachylił się do mnie.

- Mówiłem ci, firmą rządzą teraz kobiety. Nieważne, jak jesteś dobry, jeśli wyglądasz nie tak albo cię nie lubią jesteś skończony. A Felicity za mną nie przepada, więc się nie wychylam i robię, co mi każe. Mam cholernie wielki kredyt hipoteczny i trójkę dzieci w prywatnych szkołach.

- Serce mi krwawi - odparłem z całym współczuciem, na jakie potrafiłem się zdobyć.

Lassiter dopił drinka i wstał.

- No, jeśli poczujesz się od tego lepiej, dopilnuję, żeby takie rzeczy się więcej nie zdarzały, możesz być pewien. I jestem przekonany, że Felicity będzie z ciebie bardzo zadowolona. Może wpadnie ci jakaś premia.

Byłem już bardzo zmęczony i nie miałem ochoty wysłuchiwać tych bredni.

- Idź już, Joe, dobra? Mam dość.

- Jasne, kumplu, nie wyglądasz najlepiej. Dzięki za drinka. - Wziął z łóżka fedorę i ruszył do drzwi. - Do zobaczenia.

Kiedy poszedł, wyciągnąłem się na łóżku i zasnąłem, gdy tylko przyłożyłem głowę do poduszki. Tym razem nic mi się nie śniło, żadne wściekłe zakonnice z kałasznikowami.

Spałem dobrze, za dobrze. Kiedy tylko zacząłem się budzić, od razu wiedziałem, że jestem spóźniony. Światło ciągle się paliło, a ja miałem na sobie ubranie. Zerknąłem na zegarek; nie mogłem uwierzyć, że już prawie jedenasta. O tej porze miałem być z powrotem w Londynie.

Reorganizując w myślach plan dnia, wstawiłem wodę na kawę, zaciągnąłem zasłony, włączyłem telewizor i wziąłem prysznic.

Zapinałem właśnie koszulę, kiedy zobaczyłem wiadomości. Wczesnym rankiem na londyńskim West Endzie znaleziono dwa potężne samochody pułapki. Zabójcza mieszanina benzyny, butli z gazem i gwoździ; o próbę zamachu podejrzana była Al-Kaida. Jeden samochód stał pod nocnym klubem Tiger Tiger w Haymarket, a drugi, czekający na tych, którym udało się uciec z klubu, na Cockspur Street.

Gdyby nie spostrzegawczość sanitariusza z karetki, który zauważył opary w jednym z mercedesów, i odwaga policjantów z oddziału saperów, setki cywilów zostałyby zabite albo straszliwie okaleczone.

Wstrząśnięty usiadłem ciężko na łóżku, z niedowierzaniem gapiałem się w ekran. Chryste, czy to była robota muły Redy i jego przyjaciela? Tak niewiele brakowało, a spóźnilibyśmy się o jeden dzień.

Woda w czajniku zaczęła się gotować, ale nagle zapragnąłem czegoś o wiele mocniejszego niż czarna kawa.

Sięgnąłem po butelkę whisky. Była pusta.

- Lassiter - mruknąłem - ty samolubny draniu.

2

Podobają ci się moje nowe buty, Phil? Kate wmaszerowała do mojego biura gabinetu w mieszkaniu w suterenie, które wynajmowałem w Brixton. Podniosłem wzrok znad ręcznie napisanego raportu, który mozolnie przepisywałem w wersji elektronicznej, dziobiąc dwoma pal

camy w laptop. Przygotowywałem go dla mojego najlepszego stałego klienta, Tapsellów, firmy topowych prawników z City, i byłem już o tydzień spóźniony. Popatrzyłem surowo na dziewiętnastolatkę.

- O której to się przychodzi?

Zegar na ścianie wskazywał wpół do jedenastej.

- Och, Phil, wiem, przepraszam! Zapomniałam nastawić budzik - wyjaśniła, a w jej pięknych, zaspanych, niebieskich oczach widziałem prawdziwy żal. - I byłam taka zmęczona po całym weekendzie jazdy... W poniedziałki zawsze jest ze mną kiepsko... A potem metro się spóźniało, bo znów był jakiś komunikat o bombie...

- Dzwoniłem do ciebie na komórkę. Zrobiła jeszcze bardziej zawstydzoną minę.

- Padła mi bateria, przepraszam. Nie za dobrze, prawda?

- Zgadza się, nie za dobrze.

Ale na Kate nie potrafiłem się złościć. To najśladza, najładniejsza, najbardziej urocza i najbardziej beużyteczna sekretarka, jaką mężczyzna mógł zatrudnić. Oprócz tego, że wspaniale było ją mieć przy sobie - kiedy wchodziła, od razu robiło się jakby jaśniej - nie musiałem jej płacić zbyt wiele. Wśród przyjaciół znana jako Zakręt, była córką mojego starego kolegi z wojska, pracującego w Dowództwie Brytyjskich Wojsk Lądowych w Wiltshire. Jej największą miłością były konie; miała wielki talent jeździecki z dobrymi widokami na wejście któregoś dnia do drużyny olimpijskiej. Ponieważ nie przepadała za nauką jej ojciec uznał, że jakaś prawdziwa praca może nauczyć ją rozsądku i przekonał mnie, że bym dał jej szansę. Ponieważ ja miałem kłopoty finansowe, a Kate dostawała minimalną pensję, wydawało się to idealnym rozwiązaniem dla nas obojga.

Zdjęła kurtkę, potrząsnęła długimi blond włosami i pokazała mi prawą stopę.

- I co sądzisz o moich nowych butach, Phil?

- Sądzę, że będą świetnie wyglądały pod biurkiem, kiedy ty weźmiesz się do przepisywania tego - odparłem karcąco.

- Kupiłam je w sobotę na wyprzedaży. Jimmy Choo. Tylko dziewięćdziesiąt funtów. Nie sądzisz, że to okazja?

- Moim zdaniem to rozbój w biały dzień - powiedziałem. - Albo to nie Jimmy Choo, tylko podróbki.

Jej uśmiech zgasł.

- Nie! Naprawdę tak myślisz? Musiałem się uśmiechnąć.

- Nie. Są śliczne. A teraz przepisz, proszę, ten cholerny raport.

- Ach, ten dla Tapsellów, tak. Nie powinien być gotowy w zeszłym tygodniu?

- Tak, miałaś go skończyć w zeszłym tygodniu.

- Przepraszam, już się do tego biorę. - Cokolwiek złego można powiedzieć ° Kate, trzeba było przyznać, że zawsze chętnie i ciężko pracowała, jeśli tylko zaczęła. - Mam zrobić kawę?

Wstałem, żeby mogła usiąść na moim miejscu; przydałby się nam drugi laptop, ale to musiało poczekać. Czynniki, pensja Kate i koszty mojego rozwodu były ważniejsze.

- Nie, ja zrobię kawę, a ty pisz - powiedziałem. - Twój ojciec uważa, że do tego właśnie Pan Bóg cię stworzył. Poszedłem do kuchni przy wtórze stukających klawiszy, brzmiałym w moich uszach jak muzyka. Czekałem, aż woda się zagotuje, włączyłem przenośne radio, żeby złapać najnowsze wiadomości.

Minęły trzy tygodnie od nalotu na dom mułły Redy i nieudanych zamachów na West Endzie. Trzydzieści sześć godzin potem udaremniono jeszcze jedną próbę samobójczego zamachu na lotnisku w Glasgow. Jeep cherokee buchnął płomieniami, a dwaj terroryści zostali obezwładnieni przez przypadkowych świadków, którzy, na szczęście, wykazali się inicjatywą. I znów nie doszło do wybuchu. Gdyby doszło, byłaby to jatka. Nie wiedzieć czemu, bogowie przynajmniej raz się do nas uśmiechali.

Oczywiście wtedy też się zastanawiałem, czy mułła Reda i jego przyjaciele mogli być z tym powiązani i czy odegrali jakąś rolę w planowaniu tego wszystkiego.

Ale nie miałem jak się tego dowiedzieć, bo Joe Lassiter zniknął i nie odpowiadał na moje telefony. Żeby być uczciwym, trzeba było przyznać, że musiał być zajęty tym wszystkim, co się działo. Dlatego wróciłem do pracy, przekazywałem pozwody i wykonywałem przyziemne branżowe i cywilne zadania dla moich klientów prawników. Według wiadomości mułła Reda i jego przyjaciele przebywali w areszcie, oczekując na rozprawę w więzieniu o zastrzonym rygorze w Bel-marsh.

Zapowiadało się, że długo sobie poczekają.

Mój czek od Służby Bezpieczeństwa ciągle jeszcze nie przyszedł - nic dziwnego - ale naturalnie rachunki od prawników prowadzących sprawę rozwodową tak. Właściwie zaczynały się układać w całkiem pokaźny stosik. Świadomi, że jestem splukany, uprzejmie zaproponowali płatności na bieżąco, bo zapowiadało się, że sprawa będzie się przeciągać. Miałem już tyle wezwań do zapłaty, że zastanawiałem się, czy nie wytapetować nimi ścian ubikacji.

Nalałem dwa kubki kawy i zaniósłem jeden Kate.

- Dzięki, Phil.

- Pij, ale jedną ręką pisz - ostrzegłem. - I pamiętaj, żeby sprawdzić literówki. Zachichotała.

- Tak jest, szefie.

W tym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi. Spojrzałem na mały monitor. Kamera nie była umieszczona zbyt szczęśliwie, ale nie sposób było nie rozpoznać fedory osłaniającej twarz mężczyzny stojącego pod drzwiami suterenu.

Kate podniosła wzrok.

- Mam zobaczyć, kto to?

- Wiem, kto to - odparłem surowo. - Pisz. Poszedłem na korytarz i otworzyłem drzwi.

- Cześć, Joe. Właśnie o tobie myślałem. Uśmiechnął się szeroko.
- To miło.
Wpuściłem go do środka.
- Raczej nie. Zastanawiałem się, gdzie, do cholery, jest mój czek.
- Ach, drobne opóźnienie. - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i podał mi kawałek papieru, dzięki któremu dyrektor banku miał się ode mnie odczepić na kolejne dwa tygodnie. - Chciałem ci go dać osobiście.
Zwalczyłem chęć wyrwania mu czeku.
- Poczta działa doskonale - odparłem, biorąc czek z większym wdziękiem, niż czułem.
- Dalej, Phil, popatrz na niego. Zerknąłem na drukowane liczby.
- Nie zgadza się, prawda?
Łamiąc nawyki całego życia, Lassiter wciąż szeroko się uśmiechał.
- Zgadza się, ale to o tysiąc więcej, niż się spodziewałeś.
- Jak to?
- Królowa Śniegu była bardzo zadowolona z przebiegu operacji. Bardzo zadowolona z twojego udziału.
Może ta kobieta nie jest jednak taką zmiłą jak przedstawiał ją Lassiter. Zaraz potem pomyślałem, że niespodziewana gotówka oznaczała, że nie będę już musiał dzielić się laptopem z Kate.
- Mogę wejść? - spytał Lassiter, zdejmując kapelusz i wchodząc do mojego biura. W tej chwili spełniłbym każde jego życzenie, więc zaprosiłem go szerokim gestem i wszedłem za nim.
Kate spojrzała na niego zza biurka. Otworzyła usta.
- Pan Lassiter? Tak?
- Cześć, Kate.
Jej twarz rozświetlił uśmiech.
- Co pan tu robi?
Zmarszczyłem czoło, nagle niepewny, co się tu, do cholery, dzieje.
- Wy się znacie?
Lassiter oderwał wzrok od Kate i spojrzał na mnie.
- Spotkaliśmy się przedwczoraj na pokazie w New Forest. Kate pokazywała skoki i ujeżdżanie. Świetnie jeździ i świetnie wygląda w bryczesach.
Mrugnął, a Kate mocno się zarumieniła.
- Świat jest mały. Wpadliśmy na siebie przypadkowo. Zaczęliśmy rozmawiać w namiocie z piwem i odkryliśmy, że jesteś naszym wspólnym znajomym.
Wiedziałem już, że coś się szykuje. Spojrzałem na Kate.
- Nic mi nie mówiłaś. Wzruszyła ramionami.

- Wyleciało mi z głowy. Nie myślałam, że to ważne.
- Ach - powiedział Lassiter. - A więc nie powiedziałaś też swojemu szefowi o wyjściu na obiad?
Kate zakryła dłonią usta.
- O rany, nie. Przepraszam.
- Jakim wyjściu na obiad? - spytałem, zniecierpliwiony. Lassiter położył mi rękę na ramieniu.
- Spokojnie. Zamierzałem tylko zaprosić cię na obiad, to wszystko. W ramach podziękowania za twoją pomoc i przeprosin za tamtą e... ranę. - Zerknął na moją lewą rękę. - Wszystko już w porządku, prawda?
- To była druga ręka - odparłem. - Ale tak, już w porządku.
- Przechodziłem obok, chciałem dać ci czek i sprawdzić, czy dalej jesteśmy umówieni... - Zerknął na Kate.
- Szczerze mówiąc, jestem teraz trochę zajęty - odparłem nieuprzejmie. Niespotykany uśmiech Lassitera stał się wymuszony.
- Wszyscy jesteśmy. Słuchaj, powiem tak. Spotkanie ze mną leży w najlepszym interesie twojego konta bankowego. Muszę z tobą pogadać o poważnych interesach.
Przerwał, wiedząc, że bardzo łatwo jest wmanipulować człowieka w potrzebie we wszystko, czego się chce.
- Savoy Grill o pierwszej, dobrze? Muszę lecieć.
Otworzyłem usta, ale zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, pomachał Kate i zniknął.
- Miły człowiek, prawda, Phil? - spytała Kate, kiedy trzasnęły wejściowe drzwi.
- Sama słodycz - mruknąłem, zastanawiając się, co, u diabła, Joe Lassiter znów dla mnie przygotował.
Pojechałem metrem do Waterloo i przeszedłem pieszo przez mostek, docierając do Savoya kilka minut za wcześnie. Wtedy oczywiście zdałem sobie sprawę, że hotel znajduje się niedaleko Thames House, siedziby MI-5.
Ubrałem się specjalnie na tę okazję, wygrzebując z szafy krawat i stary, szary garnitur. Był teraz trochę za luźny w pasie, do tego dwurzędowy. Rozglądając się po holu, dostrzegłem tych wszystkich nowoczesnych sprężystych młodych menedżerów w eleganckich i lśniących garniturach na trzy guziki. Zrozumiałem, że wyglądam niemodnie.
Okazało się, że martwiłem się jednak niepotrzebnie, bo Joe Lassiter pojawił się w garniturze równie staromodnym jak mój, do tego wyglądającym, jakby ktoś w nim spał. Miał na sobie swój brudny płaszcz i nieodłączną fedorę.
Złapał moją dłoń i potrząsnął nią energicznie, jakbyśmy nie widzieli się całymi miesiącami.
- Cieszę się, że przyszedłeś, Phil. Chciałbym ci kogoś przedstawić.

- Nic nie mówiłeś... - zacząłem, ale on, nie patrząc na mnie, szedł już do restauracji. Nie miałem więc innego wyjścia, jak tylko pójść za nim do dostojnego, nagrodzonego gwiazdką Michelina wnętrza o złożonym sklepieniu i wspaniałej boazerii w kolorze brandy.

Lassiter skierował się prosto do stolika w rogu, stojącego w pewnym oddaleniu od innych. Na krochmalonym białym obrusie leżały ciężkie srebrne sztucce.

Siedziała przy nim kobieta, szczupła blondynka około czterdziestki, w biznesowym kostiumie z czarnego tajskiego jedwabiu i białej bluzce. Studiowała menu przez małe eleganckie okulary do czytania w złotych oprawkach.

Kiedy podeszliśmy, podniosła wzrok i zdjęła okulary. Jej włosy, długie i wspaniale wycieniowane - w najlepszym salonie, domyśliłem się - okalały idealnie piękną twarz. Oczy miała hipnotyzująco niebieskie, o długich rzęsach, nos prosty i odrobinę zadarty, a usta w zmysłowym kolorze bladej wiśni tak ponętne, że chciałoby się je zjeść.

Lassiter czekał niecierpliwie, aż podejść do stolika.

- Phil, chciałbym ci przedstawić Felicity Goodall, moją szefową. Felicity, to Phil Mason.

Felicity zatrzepotała rzęsami w moim kierunku i olśniła mnie uśmiechem, wyciągając smukłą, gładką i chłodną w dotyku dłoń.

- Panie Mason, miło mi pana poznać. Joe bardzo dużo mi o panu opowiadał.

- Jestem zaszczycony - odparłem, siadając. - Joe nie mówił mi, że mam spotkać jego szefową.

Felicity cicho się zaśmiała.

- Och, Joe lubi mieć swoje małe tajemnice. Co chciałby pan na przystawkę? Zauważyłem, że sama miała tylko gazowaną wodę mineralną z cytryną.

- Campari z wodą sodową będzie w sam raz, dziękuję.

Natychmiast pojawił się kelner - mimo że nikt go nie wzywał. Felicity złożyła zamówienie, w tym whisky z lodem dla Lassitera, ale nic więcej dla siebie. Utkwiła we mnie wzrok, przykuwając moją uwagę.

- Chciałam panu podziękować za to, co pan dla nas ostatnio zrobił.

Kątem oka zobaczyłem, że Lassiter intensywnie mi się przygląda i zrozumiałem, że zastanawia się, czy będę narzekał, że zostałem wykorzystany i postrzelony. Ale to nie była chyba właściwa chwila.

- Cieszę się, że mogłem pomóc.

- Niech mi pan coś o sobie opowie, panie Mason. Poczulem się niezręcznie.

- Proszę mi mówić Phil.

I znów usłyszałem ten lekki, nieco gardłowy śmiech. Zastanawiałem się leniwie, czy tak samo śmiała się w łóżku do męża czy kochanka.

- A więc ty musisz mi mówić Felicity. W biurze atmosfera jest o wiele mniej oficjalna niż kiedyś. - Znów uważnie mi się przyjrzała. - No to coś o sobie.

Poruszyłem się, skrepowany.

- Niewiele jest do opowiadania. Od czego zacząć? Chmurka irytacji przesłoniła na chwilę światło w jej oczach.

- Najlepiej zawsze od początku. Jak w *To twoje życie*. Urodziłeś się w Wey-mouth w Dorset, w 1962, czy tak? Twoja matka była Hiszpanką etatową kura domową a ojciec bosmanem w Marynarce Królewskiej. Dzieciństwo spędziłeś, bawiąc się na statkach i wstąpiłeś do kadetów armii. Zasmakowałeś tam w wojsku i w wieku osiemnastu lat zaciągnąłeś się do królewskich marines, służąc w 42. jednostce w Plymouth.

Chciała mi chyba zaimponować, aleja tylko się zirytowałem, że ludzie w MI-5 tacy jak ona mają dostęp do moich czy czyichkolwiek danych osobowych, jeśli ich potrzebują. Zmusiłem się do uprzejmego uśmiechu.

- W takim razie nie musisz mnie chyba o nic pytać. Wydawała mi się trochę rozbawiona.

- Wolałabym to usłyszeć od ciebie, Phil.

Dobrze się złożyło, że kelner wrócił akurat z drinkami. Napiłem się szybko, bo bardzo potrzebowałem się napić.

Postanowiłem mieć to już za sobą.

- Jak na pewno wiesz, w wieku dwudziestu paru lat zrobiłem kurs snajperski i przeszedłem selekcję wstępną do Specjalnej Służby Morskiej.

Felicity kiwnęła głową i uśmiechnęła się do mnie ciepło.

- A później zostałeś przydzielony do korpusu wywiadu. - Zerknęła na Lassite-ra. - Gdzie poznałeś Joego, pracując w Irlandii Północnej?

- Tak. Byłem potrzebny ze względu na umiejętności inwigilacji i kamuflażu. - Wyjaśniłem coś, o czym większość ludzi nie wie. - Sztuka snajperska nie polega na strzelaniu do ludzi. Większa część pracy to obserwacja wroga i zbieranie informacji. To ją chyba rozbawiło.

- Ale prowadziłeś kilka operacji przeciw snajperskich w Armagh? Bardzo nie chciałem, żeby mi o tym przypomniano.

- Tak.

- Z dużym powodzeniem?

Jeśli chodziło jej o to, że widziałem głowę strzelca IRA rozbryzgującą się jak przejrzały arbuz w powiększeniu celownika mojego L96, to tak, z dużym powodzeniem.

- Miałem wyniki - odparłem po prostu.

- A potem, w następnych latach, współpracowałeś blisko z wywiadem wojskowym między innymi w Bośni?

Wiedziała wszystko.

- Tak, odsłużyłem kilka tur specjalisty, ale moim regularnym przydziałem był starszy instruktor w Szkole Strzelców Wyborowych Armii Brytyjskiej.

- Dopóki nie odszedłeś z królewskich marines ponad rok temu... po incydencie?

30

Nie odpowiedziałem, a ona nachyliła się do przodu, kładąc dłoń na moim nadgarstku.

- Rozumiem, że to trudne, ale proszę, opowiedz mi o tym.

Sama wzmianka sprawiła, że w gardle zaczęła mi puchnąć klucha, a oczy zwilgotniały.

- Nie rozmawiam na ten temat - odparłem ochryple.

Oczy miała bardzo duże i bardzo niebieskie, kilkanaście centymetrów od moich.

- A powinieneś, niedobrze jest tłumić w sobie takie rzeczy.

- Phil służył w mieszanej, amerykańsko-brytyjskiej grupie sił specjalnych w Afganistanie - powiedział nagle Lassiter. - Polowali na niedobitki talibów.

Felicity skarciła go wzrokiem za to wtrącenie się, ale on mówił dalej:

- Okrążyli bandę bojowników w odludnej wiosce w górach Tora Bora. Sytuacja była patowa. Phil i drugi snajper zaczęli ich ostrzeliwać. Potem jakiś szmatogłowy, chciał chyba ustalić pozycję wroga, i wystawił nad parapet głowę.

Patrzyłem na wspaniale ułożone, srebrne sztucce, starając się zapanować nad oddechem, nie myśleć o tym, ale widziałem tę scenę jak film powtarzany raz za razem. Myślałem, że ten koszmar mam już za sobą.

- Phil myślał, że to głowa bojownika - powiedział Lassiter. - Ale ten drań wziął jako zakładniczkę małą dziewczynkę z wioski, włożył jej na głowę turban i wystawił nad krawędź parapetu. Wiedział, co się stanie. Może chciał narobić nam złej prasy w światowych mediach.

Przerwał i zapadła nagle gęsta cisza. Słyszałem tylko dostojny szcęk noży i widelców.

- Dlatego właśnie Phil nie lubi o tym rozmawiać - dodał Lassiter cichym głosem. Felicity ścisnęła mocno moją pięść i cofnęła rękę.

- Tak mi przykro, Phil - powiedziała ochryple. - Zupełnie nie pomyślałam. Zachowując się zupełnie niepodobnie do siebie, jak wytrawny dyplomata, Lassiter podniósł rękę i obok niego jak za sprawą czarów pojawił się kelner.

- Chcielibyśmy zamówić. Co dla ciebie, Felicity?

- Och... - Przez chwilę była wytrącona z równowagi, ale tylko przez chwilę. - Dla mnie tylko przystawka. Myślałam o wędzonym lososiu.

- Ja poproszę ravioli z krewetkami - postanowił Lassiter, wybierając z górnej półki cenowej.

Felicity uniosła brew.

- Przypomnij mi, żebyśmy następnym razem przyjrzała się dokładnie twojemu rachunkowi służbowemu, Joe.

Lassiter przekrzywił głowę.

- Już to robiłaś, moja droga. Co najmniej trzy razy.

Ja w tym czasie trochę nad sobą zapanowałem i wybrałem z menu coś na chybił trafił.

- Żeberka Aberdeen, poproszę.

31

Kelnera zastąpił natychmiast jego kolega od win, u którego Felicity zamówiła butelkę chardonnay, nie pytając o zdanie Lassitera ani mnie. Kiedy kieliszki były pełne, znów spojrzała na mnie.

- Proszę, nie myśl, że to brak taktu z mojej strony, Phil, ale czy to po tej sprawie w Afganistanie twoje małżeństwo zaczęło się sypać?

Zamrugałem oczami, nie mogąc uwierzyć, że właśnie o to mnie pyta.

- Co to ma wspólnego z czymkolwiek? - wypaliłem. Znów uśmiechnęła się rozbrajająco.

- Przepraszam, ale jeśli mamy robić interesy, muszę wiedzieć, z jakim człowiekiem współpracuję. Zaufanie jest najważniejsze. Na pewno to rozumiesz.

Zaczynałem zdawać sobie sprawę, że Królowa Śniegu bardzo sprytnie ujmowała różne sprawy, wydobywała odpowiedzi, które chciała usłyszeć. Westchnąłem.

- Cóż, Afganistan nie pomógł. Niezbyt przyjemnie się ze mną żyło. Za dużo piłem, narobiłem trochę długów. Ale, szczerze mówiąc, nasze małżeństwo sypało się już od kilku lat. Często nie było mnie w domu, za często.

Felicity ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Wiem, jak to jest, Phil, za dużo pracy, nigdy nie ma cię w domu. Rozwiodłam się w zeszłym roku, podobny scenariusz. To wszystko bardzo smutne.

Wtedy przyniesiono jedzenie i wszyscy zajęliśmy się wspaniale podanymi daniami, choć mimo wyśmienitego zapachu i smaku straciłem nagle apetyt.

- Powiedz mi - zaczęła Felicity po kilku kęsach łososia - co sądzisz o inwazji na Irak?

Tak po prostu, niespodziewanie - niewiele brakowało, a bym się zakrztusił. To był z całą pewnością test i moja odpowiedź mogła zaważyć na zleceniu, którego tak bardzo potrzebowałem.

Spróbowałem się wykręcić.

- Właściwie nie mam zdania.

- Och, daj spokój, Phil - skarciła mnie Felicity - każdy ma jakieś zdanie.

- Nie mogę mieć zdania, nie znając wszystkich faktów - odparłem. - Ty prawdopodobnie znasz je lepiej niż ja, więc może mi powiesz, co ty o tym sądzisz?

Uśmiechnęła się, słysząc to, ale nie dała się podejść.

- Muszę poznać twój pogląd, Phil, naprawdę. Na początek, czy wierzysz, że decyzja o inwazji była zgodna z prawem?

Upiłem łyk wina, zastanawiając się, z ilu luf wystrzelić.

- Być może, ale chyba nie z tego, co czytałem.

- A powody inwazji? - naciskała.

- Całkowicie nieuczciwe - odparłem, postanawiając iść na całość. - Nawet gdybyśmy wierzyli, że Saddam Husajn ma dostęp do broni masowego rażenia, nawet ja wiem, że byłby to co najwyżej system krótkiego zasięgu. Do doraźnego użycia na polu bitwy albo przeciwko sąsiednim krajom. A więc nie użyłby ich przeciwko Wielkiej Brytanii, jeśli sami byśmy do niego nie przyszli.

- Co posłusznie zrobiliśmy. - Lassiter parsknął śmiechem, z rozbawieniem patrząc, jak krzyżując szpady z Felicity.
- Ale nie wiem, jakie informacje miało SIS - dodałem. Wyraz twarzy miała kpiąco poważny.
- A odsunięcie od władzy złego tyra? Pokręciłem głowę.
- Na świecie jest ich mnóstwo. Ale czy w związku z tym najeżdżamy Birmę, Zimbabwe, Północną Koreę albo Chiny? Nie.
Decyzja o inwazji to była najgłupsza i najbardziej poroniona polityczna decyzja, o jakiej w życiu słyszałem.
- Dlaczego? - spytała wprost Felicity.
- Jeśli się rozumie, jak myślą arabskie narody, jasne jest, jak musiały zareagować na wtrącenie się Wielkiej Brytanii i Ameryki w ich wewnętrzne sprawy, nieważne, z jak dobrymi intencjami. To posunięcie nigdy nie leżało w interesie naszego kraju, a rząd powinien się kierować właśnie takimi przesłankami - przerwałem. -Przykro mi, jeśli to nie odpowiada waszemu wyobrażeniu o lojalności, której mogliście ode mnie oczekiwać.
Na twarz Felicity wrócił uśmiech.
- Nie sądzę, aby ktoś mógł mieć jakieś wątpliwości co do twojej lojalności wobec kraju, Phil. Bez wątpienia służyłeś w Afganistanie, narażałeś życie.
- Ale nie bez wątpliwości - sprostowałem. - Wykonywałem rozkazy, bo taką miałem pracę. Uważam, że cała koncepcja wojny z terroryzmem to bzdura.
Uniosła brew.
- Naprawdę? Jak to?
Miałem wrażenie, że przybijam gwoździe do własnej trumny.
- To była odruchowa reakcja USA po 11 września. Waszyngton uznał, że musi coś zrobić. Nie można pokonać terrorystów, wysyłając na wojnę konwencjonalną armię. Może udaremniliśmy kilka ich operacji i pozbyliśmy się talibów, przy okazji, ale dowództwo Al-Kaidy uciekło i działa w najlepsze.
- Jak zabrałbyś się do likwidacji Al-Kaidy? - spytał przewrotnie Lassiter. Uśmiechnąłem się, wiedząc dobrze, że zna odpowiedź.
- Po cichu rozbudowałbym powoli siatkę wywiadowczą podesłałbym im swoich agentów i werbowałbym ich ludzi. Potem zaatakowałbym z chirurgiczną precyzją siłami specjalnymi, by wyeliminować przywództwo we właściwym momencie. Felicity odłożyła sztućce i otarła usta serwetką.
- Może cię to zaskoczy, Phil, ale całkowicie się zgadzam ze wszystkim, co powiedziałeś. Większość ludzi w biurze myśli tak samo. Ale nasze poglądy i poglądy naszych braci i siostr na drugim brzegu... - domyśliłem się, że mówi o siedzibie MI-6 przy Vauxhall Cross - ...zostały zignorowane przez rząd. Tak samo jak ty możemy mieć wątpliwości, ale musimy wykonywać rozkazy.
Lassiter pochylił się do przodu.
- Zamach na prezydenta

- Mimo oskarżeń ze strony administracji Busha, Al-Kaida miała tylko bardzo powierzchowne związki z Irakiem i Saddamem. Nic tam nie robiła. Ale wiemy, że odkąd rozpoczęła się inwazja amerykańsko-brytyjska, Al-Kaida też się tam rozgościła, tyle że po drugiej stronie. Rządzący sunnici pod Saddamem chcieli utrzymać się przy władzy i z otwartymi ramionami witali każdą pomoc. Irańczycy tymczasem dostrzegli okazję, by zmienić swoich niedawnych wrogów w przyjazne, fundamen-talistycznie islamskie państwo. Dlatego poparli szyitów. Niezły bałagan.

- Co ważniejsze - wtrąciła Felicity - nasze działania, w opinii świata arabskiego, zgadzały się z tym, o czym Al-Kaida mówiła im na nasz temat od dawna. Otworzyły się szeroko kanały werbunkowe. Także tutaj, w Wielkiej Brytanii. Kiwnąłem głową.

- Jak potwierdziła tamta operacja w Birmingham, w której brałem udział, i ta niedawna próba zamachu w Haymarket... Tak przy okazji, były ze sobą powiązane?

- Nasze dochodzenia wciąż trwają - odparła Felicity - ale uważamy, że tak. Przynajmniej słabo powiązane. Joe nakreślił ci sytuację.

Lassiter skończył jeść i cicho beknął.

- Phil, od 11 września całe nasze biuro robi bokami. Zmniejszyliśmy liczbę personelu po zakończeniu zimnej wojny oraz działań w Irlandii Północnej, a w naszej branży nie da się szybko znaleźć nowych ludzi. A muzułmanie się do nas nie garnęli. Powiem ci tyle, że 11 września był ostrzeżeniem, zrozumieliśmy, że Al--Kaida ma możliwość uderzyć w nas tak samo jak w Amerykę. Potem inwazja na Irak ustawiła nas na celowniku.

- Te upiorne zamachy 7 lipca w Londynie to potwierdziły - dodała Felicity. -Zmieniły sytuację geopolityczną prawdopodobnie na zawsze. Opinia publiczna nie wie, że nasze biuro zawsze zachęcało przywódców naszych politycznych wrogów, państw i terrorystów, do osiedlania się w Wielkiej Brytanii, często ku irytacji tabloidów. Dzięki temu wiemy, kim są i możemy mieć oko na nich oraz na ludzi, z którymi się kontaktują i na to, co mogą planować.

Lassiter nie mógł się powstrzymać.

- A do tego zobowiązanie bezpieczeństwa.

- Co to takiego? - spytałem.

- Terroryci nie lubią srać sobie pod drzwiami - wytłumaczył Lassiter; Felicity skarciła go wzrokiem za dobór słów. - Mówiąc najprościej, Phil, jeśli Zjednoczone Królestwo to ich schronienie i kwatery główna, planowanie ataków na nas nie leży w ich interesie. Do tej pory wszystko grało.

- Przestało działać po zamachach 7 lipca - potwierdziła Felicity. - Z drugiej strony spotkaliśmy się z bardziej entuzjastyczną reakcją miejscowych muzułmanów. Ale weryfikacja będzie podwójnie trudna, bo nie chcemy wpuścić żadnych koni trojańskich, a poza tym szkolenie trwa bardzo długo.

- Na razie - powiedział Lassiter - potrzebna nam każda pomoc, jaką możemy sobie zapewnić. Zawsze korzystaliśmy z usług prywatnych firm ochroniarskich

i detektywów o wojskowym rodowodzie i doświadczeniu wywiadowczym. Już niedługo będą bardzo potrzebni.

- Tacy jak ty - powiedziała Felicity z olśniewającym uśmiechem.

- Bardzo mi pochlebiacie - odparłem - ale podczas ostatniej operacji nie wiedziałem tyle, ile powinienem, jak wiecie.

Zostałem postrzelony.

- Teraz planujemy coś zupełnie innego - zapewniła mnie szybko Felicity. - Będziesz działał na wpół niezależnie, meldując się Joemu. Dostaniesz wszystkie informacje od naszych specjalistów od inwigilacji, jeśli Joe to zatwierdzi.

- Staniesz się autonomiczną jednostką orbitalną biura - wyjaśnił z entuzjazmem Lassiter. - Będziesz wykonywał zadania tak, jak uznasz za stosowne, i dostarczymy ci wszystkie potrzebne informacje.

Zmarszczyłem czoło.

- To dlatego rozmawiałeś z Kate na pokazie w New Forest? Tak myślałem, że to nie był przypadek.

Lassiter kiwnął głową.

- Właśnie ją sprawdzamy. Pochodzi z dobrej rodziny, więc nie przewiduję problemu.

- Jestem dość małą jednostką orbitalną Joe - powiedziałem. - Tylko ja i Kate.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Dlatego przyszła pora, żebyś rozszerzył działalność. Do tego, oczywiście, proponujemy bardzo hojne warunki. Prawdopodobnie będziesz także chciał na nasz rachunek uzupełnić wyposażenie. Poza tym pomyślałem o kimś, z kim dobrze by ci się współpracowało.

- O kim?

- Powiem ci później - odparł enigmatycznie. - Zacniemy małymi krokami. Najpierw podejrzani niskiego szczebla. Parę osób, które ledwie błysnęły na naszym radarze. Ty tylko ich sprawdzisz, jeśli uznasz za stosowne, i zameldujesz o tym.

Felicity dała znak kelnerowi, by przyniósł rachunek i odwróciła się z powrotem do mnie.

- Muszę mieć pewność, Phil, że możemy na ciebie liczyć.

Felicity Goodall wiedziała o rozpadzie mojego małżeństwa i bez wątpienia sprawdziła także kopie moich ostatnich wyciągów z konta. Na pewno spodziewała się, jaką usłyszy odpowiedź, zanim jeszcze otworzyłem usta.

- Oczywiście, z przyjemnością - potwierdziłem.

- Doskonale - powiedziała. - Teraz muszę już iść, czas goni. Joe wprowadzi cię w szczegóły.

Wrócił kelner, a ona uregulowała rachunek pieniędzmi podatków. Chwilę później Lassiter i ja tęsknie patrzyliśmy, jak jej biodra kołyszą się pod czarną jedwabną spódnicą kiedy wychodziła.

- Wydaje się bardzo miła - powiedziałem.

- To dlatego, że Królowa Śniegu cię polubiła - odparł Lassiter. - Masz Pecha.

35

- A to o Afganistanie, Joe? Nie wierzę, że o tym nie wiedziała.
- Oczywiście, że wiedziała, ma twoje papiery z Ministerstwa Obrony. - Las-siter zlał sobie do kieliszka resztki wina. -
Chciała cię tylko sprawdzić i sprawić, żebyś się trochę spocił.
- No to jej się udało.
- A więc powinieneś już wiedzieć, dlaczego nazywamy ją Królową Śniegu. -Zerknął najpierw na pustą butelkę, a potem na zegarek. - Ja też zaraz będę musiał lecieć. Strzelmy sobie po szybkim koniaczku, żeby przypieczętować umowę, co? Nie mogłem odmówić. Lassiter zamówił dwie duże porcje szlachetnego trunku. Ogrzałem kieliszek w dłoni.
- Jakie będzie moje pierwsze zadanie? - spytałem. Joe już pił swój koniak.
- Szczegóły dostarczę ci za kilka dni. Sześć nazwisk. Oczywiście nie wydobyliśmy nic z komputera mułły Redy, ale te nazwiska pojawiły się w zapiskach innego z tej trójki, pakistańskiego restauratora. Komputer zestawiał je z innymi wzmiankami. Albo to zbieg okoliczności, albo to gracje. Do ciebie będzie należało wstępne rozpoznanie.
Kiwnąłem głową.
- A więc to prosta robota detektywistyczna?
- Jak najbardziej.
- A kim jest ta tajemnicza osoba, którą powinienem zaprosić do mojej jednostki orbitalnej?
Lassiter zignorował mój sarkazm; sięgnął tylko do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął kopertę.
- Tu masz nazwisko i adres. - Położył kopertę na stole i dopił koniak. - Dam ci radę, nie dzwoń. Po prostu wpadnij. Najlepiej po piątej.
Zanim zdążyłem odpowiedzieć, wstał.
- Będę się z tobą kontaktował, Phil. Cieszę się, że mamy cię na pokładzie. Kiedy poszedł, dotarło do mnie, że zostawił mi rachunek za drinki. A dwa rocznikowe koniaki w Savoy Grill nie były tanie.
Sięgnąłem po kopertę, otworzyłem ją paznokciem i wyjąłem pojedynczą kartkę zadrukowanego papieru.
Z niedowierzaniem popatrzyłem na nazwisko i nagle ogarnęły mnie wspomnienia.
Ponura, bałkańska zima 1993 roku. Praktycznie każde miasto, wieś i osada w Bośni były poznaczone dziurami po kulach; ściany i dachy pozawalały się od ostrzału moździerzy i artylerii, a kraj rozdzierała okrutna i dzika wojna domowa, szarpiąca serce nowo narodzonemu narodowi. Narodowi w szmatach i bez jedzenia, i coraz bardziej bezdomnemu, w miarę jak jedna z trzech walczących stron wypędzała swoich dotychczasowych sąsiadów, bo mieli niewłaściwe pochodze

nie. Telefony nie działały, elektryczności nie było, a woda z wysadzonych wodociągów wylewała się bezsensownie na ulice. Uchodźcy o pobladych, wychudzonych twarzach, przede wszystkim ludzie starsi, kobiety i dzieci, wlekli się drogami, dźwigając cały swój dobytek. Chcieli się znaleźć jak najdalej od walk.

Byłem tam jako żołnierz brytyjskiej armii, największego kontyngentu Sił Pokojowych ONZ, które usiłowały coś zrobić. Przemówić do rozsądku serbskim i chorwackim watażkom, którzy stawiali opór niedostatecznie wyposażonym bośniackim siłom rządowym; położyć kres walkom na tyle, by konwoje ONZ z pomocą dla cywilów dotarły do bezbronnych ofiar. Tamtego ranka wyszedłem z budynku dowództwa batalionu w Witezi, żeby rozprostować nogi. Dochodziło południe, aja czekałem na przybycie nowej członkini naszego małego, prowizorycznego zespołu ekspertów wywiadu, ściągniętych ze wszystkich trzech formacji naszego wojska, w tym rezerwistów Armii Terytorialnej.

Przyjemnie było na kilka chwil wyjść na świeże powietrze. Pamiętam, że zapaliłem papierosa, i przyglądałem się okolicznym, obsypanym śniegiem wzgórzom. Wtedy zobaczyłem brudne, charakterystyczne kłęby dymu na szarym tle nieba. Wiedziałem, że to znak rozpoznawczy kolejnych czystek etnicznych. Następny spalony dom, jeszcze jedna rozbita albo zagubiona rodzina, niemająca dokąd pójść.

Wtedy przed bramą obozu zatrzymał się ubłocony, biały land-rover, z zapalonymi światłami, aja wiedziałem, że to nasza nowa koleżanka. Kiedy wartownicy wpuszczali ją do środka, zastanawiałem się, jaka będzie. Czytałem skąpe szczegóły na jej temat w zawiadomieniu i automatycznie wyobraziłem sobie kobietę podobną do radzieckiej, napompowanej sterydami medalistki. W końcu służyła w 14. Kompanii Wywiadowczej, jednym z najtwardszych oddziałów armii. To oznaczało zaciekle i wyczerpujący trening, a potem pracę pod przykrywką w Irlandii Północnej.

Land-rover się zatrzymał i wyskoczyła z niego wysoka szczupła kobieta w mundurze, z czarnymi włosami upiętymi schludnie pod niebieskim, ONZ-ow-skim beretem. Zaczęła wyciągać swój bagaż przez tylną klapę. Mimo smukłej budowy nie miała żadnych problemów, by zarzucić sobie na jedno ramię olbrzymi plecak, choć jednocześnie dźwigała w lewej ręce wypchaną torbę.

Zauważyła mnie i podeszła. Ciemne, gorejące oczy spojrzały na mnie spod długich rzęs. Miała piękną twarz i skórę w odcieniu miodu.

Pełne usta rozchyliły się w psotnym uśmiechu.

- Sztab? Kiwnąłem głową.

- Starszy sierżant Phil Mason.

Zasalutowała energicznie, wyprostowana mimo ciężaru, jaki dźwigała.

- Kapral Jasmina Alagic. Wasz nowy tłumacz. I to właśnie była Jazz.

Od tamtego dnia na ponurym wzgórzu pogoda zrobiła się jakby lepsza, a nasza mała grupka nabrała humoru - zwłaszcza ja. Jazz, wtedy dwudziestosześcioletnia, była zawsze wesoła i rozszczębiotana i miała diabelskie poczucie humoru, kontrastujące z jej oddaniem i obowiązkowością oraz niezaprzeczalną odwagą. Właściwie widziałem jąprzrygnętioną tylko raz - kiedy dostaliśmy wiadomość o kolejnej strzelaninie w Sarajewie z udziałem snajperów serbskich sił oblegających miasto. Bardzo ją to zraniło i było jasne, dlaczego.

Jazz pochodziła z rodziny Muzułmanów bośniackich z Sarajewa. Jej rodzicom udało się uciec z Jugosławii i wyemigrować do Wielkiej Brytanii podczas zimnej wojny, zanim się urodziła w 1967 roku. Nawet kiedy komunistyczny reżim poluzował okowy i zaczął przyjmować turystów, jej rodzice uważali, że powrót jest niebezpieczny. Wciąż mieli na miejscu rodziny i znajomych, ale kontaktowali się z nimi tylko listownie oraz - ostatnimi czasy - telefonicznie.

- Dlatego nie mogłam się doczekać tego przydziału - powiedziała mi w dniu przybycia. - Może będę miała szansę poznać ciotki i wujów, siostrzenice i bratanków, których widziałam tylko na zdjęciach.

- Masz na myśli kogoś konkretnego? - spytałem.

- O tak. Ciotkę Iwanę - odparła Jazz z entuzjazmem. - To wspaniała, dumna kobieta, bardzo szczerza i stanowcza. Nie chciałbyś jej podpaść.

- I nigdy jej nie spotkałaś?

- Wymieniłyśmy parę listów, zanim zaczęło się to zamieszanie. Ale ostatnio nic od niej nie dostałam.

Uśmiechnąłem się.

- W takim razie trafiłaś do właściwych ludzi, jeśli chcesz ją wytropić. Jeśli masz adres, powinniśmy dać radę sprawdzić, czy wciąż jest w Sarajewie.

Boże, jak ja później pożałowałem tych słów. Znaleźliśmy ciotkę Iwanę, owszem. Była pochowana na głównym miejskim cmentarzu.

Okazało się, że ten dumny kiedyś i niezłomny bastion klasy średniej i dawna dyrektorka szkoły, tak jak wszyscy inni mieszkańcy miasta, została zmuszona do polowania na resztki jedzenia i drewno na opał. Któregoś ranka poszła z wiadrem do kolejki po wodę pod jeden z działających hydrantów. Nie wiedziała, że w celowniku mają serbski snajper. Kiepski był z niego strzelec, zranił ją w prawe płuco. Lekarze próbowali ją ratować, ale po dwóch dniach cierpień bez morfiny zmarła. O innych krewnych Jazz nie było żadnych wieści. Starsi wujowie i ciotki podobno uciekli, ale nikt nie wiedział dokąd. Siostrzenica zginęła, kiedy pocisk artyleryjski trafił w jej dom, a o dwóch młodszych bratankach mówiło się, że gdzieś walczą.

- Jak, do cholery, ty możesz to robić, Phil? - zaatakowała mnie, kiedy odkryła, że jestem snajperem królewskich marines.

- Nie strzelam do cywilów - odparłem obronnym tonem. - Tylko do żołnierzy wroga, a tego też nie lubię.

- To dlaczego to robisz?

- Tak wyszło. Poszedłem na kurs i byłem w tym dobry. To wszystko. Nigdy nie spędzało mi to snu z powiek - skłamałem. Jazz popatrzyła na mnie spode łba.

- Diabeł zawsze śpi dobrze, bo nie ma sumienia - odparła zaczepnie.

To był chyba jedyny raz, kiedy omal się nie pokłóciliśmy. Bo tak się stało, że kilka tygodni po jej przybyciu zostaliśmy kochankami. Bardzo szybko się do siebie zbliżyliśmy. Wydaje mi się, że niebezpieczna natura naszej pracy i ciągle ryzyko nagłej śmierci zaostrzały nasz apetyt na życie. Ja dzieliłem swoje obowiązki między niebezpieczną pracę wywiadowczą za liniami wroga a działanie w przebraniu cywila, razem z Jazz, która urodziła się tu i wychowała, a więc płynnie mówiła w miejscowych narzeczach.

Misje te były bardzo podobne do tego, co robiła w Irlandii Północnej - polegały na podchodzeniu grubych ryb i monitorowaniu ich działań, tego z kim się spotykały, co robiły i gdzie chodziły. Tym razem jednak celem byli dowódcy wojskowi, a nie terroryści, chociaż w Bośni granica między tymi dwoma pojęciami mocno się zamazała. Jazz była ledwie pięć lat młodsza ode mnie, więc odgrywanie roli pary zakochanych bardzo nam się podobało i często się przydawało. Odkryłem, że mimo swojej boskiej kobiecości, Jazz jako dziecko była dzikuską i rozrabiaką. Kiedy skończyła osiemnaście lat, wbrew woli swoich rodziców wstąpiła do armii brytyjskiej. W wieku dwudziestu lat została zwerbowana do korpusu wywiadu, ponieważ miała niezwykle zdolności językowe. Cztery lata później, znudzona pracą za biurkiem, złożyła podanie i dostała się do tajnej wojskowej elity znanej jako 14. Kompania Wywiadowcza - choć jej oficjalna nazwa okresowo się zmieniała - działającej w Irlandii Północnej.

Tymczasem utrzymywanie naszego romansu w Bośni napotykało trudności. Gdybyśmy zostali przyłapani razem, czekałyby nas cholerne kłopoty. Poszliśmy do łóżka chyba tylko sześć razy w ciągu sześciu miesięcy. Spotykaliśmy się zazwyczaj w domu kogoś zaprzyjaźnionego z miejscowych. Ale te sześć razy było niezwykle i niezapomniane, i pozostawiło mi wspaniałe wspomnienia pełne erotyki i fantazji, które jak sen nawiedzają mnie do dzisiaj. Trudno mi uwierzyć w to, co robiliśmy wtedy. Ale z drugiej strony wiedzieliśmy, że każdy dzień może być naszym ostatnim. W takich okolicznościach w człowieku odzywa się niemal pierwotna potrzeba życia pełnią życia.

Biorąc pod uwagę nienawiść Jazz do snajperów, byłem zaskoczony tym, jak często mnie o to pytała, kiedy się odprężaliśmy i rozmawialiśmy. Wypytywała o potrzebne umiejętności i techniki, o to, jakiej używamy broni.

Byłem jeszcze bardziej zaskoczony - i zraniony - gdy któregoś dnia zniknęła z dowództwa batalionu bez słowa wyjaśnienia, zostawiając tylko krótki liścik: -Drogi Philu, było nam wspaniale i nigdy cię nie zapomnę, ale odchodzę z armii. Miłej reszty życia. Trzymaj się. Kocham, Jazz".

I tyle. Próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej, zdobyć jakiś jej adres, ale w dowództwie batalionu nikt nic nie wiedział, a dowództwo generalne mnie splawiło.

Dzięki Bogu było akurat lato i słoneczna pogoda złagodziła nieco moje cierpienia. Przyczynił się do tego również fakt, że nasza jednostka miała nieustannie jakieś zajęcia.

Następnej zimy zaczęły się plotki. Bośniacki rząd wysłał do Sarajewa nowego strzelca zwalczającego snajperów, a strzelec ten nazywał się Jasmina Alagic.

Czułem, że to prawda, a jeśli tak, to była dobra, bardzo dobra. Serbscy snajperzy, poczęstowani własnym lekarstwem, bardzo szybko zniknęli. Znow spróbowałem ją wytropić, nawiązać kontakt, ale bośniacki rząd nie chciał nic powiedzieć, a ślad szybko wystygł. I tak zostało aż do teraz.

Wspomnienia, te i inne, zalewały mnie, kiedy jechałem przez Londyn moim poobijanym transitem pod adres w Putney, który dostałem.

Była to ładna uliczka z domami w stylu edwardiańskim, w jednej z mniej eleganckich części tej dzielnicy. Po obu stronach rosły zielone platany, zeszpecone rzędami zaparkowanych samochodów. Idąc za radą Joego Lassitera, przyjechałem kilka minut przed piątą i bardzo dobrze, bo kilka miejsc parkingowych dla mieszkańców było jeszcze wolnych - ich właściciele nie wrócili z pracy.

Nie martwiłem się o mandat, bo stało za mną teraz MI-5 - tak przynajmniej zakładałem. Udało mi się wcisnąć w lukę po tej stronie ulicy, po której stał dom Jazz, jakieś piętnaście metrów od niego.

Nagle ogarnął mnie strach. Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, byliśmy namiętymi kochankami, a przynajmniej tak mi się wydawało. Ale potem zostawiła mnie bez słowa, i z tego co wiedziałem, nigdy nie próbowała znow się ze mną skontaktować. Dlatego nie miałem pojęcia, jakie może mnie czekać przyjęcie.

Jak wyglądała? Czy w ogóle ją rozpoznam? W końcu przez czternaście lat ludzie potrafią się sporo zmienić. Wtedy była szczupła, ale dość umięśniona; za takie ciało mógłbym umrzeć. Teraz, kiedy miała czterdzieści lat, spodziewałem się, że przybrała trochę na wadze, może nawet więcej niż trochę. Była pewnie mężatką i miała dzieci... Ten drań Lassiter nawet tego mi nie powiedział. Kiedy zadzwoniłem do niego po południu, żeby wy dostać więcej informacji, usłyszałem tylko pocztę głosową. Wyobrażałem sobie, jak siedzi, patrzy na małe ekranik swojej komórki, wyświetlający moje nazwisko, i uśmiecha się do siebie. Przyszło mi do głowy, żeby ukryć nazwisko i zadzwonić jeszcze raz, ale uznałem, że to gra niewarta świeczki.

Wtedy ją zobaczyłem i poznałem bez żadnych wątpliwości.

Jazz właśnie skręciła w uliczkę zza rogu. Włosy nosiła trochę krótsze, niż zapamiętałem, do ramion, ale wciąż tak samo lśniące i kruczoczarne. Miała na sobie obcisłą bluzkę, zwiewną spódnicę w kwiaty i czółenka na niskich obcasach. Zupełnie nie przytyła - wydawała mi się raczej chuda. Mała dziewczynka, około sześciu lat, trzymała ją za rękę, wesoło podskakując obok.

Wzięłem głęboki oddech, wysiadłem z furgonetki i ruszyłem w jej stronę. Spotkaliśmy się twarzą w twarz przed jej domem. Zauważyła mnie chyba dopiero wtedy, gdy zatrzymałem się tuż przed nią. Piękne ciemne oczy, w których widać było znużenie, przyjrzały mi się uważnie; chyba się zaniepokoiła. Może pomyślała, że chcę ją obrabować.

- Wszystko w porządku - powiedziałem. - To ja.

Jej gładkie czoło pokryło się delikatnymi zmarszczkami.

- Phil? To ty, prawda? Nie do wiary!

Nie wiedziałem, czy cieszy się na mój widok, czy nie. Dziewczynka postanowiła przytulić się do spódnicy mamy, ona też patrzyła na mnie z wyraźną niepewnością.

Uśmiechnąłem się.

- Tak, Jazz, to ja. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam...

- Nikt nie mówił na mnie Jazz od lat - mruknęła, a na jej ustach pojawił się uśmiech. - Jak mnie znalazłeś?

Zrobiłem unik.

- To długa historia. Jest szansa, żebyśmy pogadali i żebyś mógł ci o tym opowiedzieć?

Przez chwilę wydawała się zdenerwowana i wtedy dopiero dostrzegłem, jak bardzo jest zmęczona i że ma ciemne worki pod oczami i ściągnięte policzki.

- Właśnie odebrałam Zoe od dziadków... Chyba tak... czemu nie? Jeśli nie masz nic przeciwko, muszę zrobić Zoe herbatę.

- Oczywiście, że nie - powiedziałem i spojrzałem na dziewczynkę, która wciąż patrzyła na mnie lekliwie. Podobieństwo było bardzo wyraźne. - To musi być twoja córka... Cześć, Zoe.

Dziewczynka odwróciła się i wtuliła w fałdy spódnicy matki.

- Nie bój się, Zoe - skarciła ją Jazz. - To wujek Phil. To mój stary przyjaciel. - Odwróciła się do mnie. - Wejdzmy do środka.

Poprowadziła mnie po krótkich schodkach do domu. Idąc wąskim korytarzem, minęliśmy salon o beżowych ścianach - stały tu nowoczesne, czarne jesionowe meble - potem podobnie urządzonejadalnię, aż wreszcie dotarliśmy do kuchni.

Kuchnia wydała mi się o wiele bardziej przyjazna i zamieszкана - pomalowana na słoneczny żółty kolor z wielkim sosnowym stołem na środku i ładnym widokiem na zadbane ogródki za oknem.

- No i co teraz porabiasz? - spytałem tonem swobodnej konwersacji.

- Jestem recepcjonistką u lekarza. Dopiero od dwóch tygodni.

- Jak ci idzie? Wzruszyła ramionami.

- Muszę się dużo nauczyć, inne recepcjonistki są bardzo zazdrosne. Jestem nowa i tak dalej. Ale musi mi się udać...

Przedtem pracowałam jako kasjerka w Salisbury's.

- Naprawdę?

Uśmiechnęła się zaciśniętymi ustami, słysząc moje zaskoczenie.

- Moje kwalifikacje z wojska, tak jak twoje, nie były zbyt duże.

Na półce kredensu zauważyłem oprawione w ramki zdjęcie: przystojny mężczyzna stał dumnie uśmiechnięty obok Jazz, trzymającej w ramionach dziecko.

- Twój mąż? - zgałęm. Zawahała się.

- Tak, ale on raczej nie może mnie utrzymywać, jeśli o tym myślisz. Najwyraźniej był to drażliwy temat.

- Przepraszam, nie chciałem być wścibski. Odwróciła się i naląła wody do czajnika.

- Nie, skąd miałeś wiedzieć. Poznałam Ricarda w Bośni. Pracował w Lekarzach bez Granic. Pobraliśmy się w dziewięćdziesiątym szóstym. Niestety, zostawił mnie trzy lata temu i od tamtej pory się nie odezwał.

- Przykro mi - powiedziałem drętw.

Nie oglądając się na mnie, Jazz wyjęła z szafki dwa kubki.

- Herbata czy kawa? Zawsze piłeś słodką czarną kawę, jeśli dobrze pamiętam. Nie mam w domu nic mocniejszego.

- A więc zawróciłaś ze złej drogi - zażartowałem, starając się rozluźnić atmosferę. - Może być kawa.

Naląła mi, a potem podeszła do Zoe i posadziła ją przy stole. Nastąpiła krótka dyskusja o wyższości sałatki jajecznej nad tostami z fasolą i odwrotnie; tosty wygrały.

- A co u ciebie, Phil? - spytała Jazz, przygotowując jedzenie. - Jesteś żonaty?

- Ledwie ledwie - odparłem. - Jesteśmy właśnie w trakcie rozwodu. Obejrzała się przez ramię znad kuchenki.

- Smutne. Macie dzieci?

- Chłopca, Danny'ego. Ma jedenaście lat.

- Jak to zniósł?

- Nie wiem, czy w ogóle zauważył - odparłem, nie do końca żartem. - Musiałby najpierw oderwać się od komputera.

- One zawsze zauważają Phil - powiedziała Jazz. - Pewnie siedzi z nosem w komputerze, żeby o tym nie myśleć. Powinieneś z nim porozmawiać, dopilnować, żeby nie myślał, że to jego wina. Często tak myślą wiesz?

- Na pewno masz rację - przyznałem, zastanawiając się, czy kiedykolwiek udałoby mi się sforsować drzwi, w których stoi Nina, i wyciągnąć Danny'ego z jego pokoju. Nieźle bym się namęczył.

- To była wspólna decyzja? - spytała Jazz, mieszając na patelni fasolę i wsuwając kromkę chleba do tosterka.

Bardzo dyplomatycznie, pomyślałem.

- Nie, to pomysł Niny. Od lat mówiła, że ma dość pełnienia funkcji żony wojska, jak to ujmowała, ale złożyła pozew, kiedy odszedłem z armii. Ma chyba kogoś na boku, miejscowego rzeźnika. Ale nie jestem pewien.

Jazz zachichotała.

- Przepraszam... To nie jest śmieszne.

- Nie ma sprawy - powiedziałem. - Prawdę mówiąc, dotarło do mnie, że wcale nie jest mi z tym tak źle, nie licząc tego, że nie mam kontaktu z Dannym. Nina i ja oddalaliśmy się chyba od siebie już od lat.

Kilka minut potem Zoe dostała swoją herbatę, a Jazz i ja wyszliśmy do ogrodu.

- Trochę tu nieporządnie - powiedziała. - Nie mam zbyt wiele czasu.

- Mnie się podoba, wygląda lepiej niż mój ogródek kiedykolwiek - odparłem. Przez chwilę popijałem kawę, aż w końcu zdecydowałem się zadać pytanie, na które latami usiłowałem uzyskać odpowiedź. - Nie chcę rozgrzebywać przeszłości, Jazz, ale ciekaw jestem, dlaczego po prostu odeszłaś, nie mówiąc mi nic wcześniej?

Zerknęła na mnie i odwróciła wzrok.

- Chyba z tchórzostwa. Wiesz, co zrobiłam?

- Zostałaś snajperką w bośniackiej armii. - Nasze spojrzenia się spotkały; uśmiechnąłem się. - To było dla mnie zaskoczeniem.

- Próbowałbyś mnie powstrzymać.

- Tak - przyznałem i chyba zawsze wiedziałem, dlaczego nic mi nie powiedziała przed odejściem. - Ale potem miałem nadzieję, że się ze mną skontaktujesz. Tak dobrze nam było razem.

- Życie potoczyło się dalej, Phil. W Sarajewie poznałam Ricarda i zakochałam się w nim. Pracował tak ciężko, ratując życie w okropnych warunkach. - Chyba dostrzegła w moich oczach ból. - Przepraszam.

- Rozumiem. Przyjrzała mi się uważnie.

- To nie wszystko. Kiedy zgłosiłam chęć odejścia z armii i powiedziałam im, co chcę zrobić, z początku bez dyskusji mi odmówili. Nie miałam dość pieniędzy, żeby się wykupić. Potem dowiedział się o tym ktoś z wywiadu wojskowego, kto wiedział o mojej służbie w 14. Wywiadowczej. W skrócie było tak, że zgodzili się mnie zwolnić z armii i zapewnić szkolenie snajperskie... pod warunkiem że będę szpiegowała bośniackie władze, ich członków i wojskowych.

- Dobry Boże - powiedziałem, zupełnie zaskoczony. Wzruszyła ramionami ze skruszoną miną.

- Wiem, to było okropne. Aleja desperacko tego pragnęłam, wpadłam w obsesję, że muszę być snajperem, zemścić się na Serbach, którzy zabili ciotkę Iwanę. Czy to nie głupie? Ale tak było. A jeśli miałam zrobić to, czego chciałam, musiałam się zgodzić na ich warunki.

- I udało się?

Kiwnęła głową.

- Chyba tak. Dowiedziałam się przynajmniej tyle, że bośniacki rząd nie był zupełnie czysty. Myślę, że moje informacje pomogły później ONZ i NATO. Może uratowałam komuś życie i ułatwiłam organizację pomocy, chciałabym w to wierzyć. Najgorszy był drań, który mnie kontrolował. Kawał łobuza i obleśna świnią.

Uniosłem brew.

- Trudno mieć do niego pretensje, że mu wpadłaś w oko. Jazz zmarszczyła czoło.

- To nie jest komplement. W każdym razie zabronił mi kontaktować się z dawnymi znajomymi z wojska. Bezpieczeństwo i tajność, powiedział. Ale potem poznałam Ricarda i przypomniałam sobie, jak mówiłeś, że w domu czeka na ciebie dziewczyna. To pewnie była Nina?

Kiwnąłem głową.

- Wygląda na to, że historia zatoczyła koło. Dostałem za swoje. Jazz wyglądała, jakby jej ulżyło, kiedy to wszystko wytłumaczyła.

- A więc, skoro nie służysz już w wojsku, Phil, czym się teraz zajmujesz?

- Jestem prywatnym detektywem. Zabrzmiało to dziwnie, kiedy sam to powiedziałem.

- Prywatny detektyw! - Chyba uznała, że to bardzo zabawne. - A niech mnie, Phil, to niesamowite. To tak mnie wytropiłeś? Musisz być niezły.

- Nie do końca. Jestem na kontrakcie, wykonuję pewne zlecenia dla MI-5. To oni dali mi twój adres.

Popatrzyła na mnie, a ja wyczułem, że atmosfera między nami nagle się ochłodziła.

- Odpowiedź brzmi nie - powiedziała Jazz po chwili. - A ty lepiej już idź. Nic nie rozumiałem.

- Przepraszam, Jazz, ale nie rozumiem. Co się stało?

- Wiem, kto cię przysłał. - Niemal wypluła te słowa. - Ten sam człowiek, który był moim kontrolerem w Bośni. Joe Lassiter.

3

Wyrzuciła mnie, Joe, oto co się stało. W końcu udało mi się dodzwonić do Lassitera na komórkę i spotkać się z nim w Morpeth Arms na Embankment o dziewiątej tego wieczoru. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się do mnie. - No, warto było spróbować. Drażliwa z niej osóbką.

- Nie wiedziałem nawet, że pracowałeś w Bośni - rzuciłem wyzywająco. -I to w dodatku z Jazz.
Lassiter obrzucił mnie najsurowszym ze swoich pełnych dezaprobaty spojrzeń.
- Boże, jak teraz się swobodnie rozmawia. Ciekaw jestem, czy słyszeliście kiedyś w ogóle o akcie tajemnic urzędowych. -
Napił się piwa. - Wtedy byłem jeszcze w wywiadzie armii. Ale nie sądzę, żebyś musiał znać moje całe CV, Phil.
- Nie obchodzi mnie twoje zasrane CV - warknąłem. - Chciałbym tylko być informowany o rzeczach, które mnie dotyczą.
Pamiętasz ten rajd na mulę Redę Raszida? Jazz mówiła, że już próbowałeś ją zwerbować. Czy to prawda?
- No tak, ale nie jestem chyba jej ulubionym szpiegiem. Pomyślałem, że może ty będziesz miał więcej szczęścia.
- Gdybyś mi opisał sytuację - powiedziałem - może bym i miał. Lassiter dopił piwo.
- Pewnie masz rację. Ale nic się nie stało. Lepiej już pójdę, to był cholernie ciężki dzień.
- Teraz twoja kolejka - powiedziałem zaczepnie.
- Przykro mi, stary kumplu. Następnym razem. Żona czeka. Będziemy się kontaktować.
I tyle. Jak zwykle Joemu Lassiterowi udało się zostawić mnie wściekłego i sfrustrowanego. Żyjąc w swoim mrocznym świecie, wydawał się mieć zdolność rozplywania się w powietrzu, kiedy było mu wygodnie.
W każdym razie działo się to trzy dni przed tym, jak niespodziewanie zadzwoniła do mnie Jazz.
Ranek spędziłem na spotkaniu z prawnikami od Tapsellów, usiłując ich przekonać, żeby dalej korzystali z moich usług, mimo spóźnionego raportu z wynikami śledztwa. Nie udało mi się. Po południu zapomniałem o rozczarowaniu i spisałem listę sprzętu biurowego i obserwacyjnego dla Lassitera.
Właśnie minęła piąta po południu, kiedy Kate odebrała telefon.
- Philip Mason i Wspólnicy. Mam na imię Kate, w czym mogę pomóc? Boże, jak ja bym chciał, żeby ona tego nie robiła!
Brzmiało to, jakbyśmy byli jakąś centralą telefoniczną w Indiach.
- To do ciebie - powiedziała, przekazując mi słuchawkę. - Jakaś Jasmina. Bardzo seksowny głos.
Zaskoczony sięgnąłem po słuchawkę.
- Halo.
Usłyszałem wesoły chichot.
- To twoja sekretarka, Phil? Przez chwilę mi się zdawało, że powiedziała Philip Marlow i Wspólnicy.
Uśmiechnąłem się.
- Ten detektyw Raymonda Chandlera? Nie jestem aż taki dobry.

- Zostawiłeś wizytówkę na stole w kuchni - powiedziała.
- Gapa ze mnie.
- Przepraszam. Byłam nieuprzejma.
- Miałas prawo.
- Tak, to prawda. Ale powinnam przynajmniej cię wysłuchać, dać ci wyjaśnić.
- Ciągłe możemy to zrobić - powiedziałem szybko.
- Nie, jeśli to oznacza pracę z Lassiterem.
- Nie pracowałabyś z Lassiterem, lecz ze mną - wyjaśniłem, budując most porozumienia najszybciej, jak mogłem. - To ja bym się u niego meldował, nie ty.
- W takim razie mogę być zainteresowana tym, co masz do powiedzenia. Zmarszczyłem czoło.
- Ciekaw jestem, Jazz, skąd ta nagła zmiana zdania? ' Zawahała się.
- Miałam starcie z jedną z recepcjonistek i wyszłam bez słowa.
No, nie była to najlepsza motywacja, aby zacząć nową pracę, ale tym się nie martwiłem. Może powinienem się nad tym zastanowić, lecz nie zrobiłem tego.
Umówiliśmy się na obiad następnego dnia w pubie nad rzeką w Chiswick, żeby omówić ofertę pracy. Nie brzmiała ona zbyt obiecująco - była bardzo skąpa w szczegóły. Nie wiedziałem, ile Służba Bezpieczeństwa zechce mi płacić, więc nie mogłem podać Jazz wysokości pensji, godzin pracy ani powiedzieć, czym dokładnie miałyby się zajmować.
Uśmiechnęła się do mnie znad sałatki z krewetkami.
- A więc czym mam się zachwycać, Phil?
- Będziesz pracować ze mną.
- Hm - mruknęła z powątpiewaniem. - Kiedy Lassiter skontaktował się ze mną zanim ty się pojawiłeś, mówił coś o infiltracji muzułmańskich społeczności w Wielkiej Brytanii. To coś takiego?
- Niezupełnie - odparłem. - Z tego co zrozumiałem, MI-5 nie daje sobie rady z potencjalnymi podejrzanyymi o działanie w Al-Kaidzie w Zjednoczonym Królestwie. Każą nam przyjrzeć się kilku osobom, żeby wyeliminować je z dalszych dochodzeń. Coś w rodzaju siatki bezpieczeństwa.
Jej spojrzenie nieco się rozpogodziło.
- Jeśli to pomoże zapobiec następnym próbom zamachów w Londynie, zgadzam się na taką współpracę.
- Martwi mnie tylko to, że ta praca wymaga dużo czasu, a ty się musisz opiekować córką.
Jazz wzruszyła ramionami.
- Zobaczymy. Jeśli będą dobrze płacić, wynajmę opiekunkę do dziecka. A rodzice Ricarda uwielbiają zajmować się Zoe.
- Dobrze, że ciągle masz z nimi dobre układy - powiedziałem. - Dobrze dla Zoe.

- Tak, zwłaszcza że żyje już tylko moja mama, a ona jest bardzo słaba. Dzieci powinny mieć kontakt z dziadkami, którzy je rozpuszczają. Ja żałuję, że swoich nigdy nie poznałam.

- Mój dziadek był rybakiem, łowił homary - powiedziałem. - Uwielbiałem wypływać z nim na morze. A moja babcia robiła najlepsze maślane herbatniki na świecie. Rozpływały się w ustach.

Jazz cicho się zaśmiała.

- Dobra, Phil, namówiłeś mnie na robotę, o której nie wiem absolutnie nic... Kiedy zaczynam?

- Pojutrze? Lassiter zarządził odprawę wThames House o jedenastej, dasz radę?

- No jasne.

- Wejdzimy od tyłu - powiedział Lassiter, kiedy Jazz i ja spotkaliśmy się z nim w recepcji Szpitala Westminsterskiego, położonego niedaleko Thames House, siedziby Służby Bezpieczeństwa, leżącej przy Millbank nad rzeką. - Bóg jeden wie, który geniusz wymyślił, że mamy zdradzić światu położenie siedzib dwóch naszych najbardziej tajnych organizacji!

Spotykanie się w zatłoczonych szpitalnych izbach przyjęć było trochę bardziej oryginalne niż zwyczajowy hotelowy hol, ale zasada pozostawała ta sama - zniknąć w tłumie.

Lassiter wobec Jazz zachowywał się najlepiej, jak umiał - udało mu się uścisnąć jej dłoń bez lubieżnego uśmiechu. Po krótkim powitaniu wyszliśmy za nim z budynku na Horseferry Road i, ku mojemu zaskoczeniu, przeszliśmy na drugą stronę do gmachu sądu. Jazz też była trochę zdziwiona, gdy mijaliśmy gromady oskarżycieli w perukach, eleganckich adwokatów i urzędników, policjantów i zwykłych ludzi, którzy stawali przed sądem, składali zeznania albo wypełniali obywatelski obowiązek w ławie przysięgłych. Zatrzymaliśmy się przed zwyczajnymi, drewnianymi drzwiami z napisem: „Prywatne - wstęp wzbroniony”, a Lassiter wstukał kod na klawiaturze. Weszliśmy za nim do krótkiego korytarza o ścianach w pospolitym kolorze, słabo oświetlonego pojedynczą kulistą lampą. Po kilku metrach zesliśmy po schodach, aż stanęliśmy przed drewnianymi drzwiami z elektronicznym czytnikiem kart.

- Nie dajcie się zwieść - powiedział Lassiter. - Są zrobione ze stali odpornej na eksplozje.

Po drugiej stronie przywitał nas strażnik, starszy mężczyzna o siwych włosach • rumianej cerze, siedzący za monitorem przekazującym obraz z kilku kamer przemysłowych. W kaburze na biodrze miał automatyczny pistolet.

Lassiter pokazał swoją przepustkę.

- Mam dwoje gości.

- Widzę, panie Lassiter - odparł wartownik, zaglądając do książki dziennej. -Pan Mason i panna Alagic?

- Zgadza się.

Strażnik podał nam dwa identyfikatory dla gości.

- Proszę je nosić cały czas i nie zgubić. - Czyżby w tych uśmiechniętych oczach czaiła się prawdziwa groźba? - Inaczej będziecie mieli państwo kłopoty.

Kiedy przypieiliśmy identyfikatory, Lassiter kazał nam przejść przez bramkę z wykrywaczem metali.

- Tak kontrolujemy wszystkich odwiedzających - zapewnił, a potem poprowadził nas obok małej wartowni, przez dwustronne drzwi do szerokiego korytarza, wyłożonego starymi, białymi płytkami i oświetlonego jarzeniówkami; pomieszczenie to było podobne do niektórych starszych stacji metra. Buty Jazz stukwały na betonowej posadzce. - To część starego systemu tuneli, używanych w czasie wojny - wyjaśnił Lassiter. - Są dość szerokie i wysokie, żeby zmieściła się w nich mała ciężarówka. Pod Londynem ciągną się kilometrami, zdziwilibyście się, jak wiele ich jest.

- Rozumiem - powiedziała Jazz. - A gmach sądu to oczywiście budynek publiczny.

Lassiter kiwnął głową.

- Mnóstwo ludzi wchodzi tu i wychodzi, więc nasi mogą się wślizgiwać i wymykać niezauważeni. Korzystają z frontowego wejścia, kiedy sąd jest otwarty, i tylnego po godzinach; nikt by się nie domyślił.

- Kto używa głównego wejścia do Thames House? - spytałem.

- Na pewno nie oficerowie liniowi - odparł. - Głównie sekretarki i niezbyt ważni goście. Ale w dzisiejszej sytuacji nawet to może się okazać problemem. Bardzo łatwo sfotografować kogoś na schodach przez teleobiektyw. Potem pójść za tym kimś do domu, zidentyfikować i podejść. Szantaż, przekupstwo... Jak mówiłem, sam nie wiem, który to geniusz w ogóle umieścił ten budynek na mapach.

Korytarz był długi i prosty i wydawał się ciągnąć w nieskończoność. Minęliśmy tylko dwoje ludzi, parę, idącą z przeciwnej strony, a oni nawet na nas nie zerknęli. W końcu dotarliśmy do drzwi z aluminium, prowadzących do dużej i bardzo nowoczesnej windy, która szybko i bezgłośnie zawiozła nas do serca Thames House.

Drzwi rozsunęły się z sykiem.

- Pierwsze piętro - powiedział Lassiter i wyszedł do niewielkiego, pozbawionego okien pomieszczenia o pancernych ścianach. Siedziało tu dwóch strażników za biurkiem. Sprawdzili nasze identyfikatory, a potem wpuścili nas do głównej części budynku.

Równie dobrze mogłoby to być jakiegokolwiek biuro na świecie. Szara wykładzina, różowawe ściany, wielka przestrzeń przedzielona niewysokimi ściankami, dającymi namiastkę prywatności. Uderzyło mnie, jak bardzo się to pomieszczenie różniło od nowoczesnych, lśniących, niemal kosmicznych wnętrz MI-5, przedstawianych w telewizyjnym serialu *Szpiedzy*, który od czasu do czasu oglądałem.

Lassiter zaprowadził nas do jednego z wydzielonych stanowisk.

- Mój kącik - oznajmił. Zdjął kapelusz i płaszcz i powiesił je na staromodnym wieszaku. - Czuję się tu jak kura na fermie. Za dawnych czasów miałbym dla siebie porządną małą gabinetkę.

Rozejrzałem się dookoła. Nijakie, tekowe biurko z komputerem z płaskim monitorem i trzema telefonami, a za nim na ścianie kalendarz, fotografia kobiety z dzieckiem i rozkładówka z nagą, piersiastą modelką Jordan.

- Koleżanki nie protestują? - spytałem lekko, pamiętając, jak Lassiter narzekał, że kobiety zawładnęły całym biurem.

- Protestują - odparł. - Dlatego ją tam powiesiłem. To moja prywatna przestrzeń. Chciałem to podkreślić.

Jazz zerknęła na mnie z ukosa, kiedy Lassiter wziął się do otwierania solidnej metalowej szatki na dokumenty. Wyjął z niej teczkę.

- Dobra, chodźmy do sali odpraw.

Sala odpraw znajdowała się za boksami. Była pozbawiona okien oraz, jak wyjaśnił Lassiter, codziennie sprawdzana, czy nie ma podsłuchów. Stały w niej rzędy praktycznych stołów z plastikowymi blatami, a naprzeciw nich podwyższenie z tablicami do pisania i dużym ekranem plazmowym do projekcji komputerowych.

Obok jednego ze stolików w pierwszym rzędzie stała Felicity Goodall. Odwróciła się, kiedy weszliśmy. Wyglądała świetnie w beżowym lnianym kostiumie oraz bluzce w kolorze czekolady. Jasne włosy mocno ściągnęła z tyłu głowy w kok, jakby chciała pokazać, że nie ma z nią żartów.

Obok stali dwaj mężczyźni, całkowicie do siebie niepodobni.

- Charles Houseman - przedstawił Lassiter najpierw wyższego. - Jest twoim bezpośrednim kontaktem w SIS, czyli w Tajnej Służbie Wywiadowczej, MI-6.

Mężczyzna miał po czterdzieście, był szczupły. Kręcone ciemnoblonde włosy zaczesał do tyłu znad opalonej w solarium twarzy. Kiedy leniwie się uśmiechał, pokazywał białe zęby - z pewnością koronki. Dobrze się prezentował w kremowym letnim garniturze z ręcznie obszywanymi kłapami.

- Miło mi cię poznać, Phil. - Uścisk ręki miał mocny i pewny. - A także tę uroczą damę. Jasmino.

- Siad, waruj - warknął Lassiter.

Houseman zaśmiał się cicho, patrząc Jazz prosto w oczy, jakby chciał ją zahipnotyzować.

- Jestem całkowicie do waszych usług, w dzień i w nocy. Jestem arabistą i specjalizuję się w Iraku, ale po 11 września przydzielono mnie do specjalnej grupy zajmującej się Al-Kaidą. Jeśli będziecie chcieli czegoś się dowiedzieć, dzwońcie.

Lassiter odwrócił się do drugiego mężczyzny, który nie czekał, aż zostanie przedstawiony.

Zamach na prezydenta

- Jestem inspektorem... Ian Proctor, wydział specjalny. Miło mi was oboje poznać.

W przeciwieństwie do Housemana policjant wyglądał, jakby od paru tygodni nie widział nie tylko słońca, ale nawet światła dziennego. Ciemne włosy, siwiejące na skroniach, miał zmierzwione i wyglądał, jakby nie zdążył się rano ogolić - albo w ogóle się nie kładł. Jego grafitowy garnitur był wymięty, jakby się w nim przespał, a oczy zmęczone i pełne napięcia.

- Uważajcie mnie za swojego wołu roboczego. Jestem waszym oficjalnym ramieniem sprawiedliwości, jeśli będzie wam potrzebne. Zrobię, co w mojej mocy, aby pomóc wam we wszystkim, w czym nie może MI-5 ani MI-6. Jesteśmy informowani na bieżąco o tych żartownisiach, którym się przyglądacie. Dokonujemy aresztowań oficjalnie sankcjonowanych przez Służbę Bezpieczeństwa, a jeśli zostaniecie aresztowani przez miejscową policję podczas swoich działań, wydamy was. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Ale wolałbym, żeby do tego nie doszło, rozumiecie?

Kiwnął głową.

- Doskonale. Też bym tego nie chciał. Proctor przyjrzał mi się spokojnie.

- Dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane, panie Mason, jak pan wie. Jeśli któryś z tych wesołków naprawdę należy do złego towarzystwa, a wy dacie się złapać, mogę mieć kłopot, co zrobić z trupem. A tego bym nie chciał.

- Będziemy ostrożni - zapewniła Jazz.

- Panna Alagic. - Skinął jej poważnie głową. - Służyła pani w Irlandii Północnej, prawda? Na takie kozaczenie tutaj nie ma miejsca, proszę o tym pamiętać.

- Wierz mi, Ian - wtrąciła Felicity Goodall. - Jestem pewna, że panna Alagic i Phil wiedzą co robią inaczej nie zaprosilibyśmy ich do współpracy.

Proctor jakby trochę się zawstydział.

- Tak, panno Goodall, na pewno ma pani rację. Jestem zmęczony i trochę drażliwy, to wszystko. Przepraszam.

Dotknęła jego ramienia.

- Nic się nie stało. I proszę mi mówić Felicity. Na pewno ma pan dużo pracy przy takiej aktywności terrorystów.

Proctor kiwnął głową i ponuro się uśmiechnął.

- A do tego nowo narodzony syn. Wczoraj w nocy była moja kolej po dwóch zmianach z rzędu.

- Gratulacje - powiedział Lassiter obojętnie. Felicity spojrzała na Housemana.

- Chas, może przedstawisz sytuację? Tylko zwięźle.

- Z przyjemnością- odparł wywiadowca z MI-6. - Jak na pewno wiecie, człowiekiem, który rzekomo stoi w centrum tego, co można opisać jako współczesny dżihad, czyli świętą wojnę, jest Osama bin Laden.

- Czy Bed Linen*, jak niektórzy z nas na niego mówią - mruknął Lassiter, ściągnając na siebie karcące spojrzenie Felicity.

- Bin Laden, potomek bogatej saudyjskiej rodziny - ciągnął Houseman nie-zmieszany - pojechał na początku lat osiemdziesiątych do Afganistanu, walczyć z mudżahedinami przeciwko sowieckiej inwazji i został przeszkolony przez CIA. Potem on i wielu jemu podobnych zaczęli nabierać niechęci do świata Zachodu, do którego zaliczała się według nich także nowa Rosja.

Bin Laden i jego przyjaciele uważali te państwa za moralnie zepsute, bo ich społeczeństwa oddawały się seksualnej rozwiązłości, amoralnemu przemysłowi rozrywkowemu, nadużywały alkoholu i narkotyków; a wielkie korporacje przejmowały świat handlu i wyciskały ogromne zyski z najuboższych. Wszystko wbrew naukom Allacha. Na szczycie listy nienawiści znajdowała się oczywiście Ameryka, ponieważ była i jest postrzegana jako sojusznik Izraela, utrzymujący w nędzy i obozach dla uchodźców miliony Palestyńczyków.

- Trzeba im przyznać rację - przerwała Felicity. - Czterdzieści procent amerykańskiej pomocy cywilnej i wojskowej trafia do Tel Awiwu. Żydowskie lobby ma w Waszyngtonie ogromne wpływy.

Słuchałem z zainteresowaniem. Już dawno uderzyło mnie, że Stany Zjednoczone mogły wyrzucić presję na Izrael, by oddał arabskie tereny, które okupował i zagospodarowywał po wojnach z 1967 i 1973 roku. Jeśli Amerykanie w ogóle naciskali Izrael, to najwyraźniej za słabo.

- Do tego, oczywiście - powiedział Houseman - zawsze uważano, że Jankesi mieszkają na Bliskim Wschodzie, by zapewnić sobie dostęp do ropy.

Podniosłem rękę.

- Czy to nie pierwsza wojna w Zatoce była początkiem wszystkich problemów?

- Otóż to - odparł Houseman. - Choć samo najeżdżenie Kuwejtu przez Irak i wojna mniej rozwścieczyły Arabów niż fakt, że siły niewiernych Amerykanów stacjonowały w najświętszym kraju, Arabii Saudyjskiej. Bin Laden i jego ludzie zawsze nienawidzili saudyjskiej rodziny królewskiej, umizgującej się do Amerykanów, ale to była kropla, która przelała czarę.

Wypowiedziano wojnę Arabii Saudyjskiej i Ameryce jednocześnie.

- Musicie pamiętać, że grupa bin Ladena wciąż działała na terenie Afganistanu i była głęboko związana z fundamentalistycznym, talibskim rządem, który przejął władzę po wypędzeniu Rosjan - wtrąciła Felicity. - Bin Laden miał wsparcie sąsiedniego Pakistanu, zwłaszcza od wywiadu i tajnej policji.

- Niektórzy z nas uważają że siatka bin Ladena została zorganizowana w 1988 roku - ciągnął Houseman - po wyjściu Rosjan z Afganistanu. Zaczęła swoją wojnę

Nieprzetłumaczalna gra słów: Bed Linen to po angielsku prześcieradło (przyp. tłum.).

z Zachodem dość skromnie w 1992. Dwie bomby podłożono w Adenie, w hotelach, w których mieli mieszkać amerykańscy żołnierze jadący do Somalii w ramach międzynarodowej pomocy. Ale Al-Kaida zaatakowała niewłaściwe hotele i nie zginął żaden Amerykanin, za to dwie inne osoby, a siedem zostało ciężko rannych.

- Potem była pierwsza próba wysadzenia Twin Towers ciężarówką z bombą w 1993 roku i ataki na USA, w tym zamach na ambasadę w Afryce Wschodniej w 1998 i na niszczyciel USS „Cole” w 2000.

- Oczywiście, jak może wiecie, określenie organizacja nigdy nie było tu właściwe. Bin Laden i jego ludzie z Al-Kaidy założyli obozy szkoleniowe w Afganistanie, a potem nadzorowali i finansowali grupy islamskich fundamentalistów w ich krajach, zapewniając w razie potrzeby specjalistyczną pomoc i doradztwo.

- Raczej siatka? - zasugerowałem. Houseman uśmiechnął się nieznacznie.

- Dobrze powiedziane. Słowo Al-Kaida oznacza bazę. A jej operacje jeszcze bardziej przypominały działania siatki po 11 września i inwazji na Afganistan. To było jak próba zerwania pajęczyny kamieniami. Bin Laden, pozbawiony bezpiecznej kryjówki, dalej toczył swoją wojnę z nami przez Internet i satelity telekomunikacyjne, więc nie jesteśmy wcale bliżsi znalezienia go.

- Mleko już się wylało - dodała Felicity. - Bin Laden ma na całym świecie, w tym tutaj, w Wielkiej Brytanii, fundamentalistycznych islamskich duchownych, którzy nawracają młodych gniewnych muzułmanów, którzy będą służyć jego sprawie.

- Każdy muzułmanin, któremu coś się nie podobało - powiedział Lassiter - zaczął postrzegać USA jako przyczynę wszystkich swoich trosk, jakkolwiek niedorzecznie to dla nas brzmi. Po 11 września większość z nich uważała bin Lade-na za kogoś w rodzaju Robin Hooda, dlatego że tak spektakularnie uderzył we wroga.

Felicity przytaknęła.

- A inwazje USA i Wielkiej Brytanii na Afganistan oraz Irak potwierdziły tylko jego ostrzeżenia. Teraz uważają że jesteśmy równie winni, jak Ameryka.

- W tym kraju - powiedział Houseman, spoglądając na zegarek - większość rekrutów pochodzi ze społeczności muzułmańskich, ale nie tylko. Najczęściej urodzili się tutaj i wciąż mają rodziny za granicą. W arabskich państwach Afryki Północnej, na Bliskim Wschodzie, w południowej Azji, Pakistanie i Indonezji.

Jazz odezwała się po raz pierwszy.

- Czy to dotyczy ludzi, którym mamy się przyjrzeć?

- Tak, Jasmino - odparła Felicity, uśmiechając się - w dużej mierze. Zaraz do tego przejdę. - Spojrzała na Housemana. - Wiem, że ci się spieszy, Charles. Bardzo ci dziękuję.

Houseman zszedł z podwyższenia.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział, a potem spojrzął na Jazz i na mnie, choć wyraźnie skupiał się bardziej na niej. - Nie zapominajcie, dzwońcie do mnie zawsze, kiedy będziecie potrzebowali pomocy albo rady, czy gdybyście chcieli mi o czymś powiedzieć. - Podał nam dwie wizytówki. - Dzwońcie na numer biura albo na komórkę, jeśli to coś pilnego.

Kiedy Houseman wyszedł, Felicity wstała i wzięła ze stolika na podwyższeniu pilot. Nacisnęła guzik, a wielki plazmowy ekran ożył, ukazując kolorową mapę Zjednoczonego Królestwa.

- Chociaż żaden polityk tego nie powie na głos, sytuacja międzynarodowa naprawdę przybrała postać świętej wojny między chrześcijanami a muzułmanami. - Spojrzała na Jasminę ze współczującym uśmiechem. - Niestety, oznacza to, że wróg kryje się przede wszystkim w muzułmańskich, pakistańskich i bangladeskich, społecznościach w całym kraju. Ale oczywiście nie wyklucza to Arabów, północnych Afrykanów czy konwertytów pochodzących ze społeczności białych i czarnych. Obecnie w Zjednoczonym Królestwie jest ponad półtora miliona muzułmanów, a werbownicy Al-Kaidy bezlitośnie wykorzystują każdego, kto wpadnie w ich szpony. I dobrze wiemy, że potencjalnych rekrutów jest wielu. Właściwie zbliżamy się do dwóch tysięcy podejrzanych, a około dwustu obserwujemy przez całą dobę. Od 11 września udaremniono dziesiątki dużych zamachów terrorystycznych.

- Niestety - dodał Lassiter - 7 lipca jeden prześliznął się przez sieć.

- Dlaczego tak łatwo jest rekrutować te dzieciaki? - spytałem. - Zwłaszcza te urodzone tutaj? Przecież Pakistańczycy mieszkają w tym kraju od lat. Ciężko pracują prowadzą sklepy i tak dalej. Nie było z nimi nigdy żadnych problemów, aż do niedawna.

- Nie da się powiedzieć, że łatwo - sprostowała Felicity. - Dzięki Bogu niewielu jest chętnych, żeby się wysadzić w powietrze. Ale potencjalnych rekrutów nie brakuje i ich liczba wciąż rośnie. - Westchnęła. - Powód jest zastraszająco prosty. Tak jak Hindusi z Indii Zachodnich w latach pięćdziesiątych, Pakistańczycy, Banglijczycy i Hindusi przyjechali tu do pracy, bo potrzebowaliśmy ich w tkalniach bawełny i wełny oraz w przemyśle tekstylnym. W miastach, takich jak Bradford, Leicester i Birmingham, a także Londyn. Starsze pokolenia były słabo wykształcone, wielu nie mówiło po angielsku. Między nimi a białą ludnością istniał też duży rozróżnienie religijny i kulturowy i nie zintegrowali się z resztą społeczeństwa tak, jak zrobili to stopniowo czarni.

Lassiter uśmiechnął się pod nosem.

- Oczywiście mówienie o tym jest politycznie niepoprawne. Ale wszyscy pamiętamy pogromy Pakistańczyków z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych... Młodzi muzułmanie nie wyrosli w poczuciu, że są tu mile widziani. A to wrażenie pogłębia jeszcze stosunek naszych skrajnie prawicowych partii do obcokrajowców.

W miarę jak baza przemysłowa Zjednoczonego Królestwa się kurczyła - ciągnęła Felicity - sporo branż, w których pracowali muzułmanie, zniknęło. I w ten

sposób mamy wielu bezrobotnych. Często są to słabo wykształceni i zrażeni do nowej ojczyzny młodzi ludzie, wyobcowani religijnie i kulturowo, niewychodzący poza swoje rodziny i społeczności. Zwracają się więc ku narkotynom i przestępczości.

- To żyzny grunt dla werbunkowych Al-Kaidy - wyjaśnił Lassiter. - Łowią młodych w lokalnych meczetach, klubach młodzieżowych, wszystko jedno gdzie.

O ich nieszczęścia oskarżają oczywiście Jankesów, a teraz także brytyjskie władze. Opowiadają im, jak to prześladowujemy i zabijamy ich braci muzułmanów na całym świecie. Afganistan, Palestyna, Irak, bardzo skrzywiona perspektywa, ale dzieciaki chcą w to wierzyć, zwłaszcza kiedy pokaże się im makabryczne nagrania wideo przedstawiające okaleczone trupy.

- Wydaje mi się, że ludzie trzymani bez wyroku w więzieniu Guantanamo

1 tortury w Abu Ghraib też nie przysparzają nam przyjaciół - powiedziała Jazz.

Lassiter spojrzął na nią dziwnie.

- Nie, raczej nie. Werbownicy natychmiast wyciągają takie sprawy. Potem dają młodym rekrutom szansę, aby odmienili swoje życie i zemścili się w imię Allacha. Zbiera się ich w małe grupki. Chłopcy odkrywają że łączy ich wiele, i tworzy się między nimi więź.

- Trochę jak podczas przeszkolenia wojskowego - dodała Felicity - stają się małą kompanią braci, którzy chronią się nawzajem i nie chcą zawieść nowych przyjaciół. Starzy przyjaciele i rodzina powoli zaczynają im się wydawać dalecy, nawet obcy. Jeśli chłopców wysła się za granicę, do obozów terrorystycznych, więź cementuje się jeszcze mocniej.

Lassiter westchnął.

- Najsmutniejsze, że to działa.

Zaczynałem dostrzegać rodzące się właśnie problemy.

- Słuchaj, Joe, nie jestem pewien, czy to się uda. Jestem mężczyzną rasy kaukaskiej, a prawie na pewno przyjdzie nam prowadzić ścisłe obserwacje w dzielnicach etnicznych. To nie będzie tak jak w Irlandii Północnej. Guzik wiem o muzułmanach i Koranie. Nie jestem pewien, czy nawet Jazz wie.

Jazz błysnęła swoim rozbrajającym uśmiechem.

- W ostatnich latach sporo się dowiedziałam, mój mąż był bardzo religijny.

- No i widzisz - powiedziała Felicity. - Jestem pewna, że panna Alagic zaznajomi cię z podstawami. Niepraktykujących muzułmanów jest tak samo wielu jak katolików. Co do wyglądu, masz czarne włosy, ciemną cerę...

Wydawała się nie widzieć żadnego problemu.

- Nie zapominaj, że we wszystkich rejonach sąjacyś biali. Zawsze możesz odgrywać białego handlowca albo biznesmena, zależnie od sytuacji.

Wciąż musiałem mieć niezbyt szczęśliwą minę, bo dodała nagle:

- Właśnie coś mi przyszło do głowy... czy raczej ktoś. Lassitera to zaskoczyło.

- Kto? Kogo masz na myśli?
Felicity posiadała w zamyśleniu końcówkę ołówka.
- Mówią na niego chyba Ciapat... ten mały Pakistańczyk, który pracuje dla A-4, jeden z naszych obserwatorów.
- Chyba tak - powiedział Lassiter. - I co w związku z nim?
- W barze wczoraj ktoś mówił, że złamał nogę. Siedzi za biurkiem i ma tego dość. Może moglibyśmy wypożyczyć go dla Phila.
- A-4 się to nie spodoba.
- Z tego co słyszałam, myślę, że spodoba. Najwyraźniej Ciapat nie daje sobie rady z papierkową robotą i są z nim same kłopoty. Zajmę się tym, kiedy tylko tu skończymy.
Świetnie, pomyślałem, pomocnik o kulach. Nie zapowiadało się to jakoś specjalnie obiecująco.
Lassiter domyślił się, nad czym się zastanawiam; nie zdołał powstrzymać złośliwego uśmiešku.
- Dobrze, zajmijmy się twoją listą ofiar, Phil... sześcioro osobami. Chcielibyśmy, żebyś rzucił na nie okiem...
Dwa dni później Ciapat pojawił się w moim biurze w Brixton.
Kiedy otworzyłem drzwi, niewiele brakowało, a bym go nie zauważył. Mierzył ledwie metr pięćdziesiąt w czarnych, wypastowanych butach. No, w jednym bucie, bo prawą stopę miał w gipsie, nękającym w nogawce wyprasowanych nienagannie spodni granatowego garnituru. Jego biała koszula, ozdobiona krawatem zawiązanym drobnym, schludnym windsorem, wydawała się aż świecić, podobnie jak równe zęby i szeroki uśmiech na łagodnej twarzy o wielkich piwnych oczach pluszowego szczeniaka. Włosy miał czarne jak smoła, natarte żelem i zaczesane z doskonałą precyzją. Chwiał się niebezpiecznie wsparty na kulach, z wyraźną trudnością trzymając w jednym ręku wypchaną skórzaną teczkę.
- Ach, pan Phil, jak sądzę? - Z trudem utrzymując równowagę, wyciągnął wolną rękę na powitanie. - Jestem Ciapat.
- Może niech pan tego lepiej nie próbuje - powiedziałem. Uśmiechnął się ze skruchą.
- Tak, może to i racja. Na nic się panu nie przydam z obiema połamanymi nogami. A jestem panu taki wdzięczny, uratował mi pan bekon! - Kiedy zobaczył moją minę, wyjaśnił: - To taki islamski żarcik.
Odsunąłem się.
- Niech pan lepiej wejdzie.
Ciapat przekuścił obok mnie, a ja zaprosiłem go do salonu, który szybko zmieniał się w prowizoryczne drugie biuro - stał tu komplet wypoczynkowy, krzesła i poobijany stolik z jadalni. Jazz i ja spędziliśmy poranek na rozkładaniu na nim dokumentów oraz zdjęć naszych pierwszych podejrzanych.

- Wezmę to od pana - powiedziała Jazz, uwalniając nowo przybyłego od teczki. - Nie mogę na pana mówić Ciapat. Jak się pan naprawdę nazywa?
Pakistańczyk lekko pokręcił głową.
- Moje prawdziwe imię i nazwisko jest niewymawialne, nawet dla mnie! Byłem Ciapatem od małego, nawet w wojsku. Albo w skrócie Ciapem.
Uniosłem brew, zaskoczony.
- W armii brytyjskiej? Odwrócił się do mnie.
- A jest jakaś inna? Byłem wojskowym, ale jak się możecie domyślić, nie w gwardii. Służyłem w zielonych kurtkach, zycznym pułku piechoty. Niefortunnie połączonym, dzięki półgłówkom z Whitehallu.
Zaczynałem się przekonywać, że w towarzystwie Ciapata człowiek rzadko przestawał się uśmiechać.
- Jak się dostałeś do MI-5? - spytała Jazz.
- Zgłosiłem się na ochotnika do 14. Wywiadowczej - odparł. - Tak się zaczęło.
- Nie mów! - wykrzyknęła Jazz, osłupiała. - Ja też. Kiedy służyłeś?
- Od 1986 do 1988. Jazz się uśmiechnęła.
- Trochę przede mną.
- Teraz są pułkiem, wiesz?
- Naprawdę? - Słyszac to, byłem tak samo zaskoczony jak Jazz. Ciapat uśmiechnął się z dumą.
- Specjalny Pułk Rozpoznania został sformowany w 2005 roku z przeznaczeniem prowadzenia operacji na całym świecie. Ale ma w tej chwili sporo żołnierzy w Londynie. Przez to jeszcze bardziej jestem wściekły, że tkwię za tym piekielnym biurkiem! A wszystko przez jakiegoś śmiejącego chama!
Zaintrygowało mnie to. Ten niepokonany, mały wojownik elitarnych jednostek powalony przez śmiejącego chama?
- Jak to się stało?
- Przewróciłem się na przeklętej puszcze po coca-coli rzuconej na chodnik! Wyłożyłem się jak długi! - Uniósł wzrok ku górze. - Akurat kogoś śledziłem. Nie mogłem w to uwierzyć!
Jazz okazała współczucie.
- Lepiej usiądź.
Ciapat zerknął na stół, na którym leżały równo porozkładane dossier i ostrożnie manewrując, usiadł na krześle, żeby się im przyjrzeć.
- Ach, widzę, że pracujecie. Zapoznałem się z aktami tych ludzi. Na pierwszy rzut oka wyglądają na obiecujących kandydatów.
- Dlatego właśnie, jak sądzę, przekazano ich nam - powiedziałem. Ciapat pokręcił głową.

- Niech pan nie będzie taki pewny, panie Philu. Mój departament usiłuje objąć inwigilacją dwieście osób. Kilka z nich będzie knuło coś niedobrego. To może być przechwycony e-mail do przyjaciela, wychwalający jakiś terrorystyczny zamach. Albo telefon do kogoś, kto jest podejrzany o związki z Al-Kaidą. Ta szóstka może w takim samym stopniu być w coś zamieszana, jak i nie. Czasami nie oplaca się mieć zbyt dobrego wywiadu. To był błąd, jaki zrobił dawny Związek Radziecki.

- Nie widać drzew, bo zasłania je las - przytaknęła Jazz. Ciapat kiwnął głową.

- Tę szóstkę łączy to, że wszyscy są jakoś powiązani z trzema aresztantami siedzącymi w Belmarsh. Mułłą Redą właścicielem sieci restauracji, Hasanem Malikiem, albo człowiekiem, który prowadzi radykalną islamistyczną księgarnię, Abu Hedzahem. Ale, oczywiście, nawet oni mogą okazać się niewinni.

Jazz zmarszczyła brwi.

- Felicity Goodall jest jak cholera przekonana, że są Mogą być nawet powiązani z nieudanymi zamachami w Londynie i Glasgow.

Ciapat uśmiechnął się uprzejmie.

- Być może, ale nie mamy pewności, czy to wystarczy, żeby przekonać sąd - powiedział cicho. - Tymczasem naszych sześciu podejrzanych ma tylko dwa punkty styczności z oskarżonymi czy też istnieją dwa powody do podejrzeń... A na początek, wydaje mi się, że znam tego człowieka.

Wszyscy spojrzeliśmy tam, gdzie wskazywał palec Ciapata. Powiększone zdjęcie paszportowe przedstawiało uprzejmie wyglądającego Pakistańczyka w średnim wieku, o siwiejących wąsach i włosach.

- Akmal Younis - powiedziałem. - Sześćdziesiąt lat, wdowiec.

- Tak jak podejrzany Malik, prowadzi sieć indyjskich restauracji. Głównie w Londynie, ale ma też kilka w Birmingham.

- Skąd go znasz? - spytała Jazz.

- Spotkaliśmy się bardzo dawno temu. Był bliskim przyjacielem mojego zmarłego wuja. Miałem wtedy ledwie jedenaście lat, a Younis swoją pierwszą małą restauracyjkę. Zabrali mnie tam ze sobą. Wtedy pierwszy raz w życiu poszedłem z kimś zjeść na mieście. Jedzenie wydawało mi się cudowne!

- A jak Younis jest z tym wszystkim związany? - mruknąłem, zaglądając do notatek rozłożonych na stole. - Aha, to przyjaciel Wesołego Mułły, modli się w jego meczecie... a jego adres e-mailowy znaleziono na liście adresowej Malika.

- Ani jedno, ani drugie nie powinno nas dziwić - powiedział Ciapat. - Mułła Reda wygłaszał kazania w meczecie, do którego Younis chodzi od lat, a Malik prowadzi konkurencyjną sieć restauracji.

- Ale Malik jest także podejrzany o sprowadzanie nielegalnych imigrantów - zauważyłem. - Sieć restauracji to doskonała przykrywka. Może to też łączy ich obu.

Ciapat z dezaprobatą pokręcił głową.

- To bardzo pochopny wniosek, panie Philu, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Wiedziałem, o co mu chodzi, ale być może jego wspomnienia z dzieciństwa spowodowały, że nie dopuszczał takiej możliwości.

- Jakie są inne związki? - spytałem, przechodząc dalej.
- Można powiedzieć, że głównym ogniwem jest radykalna islamistyczna strona internetowa o nazwie Strażnicy Raju. Znajduje się na serwerze teologa Naweda Husajna z Syrii. Propaguje ona skrajne poglądy, potępia Izrael, Amerykę i Zachód, wychwala akty terroru i zawiera filmiki przedstawiające rzekome okrucieństwa, których siły sprzymierzone dopuszczają się w Iraku i Afganistanie. Wiemy, że finansują ją Saudyjczycy powiązani z Al-Kaidą.

Ciapat popatrzył na mnie.

- Nawed to długoletni przyjaciel mułły Redy, który, jak wiecie, zawsze s\wiał wrażenie zwolennika umiarkowania. To ta mała prawdopodobna przyjaźń zaalarmowała Felicity Goodall i zasugerowała możliwość, że Reda coś knuje.
- A strona internetowa jest powiązana bezpośrednio z księgarnią Abu He ha. Sklep wysyłkowy.

Ciapat kiwnął głową.

- Nie zapominajcie także, że Hedżah prowadzi szeroko zakrojony program grup i kółek dyskusyjnych w centrum i w północno-wschodniej części kraju... Monitorowanie strony internetowej wyłoniło dwóch kolejnych podejrzanych. Pierwszym był Leonard Fryatt.

Spojrzałem na zdjęcie młodego, czarnoskórego mężczyzny o potarganych długich włosach. Nie wyglądał na szczęśliwego.

- Lat dwadzieścia cztery - przeczytałem na głos. - Urodzony w Wielkiej Brytanii, rodzice Jamajczycy. Mieszka w przydzielonym mieszkaniu w Lewisham, w południowym Londynie.

Ciapat zajrzał do własnych notatek.

- Leo jest częstym gościem Strażników Raju i kupił wiele tytułów w księgarni Hedżaha. Brał także udział w kilku grupach dyskusyjnych.
- Myślałam, że każdy podejrzany musi mieć wiele powiązań.
- To prawda - powiedział Ciapat. - Leo figuruje także w kartotekach policyjnych jako członek Armii Allacha. To miejscowy, quasi-religijny gang młodych muzułmańskich opryszków i przestępców.

Rozważyłem to, skręcając papierosa.

- Może być z niego kawał drania - powiedziałem - ale trudno uznać, że należy go podejrzewać o terroryzm.
- Zgadzam się - odparł Ciapat - i to się tyczy także następnego podejzranego, moim zdaniem. Kobiety.

Jazz nachyliła się nad stołem.

- Huda Dahdah. - Powstrzymała chichot. - Niefortunne imię. Syryjka. Wdowa z małym synkiem. Mąż był zamachowcem samobójcą zginął w zeszłym roku w Iraku... Boże, to okropne.

_ Huda ściąga dużo zdjęć ze strony Strażnicy Raju, a także dużo filmików przedstawiających okrucieństwo i zamachy bombowe, nakręconych przez Al-Kaidę.

- Może próbuje znaleźć chwilę śmierci swojego męża - powiedziałem.

- Albo usprawiedliwić we własnych oczach to, co zrobił? - dodała Jazz. -Chce w ten sposób jakoś odzyskać równowagę.

- Możliwe - zgodziłem się. Ale przeszedłem już w tym czasie do kolejnego podejrzanego, który przykuł moją uwagę od chwili, kiedy zobaczyłem jego dossier. Przede wszystkim był Walijszym, był biały, i - jak mi się zdawało - chyba kiedyś się z nim spotkałem.

Ciapat zobaczył, że patrzę na jego zdjęcie.

- Ach, tak, panie Philu, tak myślałem, że on pana zafascynuje. David Evans.

- Dave Mohammed Evans - poprawiła Jazz. - Przeszedł na islam i zmienił oficjalnie imię w zeszłym roku po tym, jak wrócił ze służby w armii brytyjskiej w Afganistanie.

- Zdziwiające, prawda? - powiedział Ciapat. - Co mogło skłonić doświadczonego spadochroniarza, żeby zrobić coś takiego?

Pomyślałem, że chyba wiem, ale naprawdę nie miałem ochoty wracać myślą do mojej służby w tamtym kraju.

- Chyba go znam - powiedziałem niechętnie. Jazz spojrzała na mnie nad stołem.

- Mówiłeś, że służyłeś w Afganistanie - powiedziała. - Tam go widziałeś?

- Nie, nie sądzę, żeby nasze ścieżki się skrzyżowały.

- Mogę sprawdzić jego wojskową przeszłość - powiedział szybko Ciapat. -Może to panu odświeży pamięć.

- Dobry pomysł - zgodziłem się szybko.

- Gdziekolwiek go pan spotkał, Mohammed Evans najwyraźniej zna się na swoim fachu. Dawał wykłady w grupach dyskusyjnych Hedżaha. I nie mówię tu o czytaniu Koranu.

Ciapat wyjął z kieszeni małą, supernowoczesny telefon komórkowy, wystukał numer i po chwili rozmawiał z kimś w Ministerstwie Obrony.

- Załatwione - oznajmił. - Oddzwonią do mnie.

- Zostaje nam dwóch - powiedziała Jazz. - Pierwszy to księgowy, a obecnie wykładowca informatyki w Imperial College.

Egiptjanin, doktor Haszim Samir.

- Uważa się, że to on zaprojektował stronę Strażników Raju - wyjaśnił Ciapat. ~ To przyjaciel Naweda Husajna. Robił także inne strony internetowe dla członka saudyjskiej rodziny królewskiej, o którym wiadomo, że wysyłał pieniądze przywódcom Al-Kaidy.

- A więc winny przez znajomość - zauważyłem.

- Zgoda. Ale z drugiej strony, jak mówi przysłowie, można ocenić człowieka P° jego towarzystwie.

- Albo pracy? - podsunęła złośliwie Jazz.

Ale Ciapat nie skusił się na tę przynętę.

- W końcu dochodzimy do Achtara Szachida, mojego rodaka. Dwudziesto-trzyletni student doktora Samira w Imperial College. Ten młody człowiek prowadzi na uczelni własną muzułmańską grupę dyskusyjną, bardzo fundamentalistyczną i antyeuropejską. Jego adres e-mailowy został znaleziony wśród skasowanych plików na komputerze należącym do zatrzymanego księgarza. W zeszłe wakacje Szachid spędził też kilka tygodni na nauce w medresie w Lahore.

- Co to jest medresa? - spytałem.

- To religijna szkoła poświęcona studiom nad islamem. Ta konkretna medresa znana jest ze swoich radykalnych, antyzachodnich poglądów.

W tym momencie otworzyły się drzwi i pojawiła się Kate z tacą.

- Komu herbaty i herbatników z czekoladą? - spytała ze swoim zwykłym, anielskim uśmiechem.

- Och, niech mnie - zawołał Ciapat. - Jestem uzależniony od ciastek z czekoladą. Już widzę, że będzie mi się tu podobało...

Przerwał mu dzwonek komórki.

Kate naląła herbaty, a Ciapat słuchał swojego rozmówcy i pospiesznie zapisywał coś w notesie.

W końcu zamknął kłapkę telefonu i podniósł wzrok.

- Mam tu wszystkie szczegóły dotyczące Davida Mohammeda Evansa, ale chyba znam odpowiedź.

- Tak?

- W 2002 roku sierżant spadochroniarz David Evans brał udział w jednym z pana kursów w Szkole Strzelców Wyborowych Armii Brytyjskiej.

Poczułem mimowolny dreszcz, jakby strużka lodowatej wody spływała mi po kręgosłupie.

4

Był jeden z nielicznych ładnych dni kiepskiego ogólnie lata. Słońce stało wysoko i prażyło z jasnoblękitnego nieba.

Brudne, szare betonowe monolity bloków z lat sześćdziesiątych rzucały ostre cienie na otaczające je pustkowie. Puszki po piwie i plastikowe opakowania po śmieciowym żarciu zatykały rynsztoki, a foliowe torebki zaścierały trawniki, których administracji nie chciało się kosić. Nikomu to i tak nie przeszkadzało.

Zaparkowałem swojego niebieskiego transita obok rzędu garaży; ich pordzewiałe, podnoszone drzwi pokrywało nieładne graffiti. Widniał tam wstrętny, rapo-wy wiersz, nabazgrany czerwoną farbą, ociekający pogardą i jadem wobec policji,

kobiet i ogólnie cywilizowanego społeczeństwa. Widać było też zaskakująco dużo hasel namazanych arabskimi literami. Dla tych, którzy nie umieli ich odczytać, na środkowych drzwiach umieszczono czarny symbol półksiężyca i podpis: „To teren Armii Allacha - wchodzisz na własne ryzyko, niewierny!”

Opuściłem szybę i natychmiast uderzył mnie żar i smród rozkładu. Nawet zapach mocno przyprawionego, karaibskiego dania dolatujący od strony ogniska rozpalonego na trawniku nie maskował odoru psich odchodów i ludzkiego moczu; właściwie jeszcze go wzmacniał. Gdzieś wysoko potężne głośniki pompowały natrętny, irytujący rytm i niezrozumiałe słowa.

A więc to był dom Leonarda Fryatta, dwudziestoczteroletniego czarnego dealera narkotyków i miejskiego bojownika Allacha.

Przedemną znajdowało się wejście do bloku, pilnowane przez dwie dziewczyny, które opierały się o ścianę, paliły papierosy i podejrzliwie przyglądały się przechodniom. Ja je widziałem, ale one mogły dostrzec tylko prawy przód mojej kabiny. Czarna dziewczyna miała wielkie afro jak aureolę, a mikroskopijna spódniczka tak opinała jej bujne biodra, że wyglądała, jakby była przyklejona. Jej chuda, biała koleżanka przypominała żywego trupa - miała pozlepiane jasne włosy i ciemne worki pod oczami.

Minęły dwa tygodnie od pierwszego spotkania z Ciapatem w moim biurze. Postanowiliśmy przyglądać się naszym podejrzanym na zmianę. Ponieważ było nas tylko troje, Ciapat, Jazz i ja obserwowaliśmy ich po kolei, a potem porównywaliśmy spostrzeżenia. Nad Leem Fryattem zaczął pracować wczoraj Ciapat. Chociaż ograniczony do swojego samochodu, stoicko nastawiony mały agent namierzył młodego mężczyznę, kiedy ten wychodził z bloku, w którym mieszkał wciąż ze swoją owdowiałą matką Jamajką. Leo był najwyraźniej nocnym markiem, bo wczoraj wyszedł dopiero około południa, a dzisiaj rano, zanim zmieniłem Jazz, nie pojawił się w ogóle.

Leo urodził się w Wielkiej Brytanii. W szkole dużo wagarował i od młodych lat był znany policji. Jego ojciec zginął podczas rozróby w pubie, kiedy Leo miał dwanaście lat.

Nie zdobył żadnego wykształcenia i tylko raz miał jakąkolwiek pracę. Przez trzy miesiące był parkingowym, potem właściciel parkingu doniósł policji, że Leo okrada samochody klientów. Od tamtej pory był na zasiłku, choć biorąc pod uwagę, ile razy policja aresztowała go za handel narkotykami, można by uznać, że ma już zawód. Dwa lata temu spędził sześć miesięcy w więzieniu.

Ostatnio obserwowala go miejscowa policja, zajmująca się islamskim gangiem opryszków o nazwie Armia Allacha.

Leo nie miał chyba konta w banku, ale zważywszy na etos gangu nakazujący Posługiwanie się gotówką- prawdopodobnie kradzioną- to akurat nie dziwiło. Za kupione u Strażników Raju książki płacił kartą kredytową matki. Karta była

zazwyczaj zadłużona na trzysta do pięciuset funtów, a matka z trudem wiązała koniec z końcem.

Ciapatowi udało się już zidentyfikować kilka ulubionych knajp Leo, w których ten witał się, przybijając piątki z grupami przyjaciół, czarnych, ale też Azjatów i białych. Spotykał się z nimi na lokalnym skwerze, choć także w zapuszczonej kawiarni, w domu kultury lub podupadającym pubie. Zastanawiałem się, dokąd dzisiaj pójdzie.

Moje rozmyślania przerwało nagle pojawienie się w drzwiach Leo Fryatta. Był wysoki, chudy i przygarbiony. Mimo gorącego dnia na żółtą koszulkę włożył szarą sportową bluzę z kapturem, do tego dżinsy z fabrycznymi rozdarciami. Włosy zaplótł w drobne warkoczki i związał w kucyk na karku.

Przystanął na chwilę, z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie bluzy, i rozejrzał się dookoła ze złością.

- Cześć, chłopaku! - przywitała go czarna dziewczyna, szczerząc w uśmiechu szczerbate zęby. - Co u ciebie, Leo?

Biała milczała. Leo popatrzył na obie prawie z pogardą.

- W porządku, a u was?

- Spoko.

- To dobrze - powiedział. - Ale nie jesteście wcale ubrane „spoko”. Wyglądacie jak dwie kurwy. Spójrzcie na te spódniczki, prawie ich nie ma.

Biała dziewczyna prychnęła.

- Ale chciałbyś sobie popatrzeć, co, Leo? Fryatt nie odpowiedział.

- Nie macie wstydu przed Allachem.

- Allach chyba to już wszystko widział - odparła biała. - Idź się bawić z tymi swoimi muzułmańskimi kumplami wałkoniami.

Usta Leo wykrzywiły się w paskudnym grymasie.

- Nie będziesz taka pyskata, kiedy cię złapią tak ubraną.

- Och, popatrz tylko, cała się trzęse! - Biała dziewczyna odwróciła się do przyjaciółki. - Chodź, Sonia, mam dość tego palanta. Skoczmy do sklepów i strzelimy sobie po red bullu.

Młody mężczyzna popatrzył za nimi mrocznym, ponurym wzrokiem. Potei z rękami wciąż wbitymi w kieszenie, oddalił się w przeciwnym kierunku. Ruszy zarośniętym chodnikiem w stronę ścieżki prowadzącej do ulicy.

Włączyłem silnik, wrzuciłem bieg i wyjechałem do zatoczki obok wjazdu n" teren osiedla. Tam stanąłem. Wysiadłem w chwili, kiedy Leo dotarł do końca ścieżki, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Skręcił w prawo, a ja przeszedłem n drugą stronę ulicy między rzadko przejeżdżającymi samochodami, żeby iść z nim przeciwnym chodnikiem. Jeśli trzymał się schematu poprzednich dni, szedł do domu kultury albo do pubu Czarny Pies. Oczywiście, przez swoją złamaną nogę, Ciapat nie mógł wejść do żadnego z tych przybytków. Ja mogłem, ale zasta

nawiałem się, jak do cholery, dam sobie radę, kiedy któryś z kumpli Leo nabierze podejrzeń i zacznie ze mną rozmawiać. Miałem historyjkę, która mogła zadziałać. Pomysł podsunął mi inny podejrzany, Dave Evans. Zastanawiałem się, czy nie lepiej zadzwonić do mieszkania matki Leo jako pracownik telefonii albo elektrowni. Ciapat dostarczył nam parę autentycznych identyfikatorów z MI-5, więc mieliśmy kilka możliwości. Matka Lea mogła ucieszyć się z możliwości porozmawiania z nieznanym naprawiającym usterkę telefonu i poskarżyć się na syna, który wszedł na złą drogę. Z drugiej jednak strony domyślałem się, że Leo nie zwierzał się jej ze swoich co bardziej wątpliwych poczynań. Jak się okazało, nie musiałem podejmować decyzji. Leo nagle przeszedł na moją stronę ulicy i zniknął. Przyspieszyłem kroku, myśląc, że wszedł do sklepu. Ale on skręcił w boczny zaułek między dwoma sklepami, biegnący za ogrodami domów.

Pozwoliłem, żeby dystans między nami trochę się zwiększył, a potem ruszyłem za nim. Daleko przed nami, w naszą stronę szła młoda biała kobieta pchająca wózek.

Wtedy, bez żadnego wyraźnego powodu, Leo obejrzał się za siebie i przez kilka sekund patrzył prosto na mnie, nie zwalnając jednak kroku. Właściwie byłem przekonany, że idzie trochę szybciej. Nie mogłem zareagować, bo bym się zdradził.

Ale z drugiej strony, może już mnie rozpracował? Nie, nie miał możliwości.

Okazało się jednak, że miał powód, tyle że nie taki, jakiego się spodziewałem. Chodziło mu o to, żeby nie wzbudzać podejrzeń kobiety z wózkami. Nagle zarzucił na głowę kaptur bluzy i zastąpił jej drogę. Zobaczyłem, jak promienie słońca odbijają się od ostrza noża.

Kobieta nagle wrzasnęła i umilkła. Nie widziałem dlaczego, bo zasłaniał mi Leo.

Instynktownie popędziłem do przodu. Serce waliło mi jak młotem, a mięśnie nóg protestowały przeciwko nagłemu wysiłkowi, do którego nie były przyzwyczajone. Adidasy na grubych podeszwach stłumiły odgłos moich kroków. Leo musiał myśleć, że ma o wiele więcej czasu, bo nawet się obejrzał.

Podbiegając, zobaczyłem, że napastnik przystawił nóż do twarzy dziecka. Lewą rękę wyciągał przed siebie, z otwartą dłonią a kobieta, blada z przerażenia, powoli zdejmowała z ramienia torebkę.

W ostatniej chwili Leo wyczuł, że ktoś nadchodzi i odwrócił się, ale było już za Późno. Szarpnąłem go mocno za rękę i odciągnąłem nóż od dziecka. Potem kostkami palców uderzyłem go w biceps; nagły ból sprawił, że nóż wyleciał z jego dłoni i potoczył się po chodniku. Wtedy właśnie kobieta uderzyła go z całej siły torebką w twarz. Leo sapnął i poleciał na mnie, a ja wykręciłem mu rękę za plecy. **2** nosa pociekła mu strużka krwi.

Kobieta patrzyła na mnie z otwartymi ustami. Dziękuję - mruknęła - bardzo dziękuję.

Kiwnąłem głową.

- Niech pani lepiej idzie, żeby dziecko było bezpieczne.

Nie musiałem jej tego powtarzać; oddaliła się pospiesznie, pchając wózek w stronę głównej ulicy.

Kiedy zniknęła, kopnąłem nóż daleko od nas i puściłem Lea. Padł na płot, ściskając wykręconą rękę i patrzył na mnie, skrzywiony.

- Przepraszam, nie mogłem pozwolić, abyś to zrobił - powiedziałem spokojnie.

Zmarszczył czoło jeszcze mocniej.

- A kim ty jesteś?

- Kimś, kto właśnie uratował cię przed samym sobą.

- Cholerny cwaniak, co? - prychnął. - Ale chyba nie bardzo, skoro atakujesz żołnierza Armii Allacha!

Musiał nosić kaburę przy pasku, bo kiedy ręką sięgnął pod bluzę, nagle wyciągnął pistolet. Wycelował go prosto w moją pierś.

Nie miałem nawet sekundy, żeby przekląć własną głupotę - nie sprawdziłem, czy ma inną broń - czy nawet rozważyć możliwość, że pistolet to straszak. Ale nie po raz pierwszy znalazłem się w takich opałach.

- Zapomniałeś odbezpieczyć.

Otworzył usta i spojrzał na pistolet. Wtedy wytrąciłem mu broń z ręki i chwyciłem go za ramię. Szybki skręt i krok do przodu i Leo znów rękę miał wygiętą na plecy.

- Kiepsko! - syknąłem mu do ucha. - Allah ma z ciebie taki pożytek, jak z ołowianego żołnierzyka!

- Aaaa! Boli!

- Boli? Zastanawiam się, czy nie złamać ci tej cholernej ręki.

- Proszę, proszę.

- Jeszcze jakaś broń?

Pokręcił głową i się skrzywił. Po policzkach spływały mu łzy.

- Pytałem, czy jeszcze coś masz!

- Nie!

Siłą odwróciłem go twarzą do płotu.

- Ręce na głowę! Tym razem posłuchał.

- To kim jesteś? - spytał jeszcze raz, kiedy go obszukiwałem. - Aresztujesz; mnie?

Zaśmiałem się.

- Nie jestem gliną. Nazywam się Ali Chan. Jestem tu nowy. - Odwróciłem go z powrotem twarzą do siebie. - Będziesz grzeczny?

- Jasne - powiedział i powoli opuścił ręce. - Jesteś Pakistańczykiem? Wydawał się w to wątpić, patrząc w moje niebieskie oczy.

- Ojciec Pakistańczyk, matka Angielka - wyjaśniłem szybko. - Jak się nazywasz?
- Leo - powiedział niechętnie po chwili wahania.
- Postawię ci drinka, Leo. Zmarszczył czoło.
- Dlaczego?

Przeszedłem na drugą stronę ulicy i mając go cały czas na oku, podniosłem duży pistolet. To był smith & wesson 3904 kaliber 9 mm, w żadnym wypadku nie straszak. Sprawdziłem, czy komora jest pusta, wyjąłem magazynek i schowałem broń do kieszeni.

- Bo jestem muzułmaninem - powiedziałem - i nie podoba mi się to, co robisz w imię Allacha. To była matka z dzieckiem.
- Biała chrześcijanka - odparował Leo z zaskakującą zajadłością. - Brudna i niewierząca. Koran mówi, że takich ludzi można rabować.

Pogadamy o tym przy drinku - powiedziałem cicho. - Herbata, kawa, lemoniada...

Nagle zmarszczył brwi.

- Widziałem, jak się posługujesz tą bronią. Znasz się na tym. Właśnie zaprosił mnie, żebym zagrał swoim asem.
- Walczyłem u talibów w Afganistanie. Otworzył usta jak złota rybka łapiąca oddech.
- Naprawdę?

- Idziesz na tego drinka czy nie?

Wzruszył ramionami, usiłując wyglądać na wyluzowanego.

- Jasne, czemu nie?

- Może do Czarnego Psa, jak tam jest?

- W porządku. - Zastanawiał się przez chwilę. - Mogą tam być moi kumple. Nie opowie im pan o tym, jak mi pan zabrał spluwę?

Pokręciłem głową.

- Oczywiście, że nie. Idziemy?

Wczesnopopołudniowe słońce grzało coraz mocniej. Wyszliśmy z zaułka i przeszliśmy parę przecznic do pubu. Przez całą drogę Leo z nabożnym podziwem zerkał na mnie z ukosa, bombardował mnie też pytaniami. Nie były mądre ani podchwytliwe, ale zadawał je z wielkim entuzjazmem. Ja z kolei nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby próbował mnie na czymś przyłapać, bo powiedziałbym po prostu, że byłem po przeciwnej stronie bitew, które naprawdę stoczyłem z talibami. Uważałem, że wiem wystarczająco dużo o dzikich granicach między Afganistanem i Pakistanem, by wyłgać się z wszelkich kłopotów.

- Szkoda, że nie mogłem tam walczyć - powiedział z zazdrością Leo. Doszliśmy do Czarnego Psa, zapuszczonego pubu z lat dwudziestych, usytuowanego u zbiegu dwóch zapyziałych uliczek. Miałem wrażenie, że cała okolica

Zamach na prezydenta

żyje w pożyczonym czasie, że czeka tylko na przybycie deweloperów i spychaczy. Na wahadłowych drzwiach wisiały dwie kartki z odręcznym pismem: jedna informowała, że nie wolno wchodzić z gołym torsem, druga reklamowała domowej roboty tajskie curry właściciela.

Po wejściu ze słońca wewnątrz wydawało się ciemne i przygnębiające - podło była goła, wszędzie stary niepasujące do siebie stoliki i krzesła. Kiedy mój wzr się przystosował, zobaczyłem, że w środku jest tylko garstka stałych klientó rozmawiających monosylabami o stawkach popołudniowych wyścigów.

Poczułem ulgę, że nie spotkaliśmy tu żadnych kumpli Lea, bo nie chciało żeby coś mnie rozpraszało.

Odwrociłem się do niego.

- Co dla ciebie? Zawahał się chwilę.

- Bacardi z colą może być? Uśmiechnąłem się.

- Niegrzeczny z ciebie chłopak, co? Poruszył się, skrepowany.

- Allah nie widzi człowieka w jego domu czy w lokalu.

- Kto ci tak powiedział?

- Wszyscy to wiemy.

Nie naciskałem, tylko złożyłem zamówienie.

- A dla mnie duży sok pomarańczowy z lodem. Znaleźliśmy stolik, gdzie promień słońca z odsuwane go pionowo okna rozpraszał półmrok. Leo pchnął przez stolik pudełko z tytoniem i bibułki Rizla.

- Niech się pan częstuje, panie Chan.

- A co z zakazem palenia? - spytałem.

- Niech się pan nie martwi, właściciel nie przypieprza się nigdy do Armii Allacha.

Poczęstowałem się bibułką i tytoniem.

- Urodziłeś się tutaj, w Wielkiej Brytanii, Leo?

- Aha - odparł. - Moi starzy są z Trynidadu. Tata już nie żyje.

- A więc nie byli muzułmanami? Parsknął śmiechem.

- Skąd. Cholerni baptyści.

- To dlaczego ty jesteś muzułmaninem? Leo rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt go nie podsłucha.

- Zobaczyłem światło. Były tu kiedyś na ulicy dwa gangi, oba robiły towar, 'j Wie pan, prochy i bryki. Ja należałem do Chłopaków Czarnego Psa, ten pub to nasza baza, wie pan. A potem w tej drugiej bandzie zaczął przewodzić nowy szef, muzułmanin, i grupa zmieniła nazwę na Armię Allacha. Wtedy zaczęło się robić 'ostro, no, wie pan?

_ Wojna o teren? - spytałem.

_ Aha, i to jaka - odparł, kończąc zwiąć papierosa. - Mieli spluwy.

- A twój gang nie miał?

_ Nie, jasne, że mieliśmy. Ale nie używaliśmy ich tak naprawdę. - Popatrzył na papierosa w dłoniach. - A Armia Allacha używała, niczym się nie przejmowali... nie przejmują. Stajesz im na drodze, to rozwalają ci łeb.

- A policja nic z tym nie robi?

- Gliniarze? Próbuja ale zawsze jesteśmy sprytniejsi. Kiedyś zwinęli jakichś dwudziestu naszych, ale teraz jesteśmy dla nich za duzi.

- A ty postanowiłeś się przyłączyć?

Poruszył się niespokojnie na krześle i zapalił papierosa, żeby dać sobie chwilę do namysłu.

- No tak, nie miałem dużego wyboru - powiedział w końcu. - Którejś nocy wpadli do mieszkania mojego kumpla.

Wparowali i rozebrali go do naga w obecności jego mamy. Wsadzili mu spluwę do ust i powiedzieli, że albo kumpel przejdzie na islam i dołączy do nich, albo za trzy dni wrócą i pociągną za spust.

- Wymuszona konwersja - mruknąłem.

- Inny mój kumpel się stawiał i znaleźli go potem na osiedlu w koszu na śmieci z kulką w głowie. Durny fut.

- Durny?

- Trzeba było posłuchać. Armia Allacha jest naprawdę spoko. Co zrobili dla nas chrześcijanie? Gówno. Na całym świecie chrześcijanie próbują uciskać biednych i muzułmanów, bo wiedzą że my znamy prawdę. Próbuję to wyjaśnić mojej mamie, ale ona jest ślepa i nie chce tego zobaczyć.

- Czego zobaczyć? - spytałem.

- Na przykład tego, że Biblia była przepisywana dziesięć razy i cały czas jest przepisywana. A więc nie mógł jej napisać Bóg. A jeśli nie on, to kto? To wszystko kłamstwa.

- Kto ci to powiedział?

- Jeden z szefów gangu. On się zajmuje tymi wszystkimi religijnymi sprawami. Zna Koran. Mówi na przykład, że można zabierać ludziom różne rzeczy, jeśli są chrześcijanami, bo są gorsi od psów. I można zabijać tych handlarzy narkotyków, którzy nie są muzułmanami... W ten sposób inni zaczną się zastanawiać, że jeśli zostaną muzułmanami, to może ich nie zabiją.

Leo sprawiał wrażenie, jakby uważał, że to wszystko świetny pomysł.

- Przez coś takiego sam możesz zginąć. Zabije cię inny gang albo uzbrojony gliniarz... albo podpadniesz komuś w gangu.

- Armia Allacha dba o swoich ludzi. Gdyby coś mi się stało, zajęliby się moją mamą chociaż nie jest muzułmanką. A ja pójdę prosto do raju do niebiańskich dziewic, bo zginąłbym za sprawę Allacha. Trudno o lepszy układ.

- Takie rzeczy mówią samobójcom z bombami - powiedziałem.

Leo się skrzywił.

- No i co z tego? To nie znaczy, że to nieprawda. Zanim znalazł mnie Allah, gówno miałem, nikt i nic mnie nie obchodziło, byłem nic niewartym gnojem. A teraz mam braci, tak? Mam władzę i szacunek. Nikt mi teraz nie fika.

Nie mogłem się powstrzymać.

- Dopóki ja się nie pojawiłem. Zamrugał, potem powoli się uśmiechnął.

- No tak, racja. - Przez chwilę się zastanawiał. - Ale pan jest też muzułmaninem, panie Chan. Prawdziwym muzułmaninem, zabijał pan dla Allacha. A mimo to okazał mi pan szacunek.

- Oczywiście - powiedziałem. - Bo jeśli praktykuje się islam jak należy, to" jest to religia tolerancyjna. Wiedziałaś o tym, Leo?

W jego oczach pojawiło się zmieszanie, ale nie sądziłem, że chciałby się klócić ze swoim nowo poznanym bohaterem.

- No tak, panie Chan.

Postanowiłem zmienić temat, dopóki miałem przewagę.

- A więc nigdy nie byłeś w Afganistanie? Jego twarz zastygła.

- Nie - odparł stanowczo.

To była ciekawa reakcja, jakby nagle zaczął się mieć na baczności.

- Nie chciałbyś tam pojechać? Może przejść prawdziwe szkolenie wojskowe? Wzruszył ramionami bez zbytniego entuzjazmu.

- Jasne. Ale już umiem sobie dać radę... - Uśmiechnął się nieśmiało, upuścił niedopałek na podłogę i rozgniół go podeszwą.

- Oczywiście nie tak dobrze jak pan, panie Chan.

Również się do niego uśmiechnąłem i wolno kiwnąłem głową.

- No, może któregoś dnia będziesz też tak umiał. Gdybyś kiedyś uznał, że chcesz jechać... mam znajomości.

- Tak? - Teraz jego zainteresowanie jakby trochę wzrosło.

- Jasne. - Wyjąłem z wewnętrznej kieszeni długopis i notatnik i wydarłem jedną kartkę. - Dam ci mój numer komórki, na wypadek gdybyś był zainteresowany. - Zapisałem go i pchnąłem kartkę przez stół. - Dasz mi swój?

Zastanowił się chwilę.

- Tak, czemu nie. Dam panu prywatny. Drugi jest do spraw gangu.

Kiedy przedzierał kartkę na pół i zapisywał swój numer na czystej połówce, uznałem, że młody Leo może się okazać przydatny. W kręgach wywiadowczych powszechnie wiadomo, że fanatyków z reguły najłatwiej przekabacić. To dlatego, że ich przekonania z reguły opierają się na kłamstwach i dezinformacji, a poza tym często czują ukryty strach przed swoimi szefami.

Kiedy Leo podał mi swój numer, drzwi pubu nagle się otworzyły. Sześciu czy siedmiu mężczyzn mniej więcej dwudziestoletnich weszło do środka z arogancką

nonszalancją bandy rewolwerowców z Dzikiego Zachodu. Tylko koszulki piłkarskie i baseballowe czapki psuły efekt. Wśród nich był tylko jeden biały młody człowiek o wrednym spojrzeniu i rudych włosach. Pozostali byli czarnymi lub Azjatami. Właściciel początkowo nie wydawał się zachwycony ich widokiem, ale szybko ukrył niezadowolenie i pogrążył się w ponurym milczeniu, podając im to, co zamówili. Wiedział, że nie warto się im stawiać. Stali bywalcy siedzący przy barze po cichu przenieśli się do stolików. Kiedy na barze pojawiły się drinki, gang zaczął przebierać nogami i rozglądać się po lokalu. Biały chłopak zauważył Lea, a potem, kiedy mnie zobaczył, zmarszczył czoło. Podniósł rękę na powitanie. Mój towarzysz uśmiechnął się nerwowo i pozdrowił go skinieniem głowy. Potem członkowie gangu zaczęli między sobą szeptać i po kolei zerkać na nas dwóch. Bardzo wysoki chudy Arab w koszulce Millwall i białej bawełnianej czapeczce modlitewnej zapłacił i przepchnął się przez grupę. Pozostali odsunęli się z szacunkiem. Chłopak zachowywał się jak przywódca. On też popatrzył podejrzliwie na Lea i na mnie. Dostrzegłem, że miał ziemistą cerę i rzadką chłopcę brodę. Oczy twarde i beznamiętne jak czarny marmur patrzyły spod gęstych czarnych brwi.

- Kto to? - spytałem.

- Mustufa.

Biały chłopak wyjął komórkę i podniósł ją do góry. Przez chwilę zastanawiałem się, co on wyczynia; może próbował złapać sygnał. Potem zrozumiałem, że zrobił nam zdjęcie. Nagle w Czarnym Psie zrobiło się nieprzyjemnie. Mustufa ruszył do naszego stolika. Reszta gangu szła za nim. Uśmiech Lea zbladł, a on sam poruszył się niespokojnie na krześle.

- Cześć, Mustufa.

Młody Arab zignorował powitanie i mnie. Wpatrywał się w Lea.

- Kto to?

- Pan Chan - odparł pospiesznie Leo. - To mój... ee... przyjaciel. Pomyślałem, że trochę mu ułatwię, i wyciągnąłem rękę.

- Ty musisz być Mustufa. Miło mi cię poznać.

Mustufa dalej nie zauważał ani mnie, ani mojej dłoni. Patrzył w dalszym ciągu na Leo.

- Nie widziałem go tutaj. Nie jest stąd.

- Nie. Dopiero dzisiaj go poznałem. Jest tutaj nowy. Mustufa wolno pokręcił głową z oczywistą dezaprobatą.

- Dopiero go poznałeś i tu go przyprowadzasz. Plotkujecie jak dwie stare baby.

- On jest w porządku - wybełkotał Leo. - To muzułmanin, Pakistańczyk. Mustufa zerknął na mnie przelotnie z ukosa.

- To nie jest Pakistańczyk.

- W połowie - dodałem szybko, mając nadzieję oddalić starcie.
- On mi wygląda na glinę - stwierdził Mustufa.
- Nie, nie - bełkotał Leo - to bojownik. Walczył dla talibów w Afganistanie.
- Tak ci powiedział? - odparł z pogardą Mustufa. - Zanim przyprawisz tu kogoś obcego, masz mnie najpierw spytać. Jasne?
- Tak, tak, oczywiście. - Leo próbował uśmiechnąć się przymilnie. - Przepraszam, to się już więcej nie powtórzy.
- Nie, nie powtórzy - powiedział Mustufa i wyprostował się. Potem, po raz pierwszy, odwrócił się do mnie.
- A teraz zobaczmy, czy pan Chan jest takim wojownikiem, za jakiego się uważa...
Rzucił się na mnie z szybkością kobry, tak błyskawicznie, że ledwie zauważyłem błysk ostrza noża w jego prawej ręce, kiedy lewą chwycił mnie za kołnierz koszuli i przyciągnął nad stołem do siebie.
Jego twarz znalazła się bardzo blisko mojej, tak blisko, że widziałem pory przetłuszczonej skóry Mustufy i każdy włosik brody, którą usiłował zapuścić. Ale bardziej interesował mnie kłujący pod brodą czubek noża.
- A więc, panie Chan, gliniarz czy zabójca dla Allacha? - syknął Mustufa. W jego oddechu poczułem tani płyn do płukania ust.
Spojrzałem mu w oczy i uśmiechnąłem się.
- *Allach akbar* - powiedziałem cicho. Bóg jest wielki. - A więc ty jesteś wodzem jego armii? Założę się, że się cieszysz, mając cię po swojej stronie.
Po raz pierwszy dostrzegłem coś w tych zimnych jak kamyki oczach, może ciekawość, może niepewność? Dlaczego się nie wrywałem, dlaczego się nie bałem? Potem zauważył powolny ruch mojej ręki i zerknął w dół, w samą porę, by zobaczyć lufę automatycznego smith & wessona Leo unoszącą się między nami, dopóki nie znalazła się pod jego brodą.
- Rzuć nóż, chojraku - powiedziałem cicho - albo upieprzę ci łeb. Natychmiast uchwyt na moim kołnierzu zelżał, a broń ze stukiem upadła na stół. Przyszła moja kolej na szybkie działanie - złapałem prawy nadgarstek Mustufy i wyskoczyłem zza małego stolika, żeby mu wykręcić ramię za plecy. Członkowie gangu mimowolnie cofnęli się o krok, kiedy zobaczyli pistolet przyłożony do jego skroni.
Właściciel spojrzał w naszym kierunku, spostrzegłszy gwałtowne poruszenie.
- Hej, co to ma być, do cholery...!
- Nic się nie martw, już nie palimy. Przynies mi klucze do frontowych drzwi, ale już! - warknąłem. - Chyba że chcesz mieć zakrwawioną całą podłogę!
Zawahał się, wytrzeszczając oczy.
- Już! - krzyknąłem - Albo następna kulka będzie dla ciebie!
To wystarczyło, żeby właściciel ruszył swoje ciężkie, obwisłe cielsko szybciej niż kiedykolwiek. Podniósł klapę baru i wybiegł z za niej.

- Zamknij drugie drzwi i czekaj na zewnątrz!

Kiwnął głową, a ja zacząłem się wycofywać do podwójnych wahadłowych drzwi, wciąż ściskając Mustufę i trzymając pistolet przy jego skroni. Dałem ostatni krok na światło dnia i wepchnąłem pistolet do kieszeni kurtki.

- Klucz! - zażądałem od barmana i wyciągnąłem rękę.

Kiedy tylko znalazł się w mojej dłoni, pchnąłem Mustufę z powrotem do pubu. Potknął się i upadł, a rozpęd sprawił, że pojechał spory kawałek po podłodze i wyładował bezwładnie u stóp swojej potężnej, a teraz całkowicie zdemoralizowanej armii.

- Do zobaczenia, Leo! - zawołałem, zatrzasnąłem drzwi i przekręciłem klucz w zamku.

Barman gapił się na mnie ze zdumieniem i złością.

- Kim ty jesteś? Gliną?

Postukałem się w bok nosa, nagle przepelniony radością czując kopniaka adrenaliny wywołanego tym, że cudem udało mi się wyrwać z opałów.

- Nie, Batmanem.

Ale nie miałem czasu nurzać się w samozadowoleniu. Gangowi Mustufy mogło zająć ledwie kilka minut, czy nawet sekund, wyważenie drzwi albo znalezienie innego wyjścia z pubu. A jeśli Leo mówił prawdę, niektórzy na pewno mieli pistolety i nie wahałoby się ich użyć.

Skręciłem w najbliższą boczną uliczkę. Biegłem tak, że z trudem łapałem oddech. Kompletnie nie miałem kondycji.

Kiedy w końcu dotarłem do mojej furgonetki zaparkowanej na słońcu, dosłownie kuśtykałem.

- Co pan zrobił? - wykrzyknął Ciapat.

Siedziałem przy stole naszej małej „sali operacyjnej” w moim mieszkaniu z Ciapatem, Jazz i Kate.

Wzruszyłem ramionami i napiłem się schłodzonego piwa z butelki.

- Wydawało mi się wtedy, że to dobry pomysł. Dalej mi się tak wydaje.

- Praca w MI-5 nie polega na ulicznych rozróżkach - upomniał mnie Ciapat, kręcąc głową.

- Phil nie mógł pozwolić, żeby Leo obrabował tę kobietę z dzieckiem - wtrąciła Jazz.

- Ten incydent przełamał lody - powiedziałem. - Dał mi szansę wykorzystania wymyślonej historyjki.

- Pójście do tego pubu było strategią wysokiego ryzyka - nie ustępował Ciapat.

- Nie wiedziałem, że pojawiają się tam jego kumple - odparłem - i że zareagują tak wrogo.

Ciapat wciąż kręcił głową.

- A do tego groził pan gangowi bronią! To się nazywa dyskretny wywiad.

71

- Nie była nabita.

- A co wiadomo o Leu korzystającym ze strony Strażników Raju? - spytała Jazz.

- Dopiero się poznaliśmy, nie miałem jak poruszyć tego tematu - odparłem. -W każdym razie wydaje mi się, że korzystają z niej ci wszyscy chuligani... jeśli mają komputery. Nie sądzę, żeby Leonard Fryatt był niebezpiecznym terrorystą. To dość smutne. Niewykształcony, jest ofiarą współczesnego społeczeństwa, wydaje mu się, że znalazł w życiu cel. Ma teraz odrobinę władzy.

- I pistolet - dodała bystro Kate.

- Wszyscy je mają - odparłem z lekceważeniem. - Właściwie pomyślałem, że można by zmienić młodego Lea w agenta pracującego dla nas.

Ciapat wytrzeszczył na mnie oczy.

- Oszalał pan? Mamy przeprowadzić dyskretne rozpoznanie, a nie werbować siatkę szpiegowską.

- Myślałem, że spodoba ci się ten pomysł - stwierdziłem. - Powiedziałem mu, że mam znajomości i że mogę załatwić mu szkolenie w Afganistanie. Ty mógłbyś być tym kontaktem.

- Coraz gorzej z każdą chwilą. Zaprzeczyłem.

- Kiedy rozejdzie się plotka, szybko się dowiemy, kto w tym gangu ma poważną motywację. A jeśli ktoś z nich był już powiązany z Al-Kaidą oni też zechcą wiedzieć, co się dzieje.

Jazz uważnie słuchała.

- Lassiter mówił, że gang ma swoje podgrupy i kontakty w większości muzułmańskich społeczności w Królestwie. Nie widzę, w czym to może zaszkodzić.

Ciapat wciąż był nieprzekonany.

- Cóż, będzie pan postępował tak, jak pan uważa za stosowne, ale uważam, że lepiej, gdyby się pan trzymał wyznaczonych obowiązków.

- Kazano mi działać według własnego rozeznania. Jestem skłonny pociągnąć to i zobaczyć, co się wykluje.

Jazz pocieszająco poklepała Ciapata po ramieniu.

- Nie martw się, Phil wie, co robi. Nie będzie głupio ryzykował.

Miałem nadzieję, że naprawdę wiem, co robię, a nie próbuję improwizować. Ale teraz, kiedy załatwiliśmy już sprawę Leo, chciałem się dowiedzieć, jak Ciapat i Jazz poradzili sobie ze swoimi podejrzanymi.

- Co się działo z właścicielem ulubionych indyjskich restauracji Ciapata? - spytałem Jazz.

Kątem oka zobaczyłem, że Ciapat robi nagle ponurą minę. Wciąż tego jeszcze nie przeboleał. Chciał znowu spotkać przyjaciela swojego zmarłego wuja i uważał, że nawiązałyby z nim naturalne porozumienie. Ale Jazz upierała się, że starszy mężczyzna prędzej da się skusić jej kobiecym wdziękem. Biorąc po uwagę naszą

przeszłość i moje doświadczenia z nią, musiałem się z tym zgodzić. Poza tym uważałem, że przez swoje rodzinne związki z Akmalem Younisem Ciapat może być mniej obiektywny. Osiągnęliśmy kompromis - Ciapat obserwował go przez kilka dni, próbując ustalić schemat tego, gdzie Younis chodził i z kim się spotykał, tak jak to zrobił z Leonardem Fryattem. Potem wkraczała Jazz z dokładniejszą inspekcją- w tym przypadku całkiem dosłownie.

- Younis był po prostu słodki - oznajmiła. - Uroczy starszy pan, stuprocentowy dżentelmen, niezwykle miły. Aja przyszedł do niego jako inspektor sanitarny! Trzeba przyznać, że kuchnia restauracji w północnym Londynie, którą odwiedziłam, była nieskazitelnie czysta. Powiedział, że jestem najmilszym inspektorem, jakiego spotkał.

- No pewnie - potwierdziłem.

- Zaprosił mnie nawet na obiad. I to cholernie dobry.

- Mówiłem - mruknął ponuro Ciapat. - To mój obiad pani zjadła, panno Jazz, więc się cieszę, że pani smakowała!

- Ale nie było łatwo - tłumaczyła Jazz - bo znał mułkę Redę i swojego konkurenta Hasana Malika, a oni obaj siedzą w Belmarsh. Wywahałby podstęp. Dlatego powiedziałam, że jestem muzułmanką i że przeniosłam się tu niedawno z Birmingham. Powiedziałam, że znam Redę z tamtejszego meczetu i chciałabym znaleźć tak doskonałego imama w północnym Londynie.

- Wspominał o aresztowaniu Redy? - spytałem.

- Nie, aja nie zauważyłam żadnej gwałtowniejszej reakcji.

- A którego mułkę polecił?

- Jednego z Finchley, ale sprawdziłam go i wydaje się umiarkowany.

- Reda też miał taki być - przypomniał Ciapat.

- Ale, co ciekawe - dodała szybko Jazz - kiedy rozmawialiśmy o jego branży i zawodzie, wspominał o Maliku. Powiedział, że to okropne, że go aresztowano i że według niego to wszystko okaże się wielkim nieporozumieniem.

- A więc się przyjaźnią? - spytałem.

- Myślę, że są raczej znajomymi po fachu i przyjaznymi konkurentami. To by tłumaczyło, dlaczego jego adres e-mailowy był w komputerze Malika. - Jazz się uśmiechnęła. - Moim zdaniem Younis jest mało prawdopodobnym podejrzanym. Chyba możemy go bezpiecznie skreślić z listy.

Tak samo jak Leo, Akmal Younis wydawał się kolejnym ślepym zaułkiem. Byłem niemal rozczarowany - bez sensu, bo mieliśmy bezpiecznie eliminować pomniejszych podejrzanych i oszczędzać MI-5 czasu, zasobów i pieniędzy.

Spojrzałem na Ciapata.

- Śledziłeś Younisa przez kilka dni. Zauważyłeś jakieś prawidłowości?

- Jego żona zmarła trzy lata temu i teraz mieszka sam z psem, czarnym labradorem. Ładny dom, ale mały. Na pewno stać by go było na coś większego i bardziej okazałego, gdyby zechciał. - Ciapat nie musiał zaglądać do notatek. -

Codziennie rano, za piętnaście ósma, wyprowadza psa na spacer. Potem jedzie do biura w restauracji Duch Indii, to jego najbardziej okazały lokal w Hampstead. Albo odwiedza jakiś inny. Pies wszędzie jeździ z nim. Późnym popołudniem znów wyprowadza go na spacer, bez względu na to, gdzie jest. Potem je kolację w którejś ze swoich restauracji i jedzie do domu. W te dwa dni, kiedy go obserwowałem, wracał przed dziesiątą. Światło gasił o jedenastej.

- Warto to ciągnąć? - spytała Jazz. Wzruszyłem ramionami.

- Trudno powiedzieć. Działamy na oślep. Ale powinniśmy kontynuować obserwację co najmniej przez weekend. Wtedy jego plan dnia może być zupełnie inny, bardziej towarzyski.

Kate zajrzała do harmonogramu.

- Ciapat ma śledzić Younisa jutro, w sobotę.

- Pasuje ci to, Ciapat? - spytałem. Uśmiechnął się pogodnie.

- Nie mam żadnych planów.

- A Jazz ma spróbować nawiązać kontakt z tą Syryjką - przypomniała Kate. - Panią Hudą Dahdah.

- Ach, tak - powiedziała z namysłem Jazz. - Żoną zamachowca, który zginął w Iraku. Będę musiała bardzo uważać. Nie pali mi się do tego, przyznam.

- Dasz sobie radę - zapewniłem ją.

- A ty, szefie - powiedziała Kate - przyjrzyj się Dave'owi Evansowi. Kiwnąłem głową ale wciąż ogarniały mnie wątpliwości. Były spadochroniarz,

który przeszedł na islam po służbie w Afganistanie i brał teraz udział w teologicznych grupach dyskusyjnych, dzieląc się swoim wojskowym doświadczeniem. Znaliśmy się - przelotnie - ale nie miałem wcale pewności, jak mnie powita.

Ale to miało być dopiero jutro.

Zerknąłem na zegarek. Minęła już piąta.

- Ktoś ma ochotę na drinka? - spytałem.

- Ja muszę kuścić do domu - powiedział Ciapat. Dowiedziałem się, że jego żona nie znosiła gotowania, a on nie znosił tego, co gotowała, więc idealnie się porozumieli. On gotował, ona jadła.

- Ja chcę wieczorem wpaść do stadniny i pojeździć - powiedziała Kate.

- Wygląda na to, że jestem twoją ostatnią nadzieją - stwierdziła Jazz.

- A co z Zoe?

- Ona nie pije - odparła przekornie Jazz. - Poza tym ma dzisiaj kółko baletowe. Muszę ją odebrać dopiero o siódmej.

Kilka minut później, kiedy spacerowaliśmy razem w popołudniowym słońcu, uświadomiłem sobie, że nie spędziłem z nią ani chwili sam na sam, odkąd znówu zaczęliśmy razem pracować.

- I jak ci się podoba praca prywatnego detektywa? - spytałem.

- Szczerze? Zmarszczyłem brwi.
- Oczywiście.
Roześmiała się z mojej zatroskanej miny.
- Nie martw się, bardzo mi się podoba! Świetnie jest być gospodynią domową i mamą, ale już zapomniałam, jakiego kopa potrafi dawać ta praca.
- Irlandia Północna to nie jest - powiedziałam.
- Na takie rzeczy jestem już chyba za stara. To, co robimy, jest dla mnie wystarczająco ekscytujące, a pieniądze bardzo się przydadzą.
- Nie wspominając o uroczym towarzystwie - powiedziałam urażonym tonem.
- Oooh. - Wzięła mnie pod ramię i popatrzyła w oczy. - Towarzystwo jest tak samo przyjemne jak zawsze, Phil. Dobrze znów z tobą pracować.
Dotarliśmy do pubu. Był trochę zaniedbany, ale miał sympatycznego właściciela, który piekł doskonałe placki, posiadał także przyjemny, choć nieco za duży ogródek piwny z dwoma starymi, sękatymi jabłoniąmi.
Kupiłem piwo i J20 dla Jazz i zaniósłem je do stolika.
- Naprawdę nie pijesz nic mocniejszego?
- Ricardo, mój mąż, był bardzo rygorystyczny pod tym względem i nie podobało mu się, kiedy piłam - odparła. - Przyzwyczaiłam się. A teraz już tego nie potrzebuję. I dobrze mi z tym.
Uśmiechnąłem się.
- Pamiętam, że w Bośni nieźle tankowaliśmy.
- Tak działa na człowieka życie na krawędzi - powiedziała i podniosła szklankę. - Zdrowie. Za odrodzoną przyjaźń.
Boże, nagle dotarło do mnie, jaka ona wciąż jest piękna. Długie czarne włosy rozsypywały się na ramionach jej białej bawełnianej bluzki, a kuszące oczy o długich rzęsach patrzyły na mnie znad krawędzi szklanki.
Przypomniałem sobie, jak bardzo przybita i zmęczona mi się wydawała, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy po latach, ale teraz robiła wrażenie szczęśliwszej i bardziej zrelaksowanej.
- Za nas - powiedziałam.
- Za nas - powtórzyła cicho.
- Często o tobie myślałem. Zastanawiałem się, gdzie jesteś, co robisz. Chciałem cię szukać.
- Dobrze, że tego nie zrobiłeś.
- Za dobrze zatarłaś ślady. Odstawiła szklankę na stół.
- Lepiej, żeby sprawy biegły swoim naturalnym torem.
- A teraz? - spytałem, starając się rozegrać to na luzie.
- Sprawy potoczyły się swoim torem, czy nie tak, Phil? Los znów nas ze sobą zetknął.

- To znaczy?

Wiedziałem, że nie powinienem naciskać. Odchyliła się do tyłu.

- Tylko tyle. Zobaczmy, co z tego wyniknie. Pożądałem jej, wiedziałem o tym. Mijające lata niczego nie zmieniły. W wyo' razni widziałem jej nagie ciało pode mną jej jęki, niepohamowany śmiech i dzi rozkosz. Jakby ciepła i parna bryza łagodnie rozwiąła błękitne mgły czasu - nagi poczułem się, jakby to było ledwie wczoraj. Jazz wydawała się czytać w moich myślach, jak zwykle. Nachyliła się znów do przodu i położyła mi dłoń na nadgarstku.

- To nie jest odrzucenie, Phil. Na razie to w ogóle nic nie jest. Teraz w moim życiu najważniejsza jest Zoe.

Miałem już powiedzieć „oczywiście”, kiedy moja komórka zaczęła wygrywać swoją irytująco skoczną melodyjkę, niweczając nastrój chwili. Naprawdę mus rozgryźć, jak ten dźwięk, do cholery, zmienić, pomyślałem i podniosłem telefony do ucha.

- Cześć - usłyszałem niski, męski głos. - To ja, Leo. *Allach akbar*!

- Cześć, Leo, co u ciebie? - odparłem. Jazz uniosła brwi, zaskoczona i zaci kawiona. - Mam nadzieję, że twoi przyjaciele nie robili ci za dużo kłopotów, kie dy wyszedłem.

Leo się zaśmiał.

- Nie, człowieku, było spoko. Zaimponował im pan. Nic nie mówili, ale prze żyli niezły szok. Reputacja Mustufy trochę się sypnęła, ale moja jest nieruszona Mam chyba nawet trochę większy szacun.

- To dobrze - powiedziałem. Chciałem, żeby to Leo pierwszy coś zaproponował.

Zapadła niezręczna chwila ciszy.

- Zastanawiałem się, czy moglibyśmy znów się gdzieś spotkać?

5

Następnego ranka, w sobotę, wcześniej wyszedłem z domu. O piątej rano ulice były dość puste, więc szybko znalazłem się w Leicester, gdzie w kawalerce mieszkał Dave Evans. Niebo się zachmurzyło, wywołując efekt przykrywki na patelni. W starej furgonetce było gorąco i lepko. Zatrąknęłem do wygod porządnego, klimatyzowanego samochodu. Podczas jazdy miałem możliwość zastanowić się nad tym, jak najlepiej podejść Lea. Obiecałem, że się z nim znów spotkam. Nie chciałem jednak marnować na niego zbyt wiele czasu, gdyby jego koledzy z Armii Allacha okazali się takimi samymi pospolitymi opryszkami jak on. Ale według policji gang dawno już działał

poza Londynem, jego macki sięgały aż do Bristolu, Midlands i Yorkshire. A więc możliwości było mnóstwo. Jednak za każdym razem, kiedy zaczynałem koncentrować się na Leo, moje myśli uciekały do Jazz. A często nie miałem siły woli ani ochoty, aby je powstrzymać. Nie chciałem ryzykować naciskania jej za mocno czy za szybko. Ponieważ widzieliśmy się codziennie w pracy, uznałem, że czas mi sprzyja. Tak jak podczas łowienia grubej ryby, należało wyczekać na odpowiedni moment i miejsce, mieć nieskończoną cierpliwość i wolno ściągać linkę.

Kiedy dotarłem do przedmieść Leicester, ruch zaczął szybko gęstnieć - wszyscy chcieli prawdopodobnie jak najszybciej zrobić zakupy, żeby nie tracić niespodziewanie ciepłego popołudnia. Później, domyśliłem się, podmiejskimi uliczkami zawładnie zapach węgla drzewnego i palonego mięsa, kiedy ojcowie rodzin przypuszczą swój jedyny w roku szturm na bastion gotowania.

Kiedy jednak znalazłem się w zaniedbanej okolicy, gdzie mieszkał Dave Evans, odniosłem wrażenie, że grille będą tu rzadkie. To była zapuszczona kraina kawalerek w wysokich, przerobionych edwardiańskich domach, zostawionych na pastwę żywiołów przez nieobecnych właścicieli, zainteresowanych jedynie cotygodniowym zbieraniem czynszu. Tu człowiek się przeprowadzał, kiedy opuściło go szczęście i nie miał się gdzie podziać.

Znalazłem miejsce do zaparkowania, z którego widać było dom Evansa. Przez kieszonkową lornetkę przyjrzałem się budynkowi. Ceglane powierzchnie wymagały nowych spoin, z drzwi wejściowych zniszczyło się tyle farby, że nie dało się określić ich pierwotnego koloru. W oknach, które wyglądały, jakby nikt ich nie mył od lat, wisiały brudne zasłony. Kiedy zacząłem obserwować pierwsze piętro, zasłony nagle się rozsunęły. Nagi od pasa w górę mężczyzna zaczął się mocować z unoszonym oknem. W końcu udało mu się je otworzyć; wychylił się, żeby rozejrzeć się po ulicy i zaczerpnąć świeżego powietrza. Jego twarz niczym się nie różniła od tej na zdjęciu leżącym na fotelu pasażera obok mnie. Ściągnięta, o zapadniętych oczach; szczeciński podbródek zmienił się w krótką czarną brodę. Niemyte długie włosy były ściągnięte w kucyk.

Usiadł na parapecie w spodniach od pizamy, z kubkiem czegoś gorącego, i zapalił papierosa, leniwie przyglądając się przechodniom i pozornie wygrzewając się na słońcu. Po kilku minutach cisnął niedopałek na środek ulicy i wrócił do środka. Przynajmniej już nie spał, więc mogłam żywić nadzieję, że nie będę musiał spędzić pół dnia w dusznym samochodzie. Przygotowałem się na czekanie i nalałem sobie kawy z termosu, który ze sobą przywiozłem.

Okazało się, że czekałem krócej, niż się spodziewałem. Ledwie skończyłem Pić, kiedy Evans pojawił się w drzwiach budynku i zbiegł po schodach. Wypatrzyłem już jego samochód, poobijanego starego vauxhalla, zaparkowanego kawałek dalej, więc zaczętałem, aż go minął, zanim zdecydowałem dalej śledzić go Pieszko.

Wepchnąłem ręce do kieszeni dzinsów, przybierając pozę włóczenia się, którą przyjmują ludzie, kiedy nie idą w żadne konkretne miejsce, i ruszyłem za Evan-sem po drugiej stronie ulicy. Jeśli znał jakieś techniki gubienia ogona, żadnej nie zastosował. Szedł zdecydowanym krokiem, a ja przyspieszyłem, kiedy dotarł do miejscowej głównej ulicy. Zatrzymał się w spożywczym na rogu i zrobił małe zakupy. Właściciel Azjata chyba go znał i przez chwilę przyjaźnie rozmawiali, dopóki nie przerwało im pojawienie się kolejnego klienta.

Evans ruszył dalej ulicą. Stało się jasne, że to dzielnica etniczna - tanie sklepiki były obwieszane szyldami w różnych językach, nie tylko po angielsku. Wypożyczalnia płyt DVD specjalizująca się w tytułach chińskich i hollywoodzkich, sklep sprzedający rzadkie zioła i przyprawy, inny - resztki wykładzin i używane meble. Muzułmanki w czarczafach prowadziły za ręce dzieci, a wielu mężczyzn nosiło czapeczki modlitewne i inne elementy azjatyckiego stroju.

Evans wszedł w końcu do baru. Dopiero kiedy dotarłem do wejścia i zobaczyłem, że nie ma go w środku, zrozumiałem, że musiał pójść prosto na górę schodami. Na szyldzie na ścianie widniała ręka wskazująca drogę w górę, do kawiarenki internetowej Starburst na pierwszym piętrze.

Poszedłem dalej, mijając wylot najbliższej bocznej uliczki, gdzie zatrzymałem się obok antykwariatu, przerzucając kartki książek wystawionych na stoisku na ulicy. Zamierzałem przekazać położenie kafejki internetowej Lassiterowi, a on mógłby monitorować wszystkie e-maile wysyłane stamtąd przez Evansa, bo mogły okazać się interesujące.

Evans wyszedł z kawiarenki dopiero po dwudziestu minutach. Skręcił w lewo i minął mnie, idąc dalej ulicą. Kupiwszy gazetę w kiosku, poszedł do kawiarni, przed którą na chodniku wystawiono kilka stolików i krzeseł. Nie była to bynajmniej kontynentalna elegancja, ale jak na tę część Leicester trzymała całkiem niezły poziom. Stojąc po przeciwnej stronie ulicy, obserwowałem ją w odbiciu witryny sklepiku ze starzyzną dopóki Evans nie wyszedł z kawą i kanapką z jajkiem. Kiedy usiadł i rozłożył gazetę, podjąłem decyzję.

Pilnując, żeby miał mnie nieco z tyłu, na wypadek gdyby mnie zobaczył i postanowił dać nogę, przeszedłem na jego stronę ulicy i zbliżyłem się do stolików. Kiedy go mijałem, podniósł wzrok.

Natychmiast spojrzałem na niego drugi raz i stanąłem jak wryty.

- Dobry Boże, nie do wiary! Dave, prawda? E... Dave Evans? Zmarszczył brwi, w jego oczach błysnęło wyraźne zaniepokojenie.

- Pomyliłeś mnie z kimś, kolego - powiedział ostro.

Ale ja już siedziałem naprzeciwko niego przy stoliku, przyjaźnie się uśmiechając. Udając, że nie słyszałem jego pierwszej reakcji, gadałem dalej.

- Pamiętasz mnie? Phil Mason. Twój instruktor w szkole snajperów. Nigdy nie zapominam twarzy.

Trochę się rozluźnił.

- Wtedy wyglądałem zupełnie inaczej - odparł czujnie. - Dziwne, że...
- To dar. Na kursie musiałem zapamiętywać mnóstwo nowych twarzy. Mogę się przysiąc?
Wciąż się nie uśmiechnął.
- To wolny kraj.
- I mały - odparłem. - Robię teraz jako kurier. Człowiek w białej furgonetce. Właśnie zatrzymałem się, żeby coś przekąsić. I kogo spotykam? Ciebie!
W tym momencie z kawiarenki wyszła nastolatka w skąpej bluzeczce, odsłaniającej tandetny kolczyk w pępku. Zaczęła sprzątać pozostałe stoliki.
- Przepraszam, kochanie. Jest szansa na czarną kawę i kanapkę z bekonem? Spojrzała na mnie i skrzywiła się niemiłosiernie. Mój powalający urok osobisty nie podziałał.
- Tu nie ma obsługi kelnerskiej. Zamawia się w środku.
Szlag! Sądząc po zimnej reakcji Evansa, gdybym musiał wejść do środka, pewnie dałby nogę. A gdybym nie poszedł zamówić, wyglądałoby to bardzo podejrzanie.
Dlatego uciekłem się do starej, wojskowej maksymy, mówiącej, jak postępować z kobietami: jeśli nie działa na nie urok, użyj pieniędzy.
- Dam spory napiwek. Bądź aniołkiem.
Dziewczyna dopiero wtedy na mnie spojrzała. Zauważyła siedzącego obok Evansa.
- O, cześć, Mo. To twój przyjaciel?
- Można tak powiedzieć, Sal - odparł niezobowiązująco.
- W takim razie nie ma sprawy. - Na jej skrzywionej kwaśno twarzy pojawił się uśmiech. - Powiedz mu tylko, że nie jestem taka tania.
Wciąż nie patrząc na mnie, kelnerka zniknęła w środku z tacą brudnych naczyń. Odwróciłem się z powrotem do Evansa.
- Mo? Dobrze słyszałem? Nie pamiętam, żeby ktoś tak na ciebie mówił. Evans zrobił wyjątkowo zakłopotaną minę.
- Przeszedłem na islam. Wybrałem sobie na drugie Mohammed. Łatwiej się z tym żyje w tej okolicy.
Udałem, że jestem zaskoczony.
- Czytałem Koran, kiedy byłem w Afganistanie - powiedziałem. - Ciekawa rzecz. Potem inaczej patrzyłem na Arabów.
W jego oczach po raz pierwszy pojawiło się zainteresowanie.
- Służyłeś w Afganistanie?
- Aha. Właśnie dlatego postanowiłem odejść z wojska. Nie podobało mi się to, Jak sprzymierzeni zabierali się do rzeczy. Tam i w Iraku.
Evans się uśmiechnął. Był to niechętny, ponury uśmiech, ale uśmiech.
- Ja też. Szkoda, że się tam nie spotkaliśmy. Podbiłem stawkę i zaśmiałem się.
- Moglibyśmy razem zdezerterować!

- Aha, może. - Chyba dałem mu do myślenia. - Oczywiście młodzi zawsze są nakręcani, ale wielu starszych podoficerów i oficerów ma poważne wątpliwości co do niektórych rzeczy.

Zmieniłem temat.

- No i co teraz robisz?

Na jego twarzy znów pojawiła się czujność.

- No wiesz, to i tamto. Trzeba sobie jakoś radzić. Dalej się uśmiechałem.

- Tak, ale co? Ja, kiedy odszedłem z wojska, nie umiałem znaleźć sobie miej-a sca. Nie jestem pewien, czy robota kuriera jest dla mnie. Trzeba dużo jeździć *po* nocy, to zajęcie dla młodszych.

- Jestem tak jakby złotą rączką- powiedział Evans. - Wychodzę na swoje, lu-8 dzie mnie sobie polecają. Zawsze dobrze sobie radziłem z różnymi naprawami^ Moja eks o to zadbała.

- Rozstaliście się, tak jak ja ze swoją? Kiwnął głową.

- Rozwód.

Uśmiechając się współczująco, przypomniałem sobie, że w jego dossier napi-H sano „separacja”. Albo ktoś się przejęczył, albo dane były nieaktualne. Raczej 1 to drugie.

- Skoczmy po południu na piwko? - spytałem, czując, że lody powoli topnieją. 1

- Nie, jestem muzułmaninem - odparł stanowczo. - I mam zajęty dzień.

W tym momencie zjawiała się Sal z moją kawą i kanapką. Dając jej trochę *drobnych*, zastanawiałem się gorączkowo, jak przekonać do siebie Evansa.

- Jeżdżę teraz tędy kilka razy w tygodniu - powiedziałem, kiedy poszła. - Do- 1 brze byłoby się spotkać i pogadać.

Powspominać. Moglibyśmy pójść na pizzę czy 1 coś w tym rodzaju.

Jego twarde, szare oczy przez chwilę mnie oceniały.

- No, można by.

- Masz komórkę?

Podyktował numer, a ja zapisałem go na serwetce. Swoją napisałem obok i od-jB darłem go.

- Dzwoni, kiedy chcesz, Mo... wolisz, żeby tak się teraz do ciebie zwracać?

- Tak mnie tu wszyscy nazywają.

- A więc Mo. Zmarszczył brwi.

- Przypomnij mi, jak ty się nazywasz?

- Phil Mason.

- Już sobie przypomniałem. Tak, jeden z instruktorów. Raz rozmawialiśmy, na ■ popijawie w jakimś lokalu, kiedy skończyliśmy kurs.

- Szczęśliwsze czasy - powiedziałem.

80

Ten ulotny uśmiech znów się pojawił.

- Żebyś wiedział... - Umilkł, kierując spojrzenie gdzieś za moje plecy. - Musisz mi wybaczyć, Phil - dodał lakonicznie. - Mam coś do załatwienia.

Odwracając się, zauważyłem mężczyznę, który przystanął obok nas, rzucając cień na stolik.

- Dzień dobry, Mo. *Allach akbar*. - Wskazał mnie ruchem głowy. - Kim jest ten džentelmen?

Mówił kulturalnie, głosem pozbawionym prawie obcego akcentu. Ten ton pasował do drogiego, szarego jedwabnego garnituru i ciemnozielonej koszuli rozpiętej pod szyją. Włosy miał czarne, faliste i elegancko zaczesane, tak samo schludne jak najeżony wąsik nad górną wargą.

- *Allach akbar* - odparł Evans. - To jest Phil, mój stary kumpel z wojska. Wpadliśmy na siebie przypadkiem.

- Jak to miło - powiedział mężczyzna. Zastanawiałem się, czy w jego tonie nie było nutki sarkazmu. Uśmiechał się, ale jego oczy pozostawały zimne, bez żadnego wyrazu ani emocji.

Wstałem i uściśnałem mu dłoń.

- Miło mi pana poznać, panie...

- Husajn.

- Phil właśnie wychodził - powiedział szybko Evans. Wziąłem swoją napoczętą kanapkę.

- Tak, pan wybaczy. Trochę mi się spieszy. Na razie, Mo.

Odwrociłem się i poszedłem z powrotem ulicą a w głowie mi się kręciło. Husajn, Husajn, Husajn. Husajn kto? Cholera, znałem tę twarz.

- Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz, Phil?

Joe Lassiter czekał na mnie, kiedy wróciłem do biura późnym popołudniem. Jazz i Ciapat już tam siedzieli i mieli zdenerwowane miny.

- Kto cię tak zdenerwował? - spytałem, zdejmując kurtkę.

- Ty, Phil. Właśnie przeczytałem twój raport o wczorajszym spotkaniu z Leo Fryattem. Zdajesz sobie sprawę, że miejscowa policja miota się jak bezgłowy kurczak, szukając wariata z bronią?!

Uśmiechnąłem się.

- Korzystam tylko ze swojej inicjatywy, Joe.

Lassiter z oburzeniem wypiął pierś. Wyglądał jeszcze bardziej nikczemnie niż zwykle. Za szklami okularów jego oczy przypominały wielkie, mokre, suszone śliwki.

- Nie bądź taki dowcipny, Phil. Królowa Śniegu dostała szału. Mieliście prowadzić śledztwo dyskretnie. Twój cel, ten cały Leo, został nawet przesłuchany przez policję. On i jego kumple będą się teraz jeszcze bardziej pilnować. Nie to raczej chcieliśmy osiągnąć, prawda?

Zamach na prezydenta

Usiadłem i westchnąłem ze znużeniem.

- Posłuchaj, przyznaję, że nie wszystko poszło według planu, ale nie wiedzia-s łem przecież, że napadnie z nożem kobietę z dzieckiem.

- Mała była szansa, że im coś zrobi - odparował Lassiter jadowicie.

- Nie mam w zwyczaju ryzykować, kiedy ktoś trzyma nóż wycelowany w twarz dziecka - powiedziałem.

- I bardzo dobrze - powiedziała Jazz. Przy okazji pomyślałem, jak oszalamiająco wygląda w cytrynowożółtym letnim kostiumie, bardzo eleganckim. Ładnie podkreślał jej miodową cerę i przyjemnie opinał biodra.

Lassiter posłał jej miążdzące spojrzenie.

- Nie kibicuj mi tu, kochanie, i się nie wtrącaj. - Odwrócił się z powrotem do mnie. - Gdzie jest teraz nóż i pistolet?

- W Tamizie - skłamałem.

- Jezu.

- Posłuchaj, Joe - powiedziałem. - Nie było tego w scenariuszu, ale Leo widzi we mnie teraz bohatera. Myślę, że możemy to wykorzystać.

- Ach tak, teraz chcesz rekrutować własnych agentów? Zlituj się. Zdenerwowałem się nie na żarty.

- Słuchaj, kazałeś mi prowadzić te śledztwa tak, jak uznam za stosowne. Armia Allacha to duże ugrupowanie, obecne we wszystkich większych miastach. Leo może wiedzieć, czy coś planują.

- Ach tak - powiedział Lassiter - zapomniałem, że jesteś teraz świętym bojownikiem Al-Kaidy!

- No, Leo zaimponowałem. Mogę mieć dzięki temu możliwość poznania trochę lepiej jego i całego gangu.

- Zastanawiałem się nad propozycją pana Phila - odezwał się po raz pierwszy Ciapat. - Na dłuższą metę to może być bardzo przydatne. Wiem, że to nie wchodzi w zakres naszych obowiązków, ale nie możemy też trzymać Lea w odstawce, przyglądając się innym mało prawdopodobnym podejrzanym.

- Jeśli Leo nic nam nie powie - dodała Jazz - po cichu go zostawimy. Ale gdyby były jakieś wyniki, przejmie go twoje biuro, Joe.

- Widzę, że strasznie jesteście zgodni - burknął Lassiter. Uśmiechnąłem się.

- Jeśli tak to przedstawisz, Joe, Królowa Śniegu może to nawet kupi.

- W sumie, jeśli pozwolę jej myśleć, że to jej pomysł...

Kate dostrzegła sposobność, by zmienić chwilowe zawieszenie broni w trwały pokój. Wzięła ze stołu tackę z herbatnikami.

- Ktoś chętny na ciasteczko?

Kiedy Lassiter brał herbatnika, ukradkiem chowając dwa kolejne do kieszeni, obszedłem stół i wziąłem jedno dossier.

Otworzyłem je na pierwszej stronie z obowiązkową fotografią. Miałem rację, to te starannie uczesane włosy tak utkwiły mi w pamięci.

- To on - powiedziałem głośno. - Jestem pewien.
- Kto? - spytała Jazz.
- Człowiek, którego widziałem rano z Dave'em Evansem.
- Jak poszło? - zainteresował się Lassiter.
- W porządku. Udało mi się chwilę porozmawiać z Evansem. Był czujny, ale przynajmniej wymieniliśmy się numerami telefonów. Potem pojawił się ten człowiek, Nawed Husajn.
- Lassiter popatrzył na mnie z niedowierzaniem.
- Niemożliwe - powiedział z pełnymi ustami. - Nie ma go w kraju.
- Kim jest Nawed Husajn? - spytała Jazz. - Przypomnijcie mi.
- Prowadzi stronę internetową Strażników Raju - odparł Lassiter.
- Och, tak. Pamiętam. Przyjaciel mulły Redy.
- Prowadzi tę stronę z Syrii - ciągnął Lassiter. - I tam obecnie przebywa. Gdyby przyjechał tutaj, imigracja dałaby nam znać.
- Zakładasz, że podróżował pod własnym nazwiskiem - powiedziałem.
- Hm, słuszna uwaga - zgodził się niechętnie Lassiter. - Ale jego zdjęcie i personalia są na liście podejrzanych. Nie mogłem się powstrzymać.
- Może był przebrany. Lassiter łaskawie się uśmiechnął.
- To może być bardziej prawdopodobne, niż ci się zdaje. Ale można z tego wnioskować, że nie dostał się do kraju przez Heathrow czy Gatwick.
- Wyjął swój bajerancki telefon, wyszukał numer i po kilku sekundach rozmawiał ze swoim kontaktem w centrum Harmondsworth. Tamtemu zajęło ledwie kilka minut przeszukanie ponad dwudziestu tysięcy nazwisk podejrzanych o terroryzm, wyrotowców i handlarzy narkotyków, przechowywanych w komputerze Iwan. Mógł znaleźć każdego, kto przeszedł przez jeden z pięciuset brytyjskich terminali portów i lotnisk w ciągu ostatniego miesiąca.
- Lassiter skrzywił się, zatrzaskując klapkę telefonu.
- Nic. Będą musieli sprawdzić wizualnie, a to trwa.
- Wizualnie? - spytała Jazz.
- Każdy, kto dzisiaj wjeżdża do kraju, jest potajemnie fotografowany. Wszystkim zawiadują komputery, ale to nie są portrety, więc jakość jest różna. Oznacza to, że ktoś będzie musiał przejrzeć wszystkie zdjęcia co do jednego, żeby spróbować wypatrzeć naszego przyjaciela. To długa i żmudna robota bez żadnych gwarancji sukcesu.
- Ale ja jestem pewny jak cholera, że to on - powiedziałem. Lassiter przez chwilę się zastanawiał.
- Dobra, ale musimy dowiedzieć się, pod jakim nazwiskiem podróżuje.
- Może Dave Evans wie - zasugerowałem.
- Nawed został ci przedstawiony?

Kiwnąłem głową.

- Tylko jako Husajn.

- No, to by się zgadzało. Ale z drugiej strony, co drugi drań na Bliskim Wsch dzie ma na imię Husajn. A ja nie uwierzę, żeby on zdradził swoje fałszywe nazwisko komuś takiemu jak Evans.

- Albo nazwiska - dodał Ciapat. - Może używać więcej niż jednego paszpo

- Przynajmniej trafiliśmy chyba na dobry trop - powiedziałem. - Nawed H sajn tkwi w samym środku ewentualnej pajęczyny i tylko on ma prawie pewn powiązania z Al-Kaidą.

- To co tutaj robi? - zastanawiał się głośno Lassiter. - I po co spotykał s' z Evansem?

- Evans prowadził wykłady na grupach dyskusyjnych organizowanych przez księgarza Abu Hedzaha - przypomniał Ciapat. - W takich grupach spotykają się najczęściej łatwowierni młodzi ludzie.

- Leo Fryatt był na kilku takich spotkaniach w północnym Londynie - dodałem. - A więc może Evans szuka potencjalnych rekrutów dla Al-Kaidy.

- Chyba masz rację - zgodził się Lassiter. - Na pewno to możliwe. Evans poznałby chłopaka o odpowiednim potencjale.

- Chyba muszę ostro się do niego wziąć - powiedziałem. Lassiter pokręcił głową.

- Nie bądź zbyt nachalny, Phil, bo go spłoszysz. Zresztą i tak się przed tobą tak po prostu nie otworzy. Mówiłeś, że masz jego numer komórki?

- Tak. I Lea Fryatta też.

- Doskonale, daj mi je. Przepisałem oba.

- Będziemy podsłuchiwać ich rozmowy - powiedział Lassiter. - Potem załatwię u Królowej Śniegu stałą obserwację Evansa, a chłopcom z Systemu X w Oswestry każę podpiąć się pod jego stacjonarny. Jest nadzieja, że Evans zaprowadzi nas dość szybko do Naweda Husajna.

To naprawdę przerażające, że nie ma już żadnej prywatności, pomyślałem.

- Jutro ja miałem przejść Evansa - przypomniał Ciapat z wyraźnym rozczarowaniem.

- Przykro mi, Ciap - odparł Lassiter. - Zakładając, że dostanę zgodę, zespół obserwacyjny zajmie się nim jeszcze dzisiaj.

Evans jest chyba kimś ważniejszym, nie możemy ryzykować i śledzić go na pół gwizdka. Wy skupcie się na innych z listy. - Spojrzał na mnie. - Oprócz ciebie, Phil, jeśli uważasz, że możesz się do niego zbliżyć.

Kiwnąłem głową.

- Nie będzie łatwo, ale chyba warto spróbować.

Lassiter wziął kapelusz i płaszcz z krzesła. Nie wkładał dzisiaj ani jednego, ani! drugiego, ale chyba nie potrafił bez nich wyjść z domu.

- Dobra robota. Nasz pierwszy rezultat.

84

Kiedy wyszedł, ze wszystkich nas chyba zeszło trochę powietrze. Kiedy tylko trafiliśmy na coś naprawdę interesującego, odebrano nam sprawę. Wiedziałem, że zawsze tak się to odbywało, ale wcale nie czułem się przez to lepiej. Przynajmniej wciąż miałem lepiej poznać Evansa.

Przestałem myśleć o własnym rozczarowaniu i odwróciłem się do Jazz, ciekaw, jak jej poszło z wdową po zamachowcu, który zginął w Iraku.

- Skontaktowałaś się dzisiaj z panią Dahdah? Uśmiech Jazz zniknął.

- Tak, to było takie smutne. Tę biedaczkę zżera żaloba. Udawałam monterkę z telekomunikacji, która przyszła naprawić zgłoszoną awarię na ulicy. Kiedy otworzyła drzwi w chuście, powiedziałam jej, że sama też pochodzę z muzułmańskiej rodziny. Zanim się zorientowałam, już piłyśmy herbatę z miętą.

- A więc otworzyła się przed tobą? - spytałem.

- Wszystko to się z niej wylało. Płakała sobie do herbaty. Chyba nie ma w Londynie żadnych przyjaciół. Potrzebowała tylko pretekstu.

- Wspominała o mężu?

- Nie, ale zobaczyłam jego zdjęcie i spytałam, kim był.

- Powiedziała, że zamachowcem? Jazz spojrzała na mnie dziwnie.

- Oczywiście, że nie, Phil. Powiedziała, że zginął w wypadku w Iraku. Najwyraźniej nawet nie wiedziała, że tam był.

Myślała, że pojechał do Damaszku w interesach.

- Dowiedziałaś się, dlaczego odwiedzała stronę Strażników Raju? - spytał Ciapat.

Uśmiech Jazz powrócił.

- Nie mogłam o tym ot, tak wspomnieć w rozmowie. Ale zaczęłam mówić, jak strasznie Amerykanie zachowują się w Iraku. Zgodziła się ze mną. Potem powiedziałam, że chciałabym móc się jakoś dowiedzieć, co się tam naprawdę dzieje, że brytyjskim mediom nie można ufać.

- I powiedziała ci o stronie? - domyśliłem się.

- Powiedziała mi o internetowym wydaniu Al Dżaziry i Strażnikach Raju. Najwyraźniej po śmierci męża odkryła tę stronę w jego komputerze, dodała do Ulubionych. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że ona usiłuje usprawiedliwić sama przed sobą to, co on zrobił. W końcu zostawił ją z trójką dzieci. Naprawdę nie sądzę, żeby Huda Dahdah stanowiła jakiegokolwiek zagrożenie.

Kiwnąłem głową.

- Na pewno masz rację. Przesuniemy ją przynajmniej na sam dół listy. - Spojrzałem na Ciapata. - A co z twoim ulubionym restauratorem? Younis zmienił dzisiaj swój plan dnia?

- Bardzo nieznacznie - odparł Ciapat. - Jest sobota, więc pospał dłużej, zabrał Psa na spacer, nikogo nie spotkał, a potem popracował w ogrodzie. Przyjechał do

niego kurier z internetowymi zakupami z Tesco, ale poza tym nikt. W końcu wybrał się do restauracji, około szesnastej.

- Otwiera je w niedziele?

- Nie sądzę. Odwróciłem się do Kate.

- Kto według rozkładu ma jutro Younisa?

- Rozkładu? O mój Boże! - Zasłoniła dłonią usta. - Zupełnie zapomniałam. Przepraszam. Zaraz go ułożę.

Ustalenie, kto może, a kto nie może wykonać danego zadania w konkretny dzień, trwało dobre czterdzieści minut. Poza tym musieliśmy przyjrzeć się dwóm ostatnim podejrzanym na liście Lassitera: wykładowcy z Imperial College i jednemu z jego studentów.

- Muszę iść, Kate - powiedziała Jazz. - Odbieram Zoe od dziadków. Możesz mi podać później szczegóły przez telefon?

- Jasne - obiecała Kate. Jazz odwróciła się do mnie.

- Muszę się przebrać w coś swobodniejszego. Mogę skorzystać z twojej sypialni?

- Oczywiście - odparłem i zaryzykowałem uśmiech. - Już myślałem, że nigdy nie spytasz.

Wzięła jutową torbę i uśmiechając się lekko, postukała mnie pięścią w ramię, przechodząc obok.

- Chciałbyś - szepnęła prowokująco.

- Pewnie, że bym chciał.

Potem zniknęła. Ciapat sięgnął po swoje kule i z trudem wstał.

- Ja też muszę iść. Mam do przygotowania dla mojej pani prawdziwą ucztę. Kurczak po kaszmirsku.

- Brzmi nieźle - powiedziałem, myśląc, że ja pewnie zjem znów coś z puszki. To zawsze oszczędniej.

- Do ciebie też zadzwonię, Ciapat - zawołała Kate, siadając przed laptopem. Ciapat pokuśtykał w stronę korytarza i frontowych drzwi. Kiedy je otworzył, usłyszałem, że sapnął z zaskoczenia.

- Och, dzień dobry! Mogę w czymś pomóc?

- Czy mieszka tu Philip Mason? - Głos był kobiecy, surowy i znałem go aż za dobrze.

- W rzeczy samej... - odparł Ciapat i zawołał: - Panie Philu, jest tu do pana jakaś pani!

Przez krótką rozkoszną sekundę zastanawiałem się, czy zdołam dobiec do drzwi i zatrzęsnać je, zanim Nina wejdzie.

Nie ma mowy. Jak zwykle wmaszerowała do korytarza, tak że spotkaliśmy się twarzą w twarz w drzwiach biura. Była wysoka, wychudzona dietą Atkinsa, i mia

ła na sobie jakieś drogie, beżowe spodnium, którego wcześniej nie widziałem. Pasowało dobrze do jej długich i falistych ciemnorudych włosów, które zdradzały, że właśnie była z kolejną wizytą w Toni & Guy's.

Nina zawsze rzadko się uśmiechała, a już na pewno na jej przesadnie umalowanej twarzy nie było uśmiechu teraz.

- Pracujesz w sobotę?

- Jesteśmy akurat zajęci - wyjaśniłem. - Mamy dużo zleceń.

- No, źle ci się nie dzieje - powiedziała. Zauważyłem, że jaskrawoczerwona szminka rozlała się na małe zmarszczki dookoła jej ust. - Właśnie spotkałam na ulicy Joego Lassitera. Nie wiedziałam, że jeszcze się zadajesz z tą gnidą. Mówił, że dla niego pracujesz. Rozumiem, że to rządowy kontrakt?

- Takie tam drobiazgi.

Przepchnęła się obok mnie i stanęła na środku pokoju. Całkowicie ignorując Kate, rozejrzała się, a ja zobaczyłem, że ocenia nowy sprzęt biurowy, który dostarczył mi Lassiter.

- Powiedziałabym, że to bardzo opłacalne drobiazgi.

- To Brixton, Nina, nie Knightsbridge - odparowałem - a ten lokal wynajmuję z miesiąca na miesiąc.

Wydawała się tego nie słyszeć - ani nie chciała usłyszeć. Zobaczyłem, jak Kate otwiera usta, kiedy Nina obróciła się na pięcie i przepchnęła obok mnie z powrotem na korytarz, skrzyła ostro w lewo i zmusiła mnie, żebym poszedł za nią.

Otworzyła zamasyżuje drzwi do salonu i zerknęła na rozrzucone papiery, zdjęcia i mapy.

- Zawsze byłeś brudasem i bałaganiarzem - warknęła pogardliwie i ruszyła w stronę sypialni.

- Dość tego! - powiedziałem głośno. - Chcę, żebyś wyszła!

Dogoniłem ją w chwili, kiedy otworzyła drzwi. Nad jej ramieniem zobaczyłem Jazz stojącą przy łóżku, z ustami otwartymi ze zdziwienia. Balansowała niezgrabnie na jednej nodze - naga, nie licząc czarnych stringów - zmagając się z wkładaniem granatowych lewisów.

Trudno powiedzieć, które z nas trojga było bardziej zaskoczone. Mnie zaszokował niespodziewany widok jędrnych i młodzieńczych piersi Jazz, rozbudzający moje zmysły po tylu latach. Ale ten przebłysk wspomnień był bardzo krótki, bo chwyciła z łóżka bluzkę i się zakryła.

Nina stała i patrzyła oniemiała.

- Bardzo przytulnie. - Odwróciła się do mnie. - Kto to?

- Jazz - powiedziałem, chwytając za klamkę i szybko zamykając drzwi. - Stara znajoma.

Nina nie zamierzała przeproszać. Odwróciła się tyłem do drzwi sypialni. ~ Jazz? Pamiętam to imię. Jakaś dziewczyna, którą poznałeś w Bośni.

- Tak, była w wojsku, zanim wyszłaś za mnie.

- No to nie marnowałeś czasu - rzuciła uszczypliwie.
- Jazz dla mnie pracuje, to wszystko. - Nie wiedziałem, dlaczego Ninie zawsze udawało się zepchnąć mnie do obrony. Zadarła brodę.
- Zaraz mi powiesz, że się nie spotykaliście, kiedy byliśmy małżeństwem.
- Bo nie - odparowałem. - Jest mężatką i ma dziecko.
- A od kiedy to by cię powstrzymało? Postanowiłem nie dać się dalej upokarzać.
- A w ogóle co ty tu, do cholery, robisz? Jeśli masz coś do powiedzenia, powiedz to moim prawnikom.
- Próbowałam. Cały tydzień.
Zdziwiło mnie to. Ruszyłem z nią do drzwi.
- Nie odzywali się do mnie.
- Może to dlatego, że im nie zapłaciłeś.
- Co? Tak ci powiedzieli?
- Taki wniosek wysnuli moi prawnicy po rozmowie z twoimi.
- To jakaś bzdura - powiedziałem, choć prawda była taka, że z trudem radziłem sobie z nawałnicą rachunków. Nina utrudniała zawarcie ugody rozwodowej, a to kosztowało. - Kazałem Kate wysłać czek...
Doszliśmy do biura.
- Kate - zawołałem - pamiętasz ten czek, który kazałem ci wysłać dwa tygodnie temu? Ten do moich prawników?
Odwróciła się na obrotowym krześle i uśmiechnęła.
- Oczywiście, Phil, mówiłeś, że to bardzo ważne.
- Pamiętasz, jak go wysyłałaś?
- Tak, oczywiście. Skrzynka pocztowa na końcu ulicy... - umilkła. - Czy to był ten wieczór, kiedy się spieszyłam do kina?
Wziąłem głęboki oddech.
- Nie wiem. Może ty mi powiesz.
Jej uśmiech zgasł, a potem zmienił się w przepraszącą podkówkę.
- O mój Boże...
Sięgnęła do torebki i przez kilka chwil w niej grzebała. Potem wyciągnęła pomiętą kopertę, jak królika z kapelusza.
- Zamierzałam go wysłać z West Endu i...
- Zapomniałaś? - podpowiedziałem.
- Phil, przepraszam. Zabrałem jej czek i odwróciłem się do Niny, która stała z rękami skrzyżowane mi na piersi i milcząco tryumfowała.
- Mam tylko nadzieję, że to nie jest przykład tego, jak prowadzisz swoją firmę, bo inaczej nie czeka cię zbyt świetlana przyszłość.
Mogła dodać „kiedy z tobą już skończę”, ale nie dodała. Nie musiała.

Miałem dość. Położyłem jej rękę na ramieniu i lekko pchnąłem ją w kierunku wyjścia.

- Możemy porozmawiać na zewnątrz - powiedziałem. Wyszliśmy na ciepłe, letnie wieczorne powietrze.

Coś mi nie dawało spokoju, coś było nie w porządku. Nina nie chciała ze mną rozmawiać twarzą w twarz, wynajęła do tego bezwzględna panią adwokat. Skoro przyjechała aż do Brixton, to nie bez powodu.

Zatrzymałem się przy poręczy.

- To o czym chciałaś porozmawiać?

- Moja pani adwokat uważa, że powinnam mieć prawo do części twoich przyszłych zarobków.

Z trudem przełknąłem ślinę.

- Doprawdy? Dostałaś już dom i masz obiecane wysokie alimenty na Danny'ego.

Przekrzywiła głowę.

- Ale ty pracujesz, Phil, zarabiasz na życie, a ja nie. Zrezygnowałam, kiedy za ciebie wyszłam.

- Danny ma jedenaście lat - powiedziałem. - Możesz znów zacząć, choćby na pół etatu.

Nina spojrzała w niebo.

- Jestem o wiele za stara, nikt by mnie nie chciał. Musiałabym się uczyć od nowa albo robić coś upiornego. - Uśmiechnęła się słodko. - A, oczywiście, jeśli byleś związany z tą Jazz podczas naszego małżeństwa, to zmieniałoby postać rzeczy.

Teraz zrozumiałem. To był zwiad, żeby zobaczyć, jak sobie radzi moja firma, na ile można mnie szarpnąć. Znalezienie u mnie Jazz było dokładnie tym, czego Nina potrzebowała, wisienką na torcie.

- Zdradzający mąż - powiedziała, potwierdzając moje przypuszczenia - z perspektywami niezłych dochodów. Zatrudniasz już trzy osoby... Dlaczego ja mam cierpieć, kiedy ty żyjesz sobie w luksusach?

Nie zamierzałem się z nią kłócić, prawnicy mieli to i tak zrobić za nas.

- Niech twoja pani adwokat porozumie się z moimi - powiedziałem i wyciągnąłem do niej kopertę. - Bądź tak dobra i wyślij to dla mnie.

Zawahała się.

- W ten sposób będziesz miała pewność, że moi prawnicy odpowiedzą twoim w przyszłym tygodniu.

Przez jej czerwoną szramę ust przemknął uśmiech, a może to był grymas wściekłości - wzięła kopertę. Wiedziała, że ją podszedłem, a nie lubiła, kiedy podstępem zmuszałem ją żeby robiła to, co ja chcę.

Ruszyła przed siebie, a potem przystanęła i się odwróciła.

- Och, przy okazji, możesz powiedzieć tej Jazz, że jest o wiele za stara, żeby nosić stringi. Nie wypada, żeby muzeum udawało liceum.

Patrzyłem ponuro, jak **oddala** się ulicą. Kiedy odwróciłem się, żeby wrócić do środka, na schody z suterenu wyszła Jazz, przebrana już w dżinsy i bluzkę.

- Kto to, do cholery, był, Phil? - spytała, marszcząc brwi. - Twoja żona?

- Niestety, tak. Przepraszam za tamto.

- Nic się nie stało. Trochę mnie tylko zamurowało. - Uśmiechnęła się **współczująco**. - Widziałam ją tylko przez chwilę, ale robi wrażenie niezłej pily.

- Nie mylisz się - zgodziłem się. - Powinienem poprosić cię o rękę w Bośn*^ i oszczędzić sobie kłopotów.

Wciąż się uśmiechała.

- Byłam wtedy za młoda. Dałabym ci kosza.

- A **teraz?**

Patrzyła na mnie uważnie.

- To głupie żarty, Phil. Zawahałem się.

- Tak, jasne.

Ale nie byłem wcale przekonany, czy żartuję.

- Dobranoc, Phil. Do zobaczenia na następnym spotkaniu.

Przez chwilę się zastanawiała, a potem, jakby pchnięta nagłym impulsem, stała na palcach i pocałowała mnie szybko, ale mocno w usta. A potem poszła, oddalając się szybkim krokiem.

Przez chwilę patrzyłem za nią myśląc o tym, jak świetnie wyglądała w **obcis-**łych dżinsach. Potem zmusiłem się, żeby

oderwać od niej wzrok i ruszyłem i w przeciwnym kierunku. Musiałem zrobić zakupy; jak zwykle kończyły mi się **1**

podstawowe rzeczy. Na szczęście dwie ulice dalej było kilka sklepów, w których **1** zaopatrzyłem się w herbatę, kawę, mleko i czekoladowe herbatniki. Odkąd poja*J wił się u nas Ciapat, zużywaliśmy ich strasznie dużo.

Kiedy wróciłem do mieszkania, zobaczyłem, że Kate wyszła już do domu, -zo« stawiając nowy harmonogram na moim

biurku. Przesunąłem palcem po kolumnie **1** Niedziela. Ja miałem mieć oko na podstarzałego właściciela indyjskich restauracji, Akmalą Younisa. Gdyby nie wydarzyło się nic niezwykłego, on także miał trafić na sam dół listy, razem z panią Hudą Dahdah.

Ciapat i Jazz czekał bardziej interesujący dzień - mieli zacząć śledzić **egip-1** skiego wykładowcę informatyki na Imperial College, doktora Haszima **SaminsB** i jego studenta, Pakistańczyka Achbara Szachida.

Postanowiłem wcześniej położyć się spać. Jak zwykle w sobotę **wieczoreflj** w telewizji nie było nic ciekawego, więc zrobiłem sobie fasolę z jajkiem na **tościM** i obejrzałem po raz kolejny na DVD *Pattona* w towarzystwie butelki **szkockieflB** W końcu poszedłem spać koło dziesiątej.

Ale nie mogłem zasnąć. Przewracając się z boku **na** bok, byłem w stanie **myV śleć** tylko o wizycie Niny i perspektywie ukrzyżowania ugodą rozwodową.

Musiałem w końcu zasnąć, ale obudziłem się o świcie zlany zimnym potem. Po kubku mocnej słodkiej kawy i grzankach z dżemem poczułem się o wiele lepiej. To dziwne, jak problemy wydają się rosnać, kiedy człowiek leży w nocy w łóżku, jak opadają go demony uzbrojone w kijki, którymi szturchają go w mózg za każdym razem, kiedy już-już ma zasnąć. Nigdy nie miałem głowy do pieniędzy, a odkąd porzuciłem bezpieczne życie w wojsku, miałem coraz większą paranoję, że nagle zostanę bez środków do życia. Rozwód był dla mnie wydarzeniem ciężkim do przejścia, nawet wtedy, zanim zrozumiałem, że Nina zamierza wydusić ze mnie ostatni grosz.

A jednak, kiedy światło dnia wpadało przez okno sypialni, a w ogródku śpiewały ptaki, sytuacja nagle przestała się wydawać taka zła. Gdyby udało mi się utrzymać kontrakt z MI-5 przez kilka miesięcy, dałbym radę postawić zarodek mojej firmy na mniej chwiejnych finansowych fundamentach.

O wpół do siódmej byłem już w drodze. Jechałem obwodnicą na zachód, a potem skręciłem na północ w A404 w stronę Pinner, na północno-zachodnich obrzeżach Londynu. Widziałem zrobione przez Ciapata zdjęcia domu Younisa i znalazłem go bez trudu. Był to domek z lat trzydziestych stojący na sympatycznej, podmiejskiej i zadrzewionej uliczce. Obok bliźniaków dostrzegłem tu domy jednorodzinne, wykończone w stylu Tudorów, co zupełnie do nich nie pasowało.

Wszystkie trawniczki od ulicy były schludne i zadbane, a chociaż wiele domów miało garaże, wzdłuż ulicy stały samochody. Na podjeździe Younisa stało czerwone volvo kombi.

Przez wszystkie te samochody trudno mi było znaleźć miejsce dla mojej furgonetki, ale udało mi się wcisnąć w dziurę kilka domów dalej po drugiej stronie ulicy. Wyjąłem gazetę i rozłożyłem ją na kierownicy, żeby wyglądało, jakbym ją czytał. Obserwacja w podmiejskich dzielnicach domków to zawsze koszmar; wszystko, co niecodzienne, natychmiast zwraca uwagę mieszkańców, wyglądających zza firanek.

Była już prawie ósma i uznałem, że pora wyjąć nową zabawkę, dostarczoną dwa dni temu przez Lassitera. Był to supernowoczesny podsłuch komórkowy, przypominający normalny telefon. Ale ta zabaweczka potrafiła o wiele więcej. Szczerze mówiąc, było mi się nią łatwiej posługiwać niż moim własnym przesadnie skomplikowanym telefonem. Może dlatego, że robiła tylko to, do czego została przeznaczona. Jeśli dodałem numer komórki celu do jej pamięci, dawała mi znać za każdym razem, kiedy ta osoba gdzieś dzwoniła albo odbierała telefon, a także wyświetlała numer, z którym się łączono. Mogłem potem podsłuchiwać, co mówią obie strony, albo czytać wiadomości tekstowe. Numer Younisa już wpisałem razem z numerem Lea Fryatta, a Dave Evans był monitorowany przez speców od łączności z MI-5 - choć dzisiaj nie mogłem Lea podsłuchiwać, bo moja maszynka miała zasięg tylko piętnastu kilometrów. Ale, tłumaczyłem sobie, nie można mieć wszystkiego.

W komplecie znalazł się też mały cyfrowy dyktafon, który położyłem na fotelu pasażera i podłączyłem do podsłuchu. Rozmowy mogły być prowadzone w różnych językach i wymagać tłumaczenia przez fachowców. Zrobiłem kiedyś szybki kurs arabskiego, ale bardzo dawno go nie używałem.

Usiadłem wygodnie z niedzielny szmatławcem, zastanawiając się, czy mój gadżet zapewni mi jakąś rozrywkę.

Nie musiałem długo czekać. Tuż po ósmej trzydzieści mój podsłuch zapiszczał, a na jego ekraniku zaczął migać numer Younisa, razem z drugim, osoby, która do niego dzwoniła. Akurat sobie przypomniałem, że muszę go dodać do pamięci, kiedy z niejakim rozczarowaniem stwierdziłem, że to SMS. Z trudem wyświetliłem wiadomość na swoim ekraniku. Zawierała jedynie liczbę „993”.

Czekałem. Czy Younis odpowie? Po krótkiej chwili odpowiedział. Jeszcze bardziej zwięźle - wysłał po prostu „0”. Potem podsłuch zgasł - wymiana wiadomości się skończyła.

Gapilem się na urządzenie w mojej dłoni. Co to miało znaczyć, do cholery?

Nikt nie wysyłał takich liczb SMS-ami. Nie miały żadnego sensu, jeśli obie strony nie wiedziały, co one oznaczają.

Przysięgam, trwało to całą minutę, zanim mnie olśniło. Pewnie dlatego, że zarówno Ciapat, jak i Jazz byli święcie przekonani, że uprzejmy i przemiły Younis nie jest w nic zamieszany, ja też podświadomie uznałem to za fakt.

Ale żeby dwoje ludzi wymieniało się takimi liczbami i rozumiało je, musiał to być wcześniej ustalony szyfr. A nie sądzę, żeby wielu właścicieli indyjskich restauracji posługiwało się na co dzień szyfrowanymi SMS-ami.

Poczułem nagle podniecenie. Oczywiście, nie mogłem wiedzieć, co oznacza „993”. Ale odpowiedź „0” sugerowała potwierdzenie - stąd brak dalszych wiadomości.

Kiedy wciąż się nad tym głowiłem, nagle w bocznym lusterku po mojej stronie: zauważyłem muzułmankę. Była ubrana w czarczaf i długą spódnicę; pchała wózek z budką podniesioną dla ochrony przed słońcem. Zauważyłem mimochodem, że miała dość atrakcyjną twarz, mimo, że oczy zasłoniła okularami przeciwsłonecznymi. Wyglądała prawie znajomo, ale nie wiedziałem dlaczego...

Zmarszczyłem brwi i przyjrzałem się jej uważniej, kiedy zrównała się z furgonetką.

Mój Boże, pomyślałem nagle, nie wierzę.

Wcisnąłem guzik opuszczający szybę, kiedy mnie mijiała.

- Jazz!

Kobieta zamarła, zeszytniała; wiedziałem, że jest tak samo zaskoczona jak ja i zastanawia się, czy zna ten głos, czy powinna uciekać, czy odpowiedzieć?

- To ja, Phil - powiedziałem, zniżając głos.

Zobaczyłem, że się rozluźniła i cofnęła kilka kroków, aż zrównała się z oknem. Była zdziwiona, prawie zła.

- Nie poznałam twojego samochodu. Co ty tu robisz, do cholery?
- Obserwuję Younisa, oczywiście.
- Dzisiaj to moje zadanie. Nagle zrozumiałem.
- Nie mów mi...
- Kate zadzwoniła do mnie wczoraj wieczorem ze szczegółami harmonogramu. Ty miałeś obserwować Achgara Szachida, tego studenta z Imperial College.
- Zabiję tę dziewczynę - mruknąłem ponuro.
- Pokręciła?
- Znów - potwierdziłem ze znużeniem. - To ty powinnaś chodzić ze studentem.
Jazz kiwnęła głową.
- W takim razie się zwijam. - Uśmiechnęła się. - Porządna muzułmańska dziewczyna nie powinna rozmawiać z podstarzałymi kierowcami furgonetek.
- Nie takimi znów starymi - oburzyłem się.
- Mogę spróbować znaleźć Szachida po południu. To lepsze niż nic. Wskazałem wózek.
- Chłopiec czy dziewczynka?
- Moje drugie śniadanie. Zaśmiałem się.
- Ja nigdy nie dałem rady zjeść całego.
Potem Jazz zawróciła i powoli ruszyła z powrotem. Dopiero po kilku minutach przestałem myśleć, jak najlepiej zwolnić Kate, i znów się uspokoiłem. Moje myśli nagle zaprzętną podsluch - zaczął piszczeć i wyświetlił numer Younisa. To był nowy numer, nowa komórka. Wyświetliłem SMS, który właśnie dostawał.
- „XXX” - mruknąłem. Potem pojawiła się kropka i litera „H”. Następnie połączenie się skończyło.
Boże, te wszystkie szyfry doprowadzały mnie do szału. Czułem się, jakbym był bardzo blisko odkrycia czegoś ważnego, a zarazem bardzo daleko.
Ledwie udało mi się opanować frustrację, kiedy podsluch znowu ożył. Tym razem to Younis dzwonił. Moje nadzieje odżyły.
- Mówi Pies - powiedział Pakistańczyk. Wydawał się zdenerwowany.
- Używaj szyfru! - warknął mężczyzna po drugiej stronie.
- Właśnie dostałem potrójny X.
- Cholera, od kogo?
- Od Gołębiczy. Chwila ciszy.
- W takim razie musimy tak zrobić.
- Ale ja się muszę z tobą spotkać - poprosił Younis. - To naprawdę bardzo pilne. Prawie wyczuwałem irytację w głosie tego drugiego.
- Dobrze, ale gdzieś indziej. Miejsce 11. Spotkaliśmy się tam raz, pamiętasz?

- Pamiętam.
- Za godzinę, nie, dwie. Użyj tego czasu mądrze, rozumiesz? Younis wydawał się niepewny.
- Co? Ach, tak, rozumiem.
- Musisz mieć pewność, inaczej znów pojawi się potrójny X. Rozumiesz mnie?
- Bardzo ci dziękuję. Jestem naprawdę bardzo wdzięczny.
- Teraz musisz zniszczyć telefon, którego używasz. Od tej pory korzystaj tylko z nowego. Mam nadzieję, że nas właśnie nie zdradziłeś.
- Przepraszam - powiedział Younis.

Jego rozmówca się rozłączył. Ekranik na podsłuchu potwierdził, że Younis dzwonił do tego, kto przysłał mu pierwszą wiadomość.

Wszystko to zaczynało się układać w jakąś całość. Ktoś zaproponował Youni-sowi spotkanie, a Younis je potwierdził. Potem ktoś inny wysłał enigmatycznie; „XXX”, które było ostrzeżeniem, by spotkanie odwołać. Ale Younis wydawał się;! poważnie zdenerwowany i koniecznie chciał się spotkać, więc ustalili nową porę i miejsce.

To mogło być trudne. Younis musiał się teraz mieć na baczności. Może o to właśnie chodziło temu drugiemu, kiedy mówił, żeby „użył czasu mądrze”, czyli aby pilnował, czy nie jest śledzony.

Cóż, zapowiadała się fajna robótka, skoro byłem sam, zamiast wymaganego w takich sytuacjach czterosobowego zespołu. Cholernie żałowałem, że wiadomość „XXX” nie przyszła, zanim pojawiła się Jazz, a nie po tym, jak sobie poszła.! We dwójkę mielibyśmy większe szanse.

Zastanawiałem się, czy wciąż była w pobliżu? Jak daleko zaparkowała samochód? Chwyciłem komórkę i wystukałem jej numer. Włączyła się poczta głosowa,] cholera jasna. Nie było sensu zostawiać wiadomości.

Czasu miałem coraz mniej, a ja musiałem zadziałać zdecydowanie, bo nie chciałem znajdować się w pobliżu, kiedy Younis będzie opuszczał dom, pieszo albo samochodem. Włączyłem silnik, wyjechałem pomiędzy zaparkowanych sa-j mochodów i minąłem jego dom, jadąc do skrzyżowania T na końcu ulicy. Skręciłem w lewo i od razu zaparkowałem przy krawężniku.

Wysiadłem i wróciłem na róg. Ogrodzenie zwieńczone dziko rozrośniętym klematisem dało mi doskonałą osłonę, zza której mogłem obserwować dom Younisa.

W ten sposób byłem przygotowany na każdą ewentualność, bez względu na to, czy wyszedłby z domu pieszo, czy wyjechał samochodem. Nie mogłem go zacząć! śledzić od razu; natychmiast by mnie zauważył. Niezależnie od tego, w którą stro- j nę by poszedł, byłem w idealnej pozycji. Oparłem się o płot, na wpół ukryty] w klematisie, wyjąłem złożony niedzielny tabloid z tylnej kieszeni spodni i udawałem, że czytam.

Nie musiałem długo czekać. Była prawie dziesiąta, kiedy Akmal Younis poja-j wił się w drzwiach swojego domu z ciemnobrązowym labradorem na smyczy. Był]

zdenerwowany i zaniepokojony; minął czerwone volvo na swoim podjeździe i rozejrzał się uważnie po ulicy. Potem wrócił do samochodu, otworzył tylną klapę i zaczekał, aż pies wskoczy do środka. Zatrzasnął klapę, podszedł do drzwi kierowcy, wsiadł, włączył silnik i wycofał.

Z niepokojem czekałem, w którą stronę skręci; rytm mojego serca przeszedł nagle z lekkiego stępa w kłus. Zamrugały do mnie światła stopu.

Jechał w przeciwnym kierunku. Świetnie. Mógł pojechać tylko w jedną stronę, a ja mogłem go dogonić na następnym skrzyżowaniu, nie dając mu powodów do podejrzeń, że go śledzę.

Pobiegłem z powrotem do furgonetki, odpałem silnik i pojechałem prosto. Przez kilkaset metrów przyspieszałem, a potem skręciłem ostro w lewo, w ulicę biegnącą równoległe do tej, na której mieszkał Younis.

Prawie dojechałem do skrzyżowania, kiedy mignęło przede mną czerwone volvo, jadąc z lewej w prawo.

Pohamowałem chęć ruszenia za nim i zaczekałem, aż przejedzie jeszcze jeden samochód, dopiero potem skręciłem. To była ryzykowna, ale konieczna strategia. Gdybym pojawił się bezpośrednio w lusterku Younisa, wyczułby, że coś tu śmierdzi i to byłby koniec. Odwołałby spotkanie. A tak, choć ryzykowałem, że go zgubię, przynajmniej miałem jednak szansę powodzenia. Na pewno było mi łatwiej przez to, że w furgonetce siedziałem dość wysoko, więc mogłem patrzeć nad dachami samochodów jadących za Younisem.

Przez następne pół godziny Younis próbował sprawdzać, czy ma ogon. Typowe sztuczki - skręcanie za róg i gwałtowne hamowanie, żeby śledzący pojechał dalej prosto. Potem wjechał na parking supermarketu, zrobił dwa kółka i znów wyjechał. Skręcił też niespodziewanie w ślepy zaułek, gdzie omal mnie nie nakrył.

Ale ponieważ zawsze byłem jeden albo dwa samochody za nim, udało mi się uniknąć tych chytrych podstępów.

Najprawdopodobniej Younis nie miał zbyt dobrego wykształcenia, zakładając oczywiście, że w ogóle ktoś go szkolił. Jedna rzecz to wiedzieć teoretycznie, jak się powinno robić takie rzeczy, inna - kiedy trzeba je zastosować w praktyce.

Byłem za to wdzięczny losowi, bo szybko się przekonałem, że zdecydowanie wyszedłem z wprawy. Gdybym wiedział, że będę śledził „potwierzonego” podejrzanego o terroryzm, który spodziewał się, że będzie śledzony, przekazałbym go zawodowcom Lassitera z MI-5. A tak - musiałem się po prostu starać z całych sił.

W końcu Younis chyba uznał, że jest czysto i przestał się wygłupiać. Godzinę Później jechałem za nim w odległości trzech samochodów w stronę jednego z tych zielonych, małych parków rozrzuconych po przedmieściach Londynu i często nazywanych płucami stolicy. Oceniałem, że jesteśmy jakieś piętnaście kilometrów od J^ogo domu.

Kiedy Younis zaparkował w zatoczce przed czarną bramą z kutego żelaza, minąłem go i, kiedy tylko zniknąłem mu z oczu, szybko zatrzymałem się na pierwszym

wolnym miejscu. Włożyłem jaskrawą czapkę baseballową, złapałem torbę ze sprzętem i wyskoczyłem z samochodu. Kiedy przystanąłem na rogu ogrodzenia par' zobaczyłem akurat, jak Younis wchodzi przez bramę, prowadząc przy nodze swój go labradora.

Dając mu kilka sekund wyprzedzenia, poszedłem za nim krótką ścieżką, która kończyła się rozgałęzieniem w kształcie T jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Po prawej miałem parterowy budynek, w którym znajdowały się toalety. Pod drzwiami męskiej stał Younis i patrzył prosto na mnie.

Cholera!

Udało mi się nie zgubić kroku i poszedłem dalej. Problem polegał na tym, Younis mnie widział i miał teraz tę przewagę, że był za mną. Oczywiście, nie miał powodu wiedzieć, kim jestem ani nawet podejrzewać, że go śledzę... jeśli się znów na mnie nie natknie w parku. Zakładając, oczywiście, że nie zawróci do samochodu, zostawiając mnie na lodzie. Musiałem zaryzykować. Dotarłem do rozgałęzienia, gdzie ścieżka odchodziła w lewo i w prawo za klombami kwiatów. Gdyby Younis szedł w głąb parku, chciałem wiedzieć, gdzie skręci. Na wprost miałem górkę. Najej trawiastym zboczku siedzieli ludzie, pary albo rodziny z dziećmi na pikniku.

Wszedłem dość szybko na górę, chowając się za kępą drzew i rododendronów na szczycie. Najpierw w połowie drogi przystanąłem, udając zdyszanego, i obejrzałem się na bramę parku. Nie widziałem Younisa przy toaletach - zasłaniały mi go pobliskie krzaki - ale zobaczyłem jego psa.

Usatysfakcjonowany poszedłem dalej. Na szczycie usiadłem na trawie w cieniu drzew. Nie zamierzałem ukrywać się, ale i tak byłem pewny, że Younis nie zobaczy mnie w cieniu. Wszystko to wiedziałem ze swojego snajperskiego doświadczenia. Czekałem niecierpliwie, aż wykona jakiś ruch. Minęło pięć minut. Nagle rui szył, idąc w stronę rozwidlenia dróg z psem przy nodze. Skręcił w lewo i poszedł dalej, wciąż niespokojnie się rozglądając.

Kiedy odwrócił się plecami do mnie, wstałem i ruszyłem za nim wzdłuż kępy; rododendronów, utrzymując dystans około stu metrów. Potem zgubiłem go, kiedy skręcił pod osłonę kilku płaczących wierzb. Przyspieszyłem kroku, czekając, aż się pojawi po drugiej stronie. Nie dostrzegłem go nigdzie.

Zakląłem. Przyspieszyłem jeszcze bardziej i ruszyłem w dół pagórka, by wyjść kawałek za wierzbami. Gdy w końcu dotarłem do ścieżki, pocilem się z wysiłku i adrenaliny.

Obejrzałem się na wierzby; zobaczyłem Younisa siedzącego na ławce z jakimś mężczyzną. Cofnąłem się w krzaki, znikając mu z pola widzenia.

Z torby wyjąłem jedną z nowych zabawek, które dostarczył mi Lassiter, bardzo nowoczesny aparat cyfrowy Pentaksa. Przyłożyłem go do oka i ustawiłem ostrość, wyglądając spomiędzy liści krzewu.

Powiększyłem obraz, aż objąłem obu mężczyzn, pstryknąłem, a potem zrobiłem zbliżenie na twarz Younisa. Miał bardzo nieszczęśliwą minę i obficie się pocił.

Po kolejnym pstryknięciu przesunąłem powoli obiektyw, aż złapałem w kadr twarz drugiego mężczyzny. Mógł to być Arab, prawdopodobnie tuż po czterdziestce. Miał gęste, czarne, faliste lśniące i schludnie przystryżone włosy, tak samo jak wąsy. Kiedy robiłem mu zdjęcie, uznałem, że go nie znam... a mimo to te bardzo ciemne oczy o niemal złowróżbnym wyrazie uruchomiły dzwonek alarmowy głęboko w mojej podświadomości.

Opuściłem aparat i obejrzałem ostatnie zrobione zdjęcie na wyświetlaczu. Nagle pojąłem. Na zdjęciu, które widziałem wcześniej, mężczyzna miał brodę i okulary w grubych, rogowych oprawkach.

Cholera, czy to możliwe? Przysięgam, że serce na chwilę mi przystanęło.

Younis rozmawiał z doktorem Haszirem Samirem, wykładowcą informatyki na Imperial College - którego Ciapat miał obserwować dzisiaj po południu.

A z tego, co było wiadomo MI-5, ci dwaj mężczyźni nawet się nie znali.

6

Nagle usłyszałem, że Younis podnosi gniewnie głos. - Mam już tego dość! - Tak chyba powiedział. Spojrzałem znad aparatu, w samą porę, by zobaczyć, jak wstaje i odchodzi ścieżką razem z psem w stronę bramy parku, pozostawiając drugiego mężczyznę na ławce.

Nie wiedziałem, co mam zrobić. Postanowiłem więc nie spuszczać Younisa z oka i trzymać się go najbliżej, jak się da. Wrzuciłem aparat z powrotem do torby i ruszyłem ścieżką w stronę wierzb. Kiedy mijalem ławkę, doktor Samir był tak pochłonięty ożywioną rozmową przez komórkę, że nawet mnie nie zauważył. Niestety, mówił po arabsku i nie rozumiałem ani słowa.

Kiedy wyszedłem zza zakrętu, zobaczyłem, że Younis jest o wiele dalej, niż myślałem. Szedł bardzo szybko, prawie truchtał. Był dobre sto metrów przede mną kiedy razem z psem dotarł do rozwidlenia dróg i skręcił w prawo do bramy.

Dotarłem tam w chwili, kiedy jego samochód wycofał się z miejsca parkingowego, a potem szybko odjechał.

Nie miałem czasu wracać do furgonetki, zawracać i go ścigać. Mogłem jedynie wrócić pod dom Younisa z nadzieją że jego samochód już tam będzie. Zniechęcony, ruszyłem do transita.

W cieniu stała znajoma postać, opierając się o błotnik.

Zamach na prezydenta

Ciapat podniósł jedną ze swoich kul.

- Cholera jasna! - wykrzyknął z frustracją. Zrozumiałem, co się stało.

- Oczywiście, śledziłem doktora Samira...

- Tak, ale nie miałem jak go śledzić, kiedy wysiadł z taksówki! Napraw cholery można dostać!

- Widziałeś Younisa z psem? - spytałem.

- Tak, przed chwilą. A więc ci dwaj są ze sobą jakoś powiązani?

- Tak, spotkali się.

- Tak właśnie myślałem. Doktor Samir wymienił z kimś kilka zaszyfrowanych* wiadomości, potem krótko rozmawiał przez telefon. Teraz wiem, że to był Younis. Sugerowało to spotkanie.

Oczywiście zapomniałem, że Ciapat również miał podsłuch komórkowy i słu chał wszystkich rozmów doktora Samira.

- Popelniliśmy błąd - powiedziałem. - Trzeba było założyć, że cała szósi z naszej listy może się znać, i wpisać wszystkie ich numery do podsłuchów.

Ciapat uśmiechnął się i lekko pokręcił głową.

- Tak, mądrość po szkodzie. Więcej nie popełnimy tego błędu. Nagle coś mi przyszło do głowy.

- Younis i doktor Samir chyba się pokłócili. Younis odbiegł, a potem Samir do kogoś zadzwonił. Odebrałeś coś na swoim podsłuchu? Masz numer, z którym się łączył?

- Nie - odparł Ciapat. - Po rozmowie z Younisem chyba zniszczył swój stary telefon. Teraz ma nową komórkę na kartę, której numeru nie znamy.

- No tak, oczywiście.

- Może powinien pan wrócić do parku i spróbować śledzić mojego doktora Samira - zasugerował Ciapat.

Oczywiście, stary zawodowiec MI-5 miał rację.

- Dobra myśl, Ciap. Daj mi znać, jeśli tędy wyjdzie.

- Oczywiście.

Najszybciej jak mogłem ruszyłem w stronę ławki pod wierzbami. Oczywiście doktora Samira już tam nie było, ale nie mijałem go też po drodze. Poszedłem więc ścieżką dalej, aż doszedłem do drugiej bramy. Miałem paskudne przecucie, że tędy właśnie wyszedł. Ruszyłem dalej okrężną ścieżką aż wróciłem do głównego wejścia.

Ciapat czekał z niecierpliwością.

Pokręciłem głową.

- Zgubiłem go.

O dziesiątej następnego ranka Ciapat i ja byliśmy w Thames House na spotkaniu z Joem Lassiterem.

Zadzwoiłem do niego do domu poprzedniego wieczoru, żeby opowiedzieć mu o spotkaniu restauratora Younisa z wykładowcą Imperial College doktorem Sami-rem, oraz o ich zaszyfrowanej wymianie SMS-ów. Wyraźne zirytowanie Lassitera tym, że przerwałem mu wieczór przed telewizorem, szybko ustąpiło miejsca nieskrywanemu podnieceniu. Nalegał, żebym przyjechał następnego dnia do siedziby MI-5 i spotkał się z nim.

Wyszedł po nas do stanowiska ochrony, podbiegając entuzjastycznie - aż się spocił, nienawykły do wysiłku. Rękawy wymiętej prążkowanej koszuli miał podwinięte, a krawat przekrzywiony. Wydawało mi się, że przyjechał dziś do biura bardzo wcześnie.

Uśmiechał się szeroko i przynajmniej raz oczy za przyciemnianymi okularami też się śmiały.

- Phil, świetnie cię widzieć! - powitał mnie z niespotykaną u niego serdecznością. - Ciebie też, Ciap. Chyba mamy wreszcie jakieś efekty!

- No, dwaj nasi podejrzani się znają- powiedziałem wymijająco - to wszystko. Lassiter był rozczarowany moją powściągliwością.

- Tak, ale wymieniali zaszyfrowane wiadomości i umówili się na bardzo podejrzane spotkanie. Dlatego właśnie tu jesteś. Umówiłem was z Królową Śniegu. Felicity już na nas czeka.

Poprowadził nas przez salę biurową w której miał swoje stanowisko pracy, a potem korytarzem obok ciągu nijakich, oklejonych tekowym formirem drzwi. Zatrzymał się pod napisem „Sala odpraw 6” i zapukał.

- Wejść - usłyszeliśmy rozkazujący głos z drugiej strony.

Lassiter otworzył drzwi i odsunął się, puszczając nas przodem. Felicity Goo-dall siedziała przy jedynym stole w małym, pozbawionym okien pomieszczeniu. Miała na sobie błękitną lnianą spódnice i żakiet. Już w drzwiach zauważyłem długie opalone nogi skrzyżowane elegancko pod stołem i parę drogich czółenek na wysokich obcasach, za które Kate oddałaby życie. Królowa Śniegu była uosobieniem szyku.

Podniosła wzrok znad cienkiego skoroszytu - jedynej rzeczy na biurku - i popatrzyła na nas - ponad swoimi szykownymi okularami do czytania w złotych oprawkach.

- Dzień dobry, Phil - powiedziała, uśmiechając się i trzepocząc długimi rękami. - Miło znów cię widzieć. - Spojrzała na Ciapata. - Ciebie też, Ciap. Jak noga?

- Cholerny balast, szefowo, przepraszam za wyrażenie - odparł. - Ale przynajmniej już jutro zdejmują mi gips.

Felicity zdjęła okulary.

- Na pewno się cieszysz. Pewnie swędzi jak diabli. Pokręcił lekko głową.

- Wrócę wreszcie do normalnej pracy. Felicity zaśmiała się gardłowo.

- Och, chyba cię tu trochę przytrzymamy. Dopilnujemy, żebyś na sto proce wrócił do formy, zanim oddamy cię obserwatorom.

Dostrzegłem chyba, że Ciapat chce zaprotestować i szybko wskazałem sto nowoczesnych krzeseł, pasujących do stołu o czarnym, jesionowym blaci i chromowanych nogach. Lassiter zaczął je ściągać i ustawiać na podłodze prze stołem.

- Cóż, panowie - powiedziała Felicity, kiedy usiedliśmy. - Sytuacja rozwinęła się bardzo interesująco. Zobaczmy, czy dobrze zapamiętałam. Wasz zespół ma obecnie przyjrzeć się szóstce podejrzanych o działalność terrorystyczną: Pani Huda Dahdah, wdowa po samobójcy zamachowcu, który zginął w Iraku, według was bardzo mało prawdopodobny kandydat. Leonard Fryatt, młody Murzyn, członek gangu Armia Allacha w południowym Londynie. Uważacie, że to tylko drobny przestępca i niedorobiony dżihadysta. Twierdzicie, że nie stanowi prawdziwego zagrożenia, ale może być użytecznym informatorem?

Kiwnąłem głową.

- Nie sądzę, żeby to był odpowiedni materiał na terrorystę, ale może dać nam znać o tym, co planują jeśli cokolwiek planują członkowie Armii Allacha.

- Drobna płotka? - spytała Felicity.

- Bardzo drobna. Pomyślałem, że spróbuję się z nim zaprzyjaźnić. Zmarszczyła czoło.

- Ach, tak. Jak rozumiem, zrobiłeś na nim spore wrażenie. - W jej głosie słychać było wyraźną dezaprobatę. - Ufam, że do takich rzeczy więcej już nie dojdzie?

Uśmiechnąłem się.

- Oczywiście, że nie. Ale sytuacja sprzyjała nawiązaniu kontaktu. Felicity miała chyba ochotę westchnąć.

- Skoro uważasz, że masz czas i że może coś z tego wyniknąć, nie mam niej przeciwko. - Spojrzała na otwarte dokumenty. - Przechodząc dalej, mamy tego byłego walijskiego żołnierza Evansa. Tu dobrze się spisałeś, Phil. On zdecydowanie coś planuje i jest teraz oficjalnym podejrzanym. Obserwatorzy z A-4 zaczęli wczoraj za nim chodzić. Rozumiem, że znasz go z przeszłości?

- Niezupełnie znam - wyjaśniłem. - Był w szkole snajperów, kiedy ja tam pra-l cowałem.

- I z przyjemnością znów byś się z nim spotkał?

- Jeśli się zgodzi - powiedziałem. - Podczas pierwszego spotkania był trochę nieufny, ale wymieniliśmy się telefonami.

- Nic dziwnego, że był nieufny, skoro wiedział, że ma się pojawić nasz przyjaciel Nawed Husajn, zakładając oczywiście, że miałeś rację. To o niego mi tak naprawdę chodzi. Zdecydowanie ma powiązania z Al-Kaidą podejrzewamy, że jest jednym z jej koordynatorów. Jeśli przebywa w kraju, musimy go znaleźć.

- Rozumiem.

100

- Spotkaj się z Evansem, jeśli dasz radę. Ale, na Boga, zachowuj się ostrożnie, to może być bardzo niebezpieczny człowiek... I nie mów ani nie rób nic, co mogłoby wzbudzić jego podejrzenia albo utrudnić pracę naszym obserwatorom. Pamiętaj, że monitorują teraz wszystkie połączenia z jego telefonu i wszystkie e-maile, które wysyła z tej kawiarenki internetowej.

- Postaram się działać dyskretnie - zapewniłem. - Nie będę go naciskał. Felicity kiwnęła głową i wróciła do listy.

- Dochodzimy do urodzonego w kraju studenta pakistańskiego pochodzenia, studiującego w Imperial College, Achtera Szachida.

- Jasmina była wczoraj po południu u niego w domu - powiedziałem. - Nie spędziła tam za wiele czasu, bo mieliśmy mały poślizg operacyjny. - Nie chciałem, żeby Królowa Śniegu wiedziała, jak bardzo niekompetentny okazał się mój personel. - Ale rozmawiałem z nią krótko. Szachid dzieli dom z sześcioma innymi studentami. Większość z nich pochodzi z pakistańskich rodzin. Jasmina udawała agentkę biura pośrednictwa pracy, specjalizującą się w ofertach dobrze płatnych prac na pół etatu dla studentów.

Felicity uniosła brew.

- Sprytnie.

- Poszła tam, szukając kogoś, kto nie istnieje - ciągnąłem. - Powiedziała, że pewnie pomyliła adresy, ale może oni sami byliby zainteresowani? Jak się okazało, byli całkiem chętni. W ten sposób mogli zacząć rozmawiać, a oni podali swoje dane osobowe.

- A Szachid tam był?

- Tak.

Felicity wydawała się zaintrygowana.

- Jakie posady im proponowała? Musiała szybko coś wymyślić. Pokręciłem głową.

- Nie, podeszła do tego z drugiej strony. Spytała ich, jakie zajęcie najbardziej by im odpowiadało. Powiedziała, że wróci do agencji i zobaczy, co ma w ofercie, albo wpisze ich na listę chętnych na wypadek, gdyby pojawiło się coś ciekawego. Oczywiście musiała im zadać bardzo dużo osobistych pytań i zapisać numery telefonów kontaktowych.

- W tym Szachida?

- Najwyraźniej. Dzisiaj będę miał wszystkie szczegóły.

- Jaką pracą był zainteresowany?

- Jazz dała im kilka propozycji do wyboru. Powiedział chyba, że praca w kuchni albo pomoc w hospicjum.

Felicity zrobiła zaskoczoną minę.

- A jej ogólne wrażenie?

- Mieszkanie wydawało jej się trochę zapuszczone, typowe dla kilku chłopaków, wszędzie brudne talerze, pudełka po jedzeniu na wynos i tak dalej. Zauważyła

nawet kilka pustych puszek po piwie, więc nie są chyba radykalnymi muzułmanami. Na półce stał Koran, ale też plik kolorowych pism dla panów. Nigdzie nie widziała czapeczek modlitewnych.

- A sam Szachid?

- Cichy, bardzo uprzejmy. Jazz uważa, że jest nieśmiały, szczególnie w obecności kobiety. Spróbuje poznać go trochę lepiej, ale po pierwszym kontakcie nie zrobił wrażenia prawdopodobnego kandydata.

Felicity się uśmiechnęła.

- Jestem pod wrażeniem metodologii Jaśminy. Może wykorzystamy tę technikę podczas innych naszych śledztw. Ale nie możemy tracić z oczu faktu, że Szachid kupował wywrotową literaturę antyzachodnią w Internecie i chodził na spotkania radykalnych grup dyskusyjnych.

- Nic dziwnego, zważywszy skłonności jego promotora - zauważyłem.

- Ach tak, doktor Haszim Samir... - powiedziała Felicity. - Dochodzimy tu do tego wczorajszego spotkania. Joe uważa, jak rozumiem, że miało ono wielkie znaczenie.

- Z początku zaskoczyło nas, że doktor Samir i Younis się znają - odparłem. - I było to trochę podejrzané. Doszło między nimi do wymiany zaszyfrowanych wiadomości. W świetle wydarzeń wydaje się, że chodziło o potwierdzenie spotkania we wcześniej ustalonym miejscu.

- Potem Younis dostał drugą wiadomość z innego numeru - wyjaśnił ochoczo Lassiter. - Nieznanego nam. Była bardzo enigmatyczna: „XXX”, ale to chyba ich sygnał ostrzeżenia, aby odwołać spotkanie.

Felicity zmarszczyła brwi.

- Kto to mógł być? Wzruszyłem ramionami.

- Nie mam pojęcia. Możliwe, że zostałem zauważony, ale nie sądzę, bo później śledziłem Younisa z powodzeniem. Może ktoś po prostu się bał, że zostaną ujawnieni.

- Younisowi bardzo zależało na tym spotkaniu - ciągnął Lassiter. - Zadzwoił I do doktora Samira, poprosił o spotkanie w innym miejscu i czasie.

- Niezbyt to profesjonalne - zauważyła Felicity.

- Doktor Samir był o to nieźle wkurzony - przyznał Lassiter. - Złazał Younisa i kazał mu nie używać więcej tej komórki.

Felicity wzięła z biurka ołówki i przygryzła w zamyśleniu jego gumkę.

- I spotkali się?

- Phil pojechał za Younisem do parku - potwierdził Lassiter. - W tym samym¹ czasie Ciap śledził doktora Samira, do tego samego parku.

Felicity spojrzała prosto na mnie.

- Pewnie nie masz pojęcia, co się stało?

- Spotkali się na ławce w parku - odparłem. - Wiem tylko, że Younis był bardzo podenerwowany i zły. Krzyczał na doktora Samira.: „Mam tego dość!” czy coś w tym rodzaju. Potem wściekły odbiegł.
Felicity wydeła policzki i postukała ołówkiem w biurko.
- Hm, rozumiem. - Spojrzała na Lassitera. - I co o tym sądzisz?
Lassiter pochylił się szybko do przodu, opierając łokcie na kolanach i zacierając dłonie.
- Prześwietlić ich obu. Przydzielić im zespoły A-4.
- Wiesz, ile roboty mają obserwatorzy, Joe?
- Wiem, ale to jest gorący trop, czuję to.
- Przez te szyfrowane SMS-y?
- I sekretne spotkanie. Cholernie nie chcieli, żeby ich ktoś widział. Felicity odwróciła się do Ciapata.
- Rozumiem, że znasz Akmała Younisa od dawna?
- Spotkałem go kilka razy jako dziecko, był przyjacielem mojego ojca. Jedliśmy u niego w restauracji. Ale to było wiele lat temu.
- Napisałeś już w raporcie, że według ciebie to bardzo szanowany przedsiębiorca. - Spojrzała na mnie. - A Jasmina, udając inspektora sanitarnego, rozmawiała z nim, zgadza się, Phil?
- Uznała, że jest zupełnie niegroźny - potwierdziłem. - Znalazł się na naszej liście tylko dlatego, że zna jednego z podejrzanych współspiskowców mułły Redy. Ale obaj są restauratorami, więc to nie powinno dziwić. A ponadto Younis nie krył się z tym, że zna Hasana Malika.
Lassiter zobaczył, że sytuacja wymyka mu się z rąk.
- Ale Jasmina i Ciapat mogą się mylić. Wczorajsze wydarzenia są bardzo podejrzane!
Felicity wzięła głęboki oddech.
- Joe, musisz wziąć pod uwagę, że Akmal Younis ma sześćdziesiąt lat. Mieszka w tym kraju, odkąd skończył sześć. Od lat prowadzi zyskowną firmę, jak twierdzi Ciapat. Był nawet osobistym przyjacielem ojca Ciapa, który według naszych danych czuł się bardziej Brytyjczykiem niż większość z nas tu obecnych. Younis nie jest raczej materiałem na muzułmańskiego bojownika.
- Ale te szyfrowane wiadomości - zaprotestował Lassiter - to tajne spotkanie... Felicity uśmiechnęła się współczująco.
- Jest coś, o czym nie wiesz. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero w zeszły piątek po południu. Younis jest przedmiotem śledztwa urzędu skarbowego, podejrzewają go o fałszowanie ksiąg. Zważywszy wielkość jego sieci restauracji, może tu chodzić o spore sumy. Doktor Samir, oprócz tego, że jest wykładowcą informatyki, jest też zawodowym księgowym i ekonomistą.
Widziałem, do czego Felicity zmierza.

- Chcesz powiedzieć, że to może być przyczyna szyfrowanych wiadomości i tajnego spotkania? - spytałem. - Chciał, żeby przyjaciel mu doradził?
Lassiter opadł na krzesło. Wyglądał jak bokser, który wie, że w następnej rundzie poleci na deski.
- Nie miałem pojęcia - mruknął.
- Oczywiście, że nie - powiedziała Felicity. - Przykro mi, Joe, ale będę musiała odrzucić twoją prośbę. Mamy w tej chwili pod całodobową obserwacją dwustu podejrzanych, a liczba ta rośnie z godziny na godzinę. Większość to płotki, rozmawiają o atakach terrorystycznych w teorii albo układają niedorobione plany. Ale jeśli o czymś takim słyszymy, musimy to sprawdzić.
- Wiem o tym - powiedział z rozdrażnieniem Lassiter. Jak zwykle nie umi przegrywać.
- Obawiam się, że nie mamy po prostu możliwości, aby obserwować Younisa na podstawie dotychczasowych dowodów. Ale Lassiter nie zamierzał się tak łatwo poddać. Bokser wyprowadził jeszcze jeden cios.
- A co z doktorem Samirem? Felicity wydeła usta. Bardzo całusne, pomyślałem nagle i niewiele brakowało, a nie usłyszałbym, co powiedziała.
- Popracujcie nad nim jeszcze trochę. Wiemy, że doktor Samir jest przyjął' em Husajna Naweda i że pomagał mu uruchomić stronę Strażników Raju. Nawed ma powiązania z Al-Kaidą i, jeśli Phil ma rację, że jest w Anglii, może spróbować skontaktować się z Samirem. Dlatego kazałam już rozpocząć elektroniczną inwigilację Samira.
- Co konkretnie? - spytałem.
- Jego telefony stacjonarny i komórkowy są podsłuchiwane - wyjaśniła Felicity z nieoczekiwaną cierpliwością. - Mamy też podgląd drzwi jego domu przez kamerę przemysłową z samochodu naprzeciwko, na wypadek gdyby zjawił się tam Nawed. Pomyślałem, że od czasów mojej służby w Irlandii Północnej życie poszło daleko do przodu. Wtedy w reflektorze samochodu ukryty był aparat, robiący niewyraźne, czarno-białe zdjęcie za każdym razem, kiedy coś przerwało promień podczerwieni. Codziennie ktoś przychodził wymienić kliszę. Teraz stacja monitorująca MI-5 dostawała kolorowy obraz na żywo na panoramiczny monitor - bez wątplenia plazmę z kwadrofonicznym dźwiękiem.
- Ale czy to wystarczy? - naciskał Lassiter.
- Już mówiłam, Joe - odparła Felicity; w jej głosie pojawiło się zniecierpliwienie. - Doktor Samir może mieć radykalne islamistyczne sympatie, ale to nie robi z niego terrorysty. Jest pewna hierarchia ważności. Jeśli Phil i jego zespół odkryją coś więcej, oczywiście wrócimy do sprawy. - Spojrzała na wąskiego cartie

ra na nadgarstku. - Teraz, jeśli mi wybaczyście, muszę iść na drugie spotkanie, ^ sprawie podejrzanych, którzy wymagają bardziej niż twój, Joe.

Lassiter w końcu rzucił ręcznik i wstał, kiedy Felicity ruszyła do drzwi.

_ Mimo wszystko dobra robota, chłopaki - rzuciła na pocieszenie, wychodząc.

_ Cholerne babsko - sapnął Lassiter, kiedy Ciapat i ja wychodziliśmy za nim na korytarz. - Hierarchia ważności, sranie w banię. To dzisiaj modne słówko. W kółko tylko to słyszę.

_ Co mamy robić dalej, Joe? - spytałem, gdy doszliśmy do stanowiska ochrony.

Lassiter wciąż był wściekły, że jego plany zostały pokrzyżowane i minęło kilka sekund, zanim zebrał myśli.

- Wydaje mi się, że możemy skreślić panią Hudę i tego Murzyna, Leo Fryatta. Ale nie zrywaj z nim kontaktu, jeśli uważasz, że warto.

Kiwnąłem głową.

- Dave'a Evansa obserwujemy, a temu studentowi, Achtarowi Szachidowi, dopiero zaczęliśmy się przyglądać... Co z Younisem i doktorem Haszimem? Mamy ich zostawić, przejść do jakichś nowych podejrzanych?

Lassiter popatrzył na mnie, jakbym oszalał.

- Królowa Śniegu nie powiedziała, żeby ich zostawić, Phil, po prostu nie jest gotowa, aby przekazać śledztwo ludziom ze Służby... jeszcze - powiedział to tonem wyraźnie sugerującym, że któregoś dnia to zrobi. - Ja tu jestem kontrolerem i wiem, kiedy coś mi śmierdzi.

- W takim razie co mam z tym zrobić? - powtórzyłem. Chrząknął.

- Zastanowię się i skontaktuję z tobą.

Ciapat zaczekał, aż Lassiter oddali się korytarzem.

- Tak sobie myślę, że to bardzo nieszczęśliwy króliczek.

- A jak ty uważasz, Ciap? Co sądzisz o decyzji Felicity? Westchnął.

- Za dawnych czasów, zanim połowa muzułmanów w tym kraju stała się podejrzana o terroryzm, doktor Samir i Younis na pewno byliby bacznie obserwowani przez MI-5.

Kiedy to powiedział, po grzbiecie przeszedł mi niewytłumaczalny dreszcz.

Umówiłem się na spotkanie z Leem Fryattem w porze obiadu. Postanowiłem szerokim łukiem omijać Czarnego Psa, więc zaproponowałem hol w hotelu Ritz na Piccadilly. Leo prawie połknął swój telefon.

- Jaja pan sobie robi, panie Chan?

Uśmiechnąłem się, słysząc tę reakcję, i odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

- Co się stało, Leo, czy muzułmański wojownik nie zasługuje na trochę luksusu na tym świecie?

- Tak, jasne, ale Ritz... To ten bajerancki hotel na zachodzie, tak?
 - A więc o nim słyszałeś?
 - Jasne.
 - Masz garnitur?
 - Teraz to naprawdę pan sobie robi jaja!
 - W porządku, Leo. Na sportowo, ale elegancko. Żadnych džinsów i adidasów? Dasz radę? Spotkamy się w holu o pierwszej. Niedaleko jest niezła libańska restauracja. Ja stawiam, w porządku?
 - E, no, jasne...
 - W życiu jest coś więcej niż tylko Czarny Pies i McDonald's - powiedziałem i się rozłączyłem.
- O pierwszej czekałem na niego w holu Ritza. Spotkania w holach hoteli to ulubiona sztuczka wszystkich wywiadowców - kręci się w nich tyle ludzi, że krótkie spotkanie dwóch kolejnych osób nie zwraca niczyjej uwagi. Poza tym większość dużych hoteli w Londynie ma przynajmniej jednego członka personelu, dyrektora albo konsjerża, na liście płac MI-5, żeby mieli oko na podejrzanych gości czy pomagali dostawać się do ich pokojów. Oczywiście nie miałem pojęcia, kto może pracować w Ritzu.

Kiedy Leo się pojawił, byłem przyjemnie zaskoczony, że naprawdę się posta-**J**ł. Miał na sobie modną koszulę z krótkimi rękawami w kolorach tęczy, bawełniane spodnie i zamszowe mokasyny. Efekt psuły trochę włosy zaplecione w warkoczyki i krótki kucyk, ale początek był niezły.

Kiedy podszedłem do niego, rozglądał się nerwowo, jakby się spodziewał, że lada chwila wyrzuci go ochrona. Ja miałem na sobie lniane spodnie i taką samą lekką marynarkę. Leo nie poznał mnie, dopóki nie stanęliśmy twarzą w twarz.

- Cześć, Leo.
 - O, cześć, panie Chan. - Zmarszczył brwi. - Mówił pan, że tu nie będziemy jeść?|B
 - Zgadza się. Lubisz libańską kuchnię?
 - Nigdy nie próbowałem.
 - Najlepsze arabskie jedzenie pod słońcem. Oczy mu się zaświeciły.
 - Muzułmańskie?
 - W Libanie mieszkają muzułmanie i chrześcijanie - odparłem i ruszyliśmy do wyjścia.
- Przeszliśmy Piccadilly do Fachreldine, znajdującej się na pierwszym piętrze z panoramicznym widokiem na Green Park. Leo otworzył usta i wytrzeszczył oczy, widząc przepych restauracji, lustra, złocenia i czerwoną skórzaną tapicerkę.
- Hej, super. Często pan tu przychodzi, panie Chan?
 - Od wielkiego dzwonu - odparłem szczerze. - Byłem tu po raz pierwszy parę lat temu na służbowym obiedzie. Zawsze lubiłem tutejsze jedzenie i obsługę.

Nie dodałem, że nigdy nie byłoby mnie stać na ceny restauracji West Endu, kie-**B**dy miałem wojskową pensję.

Szef sali się uśmiechnął, ostentacyjnie nie zwracając uwagi na fryzurę Lea, i zaprowadził nas do stolika pod oknem, skąd mieliśmy widok na drzewa i trawniki Green Park.

- Co pan dziś poleca? - spytałem, kiedy podał nam menu.

- Proponowałbym wołowinę w sosie z granatów - odparł bez wahania. Spojrzałem na Lea.

- Masz ochotę?

Gangster, mały maczo, był przerażony, ale usiłował zrobić dobrą minę do złej gry.

- Jasne, czemu nie?

Ja wybrałem zapiekankę z jagnięciny z orzechami pinii i zamówiłem butelkę białego wina.

- Wina? - zdziwił się Leo, kiedy kelner zniknął. - Myślałem, że pan nie pije alkoholu? Tak jak wtedy w pubie.

- Piję tylko wino do obiadu, Leo. To część posiłku. Nie kupuję tych bzdur fundamentalistów. - Uśmiechnąłem się lekko, widząc osłupienie na jego twarzy. — Dlaczego picie sfermentowanego soku z owoców miałoby być grzechem... jeśli nie zawładnęło twoim życiem?

- Imamowie mówią co innego.

- Radykalni imamowie mówią różne rzeczy - odparłem. - Twierdzą że dobrze jest się wysadzać w powietrze, zabijać i okaleczać niewinnych ludzi, bo nie wyznają naszej religii. Tak jak większość religii na świecie w tym czy innym czasie, islam został zawłaszczony przez część swojego duchowieństwa, które zdobyło w ten sposób władzę i bogactwo. -

Popatrzyłem Leowi spokojnie w oczy nad stołem. - Słyszałeś kiedyś, żeby jakiś mułła chciał się wysadzić?

W tym momencie zjawił się kelner ze schłodzoną butelką libańskiego wina i nappełnił nasze kieliszki. Kiedy poszedł, Leo podniósł swój.

- A więc jest pan pewien, że można? Kiwnąłem głową i uniosłem kieliszek.

- Za Allacha Miłosiernego.

Leo uśmiechnął się niezręcznie i upił łyk. Sądząc po jego kwaśnej minie, nie gustował w winach.

- No, za Allacha.

- Powiedz, Leo, dlaczego chciałeś się ze mną zobaczyć?

- Mówił pan, że ma kontakty. Może ci ludzie mogliby mi załatwić... - konspiracyjnie ściszył głos - ...porządne wojskowe szkolenie.

Wydąłem usta.

- Ach, tak, chyba coś takiego mówiłem.

- To pan nie mówił poważnie? - Rozczarowanie w jego głosie było bardzo wyraźne.

~ Mówiłem poważnie, Leo. Tyle że to nie takie proste. ~ Co to znaczy, panie Chan?



- Musiałbyś zasłużyć **się** czymś organizacji. Pokazać, że jesteś godny zaufania, masz honor, godność i odwagę. Leo wyraźnie nie zrozumiał.

- Jakiej organizacji?

Pozwoliłem sobie na enigmatyczny uśmiech.

- Myślę, że wiesz, o **kim** mówię. Otworzył szeroko oczy.

- Chodzi panu... - Przestraszył **się** własnego głosu i zniżył go do ledwie szeptu. - ...o Al-Kaidę?

Nie odpowiedziałem wprost.

- Potrzebna jest twoja pomoc.

- Moja? Jak **ja** mogę pomóc? - Nagle zmarszczył brwi. - Nie chcę **się** wysadzać. I Podniosłem palec do **ust**, widząc kelnera zbliżającego **się** z naszymi **daniem**.

Poczekalem, **aż** sobie pójdzie.

- Rozumiesz, że organizacja, o której mówię - powiedziałem - to **tak** naprawdę bardziej siatka. Przywództwo centralne może

organizować strategię, **ale** taktyka to **1** dzieło innych, w różnych krajach. Czasami przywództwo jest proszone o **usankcjonowanie** jakichś działań i doradztwo, **ale** większość tego, co **się** dzieje w **jego** imieniu, pozostaje poza jego kontrolą.

Leo podejrzliwie szturchnął widelcem wołowinę **na** talerzu.

- Nie, chyba o tym **nie** wiedziałem, panie Chan.

- Cóż, Leo, przywództwu coraz bardziej **się nie** podoba to, co **się** robi w **jego** imieniu. Jedenasty września, największy **atak** terrorystyczny wszech czasów, **był** wystarczająco wymowny. - Przerwałem, starając **się**, żeby to zabrzmiało przekonująco. - Dlatego przywództwo uważa, że zamachy w Londynie i Madrycie **mogą już** być kontraproduktywne.

Pokonawszy wstępną obawę, Leo z apetytem pałaszował wołowinę w granatach, i

- Niby jakie były... - wymamrotał z pełnymi ustami - ..kontr... coś tam?

- Zaczęły alienować innych muzułmanów w tych krajach, sprawiły, że poczuli **się** odizolowani - powiedziałem. -

Przywództwo potrzebuje ludzi, którzy wiedzą | co **się** dzieje w radykalnych społecznościach muzułmańskich. Godnych zaufania ludzi, który potrafią mieć oczy otwarte, a usta zamknięte. Takich **jak** ty.

- Ja? Ja **nie** wiem.

- Jesteś w Armii Allacha. Jeśli jakiś narwaniec planuje coś głupiego, **przy-**wództwo chce o tym wiedzieć. Wtedy będzie mogło do tego **nie** dopuścić, **albo** pomóc przez naszych ekspertów, by wszystko zrobić, **jak** należy.

Leo pochłonął już swój posiłek i odsunął talerz.

- To brzmi **jak** szpiegowanie moich braci, panie Chan. Pokręciłem głową.

- Nie, Leo. To rodzaj pomocy **dla** nich i **dla** przywództwa. To także pomoc **sprawi** islamu. Nie umiesz postępować **tak**, **jak** twoi koledzy kryminaliści w Czarnym Psie.

Dobrze trafiłem. Widziałem, że Leo spodobała się myśl, że byłby traktowany przez przywództwo Al-Kaidy lepiej niż jego kumple pokroju Mustufy.

- A więc mam infiltrować, tak?

- Nie, myśl o sobie jako o tajnym współpracowniku przywództwa. Trochę byś się rozejrzył. Dasz radę?

Ku mojemu zaskoczeniu, Leo dolał sobie wina.

- Jasne, panie Chan, chyba się dogadamy.

Właśnie pożegnałem się z moim nowym rekrutem, kiedy zadzwoniła moja komórka.

To był Joe Lassiter.

- Gdzie jesteś, Phil?

- Stoję na Piccadilly - odparłem - i gapię się na dziewczyny.

- Masz czas na spotkanie? Myślałem. Zabrzmiało to złowieszczo.

- Nie mam żadnych konkretnych planów na resztę popołudnia. Muszę niedługo rozliczyć VAT...

Lassiter uznał to za „tak”.

- Słuchaj, przydałoby mi się trochę świeżego powietrza. - Wymienił mały pub w Westminsterze. - Do zobaczenia na miejscu za pół godziny.

Szybko się rozłączył, nie dając mi szansy na wykręty.

Zostałem Lassitera siedzącego przy małym stoliku pod markizą przed pubem, z kuflem jasnego piwa.

Podniósł wzrok i uśmiechnął się do mnie.

- Zamów sobie drinka, Phil. Wyglądasz, jakby ci się przydał. Och, a ja poproszę o dolewkę - dodał, kiedy ruszyłem do drzwi. - Zdrowie.

Znów gładko naciągnięty przez Lassitera, kupiłem mu drugie piwo, a sobie dużą colę z lodem. Na razie miałem dość alkoholu. Oczywiście Lassiter natychmiast to zauważył.

- Przecież to nie Wielki Post.

- Jeśli coś ukułeś, Joe - odparłem - chcę móc jasno myśleć. Uśmiechnął się.

- A więc, co robiłeś od naszego spotkania z Królową Śniegu dzisiaj rano?

- Byłem na obiedzie z Leem Fryattem.

- Tym czarnym chłopakiem.

- Jak wiesz, uważa, że jestem powiązany z Al-Kaidą. Zaproponowałem mu mformowanie nas o wszystkich psotach, jakie Armia Allacha może planować...^w zamian za szkolenie wojskowe, jeśli udowodni swoją przydatność.

Lassiter kiwnął głową.

- Może się okazać użyteczny. I zwerbowany pod fałszywą flagą podoba mi się to.

109

Wypiłem duży haust zimnej coli.

- Mówiłeś, że myślałeś, Joe. O czym konkretnie?

Lassiter spróbował piwa ze świeżego kufła, robiąc sobie wąsy z piany.

- Felicity nie przekaze sprawy Akmala Younisa do biura bez nowych dowodów. A więc miejmy go na celowniku i zdobądźmy je.

- A co z tym, że interesuje się nim skarbówka? Lassiter nieustępliwie pokręcił głową.

- To jedna z rzeczy, nad którymi się zastanawiałem. Nie wydaje mi się, żeby to był powód tych tajemnic i podejrzanego zachowania. Przedsiębiorcy ciągle są sprawdzani przez skarbówkę, to normalka. I każdy ma coś do ukrycia. Nawet jeśli to coś większego, nie przesyłają sobie szyfrowanych wiadomości i nie mawiają na sekretne spotkania w parku z doradcami. Z mojego doświadczenia wynika, że robią raczej wszystko jawnie.

Znałem Joego Lassitera od dawna i mimo jego wielu wad oraz irytującego spoty soku bycia był w swojej robocie dobry - miał nosa do takich spraw.

- Nie wiem, czy na tym poziomie obserwacji możemy zdobyć coś więcej. Przecież Jazz udało się nawet zjeść z nim długi obiad i nie dowiedziała się absolutnie nic. A jeśli Jazz nie potrafi wywęszyć czegoś podejrzanego, to nikt nie potrafi.

- Zgadzam się - powiedział Lassiter. - Dlatego chcę podbić stawkę.

- To znaczy?

- Włamać się do jego domu i powęszyć. To mnie zaskoczyło.

- Włamać? Kto się włamie?

- Wy.

Niewiele brakowało, a oplułbym go colą.

- Co? Nie wierzę, że to właśnie powiedziałaś. Przecież po to właśnie chcieli-śmy, żeby Felicity przekazała tę sprawę waszym chłopcom. Zawodowcom.

- Dasz radę, wiem o tym. - Obstawał przy swoim nieugięcie.

- Oszczędź mi fałszywych pochlebstw, Joe - warknąłem. - Dałbym radę. Ro-biłem takie rzeczy parę razy w Irlandii Północnej. Ale wyszedłem z wprawy...

- Weź ze sobą Jazz - odparł chytrze. - Była w Det. Dla niej to będzie jak jazda; na rowerze. Nie zapomniła.

- Nie jestem wcale pewien, czy Jazz się zgodzi - odparłem. - Nie jest już w wojsku. A już na pewno Felicity nie zgodziłaby się na taką akcję.

Lassiter zrobił nagle ponurą minę.

- Królowa Śniegu nie musi się zgadzać, Phil. Ja jestem twoim kontaktem w biurze, nie ona. Ja się nią zajmę... po fakcie.

- Nie bądź taki mądry - odparłem szorstko. Lassiter zmrużył oczy.

- Widziałeś zdjęcia ludzi rannych w zamachach w Londynie?

Kiwnąłem głową.

- Trochę w telewizji.

- W telewizji nie pokazywali tego, co ja widziałem, koleżko. - Przez chwilę Lassiter był bardzo blady, a jego gniew, raz w życiu, wydawał się całkowicie autentyczny. - Zdjęcia ze szpitali. Zmasakrowane twarze, oderwane ręce i nogi... przypadkowi ludzie, których życie zmieniło się w czyszciec. W porównaniu z nimi zabici chyba mieli szczęście.

Pokręciłem głową.

- To moralny szantaż, Joe, i doskonale o tym wiesz.

- Moralny szantaż to najłagodniejsza z rzeczy, które bym zrobił, żeby nie dopuścić do następnych zamachów - warknął. -

Younis jest w coś zamieszany, choćby marginalnie. Czuję to w moczku.

- Może i masz rację - powiedziałem - ale wciąż uważam, że powinieneś najpierw przekonać swoje szefostwo.

Rzucił mi zniecierpliwione spojrzenie.

- Czy ty masz w ogóle wyobrażenie, jak to jest w biurze? Bo wydaje mi się, Phil, że nie masz. Wszyscy biegają jak kurczaki z odrąbanymi głowami. Po szyję są unurzani w rzekomych podejrzanych o terroryzm, raportowanych przez policję i ludzi z ulicy. Biuro po prostu nie wyrabia, a do tego dochodzą właśnie między departamentami i klótnie, jeszcze gorsze przez to, że jest teraz tyle kobiet!

Lassiter wsiadł na swojego konika, a ja już nie mogłem go powstrzymać.

- Mówiłem ci, że Felicity jest na noże z Meduzą Melissą Thornton, jej szefową. Felicity chce zająć miejsce tamtej i Melissa o tym wie. Nie może się doczekać, kiedy Felicity powinie się noga! Felicity uszedł na sucho rajd na mułkę Redę, ale tylko dlatego, że miała jakieś efekty! Dlatego właśnie nasza droga Królowa Śniegu nie będzie ryzykować, poświęcając moce przerobowe biura bez wystarczających dowodów.

To mogłem zrozumieć.

- Ale co z tobą Joe?

- Felicity mnie nie lubi, zwyczajnie. Kobiety nie działają i nie myślą jak mężczyźni. To wystarczający powód, żeby mnie wylać. Przenieść do archiwum czy gdziekolwiek indziej. Jestem tu tylko dlatego, że mamy takie cholerne braki kadrowe - przerwał, żeby napić się piwa. - Ale jeśli zdobędę dla Felicity jakiś wynik...

- Możecie zostać najlepszymi kumplami? - dokończyłem. Skrzywił się, słysząc mój sarkazm.

- Mogę zachować swoją cholerną robotę.

Dopiłem colę i zakręciłem dzwoniącymi kostkami lodu w szklance.

- Rozumiem to, Joe. Szkoda tylko, że nie mogę ci pójść na rękę.

Zapadła nieprzyjemna, złowroga cisza. Wyjąłem puszkę tytoniu i zacząłem zwijać skręta.

- Wpadłem przedwczoraj na Ninę - powiedział nagle Lassiter. - Tuż po wyj. ściu od ciebie. Mówiłem ci? Jego słowa uderzyły mnie jak piorun. Od razu zrozumiałem, do czego zmi rza.
- Nie, ale ona mówiła. Lassiter szeroko się uśmiechnął.
- Wspomniałem jej, że dla mnie pracujesz. Wydawała się bardzo zainteresowana. Ciekawiło ją ile ci płacę.
- Powiedziałaś jej? - Myślę, że słyszał w moim głosie brzmienie bliskie paniki.
- Oczywiście, że nie, kolego. Ale wiesz, ta twoja Nina potrafi być bardzo przekonująca. Zaprosiła mnie, żebym w tym tygodniu poszedł z nią na drinka.
- I pójdziesz?
- To zależy.
- Czemu dobrze wiedziałem, od czego zależy?
- Joe - spytałem - urodziłeś się już skończonym draniem, czy musiałeś *na* tym jeszcze pracować?
- Lassiter uśmiechnął się tylko i podniósł szklankę.
- Chyba mam czas na jeszcze jedno.

7

Wśród wieczorem, kiedy jechałem do domu Jazz w Putney, niebo było bezgwiezdne i szare.

Spojrzałem na zegarek na desce rozdzielczej wozu. Dochodziła północ, a Jaza mnie oczekiwała. Nie wiedziała, do czego jest mi potrzebna, ale powiedziałem jej wczoraj, że mogę potrzebować jej pomocy w ważnej sprawie. A także, że nie mogę wchodzić w szczegóły. Zrobiła słodką minkę, dając mi do zrozumienia, że jestem idiotą bawiąc się w .sekrety i nie ufając jej całkowicie.

W normalnych okolicznościach miałyby rację. Ale nie powiedziałem jej, że nicy mogę wchodzić w szczegóły, bo wiem cholernie dobrze, że się nie zgodzi.

- Ubierz się na czarno - poradziłem enigmatycznie.
- W sukienkę wieczorową? - spytała złośliwie. - Czy w dzinsy i adidas?
- Nie stać mnie na bale, więc dzinsy i adidas.

Zaparkowałem przed jej domem na drugiego, ale zanim zdążyłem wysiąść z sa4 mochodu, Jazz otworzyła drzwi i zbiegła po schodach. Kiedy wsiadła, zobaczyłem, że spięła włosy i nie miała makijażu. Mimo to wyglądała oszałamiająco. Do dzinsów i adidasów włożyła czarny, bawełniany top z długimi rękawami.

Uśmiechnęła się.

- Będziemy kręcić reklamę Milk Tray?

- Coś w tym rodzaju - odparłem, ruszając.

- Teraz mnie dopieścisz szczegółami?

- To najlepsza propozycja, jaką dostałem w tym tygodniu.

Uderzyła mnie żartobliwie w ramię. Nie bolało, ale poczułem siłę, jaka się za tym kryła. Jazz wciąż była w niezłej formie.

- No to mów, Phil.

- Kiedy dojedziemy na miejsce - odparłem. Potem zmieniłem temat. - Nie miałaś problemu z załatwieniem opieki dla Zoe?

- Nie, mówiłam ci, rodzice Ricarda zawsze bardzo chętnie opiekują się swoim małym skarbem. Strasznie ją rozpuszczają.

- Twój mąż wciąż się nie odzywa? - spytałem swobodnym tonem.

- Nie - odparła ochryplym głosem.

- Jego rodzice nie mieli od niego żadnej wiadomości?

- Nie, powiedzieliby mi.

- Dziwne. Troskliwy facet, lekarz...

- To się zdarza, Phil, bez przerwy. Niektórzy mężczyźni tłumią swoje problemy, nie dają rady, a potem znikają. Akta policji pełne są zaginionych osób, wiesz o tym.

- Myślałaś o rozwodzie?

- Posłuchaj, Phil, nie chcę o tym rozmawiać. - W jej głosie było już słycać irytację. - Dobrze?

Kiwnąłem głową.

- Oczywiście, przepraszam. Wyciągnęła rękę i dotknęła mojego kolana.

- Ja też. Nie chciałam tak na ciebie warczeć. Zerknąłem na nią z ukosa.

- Wciąż mi na tobie zależy, wiesz? I to bardzo.

Choć odwróciłem szybko wzrok z powrotem na drogę, wiedziałem, że się uśmiechnęła.

- Wiem.

Umilkliśmy. Jechałem na północ; ruch na ulicach malał, w miarę jak stolica zaczynała szykować się do snu. Często odzywało się upiorne wycie policyjnych syren. Może to była tylko moja wyobraźnia, ale miałem wrażenie, że w mieście dużo się dzieje.

- Dokąd jedziemy, Phil? - spytała w końcu Jazz. - To droga do domu Akmała Younisa.

Nie było już sensu zaprzeczać.

- Lassiter chce, żebyśmy się dokładniej rozejrzeli.

- Mówiłeś, że szefowa jego sekcji położyła mu szlaban.

Zamach na prezydenta

- On twierdzi inaczej - odparłem. - Jego szefowa nie poprze przejścia sprawy przez MI-5 bez bardziej konkretnych dowodów. To ma coś wspólnego z wewnętrzną polityką biura.

- Nie ufam temu człowiekowi.

- Jest w porządku - skłamałem, żeby dodać jej otuchy.

Byliśmy już bardzo blisko domu Younisa i Jazz zrobiła się nerwowa.

- Powiedziałeś, że Lassiter chce, żebyśmy dokładniej się rozejrzeli. Co to konkretnie znaczy?

Starłem się mówić swobodnie, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem.

- Rozejrzeć się po jego domu.

- Co? Włamać się? - Zatkaną ją. - Younis jest w domu?

- Tak, Ciapat stoi na warcie. Zdjęli mu gips i pali się do jakiejś prawdziwej roboty. Younis na pewno śpi jak dziecko. Według jego karty lekarskiej co wieczór bierze zopiclon na bezsenność.

- Jak dotarłeś do jego karty?

- Przez Lassitera.

Zatrzymałem się na końcu uliczki i wyłączyłem silnik. Jazz popatrzyła na mnie ze złością.

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego, Phil. To nieprofesjonalne i głupie. I mo-j że okazać się niebezpieczne.

- Sama oceniłaś, że Younis nie jest groźny - przypominałem. I było to wredne.

- A jeśli się mylę? Jestem samotną matką zapomniałaś o tym?

- Younis to przemiły gość, wszyscy o tym wiemy. Nawet jeśli jest w coś zamieszany, to nie jest typ skłonny do przemocy. Jazz przygryzła dolną wargę.

- Nie wiem, zaskoczyłeś mnie i chyba lepiej nie licz na moją pomoc.

- Nie mogę, Jazz, jesteś nam potrzebna.

- Do czego?

Podniosłem skórzane zawiniątko i rozwinąłem je, ukazując rząd kieszonek z dziesięcioma różnymi wytrychami.

- Ja sobie z tym nie radzę, ty tak.

- Younis ma psa - odparowała.

- Labradora. Może nas zaliżać na śmierć. Poza tym... - podniosłem wilgotną foliową torebkę - ...zajmiemy się nim. Mięso ze środkiem nasennym. Dostanie smaczny kąsek i wyśpi się za wszystkie czasy.

Jazz pokręciła głową.

- Ty naprawdę nie żartujesz, co?

- Tak, i przykro mi, Jazz, ale w naszej branży nie można grymasić. - Nie rozbawił jej mój żart, więc dodałem: - Potrzebujemy twoich umiejętności. A ty wiesz przecież, że ja nigdy bym cię nie naraził na żadne niebezpieczeństwo.

Nie odpowiedziała, skrzyżowała tylko ręce na piersi i wbiła wzrok w przednią szybę. Wykorzystałem sposobność, by wyjąć nasze nowe radia krótkiego zasięgu.

- As Kierownicy do Deltę Jeden, odbiór... Głos Ciapat dobiegł z oddzielnej słuchawki. _ Delta Jeden się zgłasza, odbiór.

- Chodź do nas, Delta Jeden. Odbiór.

- Zrozumiałem. Zaraz będę. Bez odbioru.

Kilka chwil później Ciapat pojawił się na rogu ulicy i podszedł do furgonetki. Otworzyłem moje drzwi.

- Jak tam w terenie, Ciap? Uśmiechał się od ucha do ucha.

- Jest bardzo cicho i spokojnie. Wszyscy sąsiedzi, którzy wcześniej wyszli, już wrócili.

- A jak noga?

- Cudownie, tylko trochę sztywna. - Zajrzał do szoferki. - Cieszę się, że jest pani z nami, panno Jazz. Pan Phil bał się, że może nam pani nie pomóc.

Jazz spojrzała na mnie, skrzywiona.

- Doprawdy?

- Proszę się nie martwić. Jestem pewny, że to bezpieczne. Pies biega luzem po domu. - Ciapat spojrzał na mnie. - Ma pan mięso? Ach, świetnie, w takim razie proponuję, że włożę je przez otwór na listy w drzwiach. Zaczekamy piętnaście minut, zanim ruszycie. Jeśli pies zaszczeka, zczekamy następne pół godziny, aż znów się wszystko uciszy.

- Tak jak ustalaliśmy? - spytałem. - Przez płot z boku i przez tylne wejście kuchenne.

Ciapat pokiwał głową biorąc ode mnie torbę z mięsem.

- Tak będzie najlepiej. Mam zaczynać? Obejrzałem się na Jazz.

- Tak?

- Chyba tak - odparła niechętnie.

Kiedy Ciapat z entuzjazmem ruszył, aby wykonać swoje zadanie, sięgnąłem do schowka i wyjąłem dwie czarne welniane kominiarki. Podałem jedną Jazz, a ona wepchnęła ją do tylnej kieszeni spodni.

- Nie daruję ci tego, Philipie Mason.

Spojrzałem na nią zdając sobie sprawę, że głupio się śmieję.

- Naprawdę mnie kochasz.

- Czyżby? - Dołki na jej policzkach robiły się coraz głębsze, zdradzając uśmiech, którego nie mogła powstrzymać. - Milcz, Phil, zanim powiesz coś, czego oboje będziemy żalowali.

Wzruszyłem ramionami. Prawdopodobnie miała rację. Czekaliśmy więc w milczeniu. Po pięciu minutach Ciapat potwierdził przez radio, że mięso zostało

115

22

podrzucone. Pies nie zaszczekał. Nasz człowiek pozostał na posterunku, u pod żywoplotem sąsiada. Wydawało mi się, że elektroniczny zegar na desce rozdzielczej miga coraz wol-) niej, a piętnaście minut trwało chyba wieczność. Z rzadka przejeżdżały samochody, ale żaden nie skręcił w uliczkę, na której mieszkał Younis. Było zupełnie pusto.

W końcu skinąłem głową Jazz.

- Idziemy.

Owionęło nas chłodne, nocne powietrze, kiedy razem ruszyliśmy chodnikiem.! Wziąłem ją za rękę.

- Powoli, jak kochankowie - powiedziałem. - Pościskamy się tuż za jego do-! mem. W tym cieniu.

Objęła mnie w pasie.

- Dobra.

Niebo wciąż było zasnute nisko płynącymi, ciężkimi chmurami, zasłaniający! mi gwiazdy. Tylko latarnie dawały słabe oświetlenie i tworzyły cienie wokół żywoplotów, drzew i filarów bram. W jednym czy dwóch domach widać było w oknach charakterystyczne niebieskie migotanie telewizora albo komputera, używali ich ci, którzy nie mogli spać. Było zupełnie cicho, nie licząc nerwowego warkotu silnika w oddali. W czymś ogrodzie zamiauczał kot.

Dom Younisa był ciemny. Minęliśmy go i zatrzymaliśmy się pod zwisającymi) gałęziami drzewa, odwracając się twarzami do siebie. Objąłem Jazz, czując pod dłońmi jej smukłą talię. Jej bardzo duże i piękne oczy znalazły się bardzo blisko mnie.

Wydawały się przewiercać mi czaszkę swoim przeszywającym spojrzeniem, jakby starała mi się przekazać niewypowiedziane myśli. Zanim się zorientowałem, moje wargi zmiażdżyły jej usta. Nie opierała się, rozchyliła je i tylko mocniej ścisnęła mnie za ramiona.

- Boże, tyle czasu minęło - usłyszałem własny szept.

- Tyle czasu-powtórzyła jak echo.

W słuchawce usłyszałem nagle głos Ciapata.

- Teren czysty. Szybko, szybko, szybko!

Zakląłem bezgłośnie i odsunąłem się, wciąż czując w ustach jej smak. Jazz **poA** patrzyła na mnie, lekko uśmiechnięta, i kiwnęła głową. Odwróciłem się, przesadziłem niski, ozdobny żywoplot i trzymając się w cieniu bocznego płotu ogrodu, ruszyłem przez trawnik. Słyszałem Jazz idącą tuż za mną.

Drogę zagrodziła nam zamknięta boczna furtka i kolejny płotek, zwieńczony tre-; jazem. W rogu, gdzie dwa płoty się stykały, stały dogodnie dwa kosze na śmieci. Wskoczyłem na jeden z nich, a potem podciągnąłem się nad trejażem, który zakóły-sał się i zaskrzypiał, ale wytrzymał, i zeskoczyłem na trawnik po drugiej stronie.

Przykucnąłem i popatrzyłem na dom, szukając śladów życia. Czekałem, **aA**Jazz przejdzie za mną. Po kilku sekundach wylądowała lekko obok mnie. Bez słowa oboje włożyliśmy kominiarki.

Na wprost mieliśmy po dwie pary okien, dolne od salonu, górne od sypialni, oba z zaciągniętymi zasłonami. Z tyłu było okno od kuchni i drzwi na rogu budynku. Tamtędy mieliśmy się dostać do środka.

Czując strach, jaki musi czuć szczur opuszczający bezpieczny cień, popędziłem przez trawnik za domem na brukowane patio. Wiedzieliśmy już, że nie ma tu oświetlenia z fotokomórką ani alarmu, co zdecydowanie ułatwiało nam zadanie. Brak zabezpieczeń w domu Younisa to nawet jeden z wcześniejszych argumentów Jazz, że Younis nie jest grubszym graczem w terrorystycznej grze. A ja, muszę przyznać, byłem skłonny się z tym zgodzić.

Kiedy dotarliśmy do kuchennych drzwi, przytrzymałem kieszonkową latarkę, oświetlając dziurkę od klucza.

- Przynajmniej to standardowy zamek - powiedziała Jazz. - Trzeba być na bieżąco z takimi rzeczami, wiesz.

Zręcznie włożyła w otwór jeden z wytrychów. Przez kilka sekund gmerała nim i kręciła; sekundy wydłużyły się w minutę, potem dwie.

- To dobry wytrych? - spytałem szeptem.

- Dawno tego nie robiłam - mruknęła.

- Daj, ja spróbuję - powiedziałem, biorąc od niej narzędzie. Wepchnąłem haczyk w dziurkę, obróciłem go i niemal natychmiast, ku swojemu zaskoczeniu, usłyszałem szczęk zapadek.

- Miałaś fart - powiedziała Jazz. - Chyba wyszłam z wprawy.

Kiedy nacisnąłem klamkę, drzwi się otworzyły. Zobaczyłem drogą terakotę i dębowe szafki w kuchni. Wszedłem do środka i szybko omiotłem pomieszczenie snopem światła z latarki. Brązowy labrador leżał rozciągnięty na podłodze i mocno spał.

- Szczęśliwa psina - mruknąłem, wiedząc, że Jazz jest tuż za mną.

Byłem przekonany, że człowiek taki jak Younis, prowadzący dobrze prosperującą firmę, będzie miał w domu mały gabinet albo biuro. Zamierzałem dowiedzieć się czegoś o jego działaniach z plików komputerowych i papierów zostawionych na wierzchu właśnie tam. Ale najpierw musiałem je znaleźć.

Otworzyłem wewnętrzne drzwi do kuchni i wyszedłem na korytarz. Był gustownie urządzony antycznymi meblami. Stało tu sporo azjatyckiej ceramiki i małych rzeźb, a na ścianach wisiały obrazy przedstawiające dzikie, pyliste górskie pustkowia - być może Kaszmir. Nacisnąłem mosiężną klamkę pierwszych drzwi i oświetliłem latarką jadalnię ze wspinałym mahoniowym stołem, przy którym z łatwością zmieściłoby się dwanaście osób. W rogu stał kredens pełen delikatnej Porcelany i najróżniejszych kieliszków, a także szuflad na sztućce, podkładki pod talerze i inne drobiazgi dla gości.

Ale nie było tu nic, co by mnie interesowało. Następne drzwi w korytarzu prowadziły do salonu z trzema wygodnymi, miękkimi skózanymi kanapami stojącymi wokół niskiej ławy. W przeciwnym rogu pokoju stał bardzo duży

telewizor plazmowy. Obok stary sekretarzyk. Jego pulpit na zawiasach był otwarty i zawalony papierami. Sięgnąłem do kieszeni czarnych bojówek, wyjąłem mały aparat Polaroid i zrobiłem szybko zdjęcie biurka i tego, co na nim leżało, aby potem móc ułożyć dokumenty, dokładnie tak, jak były. Położyłem zdjęcie na telewizorze i zacząłem przetrząsać papiery. Jazz świeciła mi latarką. Pobieżne oględziny ujawniły, że informacja Felicity Goodall o finansach Younisa była prawdziwa. Znalazłem pół tuzina listów z urzędu skarbowego i inne od jego księgowych i prawników.

Ułożyłem wszystko z grubsza, tak jak znalazłem, i przeszedłem do wnąk i szuflad sekretarzyka. W jednej znalazłem długopisy, ołówki, spinacze do papieru i tym podobne rzeczy. W innych leżały rachunki za media, osobiste odręcznie pisane listy, które wyglądały tak, jakby przysłała je rodzina i krewni z Pakistanu, dowód rejestracyjny samochodu, polisa ubezpieczeniowa, paragony za różne rzeczy do domu i najróżniejsze domowe papiery. Komputera nie było.

Zerknąłem na Jazz i pokręciłem głową. Tu były tylko osobiste dokumenty Younisa. To, co dotyczyło jego firmy albo jakichś podejrzanych przedsięwzięć, musiało się znajdować gdzieś indziej. Posługując się fotką z polaroidu odłożyłem wszystko na swoje miejsce i schowałem fotografię do kieszeni.

Wyszliśmy z powrotem na korytarz, a ja bezgłośnie pokazałem Jazz, że idziemy na górę. Oczywiście autoryzowana operacja MI-5 posiadałaby plany domu Younisa, zdobyte potajemnie od wykonawcy jego domu albo z wydziału architektury, ale ponieważ Joe Lassiter w tym przypadku grał solo, musiałem się domyślić rozkładu pokoi. Zgadywałem, że są tam trzy spore sypialnie, z których jedna prawdopodobnie pełniła rolę gabinetu.

Dotarłem do schodów i ruszyłem w górę, stawiając stopy na zewnętrznych krawędziach stopni, tam, gdzie drewno najmniej skrzypi. Niezgrabnie, ale szybko wspiąłem się na górę. Wiedziałem, że pierwsze zamknięte drzwi to sypialnia Younisa, bo światło w niej zawsze gasło ostatnie.

Dalej dostrzegłem otwarte drzwi do łazienki. Jeśli był tu jakiś gabinet, to mia- i łąm do wyboru jeszcze dwoje drzwi.

Przekradłem się cicho po dywanie i delikatnie ujmując klamkę, łagodnie uchylilem pierwsze z nich.

Nie wiem, kto był bardziej zaskoczony, ja czy mężczyzna w ciemnym ubraniu, stojący przed małym biurkiem, który najwyraźniej właśnie odłączał laptop. Nieznajomy odwrócił się gwałtownie w moją stronę, ale w ciemności nie widziałem żadnych szczegółów jego twarzy. Szarpnął komputer, wyrrywając kabel z gniazdka, i skoczył prosto na mnie.

Uderzył mnie barkiem prosto w pierś, popychając na otwarte drzwi, brutalnie przedarł się obok Jazz i pobiegł do schodów.

Otrząsnąłem się szybko, nie zwracając uwagi na ból, i skoczyłem na niego jak rugbista. Chwyciłem go za łydki; runął na dywan jak zrąbane drzewo. Niejasno zdałem sobie sprawę, że laptop wyleciał mu z rąk i z trzaskiem upadł na schody.

Musiałem chwilę lżej trzymać nogi mężczyzny, bo jego but wylądował nagle na mojej twarzy. Gdyby nie miał gumowych podeszew, chyba straciłbym przednie zęby. A tak poczułem tylko ciepło krwi, która buchnęła mi z nosa. Potem zerwał się na nogi i rzucił do schodów; podniosłem się niepewnie i pobiegłem za nim, najszybciej jak mogłem. Ale kiedy znalazłem się na korytarzu na dole, usłyszałem tylko trzask frontowych drzwi. Zahamowałem, łapiąc dech. Chryste, co za katastrofą! Nawet nafaszerowany tabletkami na sen Younis musiał się obudzić po czymś takim.

Odwrociłem się i zerknąłem na schody. Gdzie, do cholery, jest Jazz? Czy nie rozumie, że musimy uciekać? Przecież Younis może być uzbrojony.

- Złaż na dół! - krzyknąłem, rezygnując z ostrożności.

Nagle, ku mojemu zaskoczeniu, zapaliło się światło w korytarzu na górze. Jazz stała na szczycie schodów i patrzyła na mnie. Twarz miała bardzo bladą.

- Phil, lepiej chodź tutaj.

Wszedłem z powrotem na schody. Jazz stała w otwartych drzwiach sypialni Younisa.

- Co się stało? - spytałem.

- Zobacz - odparła ochryplym głosem.

Wyminąłem ją. Younis leżał na plecach na środku podwójnego łóżka, w szarej, jedwabnej piżamie. Patrzył w sufit, z twarzą białą jak marmur na tle mokrej czerwonej poduszki. Równo wywiercona dziurka na jego czole mówiła wszystko. Przypalone ciało sugerowało, że zastrzelono go z bardzo niewielkiej odległości. Rana wylotowa musiała być potworna; zobaczyłem strzępki szarej materii w grubej warstwie krwi.

- Słodki Jezu - mruknąłem.

- Wątpię, żeby zdążył się zorientować, co się dzieje - powiedziała Jazz. - To chyba jakieś pocieszenie.

Zerknąłem na nią.

- A zatem Joe miał rację. Younis był w jakiś sposób powiązany z terrorystami.

- Był także człowiekiem, Phil. - Odwróciła się. - I to w głębi ducha porządnym człowiekiem, tak myślę.

Nie zamierzałem się z nią spierać. Kobiety chyba czasami patrzą z innej perspektywy niż mężczyźni. Wyjąłem więc z kieszeni komórkę i zadzwoniłem do Lassitera. Odebrał natychmiast.

- Joe, jesteśmy na miejscu. Wszystko wzięło w łeb. Znaleźliśmy naszego człowieka martwego.

- Cholera! - Chwila ciszy. Prawie słyszałem, jak obracają się trybiki w jego mózgu. - Samobójstwo?

- Nie. Spłoszyliśmy intruza, który uciekł. Co mamy robić?

Długo milczał. Zastanawiałem się, czy kombinuje, jak wyjaśnić to wszyst- ko Królowej Śniegu i zachować posadę.
- Nie ruszajcie się stamtąd, Phil. Poślę wydział specjalny do współpracy z lokalnymi glinami. Niczego nie ruszajcie.
Rozłączył się. Odwróciłem się do Jazz.
- Mamy czekać. Nie była zadowolona.
- Wiedziałam, że to kiepski pomysł.
- Przepraszam.
- W porządku - powiedziała, zmuszając się do pocieszającego uśmiechu. -Żadne z nas nie wiedziało, że do tego dojdzie. -
Wtedy zauważyła stan mojej twarzy. - Boże, Phil, nic ci nie jest?
- Tylko krew z nosa, nic mi nie złamał. Chyba już nie leci.
- Będziesz miał jutro niezłe limo. Wyszedłem z powrotem na korytarz.
- Chodźmy na dół i ściągnijmy tu Ciapa.
Kiedy zesliśmy na dół, znalazłem laptop. Upuścił go powalony uciekający intruz. Kłapa oderwała się od klawiatury, a ekran był strzaskany. Jazz pochyliła się, żeby go podnieść.
- Lepiej zostaw go gliniarzom - powiedziałem. - DNA i tak dalej.
Wtedy zauważyłem kawałek mięsa pod drzwiami wejściowymi. Ten sam stek, który Ciapat wepchnął przez otwór na listy - niezjedzony. Otworzyłem drzwi. Niemal natychmiast w furtce pojawił się mały Pakistańczyk i potruchtał ścieżką w moją stronę.
- Dobry Boże, co tu się do cholery dzieje?
- Widziałeś mężczyznę, który stąd wybiegł? - spytałem, wpuszczając go do środka.
- Oczywiście. W pierwszej chwili myślałem, że to pan.
- Widziałeś jego twarz? - spytałem, zamykając drzwi.
- Nie. Było o wiele za ciemno.
- I nie gonieś go? Spojrzał na mnie dziwnie.
- Oczywiście, że nie.
Zapomniałem. Szpiedzy sająk szczury, trzymają się cienia, gdzie ich nie widać. Nieprzyjemna myśl, ale byłem w nieprzyjemnym nastroju.
- Younis został zamordowany we własnym łóżku - powiedziałem. - Przed chwilą znaleźliśmy ciało.
Ciapat wytrzeszczył oczy i otworzył usta.
- Pan za... Nie, oczywiście, że pan nie żartuje!... A ten człowiek...?
- Intruz - wyjaśniła Jazz. - Spłoszyliśmy go, kiedy próbował ukraść laptop Younisa. Prawdopodobnie to on jest mordercą.

- Rozmawiałem z Lassiterem - dodałem. - Wysła tu chłopców z wydziału specjalnego.

Ciapat pokiwał głową.

- Oczywiście. To zdumiewające.

_ Pewnie nie masz przy sobie piersiówki? - spytałem nagle.

- Jestem Pakistańczykiem. Muzułmaninem. Odwróciłem się i ruszyłem do kuchni.

- W takim razie zrobię herbatę. Muszę się czegoś napić. Ciapat potruchtał za mną.

- Czy to roztropne? Może pan zatrzeć ślady.

- Wątpię, czy intruz zaparzył sobie czajniczek herbaty. Zaryzykuję.

Kiedy wszedłem do kuchni i zapaliłem światło, przypomniałem sobie psa. Wciąż leżał tam gdzie przedtem, tyle że teraz zobaczyłem kałużę krwi. Nie posmakował naszego steku, bo był martwy. Teraz dostrzegłem także otwarte okno z futryną wgniecioną w miejscu, gdzie ktoś użył łomu.

W elektrycznym czajniku była woda, więc tylko go włączyłem. Tak jak się domyślałem, nikt nie odmówił kubka herbaty.

Staliśmy w kółku, ściskając kubki i pokrzepiając się gorącym naparem, nie rozmawiając, każde z nas sam na sam ze swoimi najbardziej skrytymi myślami.

Minęło może pięć minut, kiedy usłyszeliśmy zbliżające się upiorne wycie policyjnej syreny. Dołączyło do niej następne, tworząc wariacką kakofonię, coraz bliższą aż cyrk nadjechał.

- Pójdę im otworzyć - powiedziałem i wyszedłem na korytarz.

Ale się spóźniłem. Za szybą drzwi zobaczyłem pulsujące niebieskie światło, a potem drzwi otworzyły się z trzaskiem pod uderzeniem trzymanego przez dwóch policjantów stalowego taranu. Do środka wpadli funkcjonariusze z bronią w hełmach i kamizelkach kuloodpornych.

- Uzbrojona policja! - wrzeszczeli. - Uzbrojona policja! Znieruchomiałem zdumiony, wciąż ściskając kubek z herbatą.

Pierwszy policjant machnął na mnie hecklerem & kochem.

- Na ziemię! Już!

- Och, odpieprz się - odparłem lakonicznie. - Morderca dawno uciekł. Ale nie z nim takie sztuczki.

- Już! - wrzasnął.

Niechętnie położyłem się na podłodze. Wykopano mi z rąk herbatę, a potem bezceremonialnie przewrócono na brzuch i rozsunięto nogi. Niecierpliwe palce zaczęły szukać u mnie broni.

W końcu udało mi się podnieść głowę, kiedy podszedł do nas Ciapat ze swoją legitymacją MI-5.

- Służba Bezpieczeństwa - powiedział cicho. - Wszystko w porządku, ten człowiek jest ze mną.

121

Zobaczyłem uśmieszek na jego twarzy, kiedy zerknął w dół. Za nim Jazz z trudem powstrzymywała śmiech.

Przyszło mi do głowy, że gdyby nie było z nami Ciapata, Joe Lassiter mógłby rzucić mnie i Jazz na pożarcie, żeby ratować własną skórę. Na pewno chętnie by to zrobił.

Kilka minut później odzyskałem godność i poznałem miejscowego detektywa, niskiego, krępego mężczyznę o siwej, łysiej głowie i wąsach tak gęstych, że wyglądały jak martwa fretka. Nazywał się Potter i patrzył na nas z podejrzliwością kiedy Ciapat mu wszystko tłumaczył.

- Jedzie tu już wydział specjalny - powiedział Pakistańczyk. - Obawiam się, że nie mogę odpowiedzieć na żadne pytania, dopóki się tu nie zjawią. Na pewno pan rozumie, to sprawa bezpieczeństwa narodowego.

Potter wyraźnie nie rozumiał nic a nic. Miał na sobie coś, co wyglądało jak garnitur zdjęty z nieboszczyka, a jego koszula podejrzanie przypominała górę od pizamy.

- Dobrze, jeśli wam to nie przeszkadza - powiedział - moi ludzie zamkną ulicę, a ja sam zobaczę scenę zbrodni.

Ciapat pokręcił lekko głową i uśmiechnął się.

- Oczywiście. Na piętrze, pierwsze drzwi po lewej. Potter chrząknął i ruszył ku schodom.

- Cholernie podejrzane - mruknął pod nosem.

Policjanci i technicy policyjni rozeszli się po całym domu; było ich tylu, że można by urządzić imprezę.

Potem przyjechał kontyngent wydziału specjalnego, arogancy i pewni siebie ludzie w sportowych ciuchach. Dowodził nimi inspektor Ian Proctor, oficer, którego poznaliśmy w Thames House na pierwszej odprawie. Wciąż był rozczochrany, nieogolony i najwyraźniej od ostatniego spotkania dalej nie widział słońca.

Podszedł prosto do mnie.

- Co ja panu mówiłem, panie Mason? Tutaj nie ma miejsca na kozaczenie, pamięta pan?

Kiwnąłem głową uśmiechnąłem się i nic nie powiedziałem.

- I co to ma być? Nielegalne włamanie? A potem znajdujecie trupa podejrzanego o terroryzm. I ja ten cholerny bałagan muszę posprzątać.

- Tylko wykonywaliśmy polecenia - odparłem spokojnie.

- Czyje? - Prychnął z pogardą. - Nie mów mi pan... Lassitera. To cholerny" szkodnik, nieobliczalny. Mam wielką ochotę pozwolić Potterowi zamknąć was wszystkich troje na noc na dołek, żeby dać i wam, i Lassiterowi nauczkę.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, kiedy usłyszałem nowy głos.

- Znów wzywasz mojego imienia nadaremno, Ian? Proctor się odwrócił, odrobinę skruszony.

- Cześć, Joe. Mówię tylko, że twoi przyjaciele mają szczęście, że nie zostali aresztowani jako podejrzani o morderstwo. Naprawdę powinieneś trzymać ich na krótszej smyczy.

Zdumiewające, bo Lassiter miał doskonały nastrój.

- No cóż, Ian, czasami trochę ich ponosi. Dam im żółtą kartkę. Inspektor chrząknął.

- A ja chcę ich widzieć jutro o dziewiątej na przesłuchaniu w Paddington Green.

Jęknąłem w duchu, ale Lassiterowi nasze niewygody nie przeszkadzały.

- Nie ma problemu, Ian.

Potem odwrócił się do Jazz, Ciapata i mnie i gestem kazał nam iść za sobą do jadalni, gdzie nie było policji. Proctor poszedł za nami. Lassiter zapalił światło i oparł się o krawędź stołu.

- Rozmawiałem z Królową Śniegu, już tu jedzie - oznajmił. - Z początku nie była zbyt zadowolona, ale jeszcze się wtedy do końca nie obudziła. Potem dotarło do niej, że to potwierdzenie, że Akmal Younis był jednak zamieszany w coś podejrzanego.

- A więc jesteś kryty? - zauważyłem z sarkazmem. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Może nawet zaskarbiłem sobie punkcik albo dwa. Dlatego powiedzcie inspektorowi i mnie, co się tu dokładnie stało.

Szybko streściłem przebieg wydarzeń. Lassiter podrapał się po nieogolonej brodzie.

- A więc ktoś się włamał, chociaż Ciapat obserwował dom od zachodu słońca?

Pakistańczyk kiwnął głową.

- Nic nie widziałem, Joe. Musiał przeleźć przez płot za domem. Ogród przylega tam do chodnika.

- Czy to znaczy, że cię widział? Uświadomił sobie, że Younis jest obserwowany?

Ciapat wzruszył ramionami.

- Tego nie wiem.

- I nie widziałeś dobrze zabójcy, kiedy wybiegał przez frontowe drzwi? - wtrącił Proctor.

- Nie, było za ciemno. Tyle tylko dostrzegłem, że był średniego wzrostu i szczupłej budowy. Pomyślałbym, że to młody człowiek. Sprawny fizycznie. Prawdopodobnie poniżej czterdziestki.

Proctor odwrócił się do mnie.

~ Pan się na niego natknął, panie Mason, pamięta pan coś? ~ Była tylko poświata od latarni na zewnątrz - wyjaśniłem - i trwało to tylko krótką chwilę, zanim się na mnie rzucił.

- Mógł być Azjatą albo z Bliskiego Wschodu?
- Przykro mi, nie umiem powiedzieć.
- Ja też nie widziałam jego twarzy - dodała Jazz. - Zauważyłam tylko, że był ubrany na czarno. Może miał kombinezon.
- A więc uważacie, że kiedy przyjechaliście, on był już w środku i zdążył zastrzelić psa? - spytał Lassiter.
- Na to wygląda - potwierdziłem.
- Jestem zaskoczony, że strzał nie obudził Younisa, nawet jeśli pies tego nie zrobił - mruknął w zamyśleniu Proctor. - Podejrzewam więc, że morderca użył broni z tłumikiem.
- A Younis co wieczór brał tabletki na sen - przypomniałem.
- Czyli intruz wspina się na schody - ciągnął Lassiter - strzela do Younisa w łóżku, a potem idzie odłączyć laptop... i pojawiacie się wy dwoje. Musieliście go śmiertelnie przestraszyć.
- On nas też - powiedziałem.
- Przynajmniej upuścił to cholerstwo. - Lassiter odwrócił się do Proctora. ¹ Będzie mi potrzebny twardy dysk, łan. Czy twoi technicy mogą szybko zrobić swoje i mi go oddać?
- Nie ma problemu, Joe. Lassiter popatrzył na mnie.
- To się może wszystko łączyć z tamtą kłótnią której byłeś świadkiem w parku, między Younisem a doktorem Samirem. Co on takiego według ciebie powiedział, że ma dość?
- Dość czego? - spytał Proctor.
- To właśnie jest pytanie - odparł Lassiter. - Dość zaangażowania w komórkę] terrorystyczną? Był zmuszany, szantażowany w jakiś sposób?
- Wyciągasz pochopne wnioski - skarcił go Proctor.
- Ale czy to by było coś wystarczająco poważnego, by tłumaczyć dzisiejsza wydarzenia? - spytałem. - Jeśli Younis zaczynał się wyłamywać, jak mogliby zareagować?
- Lassiter powoli się uśmiechnął.
- Pozbyć się go oraz wszystkich obciążających materiałów, jakie miał. Na przykład komputera.
- Proctor pokręcił głową nie przekonywały go takie spekulacje.
- A kim konkretnie jest ten człowiek, z którym Younis się podobno spotkał?
- Doktor Haszim Samir - powiedziałem. - Wykładowca ekonomii i informatyki w Imperial College. W przeszłości powiązany z Husajnem Nawedem.
- Ach, Nawed - odparł Proctor. - Ten Syryjczyk, którego podobno widział p w Leicester przedwczoraj. Koordynator Al-Kaidy.
- Wszystko to może być ze sobą powiązane - rzucił Lassiter.

- Sugerujesz, że ten doktor Samir jest głównym podejrzanym o zamordowanie Younisa?

- No, jeśli mnie przeczcucie nie myli, to oczywiście - odparł Joe. - Może nie osobiście, ale może je zlecił. Kłopot w tym, że dopiero zaczęliśmy go obserwować, więc nie mamy pojęcia, jaką może w tym wszystkim odgrywać rolę.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Otworzył je mundurowy policjant, który odsunął się, wpuszczając Felicity Goodall niosącą elegancką skórzaną teczkę. Chociaż Królowa Śniegu została wyrwana z łóżka w środku nocy i tak wyglądała oszałamiająco, świeżo i rześko, jak prosto z pudełka. Blond włosy opadały jej na ramiona, a szykowny, szaroniebieski lniany kostium pasował do pantofli na wysokich obcasach. Makijaż miała idealny.

Nie traciła czasu, podeszła od razu do Lassitera.

- No, Joe, lepiej się dobrze wytłumacz.

Lassiter z entuzjazmem zaczął opowiadać o nocnych wydarzeniach, podsumowując wnioskiem, do którego wszyscy zaczęliśmy się przychylić. Felicity słuchała uważnie i nie przerywała.

- Chyba jednak miałeś rację, Joe - powiedziała w końcu. - Z pewnością mamy teraz wszystkie dowody poszlakowe, jakich nam trzeba, żeby zrobić z tego oficjalne dochodzenie Służby Bezpieczeństwa. - Odwróciła się do Proctora. - Doktora Samira mamy już na podsłuchu. Jeśli się zgodzisz, łan, chciałabym urządzić skoordynowany poranny nalot na jego dom. A także na wszystkie restauracje sieci Younisa. Trzeba będzie przesłuchać cały jego personel.

- Oczywiście mogę aresztować Samira o świcie - powiedział Proctor - ale proponuję, żebyśmy do restauracji wkroczyli około południa. Wtedy cały personel kuchni i kelnerzy będą najprawdopodobniej w pracy. Inaczej wieść się rozniesie i ktoś może prysnąć.

- Słuszna uwaga. - Felicity postawiła teczkę na stole i otworzyła ją. - Mam tutaj listę wszystkich adresów i numerów telefonów.

Proctor wziął kartkę i zerknął na zegarek.

- Od razu biorę się do roboty, będę cię informował.

Kiedy wyszedł, Felicity uśmiechnęła się i popatrzyła na nas czworo.

- Dobra robota. Nie mogę pochwalać podejścia Joego, sam dobrze o tym wie. Włamanie się na czyjś teren przez kogoś spoza Służby Bezpieczeństwa jest całkowicie nielegalne, poza tym takie rzeczy lepiej zostawiać naszym ekspertom i robić z właściwymi pozwoleniami. Ale przynajmniej na coś trafiliśmy. Chociaż to sam Początek.

- Jeśli to część siatki terrorystycznej - powiedziałem - miejmy nadzieję, że zapobiegliśmy kolejnemu zamachowi.

Felicity uważnie mi się przyjrzała.

~ Przyjemna myśl, ale na pewno są inni... Dobry Boże, Phil, coś ty sobie zrobił w twarz?

- Intruz wpełznął mi stopę w nos. Skrzywiła się.
- Musi boleć. Nie płacimy ci, żebyś grał bohatera, Phil, pamiętaj o tym na przyszłość. A teraz pewnie mielibyście ochotę pojechać z nami do domu doktora Samira, co?

Uśmiechnąłem się.

- No pewnie - powiedziałem, chociaż Ciapat wyglądał, jakby nie do końca podzielał mój entuzjazm.

Jazz stłumiła ziewnięcie.

- Przepraszam, chłopaki, nie pojadę z wami. Mam dość, muszę wracać do domu.

- Weź furgonetkę - powiedziałem. - Złapię potem taksówkę.

- Dzięki - odparła. - Do zobaczenia jutro.

- Dobra robota - powiedziała Felicity, kiedy Jazz wychodziła, a potem odwróciła się do Ciapata i do mnie, mówiąc: - Do tej pory to była wasza sprawa, dlatego się cieszę, że możecie z nami jechać. Możecie zauważyć coś, co wydział specjalny przeoczy. - Spojrzała na swój elegancki zegarek. - Spodziewam się, że Ian zorganizuje nalot około piątej, więc nie musimy długo czekać.

- Muszę zadzwonić do żony i powiedzieć jej, żeby się nie denerwowała - powiedział Ciapat. - Jeśli się obudzi i zobaczy, że mnie jeszcze nie ma, urządzi mi piekło.

Po nocnych wydarzeniach powinienem się czuć zdruzgotany, ale teraz włączyła mi się adrenalina.

Siedziałem obok Felicity w jej granatowym mercedesie z przyciemnionymi szybami. Ciapat usiadł z tyłu. Jechała szybko, prawie agresywnie, bez przerwy rozmawiając przez zestaw głośnomówiący. Najpierw skontaktowała się z centrum podsłuchowym, żeby sprawdzić, czy kamera ukryta w samochodzie naprzeciw domu doktora Samira zarejestrowała jakiś ruch. Monitory potwierdziły, że od powrotu z pracy poprzedniego wieczoru nie wychodził z domu. Zakładano, że śpi w domu razem z żoną i dzieckiem. Nie było żadnych podejrzanych telefonów pod jego numer domowy ani jedyny numer komórki na kartę, jaki znaleźliśmy, choć wiedzieliśmy, że w tej chwili i tak jest już pewnie bezużyteczny. Przejrzenie list klientów operatorów komórkowych nie wykazało żadnego innego numeru zarejestrowanego na jego nazwisko.

Potem Felicity porozmawiała z inspektorem Proctorem, aktualizując swoją wiedzę o planach nalotu, jeszcze potem zaś ze swoją szefową wydziału i straszliwą rywalką Melissą Thornton. Bez wątplenia wieści o nadchodzącym aresztowaniu miały być przekazane do ministerstwa, by przygotowano je na jutrzejsze konferencje prasowe.

Za piętnaście piąta dotarliśmy do punktu zbornego policji, parkingu pubu, około 4 kilometrów od domu doktora Samira. Wszędzie pełno było samochodów i policjantów,

niektórych w jaskrawożółtych kamizelkach drogówki, innych - z jednostki antyterrorystycznej - w granatowych kamizelkach kuloodpornych i natowskich hełmach. Proctor poznał mercedesa Felicity, odłączył się od grupki rozmawiających detektywów po cywilnemu i podszedł do nas.

- Wchodzimy o piątą - potwierdził. - Zespoły szturmowe są gotowe do zajęcia pozycji. Snajperzy już kryją front i tył domu. A z żoną i dzieckiem w środku nie spodziewamy się większych kłopotów. Najgorszy scenariusz byłby taki, gdyby Samir spróbował ich użyć jako tarczy.

- Boże broń - powiedziała Felicity.

- W każdym razie, jeśli poczekacie tutaj, zadzwonię po was, kiedy tylko zabezpieczymy teren. Dobrze?

Felicity kiwnęła głową i zaczęło się irytujące czekanie. Parking nagle opustoszał - policjanci ruszyli do akcji. Miałem wrażenie, że zegar na desce rozdzielczej działa w zwolnionym tempie. Niebo wyraźnie pojaśniało, a ptaki rozpoczęły swój poranny koncert.

Radio mercedesa było podłączone do policyjnej sieci, chociaż w eterze panowała całkowita cisza, kiedy rozpoczęto operację. A potem nagle:

- Lider do Sekcji Niebieskiej, ruszaj, ruszaj, ruszaj!

Oczami wyobraźni zobaczyłem antyterrorystów, przycupniętych pod wysokim murem okalającym trzypiętrowy, wiktoriański budynek wynajmowany przez doktora Samira, którzy nagle wpadają przez furtkę, przebiegają przez mały ogródek i wpadają na schody. Odskakują na bok, z hecklerami & kochami w pogotowiu, a dwaj z nich szykują się, żeby uderzyć stalowym taranem w zamek...

- Wstrzymać ogień! Co jest...? Nagle usłyszeliśmy głos Proctora.

- Co się stało?

- Kobieta i dziecko w drzwiach... - Potem oficer przeskoczył z powrotem w tryb szturmowy. - Uzbrojona policja! Uzbrojona policja! Nie ruszać się!

Zapadła nagle cisza.

- Cholera! - zakląła Felicity i włączyła silnik. - Jadę tam.

Kilka minut później skręciliśmy w ulicę, przy której mieszkał doktor Samir i zatrzymaliśmy się przed taśmą policyjną. Było tam już sporo gapiów, większość w szlafrokach, obudzonych przez nagłe zjawienie się tylu pojazdów i policjantów.

Niebieskie koguty upiornie pulsowały; przeszliśmy pod taśmą i przecisnęliśmy się między stojącymi wszędzie funkcjonariuszami. Kiedy dotarliśmy do furtki domu Samira, akurat wyszedł z niej Proctor.

~ Dom właśnie został zabezpieczony - zameldował. Na twarzy miał wyraz zdumienia. - No, to było coś. Żona doktora Samira już na nas czekała. Otworzyła nam drzwi. Całkowicie opanowana, spojrzała tylko na wycelowaną w siebie broń¹ zaprosiła policjantów na herbatę!

- Cwana lisica - stwierdziła Felicity i zmarszczyła brwi. - A doktor Samir, niech zgadnę...
- Wyleciał z gniazdką. Skoro mieliście kamerę nad frontowym wejściem, musiał przysnąć jakoś inaczej.
- Co jeszcze powiedziała jego żona?

- Jeszcze nic. Specjalny zespół kobiecy właśnie zabiera jej córeczkę.

W tym samym momencie w furtce pojawiły się dwie policjantki; jedna niosła na rękach trzylatkę ze śladami łez na policzkach. Lizak, który dziecko trzymało w ręku, miał widać uspokajający efekt, bo mała przestała płakać.

- Dobra, chodźmy - powiedział Proctor. Ciapat i ja posłusznie podreptaliśmy za nim i Felicity.

Żona doktora Samira siedziała na kanapie w salonie. Nad nią stał detektyw sierżant mundurowa policjantka. Była drobną skromną kobietą po trzydziestce, ubraną w długą suknię i tradycyjny czarny czarczaf. Okolona chustą twarz była bardzo spokojna i pięknie umalowana. Pani Samir użyła do makijażu szminki, tuszu do rzęs i cienia do powiek. Z pewnością nie wstała przed chwilą z łóżka.

- Jestem detektyw superintendent Proctor, z wydziału specjalnego - oznajmił policjant i wskazał na nas. — To są ludzie ze Służby Bezpieczeństwa.

Wyraz twarzy kobiety się nie zmienił.

- Bardzo miło mi państwa poznać. Proponowałam filiżankę herbaty państwa kolegom, ale odmówili. A może państwo się napiją?

Naćpana czy jak, pomyślałem.

- Nie przyszliśmy tu na herbatę, pani Samir - odparł Proctor, z trudem skrywając gniew. - Przyjechaliśmy aresztować pani męża podejrzanego o działalność terrorystyczną.

Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

- Nie ma go tu i nie jest terrorystą

- A więc gdzie jest?

- Nie wiem.

- Wiemy, że wrócił do domu wczoraj wieczorem z uczelni - ciągnął Proctor. - Kiedy znów wyszedł?

Kobieta spojrzała na zegarek.

- Jakąś godzinę... nie, raczej półtorej godziny temu. Felicity zmarszczyła brwi.

- Wyszedł frontowymi drzwiami?

- Nie wiem, byłam jeszcze w łóżku.

- Proszę pani - odezwał się sierżant policji - możliwe, że przeszedł przez boczny mur na sąsiednie podwórko.

- To tłumaczyłoby, dlaczego nie złapała go kamera - dodał Lassiter.

- Czy powiedział coś, zanim wyszedł? - spytał Proctor.

128

- Tak, uprzedził mnie, że mam się spodziewać niedługo wizyty policji. Mam być gotowa i ubrana, i współpracować. -
Spojrzała Proctorowi w oczy. - I nie kłamać.
Felicity miała zatroskaną minę, a ja rozumiałem dlaczego.
- Dlaczego pani mąż miałby się spodziewać nalotu policji?
- Bo dostał telefon. To nas obudziło.
- Pod numer domowy? - spytał Proctor.
- Nie, na jedną z komórek. Ma dwie czy trzy służbowe, jedną do każdej działalności. Uczelnia, firma doradztwa informatycznego i usługi księgowo.
- Na którą zadzwoniono?
- Nie wiem, a on nie powiedział, od kogo był ten telefon.
- Nie sądzi pani, że to wszystko jest trochę podejrzanę? - spytała Felicity.
- Z początku tak myślałam - odparła spokojnie kobieta - bo wiem, że mój mąż nie jest terrorystą. Ale wyjaśnił mi, że wy, angielska policja, jesteście bardzo nerwowi i podejrzliwi wobec nas muzułmanów od tego pierwszego, strasznego zamachu w Londynie i całej reszty potem. Haszim powiedział, że z powodu jego niektórych służbowych znajomości z przeszłości możecie uważać, że jest w jakiś sposób powiązany z dżihadem.
Felicity się uśmiechnęła, ale w jej oczach mignęła stal.
- Skoro więc jest pani taka pewna niewinności swojego męża, dlaczego według pani tak się bał przesłuchania przez policję?
- Nie Haszim - odparła, rumieniąc się z oburzenia. - On się nie boi nikogo i niczego. Po prostu nie chce być trzymany miesiącami w areszcie bez procesu czy wysłany przez Amerykanów tajnym lotem za granicę i torturowany.
- Do tego by nie doszło - zapewnił Proctor.
- Ale bezpieczniej jest nie ryzykować. Wy, Anglicy, robicie wszystko, czego Amerykanie zażądają. - Uśmiechnęła się skromnie. - Kiedy znów zobaczę córkę? Dokąd ją zabraliście?
- Jest bezpieczna, zajęła się nią opieka społeczna - odparł spokojnie Proctor. - Tymczasem chciałbym, żeby towarzyszyła mi pani na posterunek, gdzie odbędzie się dalsze przesłuchanie.
- Oczywiście.
- Jeśli pojedzie pani z moim sierżantem, później z panią porozmawiam. Zona doktora Samira wstała i wyszła razem z detektywem i mundurową policjantką
Proctor odprowadził ją wzrokiem.
- Doskonale wie, co Samir zamierza - powiedział cicho. - Ale czy mogę to udowodnić?
- I czy możemy znaleźć samego Samira? - spytała Felicity.
- Zaalarmujemy wszystkie radiowozy, postawimy ludzi na dworcach, stacjach metra i lotniskach, w portach... jak zwykle.
Ale na razie dowody przeciwko nie-fnu są wciąż bardzo poszlakowe.
~ **Zamach na prezydenta**

Rozejrzałem się po pokoju.

- Może tutaj coś znajdziecie.

- Och, uwierz mi, Phil - zapewnił Proctor - rozbiorę ten dom cegła po cholernej cegle.

- Mnie martwi jeszcze coś innego - oznajmiła Felicity.

- To, że świętej pamięci Akmal Younis otrzymał ostrzeżenie, że jest śledzony, kiedy się wybierał na spotkanie z doktorem Samirem? A teraz Samir został ostrzeżony przed nalotem policji? - odezwał się Ciapat, po raz pierwszy od rozpoczęcia akcji. To samo przyszło do głowy mnie.

- Czy jest możliwe - spytałem - że Al-Kaida ma wtyczkę w policji? Proctor spojrzął mi w oczy.

- Tego zawsze obawialiśmy się najbardziej.

To działo się oczywiście w mojej wyobraźni, ale przysięgłbym, że temperatura w pokoju spadła nagle o kilka stopni. I poczułem, że włoski na karku zaczynają mnie świerzbić - a podczas służby w wojsku nauczyłem się im ufać bezgranicznie.

8

Pewna siebie mała suka - powiedziała Felicity Goodall, mieszając kostkę cukru w swojej czarnej kawie srebrną łyżeczką.

- Nawet jej powieka nie drgnęła. Wie, że nie możemy jej tknąć.

Felicity zaprosiła Lassitera, mnie i Ciapata na śniadanie w hotelu St Ermin's, niedaleko siedziby Nowego Scotland Yardu. Poziom adrenaliny opadł i doznaliśmy druzgocącego rozczarowania, kiedy odkryliśmy, że doktor Samir dał nogę, wszyscy więc mieliśmy ochotę trochę się uspokoić i zastanowić nad sytuacją.

- Jego żonka nie ukrywała nawet, że został ostrzeżony przez telefon - przypomniał kwaśno Lassiter. - Napawała się tym.

- Przestanie się napawać, kiedy go złapiemy - powiedziała Felicity i dźgnęła widelcem jajko sadzone i wędzonego łososia.

- Jakie są szanse? - spytałem.

Popatrzyła na mnie, jakbym jej złożył nieprzyzwoitą propozycję.

- Dorwiemy go. Lassiter odsunął pusty talerz.

- Przepraszam, szefowo, ale to może nie być takie proste. Jeśli stoi za nim Al- j -Kaida, może mieć autentyczne dokumenty potwierdzające jego nową fałszywą tożsamość. Ciekawe tylko, czy będzie próbował uciec z kraju, czy raczej ma po- j wód ukryć się gdzieś tu na miejscu?

- To znaczy, dopóki nie skończy operacji, którą planuje? - spytałem. Ciapat odpowiedział za Lassitera.

- Doktor Samir mógł bez trudu zniknąć w dowolnej muzułmańskiej społeczności w kraju. Jeśli nie robi hałasu i zajmuje się swoimi sprawami, nikt nie zwróci na niego uwagi ani nie będzie zadawał żadnych pytań. Te społeczności czują się teraz bardzo wyobcowane. Wcale nie jest pewne, czy ktoś by na niego doniósł, nawet gdyby podejrzewał, że to dżihadysta.

- Cholerna racja - zgodził się Lassiter. — Jankesom się wydaje, że wiedzą jak walczyć z terrorem. A potem muzułmanie w Ameryce i Europie oglądają wiadomości. .. Afganistan, Irak, Abu Ghraib, zatoka Guantanamo... dla nich ta lista nie ma końca. Wszystko to tylko nakręca młodych radykałów, by przyłączyli się do walki z rzekomym wrogiem. Z nami! Liczba potencjalnych podejrzanych, których musimy teraz obserwować, sięga tysięcy.

- Tak, tak, Joe - powiedziała ze zniecierpliwieniem Felicity - wszyscy wiemy, że mamy dużo pracy. I nie ma sensu spekulować, kiedy i jak dopadniemy Samira. Policja dopiero zaczęła przeszukiwać jego dom i biuro... Tymczasem bardziej martwi mnie ten cynk, który dostał. Musiało to przejść przez kogoś z policji, kiedy był organizowany nalot. W policji jest teraz sporo muzułmanów, a wystarczy jedno robaczywe jabłko...

Felicity umilkła, spoglądając ponad naszym stolikiem w stronę wejścia do restauracji. Kobieta, która właśnie się w nim pojawiła, była ubrana na czarno. Miała lśniące, czarne włosy, spięte w kok na karku, czarne spodnie, czarną jedwabną koszulę i czarne pantofle na wysokich obcasach. Była wysoka, szczupła i nosiła się z elegancją i pewnością siebie modelki „Vogue'a”.

Lassiter odwrócił się na krześle.

- Będą kłopoty - szepnął do mnie. - Nadchodzi Meduza... Te dwie się bynajmniej nie kochają.

Felicity wstała.

- Phil, to jest Melissa Thornton, szefowa wydziału.

Ciemne oczy o długich rzęsach spojrzały na mnie z bladej twarzy przekreślonej karmazynową szminką.

- Słyszałam o panu i pana zespole, panie Mason.

Nie zabrzmiało to jak komplement, a ja miałem się dowiedzieć, dlaczego, kiedy usiadła obok Felicity.

- I usłyszałam, co się stało, kiedy tylko weszłam rano do biura. Nieautoryzowane włamanie, odkrycie zwłok, a potem podejrzany dostaje cynk o policyjnym nalocie. Co tu się dzieje, do cholery?

- Włamanie było pomysłem Lassitera - odparła Felicity, nie wahając się wskazać ofiary. - Uznał, że ludzie Phila Masona mogą to zrobić nieoficjalnie.

- Mea culpa - przytaknął pokornie Lassiter.

Ale Melissa Thomton wciąż miała w celowniku swoją rywalkę.

- Dlaczego nie przekazałaś tego naszym ludziom?
 - Bo uważałam, że nie ma jeszcze dość dowodów, które sugerowałyby be: średnie związki z terrorystami.
 - A Lassiter uważał? Felicity kiwnęła głową.
 - To było jedno z jego słynnych przeczuć, które zazwyczaj się nie spraw-i dzają.
 - Ale tym razem miał rację, tak?
 - Na to wygląda.
 - Kim był zabity?
 - Niejaki Akmal Younis, pozornie szanowany pakistański restaurator. W późnym średnim wieku. Bardzo drugoplanowy podejrzany, właściwie tylko pop skojarzenie.
 - A ten doktor Samir, który dał nogę?
 - Kolejny drugoplanowy podejrzany, któremu przyglądał się zespół Phila. Odkryli, że Younis i doktor Samir znali się i odbyli potajemne spotkanie dwa dni temu. Okoliczności kazały nam wierzyć, że doktor Samir mógł kazać zamordować Younisa.
 - Dlaczego miałbyś chcieć jego śmierci? Przerwałem.
 - Obserwowałem ich tajne spotkanie. Jeśli należą do terrorystycznej komórki, możliwe, że Younis nie wytrzymał presji i chciał się od nich odsunąć.
- Melissa odwróciła się do Felicity i zmarszczyła brwi.
- Uważasz, że Samir sam zamordował ofiarę?
 - Bardzo mało prawdopodobne - odparła Felicity, kręcąc głową. - Raczej zlecił morderstwo.
 - W takim razie trzeba było zarządzić pełną obserwację doktora Samira, na Boga! A nie wysłać kowbojów!
 - Po morderstwie to nie było takie proste - wytknęła Felicity. - Nasi ludzie byli na miejscu zbrodni, a jak dotąd doktor Samir jest jedynym podejrzany. Policja ma obowiązek sprawdzenia go.
 - A więc jak Samir dostał cynk?
 - Właśnie o tym rozmawialiśmy. Według jego żony, przez telefon. Zielone oczy Melissy zwęziły się jak u kota.
 - To niepokojące. Czy ona dostanie jakieś zarzuty? Felicity wydeła usta.
 - Jeśli podczas przeszukania domu nie odkryjemy nic, co by ją obciążało, niej mamy niczego, co by się dało utrzymać. To twarda sztuka, łże prosto w oczy i wszystkiego się wypiera. Ale jeśli pozostanie na wolności, jest szansa, że zrobi się za bardzo pewna siebie.
 - I skontaktuje z mężem?

- Albo innym członkiem komórki - powiedziała Felicity, posyłając swojej szefowej skruszony uśmiech. - Kazałam ją obserwować, kiedy zostanie wypuszczona z Paddington Green.

Wyraz twarzy Melissy wyraźnie mówił, że na to już trochę za późno.

- Cóż, jeśli to jest nowa komórka, nie ma sensu spekulować, co mogła planować, dopóki nie zostaną przeszukane dom i biuro Samira.

- Dzisiaj będą też przeprowadzone naloty na wszystkie restauracje Younisa -dodał Lassiter.

Melissa wstała z krzesła.

- Mam tylko nadzieję, że tutaj też nikt nikogo nie ostrzeże. - Spojrzała na Felicity. - Informuj mnie na bieżąco, dobrze? Nie zapominaj, to ja za wszystko świecę oczami.

Nie wydała z siebie przeciągłego „miaaau”, ale wszyscy mieli takie wrażenie, że powinna. Potem odwróciła się szybko na swoich szpilkach i wyszła z restauracji na dziedziniec.

Felicity Goodall i ja wyszliśmy z hotelu ostatni. Na dworze było pochmurno i zapowiadał się kolejny kiepski dzień.

- Gdzie mieszkasz? - spytała, kiedy szliśmy przez parking hotelu St Ermin's. - W Brixton, prawda?

Czemu zrobiło mi się wstyd?

- To bardzo rozwojowa dzielnica - zażartowałem. Zaśmiała się tylko.

- Wiem. Ludzie po prostu pamiętają jej dawną reputację. Czarne getta i zamieszki. To było dawno temu. Podrzucę cię.

- Nie trzeba, dzięki. Wezmę taksówkę. Dotknęła mojego ramienia.

- Przestań, mam po drodze. A może boisz się ze mną jeździć?

- No co ty - skłamałem. - Gdzie mieszkasz.

Uniosła elektroniczny kluczyk i wcisnęła przycisk. Mercedes natychmiast posłusznie zamrugał światłami.

- W małym mieszkanku w Clapham, z widokiem na park.

- Ładnie.

- To prawda - powiedziała, otwierając swoje drzwi. - Mam świetny widok na biegaczy i złodziei... ach tak, i oczywiście na gejów. Kupiłam je po rozwodzie.

To mnie zabolowało. Wsunąłem się na fotel pasażera.

- Twojemu mężowi coś zostało? - spytałem.

Skrzywiła się kpiąco, odpalając silnik. Przynajmniej wydawało mi się, że kpiąco.

- Dość. W każdym razie więcej, niż zasługiwał.

- Czyli nie mieszka w kartonowym pudle i nie żywi się starymi sucharami. Zaśmiała się, włączając się w rzadki poranny ruch.

- Och, nie mój Edmund. Znany w mieście, wszędzie miał pochowane różne skarbczyki. Jestem pewna, że mój adwokat odkrył ich ledwie połowę.

- Chciałbym i ja tak móc - mruknąłem.

- Ach, to przynajmniej sugeruje, że jesteś uczciwym mężczyzną.

- Tak, uczciwym i obdartym.

- Żona robi ci problemy?

- Nina nie bierze jeńców. Nie wtedy, gdy w grę wchodzi pieniądze. Felicity zerknęła na mnie z ukosa.

- Nie chcę być wścibska, ale kto zażądał rozwodu? Czy to była wspólna decyzja?

- To była decyzja Niny. - Podrapałem się w zarośnięty podbródek, zastanawiając się nad tym. - Ale szczerze mówiąc, było mi to całkiem na rękę. Z naszym małżeństwem nie działo się dobrze od lat.

Znów się lekko zaśmiała.

- Dopóki się nie dowiedziałeś, ile cię to będzie kosztować? Uśmiechnąłem się ponuro.

- Muszę przyznać, że byłem zaszokowany, kiedy się dowiedziałem, do jakich pieniędzy ma prawo... część przyszłych zarobków i tak dalej. Nie spodziewałem się tego tak naprawdę.

- A więc ona nie pracuje.

- Nina ma uczulenie na pracę.

- W takim razie musimy zadbać, żebyś miał zyskowne zajęcie, prawda? Początki masz bardzo obiecujące. Joe mówił, że jesteś dobry.

Mój nastrój odrobinę się poprawił; do euforii było mi daleko, ale przynajmniej wyglądało na to, że szefowa Lassitera była zadowolona z moich dotychczasowych wysiłków.

- Pewnie macie dużo pracy - powiedziałem. Pokręciła głową w geście rozpaczy.

- Nie uwierzyłyś. Ponad dwa tysiące osób jest już obserwowanych, a ze społeczności muzułmańskich bez przerwy przychodzą nowe donosy. Ludzie podejrzewają swoich znajomych i sąsiadów. Cały kraj dostał chyba paranoi. Ale bardzo trudno oddzielić ziarno od plew. Nie mówiąc o tym, jakie to pracochłonne i kosztowne.

Minęliśmy Lambeth Bridge i jechaliśmy w stronę Brixton. Felicity prowadziła całkiem niezłe, była zrelaksowana, ale przy tym skupiona i czujna, choć jak na warunki miejskie jechała trochę za szybko. Dobrze przewidywała, zmieniała szybko pasy, kiedy widziała, że ma możliwość skrócić o kilka sekund czas podróży.

- Phil, tak się zastanawiam - powiedziała nagle. - Doktor Samir dał nogę, tak Jakie ma podejrzone powiązanie, o którym już wiemy?

- Pewnie chodzi o dawny związek z Husajnem Nawedem, który prowadził stronę internetową nazywaną się Strażnicy Raju - odparłem. - On mu ją zaprzętkował.

- Właśnie. Z tym samym Nawedem, którego, jak twierdzisz, spotkałeś, kiedy rozmawiałeś z tym byłym żołnierzem, Dave'em Evansem. A więc jeśli Evans może nas zaprowadzić do Naweda, jest spora szansa, że zaprowadzi nas też do Samira. Rozważyłem to. Brzmiało sensownie.

- Jeśli Samir i Nawed to starzy kumple, to prawdopodobne.

- Martwi mnie tylko to, że może się szykować coś dużego. Wiem, że to tylko przypuszczenie. Coś przeraziło restauratora Akmała Younisa i pojawiło się coś na tyle ważnego, by go zamordować za to, że chciał się wycofać. Doktor Samir znika w tym samym czasie, kiedy podejrzewamy, że Husajn Nawed nielegalnie wjechał do kraju. A wiemy, że Nawed jest koordynatorem Al-Kaidy.

- Przynajmniej macie teraz Evansa pod ciągłą obserwacją - powiedziałem. Wjechaliśmy na Brixton High Street, a ja pokazywałem Felicity drogę przez labirynt wąskich uliczek, aż zatrzymaliśmy się pod moim mieszkaniem. Felicity wyłączyła silnik.

- Chodzi o to, Phil, że znasz Evansa, prawda?

- To trochę za wiele powiedziane. Był na jednym z moich kursów w szkole snajperów, to wszystko. Kiedy spotkałem się z nim w zeszłym tygodniu, był dość zdenerwowany, nie powitał mnie bynajmniej z otwartymi ramionami.

- Oczywiście, w końcu miał się właśnie spotkać z Nawedem. - Felicity uniosła brwi. - Ale dał ci swój numer telefonu. Bardzo możliwe, że czuje się samotnie wśród tych wszystkich islamskich radykałów. Nieważne, jak sprzyja ich sprawie, to nie są jego ludzie. A jeśli angażuje się głęboko w coś niebezpiecznego... Może spotkanie dawnego instruktora z wojska to właśnie to, czego mu trzeba.

- Evans to nie jest gadatliwy typ - powiedziałem. Na jej twarz powrócił ten wspaniały uśmiech.

- Może o tym nie wiesz, Phil, ale to potwierdzony psychologicznie fakt, że praktycznie wszyscy mężczyźni muszą podzielić się swoim najbardziej mrocznym sekretem z przynajmniej jedną osobą. A kobiety nie.

- Przeróżające - powiedziałem żartobliwie.

- Dlatego może najważniejsze powinno być zajęcie się Evansem.

- Jasne.

- Zaprosisz mnie na kawę? Nie spodziewałem się tego.

- E, tak, oczywiście.

Zeszła ze mną po schodach do suterenu, a ja otworzyłem drzwi. Prowadząc ją do biura, słyszałem ciche stukanie klawiatury komputera.

- Cześć, Phil - pozdrowiła mnie Kate, podnosząc wzrok.

- To moja sekretarka i Piętaszek, Kate - powiedziałem.

Felicity wydawała się zaskoczona, jakby nie spodziewała się tu nikogo zastać.

- Miło mi. Jestem Felicity, koleżanka z pracy twojego szefa.

- Nastawię wodę... - zacząłem.

135

- Wiesz co, Phil, po namyśle jednak pojedę do domu i się prześpię. Tobie też by się przydało, wyglądasz na zmęczonego. Szczerze mówiąc, czułem się tak źle, jak wyglądałem. Miałem ochotę tyłk na sen.

- Na pewno...?

- Innym razem. Wpadnij do mnie któregoś wieczoru na drinka.

- Byłoby bardzo miło - powiedziałem. I naprawdę tak uważałem.

- Zadzwonię do ciebie.

Odwróciła się i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

- Co to za laska? - spytała Kate. - Twoja nowa dziewczyna?

- To, młoda damo, szefowa Joego. Złowroga Królowa Śniegu. Kate się zaśmiała.

- Na twoim miejscu bym na nią uważała. Jak się roztopi, to cię zmyje!

Po wyjściu Felicity Goodall padłem na łóżko i umarłem. Dopiero późnym popołudniem rozpoczęło się moje powolne smartwychwstanie. Ubierając się, żeby pójść do kuchni na kawę i kanapkę, usłyszałem głosy z biura.

Otworzyłem drzwi i zastałem Ciapata rozmawiającego z Jazz i Kate. Odwrócił się do mnie, szeroko uśmiechnięty.

- Śpi pan snem kogoś wyjątkowo sprawiedliwego, panie Philu.

Był tu już najwyraźniej od jakiegoś czasu, a wyglądał rześko i schludnie jak zawsze.

- Snem cholernie wykończonego - mruknąłem. - Jakim cudem z ciebie taki żywczyk?

- Życie bez nałogów - odparł. Z irytacją pomyślałem, że coś w tym może naprawdę być.

- Jak twarz? - spytała Jazz. - O! Wciąż jest trochę spuchnięta i zaczynają wychodzić siniaki.

Potarłem stłuczony policzek i nasadę nosa.

- Będę żył. Wiemy coś o nalotach na restauracje? Ciapat kiwnął głową.

- Rozmawiałem z inspektorem Proctorem. Wszystko idzie jak w zegarku. Dużo aresztowań, dużo podejrzanych o pracę na czarno.

- Tym razem nikt nikogo nie ostrzegł? - spytałem. Ciapat pokręcił głową.

- Ostrzegł? - powtórzyła Jazz.

- Nie słyszałaś? Kiedy policja pojechała aresztować doktora Samira dzisiaj rano, on zniknął. Według jego żony ktoś go ostrzegł przez telefon. Możliwe, że w policji jest jakiś przeciek.

Jazz zmarszczyła brwi.

- To niedobrze. Ktoś się domyśla, o kogo chodzi?

- Policja rozpoczęła dochodzenie - odparł Ciapat. - Ale to wymaga czasu. Tak samo jak nie od razu zobaczymy wyniki nalotu na restaurację.

- Tymczasem - powiedziałem - my musimy działać dalej. Rozmawiałem dziś rano z Felicity, chce, żebym spróbował przede wszystkim zbliżyć się bardziej do pave'a Evansa. Z założeniem, że mógłby nas doprowadzić do doktora Samira i Husajna Naweda.

- Evans jest już obserwowany przez Służbę Bezpieczeństwa - zauważył Ciapat z troskanym tonem. - Może pan przeszkodzić im w działaniach.

Pokręciłem głową.

- Nie mam zamiaru tego robić, Ciap. Po prostu starzy koledzy z wojska spotkają się na drinka. Może Evans coś chłapie.

- W takim razie uważam - powiedział Ciapat z namysłem - że powinien pan się spotkać z jego obserwatorami, żeby wszyscy wiedzieli, co się dzieje. Nie możemy sobie pozwolić na błędy.

Zgodziłem się, kiwając głową.

- Wiesz, kim oni są?

- Niezupełnie, ale mogę się dowiedzieć. Proszę mi to zostawić. Godzinę później miał dla mnie nazwisko.

- Jeff King. Pracowałem już kiedyś w jego zespole. To był porządny, sympatyczny facet. Właśnie z nim rozmawiałem. Skończył swoją zmianę i chętnie się z nami spotka.

- Kiedy? - spytałem.

- Wieczorem. Możemy iść do jego hotelu. Załatwi nam pokoje. Zerknąłem na zegarek. Było tuż po piątej.

- Do Leicester dojedziemy gdzieś na ósmą, wpół do dziewiątej. Musisz jechać do domu, żeby się spakować?

Ciapat pokręcił głową.

- Zawsze wożę torbę w samochodzie. Jestem gotowy.

- Daj mi pięć minut - powiedziałem.

Wróciłem do sypialni i wrzuciłem do małej walizki ubranie na zmianę i kosmetyczkę. Kiedy ją zapinałem, Jazz zapukała do drzwi i weszła.

- Co mam robić jutro, Phil?

- Skoro doktor Samir okazał się taki ważny, może powinnaś się zająć tym jego studentem, Achtaorem Szachidem - odparłem.

- Wiem, że według ciebie to nieodpowiedni materiał na terrorystę, ale nie możemy go tak od razu skreślić. Ponieważ tak dobrze ci poszło, może warto posondować jeszcze trochę. Spróbuj pociągnąć go za język, podziel się z nim jakimiś radykalnymi przemyśleniami. Zobacz, jak zareaguje.

- Jest bardzo nieśmiały wobec kobiet.

Wziąłem walizkę i ruszyłem do drzwi, kładąc Jazz lewą dłoń na ramieniu.

- W takim razie bądź dla niego miła.

Potem pocałowałem ją lekko w usta. Nie cofnęła się ani nie odwróciła, tylko się uśmiechnęła.

- Będę. Uważaj na siebie, proszę. Kiwnąłem głową.

- Do zobaczenia niedługo.

- Jest taksówka! - zawołała Kate.

Potem Ciapat i ja ruszyliśmy przez zalane deszczem londyńskie ulice w kierunku dworca Euston. Godzinę później zatłoczony pociąg Intercity ruszył na północ.

O ósmej trzydzieści meldowaliśmy się w hotelu Ramada na Granby Street w centrum Leicester. Zostawiliśmy bagaże w swoich pokojach i zeszliśmy do całkiem niezłego baru. Meble i boazerie były z jasnego dębu, stały tu też skórzane fotele i sofy.

Ciapat natychmiast dostrzegł Jeffa Kinga. Mężczyzna siedział sam przy stoliku we wnęce na prawo od baru, czytając gazetę. Kiedy podeszliśmy, podniósł wzrok i szeroko się uśmiechnął.

- Cześć, Ciap, stary draniu - przywitał się, wstając. - Co u ciebie, do diabła? Uścisnęli sobie dłonie.

- Już w porządku, dziękuję. King zerknął na nogi Ciapata.

- Widzę, że ci zdjęli gips. Czyli koniec z obijaniem się. Pakistańczyk uśmiechnął się uprzejmie i wskazał mnie ruchem głowy.

- To jest Phil Mason.

King przyglądał mi się chłodno przez chwilę. Miał jakiś metr osiemdziesiąt wzrostu i szerokie bary, był ubrany w niebieską sportową koszulkę i bawełniane spodnie. Krótko przycięte jasne włosy i wąsy zdradzały wojskową przeszłość, a wyraz jego gładko ogolonej twarzy pozostawał niepokojąco beznamiętny, kiedy uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Jestem Jeff- powiedział i prawie się uśmiechnął. - Napijesz się czegoś?

- To najlepsza propozycja, jaką dzisiaj słyszałem.

Kilka chwil później usiedliśmy wokół stolika we wnęce, z dala od innych gości.

- A więc jesteś wolnym strzelcem - powiedział King tonem sugerującym lekką dezaprobatę.

Postanowiłem go poprawić.

- Były snajper i korpus wywiadu.

- Snajper. - King uśmiechnął się po raz pierwszy. - No, nie można mieć wszystkiego. Ja służyłem w Gloucesterach.

- Teraz prowadzę małą agencję detektywistyczną - dodałem.

- Z małym kontraktem od Lassitera, bez wątpienia - odparł King, patrząc na mnie znad krawędzi szklanki piwa. - To ty nadałeś nam Davida Mo Evansa?

Kiwnąłem głową.

138

- Przyglądamy się ludziom z dołu listy podejrzanych. Obawiam się, że to „wszystko odbywa się na chybił trafił. Ale chyba lepsze to niż nic.

- Chyba tak - zgodził się. - Thames House robi bokami. Nie mogą zająć się wszystkimi jak należy. Podejrzanych podobno liczy się na setki. Słyszałem, że zatrudniają wszystkie agencje prowadzone przez byłych wojskowych. Ludzi, którym mogą zaufać.

- No i jak idzie z Evansem?
King oparł się wygodnie na skórzanym oparciu wężki.

- Na razie jest grzeczny. Ośmiu agentów obserwuje go całą dobę zespołami po czterech. Ja mam dzienną zmianę, kieruję sekcją Alfa. Sekcja Beta pilnuje go w nocy.

- Co Evans robi teraz? - spytałem. King zerknął na zegarek.

- Jest na spokojnym drinku w barze. Oczywiście bezalkoholowym. Z reguły sam. Jeśli z kimś rozmawia, to niezobowiązująco z obsługą albo którymś ze stałych klientów. Jak dotąd tak wygląda jego stały rozkład dnia. Przed pubem zazwyczaj idzie zjeść coś taniego w jakimś lokaliku, indyjskim albo chińskim, czasami zamawia burgera. Potem rusza do pubu, napić się i poczytać gazetę. Wraca do domu i kładzie się spać około dziesiątej.

- A w ciągu dnia? - spytał Ciapat.

- Złota rączka. Trochę urządzania wewnątrz, trochę drobnych napraw i tak dalej. Poznaliśmy kilkunastu jego klientów, monitorując numer komórki, który zdobyłeś. Oczywiście każdy z nich może należeć do tej siatki, ale jakoś w to wątpię. Mimo to wszyscy są obserwowani. Evans nie zapracowuje się raczej na śmierć. Moim zdaniem bardziej chodzi mu o utrzymanie pozorów.

- Wciąż chodzi do tej kawiarenki internetowej? - spytałem. King kiwnął głową.

- Prawie codziennie po południu, na mniej więcej godzinę. Czytamy wszystkie jego e-maile wysyłane i przychodzące. Powiedziano mi, że ma około tuzina adresów na Hotmailu i Yahoo. Prawdopodobnie używa ich rotacyjnie w porozumieniu z innymi członkami ich siatki. Chociaż nie słyszałem od Lassitera, żeby przechwycono cokolwiek ważnego. Może więc pisze tylko do rodziny i znajomych.

- A jego telefon?

- Nasze zespoły dokładnie go monitorują. Dzwoni tylko do klientów¹ do prawdziwych krewnych oraz znajomych, oczywiście wszyscy oni są dodawani do listy monitorowanych.

- Do brudnych interesów najpewniej miałby czysty telefon na kartę - powiedział Ciapat.

- Tak też myślimy - zgodził się King. - Dwaj chłopcy z wydziału A weszli do niego wczoraj wieczorem, kiedy był w pubie. Niestety, jeśli ma jakiś inny telefon, zabrał go ze sobą.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął małą foliową kopertę.

- Może warto, żebyście na to spojrzeli.

Otworzyłem kopertę i popatrzyłem na polaroidowe zdjęcia kawalerki Evansa. Zanim agenci dotknęli czegokolwiek, zrobili fotki tak samo jak ja w domu Akma-la Younisa. Mieszkanie Mo Evansa było ponurym i przygnębiającym pokojem. Zobaczyłem wytarty dywan i brudne zasłony, a także plamy gołego tynku w miejscach, gdzie odlaża tapeta. Stały tam ciężkie, proste powojenne meble, na których lakier dawno już wyblakł. Przynajmniej pościel i koce na wąskim pojedynczym łóżku były poskładane z wojskową precyzją.

Na stoliku przy łóżku stał budzik, angielska wersja Koranu w miękkiej oprawie i stosik pism poświęconych bronii i morskemu wędkarstwu.

- Trudno mi uwierzyć - powiedział King - żeby facet taki jak Evans został muzułmaninem.

Wzruszyłem ramionami.

- Różnie to bywa. W Afganistanie i Iraku naoglądał się dużo różnego gówna.

- Tak jak wielu naszych chłopców - odparł King - ale nie wszyscy zmieniają wiarę i zaczynają chodzić na spotkania grup dyskusyjnych radykalnych islamistów.

Oddałem mu zdjęcia.

- Skoro o tym mowa, Nawed Husajn nie pojawił się pewnie na radarze? King się uśmiechnął.

- Chciałbym. Wszyscy tylko na niego czekamy. Podobno to ty nakryłeś go z Evansem? - Przytaknąłem. - I jesteś pewien, że to był on?

- Zadawałem sam sobie to pytanie sto razy i jestem całkowicie pewny.

- W takim razie wcześniej czy później się nam poszczęści - odparł King. - Powiedz mi, kiedy zamierzasz się spotkać z naszym panem Evansem?

Trochę już nad tym rozmyślałem.

- Obawiam się, że jeśli najpierw do niego zadzwonię, będzie miał wymówkę, żeby się wykręcić.

- To prawda. A więc może po prostu na niego znów wpadniesz?

- Jeśli wiemy, gdzie Evans jest teraz, nie ma na co czekać. Dowódca zespołu spojrzął na zegarek.

- Minęła dziewiąta, więc lepiej się zbierajmy.

Jego samochód stał na hotelowym parkingu. Zdziwiłem się, że to zwykły granatowy ford mondeo, zasługujący zdecydowanie na wizytę w myjni.

- Nie daj się zwieść pozorom - powiedział King, kiedy podeszliśmy bliżej. 1 Podrasowany model, szesnastozaworowy silnik z turbodoładowaniem, poniżej siedmiu sekund do setki, i zmodyfikowane zawieszenie.

Otworzył drzwi kierowcy i pokazał, żebym usiadł obok niego. Ciapat zajął miejsce z tyłu.

- Kuloodporne szkło - ciągnął King, stukając w przednią szybę, i odpalił si*nik. - Magnetyczne fałszywe tablice, które można szybko zmienić, anteny U HF

ukryte w tylnej półce i VHF w lusterkach bocznych. To pudełko pod twoimi nogami to monitor kamer, standardowych i noktowizyjnych. Kamery są w przednich reflektorach.

Już wyjeżdżając z parkingu, poczułem kontrolowaną moc samochodu. Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, King dotknął przełącznika na desce rozdzielczej - wyraźnie podobało mu się, że może się pochwalić swoimi bajerami - a na szkle przedniej szyby pojawiła się mapa, wyświetlana jak w nowoczesnych myśliwcach.

- W samochodzie Evansa ukryliśmy elektroniczny nadajnik GPS. Pokaże on nie tylko pozycję samochodu Evansa, ale też pozycje wszystkich naszych wozów, kiedy będziemy go śledzić. - Roześmiał się. - Przydaje się, żebyśmy poniesieni entuzjazmem na siebie nie powpadali.

W samochodzie było głośnomówiące radio, ale King dotknął tylko nieoznakowanego przycisku na desce rozdzielczej.

- AlfaTaxiAl do wszystkich jednostek B - powiedział na głos. - Mam pasażera, mężczyznę, który niedługo dołączy do naszego klienta. Wszystko na legalu i zatwierdzone. Powiedzcie proszę, jeśli jest jakiś problem, Beta Taxi Al. Odbiór.

- Najczęściej używamy żargonu taksówkarzy albo kierowców karettek - odpowiedział Ciapat. - Ostrożności nigdy dość, kiedy tak popularne są skanery częstotliwości.

- Bez odbioru - powiedział King, kiedy dostał odpowiedź i zakończył kontakt radiowy z sekcją Beta, obserwując Evansa nocą. - Nie ma problemu, Phil. Evans jest sam. Przy tym stoliku co zwykle. W rogu po lewej od wejścia. Zobaczysz cię, kiedy wejdiesz i podejdziesz do baru.

Zbliżaliśmy się do przedmieść, gdzie Evans mieszkał w swojej kawalerce. Ulica była o tej porze dość cicha. Mieszkali tu przede wszystkim muzułmanie, którzy nie urządzali nocnych szaleństw. Pod budką z kebabami stała gromadka ponurych młodocianych, ale nie wyglądali na hałaśliwych czy niebezpiecznych.

King skręcił w lewo, w boczną uliczkę, i zaparkował.

- Idź dalej ulicą tam po prawej dojdiesz do Gwiazdy. - Spojrzał mi w oczy. - Nie wpakuj się w kłopoty, Phil. Jeśli Evans nie będzie się chciał z tobą widzieć, pogódź się z tym. Odejdź. Pamiętaj, że cały czas obserwują cię członkowie sekcji Beta.

- Dzięki za pomoc, Jeff.

- Żebym tylko nie pożałował - odparł posępnie.

Wymieniliśmy uśmiechy z Ciapatem i wysiadłem z samochodu. Przez chwilę stałem i patrzyłem, jak odjeżdża. Świadomość, że profesjonaliści się boją, że bym nie popsuł im operacji, niepokoiła mnie.

Cofnąłem się kilka kroków na ulicę, jeszcze raz zastanawiając się nad tym, jak rozegram sytuację. Nie mogłem niczego zaplanować, bo wszystko zależało od reakcji Evansa. Ale tworzyłem w myślach niezliczone scenariusze konwersacji, mając nadzieję, że jestem przygotowany na wszystkie prawdopodobne odpowiedzi.

Zaczęło padać. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i kilka minut później dotarłem do Gwiazdy. Pub znajdował się na rogu bocznej uliczki, był podniszczony, kiedyś biały, teraz brudny i plamisty od zacieków i obłazającej farby. Pokonałem stopień i pchnąłem drzwi ze staromodną trawioną szybą.

Domyśliłem się, że to ostatni lokal białych i niemuzułmanów w okolicy. W środku było nie więcej niż tuzin osób, sami biali mężczyźni, nie licząc Hindusa o przekrwionych oczach przy barze, który wyglądał, jakby wstawiono go tu w komplecie z meblami. Rozmawiał z właścicielem.

Większość pozostałych klientów była w średnim wieku, byle jak ubrana, oprócz Dave'a Evansa. Tak jak mi powiedziano, siedział na lewo od baru w kącie, pod drzwiami z napisem „Toaleta”. Choć rozmyślnie nie patrzyłem w jego stronę, kątem oka dostrzegłem, że natychmiast spojrzął znad czytanego brukowca. Był spostrzegawczy czy tylko nerwowy? Chyba nie przypadkiem wybrał sobie do siedzenia miejsce prawdziwego profesjonalisty? Tyłem do ściany, tak żeby widzieć każdego, kto wchodził, a do tego mieć dogodną drogę ucieczki przez toaletę, gdyby zaszła potrzeba.

Podszedłem po brudnym, poplamionym piwem dywanie do baru. Właściciel, potężny mężczyzna o twarzy pokrytej pajęczą siecią wybroczyn i kosmykami siwych włosów zwisającymi z niemal łysej czaszki, niechętnie przerwał rozmowę z Hindusem i podszedł do mnie. Piwne brzuszysko pod luźną pomietą koszulą podtrzymywały mu kolorowe szelki.

- Tak, szefie? - spytał bez entuzjazmu. Spojrzałem na rząd porcelanowych rączek nalewaków.

- Duże pedigree, proszę.

- Coś jeszcze, szefie? - spytał, nalewając piwo. Pokręciłem głową i położyłem na barze piątkę.

- Cześć, Phil.

Głos Evansa tuż za mną zupełnie mnie zaskoczył. Jeśli już, myślałem, że wy-j śliznie się za moimi plecami albo przynajmniej będzie wrogo nastawiony. A nie, że będzie emanował ciepłem.

- Dobry Boże, Dave! - powiedziałem, wycierając papierową serwetką rozlane, piwo. - Aż podskoczyłem. Nie wiedziałem, że tu przychodzisz.

- Nerwowy jesteś - powiedział. Zabrzmiało to jak oskarżenie.

- Miałem nadzieję, że cię tu gdzieś znajdę.

- To dlaczego nie zadzwoniłeś? Dałem ci numer. Wzruszyłem ramionami.

- Gdzieś go posiałem. Ale szczęśliwy zbieg okoliczności, co? Spojrzenie jego ciemnych, zapadniętych oczu wciąż było czujne.

- No, tak jakby.

- Postawię ci coś do picia. Zawahał się, zerknął na zegar za barem. Spostrzegłem, że zdążyłem w ostatni chwili - dochodziła za pięć dziesiąta.

- Niech będzie. Ale soku owocowego mam już dość.
- Cały czas wytrzymujesz? Bez alkoholu.
- To nie jest kwestia wyboru, Phil.
- Kawa? - zaproponowałem.
- Nie, nie tutaj. Niech będzie gazowana woda, dzięki. Z lodem i cytryną. Barman zajął się zamówieniem.
- Kawa Berta jest ohydna - szepnął Dave. - Jak pomyje. Nawet wojskowa była lepsza.
Kiedy szliśmy do jego stolika, zauważyłem, że wciąż nie umył włosów. Znow usiadł plecami do ściany, ja naprzeciwko niego.
- Wciąż jesteś kurierem? - zapytał. Kiwnąłem głową.
- Dopóki nie znajdę czegoś lepszego.
- Niełatwo wrócić do cywilnego życia.
- To problem z piechotą - odparłem. - Człowiek umie tylko zabijać innych ludzi.
Po jego nieogolonej twarzy przemknął uśmiech.
- To prawda.
- Nie mogę powiedzieć, żeby mi nie brakowało wojska. Teraz każdy dzień to harówka. - Przypomniałem sobie pisma w jego pokoju. - Nie mogę się doczekać paru dni wolnego. Mam dobre miejsce nad morzem na ryby.
Uniósł brwi.
- Naprawdę? Łowisz na morzu?
- Jestem chłopak z Dorset - odparłem z akcentem, który straciłem wiele lat temu, kiedy bezlitośnie dokuczano mi z tego powodu w królewskich marines. - Zanim dorosłem, przez wiele lat łowiłem pod Weymouth.
- Nigdy tam nie łowiłem - powiedział Evans. - Zwykle pod Pembrokeshire. Uśmiechnąłem się.
- To cholernie duże wybrzeże... Raz łowiłem z wujkiem z St David's. Prawie wyciągnąłem małego rekina.
Evans się zaśmiał.
- Ale się zerwał, co? Opowiadasz.
- Mówię ci. Raz pięć miesięcy łowiłem na Florydzie na koszt królewskich marines.
- Jak ci się to udało? Wiedziałem, że wam, snajperom, jest łatwo...
- Zgłosiłem się na ochotnika na półroczną wymianę z amerykańskimi marines. Bawiłem się w dowódcę plutonu.
Skrzywił się.
- Już za to powinieneś dostać medal.
- Kiedy tam przyjechałem, jankeski dowódca i ja szybko zrozumieliśmy, że Wszystko mamy zupełnie inne - powiedziałem. - Broń, musztrę, łączność, wszystko

co robili było dla mnie całkowicie obce. W końcu uznał, że zajmę się programem codziennej zaprawy marines. W sumie tylko to jedno robiłem. Evans wydawał się autentycznie zaintrygowany.

- I jak wyszło?

- Mnie się podobało. Ale po kilku tygodniach wezwał mnie dowódca. Powiedział, że dostał mnóstwo skarg.

- Na co?

- Na to, że za bardzo dają im w kość. Stwierdził, że wykończyłem biedaków. Zaproponował, żebym zrobił sobie wolne przez resztę czasu i połowił ryby. Wziąłem go więc za słowo. Wypożyczyłem sobie łódkę i świetnie się bawiłem. Marliny, mieczniki, barakudy... co chcesz. I jeszcze dorobiłem parę groszy, zabierając turystów.

Teraz Evans zaśmiał się w głos.

- Może tym się powinienem zająć. Pójść w życiu nową ścieżką.

- Czemu nie? W Stanach życie jest tanie, a Jankesi nie są tacy źli. kiedy się ich pozna.

Jego uśmiech znikł.

- W tej chwili mam trochę zobowiązań. Ale może kiedyś...

- Moglibyśmy zostać partnerami. Evans dopił wodę.

- To jakaś myśl.

- Jeszcze coś do picia? - spytałem. Pokręcił głową.

- Ja już dziękuję. Ale wpadnij do mnie na kawę, jeśli chcesz. To niedaleko. Mam chyba nawet gdzieś buteleczkę leczniczej brandy.

Takiego obrotu spraw się nie spodziewałem.

- Pewnie, dzięki.

Kiedy wstaliśmy do wyjścia, zastanawiałem się, kto w barze jest obserwatorem A-4? Żaden z klientów nie wyglądał podejrzanie, ale o to przecież chodziło. Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, również nikt i nic nie wskazywało, że jesteśmy obserwatorami. Jakby czytając mi w myślach, Evans miał oczy szeroko otwarte, zerkając na każdy zaparkowany samochód i wszystkie przejeżdżające.

Po dziesięciu minutach marszu mokrymi, prawie pustymi ulicami dotarliśmy do jego domu.

Kiedy wchodziliśmy po schodach, wyjął klucz.

- Moje mieszkanie to nic specjalnego. Dom wzięła moja eks.

Weszliśmy do staromodnego przedsionka, podłoga była wyłożona czarno-białymi płytkami; wielu brakowało, a dziury zaplombowano cementem. W powietrzu czuło się mieszaninę pleśni, kocich sików i gotowanej ryby. Na dole schodów **stał** wózek spacerowy i rower górski. Evans ruszył przodem na górę.

Kiedy weszliśmy na piętro, skręcił w lewo i wybrał z pęku kluczy drugi, którym otworzył yale'owski zamek. Zamiast pchnąć drzwi, uchylił je na kilkanaście

centymetrów, schylił się i ostrożnie wepchnął rękę w szczelinę. Kiedy wstał i otworzył drzwi, zobaczyłem, że trzyma w ręku stary trampek, w którym stała szklanka czegoś, co wyglądało jak lemoniada. Najwyraźniej wychodząc, ustawił je jak najbliżej drzwi. Dopiero po chwili zrozumiałem, po co to zrobił: ktoś, kto wszedłby do pokoju w czasie jego nieobecności, przewróciłby trampek i szklankę, nie wiedząc, w jakiej konfiguracji je pozostawiono ani co było w szklance. Evans zorientowałby się wtedy, że miał nieproszonych gości. Zrobiło mi się nieswojo.

- Masz jakąś paranoję, Dave? - spytałem mimo to lekko. Chrząknął i rozejrzał się po smutnym pokoiku.

- Proste, ale skuteczne - powiedział. - W dzisiejszych czasach ostrożności nigdy za wiele.

Zamknąwszy za nami drzwi, podszedł do komody i nachylił się, badając uważnie górną szufladę.

- Stara sztuczka Jamesa Bonda - powiedział - mokry włos przyklejony na szparze nad szufladą.

- Mój Boże, ty naprawdę nie żartujesz.

Evans zadowolony, że włos znajduje się na swoim miejscu, wyprostował się.

- Mam wrażenie, że wczoraj w nocy ktoś tu był.

- Złodziej? Pokręcił głową.

- Nie, ktoś mnie sprawdzał.

- Czemu?

- No, miałem kontakt z kilkoma radykalnymi muzułmanami - powiedział ostrożnie, odwracając się do mnie. - Byłem na kilku spotkaniach, próbowałem ich trochę lepiej zrozumieć, wejść w islamistyczne myślenie. Jeśli biały facet robi coś takiego... no, ludzie nabierają podejrzeń.

Postanowiłem złapać byka za rogi.

- Masz na myśli wydział specjalny... czy chłopców ze Służby Bezpieczeństwa?

Co dziwne, uśmiechnął się krótko.

- No, może to i oni. Ale chodziło mi raczej o muzułmańskich narwańców. Mogą podejrzewać, że nie jestem tym, kim jestem. Są podejrzliwi wobec ludzi z zewnątrz, takich jak ja, którzy chcą zmienić wiarę.

- Może i tak. - Tego akurat nie brałem pod uwagę. - Ale powiedziałeś im, dlaczego to robisz? O swoich doświadczeniach z Afganistanu i Iraku?

- Mógłbym przecież zmyślać. Kiwnąłem głową.

- Jak wiesz, ja też tam byłem. Miałem podobne odczucia. Właściwie chętnie bym się z nimi spotkał, żeby zobaczyć to z ich perspektywy. Ich braciom muzułmanom za granicą trudno się żyje.

Zamach na prezydenta

Evansa spojrział mi w oczy.

- To zły pomysł, Phil. Daj spokój. Chyba możesz się domyślić, jak oni to wij dzą. Nie zadawaj się z tymi ludźmi, dopóki nie będziesz w stu procentach zd dowany.

Czyżbym przesadził? Szybko się wycofałem.

- Na pewno masz rację. Ale mimo to chętnie bym spróbował. Evans otworzył szafkę przy łóżku i przez kilka chwil w niej grzebał. W końcu

wyjął opróżnioną do połowy butelkę brandy.

- Może - mruknął - kiedy poczuję, że mnie zaakceptowali... A ty bądź jeszcze wtedy chciał.

Odrzuciwszy ten pomysł definitywnie, przeszedł w drugi kąt pokoju, gdzie za zasłoną znajdowała się miniaturowa kuchnia ze zlewem, małym blatem z elektryczną płytą grzejną na dwa garnki i niewielką lodówką. Evans wstawił wodę, nasypał kawy do dwóch kubków i wziął dwie szklanki. Podał mi jedną i opadł na łóżko.

Przysunąłem sobie krzesło, usiadłem i przyjąłem butelkę, którą mnie poczęstował, nalewając sobie do szklanki brandy na półtora palca.

- Skusisz się? - spytałem, ruchem głowy wskazując szklankę w jego dłoni.

- Nie tknąłem ani kropelki od dwóch miesięcy. - Uśmiechnął się krzywo. - Myślisz, że Allah wybaczy mi tę chwilę słabości?

Pokiwałem głową.

- Myślę, że jest bardzo wyrozumiały.

Nalałem mu do szklanki trochę brandy. Wypił małej łyk.

- Cholera, dobre. Ale moi przyjaciele muzułmanie chyba by się ze mną nie zgodzili.

- Tacy, jak ten facet, który przyszedł, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz w tamtej kawiarni? - spytałem. - Jak on się nazywał, Husajn? Czemu co drugi muzułmanin nazywa się Husajn?

Spojrzenie Evansa stwardniało.

- Ach, on. To tylko znajomy.

- Wydawał się miły. Bardzo elegancki.

- Bogaty biznesmen - odparł krótko Evans. - Rzadko go widuję. Najczęściej nie ma go w kraju.

- Robisz z nim interesy?

Nagle w oczach Evansa dostrzegłem złość.

- Nie, Phil, jestem cholerną złotą rączką. Poznałem Husajna kiedyś w miejscowym meczecie. Porozmawialiśmy, jego zainteresowały moje poglądy na temat wojen Busha i Blaira. I tyle. Co to za przesłuchanie?

Uśmiechnąłem się.

- Przepraszam, Dave, nie chciałem być wścibski. Tak tylko zapytałem.

Evans nagle postawił szklankę na podłodze.

- Słuchaj, Phil, może to nie był najlepszy pomysł. Jestem trochę zmęczony, a jutro muszę wcześniej wstać. Przełknąłem brandy.

- Jasne, Dave, nie chciałem cię zdenerwować. Pokręcił głową.

- Nie, nie, nie o to chodzi. Tak jak mówię, jestem trochę zmęczony, trochę rozdrażniony. Przepraszam.

Evans był na krawędzi, miał paranoję, a ja widziałem, że zaczynają mu puszczać nerwy. Wstałem.

- Wszystko jedno, Dave, fajnie się gadało. Mogę cię poszukać, kiedy znów będę w mieście?

Odprowadził mnie do drzwi.

- Jasne, jasne. Pogadamy o rybach. Ale daj mi z dwa tygodnie, co? Teraz jestem trochę zajęty.

- Dzięki za drinka - powiedziałem i ruszyłem w dół po schodach. Poczułem ulgę, wychodząc na chłodne, wilgotne powietrze. Cholera, czyżbym

wzbudził jego podejrzenia? Spodziewałem się, że kiedy wrócę do hotelu, Jeff King nieźle mnie zbeszta.

Ale kiedy przyjechałem zatrzymaną taksówką do hotelu, nie usłyszałem od niego złego słowa. Siedział z Ciapatem we wnęce w barze.

Pomachał do mnie.

- Cześć, Phil., właśnie coś się stało. - Wydawał się wyjątkowo wesoły. - Ktoś właśnie zadzwonił do Evansa na komórkę.

- Tak?

- Nasze monitory nic nie pokazały, więc to musiał być ten aparat na kartę, który, podejrzewaliśmy, ma.

- A więc skąd wiecie?

Spojrzał na mnie, jakbym był klasowym matolkiem, a Ciapat pokręcił głową nie mogąc uwierzyć w moją naiwność.

- Ponieważ - powiedział King - podłożyliśmy mu podsłuch w pokoju, kiedy się włamaliśmy, oczywiście.

Poczułem się jak kompletny idiota, że sam na to nie wpadłem.

- Dlatego słyszeliśmy tylko jedną stronę rozmowy - ciągnął King. - Ale Evans zwracał się do dzwoniącego „Husajn”, a rozmowę zakończył: „W takim razie do zobaczenia”.

Otworzyłem usta.

- Myślicie...

- Tak - odparł Ciapat. - Pan Evans niedługo ma się spotkać z naszym najbardziej poszukiwanym człowiekiem, nieuchwytnym Nawedem Husajnem.

147

9

Spotkałem się z Ciapatem w hotelowej restauracji na śniadaniu. Zdążyliśmy usiąść i zamówić u kelnerki, kiedy zadzwoniła moja komórka. Porwałem ją ze stołu.

To był Jeff King.

- Przepraszam, że odrywam cię od jajecznicy, Phil, ale koleżka jest w ruchu.

- To znaczy?

- Właśnie wyszedł z chaty, wsiadł do samochodu i pojechał na południe - odparł pospiesznie King. - Nie miał na sobie kombinezonu jak zwykle, więc to nie jest chyba normalny dzień pracy naszego przyjaciela. Jeśli chcesz jechać z nami, czekam w samochodzie przed wejściem.

- Już idę - odparłem i szybko się rozłączyłem. Wstając, odwróciłem się do Ciapata. - Idę do Jeffa. Uważają że Evans mógł pojechać na spotkanie...

Ciapat z zaskoczeniem uniósł brwi.

- Z Nawedem? Jeśli tak, to być może to jest nasz szczęśliwy dzień.

- Miejmy nadzieję.

- Co mam zrobić?

- Możesz równie dobrze wracać do Londynu. Dołączę do was najszybciej, jak będę mógł.

- Dobrze. - Uśmiechnął się szeroko. - I życzę panu bardzo dużo powodzenia.

Porwałem z podłogi moją torbę i pobiegłem do drzwi. Jeff King czekał w swoim specjalnym, granatowym mondeo z silnikiem na chodzie. Kiedy tylko wsiadłem i zatrzęsnałem drzwiami, od razu ruszył.

- Evans wyszedł tuż przed siódmą - powiedział - dokładnie w chwili, kiedy sekcje się zmieniały. Zaskoczył nas w trochę niezręcznym momencie. Może jechać do rozjazdu 21 na M1. A więc wybiera się na południe w stronę Londynu albo pojedzie M69 w kierunku Coventry. Gdziekolwiek się wybierze, nasz zespół go kryje.

Kiedy oddaliliśmy się od hotelu, podał mi małe urządzenie, przypominające aparat słuchowy.

- Załóż to, żeby słyszeć naszą łączność radiową.

Potem opuścił elektryczną szybę, wyciągnął rękę, przyczepił do dachu magne-tycznego niebieskiego koguta i włączył policyjną syrenę.

Nagle zmienił się nie do poznania. Prowadził pewnie, sprawnie i szybko. Trchę za szybko, jak na mój gust, ale przynajmniej panował nad samochodem i my ślaliśmy z wyprzedzeniem, mijając samochody, które zjeżdżały nam z drogi. Niedługo wyjechaliśmy z korków w centrum i pomknęliśmy trasą szybkiego ruchu przez południowo-zachodnie przedmieścia.

- Ambulans hasło Alfa Zulu - powiedział do mikrofonu bezprzewodowego radia. - Jak pacjent?
W głośniku rozległ się męski głos.

- W porządku, stan stabilny. Zbliżamy się do rozjazdu 21 i... ach tak, jedziemy prosto przez rondo i... skręcamy na M69.

- Zrozumiałem - rzucił King. - Niedługo do was dołączymy. Bez odbioru. W kieszeni drzwi znalazłem atlas drogowy.

- A więc Coventry albo Brum - powiedziałem, otwierając na stronie West Midlands. - Dużo muzułmańskich społeczności.

- W tej zabawie nie warto nic zakładać z góry - skarcił mnie King. - Wtedy zwykle wszystko bierze w łeb.

Zwolniliśmy, kiedy sami zbliżyliśmy się do rozjazdu 21, wśliznęliśmy się w strumień samochodów i skręciliśmy na M69. King wcisnął gaz do dechy, a ja poczułem że szarpnięcie niespełnanej już mocy silnika wbija mnie w oparcie fotela. Wskazówka prędkościomierza skoczyła do stu dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

King włączył wyświetlacz na przedniej szybie. Była to przesuwana mapa M69. Na niej i wokół niej widać było cztery małe poruszające się kółka. Jedno w czerwonej obwódce, kawałek przed nim drugie - w niebieskiej. Trochę z tyłu znajdowały się dwa kolejne, również niebieskie.

- Czerwone to nadajnik umieszczony w samochodzie Evansa - wyjaśnił King - Mamy teraz przed nim jeden samochód, srebrną hondę civic, której nie powinien podejrzewać o przynależność do jakiejś grupy obserwacyjnej. Kawałek za nim jedzie biała furgonetka i motocykl. Przy tej technologii nie musimy już zbliżać się za bardzo i ryzykować spalanie operacji. Wyłączył syrenę, otworzył okno i zdjął migającego koguta. Potem pokazał palcem wyświetlacz.

- Patrz, to zobaczysz, jak pojawia się nasz samochód.

I rzeczywiście, na dole przesuwającej się mapy pokazało się nowe niebieskie kółko.

King zwolnił do stu dziesięciu i zjechał na środkowy pas, chowając się za autobusem National Express.

- Teraz trzeba czekać.

Ale okazało się, że nie musieliśmy czekać długo. Po jakichś ośmiu kilometrach odezwało się radio.

- Alfa Jeden do ambulansu kontroli, zbliżamy się z pacjentem do rozjazdu 2 tak, tak, skręcił w ostatniej chwili w zjazd! Nie mam sygnału! Cholera... wszystko w porządku, mogę jechać za nim. Odbiór.

Nasza honda civic - Alfa Trzy - jadąca przed samochodem Evansa przejechała zjazd.

- Zrozumiałem - warknął King. - Alfa Dwa, zmień Alfę Jeden jako pojazd prowadzący, kiedy tylko będziesz mogła.

Zgłosiła się Alfa Dwa. Damski głos.

- Zrozumiałam, Alfa Zulu. Bez odbioru.

- Alfa Trzy - dodał King - jedź dalej. Zatrzymaj się na poboczu tuż przed rozjazdem 1. Wezwę cię, kiedy tylko będziemy wiedzieli, co jest grane.

Spojrzałem na mapę, kiedy sami dojechalśmy do zjazdu 2 i skręciliśmy w niego.

- To donikąd nie prowadzi. Pastwiska i tuzin wiosek.

- Sprawdź, czy nie ma ogona - powiedział King. Jechaliśmy teraz drogą lokalną.

- Jedźcie do Sapcote - odpowiedziałem. Nagle znów odezwał się damski głos.

- Alfa Dwa do kontroli, skręca w lewo, skręca w lewo! King zerknął na wyświetlacz.

- Jedź prosto! Jedź prosto! Czerwone kółko oznaczające samochód Evansa skręciło w lewo w wiejską drogę i pojechało w stronę miejscowości Stoney Stanton, leżącej nieco ponad kilometr dalej. My minęliśmy właśnie skręt i pojechalśmy dalej. Przejchawszy pół kilometra, dotarliśmy do brudnej białej furgonetki stojącej na poboczu. Na drodze stał motocyklista w czarnych skórkach i czarnym kasku, rozmawiając z kierowcą. King dał sygnał i zjechał za furgonetkę. Motocyklista zobaczył nas i szybko podszedł do otwartego okna kierowcy.

Zasłonę miał podniesioną. Spojrzała na nas para pięknych zielonych oczu.

- Cześć, Jeff, jaki wynik?

- Szuka ogona, jadąc bocznymi drogami - powiedział King i zerknął na mnie. - To Cass, zdobywa u nas pierwsze szlify.

Zielone oczy się uśmiechnęły.

- Jeszcze?

- No, jak chcesz się bawić z dużymi chłopcami...

- Męskimi szowinistycznymi świniami, chciałeś powiedzieć - odparowała lekko. - Jak chcesz to rozegrać, Jeff?

King uważnie patrzył na wyświetlacz. Czerwone kółko dotarło do Stoney Stanton, a potem skręciło w prawo w drogę biegnącą równoległe do tej, na której staliśmy. ... I zatrzymało się.

- Aha - powiedział King. - Proszę bardzo, tak jak myślałem. Zatrzymał się, żeby sprawdzić, czy ktoś go śledzi. Zaczekajmy i zobaczymy, co zrobi teraz.

Po kilku minutach Evans musiał się poczuć uspokojony, bo jego samochód znów ruszył, jadąc dalej na wschód wzdłuż B581 w stronę wiosek Primethorpe i Broughton Astley. Tam powtórzył poprzedni manewr, nagle skręcając i zatrzymując się, by sprawdzić, czy jakiś jadący za nim samochód zwolni, żeby zobaczyć, co się z nim stało, i zostanie zmuszony go minąć.

- Mam przecucie, że jedzie na południe - powiedział King. - Ruszamy. Pojadę trochę przodem.

150

- Do zobaczenia! - odparła Cass, zatrzasnąwszy zasłonę i ruszając do swojego motocykla zaparkowanego przed furgonetką. King włączył silnik mondeo i znów popędziliśmy w pościg. Biała furgonetka i motocykl Cass jechały za nami. Szybko okazało się, że szef zespołu obserwatorów miał rację. Kiedy zmniejszyliśmy dystans do Evansa, ten skręcił w A426, biegnącą na południe równoległe do autostrady M1 w stronę historycznego miasta Lutterworth. Kiedy wjechał na nitkę prowadzącą na północ, nasz wóz był zaledwie trzy samochody za nim. King dał znak Alfie Trzy, żeby znów ruszyła, skręciła na wschód w A5 i dołączyła do nas na M1, kiedy tylko zdoła, zajmując miejsce na końcu kolejki. Evans jechał z prędkością około stu dziesięciu na godzinę i wkrótce przejeżdżaliśmy przez obrzeża Rugby w stronę stacji obsługi Watford Gap. Tam o mało go nie zgubiliśmy, bo nagle zahamował i skręcił bez kierunkowskazu, podjeżdżając do jednego z dystrybutorów paliwa. King pojechał za nim, mówiąc szybko przez radio do reszty zespołu.

- Zatrzymuje się, żeby zatankować. Cass, jedź za mną. Alfa Jeden i Trzy zostają na lewym pasie... - Zerknął na mnie. - Nie jestem pewien, Phil...

- Wypatrzył nas? - zapytałem sam siebie na głos.

- Musiał - odparł King. - Byliśmy pierwszym samochodem za nim. Dziękowałem opatrności za bardzo ciemne szyby mondeo, kiedy zatrzymaliśmy się przy dystrybutorze obok, przy którym samochód był prawie całkiem schowany przed wzrokiem Evansa. Dave wysiadł i rozglądał się, wypatrując wozów, które mogłyby go śledzić. Cass bystrze pojechała motorem na drugi koniec placu, gdzie zsiadła i zaczęła badać tylne koło, szukając jakiegoś wymyślnego problemu. Nagle, nie tankując paliwa, Evans wsiadł do samochodu i zaczął wyjeżdżać z powrotem na autostradę. Cholera! - zaklął King. - Cwana sztuka.

- Co teraz? - spytałem.

- Będziemy musieli chwilę zaczekać. Niedługo dogoni Alfę Jeden i Trzy. Oni go przejmą. My przez jakiś czas nie będziemy mu się pokazywać.

Ale Evans jeszcze nie skończył. Kiedy King powoli odjechał od dystrybutorów, żeby zaparkować bliżej wyjazdu, zauważyłem na wyświetlaczu, że czerwone kółko zatrzymało się nagle na autostradzie, niedaleko stacji. Nagle stało się jasne, co zrobił. Po przejechaniu kilometra z kawałkiem Evans zjechał do zatoczki, prawdopodobnie włączył światła awaryjne, podniósł maskę i czekał.

W ten sposób udało mu się rozbić nasz zespół i naszą „skrzynkę” czterech pojazdów. Alfa Jeden i Trzy wlokły się na południe, w stronę Northampton, lewym pasem. My i Cass byliśmy w potrzasku. Widział, jak wjeżdżamy na stację obsługi tuż za nim; gdybyśmy nie minęli go na autostradzie w ciągu kilku minut, domyśliłby się, że dzieje się coś podejrzanego i miałby na nas od tej pory oko.

King popatrzył na wyświetlacz.

- Gdzie jest następny zjazd? - spytał. Spojrzałem na mapę.

- Numer 16, na Northampton.

- Alfa Zulu do Jeden i Trzy - warknął do radia. - Zjedźcie na rondzie przy zjeździe 16 i czekajcie. Nasz pacjent zatrzymał się na drodze, robi manewr W-O. Dwójka i ja dołączymy do was... Słyszałaś, Cass?

- Potwierdzam, Alfa Zulu.

King mruknął pod nosem jakieś przekleństwo i wyjechaliśmy na południową nitkę autostrady. Kilka minut później minęliśmy rzeczywiście Evansa, stojącego przy podniesionej masce swojego samochodu i wypatrującego, czy jedziemy.

Nasz mondeo śmignął szybkim pasem, chwilę później przejechała Cass.

Minęło dwadzieścia minut, zanim Evans ruszył dalej pewny - mieliśmy nadzieję - że ani mondeo, ani motocyklistka nie były jednak ogonem. Tyle czasu trwało, zanim minął zjazd 16, pozwalając nam ruszyć za nim, białą furgonetką - Alfą Jeden - znów ledwie kilka samochodów za nim.

Nie stosował już więcej żadnych sztuczek. Wrócił do umiarkowanej prędkości podróźnej, mijając Milton Keynes i Luton i wjeżdżając na północne przedmieścia Londynu. W końcu na rozjeździe 2 zjechał na lewo i skręcił na drogę do Finchley. Po kilku zakrętach zatrzymał się pod ciągiem sklepów. King zjechał do krawężnika i rozkazał Cass obserwować go z dyskretnej odległości.

Nagle wewnątrz naszego samochodu wypełnił jej głos.

- Alfa Dwa do Zulu, obiekt płaci za parking. Chyba zamierza się przejść pieszo. Idzie na wschód północną stroną ulicy.

- Zrozumiałem, Alfa Dwa, pilnuj go - rzucił King - dopóki nie uda mi się zamknąć na nim pudełka.

- Zrozumiałam, bez odbioru. King wywołał resztę zespołu.

- Słyszeliście Alfę Dwa. Zając pozycje pieszo. Alfa Trzy, jesteś najbliższej. Biercie go z obu stron. Alfa Jeden, bierz przód, kiedy tylko będziesz mógł.

Reszta zespołu potwierdziła.

- Nasza biała furgonetka i srebrny civic wiozą po czterech ludzi, nie licząc kierowcy - wyjaśnił tymczasem King. - Nasze zespoły zazwyczaj składają się ogółem z dwunastu ludzi i mieszanych czterech pojazdów. Będą mieli Evansa „w pudełku” w ciągu kilku minut.

I faktycznie, pierwsi dwaj obserwatorzy zgłosili się do dowódcy zespołu, potwierdzając, że są na pozycjach, jeden przed Evansem, drugi za nim. Po kolejnych trzech minutach dwaj następni z civica szli już po przeciwnej stronie ulicy. W każdej chwili mogli zastąpić innych, jeśli istniało ryzyko, że tamci zostaną wykryci. Niezależnie w którą stronę Evans by poszedł, byłby kryty.

Minęło pięć minut, zanim znów w radiu odezwał się głos.

152

- Alfa Trzy do Zulu. Obiekt wszedł na teren kompleksu biurowego, kieruje się do wejścia.
King zmarszczył brwi.

- Budynek jednej firmy?

- E, nie, przy wejściu jest sztyld. Dużo firm. E, agencje ubezpieczeniowe, jakaś prywatna przychodnia, import-eksport, kilka innych... idę za nim.

- Nie! - powiedział ostro King. - Nie zbliżaj się. Powtarzam, nie zbliżaj się! Wycofaj się z dala od budynku.

- Potwierdzam. Bez odbioru.

- Co się dzieje? - spytałem. King się skrzywił.

- Evans zna się na gubieniu ogona, tak? A to mi wygląda na klasyczną sztuczkę. Wchodzisz do wysokiego biurowca, w którym mieści się kilka firm. Znajdujesz sobie punkt obserwacyjny i patrzysz, jak twój ogon wpada w panikę i próbuje ustalić, do której firmy albo na które piętro poszedł. Wtedy albo odwołujesz zaplanowane spotkanie, albo znajdujesz inny sposób, żeby go zgubić.

- Rozumiem.

- Alfa Trzy - spytał King znów przez radio - czy w okolicy jest jakieś miejsce, gdzie mógłbym zaparkować z widokiem na biurowiec?

- E, tak. Ciąg sklepów naprzeciwko. Dwa wolne miejsca. Ograniczony czas parkowania.

- Dobra, będę tam za parę minut.

King ruszył i szybko minął kolejne boczne uliczki, aż zobaczyliśmy biurowiec, w którym schronił się Evans. Jeff wrzucił prawy migacz, a potem skręcił przez oś jezdni w wolne miejsce. Sprawdził, czy widzi główne wejście do biurowca po drugiej stronie, a potem zerknął wzdłuż rzędu sklepów.

- Lepiej ja to zrobię, ciebie mógłby poznać. Idę to tego kiosku, kupić gazetę. Miej oko na Evansa wychodzącego z budynku. Kiwnąłem głową uświadamiając sobie, że jeśli nasz cel nas obserwował, King właśnie demonstrował rozsądny powód zatrzymania się mondeo.

Kiedy wysiadł z samochodu i ruszył swobodnym krokiem do kiosku, ja piętro po piętrze przyglądałem się biurowcowi. Na piątym piętrze, w oknie klatki schodowej, dostrzegłem jakiś cień. To była sylwetka mężczyzny. King znów miał rację; Evans czekał i patrzył, czyjego ogon się nie zdradzi.

Jeff wyszedł z kiosku, zerkając na zegarek, z egzemplarzem tabloida w ręku. Kiedy wsiadał do samochodu, zauważyłem czarną taksówkę wjeżdżającą na teren biurowca i zatrzymującą się pod wejściem. Kilka chwil później szklane drzwi się otworzyły i wyszedł z nich Evans. Poszedł prosto do taksówki i wsiadł do niej.

- Cwany drań - syknąłem.

- Alfa Zulu do wszystkich jednostek - powiedział szybko King. - Obiekt wyszedł z budynku i wsiadł do taksówki. Czarna taksówka... - odczytał jej numer

rejestracyjny, kiedy wyjeżdżała powoli z terenu biurowca na ulicę. - Jedzie na wschód... Wzywam Alfa Dwa. Przyjeżdżaj tu i siadaj mu na ogon.

- Zrozumiałam, Zulu - odezwała się Cass. - Bez odbioru.

Kilka sekund później postać w czarnej skórze przemknęła obok nas w pościgu za taksówką. Pojechaliśmy za nią, podczas gdy biała furgonetka i civic zbierały rozproszonych obserwatorów. Teraz jednak musieliśmy się trzymać o wiele bliżej; taksówka nie miała nadajnika. Niespodziewanie nowoczesna, wygodna technologia stała się bezużyteczna.

Kiedy taksówka dojechała do Willesden, zatrzymała się nagle, a Evans wysiadł, płacąc kierowcy. Nasze mondeo jechało akurat na przedzie; King skręcił w boczną uliczkę, zanim się zatrzymał. Staliśmy pod kutym, żelaznym ogrodzeniem kościelnego cmentarza, zajmującego narożną działkę.

- Wsiądź i rozejrzyj się, Phil - powiedział King. - Zobacz, w którą stronę poszedł, a ja rozstawię ludzi.

- Jasne - odparłem, otwierając drzwi.

- Nie daj się zobaczyć - ostrzegł.

Przeszedłem przez chodnik i spojrzałem przez kute kraty, ponad cmentarzem, na przeciwległe ogrodzenie, biegnące wzdłuż głównej ulicy oraz bramę kościoła. Zobaczyłem sylwetkę Evansa przechodzącego przez ulicę. Zawahał się przy kamiennych filarach bramy i rozejrzył na obie strony. W końcu otworzył furtkę i wszedł.

Nagle kątem oka dostrzegłem poruszenie po prawej stronie. Czarnowłosa kobieta w okularach przeciwsłonecznych i niebieskim letnim kostiumie wstała z drewnianej ławki na ścieżce między nagrobkami.

Kiedy Evans się zbliżył, zdjęła okulary i się uśmiechnęła.

Zamrugałem oczami, nie dowierzając. Czy mogłem się mylić? Widziałem ją tylko raz, ale raz wystarczył. Melissa Thornton nie była kobietą którą prędko się zapomina.

- Kto? - King zrobił zdziwioną minę.

- Melissa Thornton.

- Kto to?

- Szefowa sekcji, wydział G - odparłem, zaskoczony, że nie znał jej nazwiska. - Sam zobacz.

King pokręcił głową.

- Nie ma sensu - odparł z namysłem. - Zrobię kilka fotek, jasne, ale nigdy jej nawet nie widziałem. Ona siedzi w Thames House, a my w budynku Capital Radio na Euston Road. Chcieli nas do nich przenieść, ale na szczęście są za nisko, żeby był dobry odbiór radiowy. Tacy jak ona nie zadają się z taką drobnicą jak my-My spotykamy zazwyczaj tylko oficerów zadaniowych pokroju Lassitera.

- Co zrobimy? - spytałem.

154

- My? - Uśmiechnął się półgębkiem. - Ja nic nie zrobię. Będę tylko obserwował i śledził Evansa. Potem zamelduję Lassiterowi o wszystkich, z którymi się dziś spotkał.

- Włącznie z Thornton? - spytałem.

- Oczywiście. Jeśli jesteś przekonany, że to ona, Phil, dokładnie to przekażę Lassiterowi. Samozadowolenie Kinga zaczynało mnie trochę wkurzać.

- Nie wydajesz się przejęty. Nie sądzisz, że to trochę dziwne, że on się z nią spotkał? Kiwnął głową.

- Z pozoru tak. Ale to jest gra wywiadowcza, Phil, a ją się rozgrywa w strefie cienia. Dawno już nauczyłem się nie kombinować, tylko robić swoje.

I to właśnie King i jego zespół dalej robili. Spotkanie Evansa z kobietą - o której byłem przekonany, że to Melissa Thornton - trwało jeszcze dziesięć minut. Potem Evans wstał z ławki i wyszedł z powrotem na ulicę. King odpałił silnik, aleja podjąłem decyzję i otworzyłem drzwi.

- Dzięki za wszystko, Jeff, ale chyba wróć już do bazy. Wzruszył ramionami.

- Jak chcesz. Miło było.

Wysiadłem i popatrzyłem, jak odjeżdża, zastanawiając się, co mam, do cholery, teraz zrobić? Miałem wielką ochotę podejść do Thornton i spytać, co się tu dzieje. Dlaczego spotykała się z jednym z naszych głównych podejrzanych? Potem przyszło mi do głowy coś innego, i wcale mi się to nie spodobało. Wybrałem prostsze wyjście, zatrzymałem przejeżdżającą taksówkę i pojechałem z powrotem do biura. Musiałem pomyśleć.

Przyjechałem na miejsce kilka minut po tym, jak Joe Lassiter pojawił się z potwierdzeniem, że koordynator Al-Kaidy, enigmatyczny Nawed Husajn, wjechał jednak do kraju w lipcu.

Kate opanowała już nasz bajerancki nowy ekspres do kawy i podawała właśnie kubki Jazz i Ciapatowi.

- Też się napijesz, Phil?

- Ale poproszę czarną z cukrem, żadnych takich pienistych świnstw - odparłem i odwróciłem się do Lassitera. - Myślałem, że to potrwa tygodnie, jeśli w ogóle coś znajdziecie.

Lassiter był zadowolony z siebie.

- Mamy rezultaty szybciej, niż się spodziewałem. Dostaliśmy nowe oprogramowanie porównujące zdjęcia portretowe z nagraniami kamer. Wyrzuciło osiemdziesiąt siedem procent zbieżności z niejakim Jawadem Nasrallahem, podróżującym z jordańskim paszportem. Przyplłynął do Holyhead dublińskim promem jako Pieszy pasażer. Pomyślałem, że będziesz chciał się dowiedzieć.

Choć byłem pewien, wolałem mieć prawie stuprocentowe potwierdzenie, że nie wpuściłem MI-5 w maliny.

- Mamy coś jeszcze?

- Na razie nie. Kontaktujemy się z irlandzkim wywiadem i będziemy sprawdzać karty kredytowe i całą resztę pod kątem tej nowej tożsamości... to trochę potrwa. A ty? Myślałem, że jeździsz z obserwatorami Evansa?

Wziąłem kubek kawy od Kate.

- Ach, tak. Wydarzyło się coś osobliwego. Dlatego postanowiłem wrócić. Lassiter zrobił zdziwioną minę.

- Co to znaczy „osobliwego”?

- Evans przyjechał na południe po wielu próbach zgubienia ogona... Ale w końcu nie spotkał się z Nawedem Husajnem ani żadnym innym podejrzanym. Spotkał się z kobietą Melissa Thornton.

Lassiter omal nie udławił się kawą

- Nie wierzę, Phil! To niemożliwe!

- Jestem pewien.

- Niemożliwe.

- Miałem rację co do Naweda - nie ustępowałem, ryzykując. - Mam oko do twarzy. To była Melissa Thornton albo jej stuprocentowy sobowtór.

- Czy ta Melissa ma siostrę bliźniaczkę? - spytała Kate.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł z irytacją Lassiter.

- Dlaczego miałyby rozmawiać z Evansem? - spytała Jazz.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziałem. - Ale mam zupełnie szalony pomysł, Joe. Te przecieki i cynki, podejrzenie, że informacje mogą się wydostawać z policji... a może skądinąd.

Lassiter popatrzył na mnie jak na zbiega z domu wariatów.

- Naprawdę nie wydaje mi się, aby Melissa Thornton była nawróconą islamską ekstremistką a tobie?

Zaczynałem żałować, że o tym wspomniałem.

- Nie, ale dobrze zna Evansa. Musieli się gdzieś spotkać, jakoś się poznać. Może się przed nim wygadała.

Lassiter uśmiechnął się swoim obleśnym, lubieżnym uśmiechem.

- Masz na myśli rozmowy w łóżku?

- A skąd mam wiedzieć, do cholery? Różnie to bywa.

- To prawda - potwierdził Ciapat. Lassiter podniósł rękę.

- Dobrze, dobrze. Nie ma sensu bawić się w zgadywanki. Muszę przekazać Felicity Goodall. Jeśli Phil ma rację, ona będzie musiała się tym zająć. Jeśli si myli, wszyscy prawdopodobnie wylecicie z roboty.

W tym momencie zadzwoniła jego komórka. Odebrał. Słuchał przez kilka chwil, potem zatrzasnął aparat.

- To było centrum operacyjne A-4 - oznajmił. - Zespół Kinga mówi, że Dave Evans wraca do domu. Zostaną przy nim, oczywiście, ale raczej mało prawdopodobne, aby dzisiaj spotkał się z Nawedem Husajnem.

Dało się odczuć wyraźnie ogólne rozczarowanie.

- Może jutro-powiedziałem.

- Może - powtórzył Lassiter. - A skoro o jutrze mowa, Phil, może wpadłbyś około jedenastej do Thames House. Magicy od elektroniki pokażą, co zawierał laptop świętej pamięci Akmala Younisa, który zdobyłeś. I jest do załatwienia kilka innych spraw.

- Jasne - zgodziłem się. - Przyjadę.

Dopiero następnego ranka, jadąc taksówką z Jazz do Thames House, przypomniałem sobie, by zapytać ją, jak jej poszło spotkanie ze studentem doktora Sami-ra, Achtaarem Szachidem.

- Bardzo nieśmiały, miły chłopak - odparła. - Nie patrzy mi w oczy, za bardzo się wstydzi. Kiedy przycisnęłam go trochę w sprawie tej pracy, nie wydawał się tak chętny jak jego współlokatorzy. Powiedział, że chciałby zarobić ekstra trochę pieniędzy, ale nauka zajmuje mu za dużo czasu.

- Widziałaś to pismo służb imigracyjnych? - spytałem. - Szachid był w zeszłe lato cztery razy w Pakistanie.

Jazz kiwnęła głową.

- Pytałam go o to. Twierdzi, że był w odwiedzinach u dalszej rodziny.

- Nic więcej? Spytałaś, czy chodził tam do medresy?

- Oczywiście. Zawahał się, ale powiedział, że nie. Wyjaśniłam, że jestem bośniacką Muzułmanką i że bardzo chętnie pochodziłabym do medresy, że zastanawiam się, jak tam jest. Wtedy przyznał, że w jednej był. Nie pamiętał, w której. Powiedział, że chciałby tam wrócić, kiedy skończy studia w Anglii.

- I wciąż uważasz, że to mało prawdopodobny podejrzany? - naciskałem.

- To tylko moje osobiste przekonanie, Phil. Przepraszam.

Przeszło mi przez myśl, że chyba było jej chłopaka trochę żal. Postanowiłem wysłać Ciapata do Achtaara Szachida i usłyszeć jego opinię. W końcu Szachid jest młody i naiwny, był pod wpływem doktora Samira i wiedzieliśmy, że w Zjednoczonym Królestwie chodził na spotkania grup radykałów.

W tym momencie taksówka zatrzymała się pod gmachem sądu na Horseferry Road, gdzie czekał na nas Joe Lassiter. Kilka chwil później szliśmy już sekretnym korytarzem do siedziby MI-5 w Thames House.

Kiedy jechaliśmy w górę windą Lassiter oznajmił:

- Powiedziałem Królowej Śniegu o Melissie Thornton i Evansie, i na wszelki wypadek sprawdziłem zdjęcia tego spotkania, zrobione przez obserwatorów. Muszę się zgodzić, stary, to rzeczywiście Melissa.

- Co powiedziała Felicity?

157

- Była tak samo zdziwiona jak my wszyscy. Postanowiła zaprosić Melissę na nasze spotkanie i zapytać ją wprost.

- Melissa to szefowa Felicity, tak? - spytała Jazz. - Czy to nie będzie dla **niej** trudne?

Lassiter przyjrzał się jej uważnie - zbyt uważnie.

- Taka uroda, a do tego inteligencja. Jazz odpowiedziała mu hardym spojrzeniem.

- Ostrożnie, Joe, to nie jest Bośnia, od tamtej pory trochę dorosłam.

- Przepraszam - zaprotestował z udawaną niewinnością - nie chciałem urazić twoich uczuć. Masz rację. Dlatego właśnie Felicity zamierza grać w otwarte karty, mając nas wszystkich za świadków reakcji Melissy. W ten sposób zabezpieczy **SIĘ** także przed dywanikiem.

Winda się zatrzymała, a drzwi rozsunęły, dysząc astmatycznie. Lassiter poszedł przodem przez biuro do jednej z sal konferencyjnych. Na drzwiach wisiała tabliczka „Zajęte” i rzeczywiście, w środku czekała na nas Felicity Goodall, siedząc za małym stolikiem, na którym leżały rozłożone papiery i zdjęcia.

Kiedy weszliśmy, podniosła wzrok.

- Cześć, Phil... Jasmina. Miło znów cię zobaczyć.

Cieszyłem się, że znów widzę Królową Śniegu. Mimo mrocznych ostrzeżeń Lassitera jej towarzystwo sprawiało mi przyjemność. Jak zawsze wyglądała skromnie, fachowo, elegancko i oszałamiająco jednocześnie.

Kiedy wymienialiśmy powitania i uściski dłoni, widać było, że jest bardzo spięta.

- No, Phil - powiedziała, kiedy usiedliśmy - trzeba przyznać, że podrzuciłeś mi niezły pasztet. Kobieta, która spotkała się z Evansem, to bez wątpienia Melissa. Lepiej nawet niż badanie jej DNA... - przerwała dla większego efektu. - Rozpoznałam jej ubranie.

Lassiter parsknął śmiechem.

- No, o tym nie pomyślałam. Ale kobieta to potrafi, prawda? Felicity go zignorowała.

- Jestem pewna, że jest na to jakieś doskonale racjonalne wyjaśnienie, tyle że żadne nie przychodzi mi w tej chwili do głowy.

Ktoś zastukał mocno do drzwi i otworzył je, nie czekając na zaproszenie. Tak jak kiedy widziałem japo raz ostatni, Melissa Thomson była ubrana cała na czarno, tym razem jednak zamiast spodni włożyła elegancką wąską spódnicę. Teraz też miała upięte włosy i wyglądała, jakby wyszła prosto z pokazu mody.

Rzuciła na biurko przed nami stos papierów.

- Mam nadzieję, że to długo nie potrwa, Felicity - powiedziała, siadając n^a podsuniętym jej przez Lassitera krześle. - Muszę skończyć raport na spotkanie COBRA dzisiaj po południu.

Felicity uśmiechnęła się niezręcznie.

- Cóż, Melisso, mam nadzieję, że to zajmie tylko kilka minut, ale naprawdę muszę cię o to zapytać.
Melissa nie zadawała sobie nawet trudu, by ukryć swoje rozdrażnienie.

- Tak?

- Phil Mason jeździł wczoraj z jednym z naszych zespołów obserwacyjnych. Śledzili podejrzanego.

- Tak, Felicity, oczywiście. Tym się właśnie zajmują.

Królowa Śniegu przesunęła po stole ziarniste zdjęcie Dave'a Mo Evansa.

- Ten mężczyzna. Rozpoznajesz go?

- Co? - Melissa spojrzała na powiększone zdjęcie zrobione przez teleobiektyw, a ja zobaczyłem, że jej porcelanowa skóra błędnie jeszcze bardziej. - Skąd to wzięłaś?

Felicity zmarszczyła brwi.

- Skąd? Wzięłam to z akt. To jeden z sześciu podejrzanych, których obserwuje Phil Mason. Dave Evans, były brytyjski żołnierz.

- Tak, tak. Wiem, kto to jest - warknęła Melissa. - Dlaczego, do cholery, nikt mi o tym nie powiedział?

- Wysłano ci rutynowe sprawozdanie... - Felicity zajrzała do notatek. - Dokładnie tydzień temu. W zeszłą sobotę.

Melissa patrzyła na zdjęcie z taką wściekłością że nie zdziwiłbym się, gdyby stanęło w płomieniach.

- Cholera, byłam w Stanach na konferencji *Wojna z terroryzmem*. Totalna strata czasu... A cały tydzień miałam zebrania... Notki o ponad dwustu podejrzanych...

- Chcesz powiedzieć, że pewnie masz to wciąż w przegródce „przychodzące”? - zasugerowała Felicity. Może to było współczucie, ale wydawało mi się raczej, że tryumfuje. Wyjąwszy z teczki kolejne zdjęcie, również położyła je przed Melissą.

- Zrobiono je Evansowi wczoraj. Mamy rację, że to ty z nim jesteś?

Melissa podniosła wzrok i spojrzała na nią z wściekłością.

- Przecież widzisz, że to ja. A kto go obserwuje? A-4 czy ci... - nie dokończyła zdania, ale chciała chyba powiedzieć „kowboje”.

- A-4 - odparła Felicity. - Phil przekazał go nam, kiedy się dowiedzieliśmy, że Evans ma kontakty z Al-Kaidą... Tego pewnie nie wiesz, tym kontaktem jest Na-*ed Husajn.

- Oczywiście, że wiem, do cholery. I macie natychmiast zdjąć z niego obserwację A-4! Słyszysz?!

Felicity się zdenerwowała. ~ Słucham? Dlaczego?

Melissa Thornton wzięła głęboki oddech, opadła na oparcie krzesła i zamknęła oczy.

~ Bo Dave Evans nie jest podejrzanym - powiedziała prawie szeptem. - Ja nim kieruję.

Zauważyłem, że Lassiterowi opadła szczęka; mnie na pewno też.

- Co? - wykrztusiła Felicity, kiedy minął jej pierwszy szok. Ale jej szefowa otworzyła z powrotem oczy i znów zaatakowała.
- Słyszałaś. I nie siedźcie tak z rozdziawionymi gębami. Ja prowadzę Evansa. Przeniknął bardzo głęboko i znalazł wejście do siatki Al-Kaidy.

Spojrzenie Felicity stwardniało.

- Czy nie powinnam zostać o tym poinformowana? Lśniące usta Melissy wykrzywiły się pogardliwie.

- Nie, ty nie, Felicity. Poinformowałam górę. Moje działania autoryzował sam zastępca dyrektora generalnego. - Zawahała się, być może zdając sobie sprawę, że zdradziła przy obcych swoje prawdziwe uczucia wobec rywalki. Uśmiechnęła się z przymusem. - Sprawa była zbyt delikatna, zbyt ryzykowna, żeby stała się znana wszystkim. Zastępca dyrektora zgodził się z moją decyzją żebym sama prowadziła Evansa... przynajmniej na razie.

Lassiter wolno pokręcił głową wyraźnie nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy. Przypomniałem sobie, jak mi kiedyś mówił, że zastępca dyrektora generalnego leciał na Melissę Thornton.

- Jak to się wszystko stało, szefowo? - spytał.

Melissa rzadko się uśmiechała, teraz jednak na jej lśniących ustach pojawił się cień uśmiechu.

- Jak to w życiu bywa, zaczęło się od przypadkowego spotkania. To było po zamachach 7 lipca w Londynie. Wysłaliśmy ludzi w różne miejsca, żeby ustalili, co się dokładnie stało i kto konkretnie jest odpowiedzialny. Później pojechałam do królewskiego szpitala porozmawiać z ocalałymi. Tam spotkałam Dave'a... Dave'a Evansa.

- Był jednym z rannych? - spytała Felicity. Melissa pokręciła głową.

- Nie. Miał szczęście, pokaleczyło go tylko trochę latające szkło. Jechał metrem przez Edgware Road. Tuż obok nich wybuchł pociąg linii Circle, jadący w przeciwnym kierunku. Evans spędził prawie godzinę z innymi, pomagając umierającym i rannym, dopóki nie dotarli do nich w końcu ratownicy.

- Boże, to okropne - mruknęła Felicity.

- Kiedy go spotkałam, wciąż był cały brudny i we krwi. Siedział przy łóżku strasznie poranionej nastolatki, powtarzał w kółko jej imię, pocieszał ją, próbował dodać jej odwagi. - Melissa wzięła głęboki oddech, przypominając sobie groźę tamtej chwili. - Dziewczyna umarła przy mnie. Wyszłam z Evansem na dwór, oboje potrzebowaliśmy trochę świeżego powietrza. I papierosa, i czegoś do picia. Wtedy dowiedziałam się, że jest byłym żołnierzem bez pracy. Opowiedział mi, jaka to ironia losu, że zmarła dziewczyna była muzulmanką. Przyjechała z Jordanii uczyć się języka.

Byłem zdezorientowany.

- Dave Evans naprawdę został muzułmaninem? Melissa pokręciła głową.
- Nie. Ale odszedł z wojska zniechęcony naszym udziałem w wojnie w Iraku i Afganistanie. I zadał sobie trud przeczytania Koranu, bo rzeczywiście go to interesowało. Oczywiście nie wiedział, kim jestem, kiedy mi mówił, że chodził w Londynie na antywojenne wiece i spotkania. Powiedział, że w wyniku tego zaprzyjaźnił się z miejscowymi grupami islamistów.
- I stąd pomysł, żeby go prowadzić jako agenta? - spytała Felicity.
- Po następnych dwóch spotkaniach - potwierdziła Melissa. - Evans był zły na brytyjskie i amerykańskie władze, ale jeszcze bardziej rozwścieczali go radykalni duchowni, którzy zawłaszczyli Koran i przekręcali jego treść, żeby rozpałcić młodych, narwaną ignorancję. Powiedział mi, że wciąż ma koszmary o Amal, dziewczynie z pociągu. O tym, jak jej zwęglona ręka została mu w dłoniach.
- O mój Boże - mruknęła Jazz.
- Miał już wtedy znajomości na obrzeżach klikki mułły Redy. Oczywiście Reda był uważany za umiarkowanego. Evans został zaproszony na spotkanie jednej z jego grup dyskusyjnych, żeby opowiedzieć o swoich doświadczeniach z walki w krajach muzułmańskich. Kiedy złożyłam mu propozycję, zaczynał sobie chyba uświadamiać, że Wesoly Mułła nie jest taki, jak by się mogło wydawać. Namówiłam go bez trudności.
- Ale teraz przeniknął już głęboko? - naciskał Lassiter. Melissa pokiwała głową.
- Stopniowo go zaakceptowali, bo wydawał się, nie, jest, autentycznie zainteresowany teologią islamu, a także z powodu jego wojskowego doświadczenia. Cenił go za umiejętność wynajdowania najlepszych potencjalnych rekrutów do różnych operacji, tutaj i za granicą. Te tropy były dla nas bardzo ważne. Nikt o tym nie wie, ale dzięki nim zapobiegliśmy kilkunastu terrorystycznym zamachom. Evans może być nawet powodem, dla którego niektórzy podejrzani znaleźli się na waszej liście. Przymknąłem oczy. Boże, czy w mętym świecie wywiadu cokolwiek się zmienia? Błefy i podwójne błefy, jedna ręka nie wie, co robi druga? Jak wszystkie nieczyste zagrywki, których byłem świadkiem podczas sekretnej wojny w Irlandii Północnej. Nikt i nic nie jest tym, czym się wydaje. Czasami trzeba było zadać sobie pytanie, czy to istotnie najlepszy sposób działania, czy może chodzi tu jednak o osobistą władzę i czyjeś ego?
- Czy Evans wie, gdzie jest teraz Nawed Husajn? - spytała Felicity.
- Ludzie z Al-Kaidy nie są głupi - odparła cierpko Melissa. - Powinnaś o tym wiedzieć. Evans spotkał się z nim kilka razy i zbliża się do niego, ale nie zna jego adresu ani nie ma żadnego numeru telefonu. Nawed kontaktuje się, dzwoniąc z budki i umawiając na spotkanie, a potem miejsce spotkania zmienia się z reguły kilka razy w ostatniej chwili, dopóki ludzie Naweda nie są pewni, że nie jest śledzony.

Felicity zmarszczyła brwi.

- Jesteś pewna, że mam odwołać zespół A-4, Melisso? Jeśli Al-Kaida przejr Evansa, mogą się przydać dla jego własnego bezpieczeństwa.

- Wiesz, że A-4 tego nie zrobi. Nie zdradzą się. Raczej oni mogą się przyczynić do spalenia Evansa.

- Evans mówił mi - dodałem - że ktoś się chyba włamał do jego pokoju. Pomyślałem, że to dziwne, że podejrzewa swoich muzułmańskich przyjaciół, a nie brytyjskie służby.

- Teraz już wiesz dlaczego - powiedział Lassiter. Melissa wytrzeszczyła na mnie oczy.

- Rozmawiałeś z Evansem? Boże, z każdą chwilą coraz gorzej.

- Spotkałem się z nim dwa razy - odparłem obronnym tonem. - Znamy się przelotnie z wojska.

- Ja zezwoliłam Philowi na kontakt z nim, Melisso - dodała Felicity. - Oczywiście nie zrobiłabym tego, gdybym była poinformowana.

Melissa wciąż patrzyła na mnie.

- Koniec ze spotkaniami starych wiarusów, dobrze? Trzymaj się od niego z daleka. Zrozumiałeś?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, ubiegła mnie Felicity.

- A obserwacja elektroniczna?

- Co konkretnie jest w użyciu? Szczegóły znał Lassiter.

- Kamera przekazująca obraz na żywo pod blokiem Evansa, podsłuch w pokoju, w publicznym telefonie na korytarzu i jednej z jego komórek, do tego podpięliśmy się pod adresy e-mailowe, których używa z miejscowej kawiarenki internetowej. Melissa przez chwilę intensywnie się zastanawiała.

- To chyba nie zaszkodzi... Ale cholernie żałuję, że założyliście mu podsłuch w pokoju. Któryś z jego muzułmańskich kontaktów mógłby to sprawdzić i go znaleźć...

Felicity zrobiła zdezorientowaną minę.

- Posłuchaj, Melisso, naszym celem jest aresztowanie Naweda Husajna. Przebywa w kraju nielegalnie, a to może oznaczać, że kroi się coś dużego.

Melissa prawie zawarczała.

- Znalezienie Naweda, tak - odparła. - Ale na Boga, nie aresztowanie! Czy *tf*, w ogóle myślisz? Evans jest coraz bliżej Naweda, spodziewamy się lada chwila następnego spotkania. Kiedy namierzymy tę gnidę, będziesz mogła nasłać na niego A-4 z całym arsenałem, żeby wykryli wszystkie jego kontakty i co knuje. A jak go teraz aresztujecie, zastąpią go tylko kimś innym, o kim nic nie wiemy.

Felicity odwróciła się do Lassitera.

- Joe, skontaktuj się, proszę, z kontrolą A-4 i odwołaj natychmiast wszystkie zespoły.

162

Lassiter wstał.

- Czy wydział techniczny ma zabrać podsłuch z mieszkania Evansa?

- Nie - wtrąciła ostro Melissa. - Chłopcy Naweda mogą go obserwować na własną rękę. Jest byłym żołnierzem, zawsze będą do niego podchodzić z dystansem. Dlatego trzymajcie się od niego z dala. Powiedzcie mi, w którym miejscu podłożyliście podsłuch. Zadzwonię do Dave'a i powiem mu. Pozbądźcie się go bez hałasu.

- Załatwię to, szefowo - powiedział Lassiter i wyszedł. Melissa wstała od stołu i zebrała swoje papiery.

- Miejmy nadzieję, że nic złego się nie stało. A teraz wybaczcie. Odwróciła się gwałtownie na swoich szykowych szpilkach i zniknęła za drzwiami.

Felicity wydeła policzki i usta.

- Uff! Było trochę ostro... Kiedy wychodziła, nie słyszałam żadnych przeprosin, prawda?

Spojrzałam jej w oczy i uśmiechnąłem się.

- Raczej nie.

- Wybacz, że pytam, Felicity - powiedziała Jazz - ale nie sądzisz, że ona może być... e... dość blisko z Dave'em Evansem?

- Czemu tak myślisz?

- Kobieca intuicja - odparła Jazz - a może się mylę. Na początku powiedziała o nim „Dave” zamiast „Evans” i szybko się poprawiła. Potem na końcu znów nazwała go „Dave”. No i ton głosu, jakim opowiadała o tym, jak się poznali.

- To możliwe - uznała Felicity. - Ale drażnienie tego nie jest warte mojej pracy. Dostała błogosławieństwo zastępcy dyrektora generalnego, więc nie będę robić trudności. - Zerknęła na swojego cartiera. - Ach, pora na naszych gości.

Chwilę później drzwi się otworzyły i Lassiter wrócił z inspektorem Proctorem z wydziału specjalnego i człowiekiem, którego widziałem po raz pierwszy. Lassiter wpuścił ich i zaprosił, by usiedli przy stole.

- Chyba wszyscy znacie inspektora Proctora... a to jest profesor Peter Schneider, główny spec naszego działu informatycznego.

Rozczochrane, kędzierzawe włosy, okalające gęsto łysinę profesora, i grube szkła jego okularów sugerowały, że spędził chyba zbyt wiele czasu ze swoich sześćdziesięciu kilku lat przyklejony do monitora komputera. Natychmiast wyczułem, że sensem jego życia była praca i nie interesował się niczym innym, ^w tym na pewno ubraniami. Przetarte sztruksy i staromodna tweedowa marynarka ^a kraciastej koszuli, rozpiętej pod szyją sugerowały raczej troskę o wygodę niż Jakikolwiek zainteresowanie modą. Na kanciastej, podłużnej twarzy tańczył entuzjastyczny, ale trochę nerwowy uśmiech.

- Miło mi poznać panów... i panie - powiedział rozbawionym głosem z lekkim niemieckim akcentem. - Nieczęsto wypuszcza się mnie z warsztatu. Rzadko

też ktoś mnie odwiedza, chyba że mam mu wymazać z laptopa ślady, że odwiedzaj niegrzeczne strony.

- Dobra myśl, profesorze - powiedział Lassiter. - Będę musiał do pana[^] wpaść.

- Dziękuję, Joe - przerwała chłodno Felicity. - Zaczynamy, łan, co u ciebie?

- W porządku, dzięki - odparł inspektor. I szczerze mówiąc, nie przypominał już tak bardzo żywego trupa, jak wówczas, gdy widzieliśmy się po raz ostatni. Tym razem przynajmniej się ogolił i włożył wyprasowany garnitur, choć w jego oczach wciąż brakowało życia. - Mój synek przestał chwilowo ząbkować. Przespaliśmy dwie noce. - Rozejrzał się wokół stołu. - Mam kilka ciekawych rzeczy, którymi chciałbym się z wami podzielić. Ale najpierw złe wiadomości... przeszukanie domu doktora Samira nie dało zupełnie nic. Albo jest czysty jak śnieg, albo to bardzo sprytny zawodowiec.

Zmarszczyłem brwi.

- To wykładowca informatyki. Nie miał komputera ani laptopa?

- Jego żona powiedziała, że miał laptop, ale musiał go zabrać ze sobą. - Praetor wzruszył ramionami. - Najwyraźniej razem ze wszystkimi swoimi płytami. Co ciekawe, mówiła, że nigdy nie łączył się z domu z Internetem, robił to tylko w Imperial College.

- Czy...?-zaczęła Felicity.

- Oczywiście, zrobiliśmy nalot na College natychmiast po próbie aresztowania. Zabraliśmy wszystkie komputery, do których mógł mieć dostęp. Władze uczelni nie były zachwycone. Chłopcy profesora Schneidera już je przeglądają.

- Czy pani Samir wciąż udaje niewiniątko? - spytała Felicity.

- Tak, a ja nic na nią nie mam. Będę musiał ją wypuścić. Felicity z powagą pokiwała głową.

- Możesz się porozumieć z Joem, łan? Chcę, żeby całą dobę była pod obserwacją zespołu A-4.

- Jeśli mam jeszcze jakiś wolny - mruknął Lassiter do siebie. Felicity uśmiechnęła się lodowato.

- Oczywiście, że masz, Joe. Obudź się. Właśnie zdjąłeś jeden ze sprawy Dave'a Evansa.

- Trochę lepsza wiadomość - podjął Praetor - to wyniki nalotów na restauracje sieci zmarłego pana Younisa. Zwinęliśmy około sześćdziesięciu osób, w większości pochodzenia pakistańskiego, niektórzy urodzeni tam, niektórzy tutaj. Kelnerzy, kucharze, pomoc kuchenna, sprzątacze. Trzech może być Af-kańczykami. Menedżer Younisa był bardzo pomocny. Z własnej woli natychmiast udostępnił nam wszystkie dane personelu. Dzięki temu mieliśmy adresy tych, którzy pracowali na innych zmianach. Domy wszystkich pracowników zostały przeszukane. Tylko jeden zniknął, zanim pojawiła się u niego policja, ale już go szukamy.

- Nie zaskoczyło was, że menedżer był taki skory do współpracy? - spytał Lassiter.
- Nie, kiedy wyjaśnił sytuację - odparł Proctor. - Powiedział, że zdawał sobie sprawę z trudności finansowych firmy, ale nie mógł na to nic poradzić. Dobrze wiedział, co się dzieje, nie miał jednak dowodów. Younis prowadził firmę bardzo patriarchalnie, kontrolował finanse i rekrutację personelu. Menedżer mówi, że bał się, że straci pracę, jeśli będzie zadawał za dużo pytań. Miał też pewne wątpliwości co do niektórych pracowników.
- Wątpliwości? - spytała Felicity.
- Podejrzewał, że niektórzy mogą być nielegalnymi imigrantami, ale na to także nie miał dowodów.
- Nie mylił się? - zapytał Lassiter. Proctor kiwnął głową.
- Około piętnastu pracowników miało fałszywe dokumenty, jak sądzimy. Wieści o aresztowaniach szybko się rozeszły i od razu zaczęły się do nas dobijać dwie pakistańskie kancelarie prawnicze. Podejrzani są wciąż w areszcie, ale żaden nic nie powiedział. Menedżer został zwolniony bez stawiania zarzutów. Może się wam przydać, jeśli z nim porozmawiacie.
- Możesz to załatwić? - spytałem.
- Zapytam go. Jak mówiłem, był jak dotąd bardzo pomocny. Chyba ma nadzieję, że uda mu się przejąć firmę.
- Przeszukaliście domy tych piętnastu? - spytała Felicity.
- Tak. Nie znaleziono broni, materiałów wybuchowych ani sprzętu do produkcji bomb. Trzech miało radykalne islamskie nagrania albo książki, ale niczego więcej, co by sugerowało przynależność do komórki Al-Kaidy. Żaden nie miał komputera, chyba za mało zarabiają. - Proctor potarł brodę. - Przesłuchano cały pozostały personel. Większość pracowała od roku albo dłużej.
- A więc wielkich postępów nie ma - zauważyła Felicity sztywno. Proctor nieznacznie się uśmiechnął.
- No, można by uznać za postęp ustalenie, że nie ma wśród nich utajnionej komórki terrorystycznej. Tym razem to Felicity się uśmiechnęła i odwróciła do profesora Schneidera.
- Ty też, Peter, powiesz mi, że masz dobrą wiadomość, bo pan Younis również nie należał do terrorystycznej komórki. Profesor popatrzył na nią znad okularów.
- Droga pani, chciałbym... Prawda jest taka, że podejrzewam, iż zmarły dzentelmen miał jednak coś do ukrycia. Zwłaszcza, że wszystkie dokumenty i arkusze na jego laptopie dotyczyły, albo wydają się dotyczyć, jego firmy albo korespondencji rodzinnej czy spraw domowych. Bardzo skrupulatnie podchodził do kasowania otrzymywanych i wysyłanych e-maili, a także do opróżniania elektronicznego kosza.

- A więc nic nie znaleźliście? - spytała Felicity ze zniecierpliwieniem.

- Ależ tak, droga pani, ale musimy przejść od kosza do wysypiska, jeśli rozumie pani, o co mi chodzi. Zbadaliśmy dogłębnie twarde dyski naszym specjalistycznym oprogramowaniem odzyskującym. - Przypuszczalnie dlatego, że profesora rzadko wypuszczano z jego laboratorium, korzystał z okazji, by opowiedzieć o swoich mrocznych sztukach. - Znaleźliśmy kilka interesujących e-maili i dokumentów. Wiele było zaszyfrowanych, ale udało nam się je odczytać. Dzisiejsza technologia oprogramowania bardzo ułatwia takie rzeczy. Niektóre jednak, obawiam się, zaszyfrowano kodem jednorazowym. Czyli takim, który jest znany tylko wysyłającemu i odbiorcy, a potem wyrzucany. Niektóre e-maile przychodziły z popularnych serwerów pocztowych, takich jak Hotmail czy Yahoo!, do których, jak wiecie, dostęp ma każdy z dowolnego komputera na świecie, co praktycznie uniemożliwia ustalenie prawdziwej tożsamości nadawcy.

- A inne? - przerwał Lassiter, któremu udzieliło się zniecierpliwienie Felicity.

- Inne - odparł powoli Schneider - zostały wysłane z komputerów pakistańskiego rządu.

- Znani nadawcy? - spytała Felicity. Profesor pokręcił głową.

- Nie, nie da się tego ustalić. Ale, jak wiecie, wielu uważa, że w ISI jest potężne lobby popierające talibów w Afganistanie i siatkę Al-Kaidy.

- Co to jest ISI? - spytałem.

- Zarząd Wywiadu Międzysłużbowego, Inter-Services Intelligence - wyjaśnił Lassiter. - Największa pakistańska agencja wywiadowcza. Pod rządami prezydenta Musharrafa jest teoretycznie zaangażowana w wojnę Busha z terroryzmem, ale wiele osób w społeczności wywiadowczej uważa, że jest tam duża grupa muzułmańskich radykałów, ciągnących w drugą stronę...

- Domyślam się - powiedział Schneider - że tacy właśnie ludzie mogą być źródłem wiadomości przysyłanych do pana Younisa. Większość odnosi się do osób. ale nie używano właściwych nazwisk, tylko kryptonimów. Głównie ze świata zwierząt i minerałów. Na przykład diament i klejnot albo żyrafa i gołębica... Nadstawiłem uszu.

- Powiedział pan „gołębica”? Było tam coś takiego? Schneider się zastanowił.

- Wydaje mi się, że tak.

- Czemu to istotne? - spytała Felicity.

- Ktoś o takim kryptonimie wysłał Younisowi ostrzeżenie przed spotkaniem z doktorem Samirem.

- To może być pseudonim ich informatora - zapalił się od razu Lassiter. Schneider nie był zadowolony, że mu się przerywa.

- Jak mówiłem, wiadomości pisano szyfrem, ale mam wrażenie, że dotyczyły osób przyjeżdżających do kraju z zagranicy.

Pytania o ich tożsamość, godziny

przylotów, ustalenia, kto je odbierze... Tak bym powiedział. Wszystko opisałem szczegółowo w raporcie.

_ Doskonale, profesorze - powiedział Proctor - może powiążę te wzmianki z jakimiś pracownikami Younisa.

Schneider kiwnął głową.

- Tak jest, i tu może panu pomóc wyraźny brak doświadczenia pana Younisa na tym polu. Udało się nam odzyskać dokument Worda, nie e-mail, który skasowano i wyrzucono do kosza. To lista nazwisk jego niektórych dawnych pracowników. W nawiasach obok każdego jest jedno albo więcej nazwisk.

- Pseudonimy? - spytał Proctor.

- To jedno z możliwych wytłumaczeń, chociaż mogą być inne. - Profesor uśmiechnął się łagodnie. - Proszę jednak pamiętać, że zdecydowana większość e-maili odebranych przez Younisa była jedynie do niego skopiowana. Głównym odbiorcą był ktoś

o kryptonimie Czarna Wdowa pod darmowym adresem na Hotmailu.

- Pająk - powiedziała Felicity.

- Środek sieci - mruknął Lassiter. - Skontaktuję się z Jankesami, zobaczymy, czy mają coś na temat tożsamości właściciela tej skrzynki.

- Uznałem, że jeden skopiowany e-mail do tej osoby jest wyjątkowo interesujący. Wysłano go z Pakistanu, bardzo późno w nocy według tamtejszego czasu,

l był wyjątkowo niechlujnie napisany, pełen literówek. Coś takiego można napisać, kiedy się za dużo wypilo.

- W Pakistanie się nie pije - zauważyła Jazz. Schneider pozwolił sobie na uśmiech.

- To wcale nie musi oznaczać, że wysyłający nie pił. Treść podchodzi pod kategorię e-maili, których wystania się żałuje. Na pewno była bardzo niedyskretna.

Wziął kartkę ze stołu i przekazał ją Felicity.

Założyła te swoje urocze okulary w złotych oprawkach i zaczęła czytać na głos: „Droga Czarna Wdowo, takie małe a zabójcze stworzenie pochwyci największego przywódcę imperium zła niewiernych, który bezczęści nasze świętej ziemi na bliskim wschodzie. Zabić go na ziemi jego ukochanego i pogardzanego psa -odwzajemniając szok i bojaźń których dopuścili się na Iraku. Wszyscy z rozkoszą obejrzymy w Al Dżazirze tajnych agentów biegających jak bezgłowe indyki i wrzeszczących w panice: »Prezydent trafiony! Prezydent trafiony!«, a on leży strzaskany i krwawiący, gdy Allah słodko się zemści. Jastrząb". Skończyła czytać i podniosła wzrok.

- Kiedy to wysłano?

- Kilka dni przed śmiercią pana Younisa - odparł Schneider.

- Czy to ten e-mail mógł go tak spłoszyć? - spytałem. - Brzmi to, jakby jakiś wariat mówił o zabiciu prezydenta Busha, dlatego Younis mógł chcieć zerwać stosunki z doktorem Samirem.

- Doktor Samir mógłby być Czarną Wdową - dodał Proctor.

- Ale zaczekajcie - powiedział Lassiter. - Z tego, co wiem, nie ma planów wizyty prezydenta USA w Zjednoczonym Królestwie. A to brzmi, jakby była mowa o próbie zamachu na brytyjskiej ziemi.
- Felicity nagle poblądła. Wolnym ruchem zdjęła okulary.
- To ściśle tajne. Prezydent Bush przylatuje do nas, ale to wizyta całkowicie prywatna.
- Lassiter otworzył usta.
- Boże, naprawdę? Kiedy?
- Za cztery tygodnie.

Mężczyzna rozejrzał się nerwowo, wchodząc do sali przesłuchań. Miał około metra siedemdziesięciu wzrostu, był smukłej budowy ciała i miał na sobie jasnoszary garnitur oraz rozpiętą pod szyją koszulę.

- Źle mi się to kojarzy - powiedział, uśmiechając się niepewnie. Jarzeniówki pod sufitem sprawiały, że jego faliste ciemne włosy i ciemna cera wydawały się lśnić. - Byłem przerażony, kiedy mnie tu pierwszy raz przywieźli.

Był poniedziałkowy poranek, a inspektor Proctor i ja czekaliśmy w piwnicznym areszcie posterunku policji Paddington Green na menedżera restauracji You-nisa Firoza Dogara.

- To rozumiałe - powiedział współczująco Proctor. - Dobrze, że pan wrócił. W ciemnych oczach mężczyzny czaiła się niepewność.

- I nie zamierzacie mnie państwo o nic oskarżyć? Proctor uśmiechnął się pocieszająco.

- Nie, nic takiego nie mamy w planach. Przyszedł pan tutaj z własnej woli i jesteśmy za to wdzięczni. Może pan dostać adwokata, jeśli pan chce, ale nie będziemy wykorzystywać przeciwko panu tego, co pan powie.

- W takim razie dlaczego tutaj? Dlaczego nie w biurze restauracji czy na moim lokalnym posterunku?

- Ponieważ, jak na pewno zdaje pan sobie sprawę, to kwestia bezpieczeństwa narodowego. Dlatego lepiej, żeby nikt z pana otoczenia nie wiedział, że pan z nami rozmawia. Poza tym to wygłuszone, dźwiękoszczelne pomieszczenie.

Dogar kiwnął głową.

- A więc nie chodzi tylko o morderstwo szefa czy o nielegalnych imigrantów?

- Może chodzić o coś więcej - przyznał ostrożnie Proctor. Odwrócił się do mnie. - To jest Phil, dżentelmen, o którym panu opowiadałem. Nasz konsultant do spraw bezpieczeństwa.

Podalem Dogarowi rękę. Ucisnął ją bez entuzjazmu.

- Miło mi pana poznać. Niech pan siada.

Wszyscy trzej usiedliśmy dookoła stołu. Nie było tu żadnych działających kamer ani dyktafonów.

- Czy może mi pan coś opowiedzieć o firmie zmarłego pana Younisa? - zacząłem.

- Pewnie - odparł Dogar. - Założył ją jakieś pięć lat po tym, jak przyjechał do Wielkiej Brytanii z żoną. Przyjechali chyba z Pakistanu czterdzieści pięć lat temu. Mówił mi, że oboje przez pięć lat pracowali bardzo ciężko, żeby zarobić na pierwszą małą restaurację indyjską w Londynie. Niedaleko od miejsca, gdzie teraz jest Duch Bombaju.

- Mieli jakieś dzieci? - spytałem.

- Tak, troje. Dziewczynkę, która, niestety, zmarła w wieku czterech lat. Potem dwóch synów.

- Ale oni nie pracują w rodzinnym biznesie?

- Nie, pan Younis nie wiązał już z nimi nadziei. Starszy otrzymał bardzo drogie wykształcenie i uważał, że jest za dobry, aby prowadzić restaurację. Dostał świetną posadę w księgowości w City i w końcu poznał pakistańską dziewczynę, ożenił się z nią i wyjechali razem do Pakistanu. Prowadzi tam teraz bardzo dużą firmę. Pan Younis mawiał, że teraz ja jestem jego synem.

- A drugi, młodszy syn?

- Ha! - Dogar nie ukrywał pogardy w głosie. - Ali to mały gnojek. Ma trzydzieści pięć lat i nic nie robi. Prawdopodobnie to przez niego nasza firma zaczęła podupadać. To pijak, wciągał kokainę i narobił ogromnych karcianych długów.

- Czy to może mieć coś wspólnego ze śmiercią jego matki? - spytał Proctor. - Około dziesięciu lat temu?

Dogar wzruszył ramionami.

- Być może, ale przedtem też nie skalał się pracą. Jego ojciec żartował, że Ali jest na pracę uczulony. Pakistańska społeczność nie lubi obiboków, mamy silną etykę pracy, jak państwo wiecie. W każdym razie pan Younis zawsze wyciągał go z kłopotów. W końcu miał już dość, odciął się od niego i nie chciał mieć z nim nic wspólnego.

Przyszło mi do głowy, że chyba zaczynam dostrzegać jakąś prawidłowość.

- Kiedy to było?

- Około dwóch lat temu.

- Ale dla firmy było już za późno? Dogar kiwnął głową.

- Jak już powiedziałem policji, nie wolno mi się było zbliżać do księgowości. Ale zauważyłem, że niektórzy dostawcy skarżą się, że im nie zapłacono. Część przestała dostarczać towar. Pan Younis narzekał na podatki i na to, że obroty restauracji spadają. Winił premiera Gordona Browna. Mówił, że rząd wyciąga Wszystkim pieniądze z kieszeni.

- Ale do tej pory sobie radził - zauważył Proctor.
- Sytuacja się poprawiła, kiedy zjawił się doktor Samir - odparł Dogar - jakieś dwa lata temu.
- Doktor Samir! Nasz zaginiony wykładowca informatyki i były księgowy z Imperial College. Ten sam, którego widziałem na tajnym spotkaniu z Akmalem You-nisem.
- Jak do tego doszło? - spytałem, starając się zachowywać neutralny ton głosu.
- Pan Younis znał od wielu lat mułłę Redę i swojego konkurenta, Hasana Malika. Spotykali się czasami w meczecie. Byli raczej znajomymi niż przyjaciółmi... 9
- Czy wie pan - spytał Proctor - że obaj ci mężczyźni przebywają obecnie w areszcie z zarzutami działalności terrorystycznej?
- Oczywiście - odparł sztywno Dogar - nasza społeczność zwraca pilną uwagę na takie rzeczy. Osobiście uważam, że to kolejna policyjna pomyłka. Przykro mi, po prostu większość ludzi tak sądzi. I jestem pewien, że pan Younis nie miałby nic wspólnego z takimi sprawami... W każdym razie, wtedy wszyscy wiedzieli, że pan Younis jest w finansowych tarapatach. Jak zrozumiałem, jego konkurent Ha-san Malik skontaktował go z doktorem Samirem. Najwyraźniej to potężny intelekt, wykładowca nowoczesnych nauk komputerowych, a także w przeszłości korporacyjny księgowy.
- A jak doktor Samir pomógł? - spytałem. Dogar wzruszył ramionami.
- Nie wiem dokładnie, pan Younis nigdy mi nie powiedział. Doktor Samir często przyjeżdżał do nas do biura i obaj razem wychodzili. Po jakimś czasie dostawcy znów byli zadowoleni i nigdy nie brakowało pieniędzy na pensje. Wciąż mieliśmy chyba jakieś trudności z fiskusem, urząd skarbowy przysyłał kontrole raz czy dwa razy w roku. Nawet teraz. Ale sytuacja bardzo się poprawiła.
- Proctor nagle uniósł brwi.
- A co się stało z młodszym synem, Alim? Dogar wzruszył ramionami.
- Prawdopodobnie za radą doktora Samira pan Younis kazał mu się wynosić i nie wracać. Nie wrócił.
- Zaskoczyło to pana? - spytał Proctor. Menedżer uśmiechnął się półgębkiem.
- Znając Alego, tak, bardzo. Wiedział, że jego ojciec zawsze był miękki.
- Wie pan, gdzie Ali mieszka? Dogar pokręcił głową.
- Nie teraz. Przedtem miał mieszkanie nad Duchem Bombaju. Następnego dnia przyszedłem do pracy, a jego nie było. Meble, ubrania, wszystko zniknęło-Od tamtej pory go nie widziałem i pan Younis chyba też nie, wiem, że by mi powiedział.
- Kiedy doktor Samir był u niego w biurze po raz ostatni? - spytałem.

- Wieki temu. Może półtora roku. Odkąd sytuacja się poprawiła, nie przychodził.

- Uważa pan, że mógł zainwestować w firmę?

- Nie zdziwiłbym się, ale nie wiem. To znaczy, z jakiegoś powodu nagle się poprawiło. Wydawało mi się, że dostrzegałem pewien niesmak na twarzy Dogara za każdym razem, kiedy wspominał o doktorze Samirze.

- Czy słusznie przypuszczam, że pan za nim nie przepadał? Dogar wzruszył ramionami.

- Niezbyt. Wydawał się bardzo arogancki i pewny siebie, choć zarazem cichy. I... może to nie ma związku... ale odkąd zaczął pomagać panu Younisowi... pojawiły się moje wątpliwości co do niektórych pracowników, których pan Younis zatrudnił.

- Dlaczego?

Dogar zaśmiał się sucho.

- Nie było z nich żadnego pożytku! Niektórzy nie mówili prawie po angielsku, większość nie miała pojęcia o pracy w restauracji, a wśród personelu następowała duża rotacja... Sęk w tym, że przez te lata, kiedy go znałem, pan Younis zawsze potrafił wybierać świetnych ludzi. W końcu - dodał z szerokim uśmiechem - zatrudnił mnie!

- Wie pan, co się teraz stanie z restauracjami? - spytałem.

- Chciałbym - odparł Dogar z bladym uśmiechem. - Chcę się skontaktować z wykonawcami testamentu pana Younisa, jego starszym synem i rodziną w Pakistanie. Mam nadzieję, że może zostanie zarządcą sieci i będę ją dla nich prowadził. A przynajmniej kupię Ducha Bombaju, żeby prowadzić tę restaurację z żoną. Ale trudno może być mi zebrać pieniądze.

- Powodzenia - powiedziałem szczerze. - Bardzo dziękujemy za pomoc. Dogar skinął głową.

- Jeśli będzie coś jeszcze, proszę do mnie dzwonić. Ale proszę, już nie tutaj. Kiedy wyszedł, mijala pora obiadu i inspektor Proctor zaproponował, żebyśmy poszli na piwo i kanapkę.

Odetchnąłem, gdy wyszliśmy z pomieszczeń Paddington Green - gdzie szumiała klimatyzacja i panowała ciężka atmosfera - na światło dnia, mimo że niebo było zachmurzone. Usiedliśmy z piwem i jedzeniem przy stoliku w ogródku pobliskiego pubu.

- Czy po rozmowie z młodym Dogarem nasunęły ci się jakieś wnioski? - spytał Proctor.

Kiwnąłem głową.

- Byłem obserwatorem podczas tej operacji, w której aresztowano mułkę Redę, restauratora Hasana Malika i księgarza. Jak rozumiem, sieć restauracji Malika była kanałem przerzutowym nielegalnych imigrantów, zgadza się?



- „Była” to słowo klucz - odparł Proctor. - Mogę ci powiedzieć, że z jego dokumentów dotyczących kadr wynika, że zatrudniał sporo bardzo podejrzanych osób, które potem znikaly w miejscowej społeczności. Ale pod tym względem jest czysty jak śnieg od... - przerwał dla efektu. - Od około szesnastu miesięcy.

A więc miałem rację.

- Czyli od czasu, kiedy doktor Samir zaczął pomagać Younisowi w Duchu Bombaju.

- Otóż to.

- Rodzina Ciapata znała Younisa od lat, Ian, a Ciap przysięgał, że facet był czysty jak łąza, modelowy ciężko pracujący imigrant z Azji, budujący nowe życie od zera.

Proctor podniósł palec.

- Dopóki nie zmarła jego żona. Jest w rozpacz i rozpuszcza najmłodszego syna, Alego, który zaczyna szaleć i robi olbrzymie długi, a Younis, jako kochający ojciec, uważa, że musi je spłacić. Firma zaczyna robić bokami.

- Pojawia się konkurent, Hasan Malik - powiedziałem dramatycznym tonem

- który dostrzega nową sposobność przerzutu nielegalnych imigrantów - a możliwe, że terrorystów. Nie chce sam ryzykować i obciąża tym konkurenta.

- Imigracja interesowała się jego działaniami od dawna - potwierdził Proctor.

- Malik miał doskonałą okazję, aby się oczyścić z zarzutów i przerzucić brudną robotę na kogoś innego.

- Zdesperowany Younis zostaje przedstawiony doktorowi Samirowi - powiedziałem - pająkowi siedzącemu na środku sieci, jak słyszeliśmy, i wchodzi prosto w pułapkę.

- Ale musimy zadać sobie pytanie, jaką pułapkę?

- Pomaga posprzątać finansowy bałagan Younisa - zasugerowałem - ale nie za darmo. Może Younisa jakoś zaszantażował, na przykład jego unikami podatkowymi.

- Wmanipulował go w przejęcie nielegalnych imigrantów Hasana Malika, jeśli o to właśnie chodziło.

- Myślisz, że to sposób na sprowadzanie z zagranicy rekrutów Al-Kaidy?

- Może, a może to i coś innego. To jeden biznes, fałszywe dokumenty, paszporty i tak dalej. Słyszałeś, co przed chwilą

powiedział Dogar. Wielu nowych pracowników do niczego się nie nadawało i długo nie pracowało. Może znikali w lokalnej społeczności z nowymi tożsamościami?

- To by pasowało - powiedziałem, zwijając papierosa.

- Nie miałeś pewnie okazji przejrzeć listy nazwisk, którą dał nam wczoraj profesor Samir?

Pokręciłem głową przypalając skręta.

- Ciapat siedział nad nią rano w biurze.

- Moi ludzie dzisiaj będą sprawdzać w bazie danych. Miejmy nadzieję, że trafimy na coś konkretnego.

- Przypuszczam - powiedziałem - że dla Younisa to już było za dużo i wpadł w panikę.
Proctor napił się piwa.
- Zwłaszcza jeśli za tą groźbą zamachu naprawdę coś się kryje. Wyobraź sobie, że stał za nią doktor Samir i bał się, że Younis puści farbę, pójdzie na policję czy cokolwiek... i masz motyw zabójstwa.
- Brzmi logicznie.
- Co sądzisz o tym e-mailu z laptopa Younisa, o próbie zamachu na prezydenta USA, Phil? To kiedyś była twoja branża, prawda?
Uśmiechnąłem się z przymusem.
- Nie zamachy, Phil. Nigdy nie mordowałem bezbronnych cywilów. Zanim jeszcze skończyłem to mówić, przed oczami stanął mi znajomy obraz.
Wzrok wyteżony przez lunetę karabinu snajperskiego w kurzu i dymie, i w blasku słońca, mała głowa wyskakująca nagle ponad mur z suszonego błota. Poczułem nawet nacisk palca na spust i nagłe kopnięcie odrzutu, a potem już tylko widziałem skutki. Kiedy strzelanina się skończyła i zobaczyłem skulone ciało dziewczynki, jej roztrzaskaną czaszkę, kałużę krwi i mózg, już skrzepnięty od upału, zrobiło mi się niedobrze.
- Wszystko w porządku, Phil? Spróbowałem się otrząsnąć.
- Co? Och, przepraszam.
- Zbladłeś.
- Wszystko w porządku. Dopadła mnie przeszłość. - Wypiłem dwa duże łyki piwa i dałem sobie czas do namysłu. - W każdym razie ten e-mail był trochę niejasny. Brzmiało to jak majaczenia wariata albo jakiegoś fantasty. Pewnie wielu radykalnych muzułmanów wymienia między sobą takie listy z życzeniami.
- Może, ale trzeba to będzie potraktować poważnie. Zastanowiłem się nad tą perspektywą.
- Do tego, oczywiście, jeśli naprawdę coś planują może to być snajper albo zamachowiec samobójca.
- To prawda - zgodził się Proctor w zamyśleniu i zaczął pochłaniać swoją podwójną kanapkę. Ja straciłem apetyt, wciąż wytrącony z równowagi wspomnieniami, które od tak dawna nawiedzały mnie w snach. Dzięki Bogu koszmary pojawiały się już teraz znacznie rzadziej. Po kilku kęsach odsunąłem talerz i wtedy właśnie rozległa się irytująca melodyjka dzwonka mojej komórki.
Zerknąłem na mały ekranik i zobaczyłem nazwisko. Odebrałem.
- Cześć, Ciap, jak leci?
- Bardzo, bardzo dobrze, dziękuję, panie Philu - odparł wiecznie wesołym głosem. - I mam coś, co pana też może bardzo, bardzo rozweselić.
- Co takiego?

- Od rana siedziałem nad kopiami dokumentów od profesora Schneidera. I co znalazłem? W spisach personelu widnieje pan L. Fryatt, zatrudniony na pół etatu jako pomoc kuchenna w jednej z restauracji. To było w zeszłym roku, ale tylko przez kilka tygodni.

Zdębiałem.

- Myślisz, że to mógł być Leo Fryatt?

- Cóż, nie mogę powiedzieć na pewno, bo pracował dorywczo i dostawał pieniędze do ręki. Ale pamięta pan tę drugą zaszyfrowaną listę, którą znalazł profesor?

- Tę z nazwiskami w nawiasach.

- Właśnie, panie Philu. Na niej występuje jako Leonard Fryatt, a w nawiasach obok jest drugie nazwisko. Moussa Diawara.

- To arabskie nazwisko?

- Afrykańskie, panie Philu. Skontaktowałem się natychmiast z panem Lassite-rem, a on sprawdził je w komputerowych bazach danych Służby Imigracyjnej. I jakiś pan Moussa Diawara w zeszłym roku podróżował do Pakistanu z francuskim paszportem. Nazwisko jest senegalskie, a Senegal to dawna francuska kolonia, mieszkają tam przede wszystkim muzułmanie, rozumie pan? Wrócił do Wielkiej Brytanii cztery tygodnie później.

Trudno mi było sobie wyobrazić, jak Leo Fryatt zdobywa sobie fałszywy paszport, a co dopiero funduje wycieczkę do Pakistanu.

- Może nazwiska w nawiasach to nie są drugie, fałszywe dane. Może to nazwiska polecających pracodawców...

- Nie skończyłem jeszcze, panie Philu. - Ciapat wydawał się zirytowany, że przerwałem jego wywód. - Widzi pan, tym samym lotem PIA podróżował niejaki Achtar Szachid we własnej osobie!

Achtar Szachid, miłutki student doktora Samira, nieśmiały i speszony, kiedy rozmawiała z nim Jazz. Leo Fryatt, ty kłamliwa mała łajzo, pomyślałem z wściekłością, chociaż bardziej byłem zły na siebie, że tak mu się dałem nabrać.

- Coś jeszcze? - spytałem.

- Wydaje mi się, że na razie to wystarczy, panie Philu! - odparł tryumfalnie Ciapat, a ja wyłączyłem telefon.

- Interesujące? - spytał Proctor.

- Bardzo. Ustaliliśmy związek między jednym ze studentów doktora Samira, Achta-rem Szachidem, a innym podejrzanym z naszej listy.

- Którym?

- Leem Fryattem.

- Tym czarnym chłopakiem z południowego Londynu? Kiwnąłem głową.

- Lecieli tym samym lotem do Pakistanu jakieś trzynaście miesięcy temu. Fryatt posługiwał się fałszywym paszportem na nazwisko Moussa Diawara. Był też zatrudniony jako dorywczy pracownik w jednej z restauracji Younisa rok temu.

- A więc wreszcie na coś trafiliście - powiedział Proctor. Miałem wrażenie, że takie rzeczy słyszał już wiele razy. W końcu, według Lassitera, MI-5 dotarło już 60 około dwustu siatek planujących ogółem ponad trzydzieści aktów terroru. -Muszę uciekać, Phil. Ale informuj mnie na bieżąco, dobrze?

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Oczywiście.

On poszedł, a ja zamówiłem drugie piwo. Musiałem pomyśleć. Czy mogłem jakoś wykorzystać tę informację? Zanim dokończyłem szklankę, podjąłem decyzję. Zadzwońnię z komórki do Lea Fryatta.

- Jak tam, panie Chan, wszystko gra? - Wydawał się zadowolony, że się odezwałem.

- W porządku, Leo. Musimy porozmawiać.

- Super, szefie. Gdzie i kiedy?

- Masz dzisiaj czas?

- Mogę mieć. Gdzie się spotkamy?

- Co powiesz na Battersea Park na Embankment? Dogadaliśmy szczegóły.

- Będę siedział na pustej ławce i czytał gazetę - powiedziałem na koniec. -Kiedy przyjdiesz, siądz, jakby nigdy nic na drugim końcu.

Chciałem, żeby się zaangażował, poczuł ważny i wyjątkowy.

- Jak w filmie szpiegowskim? - spytał, a ja zrozumiałem, że mi się udało.

- Jasne, panie Bond - zażartowałem. Bardzo mu się to spodobało.

- Super, szefie. Dozo.

Umówiliśmy się za dwie godziny, więc uznałem, że mam czas rozprostować nogi, zanim wezwę taksówkę. Ostatnio bardzo mi brakowało ruchu; obiecywałem sobie, że nabiorę trochę kondycji i zrzucę parę kilogramów. Kaloryfer na brzuchu i maratony nie wchodziły już w grę, ale uznałem, że naprawdę powinienem bardziej się postarać.

Nie uszedłem daleko, kiedy moje rozmyślania przerwała wkurzająca melodyjka komórki. Na ekranie widniał napis: „Numer zastrzeżony”. Wcisnąłem przycisk.

- Słucham.

- To ty, Phil?

Wydawało mi się, że rozpoznaję głos.

- Tak. Panna Goodall?

Jej śmiech był ulotny jak bąbelki szampana.

- Felicity, tak. Nie bądź taki oficjalny... Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że dzwonię, dostałam numer od Joego.

- Oczywiście, nie ma problemu. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Ten drink, o którym rozmawialiśmy, u mnie w domu, pamiętasz?

175

- Oczywiście.

- Robisz coś dzisiaj wieczorem?

Chciałbym, pomyślałem. Albo grzebałbym się w papierkowej robocie w biurze, albo bym oglądał coś okropnego w telewizji z pizzą na kolanach.

- Nic, czego nie mógłbym przełożyć.

- Co powiesz na siódmą? Żebym zdążyła wrócić do domu i wziąć prysznic. Wizja wody spływającej po tym smukłym, nagim ciele mignęła mi w myślach jak te nielegalne reklamy podprogowe w telewizji.

- Siódma jest super.

Podala mi adres, wskazówki, jak dojechać, i się rozłączyła. Uśmiechałem się lekko sam do siebie, dochodząc do wniosku, że na razie wystarczy ćwiczeń. Kupiłem wieczorne wydanie „Standarda” i zatrzymałem taksówkę, żeby wrócić do Brixton. W domu poszedłem prosto do łazienki, żeby się odświeżyć, a potem kazałem Kate wezwać lokalną taksówkę, która miała mnie zabrać do Battersea Park.

Przyjechałem pod północne wejście za wcześnie i poszedłem ścieżką nad rzeką pod szeleszczącymi platanami. Znalazłem pustą ławkę naprzeciw muru Embankment. Usiadłem, skręciłem papierosa i zacząłem przerzucać strony gazety.

Po dziesięciu minutach dostrzegłem zbliżającego się Lea Fryatta. Szedł z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie workowatych bojówek do kolan i gwizdał do melodii muzyki, której słuchał przez słuchawki - bez wątpienia kradzionego - iPoda. Na karku kołysał mu się kucyk.

Kiedy mnie rozpoznał, dobrze odegrał swoją rolę. Zwolnił, spojrzął na swojego dużego roleksa, a potem się rozejrzał, jakby wypatrywał kogoś, z kim miał się spotkać. Wzruszył ramionami, usiadł na drugim końcu ławki, wyjął komórkę i zaczął udawać, że przegląda SMS-y.

- Cześć, panie Chan - powiedział, bardzo kiepsko udając brzuchomówcę.

- Cześć, Leo... ciekaw jestem, czy naprawdę się zmieniłeś?

- Hej, człowieku, o co chodzi? Już nie kradnę.

- Arolex?

- To podróba.

- AiPod? Wydął wargi.

- No, tak, to dawne dzieje. Nie mogę go oddać, bo nie wiem, komu go zwinąłem. Ale mówię panu, jestem już spoko.

- A narkotyki?

- Co pan, panie Chan? Muszę z czegoś żyć. Chyba że będzie mi pan płacił za informacje.

- Ale nie przekazałeś mi jeszcze żadnych informacji, Leo - powiedziałem cicho.

- Bo nie miałem co przekazywać. Muszę być ostrożny, nie mogę węszyć, zadawać za dużo pytań.

176

- Wiesz, że moi ludzie wymagają totalnej szczerości, Leo, prawda? Muszą ci ufać.

Wzruszył ramionami.

- Jasne, wiem o tym, szefie. Spoko.

- To dlaczego mi nie powiedziałeś, że byłeś w Pakistanie? Jego oczy natychmiast rozszerzyły się ze strachu.

- Nie powiedziałem?

- Właśnie. Nie powiedziałeś nic o tym, kiedy się widzieliśmy po raz pierwszy.

- Nie wiedziałem, o co panu chodzi. Zresztą nie byłem. Wcale.

- Nie kłam, Leo - powiedziałem groźnie. - To karalne. Spojrzał na mnie ze złością.

- Pan naprawdę jest pieprzonym gliną!

- Nie mów tak do mnie, Leo. Mój brat jest generałem w ISI.

- Co to?

- Pakistański wywiad. Niektóre z ich jednostek mają związki z moimi ludźmi, rozumiesz? Mają związki z Al-Kaidą i sprawdzali cię.

Mimo że było dość chłodno, zauważyłem na twarzy Lea kropelki potu. Teraz naprawdę się przeraził.

- No tak, może byłem z krótką wizytą. Tak jakby na wakacjach. Zignorowałem to.

- Nie o to chodzi, że pojechałeś, to nawet dobrze. Ale nie są bynajmniej zadowoleni, że skłamałeś. Bo, Leo, czy może mam mówić do ciebie Moussa?, wiedzą że poleciałeś do Pakistanu ze studentem Achtarem Szachidem. Mam ci podać numery lotów PIA, którymi lecieliście, godziny i daty?

- Dobra, szefie. Mam kłopoty?

- Wielkie, jeśli dalej będziesz kłamał.

- Nie będę. Przysięgam na Allacha. Wstałem.

- Chodź, przejdziemy się.

Z ociąganiem wstał i dopasował się do mojego tempa, kiedy ruszyłem wzdłuż wolnego, zielonego nurtu Tamizy.

- A więc mów, Leo. Przekonaj mnie, że mogę ci ufać. Opowiedz mi o Achtarze Szachidzie.

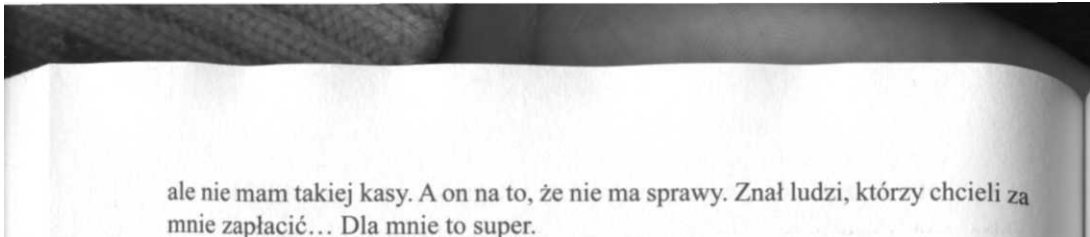
- Nie widziałem Achtara od wieków. Spotkałem go w meczecie w północnym Londynie. Był bardzo cichy, nie odzywał się.

Ale kiedy poznałem go na spotkaniu grupy dyskusyjnej, szefie, jak on się rozpałił! Normalnie mu odwalało. Miał straszną ochotę się wysadzić i zabić tylu ludzi, ilu da radę. Chyba trochę mnie poniosło.

Leo wbił wzrok we własne stopy.

- Potem któregoś dnia powiedział, że leci do Afganistanu, żeby nauczyć się Walczyć i tak dalej. Czyja też chce? Ja mówię spoko, nieźle to się zapowiadało,

- **Zamach na prezydenta**



ale nie mam takiej kasy. A on na to, że nie ma sprawy. Znał ludzi, którzy chcieli za mnie zapłacić... Dla mnie to super.

- A zmiana nazwiska?

Leo zerknął na mnie z ukosa.

- To dlatego, żeby nie wzbudzać podejrzeń, gdyby czarny gość z jamajskiej rodziny jechał do Pakistanu, powiedział, że musimy polecieć do Pakistanu, żeby potem się dostać do Afganistanu. Hej, szefie, ja nie wiedziałem w ogóle, gdzie to jest. Szkołę to w sumie olewałem. Achtar mówił, że jak się zdemaskuję, nie będą mnie mogli później używać do swoich operacji. Dlatego załatwili mi nowy paszport. Francuski, szefie, niezły czad. Achtar mówił, że robiąje w Tajlandii.

- Kto ci go załatwił?

- Jakiś kontakt Achtera, starszy gość, który prowadzi indyjską restaurację w północnym Londynie. On to wszystko załatwił, znał, kogo trzeba.

- Nazywał się Akmal Younis?

- Nie pamiętam. Coś w tym rodzaju. - Leo pociągnął ciężko nosem i westchnął, jakby to nie było przyjemne wspomnienie. - Musiałem u niego jakiś czas popracować, w kuchni.

Zmarszczyłem brwi.

- Zamarzyła ci się kariera? Nie zrozumiał docinku.

- Co to za kariera. Achtar się martwił, bo wtedy jechałem trochę na heroinie i cracku. Uważał, że jego znajomym w Pakistanie się to nie spodoba. Powiedział, że muszę wybierać. Dlatego załatwił mi tę robotę, żebym udowodnił, że jestem czysty i potrafię pracować, odnaleźć się w społeczeństwie i tak dalej. Nienawidziłem tej roboty. Ciągle śmierdziałem pieprzonym curry.

- Ale poleciałeś do Pakistanu?

- Aha, na cztery tygodnie. Najpierw trafiliśmy do medresy, wie pan, szkoły religijnej. Człowieku, to było popaprane, straszna nuda. Potem pojechaliśmy w góry na szkolenie wojskowe. Nie wiem, czy to był Pakistan, czy Afganistan, gdzieś na granicy, pusto całymi kilometrami.

- Jakie szkolenie wojskowe? - spytałem.

- Tydzień z bronią palną wie pan, pistolety i karabiny, to było spoko. Potem tydzień nauki o materiałach wybuchowych, jak je robić i jak używać. Skończyliśmy tygodniem wykładów. Jak organizować komórki, kontaktować się między członkami, wybierać cele... Z tym było trochę ciężko.

Chyba już sobie to wyobrażałem.

- A więc nie podobała ci się strona akademicka, wykłady?

- To nigdy nie była moja działka, szefie. Spluwy są fajne, ale nie mogłem zapamiętać tego wszystkiego z podręczników, nie w tak krótkim czasie. Tyle tego było! I wtedy życie bym oddał za działkę, to mi nie pomagało w koncentracji.

- I co się stało?

178

- Kiedy wróciliśmy, Achtar mi powiedział, że mnie odrzucili. Wykładowcy i instruktorzy uznali, że się nie nadaję, że jestem mało wiarygodny. Pieprzona bezczelność!

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

- Myślałem, że da mi pan drugą szansę, dlatego. - Zerknął na mnie z ukosa. - Teraz to pewnie nie wchodzi w grę? Zatrzymałem się i odwróciłem do niego.

- Niekoniecznie, Leo. Doceniam, że w końcu zdobyłeś się na szczerość. Cztery tygodnie to za krótko, żeby wymagać opanowania takiego materiału. Nie każdy potrafi się szybko uczyć...

- Następnym razem będę się starał bardziej, dużo bardziej. I nie biorę już hery ani cracku. Czasem tylko zapalę zioło. Kivnąłem głową z udawanym współczuciem.

- To dobrze... w każdym razie lepiej. Musisz też pamiętać, Leo, że ci instruktorzy nie należeli do naszej organizacji. To go zaskoczyło.

- Nie?

- Jest wiele ugrupowań radykalnych muzułmanów, którzy robią swoje na całym świecie. Pamiętaj, tłumaczyłem ci, że nasza organizacja musi wiedzieć, co robią w jej imieniu tacy młodzi zapaleńcy, jak ten Achtar Szachid. Powiedzmy, że chciałby podłożyć bombę w londyńskim autobusie... wyobraź sobie, że przypadkiem jechałaby nim twoja matka, może na zakupy. Jak byś się czuł, powiedz?

Leo wydął usta, zastanawiając się przez kilka chwil.

- Zabiłbym go, szefie.

- Otóż to. Znienawidziłeś to, co on sobą reprezentuje, a inni uznaliby, że pracował dla naszej organizacji. Wszyscy obarczaliby nas odpowiedzialnością i nikt nie rozumiałby, dlaczego to zrobiliśmy. Akty terroru muszą być bardzo starannie planowane i przemyślane.

Przez chwilę mocno się skupiał.

- Tak, rozumiem.

Nie byłem pewien, czy rozumie, ale to nie miało znaczenia, dopóki wierzył w to, co mu mówiłem.

- A więc wciąż chcesz się wykazać przed organizacją? - spytałem.

- Jasne, szefie. Daj tylko znak.

- Dobra, Leo, chciałbym, żebyś nawiązał znów kontakt z Achtaorem. Możesz to dla mnie zrobić?

Wzruszył ramionami.

- No, chyba tak. Nie rozstaliśmy się jak przyjaciele, ale mogę spróbować.

- Chcę, żebyś się z nim znów zaprzyjaźnił i dowiedział się jak najwięcej o tym, co planuje, o wszystkich nielegalnych działaniach. Udawaj, że chcesz mu pomóc, dowiedz się, kim są jego przyjaciele i kontakty, tego typu rzeczy.

- Jasne, zrobię to. Czemu nie? Zatrzymałem się i podałem mu rękę.

- Dziękuję. Twoja pomoc zostanie zapamiętana. Teraz muszę iść. Daj mi znać, kiedy tylko będziesz coś miał. *Allach akbar*, Leo.

Chłopak wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, a oczy miał wielkie i jasne z zadowolenia.

- *Allach akbar*, panie Chan.

Wróciłem do domu i szybko zjadłem kanapkę z kurczakiem i ogórkiem. Potem wziąłem prysznic i przebrałem się w czyste bawełniane spodnie i koszulę z krótkimi rękawami.

Taksówka z lokalnej korporacji, z której usług regularnie korzystałem, cudem przyjechała na czas.

Penthouse Felicity Goodall znajdował się na dachu sporej, edwardiańskiej rezydencji z widokiem na północną stronę Clapham Common. Wysoka furtka z kutego żelaza otwierała się na brukowaną ścieżkę biegnącą przez ogród pełen wspa-
niałych kwitnących krzewów, godnych wystawy kwiatów Chelsea Flower Show. Kiedy przedarłem się przez domofon, wjechałem na samą górę staromodną powolną i hałaśliwą windą.

Podczas gdy szarpałem się z metalową rozsuwaną kratą Felicity otworzyła drzwi mieszkania.

- Cześć, Phil, dobrze cię widzieć. Wchodź.

Ja też się ucieszyłem, że ją widzę. Wyglądała olśniewająco w obcisłej ciemnobrązowej spódnicy i kremowej bluzce.

- Dzięki za zaproszenie - powiedziałem.

Odsunęła się na bok, wpuszczając mnie do przedpokoju. Trudno było to nazwać „małym mieszkaniec w Clapham”, jak się wyraziła, odwożąc mnie do Brixton.

Wysokie sufity i przestronne pomieszczenia pasowały do minimalistycznego, nowoczesnego stylu, w jakim mieszkanie zostało urządzone. Ruszyłem po beżowym, grubym dywanie do salonu, w którym stały dwie drogie skórzane kanapy i kilka wielkich donic z figowcami oraz ozdobnymi suszonymi gałązkami, a także olbrzymi okrągły stół z blatem z przyciemnionego szkła. Firanki powiewały, poruszone lekką bryzą wpadającą przez otwarte podwójne drzwi balkonowe. Tam, ku mojemu zaskoczeniu, stał Joe Lassiter ze szklanką w ręku. Skąd mi przyszło do głowy, że tu chodzi o przyjemności, a nie o sprawy służbowe?

- Właśnie zrobiłam świeżego pimma, jeśli lubisz. Zawsze uważałam, że na letni dzień nie ma nic lepszego.

Minęło dużo czasu, odkąd to piłem, i prawie zapomniałem, jak smakuje.

- Chętnie - odparłem.

- Blue gin, pomarańcze, trochę winogron i gałązka mięty... Pasuje ci?

180

Nalała koktajlu owocowego z wysokiego szklanego dzbanka do dużej szklanki i podała mi ją. Lassiter wszedł z balkonu do środka.

- Cześć, Phil. Szkoda, że pogoda nie pasuje do drinków. Zgodziłem się z nim.

- Nie pamiętam już tak nędznego lata.

- Żebyś wiedział - powiedział Lassiter z przekonaniem. - Nie powiem, żeby to globalne ocieplenie było takie złe. Dawać je tu!

- Przykro mi, Joe - stwierdziła lekkim tonem Felicity. - Globalne ocieplenie to tylko krótki etap zwykłego trzydziestoletniego cyklu pogodowego. To kwestia zwiększonej aktywności słonecznej, z tego co wiem. Około 2010 roku znów się zacznie ochładzać.

Lassiter uśmiechnął się półgębkiem.

- Już teraz jest cholernie chłodno. W 2010 roku będziemy wszyscy jeździć do pracy na rowerach i ślepnąć od czytania przy tych upiornych energooszczędnych żarówkach.

- Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby Amerykanie długo tak wytrzymali - powiedziała Felicity i spojrzała na mnie. - A skoro o nich mowa, to jeden z powodów, dla których cię tu dzisiaj zaprosiłam.

Kiwnąłem głową.

- Rozumiem. Chodzi o tę rzekomą próbę zamachu na prezydenta? Felicity wychwyciła mój sceptyczny ton.

- Rzekoma czy nie, Phil, musimy ją potraktować poważnie. Wyobrażasz sobie wstyd i polityczne skutki, gdyby na brytyjskiej ziemi do czegoś takiego doszło.

- Oczywiście. Ale co mogę zrobić? Lassiter nalał sobie jeszcze jednego pima.

- Felicity i ja rozmawialiśmy o tym, jak najlepiej podejść do tego zagrożenia, choć mało prawdopodobnego. Oczywiście chłopcy od ochrony VIP-ów będą robić wszystko to co zwykle. Ale to twój zespół pośrednio wykrył całą sprawę i ty jesteś najbliższą osobą, które mogą być we wszystko zaangażowane.

- Co więcej - dodała Felicity - byłeś kiedyś snajperem. Możesz wniknąć w rozumowanie każdego potencjalnego zamachowca. Chcielibyśmy, żeby twój zespół myślał nieszablonowo. Oczywiście byłby to dodatek do wszystkiego, co będzie robiła policja i my.

- Szczerze mówiąc - odparłem - nie jestem pewien, czy snajper to najlepsze rozwiązanie, ale na pewno niejedyne. Prezydent będzie osłonięty przez ochroniarzy, pancerne limuzyny i tak dalej. Dlatego równie prawdopodobna jest bomba albo samobójczy zamach.

Lassiter podrapał się po brodzie.

- Słuszna uwaga. Jakies propozycje?

- Cóż, jeśli naprawdę mam się tym zająć, dobrze byłoby mieć w zespole kogoś zUMW.

- EOD? - powtórzyła Felicity.
- Trzysta Dwudziesty Pierwszy Szwadron Usuwania Materiałów Wybuchowych - wyjaśnił Lassiter. - Królewski Korpus Logistyczny. Faceci od usuwania bomb terrorystów.
- Ach tak, rozumiem. Doskonały pomysł.
- Mam starego przyjaciela z wojska, Gerry'ego Shawa. Poznałem go kilka lat temu na kursie snajperskim. W końcu jednak przeszedł do UMW. Pracowałem z nim też w Irlandii Północnej i w Bośni. Teraz jest na wpół na emeryturze, prowadzi wykłady na ten temat na całym świecie, więc wciąż jest na bieżąco z najnowszymi wynalazkami.
- A więc to może być akurat jego działka? - spytała Felicity.
- Jeśli Gerry nie jest zajęty czymś innym, bardzo by się na pewno ucieszył. Mogę do niego zadzwonić. Felicity zerknęła na Lassitera, chcąc poznać jego zdanie.
- W takim razie załatwione - powiedziała. - Teraz usiądźmy, a ja ci opowiem, ile wiem o planowanej wizycie prezydenta. Usiadłem wygodnie na jednej z kanap, naprzeciwko Felicity i Lassitera.
- W tej chwili to wszystko trochę ogólnikowe - zaczęła - ale zasadniczo George W. przylatuje tu we wrześniu ze swoją żoną Laurą i jedną z córek bliźniaczek, Barbarą. To prywatna wizyta. Barbara studiowała nauki humanistyczne do 2004 roku, a od ich ukończenia pracowała w muzeum Smithsonian Institution w Nowym Jorku, Cooper-Hewitt. Wzornictwo historyczne i nowoczesne. Teraz chce robić doktorat ze sztuk pięknych w Cambridge.
- Zmarszczyłem brwi, usiłując sobie przypomnieć, co słyszałem o córkach Busha, „pierwszych bliźniaczkach”, jak nazywały je media.
- Czy te dziewczyny nie były czasem trochę rozbrykane? Felicity się zaśmiała.
- Jak wszyscy studenci. Chyba przylapano je na picciu alkoholu, kiedy nie skończyły jeszcze osiemnastu lat czy coś takiego, próbowały też zgubić swoich ochroniarzy z Secret Service. Ale obie działały charytatywnie, a Jenna pisze p; wieść.
- Ile mają lat? - spytał Lassiter.
- Chyba po dwadzieścia kilka, pod trzydzieści.
- To po co przylatuje tu ich tata?
- Masz córkę, Joe, nie boisz się o nią?
- Moja córka nie chce mnie znać już od lat.
- Może George W. kocha swoje córki bardziej, niż nam się wydawało. Po tym, jak rozumiem, chciałby się też spotkać z naszym nowym premierem bez udziału wścibskich mediów. To by była idealna sposobność.
- Muszę zatem mieć plan jego wizyty - powiedziałem - gdzie będą mieszkać i dokąd jeździć.

Felicity kiwnęła głową, nalewając sobie i mnie następnego drinka. Odstawiła pusty dzbanek na stół.

- Porozmawiam z Grosvenor Square. Przyślę do ciebie kogoś z ambasady. Lassiter patrzył na pusty dzbanek.

- Bardzo wciągający ten pimm.

- Och, Joe, bardzo mi przykro, ale więcej już nie mam. - Zauważyłem, że zerknęła na mnie szybko. - Czy nie powinienes już wracać do swojej uroczej żony? W ogóle prawie cię ostatnio nie widuje.

Dlaczego coś mi mówiło, że pani Lassiter była pewnie całkiem zadowolona z takiego obrotu spraw?

Rozpoznając klęskę, Lassiter wstał i wziął marynarkę oraz wierny płaszcz z oparcia kanapy.

- Jasne, masz rację, szefowo. Do zobaczenia rano. Skinął mi na pożegnanie głową i wyszedł.

- Och, męczący z niego człowieczek - powiedziała Felicity, kiedy usłyszeliśmy odgłos zamykanych drzwi. - Skoro poszedł, dorobię jeszcze pimm'sa... chyba że masz ochotę na coś innego.

- Nie, bardzo proszę.

- Chodź ze mną do kuchni - powiedziała, idąc przodem. - Kiedy Joe mnie odwiedza, jest jak dziecko w domu, muszę chować słodycze. Chociaż w jego przypadku to leżące na wierzchu butelki alkoholu. Zupełnie się nie krępuje prosić wprost albo nawet częstuje się bez pytania.

- Zauważyłem.

Kuchnia była surowa, z lśniącymi urządzeniami i szafkami z nierdzewnej stali oraz szarymi marmurowymi blatami. Miałem wrażenie, że rzadko się w niej gotuje.

- Wśród ludzi ze Służby Bezpieczeństwa picie zawsze było problemem, zwłaszcza dotyczy to mężczyzn - powiedziała Felicity. - To chyba przez ciągły stres i niemożność powiedzenia nikomu, co się robi. Po to mamy właśnie Świnie i Oko.

- Świnie i...? - spytałem, nie rozumiejąc. Felicity otworzyła jedną z szafek, w której trzymała butelki ukryte przed Lassiterem.

Idealnie wymanikiowany palec wskazał jedno z jej kryształowobłękimych oczu.

- Świnia i Oko to nasz bar w biurze, żeby zachęcać ludzi do picia raczej z kolegami z pracy, niż się rozgadywać w jakimś londyńskim pubie.

- No, o Joem można mówić, co się chce - powiedziałem - ale nigdy nie słyszałem, żeby coś wygadał, nawet jeśli powinien, bo z nim współpracowałem! W wojsku nazywaliśmy to syndromem wiewiórki.

Felicity podniosła świeżą butelkę pimma.

- Może naleję do dwóch szklanek, zamiast do dzbanka? Jadłeś coś?

- Tylko kanapkę.

- Co byś powiedział, gdybyśmy poszli na kolację? Służbową. Ja stawiam. Perspektywa kolacji we dwoje z Felicity wprawiła mnie w doskonały nastrój.

- Brzmi nieźle.
- Jest kilka dobrych lokali na Lavender Hill. To dziesięć minut spacerkiem. -Zrobiła drinki i wrzuciła do nich kilka kostek lodu z zamrażarki. - Tęsknisz za życiem w wojsku? - spytała niespodziewanie.
Wziąłem od niej szklankę.
- Brakuje mi koleżeństwa, i wiedzy, co się dzieje. Życie w cywilu wymaga dużo wiedzy. Ale nie, chyba przyszła już pora, żebym to zostawił. Morale w wojsku jest teraz bardzo niskie, a zbyt wiele oddziałów frontowych ma złe wyposażenie i nędzne wsparcie.
Kiwnęła głową.
- Słyszałam. To skandal. - Potem uśmiechnęła się i podeszła do drzwi w ścianie. - Usiądziemy na zewnątrz?
Drzwi wychodziły na małe patio na dachu, z którego rozciągał się widok na zielone ogrody sąsiednich domów. Oprócz krzewów w donicach był tu także kuty z żelaza stolik i dwa takie same krzesła.
- Bardzo tu ładnie - powiedziałem.
- Lubię się tu relaksować w letnie wieczory - odparła, siadając. - Czasami trudno uwierzyć, że jest się w samym środku gwarne Londonu.
Odgłosy ulicznego ruchu były przytłumione, a wieczór rozbrzmiewał śpiewem ptaków.
- Masz dużo szczęścia.
- Zdobyłam dość, żeby to kupić, dopiero po zaciętej walce z Edmundem. - Zaśmiała się tym swoim gardłowym śmiechem. - Jeśli się przyjrzyysz, zobaczysz jeszcze plamy krwi na dywanie... A skoro o tym mowa, jak tam twój rozwód, jeśli wolno spytać?
- Jakoś się wlecze.
Nagle położyła dłoń na mojej dłoni. Skórę miała miękką i chłodną.
- Przepraszam, Phil. Uważaj tylko, żeby się nie dać zgnieść. Jeśli twoi prawnicy nie dają rady... ja mam najlepszych. Skontaktuję cię z nimi.
- Dzięki, ale będą dla mnie pewnie za drodzy.
- Ich najstarszy partner to mój osobisty przyjaciel, dogadacie się. - Coś w sposobie, w jaki to powiedziała, kazało mi się zastanowić, co konkretnie miała na myśli. Może moje podejrzenia były słuszne, bo dodała: - Mówiłam już wcześniej o tym, jak to jest w takiej pracy. Nie można nikomu powiedzieć, co się robi, nie można się podzielić zmartwieniami... Człowiek bywa bardzo samotny. Dlatego cieszę się, że mogę porozmawiać z tobą.
- Dzięki - powiedziałem, a potem dodałem przekornie: - Lepiej ze mną niż z butelką pimm'sa.
Odrzuciła w tył głowę i się zaśmiała.
- Tak, Phil, jesteś bardzo spostrzegawczy. Nie tylko mężczyźni za dużo piją! Ale zachowuję umiar.

- Jasne.

W tym momencie zaćwierkała jej komórka. Felicity wzięła ją ze stołu.

- Halo, Melissa? - Nagle jej czoło przedzieliła zmarszczka. - Chcesz przyjść, teraz? No tak, miałam właśnie wyjść, ale... Jasne, za dziesięć minut.

- Melissa Thomton? - spytałem, kiedy się rozłączyła.

- Tak. Wydawała się bardzo zdenerwowana. To do niej niepodobne. Już tu jedzie. Przepraszam cię za to, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

- Oczywiście, że nie - skłamałem.

Wzmianka o straszliwej „Meduzie”, jak nazywał ją Lassiter, przypomniała mi dzisiejsze odkrycie Ciapata.

- Przy okazji - powiedziałem - dowiedzieliśmy się dzisiaj czegoś interesującego. Choć nie wiem, na ile to może mieć związek ze sprawą.

Felicity wciąż wydawała się rozkojarzona.

- Och, co? Przepraszam. Czego się dowiedzieliście?

- Student doktora Samira, Achtar Szachid, jakieś trzynaście miesięcy temu był w Pakistanie razem z czarnym chłopakiem z południowego Londynu, Leem Fry-attem. I obaj przeszli szkolenie wojskowe w obozie na granicy z Afganistanem.

- Dobry Boże, naprawdę?

- A świętej pamięci Akmal Younis załatwił im fałszywe paszporty i inne dokumenty. Pewnie doktor Samir zmusił go do tego jakimś szantażem. Rozmawiałem z inspektorem Proctorem. Zastanawialiśmy się, ile jest prawdy w tej plotce o zamachu na prezydenta USA. Czy to mógł być powód, dla którego Younis chciał się wycofać?

Felicity od razu podchwyciła myśl.

- I dla którego został zabity?

- To by się zgadzało - powiedziałem.

- Zrobiliście coś w tej sprawie?

- Rozmawiałem dzisiaj z Leem. Przycisnąłem go, a on do wszystkiego się przyznał.

- Co takiego?

Uniosłem uspokajająco rękę.

- Wszystko w porządku, cały czas jest przekonany, że należy do Al-Kaidy i że dostałem te informacje od pakistańskiego wywiadu. Najwyraźniej nie powiodło mu się na szkoleniu i od tamtej pory nie widział Achtera. Ale teraz ma się z nim skontaktować i informować mnie na bieżąco.

Felicity wolno pokiwała głową.

- To się może przydać. Ale, na Boga, nie ryzykuj, Phil. Żadnego odgrywania bohatera, żadnych zabaw w kowbojów i Indian.

- Obiecuję.

W tym momencie usłyszeliśmy dzwonek do drzwi. Felicity weszła do środka¹ chwilę później wróciła na patio z Melissa Thomton.

185

Melissa była elegancka jak zwykle w granatowej letniej spódnicy i topie, ale włosy miała trochę w nieładzie, a makijaż rozmazany. Kiedy mnie zobaczyła, stanęła jak wryta.

- Nie wiedziałam, że on tu jest.

- Nie dałaś mi powiedzieć - odparła Felicity. - Właśnie rozmawialiśmy o sprawach, którymi Phil się zajmuje. - Położyła dłoń na ramieniu koleżanki. - Na litość boską, Melisso, co się stało?

Melissa znów na mnie spojrzała; widać było, że się nad czymś pośpiesznie zastanawia, podejmuje jakąś decyzję.

- Panie Mason, chodzi o Dave'a Evansa. Pan go znał w wojsku, on umie o sobie zadbać, prawda?

To mnie zaskoczyło.

- Niestety, prawie wcale się nie znaliśmy. Co się stało?

- Nie wiem. - Wyglądała, jakby miała ochotę się rozpłakać. - Dzwoniłam do niego na komórkę, ale nie odbiera. Nie włącza się nawet poczta głosowa.

- To może być jakaś usterka techniczna - powiedziała Felicity.

- To chyba coś więcej. Skontaktowałam się z ludźmi z wydziału technicznego, którzy monitorują kamerę w samochodzie pod jego kawalerką. Trzech mężczyzn, najwyraźniej Arabów, weszło dziś wieczorem do jego domu. Wyszli po piętnastu minutach. I nie byli lokatorami.

- To nic nie znaczy - stwierdziła Felicity - chyba że wiesz, że byli akurat u Dave'a Evansa.

- Nie rozumiesz. Dzwoniłam do niego, żeby ostrzec go o pluskwie w pokoju. Ta pluskwa nie przesyła już sygnału.

11

Wiesz, Melisso - powiedziałem - nie wiem, czy to najlepszy pomysł. Siedzieliśmy na tylnym fotelu policyjnego wozu, pędzącego autostradą M1 z migającym kogutem i syreną wyjąca jak potępiona dusza.

- Bzdura, Phil, nadajesz się do tego idealnie.

Teraz, kiedy czegoś ode mnie chciała, nagle mówiliśmy sobie po imieniu i byliśmy najlepszymi kumplami.

- Nie mogłabyś wysłać miejscowej policji, żeby sprawdziła, czy wszystko u niego w porządku? - zasugerowałem.

Oczywiście, gdyby nie zdjęła zespołu Jef-fa Kinga, nie musiałaby przeżywać teraz takiej paniki.

Melissa pokręciła głową.

- To niezbyt dobry pomysł, jeśli nic złego się nie stało i ta sytuacja da się jakoś prosto wytłumaczyć. Dave był przekonany, że ludzie Naweda go obserwują. Już pewnie wiedzą że się znać. Będzie wyglądało zupełnie naturalnie, jeśli się u niego zjawisz. A on nie narazi swojego kamuflażu.

Musiałem przyznać, że miała rację; zdałem sobie sprawę, że nie zamierzała słuchać żadnych sprzeciwów. Zapanowała nieprzyjemna cisza, dopóki samochód nie zatrzymał się dwie ulice od mieszkania Dave'a Evansa.

Kiedy wysiadałem, Melissa była bardzo wyraźnie zdenerwowana.

- Nie martw się - powiedziałem pocieszająco. - Na pewno wszystko będzie dobrze.

Ruszyłem chodnikiem w zapadającym zmroku. Na ulicach między zapuszczonymi domami było już mało ludzi. Hałaśliwa trójka nastolatków wracała do domu obładowana sześciopakami piwa, kobieta w czarczafie pośpiesznie przechodziła na drugą stronę ulicy, żeby zejść im z drogi; starszy mężczyzna w czapce spacerował z psem.

Chociaż starałem się iść nonszalancko, uważnie wypatrywałem wśród ludzi na ulicy i w zaparkowanych samochodach kogoś, kto mógłby mieć oko na wejście do bloku Evansa. Jedynym podejrzanym był chłopiec w wieku około jedenastu lat, siedzący na schodach domu naprzeciwko i jedzący chrupki z torebki. Nie wyglądał na rekruta Al-Kaidy.

Wszedłem na schody domu Evansa. Melissa dała mi zapasowe klucze, ale dla utrzymania pozorów wcisnąłem plastikowy guzik domofonu z numerem 5. Nie działał. Wtedy zauważyłem, że drzwi są uchylone i pchnąłem je. Wózek i rower wciąż stały w korytarzu, ale tym razem oprócz mdlącego zapachu pleśni i kocich sików poczułem woń curry. Gdzieś z góry dobiegał basowy łomot ciężkiego rocka.

Kilka chwil później byłem już na pierwszym piętrze. Usłyszałem zza drzwi Evansa mamrotanie radia. Uspokoilem się i uśmiechnąłem do siebie, wspominając niemal histeryczną paranoję Melissy. Głośno zapukałem. Nikt nie odpowiedział. Zastukałem jeszcze raz, głośniejszym głosem, i zaczekałem. Wciąż nic. Radio dalej grało.

Zacząłem się obawiać, że Melisa miała rację.

Evansa widziano po raz ostatni, kiedy wrócił do mieszkania około piątej po południu. Pluskwa wtedy jeszcze działała.

Wydział techniczny nieugięcie twierdził, że kamera w samochodzie na zewnątrz nie zarejestrowała, aby Evans wychodził.

Mimo to, kiedy jechaliśmy do Leicester, Melissa kazała im sprawdzić nagranie jeszcze raz. Wiedziałem, że Evans miał zwyczaj wychodzić codziennie wieczorem, żeby coś przekąsić, ale może miał jakiś powód dzisiaj, żeby zostać w domu. Może po prostu źle się czuł i położył się do łóżka, wziąwszy pastylki na sen.

Pozostało mi tylko jedno. Włożyłem klucz do zamka i uchylilem drzwi, przypominając sobie małe zabezpieczenie w postaci szklanki w trampku. Tym razem go nie było. To oznaczało, że Evans powinien być w domu.

Zawiasy skrzypnęły, kiedy otworzyłem drzwi szeroko i zająłem ostrożnie do środka. Evans leżał twarzą w dół na łóżku, całkowicie ubrany. Uśmiechnąłem się do siebie, rozglądając się za butelką alkoholu. Może po mojej wizycie wrócił do swoich złych nawyków?

Wtedy poczułem zapach. Bardzo słaby w ciepłym powietrzu, ale tego akurat nie mogłem pomylić z niczym innym. Kordyt.
- Chryste, palnął sobie w łeb - wyszeptałem i wbiegłem do środka.

Kiedy dopadłem łóżka, zobaczyłem krew kapiącą miarowo z narzuty i rozlewającą się bordową kałużą na wytartym dywanie. Evans leżał twarzą do lampki i olbrzymia rana wylotowa ziejąca na jego potylicy była w cieniu.

Boże, pomyślałem, zapłacił ogromną cenę. Myślał, że da sobie radę, ale mu się nie udało. Nagle było już za późno, by prosić o pomoc. Napatrzyłem się na takie rzeczy w Irlandii Północnej, wśród żołnierzy i policjantów RUC działających pod przykryciem. Mnie samego też raz kusiło, ale udało mi się uciec znad krawędzi.

Zmarszczyłem brwi. Gdzie pistolet? Z taką raną musiał umrzeć natychmiast, na pewno by się nie poruszył. Broń powinna leżeć na łóżku albo na podłodze... Nagle uświadomiłem sobie, że to wszystko nie trzyma się kupy. Evans leżał w nie-właściwej pozycji jak na samobójstwo.

Poczułem coś na kształt strużki zimnej wody spływającej po plecach i zjeżyły mi się włoski na karku. Evansa zastrzelił ktoś inny, wkładając mu broń w usta. A potem rzucono go na łóżko.

Wymiociny podeszły mi do gardła i z trudem udało mi się opanować. Myślałem, że zostawiłem już za sobą takie widoki, całe to bezsensowne zabijanie. Sięgnąłem do głównego włącznika światła i w świetle pojedynczej żarówki zobaczyłem na lustrze nad zamurowanym kominkiem słowa namazane krwią. Krwią Dave'a Evansa:

„Giń szpiegu! W imię Allacha”.

Znów ledwie powstrzymałem nudności. Wycofałem się w stronę drzwi, zerkając na postać na łóżku.

- Przykro mi, stary - szepnąłem.

Zamknąwszy po cichu drzwi, najszybciej jak mogłem zbiegłem po schodach; musiałem wydostać się na ulicę i zaczerpnąć świeżego powietrza. Idąc w stronę czekającego radiowozu, przeklinałem własne samozadowolenie. Wydawało mi się, że przekonałem Melissę, że jej agent i kochanek prawie na pewno jest cały i zdrow. Teraz czekało mnie przykre zadanie powiedzenia jej, że się myliłem i że był martwy. Nie dość, że martwy, to jeszcze brutalnie zamordowany. Jakie myśli przelatują człowiekowi przez głowę, kiedy zmusza się go, aby uklęknął przed kimś, kto wpycha mu pistolet do ust? Znałem odpowiedź. W jego pokoju czułem nie tylko smród kordytu; Evans się zmoczył.

Radiowóz stał z wyłączonymi światłami. Podeszedłem prosto do tylnych drzwi i wsiałem do środka.

- I co? - spytała z niepokojem Melissa.

- Niedobrze - odparłem, a potem wyrzuciłem z siebie: - Dave nie żyje. Zastrzelono go. Przykro mi.

Otworzyła usta, a w jej ciemnych oczach zobaczyłem całkowite niedowierzanie i zgrozę.

- Nie!... Och, nie, powiedz mi, że to nieprawda! Skrzywiłem się.

- Bardzo mi przykro, Melisso - powtórzyłem.

Opuściła wzrok na dłonie, splecione na kolanach. W ułamku sekundy podjęła decyzję.

- Muszę do niego iść.

Złapałem ją za ramię, kiedy już jedną nogą była na zewnątrz.

- Nie, to zły pomysł. To nie jest ładny widok.

- Co to znaczy? Widywałam już trupy.

- Strzelili mu w głowę. Ktoś wsadził mu pistolet w usta.

- O Boże.

Obaj policjanci na przednich fotelach odwrócili się i uważnie słuchali.

- Mam wezwać miejscowych, proszę pani? - spytał sierżant siedzący na miejscu pasażera. - Zamknąć ulicę?

Melissa była w szoku.

- Co? Ach, tak, oczywiście. - Zamyśliła się na chwilę. - Ale na miejscu zbrodni nie wolno niczego dotykać, dopóki nie przyjadą oficerowie z wydziału specjalnego.

Sierżant wziął radio.

- To też załatwię, proszę pani. Melissa odwróciła się do mnie.

- Myślisz, że mordercy zrobili mu coś przed śmiercią? Wiesz, torturowali go, przesłuchiwali?

- Nie mam pewności, ale nie sądzę. Melissa przygryzła wargę.

- Aleja nie rozumiem, dlaczego? Dave'owi szło tak dobrze z Nawedem i jego bandą. Wydawało mu się, że został naprawdę zaakceptowany. I byliśmy tacy ostrożni.

Nie wiedziałem, jak to ująć.

- Obawiam się, że nie byliście ostrożni wystarczająco. Na lustrze w pokoju wypisane były słowa: „Giń szpiegu! W imię Allacha”.

Nie powiedziałem jej, że napisano je krwią Evansa. Melissa popatrzyła na mnie.

- A więc wiedzieli... i chcieli, żebyśmy my wiedzieli, że oni wiedzą.

189

To mnie zastanowiło.

- Ilu ludzi wiedziało, co robi Dave?

- Mówiłam ci przedwczoraj na spotkaniu. Do chwili spotkania ze mną na cmentarzu tylko trzy osoby. Ja, zastępca dyrektora generalnego i sam Dave.

Nie mogło się jej to spodobać.

- Byłem w zespole A-4, który śledził go całą drogę aż do Londynu na spotkanie z tobą. Skoro my daliśmy radę go namierzyć, to czy chłopcy Naweda Husajna nie mogli zrobić tak samo? Albo podobnie?

- Nie bądź śmieszny, Phil. Al-Kaida nie ma technicznych możliwości A-4. Może i są dobrzy, ale nie aż tak.

Musiałem się zgodzić. Jeśli miała rację, to pozostałymi ludźmi, którzy wiedzieli, że Dave to agent, byli Lassiter, Felicity i moja zbieranina. Żadne z nas raczej nie pobieгло do wroga. Nasz problem przecież polegał na tym, że nie potrafiliśmy tego wroga znaleźć!

- Przychodzi mi do głowy tylko tyle - powiedziała Melissa - że Dave jakoś się zdradził, przypadkiem coś mu się wymyknęło. Kiwnąłem głową.

- Zdarza się.

Sierżant znów się do nas odwrócił.

- Wszystko załatwione, proszę pani. Miejscowa policja będzie tu za trzy minuty.

- Dziękuję - Melissa westchnęła ze znużeniem. - Wracajmy do Londynu.

Wieść o śmierci Dave'a Evansa była szokiem dla całego naszego małego biura i wprawiła nas w przygnębiający nastrój na kilka następnych dni. Evansa poznaliśmy jako podejrzanego o terroryzm, a okazał się superbohaterem. Tajnym agentem, który według Melissy Thornton wykonywał niebezpieczną pracę kontaktowania się z komórkami terrorystycznymi i potajemnie donosił na nie MI-5, by biuro mogło interweniować. Jego poświęcenie mogło uratować Bóg wie ile istnień ludzkich.

Najbardziej dręczyła mnie uporczywa myśl, że przyczyniłem się do jego okrutnej śmierci. Po tym, jak zaaranżowałem rzekomo „przypadkowe” spotkanie w pubie Gwiazda, a potem wyszedłem z mieszkania Evansa, wróciłem do hotelu Ramada na spotkanie z Jeffem Kingiem i Ciapatem właściwie bez zacierania śladów. Jeśli chłopcy Naweda Husajna mieli jakieś podejrzenia co do Evansa i obserwowali go, nie musieliby się specjalnie wysilać, żeby odkryć, że jego stary kumpel z wojska coś knuje. Mogli nie wiedzieć co, z drugiej strony jednak mogli rozszyfrować Kinga albo Ciapata, albo jakiegoś innego członka zespołu. Problem w śledzeniu kogoś polega na tym, że rzadko przychodzi ci do głowy, że ktoś mo; z kolei śledzić ciebie.

Na szczęście nastroje poprawiły się wraz z niespodziewanym przybyciem Gerry'ego Shawa. Próbowałem się z nim skontaktować, nagrywając mu się na pocztę głosową i opowiadając o bardzo interesującej robocie, która właśnie mi sie.

dla niego trafiła. Podałem mu swój nowy adres i powiedziałem, że świetnie byłoby się spotkać, nawet gdyby nie mógł skorzystać z mojej propozycji.

Cały Gerry - zjawił się bez zapowiedzi z beczłową torbą jednej z kompanii promowych. Kiedy otworzyłem drzwi, wcisnął mi ją w ręce.

- Witaj, stary łobuzie! - powiedział, uśmiechając się od ucha do ucha. - Wyglądasz, jakby przydał ci się drink. Buteleczkę Jamesona za dawne czasy. Masz dwie szklanki?

Mocno uściśnięciem mu dłoń.

- Boże, Geny, nic się nie zmieniło. Czy ty w ogóle czasem ludzi ostrzegasz?

- Przepraszam, impuls chwili - odparł, wchodząc do środka. - Zresztą ostrzeżenia są dla zamachowców IRA, a im nie można ufać!

Zaśmiał się z własnego dowcipu.

Gerry był niepoprawnym optymistą. Na jowialnej rumianej twarzy miał teraz krótką siwą brodę, która pasowała do zmierzwionej grzywy włosów. Nawet jeśli się nie uśmiechał, co zdarzało się rzadko, można było się założyć o każde pieniądze, że śmieją się jego jasnoniebieskie oczy.

Pokazał swoją kolorową koszulę plażową i długie, niebieskie szorty, okrywające niewysokie krępe ciało.

- Właśnie wróciłem z Cypru. Dwa tygodnie z żoną! Nikt by tego nie wytrzymał. Popełniłem błąd i powiedziałem jej, że nie mam wykładów aż do października. Nagle dom zaczął się walić, płot przewracać, a ogród zarósł chwastami. - Znowu się roześmiał. - Twój telefon był odpowiedzią na moje modlitwy.

- A przy okazji, co u Rose? - spytałem, prowadząc go do środka.

- Dobrze, jak zwykle. Wciąż jest przekleństwem mojego życia. - Parsknął śmiechem. - Dalej zavraca głowę Panu Bogu ze swoimi psiapsiółkami w kościele, robią dzemy i chutneye. Ciągle próbuje mi zabronić chodzić po barach. Wyobrażasz sobie, zaciągnęła mnie chyba do każdego cholernego kościoła na Cyprze.

W rzeczywistości Rose to święta kobieta. Mogła wydawać się trochę staroświecka, jak na swój wiek, ale była tolerancyjna i wyrozumiała dla impulsywnego i nieprzewidywalnego Gerry'ego, który w swoim życiu rodzinnym niczego chyba nigdy nie zaplanował. Ale pod tą beztróską kryły się stalowe nerwy. Gerry Shaw był chyba jednym z najodważniejszych ludzi, jakich znałem, podczas swojej tury w Irlandii Północnej w 321. Szwadronie Usuwania Materiałów Wybuchowych Królewskiego Korpusu Logistycznego.

Nigdy nie zapomnę, kiedy Tymczasowa IRA zainstalowała bombę w ukradzionej cysternie na mleko i zostawiła ją pod ufortyfikowanym posterunkiem policji w dzielnicy mieszkaniowej. Po wykryciu i odłączeniu zapalnika wibracyjnego w szoferce Gerry musiał zdjąć swój opancerzony skafander, żeby zejść przez właz do środka cysterny i rozbroić ładunek w tym ciemnym i klaustrofobicznym otoczeniu. Byłby to spory wyczyn nawet dla szczuplejszego mężczyzny, a biedny stary Gerry precyzyjnie się naprawdę z dużym trudem.

- Już myślałem, że nie dam rady, Phil - zwierzył mi się wesoło, kiedy po wszystkich poszliśmy się napić. - Czułem się, jakbym się czołgał w samym wnętrzu bomby.

I chyba tak właśnie było.

Kiedy weszliśmy do biura, wszyscy podnieśli wzrok. Siedzieli tam Jazz, Kate i Ciapat; mieli akurat jedną z rzadkich przerw na herbatę. Byłem bezlitosnym szefem.

- Mamy niespodziewanego gościa. To Gerry Shaw, mój stary przyjaciel z wojska. Były saper.

- O, rany - powiedziała Kate. - Musi być pan bardzo odważny. Gerry ujął jej dłoń i przycisnął sobie do ust.

- Witaj, Kwiatuszku, jak ci na imię?

- Jestem Kate - odparła. - Jestem dziewczyną Piętaszkiem.

- Pracujesz tylko jeden dzień w tygodniu? Nieważne, pewnie to ty tak naprawdę kierujesz tą firmą. - W końcu puścił jej rękę. - Coś ci powiem, Kwiatuszku, przynieś kilka szklanek. Szef dostał buteleczkę Jamesona, która będzie w sam raz do tej herbaty. Aha - dodał, kiedy Kate wstała, zarumieniona - wcale nie jestem taki odważny. Mieliśmy sporo różnych urzędzeń, które zapewniały nam bezpieczeństwo.

Odprowadził ją wzrokiem pełnym aprobaty, kiedy szła do kuchni.

- Jest dla ciebie za młoda, Gerry - powiedziała Jazz. Odwrócił się do niej, ale chwilę trwało, zanim ją rozpoznał.

- Znam ten głos. Dobry Boże, to... to Jazz! Jak mogłem zapomnieć to imię czy tę prześliczną twarz!

- Spotkał się tylko dwa razy, Gerry - zaśmiała się - więc ci wybaczam. Pocałował ją w policzek.

- Wyglądasz wciąż tak samo.

- Nie sądzę, mam kilka zmarszczek więcej.

- A więc tracę wzrok. - Zerknął z powrotem na mnie. - Ale chwileczkę, P" czy ty i Nina wciąż...

Pokręciłem głową.

- Między zerem a próżnią. Gerry zrobił zdziwioną minę.

- Ty i Jazz kręciliście coś kiedyś, jeszcze w Bośni, prawda?

- To było dawno, Gerry - odparłem szybko. - Jazz teraz dla mnie pracuje. Gerry'emu wyraźnie ulżyło, że się nie rozpędził i nie powiedział czegoś głupiego.

- Pracuje? Tak, a więc o co tu chodzi? Ten szylt na drzwiach. „Philip Mason i Wspólnicy”. Cholerny prywatny detektyw! To jakiś kawał?

- Dzięki za wiarę we mnie, Gerry. Tak, jesteśmy agencją. I to cholernie dobrą! - dodałem z większą pewnością niż czułem. Gerry się speszył.

- Na pewno.

- A to jest kolejny współnik, Ciapat.

Schludnie ubrany Pakistańczyk siedział jak zwykle na uboczu, obserwując i słuchając przekomarzania. Teraz wstał i uściśnął Gerry'emu dłoń.

- Bardzo, bardzo mi miło pana poznać, panie Gerry.

- Ciapat? W sensie... ?

- Tak, w sensie na wynos. - Zachichotał. - I nie, to nie jest rasistowskie przezwisko. Sam je sobie nadałem, bo moje prawdziwie nazwisko jest tak długie i skomplikowane, że sam mam trudności z jego wymówieniem.

W tym momencie wróciła Kate ze szklankami, a ja rozlałem whisky, którą ku mojemu zaskoczeniu, poczęstował się także Ciapat. Geny znalazł sobie krzesło.

- No to o co w tym wszystkim chodzi?

- Prowadziłem tę agencję dość krótko, pracowałem jedynie z Kate, pospolite zlecenia od prawników i firm ubezpieczeniowych, kiedy znalazł mnie niejaki Joe Lassiter ze Służby Bezpieczeństwa. Służył kiedyś w wywiadzie wojskowym, nie wiem, czy go znasz?

Gerry pokręcił głową.

- Raczej nie.

- Piątka nie daje już sobie rady z tymi wszystkimi zagrożeniami ze strony Al--Kaidy. Ściąga całą pomoc z zewnątrz, jaką może. Firmy ochroniarskie, agencje detektywistyczne, te z wojskową przeszłością, żeby zajęły się mniej ważnymi operacjami. Część komórki, którą my odkryliśmy, być może planuje zamach na George'a W.

Gerry pokręcił głową i się uśmiechnął.

- A ja mam skonstruować bombę? Wchodzę w to!

- Zamknij się, Gerry - skarciłem go przyjaźnie. - To może być prawda. Prezydent przylatuje tutaj z prywatną wizytą za kilka tygodni. Będzie miał swoją zwyczajową ochronę i środki bezpieczeństwa, ale poproszono też nas, żebyśmy wczuli się w rolę Al-Kaidy. Wymyślili najbardziej prawdopodobny sposób, w jaki mogą spróbować. Jazz i ja z punktu widzenia snajpera, ty...

Gerry kiwnął głową.

- Z perspektywy wielkiego bum? Już mi się podoba.

- I nawet byś na tym zarobił.

- Jeszcze lepiej, ale zrobiłbym to i za darmo.

- W takim razie za dużo zarabiasz.

- Oczywiście. Od razu przedstawię ci sytuację na tyle, na ile się w niej sami orientujemy. A jutro mamy umówione spotkanie z Amerykanami na Grosvenor Square.

Streściłem mu, co wiedzieliśmy. Wysoce podejrzany koordynator Al-Kaidy, Nawed Husajn, mieszkający na co dzień w Syrii, przebywa w kraju pod fałszywą

- **Zamach na prezydenta**

tożsamością, co sugerowałoby, że kroi się coś większego. W centrum siatki wyda je się stać Egipcjanin, doktor Samir, wykładowca informatyki (i były księgowy w Imperial College, który zniknął, ostrzeżony przed policyjnym nalotem. Wykładowca ten, jak się uważa, jest odpowiedzialny za zamordowanie starszego i szanowanego właściciela sieci restauracji, Akmała Younisa, który został zmuszony do współpracy i zapewnienia przykrywkę nielegalnym imigrantom, być może powiązany z Al-Kaidą. Younis chciał się wycofać, ale zamordowano go, żeby go uciszyć. Jednak magicy MI-5 wydobyli z jego laptopa wzmiankę o planowanym zamachu.

Jednocześnie były brytyjski żołnierz pracujący dla Służby Bezpieczeństwa zdołał nawiązać kontakt z samym Nawedem i innymi członkami komórki, potem jednak został zamordowany; najwyraźniej podejrzani zorientowali się, że ich szpieguje. Dwóch innych młodych ludzi, których inwigilujemy, przeszło podstawowe szkolenie wojskowe w Afganistanie, ale nie mamy żadnych mocnych dowodów, że należą do jakiejś komórki ani że prowadzą jakąkolwiek inną działalność terrorystyczną.

- Dobrze usłyszałem? - spytał Geny. - Ta komórka załatwiła dwóch ludzi. Jednego ze swoich i jednego z naszych chłopaków?

- Na to wygląda - powiedziała Jazz.

- W takim razie sądzę, że mają coś bardzo poważnego do ukrycia - stwierdził Geny z namysłem. - Ta teoria o zamachu może mieć ręce i nogi.

Następnego ranka ja i Geny zgodziliśmy się spotkać z Joem Lassiterem na kawę w hotelu Millennium na Grosvenor Square przed wizytą w Ambasadzie USA.

Kiedy przyjechałem, Lassiter już tam był, samotnie pochłaniając wielkie śniadanie na służbowy rachunek. Kiedy siadałem, ledwie na mnie zerknął.

- Dobry, Phil - wymamrotał z pełnymi ustami i wskazał biały porcelanowy dzbanek na stole. - Częstuj się kawą.

Żeby go zirytować, sięgnąłem nad stołem i zabrałem mu spod widelca tłustą kiełbaskę.

- Wygląda nieźle, Joe. Nie zdążyłem zjeść nic w domu.

Popatrzył na mnie spode łba, kiedy położyłem kiełbaskę na swoim talerzu i nalałem sobie czarnej kawy.

- Chciałbyś zamówić coś dla siebie? - spytał.

- Czy to propozycja?

- Nie.

Podniosłem kiełbaskę palcami i odgryzłem kawałek.

- Nie stać mnie na tutejsze ceny.

- A ja nie jestem instytucją charytatywną

194

Uśmiechnąłem się, kiedy zasłonił swój talerz ramieniem, by zapobiec następnym kradzieżom.

- Z kim się spotykamy w ambasadzie, Joe?

- Z Jankesem o niespotykanym nazwisku Herbert J. Weatherspoon. Przynajmniej to nie junior, senior, trzeci ani nic w tym rodzaju. Jest jakoś tam powiązany z ich Secret Service. - Lassiter zerknął na zegarek, nie odsuwając ręki od talerza. - Mamy jeszcze jakieś dwadzieścia minut.

Chciałem go o coś zapytać, zanim zjawi się Geny Shaw.

- Joe, tak się zastanawiam...

- Brzmi groźnie.

- Od jak dawna znasz Ciapata?

Lassiter wyczyścił swój talerz w rekordowym tempie i wytarł usta serwetką.

- Spotkałem go jakieś trzy lata temu. Jak pewnie już się zorientowałeś, my, oficerowie zadaniowi, nieczęsto spotykamy obserwatorów. Prawie w ogóle go nie znałem, dopóki nie trafił do twojego zespołu.

- Mówił mi, że pracuje w Służbie Bezpieczeństwa od jakichś pięciu lat.

- No i?

- Czy to nie wtedy Al-Kaida zaczęła się u nas rozkręcać?

- Prawdopodobnie już wcześniej... Ale czemu nagle o niego pytasz?

- Zacząłem się zastanawiać, kiedy wracaliśmy do Londynu po morderstwie Dave'a Evansa. Tylko mój zespół wiedział, że Evans jest agentem.

Lassiter pokręcił głową.

- To dlatego, że Ciapat jest Pakistańczykiem?

- Przeszło mi to przez myśl.

- Posłuchaj, Pakistańczyk czy nie, Ciapat ma doskonałe referencje. Mieszka w kraju od małego. Służył w 14.

Wywiadowczej, dostał pół tuzina medali za odwagę, został dopuszczony do pracy w SIS i w Służbie Bezpieczeństwa.

Dokładnie sprawdzony i czysty jak łąka.

- Ja się tylko zastanawiam - powiedziałem obronnym tonem.

- W takim razie zastanów się nad tym, Phil. Kiedy Meduza opowiedziała

o swoim kochasiu, tajemnica się wydała. Wiedział nie tylko twój zespół, ale też ja

i Królowa Śniegu. Nawet zastępca dyrektora generalnego. Wspominałem o tym chyba też kontroli A-4, kiedy kazano mi zdjąć zespół Jeffa Kinga.

Aż się zatrzęsłem.

- Co takiego?

Lassiter machnął tylko ręką.

- Och, nie powiedziałem tego wprost, ale to chyba było dość oczywiste. Nikt się nie oprze takiej historii. Musiały być jakieś plotki czy spekulacje. Ogólnie chodzi o to, że nikt z naszej bandy nie donosi Al-Kaidzie. Evansa skasowali najpewniej dlatego, że sam popełnił jakiś błąd.

Cóż, oczywiście, zawsze była taka możliwość, ale mnie martwiło coś innego.

195

- Ktoś ostrzegł także Younisa, kiedy ten miał się spotkać z doktorem Samir A potem także Samira, przed nalotem policji. Lassiter westchnął.

- Posłuchaj, Younis był amatorem. Mówimy o cynku czy tylko o ostrzeżeniu przez kogoś innego z jego własnej komórki? Terrorysty często mają paranoję. A w policji każdy, może jakiś Azjata, funkcjonariusz czy cywil, mógł być zdrajcą i szepnąć słówko Samirowi.

Od razu poczułem się lepiej.

- Chyba masz rację.

- Zaufaj mi, stary byku. - Na twarzy Lassitera pojawił się rzadki uśmiech. -Ale jeśli chcesz, żeby Ciapata zabrać z twojego zespołu...

Pokręciłem głową.

- Nie, nie. Na pewno masz rację. Po prostu też już dostaję paranoi.

- Chyba tak, Phil. Ale dla twojego spokoju ducha złożę wniosek o jego ponowne sprawdzenie, w porządku?

- On się o tym dowie?

- Nie, jak zwykle będziemy jak szczury w cieniu. - Nagle spojrział gdzieś ponad moim ramieniem. - To chyba twój kolega. Geny Shaw właśnie wszedł na salę. Dzisiaj wyglądał całkiem elegancko w dobrze skrojonym szarym garniturze, dodającym mu optycznie wzrostu. Rozejrzał się uważnie, dostrzegł mnie i ruszył do naszego stolika.

Po krótkich wstępach zdążył jeszcze szybko wypić kawę. Potem przeszliśmy na drugą stronę placu, do Ambasady USA. Herbert J. Weatherspoon czekał na nas na szczycie wejściowych schodów, z dużą teczką w rękę. Był bardzo wysokim, szczupłym typowym Amerykaninem, z potężnymi bicepsami i ramionami, na których opinał się jego modny szary garnitur. Trudno było określić jego wiek, bo miał na nosie szpanerskie ciemne okulary. Gładko wygolona twarz o prostych rysach i po wojskowemu obcięte włosy sugerowały żołnierzyka, który tak naprawdę nie chciał nigdy dorosnąć. Ale miałem wrażenie, że jednak dorósł, zbliżał się, jak sądziłem, do czterdziestki.

Potwierdził to dźwięczny, aksamitny głos, jak z reklamówki.

- Cześć. Jestem Weatherspoon, możecie mi mówić Herbie. - Oślepiający błysk zębów, które ukazał w szerokim uśmiechu, sugerował, że Weatherspoon niedawno musiał je wybielać. - Za mną! - rozkazał, kiedy się przywitaliśmy.

Nie ominął nas rytualny wykrywacz metali i dokładne obszukanie pod kątem broni masowego rażenia, ale Weatherspoon, wciąż w okularach, poprowadził nas energicznie przez resztę procedury, która zakończyła się wydaniem nam identyfikatorów zawierających cyfrowe zdjęcia, wykonane i wydrukowane na miejscu.

- Ta sprawa jest zbyt delikatna, by omawiać ją w zwykłym biurze - wyjaśnił, prowadząc nas do windy, którą zjechaliśmy głęboko w podziemie gmachu. - Za

bieram panów do bezpiecznej „bańki”, w której będziemy mogli porozmawiać. Wyłożona ołowiem, dwuwarstwowe ściany i ciągly szum tła. Wydawał się z tego dość dumny.

- Czy Al-Kaida naprawdę ma aż tak dobry sprzęt do podsłuchiwania? - spytał Geny złośliwie.

- Oczywiście, że nie, panie Shaw. Ale mają go inne kraje, które mogą nam wcale dobrze nie życzyć. Mogłyby przekazać komuś różne informacje.

Geny mrugnął do mnie, a ja wiedziałem, co sobie myślał: że w ostatnich latach to mogła być, niestety, większość krajów na tej planecie.

W końcu dotarliśmy do „bańki” - sześciennej konstrukcji na środku dużego, betonowego pomieszczenia. Stalowych drzwi strzegł uzbrojony mariner; odsunął się na bok, wpuszczając nas. W środku sześcian był większy, niż wydawał się z zewnątrz; puste ściany otaczały olbrzymi stół konferencyjny i krzesła. Na stole stały dzbanki na wodę, długopisy i papier, przygotowane na wypadek narady. Pod przeciwległą ścianą znajdowało się centrum łączności z telefonami, sprzętem radiowym i całym rzędem ekranów telewizyjnych, teraz wyłączonych.

Zaproszeni przez Weatherspoona usiedliśmy wokół jednego końca stołu, a nasz gospodarz napełnił dzbanek wodą z niewielkiego automatu w ścianie.

- Widzę, że zupełnie jak w ich marynarce - szepnął do mnie Gerry. - Sama woda. Weatherspoon postawił dzbanek na stole i sam również usiadł.

- Dobrze, panowie, jak rozumiem, przydzielono wam zadanie zbadania kwestii bezpieczeństwa podczas zbliżającej się prywatnej wizyty naszego prezydenta w Wielkiej Brytanii. Jest to uzupełnienie środków, jakie przedsięwzięliśmy już my, a także wasza policja oraz MI-5?

- Tak jest- odparł Lassiter. - Phil Mason jest byłym instruktorem Szkoły Strzelców Wyborowych Armii Brytyjskiej, o dużym doświadczeniu w różnych teatrach działania, w tym w Afganistanie. Pracował także w wywiadzie wojskowym. Gerry Shaw, również po kursie snajperskim, jest doświadczonym saperem. Służył w naszym Królewskim Korpusie Logistycznym, a później w jednostce saperskiej Policji Metropolitalnej w Londynie. Teraz prowadzi wykłady na całym świecie.

- Aha, rozumiem - powiedział Weatherspoon, bezskutecznie usiłując udawać, że mu to imponuje. - Chcecie wczuć się w sposób myślenia wroga?

- Jeśli sami wymyślimy, jak to zrobić - odparłem - jest większa szansa, że zauważymy coś, co inni mogli przeoczyć.

- Naszym chłopcom rzadko zdarza się coś przeoczyć - powiedział Weatherspoon chłodno.

- Oczywiście - wtrącił szybko Lassiter. - Może przedstawi nam pan po prostu plan wizyty?

Weatherspoon postawił na stole swoją ciężką teczkę. Dopiero wtedy zobaczyłem, że teczka jest przykuta kajdankami do nadgarstka. Rozpiął je, otworzył szyfrowe zamki i wyjął ze środka trzy pliki dokumentów, które nam rozdał.

- Nie chciałbym usłyszeć, że ktoś zostawił to w taksówce czy w pubie, jasne? - ostrzegł ponuro. - Proszę dokumenty trzymać bezpiecznie pod kluczem. Do wglądu tylko dla upoważnionych.

Coś mi mówiło, że nasz przyjaciel z Secret Service nie miał zbyt wysokiego mniemania o brytyjskich służbach bezpieczeństwa.

- Prezydent Bush przylatuje na pokładzie Air Force One z prywatną wizytą we wrześniu. Spodziewany czas przylotu to godzina jedenasta w sobotę. Będzie mu towarzyszyć żona Laura i córka Barbara. Wizyta została zaplanowana tuż przed rozpoczęciem jesiennego semestru, więc nie będzie jeszcze żadnych studentów. Barbara chce robić doktorat ze sztuk pięknych w Girton College w Cambridge.

Air Force One wyląduje na lotnisku RAF w Larkheath. Oczywiście to baza Sił Powietrznych USA i tamtejszy pułkownik ma swoją kwaterę w starym domu na jej terenie. Jest starym przyjacielem prezydenta i pierwszej damy, zatrzymają się więc u niego.

Prezydent chce także wykorzystać wizytę, aby spotkać się z waszym nowym premierem, nieformalnie, i omówić z nim kilka spraw. Zauważyliście, panowie, że stosunki między naszymi krajami ostatnio nieco się oziębily?

- Czy będzie mieszkał tylko w Larkheath? - spytałem.

- To może ostatecznie zależeć od aktualnej oceny stopnia bezpieczeństwa. Ale powiedziano mi, że prezydent chciałby odwiedzić Cambridge i może razem z córką wybrać się na kurtuazyjną wizytę do wicerektora w ten weekend. Zaprosił też na kolację swojego starego przyjaciela Tony'ego Blaira z żoną. Według planu ma wylecieć z powrotem we wtorek rano.

- Byłoby dobrze - powiedział Lassiter - gdyby prezydenta udało się przekonać do pozostania na terenie bazy.

Weatherspoon dopiero teraz zdjął okulary, ukazując zielone oczy o twardym spojrzeniu.

- Panie Lassiter, prezydent Stanów Zjednoczonych nie lubi, kiedy ktoś mu mówi, co mu wolno, a czego nie. Zwłaszcza kiedy tym kimś jest zgraja szmato-głowych terrorystów. Wódz robi, co mu się podoba, a my w Secret Service musimy mu tylko zapewnić bezpieczeństwo.

- Wiem, wiem - odparł Lassiter. - Ale podróż między Larkheath a Cambridge daje terrorystom o wiele więcej możliwości ataku.

- Niekoniecznie, możliwości te są raczej ograniczone - sprostowałem. - Jestem pewien, że chłopcy pana Herbiego ustalą kilka alternatywnych tras między jednym a drugim miejscem. Snajper czy zamachowiec musi wiedzieć na pewno, kiedy i którędy przejedzie samochód. To oznacza, że musiałby wybrać miejsce blisko lotniska, przez które prezydent przejedzie na pewno, albo blisko celu w Girton College.

Weatherspoon przez chwilę się zastanawiał.

- Dostrzegam w tym logikę - przerwał i uśmiechnął się nieznacznie zaciśniętymi ustami. - Ale tak czy inaczej, RAF Larkheath to baza sił powietrznych, więc planowaliśmy przewieźć Bushów w obie strony śmigłowcem. W Girton College jest pod dostatkiem miejsca, żeby wylądować.

- Cóż - powiedział Lassiter. - Z pewnością nie mamy żadnych przesłanek, by sądzić, że dżihadyści w Wielkiej Brytanii mają dostęp do rakiet ziemia powietrze.

Aż się roześmiałem. W Afganistanie, Iranie i innych krajach, gdzie Al-Kaida była mile widziana, znajdowało się ich wciąż mnóstwo. Jeśli cel był wystarczająco ważny, a terroryści dysponowali konkretnymi danymi, bez problemu mogliby przemieścić kilka rakiet w częściach i złożyć je na miejscu. Na pewno mieli takie możliwości.

- Nie trzeba rakiety, żeby strącić śmigłowiec - powiedziałem. - Ciężki karabin snajperski wystarczy, jeśli się strzeli w wirnik na ogonie. Ale tutaj ma zastosowanie ta sama zasada - dodałem - największe ryzyko to opuszczanie lotniska i powrót na nie oraz lądowanie i start z terenu uczelni.

- Proszę nam trochę opowiedzieć o lotnisku Larkheath - poprosił Gerry Shaw.

- Cóż, nie jest chyba tak znane, jak jego siostrzane lotniska w tym regionie, Mildenhall i Lakenheath. I szczerze mówiąc, to nam odpowiada.

Zmarszczyłem brwi.

- Dlaczego?

Lassiter nachylił się do mnie konspiracyjnie.

- Przydaje się do wywożenia podejrzanych oraz do innych nie całkiem legalnych działań.

Weatherspoon trochę się chyba zirytował.

- Larkheath jest także trochę mniejsze. Nie stacjonują tam myśliwce, a przede wszystkim transportowce Hercules i Galaxy oraz różne śmigłowce. Dlatego nie przyciąga uwagi mediów ani opinii publicznej.

Leży około trzydziestu kilometrów od Cambridge. To dawna stacja dojazdowa z czasów wojny dla osób mieszkających poza Londynem. W 1953 roku przejęło ją do tych samych celów Strategiczne Dowództwo Sił Powietrznych, żeby wspierać nasze siły w zachodnich Niemczech podczas zimnej wojny. Administruje nią podpułkownik RAF, ale dowodzenie operacyjne należy do pułkownika USAFE. Baza jest domem dla około tysiąca dwustu pięćdziesięciu osób personelu wojskowego. Razem z rodzinami i personelem cywilnym daje to około dwóch tysięcy dwustu pięćdziesięciu Amerykanów w tym rejonie.

- A więc jest jednak całkiem spora - zauważył Gerry.

- Co z bezpieczeństwem? - spytał Lassiter.

- Jak zwykle. Dla celów dyplomatycznych teren wewnątrz ogrodzenia uznawany jest za teren Stanów Zjednoczonych, podobnie jak w przypadku ambasady,

więc patroluje go uzbrojona policja USAF w uzbrojonych pojazdach. Policja waszego Ministerstwa Obrony, również uzbrojona, działa po obu stronach ogrodzenia jako łącznik między personelem cywilnym i wojskowym. - Weatherspoon przerwał. - W panów dokumentach są wszystkie szczegóły. Domyślam się, że chcielibyście niedługo tam pojechać. Kiedy będziecie gotowi, proszę tylko o telefon. - Wyjął z kieszeni marynarki imponująco tłoczoną wizytówkę. - Proszę zadzwonić na moją bezpośrednią linię, a wszystko zostanie załatwione.

- Dzięki - powiedziałem.

- Zanim pójdziecie, panowie... - Weatherspoon popatrzył Lassiterowi w oczy. - Ani CIA, ani Departament Bezpieczeństwa Narodowego nie przekazały nam jak dotąd żadnych informacji o pełnej skali ani źródle tego zagrożenia. Dlatego nie wiem, czy wy, jako MI-5, dzielicie się z nami całą swoją wiedzą jak mamy nadzieję i oczekujemy?

Lassiter wzruszył ramionami i uśmiechnął się niezbyt szczerze.

- Och, na pewno, Herbie. To wszystko wyniknęło z czegoś, co znaleźliśmy w komputerze jednego z podejrzanych. Żadnych konkretnych.

- Wystarczająco dużo, żebyście tu teraz ze mną rozmawiali. Jak się ten podejrzany nazywał? Przekażę nazwisko DBN, niech go sprawdzą w bazach danych. Zobaczmy, co na niego mamy.

Lassiter poczerwieniał, zobaczyłem, że się lekko spocił.

- Muszę dostać upoważnienie, Herbie, od szefowej. Ja jestem tylko zwykłym pionkiem.

Już ci wierzę, powiedziała mina Weatherspoona.

- Czy ten podejrzany jest w areszcie? - spytał. Lassiter się rozpromienił.

- Ujmę to tak, Herbie, raczej nigdzie się nie wybiera.

Tu akurat miał rację. Akmal Younis leżał albo w lodówce w kostnicy, albo dwa metry pod ziemią na cmentarzu obok meczetu w północnym Londynie.

Kilka minut później wszyscy trzej staliśmy znowu na ulicy. Powietrze, choć chłodne przed deszczem, było znacznie przyjemniejsze niż sterylna, klimatyzowana „bańka”, z której właśnie wyszliśmy.

- Dlaczego nie powiedziałeś Weatherspoonowi o Younisie, Joem, czy innych naszych podejrzanych? - spytałem Lassitera, gdy czekaliśmy na taksówkę.

Postukał się w bok nosa.

- My lubimy załatwiać sprawy po swojemu, Phil. Daj Jankesom nazwiska podejrzanych, a CIA zacznie ich zwijać z naszych ulic bez pytania o zgodę. A potem wywiezie ich gdzieś i będzie im wrywać paznokcie w jakimś zagranicznym więzieniu. Albo trafią do zatoki Guantanamo. Nie zgadzamy się na to.

- To znaczy, że raczej pozwolicie im uciec...? Lassiter kiwnął głową.

200

- Tymczasowo. Dopóki się nie dowiemy, co planują i nie dorwiemy pozostałych członków komórki.
- Nie byłoby lepiej po prostu zamknąć podejrzanych na trzy miesiące? - spytał Gerry. - Dać gliniarzom czas na porządne śledztwo. Tego chciałoby wielu polityków.

Lassiter zrobił zbolaną minę.

- Słuchaj, większość tych tak zwanych podejrzanych to młodzi, głupi marzyciele, podjudzeni przez duchownych, którzy chcą zwinąć winę za problemy muzułmańskiego świata na wszystkich oprócz siebie. Większość podejrzanych nie umiałaby wysadzić dziecka na nocnik, a co dopiero wysadzić samych siebie. Wpakuj niewinnego człowieka na trzy miesiące do więzienia, a jeśli nie był terrorystą to po wyjściu z aresztu na pewno nim zostanie. Nikt nie wyciągnął wniosków z aresztowań w Irlandii Północnej. To była najlepsza metoda rekrutacyjna IRA.

- Nie wiem, ile to warte - powiedziałem - ale chyba masz rację.

W tym momencie zza zakrętu wyjechały dwie taksówki. Lassiter pojechał jedną do Thames House, a ja i Gerry w kilka chwil wróciliśmy do biura.

Byłem w dość dobrym nastroju, dopóki nie wszedłem do środka. Kate siedziała sama w biurze, spoglądała na mnie z niezwykłym u niej ponurym wyrazem twarzy.

- Jest do ciebie list, Phil. Przepraszam, przez pomyłkę go otworzyłam.

- Od kogo?

- Od prawników twojej żony.

- I przez pomyłkę go też przeczytałaś? - warknąłem.

- Przepraszam - powtórzyła ze słabym uśmiechem. - To ostateczne żądanie rozwodowe twojej żony. Chciałbyś filiżankę herbaty?

Zerknąłem na leżący na biurku list. Rzuciły mi się w oczy widniejące na pierwszej stronie liczby. Nagle poczułem, że potrzebuję czegoś znacznie mocniejszego niż herbata.

12

Ile? - spytała Jazz z niedowierzaniem.

1 Powtórzyłem sumę i procenty. Z drinkiem, którego tak bardzo potrzebowałem, poczekałem do obiadu, i przekonałem Jazz, żeby poszła ze mną coś przekąsić do pobliskiego pubu.

- To bezczelność - powiedziała, kiedy usiedliśmy w ogródku. - Żaden sędzia się na to nie zgodzi.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie jestem tego taki pewny. Mój adwokat też nie. W grę wchodzi dziecko, rozumiesz, a Nina od lat nie pracowała. Teraz uważa, że nikt jej już nie zatrudni.
- Ale mówiłeś przecież, że ma faceta?
- Podobno rzeźnika, ma na imię Frank. Spotkałem go raz czy dwa na imprezach u znajomych. Ale nie wiem, czy naprawdę razem mieszkają.
- Jazz pokręciła głową.
- Na Boga, Phil, jesteś w końcu prywatnym detektywem.
- Nie mogę śledzić własnej żony.
- To bardzo szlachetne, ale tu chodzi o twoją przyszłość.
- Zastanawiałem się - powiedziałem - że mógłbym do niej zajrzeć i spróbować porozmawiać.
- Czy sądzisz, że to naprawdę dobry pomysł?
- Pewnie nie, ale cała sprawa zrobiła się o wiele bardziej przykra, odkąd włączyli się w nią prawnicy. Może ją przekonam, jeśli w ogóle będzie chciała słuchać.
- Jazz uśmiechnęła się łagodnie i położyła dłoń na mojej dłoni.
- No, przynajmniej wypatruj śladów bytności rzeźnika w domu. To się nazywa wskazówka i tak detektywi zarabiają na chleb.
- Kiwnąłem głową wiedząc, że ma rację.
- Tobie taki koszmar rozwodu nie dopiekł?
- Nie. Jeśli mój mąż się kiedykolwiek pojawi... ale w tym momencie nie ma raczej sensu. Mam na głowie ważniejsze rzeczy. Potaknąłem.
- Na przykład zarabianie na życie? Uśmiechnęła się.
- Dzięki tobie to się stało o wiele łatwiejsze, Phil. Bardzo ci dziękuję.
- Bzdura, to była jak dotąd najlepsza moja decyzja biznesowa.
- Może wpadłbyś do mnie któregoś wieczoru. Coś ci ugotuję. To mnie zaskoczyło.
- Brzmi nieźle.
- Wciąż lubisz curry?
- Jem teraz też inne rzeczy. Ale pamiętam to curry, które gotowałam na kuchence naftowej w Bośni.
- Och, Phil, było okropne! Przyprawiałam tak bardzo dlatego, żeby ukryć, co jest w garnku.
- I tak bardzo mi smakowało.
- Tak ci się wydawało, bo byłeś wtedy we mnie trochę zakochany. Zaśmiałem się.
- Pewnie tak. Ale pomysł z curry dalej mi się podoba.
- Robisz coś w sobotę wieczorem?
- Nic nie planuję.

- No to załatwione.

Resztę popołudnia spędziłem w biurze. Razem z Gerrym ślęczyliśmy nad dokumentami dostarczonymi przez Herbiego Weatherspoona; ściągnęliśmy kilka map z Internetu. Wciąż nie mieliśmy wszystkich danych na temat przebiegu wizyty. Kilka spotkań dopisano ołówkiem. Sobotę, dzień przybycia, prezydent miał spędzić z żoną i córką w Girton College, gdzie był umówiony z wicerektorem, promotorem i kierownikiem wydziału. Potem powrót do bazy, do domu pułkownika USAFE na nieoficjalnego drinka i obiad. Na liście zaproszonych gości byli Anglicy i Amerykanie - politycy i wojskowi, kilku przemysłowców i ludzie z mediów. Szczerze mówiąc, rozpoznawałem tylko garstkę nazwisk, w tym przywódców konserwatystów i opozycji liberalno-demokratycznej, a także byłego premiera z żoną Tony'ego i Cherie Blair. Na marginesie zasugerowano, że oboje mogą zostać na noc.

Następny dzień miał należeć do nowo mianowanego premiera, Gordona Browna. On i jego żona mieli przyjechać na obiad po wyjeździe Blairów. Popołudnie mężczyźni zamierzali poświęcić na prywatne, nieoficjalne rozmowy. Potem planowano lekką kolację - nowy szef rządu zamierzał najwyraźniej wcześniej się położyć, w poniedziałek rano zaczynał pracę. Pan Brown bardzo poważnie traktował swoją nową posadę. Prezydent USA i jego rodzina mieli wylecieć z RAF Lark-heath do domu przed południem.

- Dowolna komórka terrorystyczna będzie bardzo chciała mieć szansę, aby dopaść George'a W. w drodze na uczelnię - powiedział Gerry. - Bo większość czasu prezydent spędzi za ogrodzeniem, w domu pułkownika.

- Szkoda, że nie możemy go przekonać, żeby tam został i nie jechał do Girton College - powiedziałem.

- Ale szczerze mówiąc - odparł Gerry - jeśli poleciałby tam śmigłowcem, musieliby mieć dużo szczęścia albo wyjątkowo dobry wywiad, żeby go kropnąć. Uczelnia będzie zamknięta, żadnych studentów, a na spotkanie przyjdzie tylko kilkoro uniwersyteckich tuzów.

- Na pewno też - dodałem - w całym kampusie zaroi się od chłopców z amerykańskiej Secret Service.

Gerry kiwnął głową.

- Może to jednak jest tylko marzenie Al-Kaidy.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Nie usłyszałem, kiedy za mną otworzyły się drzwi.

- Co to za rozmowy o marzeniach? - spytała ze śmiechem Jazz. - Zostawić was, chłopców, na dwie minuty samych i od razu zaczynacie gadać o świństwach.

- Nie podkradaj się tak do mnie - odparłem, odwracając się - nie jesteś już w 14. Wywiadowce.

Pokazała mi język, a potem zerknęła na otwarte dossier.

- To te materiały od Amerykanów?

203

- Tak. I dobra wiadomość jest taka, że komórka Al-Kaidy musiałaby dysponować cholernie dobrym wywiadem, żeby mieć chociaż cień szansy na realizację swoich pomysłów.

- Nie bądź zbyt pewny siebie, Phil - ostrzegła Jazz. - Wiesz, że nie ma czegoś takiego, jak stuprocentowe bezpieczeństwo.

- Wiem o tym. Ale prezydent większość czasu spędzi w bazie Larkheath.

- Chyba o tym nie słyszałam. Gdzie to jest?

- Bliżej Ely niż Cambridge, na odludziu. Mało kto z niej korzysta, przede wszystkim Jankesi do swoich podejrzanych celów.

- Ach, już sobie przypominam - powiedziała Jazz. - Chyba pamiętam, jak USAFE oznajmiło, że ją zamkną w tym samym czasie co Greenham Common. Założyłam chyba, że to zrobili.

- Może o to właśnie chodziło - powiedział Gerry.

- Im szybciej się tam rozejrzemy, tym lepiej - stwierdziłem. - Zadzwoń do Weatherspoona.

- Ja też mam jechać?- spytała Jazz.

Miałem wrażenie, że atmosfera między nami ostatnio się ociepliła.

- Jako drugi były snajper?

- Co dwie głowy i tak dalej...

- Oczywiście. Jak stoisz z pracą?

- Zastój, dopóki Lassiter nie dostarczy nowych nazwisk podejrzanych.

- W takim razie dowiem się, czy możemy jutro zwiedzić Larkheath. Jazz się uśmiechnęła.

- Mnie pasuje.

- Dobrze, zadzwonię do Weatherspoona, a potem kończymy na dzisiaj. Pojadę chyba do Niny.

Jazz uniosła brwi.

- Chcesz mieć towarzystwo?

- Pytasz, czy przyda mi się ktoś, żeby się wypląkać w rękaw? - Zawahałem się. - Jasne, dzięki.

Herbie J. Weatherspoon przez telefon rozmawiał jak typowy, przesadnie uprzejmy Amerykanin i bez wahania zgodził się, żeby z Jazz i Gerrym odwiedził bazę Larkheath w południe następnego dnia. Spisawszy nasze dane osobowe, obiecał porozmawiać z policją Ministerstwa Obrony w bazie, która miała załatwić nam spotkanie z członkiem brytyjskich sił policyjnych Ministerstwa Obrony. Mieliliśmy zabrać ze sobą identyfikatory Służby Bezpieczeństwa ze zdjęciem. Ponieważ Gerry Shaw dołączył do nas niedawno, jeszcze takiego nie miał. Ale szybki telefon do Joeego Lassitera załatwił ten problem: sekcja bezpieczeństwa kadr miała dostarczyć go do mojego biura na dziewiątą rano.

Załatwiwszy to, Jazz i ja wsiedliśmy do mojej furgonetki i mszyliśmy przez Londyn do mojego dawnego domu rodzinnego w Worcester Park, na przedmieściu Surrey.

- Nie sądzisz, że powinien z nami jutro jechać Ciapat? - spytała Jazz po drodze.
- Ktoś powinien zostać w biurze - odparłem odruchowo.
- Może to i lepiej - mruknęła, przez szybę oglądając witryny eleganckich sklepów.
To mnie zaskoczyło.
- To znaczy?
Wzruszyła ramionami, nie odwracając się do mnie.
- Nie, nic takiego... Czasami się nad nim zastanawiam.
- Nad czym się zastanawiasz? W końcu się odwróciła.
- Nie zrozum mnie źle, to uroczy facet...
- Ale?
- Wiem, że mieszka tu od dziecka i nawet służył w wojsku. Ale nigdy nie wiadomo, komu człowiek jest tak naprawdę w głębi serca wierny.
Byłem zdumiony, że Jazz ma te same dręczące obawy co ja. Staralem się ująć to najbardziej dyplomatycznie, jak umiałem.
- Myślisz, że ostatnie wydarzenia na świecie mogły zmienić jego punkt widzenia?
Wzięła głęboki oddech.
- Zmieniły punkt widzenia wielu muzułmanów w tym kraju i na całym świecie, Phil. Zatoka Guantanamo, inwazja na Irak i Afganistan, tortury w Abu Ghraib, porywanie podejrzanych... Nigdy nie pomyślałabym tak o Ciapacie, ale kiedy powiedziałeś, że Younisowi ktoś dał cynk, potem doktor Samir... no i biedny Dave Evans.
Uśmiechnąłem się ponuro.
- Nie uwierzysz, Jazz, to samo powiedziałem Lassiterowi jeszcze dzisiaj rano. Szeroko otworzyła oczy.
- Naprawdę? I co powiedział?
- Zlekceważył mnie. Powiedział, że nie ma żadnych powodów do podejrzeń, że przecieki pochodzą z naszego zespołu, a ja wiem, że ma rację.
Wrzuciłem kierunkowskaz i skręciłem w lewo w jedną z wąskich uliczek z lat trzydziestych, z irytującymi progami zwalniającymi co kilka metrów.
- Wiem też, że każdy z pochodzenia Azjata czy Arab pracujący w MI-5 został ponownie sprawdzony po 11 września.
Jazz kiwnęła głową.
- Tak, jestem niemądra. Po prostu się martwię i tyle. Przecież to by była katastrofa, gdyby któryś z ich nowych rekrutów muzułmanów okazał się agentem.
- Ciapat chyba wytrzymał próbę czasu. Ale na czas wizyty prezydenta postaram się go dyskretnie trzymać na dystans, tak żeby się nie obraził.
Uśmiechnęła się.
205

- Nowa lista Lassitera zapewni mu chyba wystarczająco wiele pracy. Podjechaliśmy do domu, który kiedyś należał do mnie, połówki bliźniaka

w stylu pseudo-Tudor. Znalazłem wolne miejsce w rzędzie samochodów. Większość domów miała garaże na podwórkach, ale oznaczało to przeciskanie się wąskimi bocznymi i tylnymi zaułkami, więc mało komu chciało się zawracać sobie tym głowę. A każda rodzina posiadała chyba co najmniej dwa samochody. Wyłączyłem silnik.

- Zaczekasz?

- Mam w torebce książkę. Poczytam. Nie spiesz się. - Uśmiechnęła się. - Powodzenia.

Wiedziałem, że szczęścia na pewno będę potrzebował, wysiadłem z furgonetki i przeszedłem pięćdziesiąt parę metrów do furtki z kutego żelaza. Wchodziło się przez nią do niewielkiego ogródka, który szczerze mówiąc, nie wyglądał najlepiej. Ani ja, ani Nina nie potrafiliśmy się zajmować zielenią ale wspólnymi siłami udawało nam się utrzymywać trawniki w nie najgorszym stanie; pielęgowaliśmy róże i inne kwiaty. Kiedy byłem w domu na przepustce, miało to czasami bardzo kojące działanie. Teraz część frontowego muru wyburzono, a kawałek trawnika wyasfaltowano, tworząc miejsce parkingowe dla samochodu.

Dziwnie było iść dobrze znaną ścieżką do drzwi niegdyś mojego domu. Miał bielone ściany, czarne belki i obowiązkowe okno wykuszowe. Dziwnie dlatego, że nie wydawało mi się już to ani moje, ani znane. Chociaż to był ten sam dom, nie wyglądał już tak samo. Nawet w zapuszczonym ogródku panowała inna atmosfera. Spojrzałem w górę, zastanawiając się, czy Danny jest w swoim pokoju, jeśli tak, to na pewno gra na komputerze.

Podszedłem do drzwi z małym okrągłym witrażowym okienkiem. Pośrednicy nieruchomości mogli je uważać za atrakcję, ale mnie, szczerze mówiąc, nigdy się nie podobało. Wcisnąłem guzik i usłyszałem rozbrzmiewający w głębi domu staramodny gong.

Kilka chwil później drzwi się otworzyły i stanęła w nich Nina, w modnej koszulce i spodniach do joggingu. Bez zwykłych warstw makijażu wyglądała na swoje lata.

Stanęła jak wryta.

- O, to ty. Czego chcesz?

- Musimy porozmawiać.

- Aha, list od mojego prawnika. Aż tego trzeba było, żeby cię tu ściągnąć, tak?

- O co ci chodzi?

- Nie przyjechałeś przecież odwiedzić syna? To mnie trochę wytrąciło z równowagi.

- No, miałem nadzieję, że zobaczę się z Dannym, skoro już tu jestem.

- Znasz moje zasady, Phil, żadnych wizyt bez uzgodnienia.

206

- Ale ty się nigdy nie zgadzasz, na tym właśnie polega problem. Za każdym razem, kiedy pytam, zawsze znajdujesz jakiś cholerny powód, dla którego to niemożliwe.

Oboje wiedzieliśmy, że robiła to specjalnie, uważając rozwód za walkę o dominację.

- Zresztą on cię nie chce widzieć, wiesz o tym. Wciąż uważa, że nas zostawił.

- A powiedziałaś mu prawdę? Powiedział, że to ty chciałaś rozwodu? Uśmiechnęła się paskudnie pod nosem.

- Nie pouczaj mnie, jak mam wychowywać swojego syna. Ciebie nigdy nie było, żeby mi w tym pomóc. Zresztą Danny pojechał z Frankiem coś zjeść.

Udałem zdumienie.

- Z Frankiem? Kim jest Frank? Nina się zaczerwieniła.

- Znasz Franka. Frank Grint. Spotkaliście się.

- Ten rzeźnik? Uniosła brodę.

- To nie rzeźnik. Ma masarnię.

- Dlaczego pojechał gdzieś z Dannym?

- Bo to przyjaciel i dobrze się dogadują.

- A ty i Frank, jak się dogadujecie? W jej oczach dostrzegłem gniew.

- To nie twój zasrany interes, Phil. Rozwodzimy się i wolno mi mieć przyjaciół.

- A więc skoro Danny'ego i Franka nie ma, możemy porozmawiać?

- Nie mam ci nic do powiedzenia.

- Chodzi o list, twoje żądania.

- Ach, więc jednak chodzi o list - powiedziała tryumfalnie. - Moja pani adwokat powiedziała, żebym z tobą o tym nie rozmawiała. Będziesz musiał zapytać przez swojego prawnika.

- Kosztują majątek i do niczego to nie prowadzi.

- Ciebie tu przyprowadzili. Na kolanach, jak widzę. - Uniosła brwi. - Zrujnowałeś mi życie, Phil, i teraz za to zapłacisz.

W tym momencie lśniaca terenówka z olbrzymią chromowaną kratownicą z przodu zjechała z drogi na miejsce parkingowe w ogrodzie. Drzwi pasażera od razu się otworzyły i w moją stronę pobiegl Danny.

- Cześć, tato! Tato! Wracasz?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, rzucił się w moje ramiona, a ja uniosłem go i zakręciliśmy się w kółko.

- Świetnie cię widzieć, Danny. Jejku, ale ty wyrosłeś.

Postawiłem go przed sobą. Chudego, jasnowłosego jedenastolatka, trochę za wysokiego jak na swój wiek. Widać było, że ma rysy Niny, ale lubiłem myśleć, że odziedziczył po mnie najlepsze cechy mojej osobowości.

- Wiedziałem, że wrócisz do domu, tato. Frank jest w porządku, ale wołałem, jak ty tu mieszkałeś.

- Frank tu mieszka?

- Tak, mama mówi, że za niego wyjdzie.

- Wystarczy, Danny! - krzyknęła Nina niskim, rozwścieczonym głosem. Frank Grint stał przy drzwiach kierowcy terenówki, ubrany w workowate spodnie i czerwoną koszulkę polo. Nie pasowała za dobrze do jego rumianej cery i była zbyt obcisła, by ukryć piwne brzuszysko. Wyglądał tak, jak go zapamiętałem: ogolony na łyso, opalony i wytatuowany, miał posturę byka - to przybliżało go do wykonywanego zawodu, bo przecież zajmował się ćwiartowaniem byków.

Nina wyciągnęła rękę do Danny'ego.

- Idź do środka, kochanie.

Danny odwrócił się do mnie z wyrazem zawodu na twarzy.

- Nie wracasz, tato, tak? Uśmiechnąłem się.

- Nie mogę, skoro mieszka tu Frank, prawda? Ale niedługo razem gdzieś pójdziemy, co? Może na ryby?

Jego uśmiech nie zdołał zamaskować smutku w oczach.

- Byłoby super, tato.

Danny przecisnął się obok matki i zniknął w domu, a Grint podszedł do mnie.

- Co ty tu robisz?

- Ach, pan Grint - powiedziałem z wymuszonym uśmiechem. - Chyba pan wie, kim jestem. Rozmawiam z moją żoną.

- No, ale ona nie chce rozmawiać z tobą Spieprzaj!

- Daj spokój, Frank - wtrąciła Nina. - Phil właśnie wychodził.

Nie było sensu zostawać, chyba że chciałbym się pobić z Frankiem Grintem. Przez długą chwilę bardzo poważnie się nad tym zastanawiałem, ale doszedłem do wniosku, że nie wyszłoby to na dobre Danny'emu - ani mojej ugodzie rozwodowej.

Grint stał przede mną z zaciśniętymi pięściami, wielkimi jak dwie szynki, a ja zawołałem nad jego ramieniem do Niny:

- Zadzwoń w sprawie spotkania z Danny'm.

- Jasne.

Grint nie mógł sobie odpuścić.

- A teraz spieprzaj, i jak jeszcze raz cię tu złapię, będzie z ciebie padlina. Uśmiechnąłem się.

- To ci się nigdy nie nudzi, prawda?

- Co takiego?

- Padlina.

Odwróciłem się i wyszedłem z ogrodu, gotując się z wściekłości, że mu nie przyłożyłem. Nie podobał mi się pomysł, że mój syn ma być wychowywany przez

takiego prostaka jak Grint. Kiedy się obejrzałem, Nina i jej chłopak zamknęli już za sobą drzwi. Jazz podniosła wzrok, kiedy doszedłem do furgonetki i wsiałem na fotel kierowcy. Odłożyła książkę.

- O rany.

- Aż tak widać?

- To, że trafia cię nagły szlag? Owszem. Bardzo było źle?

- Tak jak przewidywałaś. Przynajmniej zobaczyłem Danny'ego.

- To Danny siedział w tym srebrnym jeepie, który tam zaparkował? Nie widziałam stąd dobrze.

- Tak, Danny i ten rzeźnik Frank. Nie jest to najsympatyczniejszy facet na ziemi.

- Przykro mi. Ajak Danny?

- Trochę się zdenerwował. Przynajmniej chciał, żeby wrócił do domu.

- Oczywiście, że chciał. A Nina? Coś ci się udało wskórać?

- Nie, jest nieugięta.

- No, chyba żadne z nas nie spodziewało się, że ustąpi. - Jazz położyła mi pocieszająco rękę na ramieniu. - A co z tym Frankiem? Szukałeś tych wskazówek?

Zmusiłem się do uśmiechu.

- Danny powiedział mi, że on tam mieszka. I pojechali kupić coś na wynos. Nina nigdy nie lubiła gotować. Wydała majątek na mrożonki.

- Frankowi rzeźnikowi może się to nie spodobać.

- Jego firma chyba je produkuje. Jazz się zaśmiała.

- Może dlatego przypadł jej do gustu.

- Chcą się pobrać. Zaskoczyło ją to.

- Nina ci to powiedziała?

- Nie, Danny.

- No, na pewno nie jest z tego zadowolona. Ani z tego, że wiesz, że Frank tam mieszka, nawet jako jej nieślubny partner. - Twarz Jazz rozświetlił uśmiech. - Nie ma możliwości, żeby jej żądania rozwodowe przeszły po czymś takim.

Byłem wściekły i zapomniałem o tym aspekcie.

- Tak myślisz?

- Wystarczy zdjęcie Franka wracającego do domu z pracy i wychodzącego następnego ranka. Zrobię to, jeśli chcesz. Zoe mówiła, że chciałyby zostać niedługo na noc u koleżanki. Wtedy mogłabym tu podjechać.

To już bardziej przypominało mi dawną Jazz, którą znałem i w której tak bardzo się zakochałem. Bystrą żywą i pełną pomysłów.

14 - Zamach na prezydenta

209

- Wyjątkowa z ciebie kobietka, wiesz?

- Oczywiście. Co powiesz na drinka, żeby to uczcić?

Kiedy tak rozmawialiśmy, nie zwróciłem prawie uwagi na motocykl, który przejechał bardzo powoli obok nas. Kierowca i pasażer siedzący z tyłu rozglądali się na lewo i prawo, jakby sprawdzali numery domów. Zatrzymali się przed dawnym moim domem. Pasażer, w skórach i kasku z czarną zasłoną zsiadł i rozejrzał się czujnie dookoła, a potem otworzył furtkę i zniknął mi z oczu.

- Masz ochotę na drinka? - powtórzyła Jazz. Ale ja jej nie słyszałem.

- Coś tu nie gra - mruknąłem, patrząc, jak kierowca zawraca motocykl w kierunku, z którego przyjechał.

Nie wiem, co właściwie pomyślałem. Może po prostu lata doświadczenia w inwigilacji podświadomie nauczyły mnie mowy ciała ludzi. A może to ten zagadkowy szósty zmysł, który niewielu ma?

Wiem tylko, że czułem napięcie w powietrzu, jak przed burzą a w tym domu był mój syn. Pospieszenie otworzyłem drzwi samochodu i stanąłem na progu, żeby zobaczyć frontowe drzwi ponad sąsiednimi żywopłotami. Pasażer motocykla stał przed nimi, z ręką wetkniętą pod skórzaną kurtkę. Nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich Frank Grint. Nawet z tej odległości widziałem, jak bardzo był czerwony na twarzy, może wściekły na myśl, że to ja wróciłem.

Wtedy usłyszałem nagle świstów i stuk trzech stłumionych wystrzałów, jeden po drugim. Pasażer nagle zniknął. Pierwszy pocisk cisnął Grinta na framugę; nogi ugięły się pod nim i osunął się na próg. Dwa kolejne trafiły go w środek piersi.

Koszulka momentalnie nasiąkła krwią.

- O cholera!

- Co się dzieje?

Usłyszałem żalony wrzask Niny, która znalazła ciało Franka. Pasażer był już z powrotem na chodniku, wskoczył okrakiem na siodełko, a kierowca odkręcił gaz do oporu.

- Postrzelili człowieka! - krzyknąłem do Jazz. - Dzwonź po karetkę!

Motocykl popędził w stronę mojej furgonetki. Gdybym miał czas się zastanowić, nigdy bym tego nie zrobił. Ale byłem w doskonałej pozycji, stałem, wywieszony na zewnątrz samochodu, jedną ręką trzymając się otwartych drzwi. Kiedy motor przejeżdżał obok, skoczyłem na niego. Chybiłem kierowcę, ale złapałem pasażera. Nie pamiętam dokładnie, co było potem. Kolanami uderzyłem boleśnie w bok motocykla, ramionami objąłem pasażera, wbijając palce w śliską skórę. Poczulem, że maszyną zarzuca, kiedy straciła przyczepność.

A potem ja i on sunęliśmy po asfalcie, spleceni jak para syjamskich bliźniąt. Czulem, że tarcie rozdziera materiał moich spodni, czulem żar na skórze. Zatrzymaliśmy się nagle, kiedy hełm pasażera wyrznął w krawężnik, a ja głową waln łem go w pierś.

210

Leżałem tam ogłuszony przez kilka sekund, ale miałem wrażenie, że minęły długie minuty. Kawalek dalej zobaczyłem wstającego chwiejnie kierowcę i motocykl leżący na boku kilka kroków od niego.

Wtedy człowiek leżący pode mną który zamortyzował mój upadek, zaczął się ruszać. Przypomniałem sobie, że pasażer był uzbrojony, i z trudem podparłem się ręką - drugą miałem uwięzioną pod nim. Macał na oślepe, usiłując sięgnąć pod kurtkę, po pistolet. Nie miałem siły go uderzyć, poza tym miał kask, a skórzany strój działał jak pancierz. Dlatego zrobiłem jedyną rzecz, jaka mi pozostała - wbiłem mu zęby w nadgarstek.

Wrzasnął, ale to go nie powstrzymało. Jego dłoń zniknęła pod kurtką. Miałem wrażenie, że mogło mi zostać kilka sekund życia. Nagle padł na nas obu cień. O Boże, pomyślałem, to kierowca motocykla. Udało mi się odwrócić - w samą porę, by zobaczyć Jazz, która jak gwiazda Wembley pakuje potężnego kopniaka między nogi tamtego. Szarpnął się i zawył jak potępiona dusza.

Jego poruszenie pozwoliło mi uwolnić uwięzione ramię i podnieść się na poobijane kolana. Wyszarpnąłem mu rękę spod poły kurtki i sam wymacałem pistolet, rozglądając się jednocześnie za drugim mężczyzną.

Kierowca doszedł do siebie, pokuśtykał do motocykla, oglądając się w obie strony na samochody, które musiały się zatrzymać, blokując przejazd. Niektórzy kierowcy wysiedli, mieszkańcy pobliskich domów wychodzili przed drzwi, inni byli już przy furtkach.

Po chwili wahania kierowca wyciągnął własną broń i wymierzył ją: nie wiem, czy we mnie, czy chciał uciszyć swojego towarzysza. Ale ja miałem już pistolet pasażera w ręku i też go uniosłem.

Chyba to - i coraz większy tłum gapiów oraz zablokowana droga - przekonały motocyklistę, że lepiej nie ryzykować.

Odwrócił się i pobiegł przed siebie, a przechodnie z otwartymi szeroko ustami odsuwali się pospiesznie na bok, schodząc mu z drogi. Nie mogłem ryzykować strzelania do niego, gdy wokół było tylu niewinnych cywilów.

Odwróciłem się do Jazz, która wydawała się tak samo mocno wstrząśnięta jak ja.

- Przenieśmy tego drania do samochodu. Muszę obejrzeć Franka. Złapałem pasażera za ramiona i postawiłem go na nogi, a potem ściągnąłem mu

kask. Wyglądał na dwadzieścia kilka lat, pod trzydziestkę. Nic nie powiedział, ale w jego oczach widziałem strach.

Wykręciłem mu mocno rękę na plecy i powlokłem do furgonetki.

Jazz mówiła szybko do kogoś przez komórkę.

- Karetka jest w drodze - oznajmiła chwilę później.

- Dasz sobie radę? - spytałem, wręczając jej pistolet. Uśmiechnęła się słabo.

- Chyba pamiętam, jak się naciska spust.

Kiwnąłem głową sięgnąłem do furgonetki po apteczkę spod siedzenia kierowcy, a potem pobiegłem do mojego dawnego domu.

Nina kucała na progu, obejmując ramionami Franka Grinta. Jego krew, tryskająca z trzech dziur na piersi, przesiąkała ubrania ich obojga. Ale jeszcze więcej jej płynęło z ran wylotowych na plecach - spływała jak wodospad po schodkach do ogrodu.

Nie wyglądało to dobrze.

Nina popatrzyła na mnie ze zgrozą i niedowierzaniem.

- Pomóż mi - poprosiła cichutkim, przerażonym głosem i spojrzała na poszarzałą twarz Franka. Chyba tylko byli żołnierze wożą w apteczkach opatrunki polowe, ale cieszyłem się, że je mam. Zrobiłem, co mogłem, żeby zatamować upływ krwi, jednak było to niewdzięczne zadanie.

W korytarzu pojawił się Danny.

- Co się stało? - spytał drżącym głosem, nie widząc dokładnie rannego. Nina z trudem zapanowała nad sobą.

- Był wypadek. Wujek Frank jest ranny. Nic mu nie będzie. Tatuś nam pomaga... A teraz bądź grzeczny i wracaj na górę.

Później ci wszystko wyjaśnię.

Danny niechętnie wycofał się i wrócił po schodach do swojego pokoju. Spojrzałem na Ninę.

- Przykro mi, to nie wygląda dobrze. Nie ma pulsu. Pokręciła głową nie rozumiejąc.

- Myślałam, że to ty wróciłeś i dzwonisz. On wyglądał jak motocyklista... Dlaczego? Dlaczego Frank? Wiem, że miał trochę wrogów, ale coś takiego... Musisz go uratować, Phil!

Usłyszałem zbliżające się wycie syreny; modliłem się, żeby to była karetka. Ale pierwszy pojawił się radiowóz; ambulans miał do pokonania dłuższą drogę.

Dwaj policjanci byli młodzi i wyglądali, jakby sytuacja ich całkowicie przerastała.

- Co się stało? - spytał starszy, może pod trzydziestkę, widząc, że jestem cały pokryty krwią

- Byłem z wizytą u żony, jesteśmy w separacji. Ranny leżący tutaj to jej chłopak. Kiedy wyszedłem, do drzwi podszedł motocyklista i postrzelił go. Usiłuję uratować mu życie.

Policjant popatrzył na moją zakrwawioną koszulę i podarte spodnie. Zmarszczył czoło z namysłem.

- Żona w separacji?

Nagle zrozumiałem, co sobie pomyślał.

- Nie ja go postrzeliłem - powiedziałem stanowczo. Nie wyglądał na przekonanego.

- Mimo to, proszę pana, będę musiał pana aresztować...

Nina usłyszała to i poderwała głowę, w jej oczach błysnął gniew.

- Niech pan nie będzie cholemy idiotą! Phil tego nie zrobił! Policjant spojrział znów na mnie.

- Pan jest Phil?

- Phil Mason - potwierdziłem - i nie ja go postrzeliłem. Ale złapałem tego, kto to zrobił.

- Co?

- Udało mi się go złapać, kiedy uciekał. Było ich dwóch, ale jeden uciekł. -Przerwałem, żeby wszystko to dotarło do policjanta; widać było, że usiłuje ogarnąć fakty. - Jest w mojej furgonetce - dodałem. - Chodźmy, pokażę panu. Ruszyliśmy do samochodu.

- Chwileczkę - zapytał nagle policjant - czy pan jest uzbrojony? Uśmiechnąłem się ponuro.

- Nie, bo nie strzelałem do tego człowieka. A teraz, na Boga, niech pan za mną idzie i wyjmie kajdanki. Kiedy otworzyliśmy tylne drzwi furgonetki, policjant, całkowicie już zdezorientowany, wytrzeszczył oczy na motocyklistę siedzącego potulnie na podłodze i Jazz stojącą nad nim z wycelowanym pistoletem.

- To on, a to narzędzie zbrodni. - Zaczynałem się niecierpliwić. - To niebezpieczny zabójca, więc proponuję, żeby go pan od razu skuł.

- A pani kim jest? - spytał policjant Jazz. Uśmiechnęła się.

- Dziewczyną która lubi się zabawieć.

Wyjąłem z kieszeni tymczasową legitymację Służby Bezpieczeństwa.

- Jesteśmy z MI-5. A teraz proponuję, żeby ściągnął pan tu jakiegoś starszego stopniem detektywa. Przyjechał starszy detektyw, ale na tym się sprawa nie skończyła. Zamieszanie i niedowierzenie było takie, że początkowo aresztowano nie tylko motocyklistę, ale także Jazz i mnie, a nawet Ninę, na wypadek, gdybyśmy w wyniku jakiegoś dziwnego miłosnego trójkąta postanowili zabić Franka Grinta.

Biedny Frank przestał się liczyć. Całkowicie - uznano go za martwego w chwili przywiezienia do szpitala.

Dopiero po kolejnej godzinie na pobliskim posterunku Ninę zwolniono i odwieziono do domu. Mnie i Jazz jednak wypuszczono po następnych dwóch godzinach i osobistej interwencji inspektora Proctora z wydziału specjalnego. W końcu policyjny lekarz oczyścił mi kolana, a gliniarze wyczarowali skądś parę spodni, które prawie na mnie pasowały.

- Nie możecie mieć pretensji do miejscowych krawężników - powiedział Pro-ctor, kiedy staliśmy razem na ulicy przed posterunkiem. - Natknęli się na bardzo dziwną sytuację. Zawodowy zespół zabójców, który bez wątpienia by uciekł, gdyby nie twoja zdecydowana, żeby nie powiedzieć lekkomyślna, reakcja.

- Przynajmniej mamy tego drania - powiedziałem. - I narzędzie zbrodni. Wiem, że Frank nie był najmilszą postacią, ale Bóg jeden wie, kto mógłby chcieć go zabić. Nie słyszałem, żeby w okolicy trwała wojna mafii masarskiej.

Proctor nieznacznie się uśmiechnął.

- Myślisz, że to Frank Grint był celem?

- Bo był celem - odparłem. - Dowodzą tego trzy dziury, które w nim zrobili.

- No dobrze, to zamierzonym celem?

- A kto inny? - spytałem. - Przecież nie Nina czy Danny.

- Zabójca twierdzi - powiedział Proctor - że jest Somalijczykiem, który przyjechał tutaj szukać azylu... Chyba strasznie nim wstrząsnęło to, że tak na niego skoczyłeś... Ale szczerze mówiąc, chyba bardziej niż policji obawia się swoich. Prosi o ochronę przed nimi.

- Swoich ludzi? - powtórzyła Jazz.

- Mówi, że pracuje dla przestępczego gangu Somalijczyków i innych muzułmańskich uchodźców. Uważa, że teraz, kiedy dał się złapać żywcem, będą go próbowali zabić. Jest zaskakująco skory do współpracy.

- Dlaczego gang Somalijczyków miałby zabijać Franka Grinta? - spytała Jazz. - Jego mięso nie było *halal*, czy co?

Proctor spojrział na mnie.

- Przeniesiono go do Paddington Green, Phil. Ten gang to pospolici przestępcy, ale też dżihadyści z powiązaniami z Al-Kaidą. Wykonują zabójstwa na zlecenie - przerwał. - Nie sądzę, żeby celem był Frank Grint. Myślę, że chodziło im raczej o ciebie.

- O Boże, Phil, tak mi przykro - powiedziała Jazz. - Nie miałam pojęcia.

W końcu dotarliśmy do jej domu w Putney o dziesiątej wieczorem. Rodzice jej męża, którzy opiekowali się Zoe w dzień, wcześniej już zgodzili się, że będzie najlepiej, jeśli dziecko zostanie u nich do rana.

Jazz zaprosiła mnie na kawę, a ja wziąłem awaryjną butelkę whisky, którą trzymałem w samochodzie.

- Ja też nie - powiedziałem, nalewając sobie solidną porcję do szklanki, którą Jazz mi dała razem z kubkiem czarnej słodkiej kawy. - Jesteś pewna, że sobie nie chlapijesz?

Uśmiechnęła się do mnie nad kuchennym stołem.

- Och, do diabła, czemu nie? - Wyjęła z szafki drugą szklankę. - Tylko nie z dużo, wyszłam z wprawy.

- Oczywiście - powiedziałem, nalewając jej whisky. - Moje nazwisko wci; jest w rejestrze wyborczym. Mógł to być więc przypadek pomyłonej tożsamości Frank otwiera drzwi, oni uznają że to ja.

- On nie jest... przepraszam, nie był... w ogóle do ciebie podobny. Mieli chy ba kiepski wywiad.

Prawie udławiłem się whisky.

- Mieliby cholernie dobry wywiad, Jazz. Jeśli Proctor ma rację, skąd w ogóle wiedzieli, kim jestem i nad czym pracuje nasz zespół? Dla Franka i Niny to kiepska pociecha, że tamci nie wiedzą gdzie teraz mieszkam.

Proctor uprzejmie i bez zwłoki przydzielił ochronę policyjną oraz bezpieczne schronienie Ninie i Danny'emu do czasu zakończenia przesłuchiwania Somalijczyka i ustalenia poziomu zagrożenia obojga.

- To chyba znaczy, że w niebezpieczeństwie może być cały nasz zespół - powiedziała Jazz i upiła łyk whisky. - O, tak, rany, zapomniałam, jakie to dobre.

Uśmiechnąłem się, ale to, co powiedziała, zmartwiło mnie.

- Będziemy musieli zwiększyć poziom zabezpieczeń.

- Nie możemy się wszyscy przeprowadzić - zauważyła.

- Będę musiał porozmawiać o tym z Lassiterem - powiedziałem. - Może dotarli jakoś tylko do mojego nazwiska.

- Przez kogo?

- Kto wie. Nachmurzyła się.

- Ciapat?

Skrzywiłem się i pokręciłem głową.

- Jakoś tego nie widzę. Tak samo jak reszta z was wie dobrze, gdzie mieszkam.

- A więc kiepski i niepełny wywiad - powiedziała Jazz z namysłem. - Jakoś wypłynęło twoje nazwisko i to, czym się zajmujesz. Potem wyszukali niewłaściwy adres.

Opróżniłem szklanek whisky i nalałem sobie następną.

- Cholernie mi się to nie podoba.

- Oczywiście - powiedziała Jazz. - Bardzo mi przykro z powodu Franka. Nieważne, że był okropny, nie zasłużył na coś takiego. Ale bardzo się cieszę, że ty nie ucierpiałeś.

Zrobiło mi się cieplej koło serca.

- A więc wciąż ci na mnie zależy?

W jej oczach zamigotały psotne iskierki, a ja nagle przeniosłem się w czasie do naszych pierwszych dni razem w Bośni.

- Bardziej niż powinno - odparła cicho. Rzykując, wziąłem ją za rękę.

- Co w tym tak naprawdę złego? Los znów nas ze sobą zetknął.

- Nie los, Phil, tylko Joe Lassiter.

- Och, Bóg rzeczywiście działa w nieodgadnione sposoby, prawda? To się stało, a kim my jesteśmy, żeby protestować?

- Philipie Mason, flirtujesz ze mną?

215

- Bez wątplenia. Nie czułem się nigdy tak szczęśliwy, jak w chwili, gdy znów się pojawiłaś.
- To miłe.
Nie wiedziałem, czy ryzykować i ją zapytać, potem pomyślałem: Do diabła z tym, czemu nie.
- A ty?
- Kiedy zjawileś się u mnie w domu, nie byłam pewna. Nie wiedziałam też, czy to dobry pomysł, żeby dla ciebie pracować. Nie wierzę, że można cofnąć czas, kiedy coś zostawiło się już za sobą. I nie wiedziałam sama, co do ciebie czuję. -Zawahała się, a potem nieśmiało uśmiechnęła. - Ale z drugiej strony, ilu mężczyzn byłoby tak szalonych, by rzucać się na uzbrojonego faceta na motorze i dokonywać obywatelskiego aresztowania?
- Szalonych? - spytałem. - Czy głupich?
- Mój bohaterze - powiedziała kpiąco. - Tak, Phil, jestem bardzo szczęśliwa, że znów się spotkaliśmy. Uważam, że magia, która między nami była, wciąż istnieje, i bardzo się z tego cieszę.
- Ja też. - Nalałem sobie jeszcze jedną whisky, a potem spojrzałem na zegar na ścianie. - To już będzie ostatnia. Jutro musimy rano wstać.
Jazz zmarszczyła brwi.
- Wypileś już dwie duże, Phil. I to nie były miarki barowe. Odstawiłem szklankę nietkniętą.
- Masz rację. To był męczący dzień... musiałem odreagować. Może lepiej zostawię furgonetkę tutaj i wezwę taksówkę.
- Zoe nie ma, Phil - powiedziała. - Nie mam nic przeciwko temu, jeśli chcesz przenocować. To by miało więcej sensu. Zawahałem się.
- Nie, to chyba kiepski pomysł.
- Dlaczego? Mam wolny pokój.
- Namówiłaś mnie.
Kiedy dopiłem trzecią whisky, Jazz zaprowadziła mnie na pierwsze piętro. Przeszła przez korytarz i otworzyła drzwi do małej sypialni.
- Mam nadzieję, że nie jest za bardzo zakurzona, nie korzystamy z niej. Prześcieradło i kołdrę znajdziesz na dole w szafie. Wisi tam także piżama mojego męża.
- Dzięki, to doskonale.
- Wstajemy o siódmej?
- Tak.
- Idę wziąć prysznic. - Uśmiechnęła się. - Do zobaczenia rano.
Zamknąłem drzwi i rozebrałem się do bokserek. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że nie chce mi się spać. W głowie kotłowały mi się myśli; postanowiłem odtworzyć sobie wydarzenia dnia i przypomnieć czasy z Jazz w Bośni, o któ

rych już prawie zapominałem. Otworzyłem szafę i włożyłem piżamę. Była na mnie trochę za mała, ale nieźła. Usiadłem na łóżku, skręciłem papierosa, a potem podszedłem do otwartego okna, żeby zapalić. Noc była cicha i spokojna, między ciemnofioletowymi chmurami lśniły garstki gwiazd.

Usłyszałem podświadomie, że prysznic cichnie, a to uruchomiło w mojej wyobraźni obrazy Jazz przebiegającej się w mojej sypialni w biurze, kiedy niespodziewanie zjawiła się Nina. Miodowozłota skóra, małe, jędrne piersi, czarne stringi.

Rozmyślania pochłonęły mnie tak bardzo, że kiedy Jazz zapukała do drzwi, aż podskoczyłem.

Stała w progu, ubrana w białą jedwabną koszulę nocną.

- Phil, tak sobie pomyślałam. Może to jednak zły pomysł. Zaskoczyła mnie.

- Co?... E, och, dobrze. Rozumiem. Ubiore się i wezwę taksówkę. Nagle jej oczy zaiskrzyły; zakryła dłonią usta, żeby się nie roześmiać.

- Nie, głuptasie. Chodziło mi, że to kiepski pomysł, żebyś tu spał. Mam w sypialni podwójne łóżko, które już bardzo, bardzo dawno nie było używane.

13

Po szybkim śniadaniu z płatków kukurydzianych i kawy Jazz załadowała swoją dużą walizkę do mojej furgonetki i pojechaliśmy przez Londyn do mnie. Gerry Shaw czekał już w swoim całkiem niezłym land-roverze discovery, którym mieliśmy jechać do Cambridgeshire.

- Ile tygodni planujesz tam zostać? - spytał Jazz, pakując jej bagaż. Jazz się zaśmiała.

- Dziewczyna musi być gotowa na wszystko, Geny. Może ktoś mnie zaprosi na bal myśliwych.

Geny się roześmiał.

- Nigdy nie wiadomo.

Zostawiłem ich tak się przekomarzających i wszedłem do środka, sprawdzić pocztę i postępy Kate. Oprócz zwykłych rachunków były dwa listy. Nic, co nie mogłoby poczekać do mojego powrotu. Postanowiliśmy, że dwa dni wystarczą na inspekcję bazy Larkheath i sprawdzenie wszystkich środków ostrożności przygotowanych na wizytę prezydenta.

Potem poszedłem do sypialni, w której trzymałem awaryjną torbę; zawsze były w niej rzeczy, których mógłbym potrzebować podczas kilkudniowego wyjazdu. Nie zapominałem starych nawyków z armii. Dołożyłem tylko kilka letnich koszul i ruszyłem do drzwi.

Podróż minęła bez incydentów. Pojechaliśmy południową obwodnicą potem przekroczyliśmy Tamizę w Woolwich i wjechaliśmy na Mill, która miała nas zaprowadzić do samego Cambridge. Dziękowałem Bogu, że Gerry był w wyjątkowo wesołym nastroju i nie przestawał raczyć nas dowcipami i anegdotami. Po nocy pełnej rozpalonej na nowo namiętności między mną i Jazz panowało pewne napięcie i niezręczne milczenie. Nie wątpiłem, że ona też się zastanawia, czy to rzeczywiście był dobry pomysł, czy oboje nie oczekiwaliśmy za wiele?

Kochała się tak, jak zapamiętałem, wciąż brawurowo i bez zahamowań. Wśliznęliśmy się w swobodny rytm dawania i brania, który zawsze chyba nas łączył, łagodnie, potem trochę brutalnie, używając warg i zębów, pocałunków i westchnień. W końcu opanowała nas nieskrępowana żądza. Przeszło mi jednak przez myśl, że być może oboje staraliśmy się trochę za bardzo, żeby było tak jak kiedyś? Może tylko czas mógł na to odpowiedzieć.

Geny wyliczył czas idealnie i tuż przed dwunastą podjechaliśmy do bazy Lark-heath. Pierwszą rzeczą jaką zauważyłem, był brak kierunkowskazów na głównej drodze, z której skręciliśmy w biegnącą wśród szpaleru drzew i uprawnych pól lokalną drogę. Gdyby nie nawigacja satelitarna w samochodzie, z łatwością moglibyśmy przeoczyć tę drogę. Osłonięte drzewami i niskim wzniesieniem lotnisko wciąż nie było widoczne, nawet kiedy skręciliśmy w lewo w wąską drogę, dzielącą bazę na dwie części.

I tam się nasza podróż skończyła. Mimo że była to droga publiczna, po 11 września zamknięto ją dla wszystkich oprócz członków personelu wojskowej bazy, ich rodzin i kilku okolicznych mieszkańców ze specjalnymi pozwoleniami.

Zatrzymaliśmy się przed dużym znakiem „Stop” na punkcie kontrolnym ze stalowym szlabanem i budką wartowniczą.

Uzbrojony policjant w czarnych spodniach, czapce z daszkiem i białej koszuli z krótkimi rękawami podszedł do samochodu, a Gerry opuścił szybę.

- W czym mogę pomóc?

- My do sierżanta policji Rona Nasha - powiedział Gerry. - Spodziewa się nas.

Policjant się uśmiechnął.

- Proszę chwilę zaczekać.

Wrócił do budki i zamienił kilka słów z kolegą siedzącym za szybą. Tamten podał mu notatnik.

- Zgadza się, proszę pana, poproszę o nazwiska i dowody tożsamości. Gerry podał mu dokumenty.

- Philip Mason, Jasmina Alagic i Gerald Shaw, współpracownicy Służby B pieczęstwa.

Po pobieżnym obejrzeniu dokumentów policjant oddał nam je.

- Dziękuję panu. Dam znać sierżantowi Nashowi, że państwo przyjechaliście. - Spojrzał na notatkę w swoim notatniku. - A teraz proszę jechać dalej prosto

drogą, zobaczycie państwo hotel po prawej stronie. Jakies siedemdziesiąt metrów stąd. Macie tam zarezerwowane pokoje. Kiedy się zameldujecie i zanieście bagaże, sierżant Nash powinien już być w recepcji.

Geny zawrócił samochód i pojechał w kierunku, w którym jechaliśmy do tej pory, aż zobaczył parking pod dużym wiejskim domem. Na wiszącym przy drodze szyldzie widniał wypisany gotykiem napis: „Witamy w hotelu Larkheath Manor”. Na parkingu było zaskakująco dużo samochodów z wypożyczalni. Znalazłszy w końcu wolne miejsce, weszliśmy do ponurego wnętrza, wyłożonego mahoniową boazerią pachnącego lekko pleśnią i wyposażonego w dwie obowiązkowe średniowieczne zbroje strzegące szerokich schodów. W recepcji nikogo nie było, zobaczyliśmy za to dużo ludzi w przyległym barze i restauracji. Usłyszeliśmy też charakterystyczny, amerykański akcent; dolatywało nas wiele głosów kobiet i dzieci.

Nasze pokoje znajdowały się na czwartym piętrze, gdzie wjechaliśmy windą. Na korytarzu podszedłem do okna, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Widać stąd było doskonale wylot wąskiej drogi i punkt kontrolny, przez który musiał przejechać każdy pojazd wjeżdżający na lotnisko albo je opuszczający.

Nagle obok mnie stanęła Jazz.

- Bang, bang - powiedziała cicho. Kiwnąłem głową.

- Właśnie. Mam nadzieję, że będą się trzymać tego pomysłu z helikopterem. Z tej wysokości widziałem także ogrodzenie lotniska i duże budynki za nim.

Widoczne były część płyty i pasy startowe, resztę zasłaniały wyższe dachy. Jazz wskazała sufit.

- Jest tam przynajmniej jeszcze jedno piętro.

- Sprawdźmy później - zgodziłem się. - Tymczasem zostawmy rzeczy w pokojach i chodźmy na dół.

Przez jej usta przemknął figlarny uśmiešek.

- Ciekawa jestem, czy nasze pokoje są obok siebie.

Nie były i nawet się ucieszyłem. Nie chciałem, żeby mnie kusiło, nie chciałem zanadto się rozpędać, zepsuć tego, co mogło się okazać wspaniałą przyszłością nas dwojga razem.

Ledwie zesliśmy do holu, kiedy do środka wszedł wysoki wąsaty sierżant policji po czterdziestce, w nieskazitelnym czystym mundurze i lśniących czarnych butach.

Wyszedłem mu naprzeciw.

- Sierżant Nash, jak sądzę?

Kurze łapki wokół jego ciemnych oczu zbiegły się, gdy swobodnie się uśmiechnął.

- Phil Mason, prawda? - Uścisnęliśmy sobie dłonie, potem przedstawiłem mu Jazz i Gerry'ego.

- Sierżant Mason, co? - powiedział policjant, naśladowując mój wojskowy sposób mówienia. - Armia?
- Blisko. Królewscy marines. Mrugnął okiem.
- No cóż, ktoś to musi robić. Ale to nie znaczy, że jest pan złym człowiekiem.
- A pan?
- Grenadierzy.
- Jazz służyła w wywiadzie wojskowym - dodałem - a Gerry w 321. UMW.
- I dzięki Bogu. Już myślałem, że przywiezie mi tu pan jakiś balast z Piątki. Zna pan gościa nazwiskiem Lassiter?
- Joe Lassiter? Był tutaj?
- Krótka, dwa dni temu, żeby wszystko ustalić. Zostawił mi rachunek za obiad, ale udało mu się zabrać paragon. Podejrzewam, że dopisze go sobie do wydatków... Niech mi pan nie mówi, że to pana najlepszy kumpel. - Nash dobrze odczytał mój kwaśny uśmiech. - Tak myślałem. Nieważne, dość o nim. Witamy w małej Ameryce... no, nie takiej małej tak naprawdę, jak się państwo przekonacie. Jankesi oznajmili, że zamkną bazę w tym samym czasie do Greenham Common. Ale jakoś nigdy do tego nie doszło. Przypadkiem czy rozmyślnie, tego nie wiem. Dlatego jeśli ktoś nie jest zapalonym miłośnikiem awiacji albo maniakiem wojskowości, albo nie mieszka w okolicy, nie powinien wiedzieć, że lotnisko wciąż istnieje.
- Aby media się nim nie interesowały? - podsunąłem.
- W dużej mierze - potwierdził Nash. - A z pogłosek, które do mnie dochodzą wynika, że Jankesom bardzo to odpowiada. Zresztą jeśli jesteście państwo gotowi, zabiorę was tam. Jak rozumiem, niedługo ma nas odwiedzić jakiś VIP? A państwo robicie jakąś ocenę stopnia zagrożenia terrorystycznego, tak?
Kiwnąłem głową.
- Ale nie powiedziano panu, o kogo chodzi? Nash parsknął śmiechem.
- Dobry Boże, nie. Nam nikt nic nie mówi. Ale wnioskuję, że to ktoś wysoko postawiony na światowej scenie, ktokolwiek to jest.
Biały range rover sierżanta Nasha czekał na zewnątrz. Cofnęliśmy się do punktu kontrolnego. Ten sam policjant, z którym rozmawialiśmy wcześniej, przepuścił nas machnięciem ręki. Wysokie płoty zwieńczone drutem kolczastym ciągnęły się teraz po obu stronach drogi.
- Główne lotnisko i administracja na północy, po waszej prawej - objaśnił Nash. - Kwatery mieszkalne dla obsługi i rodzin po lewej. Jedno i drugie w obrębie ogrodzenia, ale przedzielone tą drogą.
Dojechaliśmy do niewielkiego skrzyżowania. Nash zjechał na pobocze. Przed nami, na ukos, znajdowała się tania, mała restauracyjka, sprawiająca wrażenie świetnie prosperującego lokalu.

- Fakt, trochę to niedorzeczne - przyznał Nash. - Ściśle rzecz biorąc, to jest droga publiczna, chociaż donikąd nie prowadzi. Ale wzdłuż niej stoi także kilka prywatnych domów oraz, jak państwo widzicie, dobry stary Bar Freddiego. Najlepsze hamburgery i ryba z frytkami w okolicy. Władze usiłowały mu to zamknąć, ale przegrały prawną batalię, dzięki Bogu!

- Mówi pan jak wielbiciel tutejszej kuchni - powiedziałem.

- Żeby pan wiedział. Gdyby tego baru tu nie było, musielibyśmy korzystać ze stołówki USAFE. - Nash kciukiem wskazał odnogę skrzyżowania prowadzącą w prawo. - Tam jest kontrolowane wejście do bloków mieszkalnych w południowym sektorze. Trzeba oczywiście mieć przepustki. Teraz skręcimy w lewo, do biznesowej części bazy, a to będzie jak wjazd do innego kraju.

Nash włączył kierunkowskaz, ruszył i skręcił do głównego wjazdu do bazy.

- To znaczy jak do ambasady? - spytała Jazz. Kiwnął głową.

- Dla celów dyplomatycznych uważa się to za ziemię amerykańską. Trzeba nawet mieć amerykańskie dolary, żeby cokolwiek kupić. A jeśli wasi koleżkowie terroryści coś planują lepiej niech uważają. Amerykańscy żołnierze w środku mają ostrą amunicję i jeżdżą uzbrojonymi pojazdami. Najpierw strzelają potem zadają pytania. Bardzo pewni siebie.

- A policja ministerstwa? - spytałem.

- Działamy wewnątrz i poza ogrodzeniem. Jesteśmy czymś w rodzaju buforu między personelem wojskowym i cywilnym. Rutynowo nosimy karabinki He-ckler & Koch MP7.

Nash zatrzymał się przed opuszczonym szlabanem pod ceglany lukiem. Tam dopiero po raz pierwszy zobaczyliśmy znak oznajmiający, że to baza RAF Lark-heath. Na zewnątrz bramy, za sprężynową kolczatką zatopioną w asfalcie, stała parterowa recepcja.

- Pracują tu miejscowi cywile - powiedział Nash. - Sprawdzają wydają i zbierają przepustki od wynajętej pomocy i gości.

Najwyraźniej nas to dzisiaj nie dotyczyło. Uzbrojony policjant pozdrowił sierżanta Nasha, podniósł szlaban i przepuścił nas.

Po drugiej stronie przywitani nas dwaj Amerykanie w hełmach i połowych mundurach, z pistoletami w kaburach na biodrach. Obok dużej, ceglanej wartowni stało ich jeszcze kilkunastu. Kilku miało notatniki, bez wątpienia ze spisanymi spodziewanymi dostawami i gośćmi. Inny rozdawał nowo przybyłym mapki bazy. Jeszcze inni trzymali ręczne wykrywacze metali i lusterka na długich rączkach do zaglądania pod samochody.

Wszystko to wyglądało bardzo groźnie i profesjonalnie, dopóki jeden z wartowników, który znał sierżanta Nasha, nie nachylił się do okna kierowcy i nie powiedział:

- Cześć, Ron, jak leci? To są ci Brytole od ochrony, których się spodziewamy?

- Zgadza się, Bill.

Policjant odznaczył nas na liście.

- Mason, Shaw i pani Jasmina Alagic.

- To oni.

- Nie mam dzisiaj służby po południu, Ron. Masz czas na pokerka? Nash parsknął śmiechem.

- Przykro mi, Bill, niańczy naszych gości przez następne dwa dni. Może w przyszłym tygodniu.

- Umowa stoi - odparł Amerykanin z szerokim uśmiechem i wskazał żołnierzowi przy bramie, żeby podniósł szlaban.

- Drań oszukuje jak szuler z łodzi na Missisipi - powiedział Nash, kiedy wolno ruszyliśmy przed siebie. - Ale nie mogę go przyłapać.

Potem zaczął wyjaśniać nam, co mieści się w parterowych i piętrowych budynkach za równo przystrzyżonymi trawnikami po obu stronach drogi. Były to biura administracji, planowania operacyjnego, centra dowodzenia i kontroli, biura personelu pomocniczego, łączność, kuchnie, różne kantyny i stołówki, bary dla żołnierzy po służbie, kręgielnia na dziesięć torów, małe kino, bank, biblioteka, toalety, centrum medyczne z niewielkim oddziałem szpitalnym, osobny terminal, gdzie samoloty wysadzały swoich pasażerów... lista wydawała się wystarczająco długa, by zaopatrzyć małe miasteczko, którym baza tak naprawdę była.

Na końcu głównego ciągu było rozwidlenie w kształcie litery T i znaleźliśmy się przed większym, trzypiętrowym budynkiem z kamienną fasadą i schodami prowadzącymi do otwartych drzwi z lakierowanego drewna. Nash zatrzymał się na przyległym niewielkim parkingu.

- To budynek przyjęć ważniejszych gości - wyjaśnił. - Podpułkownik RAF ma tu swój gabinet, z którego zawiaduje codziennym działaniem bazy. Ma własny sekretariat i centrum łącznościowe oraz kilka bardziej odstawionych sal konferencyjnych na spotkania ze starszymi oficerami, urzędnikami, VIP-ami i tak dalej. Jedną z nich zarezerwowałem dla państwa na czas waszego pobytu.

Wysiedliśmy z samochodu i weszliśmy za Nashem po schodach do pomieszczenia, które wyglądało jak poczekalnia w ekskluzywnej prywatnej przychodni lekarskiej, z boazerią na ścianach i skórzanymi fotelami oraz stolikami zasypnymi pismami w błyszczących okładkach. Wyrząłem przez przeciwległe okno na przestwór gładko skoszonej trawy, poprzedzielanej pasami startowymi.

- Tam na końcu płyty to przypuszczalnie wieża kontrolna? - spytałem.

- Tak - potwierdził Nash. - Praktycznie wszystkie bazy RAF mają wieże kontrolne na południowym skraju płyty. Większość pasów startowych biegnie z południowego zachodu na północny wschód, obok zawsze jest drugi z północnego zachodu na południowy wschód, żeby samoloty mogły startować pod mocniejszy wiatr. W dawnych czasach było ważne, żeby kontrolerzy mogli widzieć samolot tak, aby nie osłepiało ich słońce.

- Nie wiedziałem o tym - powiedział wesoło Geny. - Cóż za fascynująca beużyteczna informacja. Nash się zaśmiał.

- Sprawdź, czy szef jest wolny - powiedział. - Wypada się przywitać. Wrócił kilka chwil później w towarzystwie niskiego, szczupłego mężczyzny w schludnym mundurze sił powietrznych. Podpułkownik miał długie, ale zadbane wąsiska.

- Pan podpułkownik Rex Page - oznajmił Nash, a potem przedstawił nas troje.

- Jak rozumiem, uważacie państwo, że ktoś może spróbować kropnąć naszego VIP-a, kiedy ten tu będzie? - Page mówił szybko, a jego urywane słowa brzmiały jak warkot karabinu maszynowego. Uśmiechnął się cierpko. - W Larkheath nie ma prawa do tego dojść? Po prostu nie ma takiej możliwości. Cała baza jest do państwa dyspozycji. Załatwiłem wszystko z Amerykanami, osobiście zamieniłem słówko z moim odpowiednikiem po tamtej stronie. Skinąłem głową z wdzięcznością.

- Pułkownikiem USAFE, jak przypuszczam?

- Tak jest. Pułkownikiem Coenenem. Ralph to porządny facet, ale to Amerykanin. Bywa nieco wybuchowy, jeśli trafi się na jego zły dzień. Nie znosi głupców. Ta wizyta już jest przyczyną jego stresu. Będziemy tu mieli wszędzie pełno magików od ochrony, amerykańskich i naszych, więc proszę się pilnować, żeby nie płać mu się pod nogami. Ralph może i jest tylko pułkownikiem, ale ma znajomości i jest bardzo szanowany. - Page przerwał, by złapać oddech; ostrożnie dobierał słowa. - Być może słyszeliście państwo, że ta baza była wykorzystywana do, nazwijmy to, operacji specjalnych. Nie mogę potwierdzić ani zaprzeczyć, ja nią tylko administruję. Ale Ralph jest znanym ekspertem w tej dziedzinie.

- Mieszka w Hollingdene Hall - powiedział Nash. - To wspaniałe stare siedlisko po południowej stronie drogi. Znajduje się w sektorze mieszkalnym.

- Zajęto je do planowania operacji podczas II wojny światowej - dodał Page. - Teraz często umieszcza się tam wojskowych hierarchów, dygnitarzy i światowych polityków, lecących z albo do Ameryki. Mniej godna pozazdroszczenia część obowiązków Ralpa to zabawianie ich. Pełna obsługa, kamerdyner i srebrne sztuce. Tego typu sprawy.

- I tam ten VIP będzie mieszkał? - spytała Jazz.

- Tak zrozumiałem - potwierdził Page. - To bardzo bezpieczne miejsce. Choć znajduje się w obrębie rozległego sektora mieszkalnego, ma własny ogrodzony teren.

- Patrolowany przez uzbrojony personel - dodał Nash. - To będzie twardy orzech do zgryzienia. Dom jest też osłonięty od reszty kompleksu. Używano go kilka razy do delikatnych albo tajnych międzynarodowych negocjacji. Palestyńczycy i Izraelczycy, Hindusi i Pakistańczycy, Bośniacy i Serbowie. Przylatywali, odlatywali, a nikt się nie zorientował.

- Ale my będziemy mieli do niego dostęp? - spytał Geny.

- Jeśli będzie potrzeba - odparł Page. - Jestem pewien, że da się to załatwić. Właściwie wszystko, czego państwo będą chcieli, sierżant Nash tu obecny zrobi albo pukajcie państwo do moich drzwi, jeśli będziecie czegoś potrzebować... Teraz, jeśli mi państwo wybaczą muszę szybko zjeść jakiś obiad, bo za chwilę odbędzie się tu bardzo długie i nudne zebranie.

- Skoro mowa o jedzeniu - powiedział Nash, kiedy tylko podpułkownik poszedł - chodźmy coś przekąsić w amerykańskiej stołówce. Umówiłem się tam z moim odpowiednikiem z żandarmerii USAFE. Potem urządzimy państwu całą wycieczkę z przewodnikiem.

Odpowiednik Rona Nasha okazał się sierżantem pod czterdziestkę. Miał jasne włosy i młodzieńczo wyglądał. Gene Webb był synem hodowcy bydła z Wyoming. Dojmująca nuda młodości spędzonej w małym miasteczku otoczonym przez pustkowia pchnęła go w objęcia wojska w poszukiwaniu przygody, kiedy miał ledwie siedemnaście lat. Zachowywał się przyjaźnie, ale był śmiertelnie poważny. Wyglądało na to, że wizyta bardzo wysoko postawionego międzynarodowego VIP-a na tym konkretnym spłachetku brytyjskiej ziemi, za który on był osobiście odpowiedzialny, to najbardziej ekscytująca rzecz, jaka kiedykolwiek mu się przytrafiła. Dostałby chyba ataku apopleksji, gdyby się dowiedział, że chodzi o jego ukochanego prezydenta.

Poculiśmy tak naprawdę sporą ulgę, kiedy skończyliśmy jeść i pojechaliśmy rangę roverem Nasha na przejażdżkę dookoła ogrodu. Okazało się, że siatka nie jest wyposażona w czujniki dotyku, choć w rejonach uważanych za ryzykowne zainstalowano kamery przemysłowe. Monitorowano je z supernowoczesnego centrum ochrony daleko na północnym skraju lotniska. Centrum usytuowane było obok północnej bramy, używanej głównie przez obsługę techniczną samolotów, pracującą w rzędzie olbrzymich hangarów nieco dalej.

Jazz i ja przyglądaliśmy się ukształtowaniu terenu za ogrodzeniem. Omawialiśmy różne punkty obserwacyjne, które mogły się nadawać na pozycje snajperskie; Jazz nagrywała je wraz z naszymi gdybaniami cyfrową kamerą. Ponieważ znajdowaliśmy się we wschodniej Anglii, teren był płaski, ale w okolicy dało się zauważyć kilka niskich wzniesień i wysokich budowli: wież ciśnieniowych, stodoł i budynków gospodarczych, silosów na zboże i domów. Do tego dochodziły drzewa, wiele z nich rosło na łagodnych zboczach.

Jednak żaden profesjonalnie wyszkolony snajper nie wykorzystałby tak oczywistych stanowisk, chyba że chciał zginąć - co, jak podejrzewałem, w przypadku dżihadysty mogło mieć miejsce. Takie rzeczy sprawdzają się tylko na filmach akcji.

Zależnie od pozycji strzeleckiej, snajper niekoniecznie potrzebował przewagi wysokości. Właściwie mogłoby się dać strzelić spod samego ogrodu, skoro porządna broń, w odpowiednich warunkach pogodowych, potrafi nieść celnie na

kilkaset metrów. A za ogrodzeniem było bardzo dużo dzikich krzaków i wysokiej trawy, dających doskonałą ochronę niemal dookoła całej bazy.

Po półtorej godziny wolnej jazdy wróciliśmy na płytę obok budynków administracji.

- Tutaj zatrzyma się samolot VIP-a - powiedział Nash, zaciągając ręczny hamulec.

Zastanowiłem się.

- Mógłby pan kazać wystawić schodki tam, gdzie będą stały naprawdę?

- Ja to mogę załatwić - zaferował się chętnie Gene Webb. - Kiedy będzie państwo chcieli?

- Najlepiej od razu.

Dwadzieścia minut później, po dyskusji z załogą wieży kontrolnej, schodki podtoczono na miejsce. Zgodzono się także zaznaczyć ich pozycję na asfalcie i wykorzystać ją podczas prawdziwej wizyty VIP-a. Jazz i ja weszliśmy na schodki, żeby zobaczyć, które fragmenty obszaru wokół bazy z nich widać. Jazz filmowała teren na trzysta sześćdziesiąt stopni dookoła z różnych wysokości schodków, nie przestawała także filmować w drodze do ośrodka gościnnego, gdzie założyliśmy tymczasową bazę. Uznaliśmy, że tam właśnie prezydent zostanie oficjalnie powitany przez swojego starego przyjaciela, pułkownika Ralpha Coenena.

Kiedy weszliśmy do budynku, zastaliśmy tam czekającego na nas agenta amerykańskiej Secret Service z Ambasady USA w Londynie. Mimo że Herbert J. Weatherspoon siedział w pomieszczeniu, wciąż miał na nosie swoje modne ciemne okulary.

- Dzień dobry - powiedział. - Pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, jak leci.

- Dobrze - odparłem. - Wszyscy są bardzo pomocni.

- Chyba wszystkim przydałaby się kawa - powiedział sierżant Nash. - Wybierz się pan z nami?

I tak Weatherspoon usiadł z nami przy niewielkim stole konferencyjnym, który nam przydzielono. Nash zadzwonił do jednej ze stołówek, żeby zorganizować napoje.

Kiedy ładna kelnerka w oficjalnej czarnej sukience i białym fartuchu przyniosła napoje, Geny Shaw, który niewiele się odzywał przez całe popołudnie, zapytał:

- Stołówki i kuchnie są obsługiwane przez cywilów, prawda? Właściwie zauważyłem ich w bazie dość sporo.

Gene Webb, żandarm USAFE, nalał kawę do białych porcelanowych filiżanek.

- Zgadza się. Jakies siedemset pięćdziesiąt osób. Wszyscy z okolicy.

- I co tu robią? - spytał Shaw.

- Dbają żeby wszystko tu działało - odparł Webb. - Od sekretarek i personelu administracyjnego po pracowników kuchni i kelnerki. Do tego dochodzą serwisanci, w tym hydraulicy i elektrycy, ogrodnicy... lista jest całkiem spora.

15 - Zamach na prezydenta

225

Domyślałem się, do czego zmierza Gerry. Zidentyfikował potencjalnie duży słaby punkt zabezpieczeń bazy.

- A kto jest odpowiedzialny za zatrudnianie tych ludzi? - spytałem.
- Przede wszystkim Brytyjczycy - odparł Nash. - Amerykanie rozmawiają z personelem biurowym do niezastrzeżonych działów w swoim sektorze, ale zatrudnia ich Ministerstwo Obrony, przekazując tylko rachunki USAFE. Zdecydowana większość prac jest zlecana przez ministerstwo zewnętrznym podwykonawcom. Wszystko, od napraw po catering.
- Ktoś sprawdza pojedyncze osoby? - spytał Gerry. Nash pokręcił głową.
- Raczej nie. To niepraktyczne i niewykonalne. Ale nigdy nie mieliśmy z tym żadnych problemów. To znaczy, żadnych ponad zwykłe problemy z personelem.
- Wszyscy podwykonawcy z zewnątrz muszą mieć przepustki albo identyfikatory ze zdjęciem - dodał Webb.
- Możemy je zobaczyć? - spytała Jazz.
- Jasne - odparł Amerykanin - przyniosę je państwu. Całe to rozumowanie było dość niepokojące.
- A którzy dostawcy z zewnątrz regularnie wjeżdżają do bazy? - spytałem. Nash wyjął wargi.
- Ooo, niech pomyślę. O tej porze roku zwożą sprzęt ogrodniczy. Jak państwo widzicie, mamy sporo trawy do koszenia. Dalej, sklepy spożywcze i przemysłowe, Securicor obsługuje filię Bank of America... materiały budowlane, oczywiście... Właściwie jest tego całkiem sporo.
- Czy moglibyśmy dostać pełną listę? - spytał Gerry. - Dostawców stałych i nieregularnych?
- Oczywiście - odparł Nash. - Porównam nasze listy policji z listami biura pułkownika. Żeby mieć pewność, że niczego nie przeoczyłem.
- Proszę nie zapomnieć wpisać wszystkich firm, które mają coś dostarczyć w okresie od dzisiaj do wizyty VIP-a - dodałem. Nash kiwnął głową miał zaniepokojoną minę.
- Uważacie państwo, że to może być droga infiltracji? Wzruszyłem ramionami.
- Trzeba to wziąć pod uwagę. Żeby operacja się powiodła, potencjalni terroryści muszą wprowadzić na teren bazy tylko jednego zabójcę i jedną sztukę broni-A żadna ochrona nie jest nigdy stuprocentowo skuteczna.
- Jeśli to jest jakaś pociecha - powiedział Nash - podczas wizyty będziemy mieli więcej uzbrojonych policjantów.

Po raz pierwszy odezwał się Herbert J. Weatherspoon.

- Poprosiliśmy o przysłanie dodatkowych dwudziestu pięciu funkcjonariuszy - potwierdził.

- To dużo - powiedział Nash. - Są ściągani z całego kraju, z baz wojskowych, elektrowni atomowych, magazynów amunicji, żeby dobić do tej liczby. Mamy zarezerwowany cały hotel Larkheath Manor na ten czas. I, oczywiście, odwołano nam wszystkie przepustki.

Nie był tym zachwycony.

- A więc z tego co zrozumiałem - powiedziałem - podczas swojej wizyty VIP będzie się przemieszczał jedynie drogą z północnej części bazy do Hollingdene Hall na południu. Zgadza się?

Weatherspoon kiwnął głową.

- Tak. A brytyjski rząd dostarczy trzy pancerne limuzyny dla VIP-a i jego świty. On i jego rodzina będą mieli przy sobie bez przerwy uzbrojoną ochronę z Secret Service. A na wizytę w Girton College na sto procent poleci śmigłowcem, biorąc pod uwagę stan alarmu po ostrzeżeniu Londynu.

- Jak wygląda ochrona w Girton? - spytała Jazz.

- Zostało jeszcze trochę czasu do rozpoczęcia jesiennego semestru - odparł Amerykanin. - Dlatego nie będzie tam żadnych studentów, jedynie niewielka grupka zaproszonych dygnitarzy uniwersyteckich, którym zostaną wydane specjalne przepustki. Policja Cambridgeshire zapewnia funkcjonariuszy, część z nich uzbrojonych, do otoczenia kampusu kordonem. Do tego dochodzą policyjni snajperzy na dachach. Odległość między miejscem lądowania śmigłowca a budynkiem wyniesie nie więcej niż pięćdziesiąt metrów.

- Musimy obejrzeć to miejsce - powiedziałem.

- Nie ma problemu, Phil - zgodził się Weatherspoon. - Jeśli to wszystko na razie, z miejsca się tym zajmę. Czy jutro wam pasuje?

Uzgodniwszy to, Nash zawiózł Jazz, Gerry'ego i mnie z północnego sektora bazy do wielkiego kompleksu mieszkalnego. Było to typowe funkcjonalne i nieciekawe osiedle przygnębiających wojskowych domków. Niekończące się rzędy tarasów, wzniesionych w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, z małymi ogródkami, w większości smutnymi i zaniedbanymi. Po chwili dotarliśmy do nowocześniejszej i ładniejszej części osiedla. Minęliśmy nawet kilka bloków z balkonami.

- Kwatery rodzin oficerów - wyjaśnił Nash, a przed nami, za zakrętem drogi, pojawiła się brama Hollingdene Hall.

Dom był imponującym XVIII-wiecznym gmazyskiem, w jakim mieszkało ówczesne bogate ziemiaństwo. Otoczony trawnikami i cedrami, został wzniesiony z lokalnego kamienia. Miał eleganckie wejście, wielkie, georgiańskie okna, dwie główne kondygnacje oraz poddasze dla służby.

Pułkownika Ralpa Coena nie było w domu, ale zostawił polecenia, by nas oprowadzono, pokazując nam także pomieszczenia, z których VIP i jego rodzina mieli najprawdopodobniej korzystać. Sypialnie, hol i jadalnię. Dom był urządzonego wspaniale; na ścianach wisiały obrazy z rządowych kolekcji. Jazz sfilmowała

widok z każdego okna, nagrywając wszystkie potencjalne stanowiska snajperskie.

Kiedy skończyliśmy, była dwudziesta i zaczynało się ściemniać. Nash odwiózł nas do hotelu Larkheath Manor. Umówiliśmy się, że przyjedzie po nas o dziewiątej następnego dnia, i poszliśmy prosto do baru.

- Ochrona w Larkheath jest dziurawa jak rzeszoto - powiedział Geny, kiedy znaleźliśmy stół z dala od innych.

- Zawsze taka była - odparłem, upiwszy łyk lokalnego piwa. - Jeśli wróg wie, co robi, i dokona szczegółowego i profesjonalnego rozpoznania, nigdy nigdzie nie zapewnisz stuprocentowego bezpieczeństwa.

- Topografia też jest niekorzystna - zgodził się Geny. - Ta publiczna droga dzieląca całość na pół... stary George W. będzie musiał przejechać przez ten łącznik między lotniskiem a Hollingdene Hall kilka razy podczas swojej wizyty.

- Dokładnie o tym samym myślałam - powiedziała Jazz. - Musimy poszukać pozycji snajperskich, z których widać to skrzyżowanie.

- Będzie jechał pancernym samochodem - przypomniałem. - Pewnie z przyciemnianymi szybami, na pewno kuloodpornymi.

- Bomba byłaby najpewniejsza - powiedział Geny. - Ja zastosowałbym starą sztuczkę IRA. Porwałbym w nocy właścicieli tego baru na rozdrożu, podłożyłbym tam jakiś porządny ładunek kierunkowy i wysadził całe cholerne skrzyżowanie.

Dziś w tym kraju najbardziej lubią butle z gazem. Tak samo jak powstańcy w Iraku. Pancerna limuzyna George'a nic by tu nie pomogła, gdyby odpalili coś takiego.

- A zwykła bomba samochodowa? - zaproponowała Jazz. - Mogliby wjechać prosto w limuzynę na skrzyżowaniu.

Geny zmarszczył nos.

- Hm, musieliby przebić się przez punkt kontrolny na drodze głównej.

- To nie byłaby wielka przeszkoda - powiedziałem, obmyślając scenariusz. - Dwa samochody. Najpierw jeden z uzbrojonymi ludźmi eliminuje żandarmów. Może taranuje szlaban, który jest dość byle jaki. Drugi samochód z bombą przejeżdża, zbliża się do limuzyny prezydenta na skrzyżowaniu i detonuje.

- Musieliby to idealnie zgrać w czasie - powiedział Geny. - Może zbyt idealnie.

- Zgranie w czasie zawsze będzie ważne - odparła Jazz. - Tak samo dla snajpera.

- A może zwykle zabójstwo z pistoletu - dodałem. - Martwięm mnie ci wszyscy podwykonawcy i personel cywilny. Siedemset pięćdziesiąt osób, prawda? Jeśli Al-Kaida przeniknęła do bazy, potrzebuje tylko jednego człowieka, żeby prze-smugłował broń. A potem musi dopaść celu, zanim ten wsiądzie do limuzyny.

- Wszystko będzie zależało od jakości wrogiego wywiadu - powiedziała Jazz. - To znaczy, jeśli Al-Kaida w ogóle się dowiedziała o tej wizycie? Według Felici-ty Goodall w Wielkiej Brytanii strzeżono tego sekretu bardzo pilnie.

- Być może przeciek przyszedł gdzieś ze Stanów - powiedziałem. - W takim razie jeśli wywiad wroga jest aż tak dobry, możemy być w dużych opałach.

Następny rano spędziliśmy w tymczasowym biurze w biurowcu bazy Lark-heath, przeglądając nagrania Jazza na laptopie, a potem nanosząc kolejne pozycje celu w relacji z kątami widzenia i polami ostrzału na akrylowe szkła Perspex nałożone na wojskową mapę. Wszystkie budynki i układ terenu za ogrodzeniem, które nas interesowały, dokładnie zaznaczyliśmy i podzieliliśmy na strefy. W miarę jak data wizyty prezydenta się zbliżała, zamierzaliśmy poradzić policji, żeby zwracała szczególną uwagę na patrolowanie tych potencjalnych kryjówek snajpera.

Potem zrobiliśmy to samo z obszarami wysokiego ryzyka wewnątrz bazy. Najwięcej uwagi poświęciliśmy dwóm niskim blokom mieszkalnym, w których mieszkały rodziny oficerów - widać z nich było dobrze poza tym zabezpieczone tereny Hollingdene Hall.

Po obiedzie Herbert J. Weatherspoon udał się z nami do Girton College. Wytyczono tam lądowisko dla prezydenckiego śmigłowca oraz trasę, którą prezydent musiałby pokonać, idąc do budynku. Miał tu być wprowadzony całkowity zakaz parkowania. Tylko troje profesorów z Uniwersytetu Cambridge miało spotkać się z córką polityka i jej rodzicami. Jazza zrobiła nowe zdjęcia, wręczono nam także kopie map kampusu. Weatherspoon wydawał się pewny, że profesorowie nie stwarzają żadnego zagrożenia. Na samym początku wyjaśnił im dobitnie, jak ważne jest, by nikt nie dowiedział się o wizycie z wyprzedzeniem.

Następnego dnia zabraliśmy się do mapy Girton i zdjęć Jazza, by zaznaczyć wszystkie potencjalne stanowiska snajperskie i miejsca dogodne do podłożenia bomby.

Do obiadu skończyliśmy pracę i po lekkim posiłku w amerykańskiej stołówce ruszyliśmy z powrotem do Londynu.

Kilka dni zajęło nam sporządzenie raportu z oceną stopnia zagrożenia wizyty prezydenta USA wraz z zaleceniami. Załączyliśmy do niego mapę wojskową oraz mapki wnętrza bazy Larkheath oraz jej bezpośredniej okolicy, z zaznaczonymi miejscami, które powinny monitorować i patrolować wzmocnione siły policji Ministerstwa Obrony.

Zastanawiała mnie nieobecność Ciapata w chwili mojego powrotu z oględzin Cambridge. Kate zapewniła mnie, że nic nie mówił, kiedy wychodził z biura po raz ostatni i że nie zabrał swoich rzeczy. Nie miałem jego adresu domowego ani numeru stacjonarnego telefonu, a komórkę wyłączył. Po zamordowaniu Franka Grinta naturalne było, że się martwiłem, więc zadzwoniłem do Joego Lassitera.

- Nic się nie martw, stary kumplu - zapewnił mnie na luzie. - Ciap został tylko chwilowo przeniesiony. Służba ma teraz trochę za dużo ważnych zadań.

- Rozumiem, Joe. Tyle że mam teraz trochę za mało ludzi, a ty dałeś nam nową listę podejrzanych.
 - Ciap nigdy nie miał pracować z tobą na stałe, Phil. Ale coś ci powiem, może spytaj Gerry'ego Shawa, czy nie chciałby u ciebie zostać trochę dłużej?
 - To nie jego dziedzina - odparłem; nie podobała mi się wielkopańska maniera Lassitera. - Nigdy nie pracował w wywiadzie, chociaż przynaję, jest bardzo przydatny.
 - To czemu go nie spytasz? Gerry'emu pomysł bardzo się spodobał.
 - Pracować z ludźmi Smileya? - Zaśmiał się. - Zawsze chciałem zostać szpiegiem.
- I kiedy już myślałem, że rozwiązałem problemy kadrowe, Jazz oznajmiła, że potrzebuje kilka dni wolnego, bo Zoe się rozchorowała. Inwigilacja nowej listy podejrzanych rozpoczęła się bardzo opornie. Potem okazało się, że Lassiter jak zwykle wszystkiego mi nie powiedział. Tuż przed obiadem w moim biurze pojawiła się bez zapowiedzi Felicity Goodall. Wyglądała stylowo i elegancko jak zawsze, ale oczy miała zmęczone, a twarz wyraźnie spiętą.
- Cześć, Phil - przywitała się. - Dobrze znów cię widzieć. Zaprosiłem ją do salonu, przerobionego chwilowo na centrum operacyjne.
 - Ciebie też - odparłem. - Czemu zawdzięczam tę niespodziewaną przyjemność?
- Felicity zrobiła trochę zakłopotaną minę.
- Chodzi o Ciapata. Uznałam, że wypada ci o tym powiedzieć osobiście. Postanowiliśmy wycofać go z twojego zespołu. Zmarszczyłem brwi.
 - Wiem o tym. Przez jego nieobecność jest nam o wiele trudniej. Brakuje nam go.
 - Nie, chodzi mi o to, że został wysłany na płatny urlop. Został też przesłuchany przez wydział specjalny. Nie postawiono mu żadnych zarzutów, jak dotąd. Ale jest w trakcie ponownej weryfikacji. Parę osób przejęło się przeciekami i ostrzeżeniami w trakcie operacji powiązanych z waszą pracą.
- Kiwnąłem głową.
- Wiem, wszyscy się nad tym zastanawialiśmy... ale to tylko dlatego, że przyjechał tu z Pakistanu, kiedy był mały. Służył przecież w brytyjskiej armii i pracował w wywiadzie.
- Felicity podniosła rękę.
- Wiem, wiem. I pracował dla nas przez wiele lat i miał doskonałe wyniki. Ma także związki rodzinne z pakistańskim wywiadem, które okazały się dla nas bardzo przydatne.
 - Ale?

- To może być broń obosieczna. - Felicity uśmiechnęła się z przymusem. -ie wiemy, czy informacje nie kursowały przypadkiem w obie strony. W pakistańskim wywiadzie są frakcje powiązane blisko z talibami i Al-Kaidą. Jeśli Cia-pat zmienił poglądy po różnych wydarzeniach na świecie, mógłby wyrządzić bardzo wiele szkód naszym operacjom.

- Są jakieś dowody, które by to sugerowały? - spytałem. Felicity pokręciła głową.

- Dzięki Bogu na razie nie, i mamy nadzieję, że żadnych nie znajdziemy. Ale uznaliśmy, że najlepiej będzie go zawiesić z pełnym uposażeniem, dopóki dochodzenie się nie skończy. A na pewno do końca wizyty prezydenta USA.

W tym momencie moja komórka zaczęła wydzwaniać swoją denerwującą melodyjkę. Wyjąłem ją z kieszeni i spojrzałem na ekranik. Dzwonił Leo Fryatt.

- Przepraszam - powiedziałem - lepiej będzie, jak odbiorę.

Kiedy wcisnąłem guzik, w oczach Felicity zobaczyłem lekką irytację.

- Cześć, Leo, co słychać?

- Wszystko gra, panie Chan - odparł pogodnie chłopak. - Udało mi się skumać z tym pana gościem, Achtałem Szachidem, tak jak mi pan kazał.

- Dobra robota - powiedziałem. -1 co u niego?

- W porządku, szefie. Zdziwiłem się, ale bardzo się ucieszył na mój widok. Bo, wie pan, nie rozstaliśmy się jak kumple, kiedy wróciliśmy z Pakistanu.

- A jak myślisz, dlaczego?

- To dlatego, że on chyba jest w coś zamieszany, i tak jakby chce, żebym mu pomógł - odparł Fryatt. - Dlatego do pana dzwonię. Może powinniśmy się spotkać. Nie powinniśmy gadać przez telefon, prawda?

Oczywiście miał rację, ale chciałem mieć pewność, że nie marnuje mi tylko czasu.

- Myślisz, że to coś poważnego, Leo?

- Jasne, szefie, inaczej bym nie zwracał głowy. Nie wiem co, ale na pewno coś planuje.

Ustąpiłem.

- Dobrze, Leo, może tam, gdzie ostatnio? Nad rzeką.

- Super. Ale musimy się spotkać szybko, bo wieczorem jedziemy nad rzekę.

- Z Szachidem?

- Aha.

- Dobrze. - Spojrzałem na zegarek. - Dasz radę za godzinę?

- Może być.

Rozłączyłem się, a potem przypomniałem Felicity o Leu Fryacie oraz o tym, że Achta Szachid był studentem Imperial College, uczniem doktora Samira, zaginionego wykładowcy.

Kiwnęła głową.

- Z tego co pamiętam, byli razem na jakimś szkoleniu w Pakistanie.

- Leo myśli, że mam powiązanie z Al-Kaidą — powiedziałem; nawet wypowiedanie tych słów było dla mnie przykre. — Przekonałem go, żeby nawiązał znów kontakt z Szachidem. Teraz Szachid chce go w coś zaangażować, a Leo prosił mnie o pilne spotkanie.

- A więc idziesz? Szkoda. Chciałam zaproponować, żebyśmy poszli razem na lunch. Ale rozumiem, oczywiście, praca jest ważniejsza.

Uśmiechnęła się, a ja poczułem się, jakby zaświecił na mnie promień słońca.

Przeklinając w myślach Lea Fryatta, wsiadłem do samochodu i ruszyłem do Battersea Park. Dojechałem na miejsce i poszedłem do promenady Embankment.

Leo stał oparty łokciami o kamienny parapet i zapatrzony w powolny zielony nurt Tamizy. Naciągnął na głowę kaptur, chroniąc się przed chłodną północną bryzą.

Nie słyszał, jak podchodziłem.

- Czuję się jesień w powietrzu — powiedziałem.

- Rany, człowieku! - wrzasnął, odwracając się. - Przestraszył mnie pan tym podkradaniem!

Uśmiechnąłem się nieznacznie.

- Nauczysz się, Leo. Patrzyłeś w złą stronę - powiedziałem. - W tej zabawie zawsze trzeba mieć za plecami ścianę. Tutaj, w pubie, w kawiarni... wszędzie. Żeby zawsze wiedzieć, kto podchodzi albo wchodzi do pomieszczenia.

Leo nie mógł się zdecydować, czy złościć się na mnie, czy mnie podziwiać.

- Dzięki za wykład, Człowieku z Lodu.

- Któregoś dnia może ci to uratować życie — odparłem spokojnie, idąc za ciosem. - Mnie uratowało. Nieraz.

Uśmiechnął się szeroko.

- Fajowy z pana gość, panie Chan.

- Żywy gość, Leo, i chciałbym, żebyś ty też taki został. Chrząknął i zrobił zakłopotaną minę.

- Może nie, jeśli zacznę kręcić z Szachidem... Już mu to powiedziałem. Nie zamierzam być samobójcą zamachowcem.

- A to właśnie planuje? Jakiś zamach? Leo wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Jest strasznie tajemniczy, jakby to był jakiś sekret.

- To nie może być sekret, skoro ty o tym wiesz.

- Wie pan, bardzo się zdziwiłem, bo kiedy do niego poszedłem, przywitał mnie, jakbym był dawno utraconym bratem.

Napiliśmy się kawy, a on mówi mi, że montuje operację. Nie zdradził mi żadnych szczegółów, ale twierdził, że chce stworzyć komórkę. Ma dwóch kumpli z grupy dyskusyjnej w meczecie. Ale nie wie, komu jeszcze może ufać.

Zastanawiałem się, czy to wszystko nie są tylko marzenia młodego dżihadysty.

- To wszystko jego pomysł? — spytałem.

- Mówi, że stoi za tym wszystkim jakiś tajemniczy szef.
- Wiesz, jak się nazywa?
- Ni cholery. Kiedy o nim mówi, nazywa go tylko Czarną Wdową, że niby jest na środku pajęczyny.
Jakby mnie kopnął elektryczny pastuch. Kryptonim „Czarna Wdowa” pojawił się, kiedy rozmawialiśmy o świętej pamięci Akmalu Younisie. Ten i jeszcze inny, „Gołębica”. Czy mógł tu istnieć jakiś związek?
- Mówi, że potrzebuje w swojej komórce ludzi, którzy wiedzą jak to się robi - ciągnął Leo. Potem przerwał i spojrzał na mnie pokornie. - Ja tam nie wiem, ale tak sobie myślałem... mogłoby być spoko, gdyby go pan poznał.
Zaskoczył mnie. Byłem pogrążony w myślach i słuchałem go jednym uchem.
- No, jakby się pan zgodził. Przyłączył się do komórki. - Leo trajkotał, jakby się bał, że go pobiję za samą taką sugestią. - Ma pan doświadczenie, walczył pan w Afganistanie i tak dalej. Gdyby pan uznał, że to pomoże sprawie. A jeśli nie, rozwaliliby pan jego gang.
W chwili szaleństwa pomyślałem: Czemu nie? Szachid nigdy mnie nie widział, ale z poparciem Lea, który widział we mnie swojego bohatera, mógłby przyjąć moje rzekome doświadczenie i radę. Może nawet zbliżyłbym się do ludzi stojących za tym, co Szachid planował zrobić.
- Tak, mógłbym się z nim spotkać, gdyby chciał - powiedziałem wyważonym tonem. - Nie widzę problemu. Mówiłeś, że jedziecie wieczorem na północ?
Leu wyraźnie ulżyło.
- Nie będzie mnie dwa dni. Powiem o panu Szachidowi. Skontaktujemy się, kiedy wrócę.
- Dobrze - odparłem. - Przy okazji, dokąd na północ jedziecie? Leo wzruszył ramionami.
- Nie wiem, szefie, to może być w Yorkshire czy gdzieś. Nazywa się to Cambridge.
^JIMłody Achtar Szachid mógł się jedynie wplątać w knowania jakiegoś po-rywczego islamskiego duchownego i gromady młodych durniów studentów, niebezpiecznych bardziej dla siebie niż dla ludzi dookoła.
Ale Szachid nie dość, że z Leem był na szkoleniu wojskowym na granicy paki-śańsko-afgańskiej, to studiował też u doktora Samira. Sam wykładawca był

- Co?

14

||

znałem, że nie będę ryzykował.

233

prawdopodobnie zamieszany w przygotowania do zamachu na prezydenta i mógł się teraz ukrywać w dowolnym miejscu w kraju. Samir nie tylko zniknął - jego trop całkiem wystygł. Sytuacja szybko robiła się coraz groźniejsza. Pamiętałem że kilka osób powiązanych z naszym śledztwem spotkał przedwczesny i okrutny koniec. Akmal Younis, Dave Mo Evans i Frank Grint, ofiara pomyłki, tego, że wzięto go za mnie.

- Przynajmniej nie mają twojego zdjęcia - potwierdził dwa dni wcześniej inspektor Proctor z wydziału specjalnego.

Somański zabójca śpiewał w Paddington Green jak słowik, obawiając się bardziej zamordowania przez własny gang za niepowodzenie niż dwudziestu lat na wicie Jej Królewskiej Mości za morderstwo. Potwierdził, że dostali moje nazwisko - nie wiedział od kogo - i że dotarli do mojego ostatniego adresu przez rejestr wyborczy. Po krótkim, niewystarczającym rozpoznaniu zobaczyli, że jakiś mężczyzna mieszka w tym domu, a więc uznali, że to muszę być ja.

Było pewnym pocieszeniem, że mój tajemniczy i nieznaną wróg nie wiedział, jak wyglądam - ale niewielkim. To się mogło zmienić w każdej chwili.

Poszedłem do sypialni, przesunąłem stolik, a potem podwinąłem dywan i podważyłem podłogowy panel. Smith & Wesson Lea wciąż leżał tam, gdzie go zostawiłem, owinięty w folię bąbelkową. Sprawdziłem komorę i magazynek, a potem wepchnąłem sobie pistolet z tyłu za pasek spodni.

Wróciłem właśnie do biura, kiedy przyszedł Joe Lassiter, idealnie w samo południe.

- Dopiero co to dostaliśmy - powiedział, podając mi kopertę. Wysypałem jej zawartość na biurko. Brytyjski paszport i prawo jazdy.

Otworzyłem paszport. Ledwie rozpoznałem siebie na zdjęciu. Wyglądałem zdecydowanie na Pakistańczyka. Lassiter zauważył mój wyraz twarzy.

- Chłopcy z laboratorium trochę się nim pobawili. Metamorfoza, tak to chyba nazywali. Przyciemnili skórę, zneutralizowali kolor oczu. Potem dodali włosom połysku i wąsy. Niezły z ciebie przystojniak.

- Co z tego, kiedy nie wyglądam tu jak ja - odparłem zirytowany. Lassiter zrobił złośliwą minę.

- Wyobraź sobie, Phil. Spotykasz się z tym Szachidem i jego kumplami. Mają co do ciebie wątpliwości. Ale ty im pokazujesz paszport. Na zdjęciu jesteś trochę inny ty, ale natychmiast widzą twoje azjatyckie pochodzenie, a przynajmniej tak im się wydaje. Spece nazywają to psychologią wizualną.

- Mam nadzieję, że wiedzą co robią.

- Wiedzą.

- Na pewno chcesz, żebym to zrobił? - spytałem.

Na temat operacji odbyła się zacięta dyskusja. Czy nie powinienem spotkać się z Leem i powiedzieć mu, że zmieniłem zdanie. „Skrzynka” obserwatorów z A-4 objęłaby go inwigilacją i wysledziła przez niego Szachida oraz innych członków

komórki. Felicity Goodall uważała, że tak byłoby dla mnie bezpieczniej, ale przeważyło słowo Melissy. Melissa Thornton uważała, że musimy dotrzeć jak najbliżej operacji, która mogła być wymierzona w prezydenta USA. Lassiter, jak zwykle chętny, aby ryzykować cudze życie, poparł ją. Królowa Śniegu została przegłosowana.

Szczerze mówiąc, nie byłem z tego powodu nieszczęśliwy. Wyczekiwałem działania z niecierpliwością. Miałem nadzieję, że nie lekceważę niebezpieczeństwa, którym groziło zbliżenie się do Szachida i jego kumpli. Prawdę mówiąc, wciąż miałem wrażenie, że to zgraja gówniarzy, którzy nie mogą się doczekać, kiedy trafią do nieba i dobiorą się do tych wszystkich niebiańskich dziewic. Jeśli się mylą zapewnił mnie Lassiter, wciąż będę mógł liczyć na wsparcie.

- Wylosowaliśmy zespół Jeffa Kinga - powiedział. - Będą mieli ciebie i Fry-atta w „skrzynce” od samego początku. W pogotowiu czeka sześć innych zespołów. To będzie duża operacja. Jeśli pójdzie zgodnie z planem i dojdzie do waszego spotkania, pozostałe zespoły zajmą się wszystkimi obecnymi, kiedy ci się rozejdą.

Pokiwałem głową na znak, że rozumiem.

- I miejmy nadzieję, że doprowadzą nas do wszystkich innych zaangażowanych w tę komórkę.

Lassiter uśmiechnął się przebiegle.

- Gdyby tylko to było takie proste. - Wyjął z kieszeni telefon komórkowy. - To twój. Nie zabieraj tego co zwykle, nie możemy pozwolić, żeby twoje numery dostały się w ręce wroga.

Wziąłem od niego telefon i obejrzałem go.

- Sama górna półka?

- Lepiej. Ma normalne funkcje telefonu, ale w środku ukryty jest nadajnik radiowy o zasięgu około pięciu kilometrów. Trzymaj go najlepiej z przodu na pasku spodni, staraj się nie przykrywać. Usłyszysz wszystko, co powiecie. Aparat ma też funkcję GPS, więc będziemy wiedzieli, gdzie jesteście, teoretycznie.

- Jak u Bonda.

- Jeśli zadziała - powiedział Lassiter. - Aha, i naucz się na pamięć numeru. Jeśli ktoś cię o niego spyta, będzie głupio, kiedy się okaże, że go nie znasz.

Uśmiechnąłem się.

- Trwało kilka miesięcy, zanim zapamiętałem swój, Joe. Zirykował się.

- Po prostu tak zrób. W pamięci jest krótka lista numerów. Zadzwoń pod dowolny, a połączysz się z przygotowanym agentem Służby Bezpieczeństwa, który będzie wiedział, co się dzieje. Powiedz, co zechcesz, otwartym tekstem, powinni się zorientować, o co ci chodzi. Oczywiście też...

Dokończyłem za niego.

- ...wteorii.

W tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi. Kate spojrzała na monitor kamery.

- Przyjechała twoja taksówka, Phil - powiedziała.

Czarny wóz był jednym z licznej floty MI-5. Przyczepiłem nowy telefon do paska.

- W takim razie idę.

Lassiter uśmiechnął się zaciśniętymi ustami.

- Powodzenia, albo połamanie nóg.
- Wystarczy mi powodzenie - odparłem i otworzyłem drzwi. - Dzięki.

Umówiłem się z Leem Fryattem na skraju osiedla w Lewisham, gdzie mieszkał. Czekał na mnie, oparty o płótek okalający trawnik, z rękami głęboko wepchniętymi w kieszenie bluzy. Na głowie miał kaptur. Kiedy taksówka zatrzymała się obok niego, podejrzliwie podniósł wzrok.

Otworzyłem drzwi.

- Cześć, Leo. Mam zapłacić taksówkarzowi czy będziemy gdzieś jechać? Leo przez telefon był bardzo skryty, nie chciał powiedzieć, gdzie mamy się spotkać z Szachidem. Teraz rozejrzał się nerwowo na obie strony.
- W porządku, szefie, możemy jechać taryfą. Przeszedł przez chodnik i siadł obok mnie.
- Dokąd teraz, kierowniku? - spytał kierowca. Leo nachylił się do przodu.
- Dworzec Bexley.

Zasunął okienko i odwrócił się do mnie.

- Panie Chan - powiedział prawie szeptem - proszę nie mówić mi publicznie po imieniu.

Zmarszczyłem brwi.

- Słucham? Wyglądał na spiętego.
- Tak jak kiedy pan podjechał tą taryfą. Wie pan, tak się nie robi. Później gliny będą rozpytywać, a taksiarz może sobie coś przypomnieć. Gliniarze potrafią ludzi śledzić, kamery, rozmowy przez komórki i tak dalej.
- Rozmawiałeś z kimś?
- Tylko z Szachidem. Przypomniałem sobie to wszystko o zasadach bezpieczeństwa, czego uczyli nas w obozie. To duża sprawa. Musimy bardzo uważać.
- A więc mamy się z nim spotkać na dworcu? Czy jedziemy pociągiem? Leo pokazał białe, szczerbate zęby w nerwowym uśmiechu.
- Nie, szefie, zmienimy taksówki. Żeby zgubić ogon.
- A czemu mielibyśmy mieć ogon? Wzruszył ramionami.
- Nigdy nic nie wiadomo, szefie.
- Bardzo profesjonalnie do tego podchodzisz - powiedziałem. - Jestem pod wrażeniem.

Leo zrobił zadowoloną minę.

- To gdzie jedziemy z Bexley?

- Kazali mi panu nie mówić.

- I tak się dowiem, kiedy tam dojedziemy - odparłem. - Lepiej się wyluzuj, kolego, i zdecyduj, czy pracujesz dla mnie, czy dla Szachida.

Zdziwił się.

- Ach, tak, jasne. Trochę mnie poniosło. No, zaangażowałem się za bardzo.

- Jak było w Cambridge? Zaśmiał się.

- Kurcze, szefie, jakby to nie było w Yorkshire. Wielkie, niesamowite.

- Opowiesz mi?

- Boję się, że pan się wygada, no, przypadkiem, że powiedziałem. Ten Szachid to wredny sukinkot, mówię panu. Niech pana nie oszuka ta jego dziecinna buźka.

Uśmiechnąłem się wyrozumiale.

- W porządku, poczekam, niech on mi opowie.

Zapadła cisza. Cieszyłem się, że mikrofony ukryte w taksówce powiedziały kontroli wszystko, co musiała wiedzieć. Pod Bexley powinna czekać druga taksówka MI-5, najpewniej na początku kolejki. Ale nawet gdybyśmy do niej nie wsiedli, byłibyśmy otoczeni „skrzynką” czterech samochodów.

Na miejscu okazało się, że nie ma żadnych taksówek ani klientów czekających pod dworcem. Zatrzymaliśmy się i zapłaciliśmy kierowcy. Kiedy odjechał, Leo rozejrzał się, zdenerwowany.

- Cholera, szefie, nie ma pieprzonej taryfy. Zerknął nerwowo na zegarek.

Jak na sygnał zatrzymała się przy nas czarna taksówka.

- Dokąd? - spytałem Lea.

- Stacja przy M25 w Thurrock - odparł krótko i wszedł do samochodu. Uśmiechnąłem się do siebie. Leo robił wszystko co trzeba, ale wykazywał się

kompletnym brakiem umiejętności. Kiedy zmienia się w ten sposób taksówki, trzeba wysiąść z jednej, a potem przejść przez teren tylko dla pieszych albo przez duży sklep z drzwiami po obu stronach i dopiero zatrzymać następną. Znowu spotkanie na stacjach obsługi było klasyczną praktyką - chodziło o to, żeby być jednym z wielu ludzi i w ten sposób nie dać się zapamiętać.

Przejechaliśmy na północny brzeg Tamizy, do Essex, i zostaliśmy przywiezieni do wejścia do kompleksu usługowego. Leo zapłacił kierowcy - wciąż w kapturze na głowie - i poprowadził mnie do restauracji.

- Wezmę coś smażonego - powiedział. - Chce pan colę, kawę, herbatę czy coś w tym rodzaju?

Zdecydowałem się na czarną kawę, wychodząc z założenia, że trudniej ją spaprać niż dobre cappuccino.

- Trochę u mnie krucho z kasą - powiedział Leo. - Może pan zapłacić.

Mógłbym pomyśleć, że brał lekcje u Joego Lassitera. Zapłaciłem i poszedłem za nim do stolika w drugim końcu sali. Siedziało tam trzech młodych mężczyzn, wszyscy o ciemnej karnacji, w czapkach baseballowych z długimi daszkami, które częściowo ocieniały im twarze. Kaptury i baseballówki stały się chyba znakiem charakterystycznym kandydatów na terrorystów w kraju, który miał na ulicach więcej kamer niż jakikolwiek inny kraj na świecie. Mimo młodego wieku jeden z nich zachowywał się jak rasowy przywódca. Kiedy usiadłem, rozpoznałem w nim człowieka z naszych zdjęć, Achtera Szachida.

- Tylko imiona, proszę - powiedział doskonałym, modulowanym angielskim.

- To mój przyjaciel Achtar - przedstawił go ze zdenerwowaniem Leo. Szachid przyjrzał mi się uważnie. Pierwsze, na co zwróciłem uwagę, to okulary

kujona w drucianych oprawkach, a za nimi oczy, ciemne i pozbawione emocji jak ślepie martwego dorsza. Nad górną wargą sypał mu się młodzieńczy wąsik. Kiedy powiedział coś w urdu, zauważyłem, że zęby miał tak białe i równe, że mógłby występować w reklamie pasty do zębów.

- Przykro mi - powiedziałem - nie rozumiałem. Wiedziałem, że to będzie trudna sztuczka. Prawie niedostrzegalnie zmarszczył gładkie czoło.

- Jest pan Pakistańczykiem i nie rozumie pan urdu?

- Pakistańczykiem z pochodzenia - poprawiłem. - Moi rodzice wyjechali po podziale kraju. Urodziłem się w Wielkiej Brytanii.

- Pakistańska matka i ojciec Anglik - dodał Leo, chcąc mnie uwiarygodnić.

- Akurat odwrotnie - powiedziałem.

- Nie mogę uwierzyć, że ojciec nie nauczył pana ani słowa w urdu - stwierdził cicho Szachid. - Przynajmniej „dzień dobry, miło mi pana poznać”.

Uśmiechnąłem się, co innego mogłem zrobić? Napilem się kawy, żeby zyskać chwilę na zastanowienie się.

- To może się wydawać dziwne, ale mój ojciec był wielkim anglofilem. Całe życie pracował z Brytyjczykami we władzach kolonialnych. To smutne, ale chyba się wstydził swojego pochodzenia, wstydził się walk między ludźmi w Indiach, które doprowadziły do podziału. Kiedy ożenił się z moją matką doszło do wielkiej rodzinnej kłótni. Uznali, że nie mają innego wyjścia, jak tylko wyjechać do Wielkiej Brytanii.

- A teraz pan zmazuje jego hańbę? - spytał Szachid.

- Chciałbym tak myśleć.

- Leo mówił, że walczył pan w Afganistanie. Nie rozmawiał pan w urdu z warzyszami?

- Afgańczycy posługują się głównie afgańskim perskim, czyli dari, wielu zna paszto - powiedziałem i wyrecytowałem kilka zdań, których się nauczyłem, kiedy tam służyłem.

Szachid nie zdołał ukryć zaskoczenia. Chyba sam o tym nie wiedział.

- Rozumiem.
- A ludzie, z którymi się kontaktuję w pakistańskim wywiadzie, wszyscy mówili doskonale po angielsku - dodałem. - Lubili na mnie ćwiczyć.
Pomyślałem, że zaczyna to brzmieć wiarygodnie i wyglądało na to, że Szachid też tak myśli.
- Co pan robił w Afganistanie?
- Uczyłem bojowników walczyć z Brytyjczykami - odparłem. - Służyłem kiedyś w Marynarce Królewskiej, więc znam ich wszystkie słabe punkty, tak samo jak mocne.
Po raz pierwszy wydało mi się, że dostrzegłem w tych martwych oczach iskierkę prawdziwego zainteresowania.
- Proszę mi wybaczyć - powiedział - ale muszę spytać, czy ma pan jakiś dowód tożsamości?
Uśmiechnąłem się.
- Byłbym tobą rozczarowany, gdybyś nie spytał.
Podałem mu paszport i prawo jazdy, które wziął i bardzo dokładnie obejrzał.
- Widzę, że na zdjęciu to pan, ale wygląda pan jakoś inaczej.
- W paszporcie każdy wygląda jak bandyta - odparłem żartobliwie. Szachid uśmiechnął się przelotnie i oddał mi papiery.
- Leo uważa, że mógłby nam pan pomóc.
- Powiedział ci, jak się poznaliśmy? - spytałem.
- Przypadkiem.
- Nie znam go długo - ciągnąłem - ale jest bardzo chętny do pomocy.
- A pan... mogę panu mówić Ali?
- Oczywiście. Pomogę, jak tylko będę mógł. Mam bardzo rozległe doświadczenie, które może się wam przydać, jeśli dowiem się, co jest celem misji.
- W odpowiednim czasie. Ale zapewniam pana, że operacja nie jest wymierzona w brytyjskich obywateli, jeśli na tym panu zależy.
Wzruszyłem ramionami.
- To już nie ma dla mnie znaczenia. Przyzwyczaiałem się do zabijania ludzi. Jestem wyszkolonym snajperem.
Szachid szerzej otworzył oczy.
- To interesujące. Musimy jeszcze porozmawiać, ale nie tutaj. Pojedzie pan z nami samochodem, panie Ali.
- Oczywiście.
Wstaliśmy jednocześnie od stolika. Leo i ja wyszliśmy za innymi na parking. Powietrze było chłodne, czuło się wyraźnie skradającą się jesień.
Szachid miał stare, poobijane mondeo kombi. Otworzył drzwi kierowcy i wskazał, żebym usiadł obok niego z przodu. Pozostali wcisnęli się na tylny fotel. Achtar prowadził niepewnie i nierówno; wyjechał powoli z parkingu z powrotem

na M25. Ruszyliśmy północną nitką, jadąc równo osiemdziesiąt w sznurku pojazdów. Przy zjeździe 25 Szachid skręcił na południe, w podmiejską dzielnicę En-field. Chociaż ich nie widziałem, byłem pewien, że Jeff King i jego zespół mają nas stale na oku.

W końcu skręciliśmy w dziurawą uliczkę, przy której stały sypiące się domki z tarasami. Obecność wielu przechodniów w tradycyjnych muzułmańskich strojach sugerowała, że to mała islamska enklawa. Domki były tanie, atrakcyjne dla bardziej przedsiębiorczych, którzy kupowali je i wynajmowali krajanom, szukającym mieszkania w metropolii, na które nie mogli sobie pozwolić. Szachid znalazł przerwę w szeregu zaparkowanych po obu stronach samochodów i niezdarnie wjechał w nią tyłem. W końcu wszyscy wysiedliśmy i cofnęliśmy się za nim kilka metrów do domu o spleśniałych niebieskich drzwiach wejściowych.

Szachid otworzył je kluczem i odsunął się na bok, przepuszczając nas przodem. Ja wszedłem ostatni. Znaleźliśmy się w ciemnym korytarzu z obłazającą tapetą i wytartą wykładziną cuchnącą wilgocią. Chłopak na przedzie otworzył drzwi pokoju na końcu korytarza i zniknął w środku. Ja i pozostali weszliśmy za nim. Wchodząc z ciemności do jasno oświetlonego pomieszczenia, zostałem na krótką chwilę oślepiony i nie od razu zobaczyłem krzesło i zwinięty na nim sznur. Oraz domyśliłem się, co zamierzali...

- Musimy pomówić, panie Chan - powiedział Szachid. - To jest, pan musi powiedzieć. - Nagle poczułem lufę pistoletu wbijającą mi się w krzyż. - Siadaj krzesło albo dostaniesz kulkę w kręgosłup.

Uczucie przerażenia przeszło przede mną z góry na dół jak winda w szybie. Przez swoją głupią nadmierną pewnością siebie wpadłem prosto w pułapkę.

Jeden z dwóch pozostałych chłopaków stał przy krześle. Podniósł linę. Leo wytrzeszczył oczy i otworzyła usta.

- Hej, Achtar, co ty robisz, człowieku?

Jeśli trzyma się kogoś pod bronią, obowiązuje zasada numer jeden. Nie należy podchodzić za blisko. Szachidowi albo nikomu o tym nie powiedziałem, albo o tym zapomniałem.

Ale trzeba działać szybko, a ja miałem bardzo dużą motywację.

Obracając się na piętach, machnąłem prawą ręką za plecy, idąc za ciosem 'tym ciałem. W ułamku chwili, zanim Szachid zdążył zareagować, złapałem go i nadgarstek, odpychając od siebie broń. Lewą chwyciłem go za łokieć i mocno nacisnąłem. Z ust chłopaka wyrwał się okrzyk bólu, a jego dłoń mimowolnie się porwała i rewolwer, który trzymał, ze stuknięciem upadł na podłogę. Kopnąłem go na korytarz i rzuciłem Szachida brutalnie na podłogę. Potem wyszarpnąłem z niego spodni pistolet Lea.

Dwaj pozostali członkowie komórki byli zdezorientowani i ostupiali, ale szybko otrząsnęli się z szoku, jakim było dla nich powalenie ich przywódcy, i obaj sięgnęli pod kurtki.

- Nie ruszać się! - wrzasnąłem. - Albo już po was!
Znieruchomieli natychmiast, z oczami szeroko otwartymi ze strachu, jakby to była jakaś dziecięca zabawa.
- A teraz ręce na głowę - dodałem. - Powolutku. Posłuchali.
- Leo - warknąłem. - Zabierz im broń.
- Jasne, panie Chan! - Leo podskoczył do chłopaków, szybko znalazł rewolwery i położył je na stole pod oknem.
Odwróciłem się do Szachida, leżącego na podłodze. Masując naderwane ścięgno w łokciu, patrzył na mnie spode łba.
- Tak robi porządny muzułmanin komuś, kto chce mu pomóc, prawda, Achtar? - warknąłem.
- Musieliśmy się upewnić - wymamrotał.
- Przywiązując mnie do krzesła i grożąc?
- Kiedy człowiek się naprawdę boi, mówi prawdę.
- Tego cię nauczyli na obozie szkoleniowym? - Ukląknę obok niego, a on próbował się odsunąć, wciskając się ramionami w ścianę. - Kiedy człowiek się naprawdę boi, mówi to, co według niego chcesz usłyszeć.
Wstałem.
- A teraz rusz się, wyglądasz jak śmieć na tej podłodze. Stań obok swoich kolegów.
Szachid podniósł się z trudem i niepewnie przeszedł przez pokój. Ja tymczasem wziąłem z korytarza jego broń i zaniósłem ją na stolik, gdzie leżała reszta broni. Wytrząsnąłem pociski z bębena.
Schowałem pistolet za pasek i odwróciłem się do Lea.
- Oddaj im broń. Nie potrzebujemy pogroźek, żeby móc porozmawiać. Szachid wyprostował się dumnie.
- Zostaw je na stole, Leo - rozkazał, wyraźnie starając się odzyskać nadszarpnięty autorytet. - Pan Chan ma rację. Nie potrzebujemy broni.
- Musisz zdecydować, przyjacielu - powiedziałem - czy chcesz mojej pomocy, czy nie. Czy mi ufasz, czy nie. I nie mówię o przesłuchiowaniu mnie pod bronią. Jeśli niepotrzebne wam moje doświadczenie, po prostu wyjdę i nigdy więcej mnie nie zobaczycie - przerwałem, patrząc na ich ponure twarze. - Ale z tego, co widzę, zdecydowanie by się wam przydała pomoc.
Szachid patrzył na mnie i widać było, że stara się zapanować nad swoją naturalną skłonnością do dąsów. Chyba powoli dochodził do przekonania, że mógłbym okazać się przydatny. Wskazał stół.
- Usiądźmy. - Odwrócił się do pozostałych. - Przysuńcie jakieś krzesła. W końcu napięcie opadło i usiedliśmy. Wyjąłem paczkę tytoniu.
- Mogę?
Szachid pokiwał głową. Okazało się, że sam nie palił, i chyba był temu przeciwny, ale Leo i pozostali dwaj szybko wyłowili paczki papierosów z kieszeni.
16 - Zamach na prezydenta
241

- Musi pan zrozumieć, panie Chan - zaczął wolno Szachid - że ja pana nie znam. Muszę mieć jakieś potwierdzenie, że to, co nam pan mówi o swoim zaangażowaniu w Afganistanie, z Al-Kaidą - to prawda. Uśmiechnąłem się.

- To dlaczego po prostu ładnie nie poprosiłeś?

Przećwiczyłem to wszystko dokładnie z Joem Lassiterem i Chasem Housemanem, oficerem łącznikowym z MI-6.

- Jak być może wiesz, Osama bin Laden pozostaje czolowym przywódcą Al-Kaidy. To znaczy „bazy”, to raczej luźna struktura niż formalna organizacja.

Szachid słuchał uważnie i potakiwał, notując jednocześnie na kartce papieru.

- Obecny de facto szefem operacji jest zastępca Osamy, człowiek nazwiskiem Ajman az-Zawahiri. Jednym z tych bezpośrednio pod nim jest Mustafa Abu al-Jazid, afgański dowódca i oficer łącznikowy talibów. Głównym dowódcą polowym w rejonie granicy z Pakistanem jest Chalid Habib. To z jego ludźmi najczęściej pracowałem. Moim bezpośrednim szefem był członek pakistańskiego wywiadu, oficer łącznikowy brygadier Patel.

Z wyrazu twarzy Szachida jasno wynikało, że sam nie znał tych nazwisk. Podniósł wzrok znad zapisanej pospiesznie kartki.

- Może to pan udowodnić?

- Ty możesz - odparłem. - Sam zadzwoni do brygadiera. Dam ci jego numer telefonu satelitarne w Pakistanie. Zapytaj go o mnie.

Szachid poruszył się niezręcznie na krześle, jakby pomyślał, że to już przestaje być jego liga.

- Sam nie wiem.

- Posłuchaj, Achtar - powiedziałem stanowczo. - Widać wyraźnie, że nie ty jesteś mózgiem tej operacji, cokolwiek szykujecie. Tak? Ale ktoś nim jest, ktoś z koneksjami. Przekaż, żeby ten ktoś porozmawiał z brygadierem Patelem wyżej. Nagle Szachidowi ulżyło.

- To dobry pomysł, panie Chan. Tak zrobię.

Proszę, dobry Boże, tak, pomyślałem. I zaprowadź nas do nieuchwytnego doktora Samira czy nawet koordynatora Al-Kaidy, Naweda Husajna. Oczywiście nikt w pokoju poza mną nie wiedział, że brygadier Patel był podwójnym agentem. Joe Lassiter zdradził mi w sekrecie, że według Chasa Housemana generał został „kupiony” przez agenta tajnych służb Sri Lanki. Rząd Sri Lanki tradycyjnie był w dobrych stosunkach z rządem Wielkiej Brytanii, który wspomagał go w walce z Ta-milskimi Tygrysami. Sri Lanka odwzajemniała się, angażując swoje służby specjalne w tak zwaną wojnę z terroryzmem - jej agenci mieli odpowiedni wygląd i zwyczaje, oraz posługiwali się miejscowym językiem, więc mogli inwigilować Al-Kaidę poprzez jej związki z Pakistanem. Brygadier Patel był skorumpowany do szpiku kości i należał do większej frakcji w pakistańskim wywiadzie wojskowym, popierającej talibów i Al-Kaidę. Namówienie go do zmiany stron

wymagało połączenia szantazu, pieniędzy i stałych dostaw ładnych dziwek. Jeśli chciał zachować swoje pieniądze, harem i życie, bez problemów przypominałby mnie sobie po rozmowie ze swoim kontrolerem Sri Lanki. Szachid zapisał jego numer.

- Przepraszam pana za ten niefortunny początek, panie Chan. Odwieziemy pana i Lea do najbliższej stacji metra, pasuje to panu? Potem zadzwonimy, kiedy dostaniemy konieczne potwierdzenie.

Odetchnąłem w duchu z ulgą.

- Achtar, współpraca z tobą na pewno będzie przyjemnością. *Allach akbar.*

Dwa dni później jadłem obiad z Jazz i Joem Lassiterem w ulicznej kafejce w Covent Garden. Lassiter był w wyjątkowo dobrym nastroju. Zrobiło się chłod-nawo, więc znów zaczął nosić swój kapelusz i brudny płaszcz; Jazz i ja korzystaliśmy z resztek słońca w letnich ubraniach.

- Cholerny geniusz - powiedział, siorbiąc z kieliszka pinot grigio. - Po tym, jak Leo się znów z tobą skontaktował i wspomniął o Cambridge, sprawa awansowała z „niezwiązanej”, gdyby działali z własnej inicjatywy, do „pierwszorzędnej”, czyli bezpośredniej operacji Al-Kaidy. Po waszym spotkaniu chłopcy z A-4 przyczepili ogon Szachidowi i jego kumpłom. Wydział techniczny podłożył pluskwy w ich domu i samochodzie. Ludzie z 18. Pułku Sygnałowego monitorowali już telefony z komórki Leo Fryatta, więc...

- Nie mówiłeś mi o tym - przerwałem. Lassiter wzruszył ramionami.

- Musiało mi wypaść z głowy. - Wypił następny duży łyk wina. - Zmierzam do tego, że mieliśmy już numer komórki Szachida, bo dzwonił do Lea, więc jego też podsłuchiwaliśmy. Po waszym spotkaniu, tak jak mieliśmy nadzieję, zadzwonił do doktora Samira w sprawie brygadiera Patela.

- Doktora Samira? - powtórzyła Jazz. - Wiecie, gdzie jest?

- Miał komórkę na kartę - odparł Lassiter. - Nie mamy więc dokładnego adresu, ale udało się nam go zlokalizować GPS-em. Siedzi w mieszkaniu w Chigwell. Blisko Mil do Cambridge. Nieruchomość należy do znanego nam radykalnego duchownego.

Zmarszczyłem brwi.

- To nie zamkniecie już komórki?

- Żartujesz, Phil? - Dlaczego się nie domyśliłem, że to nie będzie takie proste? Lassiter sprostował moje błędne wyobrażenia.

- Po pierwsze, nie złapaliśmy tego koordynatora, jak on się nazywa?

- Nawed Husajn - przypominałem.

- Tak, on. Wciąż jest na wolności. A już na pewno nie zwiniemy tych ludzi, dopóki El Presidente nie będzie już w drodze do nas! Nie chcemy, żeby ci dranie wymyślili plan B, o którym nie wiemy. Zresztą mamy u nich swoją wtyczkę. Ciebie.

- Masz taką nadzieję - powiedziałem.
- Wiem. Przed chwilą się dowiedziałem, doktor Samir rozmawiał z brygadierem Patelem w Pakistanie przez telefon satelitarny. Generał najwidoczniej dobrze cię pamięta. Byłeś doskonałym żołnierzem. Pamiętał też, jakie to dziwne, że nie znasz urdu.
Pokręciłem głową Lassiter był niepoprawny.
- Wciąż nie mogę uwierzyć, że się nam to udało.
W tym momencie zadzwoniła moja właściwa, własna komórka. Zerknąłem na ekranik i odebrałem.
- Halo, Leo?
Lassiter z niepokojem zmarszczył brwi.
- Cześć, panie Chan. Właśnie odezwał się nasz wspólny przyjaciel. Zapraszamy na imprezę, rozumie pan, co mam na myśli?
- Doskonale - powiedziałem spokojnie. - Ale tym razem bez takich paskudnych niespodzianek, co?
- Nie wiedziałem, co się ma stać. Chyba dostali nauczkę.
- I co teraz?
- Przyłączy się pan do nas, szefie, i wszyscy na kilka dni wyjedziemy. Da pan radę?
- Jasne, kiedy?
- Może pan jechać dzisiaj wieczorem?
- Mogę.
- Niech pan przyjedzie w to samo miejsce co ostatnio. Mam furę.
- Nie wiedziałem, że umiesz prowadzić.
- Pewnie, że umiem, tylko nie było mnie stać na samochód. Do zobaczenia o ósmej, dobra?
Potwierdziłem i rozłączyłem się.
- Zaczynamy.
Czekając pod płotem osiedla, na którym mieszkał Leo, usłyszałem niskie, basowe dudnienie na kilka sekund wcześniej, zanim zobaczyłem sam samochód, który wypadł zza zakrętu z piskiem opon. Był to podrasowany, dość stary escort z przyciemnianymi szybami, olbrzymią chromowaną rurą wydechową i absurdalnym spojlerem. Koła znów zapisać, kiedy Leo dał po hamulcach i zatrzymał się obok mnie.
- Hej, szefie, cudo, prawda? - zawołał przez otwarte okno. - Niech pan wskakuje!
Wrzuciłem swój mały plecak na tylny fotel i usiadłem z przodu.
- Skąd go masz? - spytałem, patrząc na drewnianą kierownicę z chromowanymi szprychami.

- Rano kupilem. Od jakiegoś gościa z osiedla. Nieźle, jak na trzy kawałki Ledwie słyszałem co mówił przez ryczące decybele.

- Nie wiedziałem, że masz tyle pieniędzy.

- Od Szachida. Forsy mu nie brakuje. Powiedział, że będziemy potrzebowali jakiegoś transportu.

Pokręciłem głową.

- Nie mówił, żeby nie kupować nic rzucającego się w oczy? Leo wyglądał, jakbym go uraził.

- Ma przyciemniane szyby. Wszyscy tu takimi jeżdżą.

- Słuchaj, jeśli mam gdzieś z tobą jechać, musisz wyłączyć ten jazgot. Nie słyszę własnych myśli.

Leo posłuchał z ociąganiem, a potem wrzucił jedynkę i ruszył z piskiem opon rycząc silnikiem jak oszalały lew.

- I musisz jechać zgodnie z przepisami i bezpiecznie - dodałem. Zerknął na mnie, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Mówi pan jak moja mama.

- Masz jechać tak, jak ona by jechała. Nie chcę, żeby zgarnęli mnie gliniarze bo jedziesz jak idiota, albo żebyś wypadł z drogi, bo nie jesteś taki dobry, jak ci się wydaje.

- Dobra, szefie, już łapię, wystarczy.

Chyba zrozumiał, bo uspokoił się trochę i zaczął prowadzić z większym opanowaniem. Pojechaliśmy do M25 i skręciliśmy na M1 1, kierując się do Cambridge Po drodze zacząłem opowiadać o wyczynowym prowadzeniu, szybkim, ale zarazem bezpiecznym. Leo to wyraźnie zafascynowało, a ja mogłem się trochę odprężyć przez resztę drogi.

Zatrzymaliśmy się przed niedużym domem na farmie niedaleko Ely. Dom był prawdopodobnie wiktoriański, z prostym dachem pokrytym łupkowymi płytkami i gładko otynkowanymi ścianami; prowadził do niego prawie kilometrowy żuźłowy podjazd. Pod domem stały trzy nijakie samochody - jednym z nich było czerwone mondeo kombi, które prowadził Szachid podczas ostatniego spotkania

Kiedy wysiedliśmy, drzwi do domu się otworzyły i sam Szachid wyszedł nas przywitać. Mocno uścisnął mi dłoń.

- Panie Chan, myślę, że powinienem przeprosić, że w pana wąpiłem.

- Nonsens - odparłem. - Nie przyjechałbym tu wam pomagać, gdybyście nie zachowali się jak profesjonaliści i nie sprawdzili moich referencji. Nie mam ochoty pracować z amatorami, nieważne, jak szlachetna jest sprawa. Nie chciałbym spędzić reszty życia w więzieniu ani zginąć męczeńską śmiercią.

Szachid, zaskoczony, zamrugał swoimi beznamiętnymi oczami.

- Śmierć męczennika to śmierć chwalebna. Uśmiechnąłem się.

- Skoro tak twierdzisz.

Frontowe drzwi prowadziły do salonu, gdzie w prostym ceglany kominku paliły się drewniane polana. Pokoje w domu były ładnie wykończone - pomalowano je na blade, pastelowe kolory i urządzono tanimi replikami barowych mebli. Było jasne, że farmer dorabiał sobie, wynajmując ten dom.

Tym razem przedstawiono mnie dwóm pomocnikom Szachida. Obaj mieli po dwadzieścia kilka lat, ciemną karnację, byli cisi i zamyśleni. Nazywali się Husajn, z Pakistanu, i Nasar z Syrii. Szachid rozkazał Husajnowi iść na wartę przy oknie na piętrze, a Nasarowi polecił zrobić nam wszystkim kawę. Kiedy była gotowa, zebraliśmy się we czwórkę przy kominku na kanapie z narzutą w kwiaty i dwóch fotelach.

Zauważyłem, że na stoliku obok tacy z kawą leży pięć telefonów komórkowych.

- Co to? - spytałem.

- Czyste telefony na kartę - odparł Szachid. - Chciałbym, żebyście mi oddali swoje telefony. Aż do końca operacji będziemy

- Nasz cel przybędzie tutaj - powiedział Szachid, wskazując główny pas lotniska. - A zatrzyma się w tym wielkim domu po drugiej stronie bazy, Hollingdene Hall. Cały czas będzie miał ścisłą ochronę. Do bazy są ściągane dodatkowe siły policji i policyjni strzelcy wyborowi.

Zastanawiałem się, ile tak naprawdę wie komórka Szachida.

- Czy cel będzie tam przebywał cały czas? - spytałem.

- Głównie tam. Ale uda się śmigłowcem do Girton College w Cambridge po południu pierwszego dnia. Wtedy mamy największe szanse, żeby uderzyć. Na małej wysokości, kiedy śmigłowiec będzie startował albo lądował. Można go zaatakować spoza terenu bazy.

- Super - zagruchał entuzjastycznie Leo. Szachid się nie uśmiechnął.

- Niestety, ponieważ dowiedzieliśmy się o tym niedawno, nie mamy dostępu do rakiety ziemia-powietrze ani ciężkiego karabinu maszynowego, które nadawałyby się najlepiej.

Leo odwrócił się do mnie.

- Pan był snajperem, panie Chan. Nie mógłby pan po prostu strzelić pilotowi między oczy?

Szachid popatrzył na mnie i z zainteresowaniem uniósł brwi.

- Cóż - powiedziałem powoli - śmigłowiec musiałby się znajdować na sporej wysokości, żeby pasażerowie zginęli w katastrofie. Kiedy helikopter ląduje lub startuje, z naszej pozycji byłoby tylko widać spód kadłuba. Pilot byłby niewidoczny. Do tego nie moglibyśmy przewidzieć jego metody podejścia. Gdybyśmy jakimś cudem mieli szansę, aby strzelić w kabinę, przeszkadzałoby nam słońce odbite od szyby i ruchomy cel.

- Myślałem, że snajperów się szkoli do trafiania w ruchome cele - przerwał Leo. - Jak podczas zabójstwa Kennedy'ego.

- Zgadza się z panem Chanem - powiedział Szachid. - Ukończyłem kurs snajperski w Afganistanie. Cel może się ruszać, ale musi się ruszać od ciebie albo do ciebie, żebyś miał czas dobrze wycelować.

- Jeśli się porusza, powiedzmy, z lewej do prawej - dodałem - jest o wiele trudniej. Do tego trzeba doliczyć prędkość wiatru przy dużych odległościach.

Leo wyglądał na zawiedzionego, ale nic nie powiedział.

Szachid przyniósł z kąta mały pokrowiec, otworzył go, wyjął laptop i postawił na stole. Po kilku chwilach na ekranie pojawiły się zdjęcia. Rozpoznałem bazę Larkheath i jej bezpośrednią okolicę. Wyglądały siłą rzeczy bardzo podobnie do tych, które zrobił mój zespół podczas naszej wizyty.

- Skąd je macie? - spytałem.

- Inna komórka zrobiła już rekonesans w naszym imieniu.

- Są bardzo dobre - powiedziałem szczerze. Szachid mógł wyglądać jak kujo-nowaty studencik, ale miał skądś doskonałe, profesjonalne wsparcie.

- Wydaje mi się, że jeśli cel ma zostać zastrzelony - powiedział z namysłem
- musi to nastąpić, kiedy będzie poza swoją pancerną limuzyną z kuloodpornymi szybami. Z karabinu snajperskiego albo z bliska, z pistoletu. To oznacza moment, gdy będzie wysiadał z samolotu albo odlatywał. Albo kiedy będzie w domu, w którym ma mieszkać.

Po raz pierwszy odezwał się Nasar Syryjczyk. Miał duże, uśmiechnięte oczy, drobne zęby i rzadki, krótki wąsik.

- Jeśli dam radę dostać się do bazy - powiedział - mogę do niego podejść z moją wybuchową kamizelką. Nie będę musiał podchodzić bardzo blisko.

Na samą myśl zrobiło mi się niedobrze.

- To nasze jedyne możliwości? - spytałem.

- Panie Chan, niech pan pójdzie ze mną - odparł Szachid. - Coś panu pokażę.

Zaintrygowany wstałem z kanapy i poszedłem za nim korytarzem i po schodach na piętro. Na górze znajdowała się łazienka i cztery pokoje.

- Przy okazji - powiedział - przydzieliłem panu własny pokój. Jako wyraz szacunku.

Skinąłem głową z wdzięcznością. Otworzył jedno z drzwi.

- To mój pokój - powiedział.

Nie licząc pojedynczego łóżka, była to istna zbrojownia. Na przykrytej kocem skrzyni leżało pół tuzina pistoletów i amunicja. Za nimi, oparty o ścianę, stał szwajcarski karabin snajperski Tanner SSG. W kącie zobaczyłem plastikowy pojemnik i pękate kempingowe butle gazowe. Nie trzeba było geniusza, żeby wywnioskować, że mają posłużyć do przygotowania samochodu pułapki.

- Używamy trimerycznego nadtlenku acetonu jako materiału wybuchowego

- powiedział Szachid, zająknąwszy się na trudnej nazwie. - TATP produkuje się z pospolitych środków dostępnych w sklepach. Wasze IRA używało chyba azotanu amonu z nawozu.

- Tak - powiedziałem, nie słuchając, bo nagle zauważyłem dwie kamizelki naszpikowane materiałami wybuchowymi na wieszaku na kapelusze w drugim kącie.

Szachid zobaczył moje zaskoczenie i uśmiechnął się pod nosem.

- W muzułmańskiej społeczności jest wiele szwaczek. Zrobiły te kamizelki według instrukcji. Ten typ stosowano w Iraku. A więc, jak pan widzi, takie mamy możliwości.

- Skąd wzięliście broń? - mruknąłem.

- Z Libanu i Syrii, przewieziono ją przez granicę z Turcją. Potem są przemywane w kontenerach przez handlarzy narkotykami i ludźmi. Mając odpowiednio dużo czasu, możemy mieć niemal wszystko, czego zapagniemy. Chociaż w domu było ciepło, przeszedł mnie nagły dreszcz.

- A więc takie mamy możliwości, panie Chan. Karabin snajperski. Zabójstwo z bliska, z pistoletu albo w samobójczym zamachu. Albo samochód-pu-lapka.

- Trzeba powiedzieć, że jesteście przygotowani na każdą ewentualność. Szachid utkwiał we mnie hipnotyczne spojrzenie; jego oczy wydawały się rosnąć za grubymi szklami okularów.

- To bardzo ważny cel. Bardzo symboliczny. Tak samo jak Twin Towers, ale w innej skali.

- Tutaj przynajmniej nie ucierpią niewinni ludzie - powiedziałem w chwili nieuwagi. Szachid popatrzył na mnie z zaciekawieniem.

- Niewierni nie są niewinni, powinien pan o tym wiedzieć, panie Chan, bo nie przestrzegają ściśle prawa islamu.

- Oczywiście, ale chodziło mi o bardziej niewinnych, niż powiedzmy żołnierze czy policja chroniący państwo niewiernych. Jego zaciekawienie nie minęło.

- Zaskakuje mnie pana pogląd. Żołnierz to żołnierz. Dostaje pieniądze i ma zginąć za swój kraj, jeśli to konieczne. To jego praca. Zabijanie takich ludzi jest w oczach Allacha bezwartościowe. Dopiero zabijanie zwyczajnych, nic niewartych niewiernych, którzy się od niego odwracają może go naprawdę zadowolić.

Miałem ochotę dać mu w twarz, ale wziąłem tylko głęboki oddech. Przynajmniej tę jego nieludzką komórkę można było powstrzymać, zanim zdążyliby wyrządzić wiele zła.

Musiał zauważyć mój wyraz twarzy.

- Oczywiście rozumiem, że nie wszyscy muzułmanie podzielają ten punkt widzenia. - Ton jego głosu sugerował, że uważa, iż to źle, ale nie chciał chyba znów mi podpaść. - Dlatego trzymajmy się konkretów.

Wróciliśmy na dół, gdzie wyjął z teczki kilka kartek papieru.

- To lista firm, których pracownicy mają regularny dostęp do bazy Larkheath, pracują w niej albo dowożą towary. Zobaczycie, że są tam ogrodnicy i firmy remontowe, dostawcy paliwa, firmy cateringowe. Husajn i Nasar złożyli podania o pracę w kilku z nich, ale jak dotąd bez powodzenia. To się może zmienić, ale raczej nie przed przybyciem naszego celu. Wieczór się ciągnął, a my omawialiśmy szczegółowo rolę każdej z firm i studiowaliśmy notatki sporządzone przez zespół obserwacyjny komórki. Zależało mi, żebyśmy ułożyli sensowny plan, który dałby naszej komórce zajęcie do chwili, kiedy spadnie na nią wydział specjalny.

W końcu chyba znalazłem sposób.

- Powiedziałeś, że zależy wam na moim doświadczeniu - powiedziałem do Szachida. - Chyba wiem, jak to zrobić. To metoda używana kiedyś przez IRA w Irlandii Północnej. Chyba ani razu nie zawiodła.

Wtedy jedyny raz widziałem, jak Achtar Szachid naprawdę się uśmiecha. A widok tych równych, białych zębów, nie wiedzieć czemu, przypawił mnie o gęsią skórkę.

15

Obserwowaliśmy go przez cały dzień. Zaczęliśmy o piątej rano, kiedy samochód dostawczy z piekarni nazwanej dowcipnie Doughboy* wyjechał w trasę. Mała firma znajdująca się w pobliskiej wsi Larkheath łączyła w sobie piekarnię i sklep. Jedynymi poza nią przedsiębiorstwami na cichej, spokojnej uliczce była poczta połączona ze sklepem spożywczo-przemysłowym, fryzjer i niewielki pub. Wszystkie inne sklepy dawno przerobiono na domy mieszkalne. Przez ostatnie kilkadziesiąt lat powstały w tej okolicy wolno stojące, ekskluzywne domki oraz niewielkie posiadłości prywatne i samorządowe.

Sześć lat temu piekarnia z trudem wiązała koniec z końcem. Ale nowy właściciel dostrzegł potencjał tkwiący w bazie Larkheath, zmienił nazwę i zaczął się specjalizować w ulubionych wypiekach Amerykanów. Jego chleb żytni, placki, ciastka orzechowo-klonowe, bułki do hamburgerów i hot dogów wprost znikwały z półek i niedługo potem wygrał przetarg na zaopatrywanie amerykańskiej bazy powietrznej. Oznaczało to codzienne dostawy.

- To chyba nasz człowiek - powiedziałem do Szachida, obserwując z jego samochodu oświetlony dziedziniec piekarni. Ubrany na biało kierowca wyszedł ze środka i zaczął ładować furgonetkę. Na skrzyni samochodu był wymalowany wesoły, uśmiechnięty amerykański żołnierz z czasów I wojny światowej, w szerokim kapeluszu. Maszerował z dużym bochenkiem chleba pod pachą.

Szachid pstrykał zdjęcia.

Kiedy kierowca wyruszył w trasę, pojechaliśmy za nim. Na drogach było prawie pusto, więc mogliśmy utrzymywać dogodny dystans. Ja prowadziłem; kiedy dotarliśmy do hotelu Larkheath Manor, zjechałem na parking.

Szachid zadzwonił do Nasara.

- Dostawa w drodze.

Nasar potwierdził. Został wysłany wcześniej w umówione miejsce na piechotę - udawał porannego biegacza - by wyminąć blokadę strzegącą publicznej drogi

250

biegnącej przez środek amerykańskiej bazy. Teraz stał blisko głównego wjazdu na lotnisko, pijąc wodę mineralną. Minęła go furgonetka.

Później się dowiedzieliśmy, że zauważył, jak żandarmi i wartownicy bardzo serdecznie przywitali kierowcę.

- Cześć, Sam, masz jakieś darmowe próbki? - zawołał jeden z Amerykanów. Kierowca się zaśmiał.

- Spróbuj dzisiejszego specjału, Todd. Ciastka orzechowe — odparł i podał przez okno paczuszkę. - Tylko się podziel, znam cię dobrze, pazemy draniu.

- Rany, moje ulubione! Nie jadłem ich, odkąd wyjechałem z domu.

- Może wejdą do oferty na stałe, jeśli się będą dobrze sprzedawać — powiedział Sam.

Przepuszczono go do środka. Nikt go nie sprawdzał, nie przeszukiwał samochodu. Nie było potrzeby. Najwyraźniej wszyscy wartownicy znał i Sama i lubili.

Zaczekaliśmy, aż furgonetka wyjedzie z bazy i znów za nią pojechaliśmy, śledząc przez całą trasę codziennych dostaw, czasami zamieniając się samochodami z Leo. Po objechaniu niezliczonej liczby sklepów, pubów i restauracji kierowca wrócił w końcu do piekarni tuż przed czternastą Niedługo potem wyszedł z budynku już bez białego fartucha i czapki, i wsiadł do zielonego renault clio.

Pojechaliśmy za nim naszym mondeo kombi na północ, aż po kilku kilometrach clio skręciło na parking przydrożnego pubu.

Minąłem go i zatrzymałem się w zatoczce.

- Szachid - powiedziałem - idę tam i spróbuję z nim porozmawiać.

- To dobry pomysł?

- Musimy wiedzieć o nim jak najwięcej, a kończy nam się czas.

- Dobrze, jeśli pan tak uważa.

Wysiadłem z samochodu i wróciłem na parking. Główny bar staroświeckiego pubu był ciemny i ponury - ściany wyłożono ciemną boazerią. Oprócz kierowcy Sama był tam tylko jeden klient, siedzący na stołku przy barze. Starszy mężczyzna, w tweedowym garniturze, z krawatem i w czapce cyklistówce, wyglądał na stałego bywalca. Przyjrzał mi się z autentycznym zaciekawieniem, kiedy podszedłem i zwróciłem się do pulchnej kobiety w średnim wieku stojącej za kontuarem.

- Kufelek najlepszego, proszę - powiedziałem. - Nie wie pani przypadkiem, jak trafić stąd do piekarni Doughboy? Chyba się zgubiłem.

Zaśmiała się, nalewając piwo.

- Pytasz we właściwym miejscu, kochanie. Sam dla nich pracuje. Odwróciłem się do kierowcy. Z bliska zobaczyłem, że był prawdopodobnie tuż

po czterdziestce, miał pulchną gładko ogoloną twarz i siwiejące włosy. Spory brzuch, napinający czerwony pulower, sugerował, że jego właściciel sam lubi smakołyki swojej piekarni.

- Tak jest, kolego - powiedział pogodnie - szukasz małej wioski Larkheath.

- A to nie to samo co baza lotnicza?

- Nie, wielu ludzi nie wie, że jest też wieś o tej samej nazwie. Mylą jedno z drugim. - Zerknął na zegarek. - Ale o tej porze nie będą już raczej mieli dzisiejszego chleba. Za to ciasta i ciasteczka jak najbardziej.

- To nic - odparłem, upijając łyk piwa. - Chciałabym porozmawiać o złożeniu stałego zamówienia, bo mam zamiar otworzyć amerykańską restaurację w Cambridge.

W oczach Sama zamigotało zainteresowanie.

- Ach tak? A gdzie? Wzruszyłem ramionami.

- Jeszcze nie wiem. Pośrednicy szukają dla mnie miejsca. - Wyciągnąłem rękę. - Jestem Phil Masters.

- Sam Goodwin - odparł i uściśnął mi dłoń. - Powinno się panu udać, na uniwerku jest sporo młodzieży. Nasze wypieki są bardzo dobre i bardzo je lubią Jankesi z Larkheath.

- Pan stąd?

- Tak, tu się urodziłem i wychowałem.

- Naprawdę? Gdzie pan mieszka? Będę musiał sobie poszukać jakiegoś mieszkania.

- W małej wsi Fenwell, jakieś trzy kilometry stąd. Zna pan?

- Nie.

- Jedyne minus jest takie, że nie ma tam pubu. Przyjeżdżam tutaj na piwo czy dwa po pracy. Trzeba uważać, żeby nie jechać po pijanemu, wie pan.

- Oczywiście, zwłaszcza jeśli ma pan rodzinę na utrzymaniu. Sam parsknął śmiechem.

- Boże, moja pani by mnie zabiła, gdybym stracił prawko i pracę, rzecz jasna. Musiałaby sama jej poszukać. Tutaj to niełatwe, no ale ona ma na głowie dzieciaki.

- Naprawdę? Mój syn ma jedenaście lat. A pańskie?

- Emily siedem, a Adam dziesięć.

- Czyli najgorsze jeszcze przed panem - powiedziałem. - Okres dojrzewania. Pogawędziliśmy tak jeszcze chwilę, a kiedy Sam zaproponował, że postawi mi piwo, uprzejmie odmówiłem i wyszedłem, mówiąc, że muszę jeszcze zajechać do piekarni i sprawdzić nieruchomość w Cambridge.

Wróciłem do Szachida i opowiedziałem mu wszystko, kiedy jechaliśmy do Fenwell. Zaczailiśmy się na skraju wioski na bocznej, gruntowej drodze.

Dwadzieścia minut potem minęło nas cło Sama, a my ruszyliśmy za nim w bezpiecznej odległości. Fenwell ciągnęło się przez jakieś pięćset metrów i składało się z dwóch rzędów domów, nowych i starych, stojących przy głównej drodze. Nie było tu poczty, sklepów i pubu też nie. Podobnie jak wiele innych małych wsi miejscowość ta nawet nie dogorywała - już dawno umarła. Sam skręcił w prawo na krótki podjazd nowoczesnego, trzypokojowego domku wciśniętego między

sąsiednie posesje, a ja zjechałem do krawężnika kawałek przed nim, żeby widzieć, jak Sam otwiera drzwi. Przygotowaliśmy się na dłuższą obserwację. Tuż po wpół do piątej nadjechał stary jeep i zaparkował obok clio. Wsiadła z niego gruba kobieta. Ubrana w długą spódnicę w kwiaty, miała białe, ciastowate ramiona i długie siwiejące włosy. To, że była żoną Sama, potwierdziło się, kiedy z samochodu wysiadły razem z nią dzieci, chłopiec i dziewczynka. Wszyscy razem weszli do domu. Usłyszałem obok siebie pstryknięcie aparatu Szachida.

Ustaliliśmy, że Leo i Nasar zajmą się dalszą obserwacją i ruszyliśmy z powrotem do bazy na farmie. Później, kiedy zjedliśmy kanapki i rozpaliliśmy ogień w kominku, Szachid, Husajn i ja usiedliśmy obok niego.

- Wciąż pan uważa, że pana plan wypali, panie Chan? - spytał Szachid. Kiwnąłem głową.

- Lepiej być nie mogło. Kierowca ma dzieci, co oznacza, że będzie miał jeszcze silniejszą motywację do współpracy.

- A więc jak to pan widzi w praktyce? - spytał Husajn. Był małym młodym człowiekiem, który dużo myślał, ale bardzo rzadko się odzywał.

- Uderzymy, kiedy będzie jeszcze ciemno - odparłem. - Czarne ubrania i kominiarki. Ty i Nasar włożycie kamizelki wybuchowe. Wyważymy okno z tyłu, potem wkradniemy się na górę i wpadniemy do sypialni rodziców. Trzeba będzie nimi wstrząsnąć, pokrzyknąć, stłuc jakieś ozdoby czy lustro. Po prostu śmiertelnie ich przestraszyć! Może nawet strzelić z pistoletu, jeśli będziemy mieli tłumik. Przywlecziemy dzieci do sypialni. - Przerwałem i nonszalancko napiłem się herbaty. - Powiemy Samowi, co ma robić, jeśli wypełni polecenia, jego rodzina przeżyje, jeśli nie... Jego żony i dzieci będzie pilnował jeden z naszych samobójców, a Sam pojedzie do pracy jak zwykle. Załaduje samochód tak, żeby drugi zamachowiec mógł się schować z tyłu.

- Nie sądzi pan, że wartownicy w bazie przeszukają samochód? - spytał Szachid.

- Nie, czemu mieliby to robić? - odparłem. - Znają furgonetkę i znają Sama. Dlaczego mieliby cokolwiek podejrzewać? W najgorszym razie otworzą tylne drzwi i pobieżnie zajrzą do środka.

- A więc kierowca wyjeżdża z piekarni i zatrzymuje się w umówionym miejscu - powiedział Szachid - gdzie wsiada i chowa się nasz drugi człowiek w wybuchowej kamizelce.

- Zgadza się - odparłem. - Będzie miał na sobie kombinezon roboczy i torbę z narzędziami. Potem jada do bazy. Jeśli baza wydaje jakieś specjalne przepustki, to kierowca z piekarni będzie już taką miał. Jak ustaliliśmy, tuż przed rampą kuchni jest kawałek osłoniętego terenu, którego nie widać z okien, nie ma też w pobliżu żadnych drzwi. Tam nasz zamachowiec wyslizgnie się z furgonetki i po prostu odejdzie. Może nawet będzie miał w torbie pożywne śniadanie na koszt niewiernych.

Na ustach Husajna zamigotał niepewny uśmiech.

- A jeśli zostanie zatrzymany i wylegitymowany?

W oczach Szachida choć raz pojawił się ogień namiętności.

- Nie martw się. Nasza komórka wsparcia już ma kopie przepustek bazy, musimy tylko dodać zdjęcia.

To mnie trochę zaskoczyło, ale starałem się nie zdradzić.

- Później, kiedy cel przyleci - powiedziałem - nasz człowiek po prostu podejdzie najbliżej, jak się da. Nikt nie zwróci uwagi na serwisanta w całkowicie zabezpieczonej bazie wojskowej. Zakładam, że nasz cel może mieć ochronę. Mimo to, kiedy uznają, że muszą interweniować i zatrzymać tego serwisanta... będzie już za późno. Wybuch zabije ich wszystkich.

- **Allach akbar** - mruknął Szachid. - Bóg jest naprawdę wielki.

- Musimy tylko zdecydować - powiedziałem - kto się zgłosi na ochotnika, żeby zostać chwalebny męczennikiem.

Przypominało to kilka ostatnich chwil skoku ze spadochronem - ostatnie dni przed wizytą prezydenta USA przeleciały jak z bicza strzelił. Rozpoznanie i planowanie było zakończone. Nie mogłem uwierzyć, że pozostali uczestnicy planowanego zamachu nie domyślili się, kim jest ich cel, ale wydawali się zaskoczeni, kiedy Szachid ostatecznie nam to zdradził. Nasar i Husajn aż spuchli z radości, ale Leo zrobił się bardzo cichy.

Kiedy przyszło co do czego, Szachid nie palił się do wcześniejszej wycieczki do raj. Ostentacyjnie jednak zgodził się w końcu niechętnie, gdy Nasar i Husajn błagali, że łzami w oczach, by to któryś z nich mógł się wysadzić w powietrze.

Szachid wybrał w końcu Nasara, ponieważ ten miał jaśniejszą skórę i mówił lepiej po angielsku, więc nie zwracałby na siebie takiej uwagi w bazie.

Szachid wrócił do swojej przerażającej mantry o zabijaniu cywilów.

- To może być nagroda pocieszenia - powiedział do Husajna - ale kiedy prezydent zginie, nie będzie potrzeby uwalniać rodziny ani kierowcy. Zaczekaj, aż wróci wieczorem, a potem zniszcz ich wszystkich. Zniszcz niewiernych rodziców i ich niegodziwy pomiot.

Leo Fryatt nie chciał umierać i słuchał tego z bardzo niepewną miną. Zerkał co chwila na mnie, jakby szukał jakiejś moralnej otuchy.

Ustaliłem już, że muszę ich opuścić dzień przed zamachem, bo inne komórki Al-Kaidy też potrzebowały moich umiejętności. Ale bardzo chciałem wyciągnąć z tego też Leo. To ja go w to wszystko wrobiłem i było nie fair, żeby zostawał w komórcie Szachida, kiedy zjawi się tu uzbrojona policja. Ale logistyka operacji wymagała obecności czterech osób.

Poczułem ogromną ulgę, kiedy w piątek rano przed wizytą prezydenta wyszedłem z domu z Szachidem, który miał mnie odwieźć na dworzec w Cambridge.

W drodze prawie się nie odzywał, a moje myśli zaczęły błądzić. Chociaż wiedziałem, że wszyscy byliśmy nieustannie śledzeni i inwigilowani przez MI-5, ani razu nie zauważyłem nic podejrzanego. Mimo tej świadomości źle się czułem, biorąc udział w planowaniu operacji, której celem było nie tylko zabicie światowego przywódcy, ale też całkowicie niewinnej, czteroosobowej rodziny, w tym dwojga dzieci. Najbardziej chyba doskwierała mi myśl, że zostałem pozbawiony telefonu od Joego Lassitera, a więc centrum kontroli Służby Bezpieczeństwa nie mogło nas podsłuchiwać.

W końcu, kiedy dotarliśmy na stację, Szachid się do mnie odwrócił.

- Muszę panu podziękować za pomoc, panie Chan. Praca z panem była zaszczytem. Wiele się nauczyłem.
- Cała przyjemność po mojej stronie - odparłem, a słowa stawały mi w gardle. Oddał mi skonfiskowany telefon.
- Proszę go nie używać, dopóki nie wróci pan do Londynu. Jeśli niewierni podsłuchują pana rozmowy, mogą pana zlokalizować. Z tego samego powodu proszę nie dzwonić pod numery członków naszej siatki.
- Nie martw się, Achtar, wiem to wszystko.
- W takim razie powodzenia w życiu, panie Chan, i w wojnie z niewiernymi - ciągnął swoim obrzydliwym, aksamitnym głosem. - Któregoś dnia musi pan wrócić do Pakistanu, tym razem żeby połączyć się z rodziną pana ojca.
- Na pewno tak zrobię.
- *Allach akbar*.
- *Allach akbar* - odparłem.

W końcu go zostawiłem i najszybciej jak mogłem, poszedłem do kasy biletowej. Chciałem uciec od Szachida i aury zła, jaka go otaczała; tak samo jak słodki zapach jego wody po goleniu przesiąkła mnie i czułem się skażony samym przebywaniem w jego towarzystwie. Kiedy wszedłem na peron, pociąg do Londynu właśnie wjechał. Wsiadłem do wagonu.

Zanim jeszcze znalazłem wolne miejsce, już dzwoniłem do Lassitera.

Odebrał natychmiast, zupełnie jakby siedział i czekał na mój telefon.

- Cześć, Joe - powiedziałem szybko. - Właśnie wsiadłem do pociągu z Cambridge do Londynu. Zabrali mi telefon, kiedy tylko do nich przyjechałem.
- Spokojnie, Phil - odparł Lassiter swoim oleistym, pewnym siebie tonem, którego używał, kiedy uważał, że ma w rękę wszystkie asy. - Słyszeliśmy, co się działo. Chłopaki podłożyli w nocy pluskwy w samochodach Lea i Szachida, i w domu następnego dnia, kiedy wszyscy wyszliście. - Zaśmiał się. - Stary, wiesz, jak ty chrapiesz?

Zignorowałem to.

- A więc wiecie o Samie Goodwinie i jego rodzinie?
- O kierowcy z piekarni? Oczywiście. To wszystko twój chytry plan, co? Bardzo imponujący.

- Dopilnuj tylko, żeby nic się im nie stało.

- Nic im nie będzie. Zamkniemy Szachida i jego kolegów jutro rano, zanim wystartuje samolot naszego VIP-a. Na razie będziemy ich obserwować całą dobę - przerwał. - Wiesz co, wyjadę po ciebie na stację. Powiedz tylko, o której będziesz. Powiedziałem mu i rozłączyłem się, a potem zadzwoniłem do biura, żeby powiedzieć Kate, że wracam. Trochę uspokojony zacząłem szukać miejsca, kanapki i gazety. Wyglądało na to, że przynajmniej dla mnie męka się już skończyła. Kiedy pociąg przyjechał na Liverpool Street, Lassiter czekał na mnie w czarnej taksówce M1-5.

- Dobra robota, Phil, misja prawie skończona. Jeśli nie zdobyłeś do tej pory serca Królowej Śniegu, to teraz na pewno ci się to udało. Może nawet czeka ją awans.

Jadąc do biura, zrelacjonowałem wydarzenia ostatnich kilku dni, żeby Lassiter wiedział o wszystkim bez wyjątku. Kiedy wysadził mnie na miejscu, spytałem, czy sam jedzie do bazy Larkheath.

- No, muszę tam być, żeby nadzorować aresztowanie komórki Szachida przez wydział specjalny i S019. - Uśmiechnął się z zadowoleniem. - Kto wie, może nawet załapię się na uścisk dłoni pewnego wdzięcznego prezydenta.

Kręcąc głową z niedowierzaniem, zbiegłem po schodach do suterenu i wszedłem do środka.

- Cześć, szefie - przywitała mnie Kate. Ledwie na nią spojrzałem, kiedy zauważyłem Ninę siedzącą na jednym z biurowych foteli. Była blada i spięta, wciąż w modnych i drogich ciuchach, ale nie wyglądała już, jakby przed chwilą wyszła od fryzjera, i nie była mocno umalowana.

Wstała, uśmiechając się ze zdenerwowaniem.

- Przepraszam, Phil, Kate powiedziała, że mogę poczekać. Mam nadzieję, że nic się nie stało? Rzuciłem Kate mordercze spojrzenie, ale odbiła je wzruszeniem ramion i uśmiechem.

- Czego chcesz? - spytałem.

- Możemy porozmawiać? Przestraszyłem się.

- Jasne. - Spojrzałem na Kate. - Jest ktoś w jadalni?

- Nie, Gerry wyszedł, a Jazz wciąż opiekuje się Zoe.

Dałem Ninie znak, żeby poszła za mną do naszego prowizorycznego pokoju operacyjnego.

- No to o co chodzi? - spytałem, kiedy zamknąłem drzwi. Była zakłopotana.

- Chciałam ci podziękować. Zaskoczyła mnie.

- Za co?
- Za to, że złapałeś mordercę Franka. Minęło trochę czasu, zanim się dowiedziałam, co zrobiłeś. To było bardzo odważne.
- To był odruch - powiedziałem szczerze. - I prawdopodobnie bardzo głupi. Gdybym się zastanowił...
- Ale się nie zastanawiałeś - przerwała Nina. - Mimo tego co się między nami wydarzyło.
- Nikt na coś takiego nie zasługuje. Jak to zniósł Danny?
- Niezbyt dobrze. Mimo że nie przepadał za Frankiem, chociaż mówiłam ci co innego. - Znów się niezręcznie uśmiechnęła. - Frank zawsze chciał, żeby Danny traktował go jak prawdziwego ojca, a Danny tego nie znosił. Wtedy Frank się złościł. Był bardzo wybuchowy. Danny zamknął się w sobie jeszcze bardziej. Ale tęskni za tobą bardziej, niż tęskniłby za Frankiem.
- Może mógłbym wpaść go odwiedzić. Może w niedzielę?
- Byłoby fajnie. Ucieszyłby się bardzo. - Zawahała się chwilę. - Policja poradziła nam, żebyśmy na jakiś czas wyjechali. Chodziło o twoją pracę. Mieszkamy u starej ciotki Dot. Chyba jest zadowolona z naszego towarzystwa. Kiwnąłem głową a potem sam siebie zaskoczyłem.
- A jak ty sobie radzisz? - spytałem.
- Dużo łez. Dużo nieprzespanych nocy. - Spojrzała mi prosto w oczy. - I dużo myślenia. Z początku to ciebie obwiniałam za śmierć Franka. I za to, że musieliśmy się wyprowadzić. Lekarz załatwił nam terapię. Dobrze było z kimś porozmawiać. Powoli zaczęłam dochodzić do wniosku, że może ten rozwód to był błąd. Frank się mną zainteresował, a mnie to pochlebiało. Ale po jego śmierci dowiedziałam się, że jego firma miała kłopoty i że on sam narobił sobie karcianych długów. Dlatego tak nalegał na wysoką ugodę rozwodową. Przez niego ja też zaczęłam tak myśleć.
- A teraz?
- Czy możemy przynajmniej zostać przyjaciółmi? - W jej oczach pojawiły się łzy. - Może warto byłoby częściej się widywać, zobaczymy, jak to się ułoży? A przynajmniej rozwieść bez awantur?
Zmusiłem się do uśmiechu.
- Musiałabyś się najpierw pozbyć tej swojej potwornej pani adwokat.
- Już to zrobiłam.
- Zastanowię się - powiedziałem, ale wiedziałem, że dla mnie nie ma już powrotu. - Może pogadamy w niedzielę? Kiwnęła głową.
- Lepiej już pójść. Wpadnij na pieczęć Dot, około pierwszej. Na pewno ucieszy się na twój widok.
- Wpadnę, dzięki.
Nina ruszyła do drzwi, ale przystanęła.
17 - Zamach na prezydenta
257

- Policja mówiła, że ten człowiek zabił Franka, bo wziął go za ciebie. Podobno pracował dla jakiegoś ugrupowania terrorystów. Takimi rzeczami się tu zajmujesz?

- Inwigiluję ewentualnych podejrzanych, to wszystko. To bardziej interesujące niż szpiegowanie zdradzających mężów i żon.

Zaczerwieniła się trochę.

- I bardziej niebezpieczne, jak widać... To mi przypomina... Ta kobieta, z czasów wojska. Jesteście... no... blisko? Nie wiedząc czemu, nie chciałem być dla Niny okrutny.

- Coraz bliżej.

- Rozumiem - powiedziała sztywno i wyszła na korytarz.

Kiedy podeszliśmy do drzwi, usłyszałem szcęk klucza w zamku. Drzwi się otworzyły i stanęła w nich Jazz. Nie wiem, które z nas trojga było bardziej zaskoczone.

Ale Nina pierwsza doszła do siebie.

- Do zobaczenia w niedzielę - powiedziała i nie patrząc na Jazz, wyminęła ją i wyszła po schodach na ulicę.

Jazz skrzywiła się złośliwie.

- Ups, niewłaściwa chwila. - Zmarszczyła brwi. - Wracacie do siebie? Pokręciłem głową.

- Nie, naprawdę, ale wreszcie zobaczę Danny'ego. Podobno jeszcze bardziej się zamknął w sobie po śmierci Franka. Chyba go zaniedbałem.

Jazz dotknęła mojej ręki.

- Przecież nie zrobiłeś tego specjalnie. Mówiłeś, że Nina cię do niego nie dopuszcza.

Zaśmiałem się bez humoru.

- Rzucam się na ulicy na terrorystę mordercę, a boję się własnej żony. Jazz wzruszyła ramionami.

- To groźna kobieta - powiedziała współczująco. Wtedy sobie przypomniałem.

- A przy okazji, co u Zoe? - spytałem, idąc za Jazz do biura.

- O wiele lepiej, dzięki, ale było z nią naprawdę źle. Lekarz powiedział, że to jakiś tajemniczy wirus, który teraz podobno krąży. Ale czuje się już na tyle dobrze, że mogę ją zostawić u rodziców Ricarda, więc wracam do pracy. Pomyślałam, że wpadnę i zobaczę, co się dzieje. Kiedy wczoraj dzwoniłam, Kate mówiła, że sprawy w Cambridge idą dobrze.

Byłem z siebie całkiem zadowolony.

- Tak, mały triumf. Komórka Achtera Szachida czeka, żeby wziąć zakładników, rodzinę miejscowego dostawcy, a on ma wjechać do bazy z zamachowcem samobójcą na pace.

- Au, przykre! - odparła, krzywiąc się ze współzuciem.

- Są już gotowi do działania, a Lassiter planuje ich zwinąć w środku nocy.
- Dobra robota - powiedziała, a w jej ślicznych piwnych oczach zamigotały iskierki. Stała na palcach i pocałowała mnie w usta. - Trzeba to uczcić.
Kate spojrzała na nas znad laptopa.
- Ej, wy tam - powiedziała. - Moglibyście nie zawstydząć młodej dziewczyny, co? Przeście się tam zjadać.
Jazz się zaśmiała.
- To nie było jedzenie, tylko przystawka... Skoro o tym mowa, Zoe zostaje dzisiaj u rodziców Ricarda. Wpadnij po pracy coś zjeść. Otworzymy butelkę szampana.
- Szampan? - spytałem. - Będę musiał wypić całą butelkę sam?
- Zły z pana człowiek, panie Mason. Odkąd się znów spotkaliśmy, wraca mi chęć na alkohol. - Odwróciła się do Kate. - Możemy zobaczyć najnowsze akta spraw? Musimy zacząć planować na przyszły tydzień.
- Jasne, przyniosę je - powiedziała pogodnie Kate. - Och, i jest do podpisania plik czeków. Niektóre bardzo pilne.
- Przypomnij mi, zanim wyjdę - odparłem.
Miałem dużo spraw do nadrobienia, a nienawidziłem pracy biurowej. Biedny Geny męczył się sam prawie przez cały tydzień, robił wszystko od fakturowania po wyrywkową pracę śledczą. Oficjalnie to był jego ostatni dzień u nas. Bardzo brakowało nam Ciapata, ale zawsze lepiej dmuchać na zimne. Niedługo mieliśmy zostać tylko ja i Jazz, więc musiałem porozmawiać z Lassiterem i poprosić o radę, jak najlepiej zwerbować więcej zweryfikowanego personelu.
Po zamieszeniu ostatnich kilku tygodni rozpoczynanie pracy nad kolejną listą podejrzanych wydawało mi się strasznie nudne. Sądziłem, że nieprędko znów będziemy mogli liczyć na takie szczęście. Tak wynikało z prostych zasad prawdopodobieństwa.
Ulżyło mi, kiedy o piątej skończyliśmy wstępne opracowywanie listy podejrzanych. Byłem zupełnie wyczerpany.
Jazz nachyliła się do mnie nad stołem i położyła swoją dłoń na mojej.
- A może byśmy tak się wcześniej urwali? Uśmiechnąłem się.
- No i mnie namówiłaś.
- Ty tu jesteś szefem, szefie.
- Idziemy.
Chwilę później byliśmy gotowi. Zajrzałem jeszcze do biura.
- Kate, kiedy ma wrócić Gerry?
- Dzwonił, że stoi w korku - odparła. - Ale mówił, żeby na niego nie czekać z pożegnaniem, bo może z nami zostać jeszcze tydzień, jeśli chcemy.
- Świetnie! To dlatego, że żona przygotowała dla niego mnóstwo prac domowych. Kate, miłego weekendu i nie rób niczego, czego ja bym nie zrobił.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Ale przecież nie poszedłbyś skakać konno przez przeszkody? Kiwnąłem głową.

- To prawda. Moje życiowe motto brzmi: „Nigdy nie włącz na nic, co ma więcej nóg niż ty”.

Jazz szturchnęła mnie żartobliwie w zębra.

- Chodź już.

Jazda przez Londyn w moim gruchocie nie była najbardziej romantycznym początkiem wieczoru, ale nasz śmiech i przekomarzenie się zapowiadały, że będzie lepiej. Jazz wydawała się bardziej rozluźniona, bardziej przypominała dawną siebie, zawiadającą i bystrą dziewczynę żołnierza, w której zakochałem się bez pamięci w Bośni tyle lat temu.

Rozmawialiśmy, co mogłaby ugotować i zanim znaleźliśmy wolne miejsce do zaparkowania pod jej domem w Putney, zdążyliśmy postanowić, że będzie to zwykłe spaghetti po bolońsku. Nie miałem zamiaru spędzać połowy wieczoru przy kuchni i zmywaniu. Kiedy weszliśmy do domu, podreptałem za Jazz do kuchni.

Zdjęła kurtkę i wyjęła z szafki fartuch w czerwone paski.

- Phil, zrób coś dla mnie. W piwnicy, na stojaku do wina jest butelka szampana. Drzwi są pod schodami.

- Jasne - odparłem i wyszedłem na korytarz.

Otworzyłem drzwi i spojrzałem na prowadzące w ciemność schody.

- Włącznik jest po lewej - zawołała Jazz.

Przesunąłem ręką wzdłuż framugi, aż go znalazłem. Ale światło się nie zapaliło.

- Cholera, żarówka się przepaliła - powiedziałem.

- O nie. A ja nie mam baterii do latarki.

- Nie martw się. Nie pozwolę, żeby żarówka stała między nami i butelką szampana.

Wyjąłem z kieszeni zapalniczkę i pstryknąłem; słaby płomyk pozwolił mi przynajmniej zobaczyć kilka stopni między zmurszałymi, bielonymi ceglanyścianami.

Zszedłem ostrożnie na dół, odgarniając z twarzy pajęczyny. Stałem na betonowej podłodze. W ciemnościach trudno było cokolwiek dostrzec. Piwnica wydawała się pusta, nie licząc samotnego krzesła na środku. Nie widziałem nigdzie śladu stojaka na wino. Nagle przypomniałem sobie, jak Jazz mówiła, że praktycznie przestała pić alkohol, a jej zbiegły mąż Ricardo był rygorystycznym muzułmaninem. Pamiętam, jak się zdziwiłem, po co im, u diabła, stojak do wina w piwnicy... i wtedy właśnie poczułem eksplozję przeszywającego bólu w potylicy, a potem osunąłem się w smolistą ciemność.

Ocknąłem się nagle, kiedy coś lodowatego i mokrego chlusnęło mi w twarz, aż się zakrztusiłem. Głowa dudniła mi tępym bólem; miałem wrażenie i prawie sty

szalem, że to jakiś młot wali w kowadło. Widziałem niewyraźnie, jakbym próbował patrzeć przez kłębiący się czerwony opar. Samotna żarówka bez klosza rzucała plamę światła na posadzkę. W jej świetle dostrzegłem dwie postacie, zaledwie kilka kroków ode mnie, ale ich kontury wydawały mi się nieostre. Powoli przypomniałem sobie schody do piwnicy Jazz, włącznik światła... gdzie teraz byłem?

Powoli dwaj mężczyźni nabrali kształtów. Zacisnąłem oczy i znów je otworzyłem. Czarne kombinezony, czarne kominiarki. Jeden z nich trzymał pistolet. Drugi coś, co wyglądało jak zwój kabla. Zauważyłem też schody za nimi. Wciąż byłem w piwnicy.

Wtedy dotarło do mnie, że siedzę. Musiałem tkwić na krześle, które widziałem na środku pomieszczenia. Spróbowałem poruszyć rękami, ale byłem sparaliżowany.

Boże, przetrzęcili mi pieprzony kark! - pomyślałem z wściekłością.

Z ogromną ulgą odkryłem, że ręce mam związane za oparciem krzesła. Spojrzałem na koszulę i spodnie. Były przemoczone, a na kolanach miałem czerwoną plamę, czerwień spływała mi z prawego ramienia jak karmazynowy lodowiec. To była krew, moja krew, kapiąca z rany na głowie. Ktoś uderzył mnie z tyłu.

- Przynieś drugie wiadro wody - powiedział jeden z mężczyzn. Mówił z obcym akcentem, ale nie umiałem określić z jakim.

- To nie będzie konieczne. - Dobięł mnie z cienia po lewej stronie kobiecy głos.

- Chcę, żeby niewierny był całkiem rozbudzony, zanim zaczniemy - odparł pierwszy mężczyzna. - Musi rozumieć pytania, czuć ból.

Jazz postąpiła krok do przodu.

- Mówiłam, że to nie będzie konieczne. W rękę miała pistolet.

Ledwie zarejestrowałem, co się wydarzyło potem. Broń z tłumikiem plunęła ogniem dwóch szybkich wystrzałów. Pociski najpierw skosiły mężczyznę z pistoletem, ciskając go brutalnie na podłogę jak marionetkę z odciętymi sznurkami. Jazz obróciła się na palcach, korygując minimalnie kąt ognia, i strzeliła do drugiego mężczyzny, zanim ten zorientował się, co się stało. Kule trafiły go w pierś, gdy próbował się odwrócić; osunął się na podłogę, ciągle się obracając.

Byłem oszołomiony, otępiały, nie mogłem zebrać myśli; ból głowy blokował funkcje mózgu.

Czułem tylko ogromną ulgę, że Jazz pojawiła się w samą porę. Nie przyszło mi do głowy, żeby się zastanowić, skąd miała broń.

- Jazz, dzięki Bogu... Musieli na nas czekać.

Podeszła krok bliżej. Jej twarz miała dziwny wyraz, nie umiałem go określić.

- Czekali na ciebie - powiedziała powoli. - Halim i Rafią. Chcieli torturami wymusić z ciebie informacje, a potem cię zabić.

Nie mogłam im na to pozwolić. Nigdy nie pozwoliłabym cię skrzywdzić.

Miałem halucynacje? Nic nie rozumiałem.

- O czym ty mówisz, do cholery? Możesz mnie rozwiązać? Pokręciła głową z cierpieniem w oczach.

- Nic nie rozumiesz, Phil. Należę do komórki założonej przez Naweda Hu sajna.

- Naweda? - powtórzyłem, myśląc jednocześnie, że cios naprawdę uszkodź mi mózg. - Tego koordynatora Al-Kaidy? Tego, którego szukamy?

- Tak. Widzisz, nie popieram terrorystów ani wysadzania w powietrze niewinnych ludzi. - Zerknęła na leżące przed nami dwa trupy. - Ludzie tacy jak Hali i Rafiq nic mnie nie obchodzą. Wierzą w Allacha, ale wątpię, czy on przepuści ich przez bramy raju, kiedy do niego trafią. Powiedzmy po prostu, że ich i moje intencje były zbieżne, że przez jakiś czas nawzajem się potrzebowaliśmy. Wciąż nic nie rozumiałem.

- Ale komórka jest skończona, Jazz. Lassiter i MI-5 mają ich w ręku, wiesz o tym.

Jazz uśmiechnęła się lekko.

- Biedny, stary, obłeśny Joe Lassiter, zawsze mu się wydaje, że jest taki cholernie sprytny.

Zmarszczyłem brwi, nic nie pojmując.

- W takim razie co pokręcił?

- Ci chłopcy też stworzyli komórkę. Kieruje nią ten wykładowca, doktor Samir.

Nagle coś sobie uświadomiłem.

- To ty go ostrzegłeś? Pozwoliłaś mu uciec?

- Tak, i to ja ostrzegłam Younisa, że go śledzimy, kiedy ty pojechałeś za niego na spotkanie z doktorem Samirem.

Jak brzmiał ten kryptonim?

- Ty jesteś Gołębicą?

Jazz kiwnęła głową. Wszystko zaczynało nabierać sensu. Wtedy, kiedy Ka pomieszała nasze harmonogramy pracy i Jazz zaskoczyła mnie pod domem Younisa w czarczafie i z wózkiem, kiedy ja podsłuchiwałem jego rozmowy. Musiał się zdziwić jak nigdy w życiu. Nic dziwnego, że uciekła stamtąd i natychmiast za dzwoniła do doktora Samira.

- Widzisz - powiedziała - znam doktora Samira i jego żonę od paru lat. Ni jesteśmy przyjaciółmi, to raczej znajomy, który kiedyś mi pomógł.

- Pomógł?

- Wyjaśnię ci. - Nagle w jej głosie pojawiło się znużenie. - Kiedy Lassiter a potem ty, zaproponowaliście mi pracę, naprawdę nie byłam zainteresowana. Miałam dość na głowie, zarabiałam na dom i opiekując się Zoe. Ale wspomniał o tym doktorowi Samirowi podczas imprezy charytatywnej, która miała uczulić ludzi na los więźniów trzymany bez procesu w zatoce Guantanamo. Przekon mnie, żebym przyjęła tę propozycję i w ten sposób dotarła do MI-5.

Wciąż byłem otumaniony, mój umysł pracował powoli, tak jak wtedy, gdy byłem w królewskich marines i pływałem po mroźnej Arktyce.

- Doktor Samir wiedział, że jest podejrzany? Jazż przelotnie się uśmiechnęła.

- Chyba podejrzewał, ale był trochę zaskoczony, kiedy się do was przyłączyłam i odkryłam, że naprawdę go podejrzewacie!

- Wiedziałaś wtedy, że kieruje komórką?

- Z początku nie, nie zwierzał mi się. - Przerwała, przywołując wspomnienia. - Spotkaliśmy się kilka razy na kawie.

Powiedział mi, że od komórki wywiadowczej Al-Kaidy w Waszyngtonie dowiedział się, że prezydent Bush planuje prywatną podróż do Wielkiej Brytanii. Uznali, że to świetna okazja, żeby go zabić. Później się dowiedziałam, że doktor Samir był przyjacielem mułły Redy i że ich grupa zorganizowała tu kilka komórek. Jednym z przywódców takiej komórki był student Samira, Achtar Szachid. Kiedy poznaliśmy więcej szczegółów na temat tej wizyty, Nawed Husajn, koordynator Al-Kaidy, uznał, że spróbują wykorzystać te komórki do próby zamachu. Wtedy postanowiłam im pomóc.

- Przyłączając się do mnie? Kiwnęła głową.

- I tak zrobiłam, odkrywając, że przyglądacie się trzem ludziom powiązanim z jedną z czystych komórek, takich, które nie pojawiły się nawet na radarach Służby Bezpieczeństwa.

- A Dave Evans? - spytałem. - O nim też im powiedziałaś? Widać było, że źle się z tym czuje.

- Musiałam, Phil. Przeniknął bardzo głęboko i już komplikował działanie sieci komórek, które usiłowali stworzyć. To Evans dowiedział się o spotkaniu mułły Redy z tamtymi dwoma.

- Oni go zamordowali, Jazż, rozwalili mu głowę - przypomniałem jej posępnie.

- Nie wiedziałam, że to zrobią Phil, naprawdę! - zaprotestowała. - Może byłam naiwna, ale myślałam, że go tylko wyłączą z obiegu na trochę.

- Och, daj spokój... Rozzłościła się.

- O tobie też wiedzieli, ale nie powiedzieli mi, że zamierzają cię zabić. To zorganizował ktoś stojący jeszcze wyżej niż doktor Samir. On wiedział, że ty i ja byliśmy kiedyś razem. Nigdy bym mu w czymś takim nie pomogła. Nikt mnie nie pytał o twój adres, a ja bym go nikomu nie podała. Domyślałam się, że to Nawed Husajn uznał, że za bardzo im szkodzisz. To była zemsta albo jego wyobrażenie o samoobronie.

Ból w mojej głowie nieco osłabł i zacząłem myśleć trochę składniej. Zacząłem sobie przypominać ostatnie wydarzenia.

- Dużo ludzi przez ciebie zginęło, Jazz. A ty uważasz, że to nie twoja wina. -Przypomniałem sobie. - Pewnie nie miałaś też nic wspólnego z zamordowaniem tego starego właściciela restauracji?

- Akmała Younisa? - Wzruszyła ramionami. - Younis sam podpisał na siebie wyrok śmierci, kiedy powiedział doktorowi Samirowi, że chce się wycofać. Za" dużo wiedział i groził, że pójdzie na policję. Doktor Samir postanowił wykorzystać jego śmierć do własnych celów.

- Co to niby znaczy, do cholery?

- Ten laptop, który napastnik usiłował ukraść, kiedy się włamaliśmy...

- Dostałem wtedy kopa w twarz od mordercy? - przypomniałem.

- Źle to wyliczył w czasie - powiedziała Jazz. - Ale nie musiałeś się na niego tak rzucać, bo laptop i tak miał zostać porzucony w ogrodzie.

- Co?

- Doktor Samir wiedział, że w komputerze jest wiadomość o wizycie prezydenta Busha w Wielkiej Brytanii. Wiedział też dobrze, że MI-5 dość szybko to odkryje. Mielście to znaleźć. To był mój pomysł, Phil. Doktor Samir i ja bardzo chcieliśmy dotrzeć do szczegółów wizyty. - Zawahała się. - Nie mogłam zagwarantować, że to się uda, ale skoro MI-5 wiedziało, że ludzie, których śledzimy, są interesujący, pomyślałam, że istnieje spora szansa, aby twój zespół był przynajmniej informowany o postępach. Zwłaszcza że Felicity Goodall chciała podgryźć szefową no i miała na ciebie ochotę. Nie skomentowałem jej ostatniej uwagi.

- No, twój podstęp się powiódł.

- Lepiej niż mogłam marzyć.

- Ale przecież nic z tego nie wyszło. Lassiter okrążył waszą komórkę. Jazz pokręciła głową.

- Ty wciąż nie rozumiesz, prawda? Poświęciliśmy doktora Samira i komórkę Szachida. Kiedy wszyscy byli zajęci pogonią za nimi, koordynator Al-Kaidy, pamiętasz Naweda Husajna?, po cichu opracowywał prawdziwy plan, razem ze mną. Halim i Rafią, ci tutaj, należeli do jego komórki.

- A więc kto zabije Busha?

Nagle Jazz uśmiechnęła się, szeroko i pogodnie.

- Przy odrobinie szczęścia ja to zrobię. - Wskazała kąt piwnicy. - Pamiętasz je? Dano mi do wyboru trzy karabiny snajperskie. Wierny Al Super Magnum, M76 I, którego używałam w Bośni, i nowy rosyjski VSS. Cudeńko. To wszystko był jakiś koszmar.

- To nie jest zabawne, Jazz. Musisz myśleć o córce. Zabijacie albo wsadzą do więzienia i dostaniesz dożywocie. Nie ujdzie ci to na sucho.

Odwróciła się do mnie.

- Nie martw się o Zoe ani o mnie. Nie była chora, zabrałam ją do Bośni. Jest w dobrych rękach. Powołałam się na różne dawne przystugi. Załatwiłam nam obu

nową tożsamość. A kiedy tam byłam, odkurzyłam swoje umiejętności snajperskie VSS-em. Wciąż je mam. - Popatrzyła tęsknie na trzy karabiny oparte o ścianę. - Kiedy zadanie zostanie wykonane, wylatuję stąd. Tylko ty o tym wszystkim wiesz, Phil. Straciłem nadzieję. Oszczędzono mi tortur, ale to wszystko.

- A więc ja mam umrzeć następny? Zaśmiała się pogodnie.

- Biedny Phil! Nie, oczywiście, że nie. Zostawię cię tu z wodą i jedzeniem. Kiedy Zoe i ja dotrzemy do celu, nie, nie w Bośni, głuptasie, zrobię dwie rzeczy: zadzwonię do ciebie do biura, żeby cię uwolnili. I przyślę ci pocztą szczegóły na temat wszystkiego, co wiem o tutejszych operacjach Al-Kaidy, w tym miejscu pobytu Naweda Husajna. To powinno zmiękczyć serce twojej Królowej Śniegu.

- A więc po co to robisz, skoro chcesz ich zniszczyć?

- Po to, żeby zabić jednego z najbardziej ohydnych i złych ludzi w historii świata. - Niemal wypłuła te słowa. - Ilu niewinnych ludzi niepotrzebnie zginęło albo zostało straszliwie okaleczonych przez jego głupotę i bezmyślne działania? Tutaj, w Wielkiej Brytanii, w Iraku, w Afganistanie? Niewinni ludzie są bez końca przetrzymywani bez procesu.

- Na litość boską Jazz - powiedziałem. - Zgadzą się z tobą ale to ci nie daje prawa go zabijać. Nie wspominając o tym, że ryzykujesz życie i przyszłość Zoe. Oszalałaś?

- Żebyś wiedział, że oszalałam - odparowała. - Oszalałam z wściekłości! Naprawdę jej odbiło? - pomyślałam.

- Musi być jakiś powód - powiedziałem. - O co chodzi, do cholery? Wzięła głęboki oddech i rozluźniła napięte ramiona.

- Mój mąż, Ricardo Alagic, to jeden z najwspanialszych i najmiłszych mężczyzn, jakich znałam. I jest też bardzo przystojny. Jest pół Francuzem, pół Algierczykiem, lekarzem. Poznałam go, kiedy pracował u Lekarzy bez Granic w Sarajewie.

Harował dwadzieścia godzin dziennie, siedem dni w tygodniu, ratował ludziom życie, mając bardzo ograniczone możliwości.

- Ja straciłem, on zyskał - mruknąłem. Uśmiechnęła się z trudem.

- Kiedy tam byliśmy, zaprzyjaźniliśmy się z afgańskimi bojownikami, którzy przyjechali pomóc bośniackim Muzułmanom pokonać Serbów. Dziwni ludzie, ale bardzo oddani sprawie. To oczywiście całkiem inna kultura, ale niektórzy byli bardzo porządni i bardzo dzielni. Utrzymywaliśmy z nimi kontakt także później, nawet kiedy przyłączyli się do talibów u siebie w kraju.

Zmarszczyłem brwi.

- Twój mąż popierał talibów?

- Broń Boże, nie. Ale uważał, że to kraj Afgańczyków i oni mają prawo nim rządzić. Ricardo był gorliwym muzułmaninem, ale nie radykałem. Nie skrzywdziłby nawet muchy - przerwała, przytłoczona wspomnieniami; zobaczyłem, że

jej oczy zwilgotniały. - Po 11 września i po tym, jak Amerykanie i Brytyjczycy odpowiedzieli inwazją na Afganistan, dowiedzieliśmy się, jak ciężko było tali-bom, pozbawionym praktycznie zaplecza medycznego. Ricardo oczywiście uznał, że powinien im pomóc, zaopiekować się ich rannymi. I to zrobił. Tylko to. Zamknąłem oczy, domyślając się, co było potem. - I zginął w walkach?

- Nie, został złapany przez Amerykanów. - Jazz popatrzyła na mnie gniewnie. - Dowiedziałam się, że pojмали go, kiedy operował rannego jeńca. Był nawet ubrany w biały kitel, w prowizorycznej sali operacyjnej w jaskiniach. Zabrali Ri-carda, a tamtemu pozwolili umrzeć.

Teraz już rozumiałem.

- Zatoka Guantanamo?

Jazz kiwnęła głową i pociągnęła nosem, by powstrzymać łzy.

- Podróżował z fałszywymi dokumentami, dostarczonymi przez kogoś z pakistańskiego wywiadu. Ale nikt nie wiedział, kto to był, ani jakim nazwiskiem Ricardo się posługiwał. - Szorstkim ruchem otarła oczy dłonią. - Francuski rząd przedstawił jakieś dokumenty Amerykanom, ale ich to nie interesowało. Bóg jeden wie, czy w ogóle go kiedyś wypuszczą.

Na kilka chwil zapadło głębokie milczenie. Klucha w gardle nie pozwala mi mówić i domyślałem się, że Jazz czuła to samo. W końcu udało mi się odnaleźć słowa.

- Nie rób tego, skarbie. Bush nie jest tego wart, i na pewno nie pomożesz w ten sposób Ricardowi.

Wzięła głęboki oddech.

- Ale pomogę sobie. Zmiana przywódcy, wybory. Nowa polityka. Nie myśl, że długo i dokładnie się nad tym nie zastanawiałam, Phil. Podjęłam decyzję, wszystko jest przygotowane. - Znowu się uśmiechnęła. - Przykro mi tylko, że trzeba było w to wmieszać ciebie. Nie mam do ciebie pretensji. Kiedyś cię kochałam, bardzo mocno. I przykro mi, że będziesz musiał tu spędzić kilka nieprzyjemnych dni. - Zerknęła na dwa trupy. - I przykro mi też z ich powodu. Tu jest chłodno, nie powinni za bardzo śmierdzieć.

Poszła w głąb piwnicy i przyciągnęła mały stolik, którego wcześniej nie zauważyłem. Przysunęła go do mnie; zobaczyłem, że przymocowała jakoś do blatu cztery duże plastikowe butelki ze słomkami.

- Trzy z wodą jedna z napojem witaminowym - powiedziała. — Nie umrzesz.

- Co za troska - prychnąłem.

- Spróbuj, sprawdź, czy sięgniesz.

Nachyliłem się w lewo, aż ustami sięgnąłem najdalszej butelki.

- Może być.

Jazz wyciągnęła dłoń z dwiema kapsułkami.

- Imodium. Trochę cię przyblokuje, rozumiesz? Żeby nie było wypadków.

Nagle dotarło do mnie, że to bardzo dobry pomysł. Nachyliłem głowę, aż ustami dotknąłem skóry jej ciepłej dłoni, a nozdrza wypełnił jej zapach. Przynajmniej to się nie zmieniło.

Przełknąłem kapsułki.

- Jazz, proszę, nie rób tego.

Tym razem nie odpowiedziała, podeszła tylko do trzech snajperskich karabinów. Wybrała rosyjski VSS z tłumikiem i włożyła go do dużej torby, a potem ruszyła w stronę schodów.

- Będę musiała wyłączyć światło. Żegnaj, Phil, wątpię, żebyśmy się jeszcze spotkali.

Tym razem ja nie odpowiedziałem. Kiedy weszła po schodach, naprężyłem mocno ręce za plecami. Wyczułem, że zostały związane profesjonalnymi, plastikowymi pętami i przymocowane do oparcia. Rozejrzałem się gorączkowo po piwnicy, szukając czegoś, czegokolwiek, co mogłoby mi pomóc się uwolnić. Ale pomieszczenie zostało przezornie opróżnione i zamiecione. Nie było nic.

Potem nagle światło zgasło i ogarnęła mnie całkowita ciemność.

16

Myliliem się, ciemność nie była całkowita. Na podłogę przede mną skądś padał mały półksiężyc światła. Kiedy mój wzrok przyzwyczaił się do mroku, mogłem ledwo, ledwo dostrzec zarysy pomieszczenia.

Odwrociłem się - było mi bardzo niewygodnie, ale zobaczyłem za sobą małe, zakratowane okienko jakieś dwa i pół metra nad podłogą. Domyśliłem się, że musi znajdować się na poziomie chodnika na zewnątrz. Nawet bez krat byłoby o wiele za małe, żebym się przez nie przecisnął. Zakładając, oczywiście, że wyostałbym się z pęt za plecami czy tych, którymi przymocowano mi kostki do nóg krzesła.

Boże, spętali mnie jak prosiaka. Nie widziałem wyjścia z sytuacji. Koszulę i spodnie wciąż miałem przemoczone po chluśnięciu wiadrem wody. Robiło mi się coraz zimniej i zacząłem drżeć. Musiałem jakoś spróbować się poruszyć.

Nachyliłem się do przodu, opierając się na stopach, dopóki tylne nogi krzesła nie oderwały się od podłogi. W tej pozycji mogłem jedynie człapać na sztywnych nogach, kiwając się z boku na bok. Było to bardzo wyczerpujące, przebyłem ledwie pół metra i opadłem z powrotem na krzesło. W ten sposób nic bym nie osiągnął.

Znów spróbowałem poruszyć nadgarstkami, ale plastikowe pęta trzymały mocno. Siedziałem tak chyba dwadzieścia minut, zastanawiając się nad różnymi możliwościami. W kieszeni koszuli miałem zapalniczkę. Nawet gdybym ją jakoś

wyjął, co bym nią zdziałał? Spróbował roztopić plastik za plecami, przypiekają sobie skórę na rękach? Może mógłbym jakoś użyć jednego z dwóch leżących przede mną trupów? Al konieczność wleczenia ze sobą wszędzie krzesła oznaczała, że nawet gdybym jakoś się koło nich położył, już bym potem nie wstał. Próbowałem obmyślić jakikolwiek sposób ratunku, ale nic z tego nie wynikało. Potem wpadłem na pomysł. Pęta trzymające moje kostki były założone na doł na część nóg krzesła. Teoretycznie powinienem być w stanie je zsunąć. Ale mu siałbym chyba wykręcić sobie nogi ze stawów... Uznałem, że warto spróbować. Po dłuższym namyśle postanowiłem przysunąć się razem z krzesłem bliżej d ściany. Aż się spociłem z wysiłku. Gdybym źle wyliczył i upadł, pewnie nie zdołałbym się podnieść. W końcu wziąłem głęboki oddech i odchyliłem się w tył, huśtając się na tył nych nogach krzesła, najwolniej jak mogłem. Za mocno - i krzesło wysunęło się spode mnie do przodu, ciągnąc mnie za sobą. Ale w którymś momencie musia tam zaryzykować... Dotarłem do tego momentu. Podeszwy moich butów straciły kontakt z podłogą a ramiona oparły się o ce głąną ścianę. Stopy i przednie nogi krzesła miałem jakieś piętnaście centymów od betonowej posadzki. Ostrożnie zacząłem pchać nogi w dół. Pęta trzy mały mocno. Spróbowałem znowu, i znowu, i znowu. W końcu, kiedy już miałem się pod dać, więzy przytrzymujące lewą nogę zsunęły się z krzesła. — Tak!!! — ryknąłem tryumfalnie; mój głos odbił się drwiącym echem ścian. Postawiłem uwolnioną stopę na podłodze i zacząłem pracować nad drugą. Ma jąc lepsze oparcie, uwolniłem ją w dużo krótszym czasie. Odepchnąłem się d przodu, stawiając na ziemi wszystkie nogi krzesła i rozprostowałem łydki, żeb ulżyć obolałym mięśniom. To niewielkie zwycięstwo, bo wciąż byłem przywiązany do krzesła z rękami plecami. Gdziekolwiek bym poszedł, zgięty wpół, krzesło wciąż tkwiłoby mi grzbiecie. Mimo to sukces mnie podbudował i nagle wpadłem na ambitny pomy przejścia przez piwnicę, cały czas w niewygodnym pochyleniu, i wejścia na sch dy. Wymyśliłem sobie, że udałoby mi się barkiem otworzyć drzwi na górze. Niemal w stanie euforii wspiąłem się na samą górę, ale wtedy okazało się, ' drzwi otwierają się do środka i zmagalbym się nie tylko z zamkiem, ale też z za wiasami. Mimo to rzuciłem się na nie. Nie drgnęły ani na milimetr, a mój bar' przeszył okropny ból. W tym momencie usłyszałem dzwonek do drzwi. Zamrugalem z niedowierza niem. Czy to Bóg odpowiedział na moje niewysłowione modlitwy i przypadkiem przyszli świadkowie Jehowy? A może to jakiś akwizytor sprzedający świetn

okna? Nie miało to żadnego cholernego znaczenia - ktoś tam był! Wziętem głęboki oddech i wrzasnąłem:

- Ktokolwiek tam jest, pomocy!!!

Zapadła chwila ciszy; wydawało mi się, że usłyszałem stuknięcie klapki na listy.

- Halo? To ty, Phil? Coś słyszałam? Dobry Boże, to była Kate.

Och, kochanie, pomyślałem, raz w życiu coś zrobiłaś dobrze.

- Kate! - wrzasnąłem. - Słyszysz mnie? Jej głos był słabo słyszalny.

- Tak, trochę słyszę. Możesz mówić głośniejsze? Co się stało?

- Kate, słuchaj! - krzyknąłem. - Jestem zamknięty w piwnicy! Chyba usłyszałem cichy chichot.

- Naprawdę?

- Masz się natychmiast włamać! Zrób, co będzie konieczne! Rozumiesz?!

- Spróbuję - usłyszałem niepewną odpowiedź.

Potem zapadła cisza i ogarnęło mnie przerażenie. Minęły dwie minuty, a potem rozległ się straszliwy brzęk tłuczonego szkła. Usłyszałem, że Kate majstruje przy zamku.

- Kate! Jesteś tam? To drzwi pod schodami!

Dobiegł mnie odgłos kroków po odłamkach szkła, a potem w zamku obrócił się klucz. Odsunąłem się, żeby zrobić miejsce drzwiom, a potem runąłem do korytarza, do stóp Kate.

Szybko znalazła w kuchni jakieś wielkie nożyce i rozcięła mi więzy na plecach.

Niepewnie stanąłem na nogi.

- Dzięki Bogu, że się tu zjawiłaś. Uśmiechnęła się przepaszająco.

- Taka ze mnie gapa. Zupełnie zapomniałam dać ci te czekki do podpisania. Wiedziałam, że planujecie z Jazz romantyczny wieczór tutaj, więc nie chciałam wam przeszkadzać. Powiedziałam o tym mamie, kiedy wróciłam do domu, a ona uznała, że powinnam wrócić do biura i ci je przywieźć, żeby rachunki poszły jutrzejszą pocztą inaczej odetnąm prąd.

Chwyliłem ją obiema dłońmi za głowę i pocałowałem skraj blond grzywki.

- Kate, obiecaj mi, że zawsze będziesz taką gapą. Wydawała się zaskoczona.

- Och, spróbuję, Phil... Ale co się stało? Napadli was? Co z Jazz? - Potem popatrzyła w dół, na szkło. - Nie będzie zła, że wybiłam jej szybę w drzwiach?

Przez chwilę uważnie na nią patrzyłem.

- Kate, nie uwierzysz. Jazz mi to zrobiła. Nie jest tym, kim się wydaje. Nie mam teraz czasu tłumaczyć. Zabrała mi telefon, mogę użyć twojego?

- Oczywiście. - Była zdezorientowana, i nic dziwnego, ale zaczęła grzebać w torebce. - Ale bateria prawie już padła. Baterii wystarczyło na telefon do Joego Lassitera. To cud, że zapamiętałem jego numer, ale ostatnio często do niego dzwoniłem. Tyle że akurat dzisiaj miał włączoną pocztę. Kiedy zacząłem nagrywać wiadomość, komórka padła. Zerknąłem na zegarek. Była dziewiąta.

- Słuchaj, Kate, nie ma sensu, żebyś się tu kręciła. Wracaj do domu. Zmarszczyła brwi.

- Na pewno nie mogę ci w niczym pomóc?

- Nic mi nie przychodzi do głowy - powiedziałem. - I tak już jesteś bohaterką.

Uśmiechnęła się, niepewna, czy mówię poważnie.

- W porządku. Miłego weekendu. Do zobaczenia w poniedziałek. Zamknąłem za nią drzwi na klucz. Na wybitą szybę nic nie mogłem poradzić. Nie byłem pewien, czy w ogóle w jakiegokolwiek sprawie mogę coś poradzić. Było mi coraz zimniej w mokrym ubraniu; musiałem się przebrać, żeby zacząć jasno myśleć.

Najpierw jednak poszedłem do kuchni, gdzie, jak zapamiętałem, był telefon stacjonarny. Jeszcze raz zadzwoniłem do Lassitera. Wciąż miał włączoną pocztę głosową więc zostawiłem mu wiadomość, żeby jak najszybciej oddzwonił na domowy numer Jazz.

Przydałoby mi się jakieś wsparcie i pomyślałem o Gerrym Shawie. Ale za żadne skarby nie umiałem sobie przypomnieć jego numeru, a zresztą wiedziałem, że jest zastrzeżony. Właściwie nie znałem numeru nikogo, z kim powinienem się skontaktować - po raz któryś uświadomiłem sobie, jak bardzo uzależniliśmy się od nowoczesnej techniki. Wszystkie potrzebne mi numery znajdowały się w notesie u mnie w biurze.

To jednak musiało chwilę poczekać. Przypominając sobie, że widziałem ubrania męża Jazz w szafie jej sypialni, wbiegłem na schody. Rozsunąłem lustrzane drzwi. Ubrania Jazz zniknęły, ale dzięki Bogu ciuchy Ricarda wciąż wisiły na swoim miejscu. Przetrzęsnałem je. Był ode mnie trochę niższy i nie tak dobrze zbudowany, ale znalazłem tylko o rozmiar za małą na mnie letnią koszulę, którą mogłem dopiąć. Ze spodniami był większy problem i musiałem przymierzyć ich pół tuzina, zanim znalazłem parę, w której zapiąłem suwak i wciąż oddychałem.

Zrobiło mi się ciepło i sucho i wreszcie mój mózg znów zaczął funkcjonować. Kiedy odwróciłem się do drzwi sypialni, zobaczyłem na stoliku przy łóżku... telefon. Nie, nie jakiś tam telefon - ale mój aparat.

Jazz jechała do bazy Larkheath i musiałem ją powstrzymać. Jaką drogą jechała? I jakim samochodem? Pewnie samochodem wynajętym albo dostarczonym jej przez komórkę. Policja mogła ustawić blokady na drogach dojazdowych do lotniska i spróbować ją zatrzymać. Musiałem szybko z kimś porozmawiać - zanim znajdzie się w tamtej okolicy.

Przeszukałem książkę adresową. W końcu znalazłem numer Felicity Goodall i wcisnąłem guzik wybierania. Ton jej głosu był ostry i władczy.

- Halo, Phil.

- Przepraszam, że przeszkadzam, Felicity.

- To nie jest dobra chwila. Jestem na kolacji. To nie może poczekać?

- Nie sądzę - odparłem. - A Joe nie odbiera telefonu.

- Bierze udział w operacji. Komunikuje się przez radio. O co chodzi?

- Naszym zamachowcem nie jest Szachid i jego komórka. To tylko przynęta. - Wzięłem głęboki oddech. - To Jazz. Jasmina Alagic. Pracowała dla mnie.

Minęła chwila ciszy.

- Tak, oczywiście, znam ją... snajperka z Bośni... Ale czy to znaczy, że to ona?

- Jej mąż jest przetrzymywany w zatoce Guantanamo. Wyjechała z Londynu do bazy Larkheath ponad dwie godziny temu i zabrała ze sobą karabin. Nie wiem, jakim jedzie samochodem.

- Cholera! - Nigdy przedtem nie słyszałem, żeby Felicity przeklinała. Przez chwilę milczała, przetrzymując te niespodziewane informacje. - Może już tam być. Dlaczego tak długo czekałeś, zanim do kogoś zadzwoniłeś?

- To dłuższa historia.

- Nieważne - powiedziała, ale sądząc z jej tonu, wcale tak nie uważała. - Dobrze, zostaw to mnie. Skontaktuję się z Joem.

- Spróbujcie może ustawić blokady dalej od lotniska - powiedziałem. - Zatrzymajcie ją zanim się zbliży.

- Na to może być już za późno. Zawiadomię też inspektora Proctora. Jest z Joem. Są w hotelu Larkheath Manor.

- Mogę coś jeszcze zrobić? Zastanawiała się przez kilka sekund.

- Dobrze by było, gdybyś sam pojechał do Larkheath. Robiliście razem rozpoznanie, a więc jeśli uda się jej dostać do bezpiecznej strefy, możesz się przydać.

- Już jadę - powiedziałem. - Powiedz też Proctorowi, że w piwnicy domu Jazz jest dwóch martwych terrorystów.

- Och, coraz bardziej mi się to nie podoba. Jaki to adres? Powiedziałem jej i rozłączyłem się, a potem zadzwoniłem do Geny'ego.

- Cześć, Phil, stary łobuzie - powiedział wesoło. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Jesteś mi potrzebny, Geny, natychmiast - oznajmiłem pospiesznie. - Jedziemy do bazy Larkheath. Wyjaśnię, jak się zobaczymy.

- Właśnie usiadłem przed telewizorem z pudełkiem chińszczyzny.

- Kate mówiła, że jeszcze dla mnie pracujesz - powiedziałem. - Zgadza się?

- Jeszcze przez tydzień, może dłużej.

- W takim razie zasuwasz do Cambridge. To poważna sprawa, Gerry. Wahał się przez sekundę.

- Tak jest, szefie!

Mogłem sobie wyobrazić, jak się przy tym musiał cieszyć.

- Jedź do hotelu Larkheath Manor - powiedziałem i szybko się rozłączyłem.

Kiedy szedłem do wyjścia, nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. Otworzyłem drzwi do piwnicy, włączyłem światło i zszedłem na dół po schodach. Ominąłem dwa trupy i podszedłem do ściany, pod którą stały karabiny. Może to była głupota, sam nie wiedziałem. Wokół lotniska mieli być policyjni snajperzy, ale mieli zupełnie inne wyszkolenie niż snajperzy wojskowi. Jeśli ktoś o umiejętnościach Jazz znalazł się w pobliżu Busha z tym zabójczym rosyjskim VSS-em, bezpieczeństwo prezydenta było mocno zagrożone. A na szali mogło spoczywać nie tylko jego życie.

Spojrzałem na dwa modele. Posługiwałem się już oboma, ale wybrałem Al Super Magnum. Pochodna L96, tak dobrze go znałem, że leżał mi w rękach jak przedłużenie mojego własnego ciała. Mając go ze sobą mogłem przynajmniej zaoferować policji jakąś pomoc. Wypatrzyłem futerał karabinu i pospiesznie go spakowałem, dodałem też kilka magazynków naboju kaliber 0.338.

A potem pobiegłem do furgonetki i ruszyłem na północ.

Było piętnaście minut po północy, kiedy w końcu wjechałem na parking hotelu Larkheath Manor. Straciłem kilka minut na punkcie kontrolnym obsadzonym przez uzbrojonego policjanta w cywilu, jakieś pięć kilometrów wcześniej, więc było jasne, że Jazz nie została jeszcze zatrzymana.

W barze była niewielka grupa umundurowanych policjantów, wciąż dopijających swoje drinki przed jutrzejszym wielkim dniem. Wypatrzyłem w kącie Joego Lassitera. Był pogrążony w ożywionej rozmowie z Jeffem Kingiem i innymi członkami zespołu obserwacyjnego MI-5, których znałem z Leicester.

Kiedy przekonywałem barmankę, żeby nalała mi szklankę piwa przed zamknięciem baru i podała kanapkę, która była mi bardzo potrzebna, Lassiter mnie zauważył i szybko do mnie podszedł.

- Wreszcie jesteś - powiedział scenicznym szeptem. - Czemu tak długo?

- Rozumiem, że to pytanie retoryczne, Joe? - odparłem, biorąc duży łyk piwa. - Jeśli nie, odpowiedź brzmi: kilometry.

- Co się stało, do cholery? Królowa Śniegu dostaje apopleksji. A ja dostaję po głowie za to, że nie zweryfikowałem tej dziewczyny.

- Dlaczego nie? - spytałem.

- Z tego samego powodu, z którego nie zweryfikowałem ciebie, do cholery. Po prostu ją znałem. - Popatrzył na mnie spod łba. - Poza tym pracowała dla ciebie, nie dla Służby Bezpieczeństwa!

Uśmiechnąłem się uprzejmie.

- Nie wyczuwam tu próby zwalania winy na kogoś innego, prawda? Obaj wiedzieliśmy, że Jazz jest muzułmanką.

- Powinno ci przyjść do głowy, że może być skażona - oznajmił oskarżyciel-skim tonem.

Zmarszczyłem brwi.

- Czyli tak jak biedny Ciapat. Jazz była bystra, odpowiednio szybko zasugerowała mi, że to on może być źródłem przecieków, podczas gdy to ona cały czas informowała drugą stronę o naszych poczynaniach. -Napilem się jeszcze piwa. - Prawda jest taka, że nie przyszło to do głowy żadnemu z nas. Ani tobie, ani mnie. Zresztą ona nie do końca jest skażona. Chodzi jej tylko o jednego człowieka, naszego VIP-a. Powiedziała mi, że potem przyśle mi wszystkie szczegóły na temat tutejszej Al-Kaidy.

Nie zrobiło to na nim wielkiego wrażenia.

- Chcę usłyszeć od ciebie pełne sprawozdanie, Phil, i to teraz - powiedział, krzywiąc się niemiłosiernie. - Pij szybciej to piwo i idziemy do mojego pokoju.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, obaj zobaczyliśmy wysokiego Amerykanina w szykownym garniturze, wchodzącego na salę. Nawet o tej porze wyglądał świeżo i rześko, był nawet gładko ogolony.

Wzrok Herberta J. Weatherspoona padł na Lassitera; ruszył prosto do nas.

- Przyjechałem najszybciej, jak mogłem - warknął. - O co chodzi? Lassiter zmusił się do uśmiechu i wskazał, żebyśmy przeszli do pustego kąta baru.

- Problem polega na tym, że otrzymaliśmy informację, że profesjonalnie wyszkolony snajper terrorysta być może, podkreślam, być może, przeniknął przez nasz kordon bezpieczeństwa wokół Larkheath.

Weatherspoon zmarszczył brwi.

- To pogrożka Al-Kaidy?

Lassiter poczuł się zdecydowanie niezręcznie, widać to było po nim.

- Pośrednio, Herbie - powiedział. Najwyraźniej nie zamierzał powiedzieć oficerowi amerykańskiej Secret Service, że niedoszły zamachowiec pochodził z naszych, brytyjskich kręgów kontrwywiadu.

- Zapewniliście nas kategorycznie, że komórka jest „kontrolowana”, jak to określiliście.

- Tak, bo jest. Wszystko jest przygotowane, żeby aresztować ich o drugiej w nocy. Zanim prezydent wyleci z Waszyngtonu.

- Lassiter wziął głęboki oddech. - To nowe zagrożenie, część innej komórki, którą odkryliśmy.

- Wcale mi się to nie podoba - stwierdził szorstko Weatherspoon. - I prezydentowi też się raczej nie spodoba.

- Przynajmniej się o tym dowiedzieliśmy, Herbie.

- Ale co w tej sprawie zrobiliście?

- Niewiele można zrobić, dopóki jej nie znajdziemy.

- Jej?

Lassiter machnął niejasno ręką.

18 - Zamach na prezydenta

273

- Z naszych informacji wynika, że to może być kobieta.
- Macie rysopis, nazwisko? Lassiter przybrał nieprzeniknioną pokerową minę.
- Powiedzmy po prostu, że wiemy, kogo szukamy.
- Nie wydaje mi się.
- Naprawdę wiemy. I dlatego cię wezwałem. Chcielibyśmy, żebyście zstąpili się nad lądowaniem Air Force One w innej bazie. Mildenhall i Larkheath leżą w tym samym rejonie.
Weatherspoon zamrugał oczami.
- Chyba żartujesz, Joe. Na tym etapie? Nie przygotowano oceny stanu bezpie czeństwa tamtej bazy ani logistyki dostarczenia prezydenta do Cambridge czy na spotkania tu w Larkheath. Poza tym cała żandarmeria bazy, posiłki ministerstwa i snajperzy policyjni są przygotowani do rozmieszczenia tutaj. Baza jest jak Fort Knox. Nikt nie będzie miał tu szansy kropnąć prezydenta.
Uznałem, że pora coś powiedzieć.
- Herbie, możliwe, że ktoś spróbuje zza ogrodzenia. Amerykanin jakby dopiero mnie zauważył.
- Mason, tak? To pana zespół robił ocenę bezpieczeństwa, zgadza się? Kiwnąłem głową.
- Zazaczyliśmy ten fakt. Mało prawdopodobne, ale możliwe. Weatherspoon odwrócił się do Lassitera.
- W takim razie sugeruję, żebyście wy, Brytole, zebrali się do kupy, wywie z łózek swoich pijanych policjantów i przeszukali wszystkie obszary, które według oceny Masona mogą być kryjówką snajpera. Żaden snajper nie ma prawa kiwnąć palcem niezauważony. - Pokręcił głową z rozpaczą. - A teraz, jeśli mi panowie wybaczycie, muszę powtórzyć to swoim przełożonym. Informujcie mnie n~ bieżąco o rozwoju sytuacji.
- Oczywiście - obiecał nieszczercze Lassiter.
- On nie ma pojęcia o snajperstwie - powiedziałem, kiedy Weatherspoon sze do drzwi. - Snajper nie musi robić nic więcej, jak tylko kiwnąć palcem.
- Bardzo zabawne.
- Ja nie żartuję. Ale Herbie ma chyba rację z tym sprawdzeniem wszystkie miejsc, pół ostrzału i tak dalej.
- Tak, tak - powiedział Lassiter ze zniecierpliwieniem. - Skontaktuję si z sierżantem Nashem, żeby zorganizował policję. Zostanę ich ulubieńcem, jak i przerwę drzemkę dla urody.
Wyjął z kieszeni komórkę, włączył ją i wyszedł do recepcji, czekając, aż Nash odbierze. Wychodząc, minął nocnego portiera niosącego moje kanapki z krewetkami i majonezem, i poczęstował się jedną z nich.
Portier się zdziwił.
- Przykro mi, proszę pana, tamten pan...
274

Machnąłem lekceważąco ręką.

- Proszę się nie martwić, on niestety jest ze mną. Wziąłem talerz i poszedłem porozmawiać z Jeffem Kingiem.

- Cześć, Phil, dobrze cię znów widzieć. Wciąż pakujesz się w kłopoty? Uśmiechnąłem się blade.

- Ostatnio wchodzi mi to chyba w nawyk - powiedziałem, siadając obok niego na kanapie. - Rozumiem, że ty śledziłeś komórkę Szachida?

King kiwnął głową.

- Od kiedy przyjechaliście tu z Leem Fryattem. Teraz ma ich nocna zmiana.

- Niczego nie zauważyłem, kiedy tam byłem - przyznałem - a wiedziałem, że zespół mnie obserwuje. Ta farma stoi raczej na pustkowiu.

- Rzykowaliśmy tylko pierwszego dnia, kiedy tam przyjechaliście - wyjaśnił King. - Kiedy technicy zainstalowali mikrokamery i nadajniki, wszystko robiliśmy zdalnie. Potem zespół i samochód kontroli musiały tylko mieć oko na drogę do farmy, żeby ich śledzić, kiedy gdzieś jechali.

- Wydarzyło się coś interesującego, kiedy wyjechałem? Wzruszył ramionami.

- Nic ponad to, czego można się było spodziewać. Aha, kupili jeszcze jeden samochód. Land-rovera.

Coś mi tu nie pasowało.

- Samochodów im nie brakowało - powiedziałem. King znów wzruszył ramionami.

- Może uznali, że land-rover lepiej się nadaje do tej roboty niż wyścigówka Lea. Rozmowa się urwała, bo zabrałem się do jedzenia kanapek. Właśnie skończyłem, kiedy Lassiter wrócił na salę. Wydawał się trochę bardziej zadowolony.

- Wszystko załatwione - powiedział do mnie. - Sierżant Nash wyciąga swoich ludzi z łóżek i organizuje przeczesanie wszystkich potencjalnych pól ostrzału wokół lotniska. Powinni zacząć za jakąś godzinę. - Zerknął na mój pusty talerz. - Mogłeś mi jedną zostawić, Phil, samolubny draniu.

- Nie masz co robić? - spytałem.

- Nie martw się, już sobie idę. Oddział szturmowy SAS i antyterrorysty za chwilę będą mieli ostatnią odprawę. Zaczynamy o drugiej.

Zerknąłem na zegarek. Wskazówka ledwie szturchała pierwszą w nocy. W tym momencie usłyszałem trzask radia. Lassiter wyciągnął je ze skórzanego futerału przy pasku.

- Odbieram. Kontrola, odbiór.

Przyłożył radio do ucha. Na jego czole pojawiła się bruzda.

- Słodki Jezu - mruknął po chwili. - Potwierdzam. Kontrola. Możecie ich przechwycić? Odbiór. - Znów posłuchał. - Zróbcie, co możecie, będę u was najszybciej, jak się da. Bez odbioru.

- Co się stało, Joe?

275

Lassiter nie odpowiedział, tylko się do mnie odwrócił.

- Mówiłeś, że według planu komórka Szachida miała opuścić dom o trzeciej w nocy, tak?

Kiwnąłem głową.

- I zaatakować dom dostawcy o wpół do czwartej - potwierdziłem.

- No, w takim razie zmienili plan, niech to szlag. Już wyjechali. - Lassiter wsunął radio z powrotem do futerału. - To był samochód kontroli. Pluskwa w ich salonie zamknęła jakieś piętnaście minut temu. Kontrola uważa, że mogli ją znaleźć. Po-tem kamera na zewnątrz złapała ich, jak wychodzili i wsiadali do land-rovera.

- To nie powinien być problem - powiedział King. - Nasze samochody stoją na końcu drogi dojazdowej do farmy. Nie zgubimy ich.

- Nie pojechali drogą dojazdową - wyjaśnił z irytacją Lassiter. - Pojechali na przełaj. Najprawdopodobniej w kierunku Fenwell.

- O Boże - sapnąłem. Wioska dostawcy.

- Możesz sobie jęczeć do woli, Phil - warknął Lassiter. - Czterech terrorystów z bronią i wybuchowymi kamizelkami jest na wolności, a my nie mamy nikogo, kto by ich zatrzymał, zanim dotrą do Fenwell.

- Zadzwoń do domu - powiedziałem szybko. - Powiedz Samowi, żeby zabrał żonę i dzieci, zanim przyjadą!

Lassiter patrzył na mnie z wściekłością.

- Przecież nie mam ich zasranego numeru! To się nie miało wydarzyć. King zerwał się z kanapy.

- Przyniosę książkę telefoniczną z recepcji.

Poszedłem za nim i zobaczyłem, że znalazł ją już przy telefonie na ladzie.

- Jak się ten gość nazywa?

- Goodwin - powiedziałem. - Sam Goodwin. King zaczął kartkować.

- I jest... G. Goodwin. Cholera, dziesiątki... O, jest jeden w Fenwell. Ale nie S.W. Goodwin. Może telefon jest na żonę. Meadow View Close.

- To nie on - powiedziałem. - Jego dom jest na High Street.

- Na pewno?

- Na pewno.

- W takim razie biedny sukinsyn ma zastrzeżony numer.

Oczywiście wyobraźni zobaczyłem Szachida i trzech pozostałych, spiętych i zdenerwowanych, stłoczonych w land-roverze; od gorącego potu ze strachu przed tym, co mieli zrobić parowały okna; kierowca zerknął na drogowy znak do Fenwell, punkt, z którego nie było już odwrotu.

- To najgorszy błąd - powiedziałem - jaki Sam Goodwin w życiu popełnił.

Droga do Fenwell zajęła mi dwadzieścia minut. W tym czasie zaczęła padać rzadka, mglista mżawka, która wyglądała, jakby wilgoć unosiła się w powietrzu.

Kiedy dojechałem do wioski, oddział szturmowy SAS i antyterroryści, którzy wcześniej mieli atakować dom na farmie, rozstawili się już do awaryjnego ataku na dom Sama Goodwina i jego rodziny. Na skraju wsi zatrzymał mnie machnięciem mundurowy policjant; ulica została zamknięta. Tuż za taśmą stała duża furgonetka z symbolami British Telecom, będąca w rzeczywistości pojazdem kontroli MI-5. Obok stał Joe Lassiter, pogrążony w ożywionej rozmowie z dwoma mężczyznami w wojskowych mundurach polowych.

Z innych furgonetek wysypywali się mężczyźni w ciemnych kombinezonach niebieskich beretów S019, z karabinami w rękach. Domyśliłem się, że kręcący się dookoła cywile należeli do wydziału wsparcia technicznego T07 i wydziału brudnych sztuczek S07, który, jak wiedziałem, miał brać udział w operacji na farmie.

Opuściłem szybę furgonetki i machnąłem legitymacją MI-5.

- Nie podjeżdżałbym bliżej, proszę pana - ostrzegł policjant. Wskazał zatoczkę przystanku autobusowego tuż za mną. - Proszę się cofnąć i tam zaparkować.

Posłuchałem jego rady, zamknąłem samochód i poszedłem do Lassitera, który stał już teraz sam i nerwowo zaciągał się papierosem.

- Jakie wieści, Joe?

- Ewakuujemy wszystkich sąsiadów - odparł ze złością. - To nie powinno długo potrwać. Spowalnia nas paru staruszków i niepełnosprawnych.

- Był jakiś kontakt z Szachidem i resztą?

Lassiter zaciągnął się mocno papierosem i pokręcił głową.

- Nie, najwyraźniej wiedzą że sprawa jest przegrana. W oknie sypialni od frontu poruszały się zasłony. Nasz wydział techniczny uważa, że musieli znaleźć jedną z pluskiew i przyspieszyli operację. Podejrzenia mogły paść na ciebie, bo tylko ciebie z nimi nie ma, a ty wiedziałeś, kiedy według planu miała się rozpocząć operacja. Członkowie komórki nie kontaktowali się też przez telefon. Złapali nas wszystkich ze spuszczoneymi spodniami. Ale przynajmniej mieliśmy wszystkich pod ręką nawet jeśli w złym miejscu.

- Zamierzasz spróbować z nimi porozmawiać? - spytałem.

- Tak, jak tylko ulica zostanie oczyszczona. Jeśli się podniecą i odpalą kamizelki... - Lassiter skrzywił się na tę myśl. - Oczywiście mamy już numer stacjonarny, a z Cambridge jedzie dwóch wyszkolonych negocjatorów... Tymczasem SAS improwizuje plan działania na wypadek, gdyby sprawa się ryła. Wozy strażackie i karetki już tu jadą.

Lassiter przerwał i odwrócił głowę, kiedy obaj zobaczyliśmy migoczącego niebieskiego koguta zbliżającego się szybko radiowozu. Kierowca zahamował z poślizgiem i piskiem opon tuż przed taśmą a z tylnych drzwi pasażera wyskoczył policjant w mundurze. Jego czapka z daszkiem była przyozdobiona złotym sznurem.

- Komisarz - mruknął Lassiter kątem ust.

Z samochodu wysiadło trzech innych mężczyzn, wszyscy w cywilnych ubraniach. Jednym z nich był inspektor Ian Proctor z wydziału specjalnego.

- Dzień dobry, Joe - powiedział komisarz, schylając się, by przejść pod taśmą. - Mamy tu chyba niezły burdel. Mam tylko nadzieję, że uda się nam opanować sytuację.

- Tak, proszę pana, jeśli posłuchają głosu rozsądku. - Lassiter odwrócił się do mnie. - To Phil Mason. Jeden z naszych współpracowników. Jest w to wszystko mocno zaangażowany.

Szef policji mocno uściskał mi dłoń. Był to krzepko zbudowany mężczyzna po pięćdziesiątce, miał rumianą twarz i nieruchome oczy.

- Ach tak, przeniknął pan do ich komórki i wszystko to zorganizował. Wygląda na to, że trochę za dobrze.

Trafił w czuły punkt.

- Oczywiście nie tak to się miało potoczyć, proszę pana. Położył mi dłoń na ramieniu.

- Przepraszam, byłem nietaktowny. Zachował się pan bardzo odważnie. To nie pana wina, że tak się stało. Ale pana wkład może być cenny. - Odwrócił się do trzech mężczyzn za nim. - Ci dwaj panowie to nasi negocjatorzy. Wyszukoleni w

Bramshill. Superintendenti Holmes i Peters. Oraz inspektor Proctor z WS.

Proctor uśmiechnął się krzywo.

- My się znamy, proszę pana.

Nie byłem pewien, czy powiedział to, jakby był z tego zadowolony. W tym momencie mundurowy inspektor policji zawiadujący ewakuacją zameldował, że dokonano całkowitej ewakuacji we wszystkich domach w okolicy.

- Dobrze - powiedział komisarz. - Chodźmy do stanowiska kontroli i zobac my, na jakim jesteśmy etapie.

Poszedłem za nimi do furgonetki wyposażonej w rzędy monitorów wideo i skomplikowany sprzęt łącznościowy,

obsługiwany przez oficerów wydziału technicznego MI-5. Za nimi stał stół, przy którym dwaj oficerowie SAS ślęczeli nad laptopem wyświetlającym zdjęcie Fenwell High Street z powietrza.

Kiedy weszliśmy, żołnierze podnieśli wzrok, a jeden z nich natychmiast odwrócił się do komisarza.

- Mamy gotowy plan awaryjny na wypadek, gdybyśmy musieli wejść przed czasem.

- Na przykład, gdyby doszło do strzelaniny?

- Tak jest. - Żołnierz wyprostował się i wyprężył pierś. - Na pewno nie muszę panu mówić, że to zawiła sytuacja. Trudno o coś bardziej nieprzewidywalnego niż zamachowcy samobójcy i do tego fanatycy. Musimy spróbować ich przekonać, aby wyszli, nawet jeśli to oznacza zaoferowanie im wszystkiego, czego zażądatają. Potem nasi snajperzy SOI9 będą mogli ich zdjąć. To muszą być czyste strzały w głowę, bo wystarczy ułamek sekundy, żeby zdetonować kamizelkę.

- Nawet wtedy istnieje ryzyko. Niektóre zapalniki działają na zasadzie zwolnienia uścisku ręki. Gdy zamachowiec ginie, bomba i tak wybuchą, kiedy otworzy dłoń.

- Boże Wszechmogący - mruknął komisarz. - A snajperzy SOI9, co im grozi?

- Wyznaczyliśmy pozycje strzeleckie na dachach, które powinny dać im osłonę w przypadku eksplozji: gzymsy, kominy, murki. Ale ogranicza nas zasięg i pola ostrzału. Dlatego istnieje pewien stopień nieuniknionego ryzyka.

- To samo dotyczy naszego oddziału szturmowego - dodał drugi żołnierz. - Będą czekali w pogotowiu w przyległych posesjach, z których ewakuowaliśmy mieszkańców. To raczej plan B. Żeby mieć największe szanse powodzenia, będziemy musieli umieścić ludzi na dachu albo w sypialni rodziców, gdzie przetrzymywani są Goodwinowie - i to błyskawicznie. Do tego potrzebujemy odpowiednio wyposażonego śmigłowca. Z Hereford lecą tu dwie pumy. Oczywiście jednocześnie będzie poprowadzony szturm na parter. Miejmy nadzieję, że dzięki dezorientacji i zaskoczeniu, rzucimy granaty hukowo-błyskowe i gazy, uda nam się ich obezwładnić. Potrzeba nam cholernie dużo szczęścia.

- Plan zostanie zaktualizowany na bieżąco - dodał drugi - w miarę rozwoju sytuacji i napływu informacji.

- Jaki wywiad mamy do tej pory? - spytał komisarz.

- Nasi chłopcy z wydziału technicznego właśnie ustawili laserowy mikrofon kierunkowy - powiedział Lassiter - wycelowany w okno sypialni. - Wskazał techników w dziale łączności, którzy cały czas nasłuchiwali. - Promień odbija się od szkła, a kiedy ludzie w środku mówią różnice w wibracjach są rejestrowane i przekładane na słowa. Co mówią? Szef sekcji technicznej spojrzął na nas ze swojego krzesła na końcu stanowiska.

- Wiedzą co się dzieje - powiedział. - Mówi głównie Szachid. Tłumaczy im, że skontaktujemy się z nimi, żeby negocjować uwolnienie zakładników. Mówi jednak, że nie ma takiej możliwości, aby negocjował. To nie brzmi dobrze. Nasar i Husajn chyba śpiewają. Ustępy z Koranu, moim zdaniem. Leo milczy.

- Co z Goodwinami? - spytałem.

- Ani pisną - odparł łącznościowiec. - Ale mogą być zakneblowani. Taśmą klejącą czy czymś takim. Jeden z ludzi WT zdjął słuchawki.

- Leo właśnie oznajmił, że idzie do toalety. Nie skacze specjalnie z radości. Negocjator Holmes odwrócił się do komisarza.

- Myślę, że im szybciej zaczniemy rozmawiać, tym lepiej.

- Zgadzasz się.

- Telefon domowy jest podpięty pod naszą linię - powiedział szef łącznościowców. - Nagrywamy wszystko i słyszymy to w słuchawkach.

Nagle przyszła mi pewna myśl.

- Mam numer komórki Lea. Mogę spróbować z nim porozmawiać, kiedy będzie w toalecie.
- A po co? - spytał negocjator. - To nie on kieruje operacją.
- Ale może uda mi się go namówić, żeby przekonał Szachida.
- Warto spróbować — mruknął ostrożnie komisarz.
- Staramy się znaleźć w Londynie mułkę, który porozmawia z nimi przez telefon - powiedział Holmes.
- Na to możemy nie mieć czasu - przerwał Lassiter. Holmes odwrócił się do mnie.
- Jeśli zadzwoni pan do Lea, pozostali usłyszą dzwonek. Pokręciłem głową.
- Nie powinni. Zasady bezpieczeństwa operacyjnego Szachida były takie, żeby zawsze mieć telefon ustawiony tylko na wibracje albo miganie.
Negocjator ustąpił.
- W takim razie niech pan próbuje.
- Proszę użyć tego zielonego telefonu - powiedział szef łącznościowców. Wyjąłem notes i usiadłem na wskazanym obrotowym krześle. Znalazłem odpowiednią stronę i zacząłem wystukiwać numer.
Wydawało mi się, że minęła wieczność, zanim usłyszałem głos Lea. Mówił szeptem, lekko drżącym głosem.
- Pan Chan?
- Masz wielkie kłopoty, Leo.
- Cholera, szefie, nie musi pan mi tego mówić.
- Chcę, żebyś wytłumaczył Szachidowi, że to zły pomysł. Allah nie chce zabijania niewinnych cywilów, zwłaszcza kobiet i dzieci. Jeśli się podda policji, zostanie potraktowany łagodniej przez sąd.
Leo milczał, był wstrząśnięty.
- Skąd pan wie, co się stało?
- Bo pracuję dla policji. I ty też pracowałeś, chociaż o tym nie wiedziałeś. Będziesz tylko świadkiem oskarżenia. - Komisarz skrzywił się, kiedy to usłyszał. - Ale nie mów o tym Szachidowi. Spróbuj przemówić mu do rozsądku.
- On się nie podda, panie Chan. Nie ma mowy.
- W takim razie spróbuj go przekonać do negocjacji, kiedy zadzwonimy pod domowy numer telefonu. Obiecamy mu wszystko, czego zechce. Bezpieczny przejazd, ucieczkę śmigłowcem, wszystko... Niech tylko uwolni Goodwinów i wyjdzie z domu - przerwałem. Kątem oka zobaczyłem, że Holmes kiwa z aprobatą głową. - Inaczej wszyscy zginiecie.
- Rozumiem, panie Chan.
- Zrób to, Leo. Zrób to dla swojej mamy. Ona cię kocha.
Rozłączył się. Spojrzałem na stojących dookoła mnie ludzi i wzruszyłem ramionami.

- Jest przerażony, ale może spróbuje.
- Dobra - powiedział Holmes. - Spróbuję porozmawiać z Szachidem. Usiadł obok mnie i użył czerwonego telefonu, a szef łącznościowców podał mi słuchawki, żebym słyszał rozmowę. Telefon dzwonił chyba całą wieczność, zanim ktoś odebrał
- Halo, Achtar - powiedział cicho Holmes.
- Skąd wiecie, jak się nazywam? Głos Holmesa był gładki jak jedwab.
- Wiemy o tobie wszystko, Achtarze Szachidzie, i o tym, co robisz. Nazywam się John i jestem oficerem policji. Rozumiem, że złości cię wiele rzeczy i masz powody, żeby tak się czuć. Chcę z tobą porozmawiać o twoich problemach, zastanowić się, co możemy zrobić, żeby im zaradzić.
- A ja nie chcę z tobą rozmawiać! Niewierna świnió! - splunął Szachid. - Nasza misja zabicia Złego się nie powiodła! Musimy zadośćuczynić Allahowi. Nic nas teraz nie powstrzyma!
Nagle usłyszałem jakieś zamieszanie w tle i głos Nasara albo Husajna:
- To Leo! Idzie na dół. Chyba chce dać nogę.
- A więc zrobimy to teraz! - krzyknął Szachid. - **Allach akbań**
Nie mogłem w to uwierzyć. Leo próbował uciec. Wyobraziłem go sobie, jak biegnie do drzwi wejściowych i wolności. Czy da radę? Jak zareagują inni? Myśli te przelatywały mi przez głowę tak szybko, że chyba nie dotarło do mnie znaczenie tego, co wrzasnął Szachid. Zdarłem z głowy słuchawki, zerwałem się i pobiegłem do drzwi samochodu.
- Gdzie idziesz, do cholery? - zawołał Lassiter, kiedy się obok niego przecisnąłem.
Ulica była opustoszała, nie licząc grupki pojazdów przy kordonie policyjnym. Przypominała plan filmowy; plamy światła z latarni i okien domów odbijały się w mokrym asfalcie i nadawały budynkom pozory nierzeczywistości do tego stopnia, że można było uwierzyć, że to tylko makiety ze sklejk. Czarno--biały kot przemykał przez jezdnię, ostrożnie omijając kałużę. Obraz ten wyrył mi się w pamięci, kiedy usiłowałem wypatrzeć w oddali dom Goodwinów, z pogaszonymi światłami i zaciągniętymi zasłonami, z zaparkowanymi równo przed nim clio i jeepem.
Wtedy drzwi frontowe otworzyły się gwałtownie i dostrzegłem zarys postaci, zgarbionej i pędzącej przed siebie.
- Dawaj, Leo! - ryknąłem ile sił w płucach. To była spontaniczna reakcja, jak zachęcanie konia do szybszego biegu na wyścigach.
A potem wszystko to zniknęło w oślepiającym rozbłysku palącego, białego światła, które porażało oczy. Podmuch niewidzialnego huraganu cisnął mnie z powrotem na stopnie furgonetki, a cała ulica zadygotała od ogłuszającego ryku eksplozji.

Usiłowałem znowu odzyskać ostrość widzenia, nie mogąc uwierzyć w tragedię, która się właśnie rozegrała. Dom Goodwinów po prostu zniknął wraz z domami po jego obu stronach. W ich miejscu leżały dymiące kupy gruzów i krzywe resztki ceglanych ścian, sterczące jak popsute zęby. Gejzer wody z poprzerywanych rur wystrzelił pod niebo na spotkanie deszczu milionów odłamków szkła, spadających na ulicę razem z mżawką. Wśród zgłiszcz iskrzyły i strzelały spięcia porwanych kabli elektrycznych. Pomarańczowe, migoczące światełka zdradzały, że dalsze domy zaczynają się palić. Nie było śladu małego elio ani jeepa. I nie było śladu Lea Fryatta.

Gdzieś w tych ruinach została pogrzebana rodzina Goodwinów, dwoje małych dzieci. Ruszyłem do przodu i poczułem powstrzymującą mnie silną dłoń na ramieniu.

Odwrociłem się z wściekłością i zobaczyłem twarz Gerry'ego Shawa.

- Nie, Phil, nikt tego nie przeżył - powiedział z cichą stanowczością. - I może być drugi wybuch, jeśli nie odpały obie kamizelki. Zostaw to fachowcom.

Obok Gerry'ego pojawił się Lassiter.

- Słodki Jezu - mruknął. - Drogo nas to będzie kosztować. Odwróciłem się do niego gwałtownie.

- Myślę, Joe, że już ktoś za to zapłacił.

- Spokojnie, stary. Saperzy już tu jadą.

- Trochę poniewczasie - warknąłem. - Wasi ludzie włamali się do domu na farmie, żeby podłożyć pluskwy, tak?

- Wiesz, że tak.

- To dlaczego, do cholery, nie uszkodzili pistoletów i tych pieprzonych kamizelek, kiedy tam byli? Mogli to draństwo rozbroić albo podłożyć atrapy.

- Nie było czasu.

- Czasu było mnóstwo, Joe. Nasi robili to wiele razy w Irlandii Północnej. Uratowali życie wielu ludziom.

Lassiter westchnął, jakby był nauczycielem tłumaczącym coś wyjątkowo tępemu uczniowi.

- Szachid nie był głupi i został wyszkolony. Gdyby natknęli się na ślady majstrowania, zwinęliby się, odwołali misję. A potem znaleźli jakiś inny sposób zabicia prezydenta, taki, o którym nie wiemy.

- Teraz wiemy, że od samego początku miała to zrobić inna komórka - powiedziałem z wściekłością.

- Oczywiście, człowiek zawsze jest mądry po szkodzie, Phil. - Lassiter popatrzył na mnie ze złością i ruchem głowy wskazał zrujnowaną ulicę. - Czasami coś po prostu nie wychodzi. A teraz przepraszam, czeka mnie sporo pracy.

Wrócił do komisarza, policjantów i żołnierzy, którzy wstrząśnięci patrzyli na rozmiary katastrofy. Wilgotne, nocne powietrze wypełniło zawodzenie zbliżających się karetek i wozów strażackich.

- Nie bądź dla Joego taki surowy, Phil - powiedział Geny.

Nie odpowiedziałem. Kotłowały się we mnie wściekłość, żal i niemałe poczucie winy - sam przyczyniłem się do tej katastrofy. To był mój pomysł, żeby zwerbować Lea Fryatta na agenta i mój pomysł, żeby wziąć zakładników. A teraz Leo i cała czteroosobowa rodzina, wszyscy nie żyli.

- Rozumiem, że pojechałeś do hotelu? - spytałem. Geny kiwnął głową.

- Jeden z gości z MI-5, jakiś Jeff, powiedział mi, że coś się tu szykuje. Mówił też, że być może snajper terrorysta przedostał się przez kordon bezpieczeństwa wokół Larkheath.

- Powiedział ci, kto to jest?

- Nie.

- Wracajmy do hotelu - zadysponowałem. - Mam ci parę rzeczy do powiedzenia.

Nagle zauważyłem czarno-białego kota, którego widziałem już wcześniej. Bawił się na chodniku czymś sporym i okrągłym, jakieś trzydzieści metrów dalej, przy studziencie ściekowej.

- One chyba naprawdę mają dziewięć żyć... - mruknąłem. - Czym on się bawi? Wygląda jak piłka.

Obaj podeszliśmy bliżej i dopiero kiedy byliśmy już tuż-tuż, a kot spłoszony czmychnął, zrozumiałem, czując nagłe mdłości, co to jest. Głowa została równo oderwana, zupełnie jakby odcięto ją gilotyną.

Czarne włosy nie były przypalone, idealna twarz zastygła w błogim wyrazie. Patrzyłem w szeroko otwarte, bezdennie głębokie, czarne oczy samobójcy Nasara.

- To musi być jeden z nich - powiedział spokojnie Geny. - Jak się odpala taką kamizelkę, głowa strzela jak cholerny korek od szampana. Może wylądować wszędzie. Nie mówią im o tym, kiedy ich werbują. Ciężko pieprzyć te wszystkie niebiańskie dziewczęta, kiedy się nie ma cholernego łba.

17

Tb była najgorsza noc w moim życiu. Niedługo znaleziono zwłoki Lea Fryatta, w pięciu kawałkach, rozerwane i porzucane jak niechciana lalka, w zaułku naprzeciw zniszczonego domu. Zbieranie ocalałych szczątków Goodwinów miało potrwać bez wątpienia wiele dni. Nie było nawet wiadomo, czy znajdą coś, co da się włożyć do trumny.

Wróciliśmy do hotelu tuż po trzeciej nad ranem. Geny zaprosił mnie do swojego pokoju, sugerując, że powinniśmy sięgnąć po zapasy z barku. Miałem ochotę się napić, ale wiedziałem, że musimy wcześniej wstać następnego dnia.

Geny usiadł na łóżku, a ja przycupnąłem na krawędzi fotela, ze szklanką whisky w ręku. I tak się właśnie czułem. Na krawędzi, niezdolny się rozluźnić; przed oczami stawały mi wciąż niechciane obrazy. Wybuch, Leo znikający w palącym białym rozbłysku. Potem trwający ułamek sekundy, prawie podprogowy wideo-klip w żywych, nasyconych kolorach - rozpalone, białe niebo; suchy, pylisty krajobraz; widok przez celownik lunety Schmitt & Bender; ludzka głowa między kreskami i głowa małej dziewczynki rozbryzująca się jak przejrzała dynia.

W końcu mój umysł zaczął pracować i mogłem wreszcie opowiedzieć Gerry'emu o Jazz i moim uwięzieniu w piwnicy. Słuchał w milczeniu, kiedy wyjaśniałem, co zrobiła i dlaczego, i co zamierza dzisiaj zrobić. Był oszołomiony.

- Myślisz, że to zrobi? - spytał, wyraźnie nie mogąc ogarnąć tego, co właśnie usłyszał.

- Mam nadzieję, że w ostatniej chwili się rozmyśli - powiedziałem szczerze. - Ale wczoraj zabiła dwóch terrorystów bez mrugnięcia okiem. A nie czuła do nich nienawiści tak, jak do George'a Busha. Mam tylko nadzieję, że gliniarze zatrzymają ją dzisiaj w nocy.

Geny w zamyśleniu popijał whisky.

- Jeśli ryzyko jest takie duże, czemu Jankesi nie zmieniają planów? Wzruszyłem ramionami.

- Właściwie nie wiem. Lassiter im to zaproponował, nawet nalegał, ale oni nie chcą. Może uważają że zagrożenie nie jest wystarczająco duże, żeby mieli zmieniać swoje starannie poukładane plany. Może wierzą że nie da się przeniknąć przez zabezpieczenia ich bazy. A już na pewno nie zdają sobie sprawy, co potrafi zrobić strzelec wyborowy tak wyszkolony jak Jazz, nawet jeśli obstawili bazę policyjnymi snajperami.

- Jak mówisz, miejmy nadzieję, że złapią ją w nocy.

- Miejmy nadzieję - powtórzyłem, ale wiedziałem, że w moim głosie nie ma przekonania. Dopilem whisky i odstawiłem szklankę na stół. - Wybacz, Geny, muszę się walnąć spać.

Mój przyjaciel popatrzył na mnie ze zrozumieniem i pokiwał głową.

- Rozumiem, stary. Wiem, że to trudne, ale nie dręcz się tak. To nie twoja wina. Na jego miejscu powiedziałbym to samo. Ale w mojej sytuacji były to tylko słowa nieniosące ani pociechy, ani odkupienia.

Poszedłem do pokoju, rozebrałem się i wsunąłem między świeże, czyste prześcieradła, przyjemnie pachnące krochmalem. Natychmiast zasnąłem, ale dwadzieścia minut później znów się obudziłem, a pościel była lepka od zimnego potu. Przez resztę nocy tylko się przewracałem z boku na bok, starając się pozbyć natrętnych obrazów i myśli, które mnie dręczyły i domagały się uwagi. Staralem się znów zasnąć, ale im bardziej próbowałem, tym bardziej nie mogłem. Cały czas miałem wrażenie, że minutowa wskazówka na zegarku przy łóżku się zatrzymała.

W końcu chyba zasnąłem, ale minęło może pół godziny i zegarek rozdzwonił się, przewiercając mi głowę swoim uporczywym, natrętnym brzęczeniem. Zrzuciłem z siebie pościel i wstałem. Czułem się jak trup, a oczy kleiły mi się z niewyspania.

Nawet lodowaty prysznic i mocna czarna kawa niewiele mi pomogły. Kiedy schodziłem na dół, do restauracji, na dworze wciąż panowały ciemności.

Choć minęła dopiero szósta rano, wszystkie stoliki były zajęte przez policjantów i inne siły, ściągnięte z całej Wielkiej Brytanii. Hotel najwyraźniej zmobilizował się, żeby poradzić sobie z taką liczbą gości potrzebujących wczesnego śniadania. Wielu policjantów było całą noc na nogach, przeczesując okolicę w poszukiwaniu Jazz. Sala rozbrzmiewała gwarem ożywionych rozmów, prowadzonych z najróżniejszymi regionalnymi akcentami.

Zauważyłem Gerry'ego Shawa i przecisnąłem się do niego między stolikami. Wyglądał, jakby wyspał się za wszystkie czasy i wesoło pochłaniał olbrzymią porcję jajecznicy na kielbasie. Siedzący obok niego Lassiter wyglądał za to jak wrak. Jak zwykle niechlujny w pogniecionej koszuli i marynarce, oczy za szklami okularów miał zapadnięte i poszarzałe ze zmęczenia, a brodę siną od zarostu. Co dziwne, choć jedzenie było za darmo, jadł tylko grzankę z dżemem. Miał zniechęcony wyraz twarzy. Trzecią osobą przy stoliku był sierżant Ron Nash. Choć wysoki eksgrenadier bez wątpienia również całą noc był na nogach, udało mu się ogolić, a nawet nawoskować potężne wąsy.

Nash zobaczył mnie pierwszy.

- Dzień dobry, Phil. Przysiądziesz się na śniadanie? Odsunąłem krzesło i usiadłem.

- Jakies wiadomości o Jazz? - spytałem. Lassiter się skrzywił.

- Gdyby były, na stole by stał szampan i ostrygi.

- Przeczesujemy okolicę od wczesnych godzin rannych - wyjaśnił Nash. - Zrobiliśmy sobie tylko krótką przerwę na zjedzenie czegoś ciepłego i zaczynamy od nowa. Jeśli ona tam jest, znajdziemy ją.

- Skąd taka pewność, skoro nic nie macie? - spytałem.

- Powiedziałem, że nie znaleźliśmy nikogo na blokadach ani podczas poszukiwań - odparł. - Ale znaleźliśmy coś, samochód zaparkowany w zatoczce, tuż za kordonem.

- Możliwe, że to jej auto - powiedział Lassiter. - Żadnych papierów w schowku, ale według urzędu komunikacji właścicielem jest niewielka wypożyczalnia w Londynie. Nasz człowiek namierzył właściciela i właśnie z nim rozmawia. Geny uśmiechnął się i optymistycznie do mnie mrugnął.

- Gdzie ta zatoczka? - spytałem.

- Jakies sześć kilometrów na północ od lotniska - odparł Nash. - Pokażę ci na mapie, jak skończę jeść.

W tym momencie pojawiła się obok mnie kelnerka. Przez wiele lat miałem iście żołnierski apetyt. Jedz wszystko co możesz, kiedy tylko możesz, bo nie wiadomo, kiedy będzie następna okazja. Ale tego ranka nie miałem ochoty na nic. Zamówiłem tylko dzbanek czarnej kawy i odwróciłem się do Lassitera.

— Czy Herbie Weatherspoon zmienił zdanie?

— Nie — warknął Lassiter. - Rozmawiałem z nim pięć minut temu. Mówi, że jeśli samochód należy do snajpera, a okolica roi się od uzbrojonych policjantów i w bazie są nasi snajperzy, nie ma możliwości, żeby doszło do zamachu.

— Policijni snajperzy to policijni snajperzy, Joe - powiedział Geny. - Nie wojskowi. Inne szkolenie, inny gatunek. Lassiter się zirytował.

— Bardzo możliwe. Ale nie mam pod ręką żadnych wojskowych snajperów, jeśli nie zauważyłeś.

Spojrzałem na zegarek. Była szósta piętnaście, za hotelowym oknem dostrzegłem pierwsze smugi światła rozjaśniające szare niebo.

— Prezydent przylatuje dopiero o jedenastej - powiedziałem - więc na pewno zdążysz paru ściągnąć. Przywieźcie ich śmigłowcem. Szkoła Strzelców Wyborowych w Brecon na pewno się zgodzi. Weźcie paru instruktorów albo nawet najlepszych kursantów. SAS ma pod ręką gotowe do lotu śmigłowce.

— Chłopy z SO19 nie byliby zachwyceni - powiedział Nash.

— Uczucia niebieskich beretów są teraz najmniej istotne, Ron - odparowałem. - Chcę tu zobaczyć prawdziwych wojskowych snajperów.

Nash uniósł brwi.

— Ale to nie ty kierujesz tą operacją Phil.

— Już, już, spokojnie. - Lassiter uspokajająco podniósł dłoń. - Phil może mieć rację, porozmawiam o tym z komisarzem i moją szefową w Londynie. Zdobędę potrzebne pozwolenia.

Jego komórka zaczęła popiskiwać; porwał ją ze stołu. Zakrył mikrofon ręką.

— Nasz człowiek w Londynie z wypożyczalni samochodów. Słuchał uważnie przez kilka chwil, potem się rozłączył.

— Chyba trafiliśmy. Samochód wynajęła kobieta. Pani Erika Herenda.

— To chyba bośniackie muzułmańskie nazwisko - powiedziałem.

— To wszystko by się zgadzało - potwierdził Lassiter. - Adres pewnie jest fałszywy, ale policja go sprawdza.

— Tożsamość też fałszywa.

— W takim razie w końcu ją dopadniemy — stwierdził Joe z zadowoleniem.

— Może używać więcej niż jednej tożsamości - zauważyłem.

W tym momencie wszyscy w sali, jak na rozkaz, zaczęli wstawać i wychodzić. Była szósta trzydzieści, na zewnątrz wstawał dzień. Polowanie na Jazz znów się rozpoczęło.

Ron Nash wyjął z kieszeni wojskową mapę i rozłożył ją na stole, wskazując na niej miejsce, w którym znaleziono porzucony samochód. Każdy snajper szkolił umysł tak, by wyćwiczyć niemal fotograficzną pamięć terenu, i natychmiast przypominał sobie zatoczkę obok wjazdu na świeżo zaorane pole.

- Mamy już dwa psy tropiące - powiedział Nash, składając mapę z powrotem.

- Jestem przekonany, że ją znajdziemy. Dam wam znać później.

Potem dołączył do pozostałych policjantów, którzy wsiadali do czekających na parkingu furgonetek.

Lassiter ruszył za nim, chciał spokojnie przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych. Ja i Geny zostaliśmy przy stoliku nad kawą

- Pamiętam pole obok tej zatoczki - powiedział Geny. - Było świeżo zaorane, kiedy robiliśmy ocenę sytuacji... w nocy padało... Jeśli Jazz tamtędy przeszła, powinna zostawić ślady.

Zmusiłem się do uśmiechu.

- Naprawdę uważasz, że by to zrobiła, Geny? Jazz była w 14. Wywiadowczej i skończyła mnóstwo kursów unikania pościgu. Nash na pewno uważa, że znajdzie ją w strefie B, najbliższej samochodu, ale moim zdaniem to ostatnie miejsce, gdzie mogłaby być. W końcu miała całą noc na marsze.

Kiedy Jazz, Geny i ja robiliśmy naszą ocenę stanu zagrożenia, podzieliliśmy teren wokół lotniska na alfabetycznie ułożone strefy, z których snajper mógłby strzelić do prezydenta w chwili, gdy ten wysiadałby z samolotu, zanim schroniłby się w budynku albo w swojej bezpiecznej, pancерnej limuzynie. Strefy następowały zgodnie z ruchem wskazówek zegara, zaczynając od południowego wschodu -z południa pole widzenia zasłaniały budynki bazy. W strefie A była tylko jedna pozycja, dach hotelu, w którym byliśmy, zajęty zresztą przez snajperów S019 na własny użytek.

Strefa B znajdowała się na północnym zachodzie i była najbliższej rejonu celu

- a więc wydawała się najlepsza - ale miała też pole ostrzału ograniczone przez budynki administracji lotniska. Strefa C znajdowała się na północy, na drugim końcu bazy; z takiej odległości szansa na zabicie kogoś jednym strzałem była niewielka. A ponadto tutaj samolot osłoniłby prezydenta podczas wsiadania. Oznaczało to, że snajper musiałby strzelić bardzo szybko, zanim prezydenta zasłoniłyby znów budynki. Żeby trafić w cel w tych okolicznościach, trzeba by mieć mnóstwo szczęścia i wyjątkowe umiejętności. Nie sądziłem, żeby nawet Jazz była tak dobra.

Ostatnia i największa strefa D przylegała do całego wschodniego boku bazy. Nie było tam budynków mieszkalnych, tylko otwarty i pofałdowany teren, oferujący mnóstwo dogodnych miejsc, ponieważ wznosił się od skraju bazy do podnóża niskich wzgórz, jakieś tysiąc metrów na wschodzie. Rosły tam rzadkie drzewa liściaste i najróżniejsze krzaki, między nimi zaś opuszczone, stare budynki gospodarcze i ruiny domków z zeszłego wieku.

- Jak myślisz, gdzie pójdzie, Phil? - spytał Geny z namysłem.

- Stawiałbym na strefę D - odparłem. - Jest największa i najwięcej w niej kryjówek. Trudno byłoby wypłoszyć stamtąd wyszkolonego snajpera w krótkim czasie. Zwłaszcza że nie mamy znowu tak wielu uzbrojonych policjantów.

- Prawdopodobnie masz rację.

W tym momencie do restauracji wrócił Joe Lassiter. Nie wyglądał na zadowolonego i pokręcił głową siadając przy naszym stoliku.

- Komisarz się na to nie godzi, Phil. Wciąż jest wściekły z powodu wczorajszego incydentu w Fenwell. Musi się opętać od mediów. Powiedział, że nie życzy sobie gromady uzbrojonych żołnierzyków, niedostatecznie poinformowanych, łączących po okolicy i strzelających do wszystkiego, co się rusza.

- Snajperzy to nie kowboje, Joe - powiedziałem. - To prawdopodobnie najspokojniejsi, najlepiej wyszkoleni specjaliści w wojsku.

- Tak, tak - prychnął Joe. - Pewnie jest uprzedzony. Nie zgodził się. Zadzwoń więc do Królowej Śniegu. Chciałem, żeby załatwiła to nad jego głową. Problem jednak polega na tym, że chciała mieć akceptację Meduzy, a Meduza odmówiła. Powiedziała, że wystarczy nam snajperów SOI9. Powtórzyła to, co powiedział komisarz.

- A gdzie są rozmieszczeni chłopcy ze SOI9? - spytałem.

- Na dachu tego hotelu - odparł Lassiter - na dachu wieży kontrolnej, na wieży kościelnej w strefie B, na dachu Hollingdene Hall.

- Słuchaj, Joe - powiedziałem. - Ja i Geny uważamy, że Jazz będzie najpewniej gdzieś w strefie D.

- Sierżant Nash sądzi co innego, Weatherspoon też. - Lassiter zmarszczył brwi. - A samochód znaleziono w strefie B. Ludzie Nasha chodzą tam właśnie z psem. Na tym rejonie się koncentrują.

- Mylą się - powiedziałem. - Wiem o tym.

Nigdy nie widziałem Lassitera tak udęconego - jego zwykła, zadziorna pewność siebie całkowicie zniknęła.

- Jeśli coś pójdzie nie tak, moja głowa polecą. I nic na to nie mogę poradzić.

- Mam w samochodzie karabin snajperski - powiedziałem. - Zabrałem go z domu Jazz. Jeśli chcesz, Geny i ja możemy na wszelki wypadek obstawić strefę D. Tam, w polu.

Geny omal nie udławił się kawą.

- Hej, chwileczkę, Phil, nie mieszaj mnie do tego! Kurs snajperski robiłem dwadzieścia lat temu!

- Daj spokój, Geny, strzelanie to twoje hobby - powiedziałem. - Masz za to medale. Poza tym chcę tylko, żebyś był moim obserwatorem.

Lassiter ostrożnie się zainteresował.

- Co konkretnie masz na myśli?

- Dobrą pozycję antysnajperską. Na północy strefy jest wzniesienie, z którego byłby dobry widok prawie na całą jej długość. Nie jest doskonała, są tam drzewa i inne przeszkody, ale nic lepszego nie mamy. Miejmy nadzieję, że wypatrzemy jej pozycję, zanim przyleci prezydent. Jeśli sprawa weźmie w łeb, powinniśmy ją dopaść, kiedy eksfiltruje.

- Kiedy co?

- Kiedy eksfiltruje - wyjaśniłem. - Spróbuj opuścić swoją pozycję.

- Mówimy tu o Jazz, Phil - powiedział Lassiter z niedowierzaniem. - Dziesięć lat temu się dymaliście, może teraz też. A ty mi mówisz, że byś ją zabił?

Zaskoczyły mnie jego brutalne słowa.

- Posłuchaj, Joe, nie przepadam za prezydentem Bushem. Jego polityka zagraniczna to koszmar. Ale jest wybranym przywódcą swojego kraju. Jeśli nikt inny nie powstrzyma Jazz, ja to zrobię.

- Jesteś pewien? - spytał Geny.

- Ona nie ma racji tak samo, jak każdy inny członek komórki Al-Kaidy - odparłem spokojnie. - Oni też się tłumaczą i usprawiedliwiają. Morderstwo to morderstwo, sprawa jest prosta.

Lassiter się zamyślił.

- Felicity nie da zgody, Phil, tego jestem pewny.

- To może podejmij tę krytyczną decyzję sam, Joe - odparłem lodowato. - Nieważne, czy Jazz zostanie zastrzelona jako niedoszły zamachowiec, czy zabita po dokonaniu zamachu jako znany zamachowiec, to będzie dużo plusików dla ciebie.

Lassiter zastanawiał się kilka chwil.

- Nie, sam podejmiesz decyzję - powiedział. - Nie będę cię powstrzymywał, jeśli uważasz, że to najlepsze wyjście. Zresztą to tylko dodatkowe zabezpieczenie. Ale nie zrób takiego błędu jak w Afganistanie. Nie chcę, żeby jakimś miejscowemu dzieciakowi rozwalilo głowę tylko dlatego, że bawił się w złym miejscu w niewłaściwym czasie.

Wściekłość zabłysnęła mi w głowie jak jaskrawe czerwone światło.

- Stul dziób, do cholery. Trzeba to zrobić i już. - Odwróciłem się do Gerry'ego. - Zgadzasz się ze mną?

Uśmiechnął się niezręcznie.

- Ja jestem tylko obserwatorem. Spojrzałem znów na Lassitera.

- Potrzebuję jakiegoś bezpiecznego miejsca, żeby wyzerować karabin i poćwiczyć.

Lassiter z namysłem podrapał się po zaroście na brodzie.

- Co powiesz na hangar?

- Doskonale.

19 - Zamach na prezydenta

289

Przez następne piętnaście minut omawiałem z Gerrym plan, siedząc nad mapą pożyczoną od Lassitera, a on poszedł załatwiać nam strzelnicę u pułkownika i znaleźć dwie krótkofalówki, żebyśmy mieli bezpośredni kontakt z policją. Pusty i sypiący się hangar okazał się doskonałym i bezpiecznym miejscem, by przestrzelać super magnum. Karabin miał straszego kopa. Byliśmy pod wielkim wrażeniem; Gerry'emu chyba się całkiem podobało, zwłaszcza kiedy pozwoliłem mu postrzelać.

Po godzinie strzelania opuściliśmy bazę i wróciliśmy na parking hotelu, przygotować się do naszej misji.

Otworzyłem tylne drzwi furgonetki. Zanim włożyłem swój kombinezon ghillie, znalazłem dla Gerry'ego zapasowy mundur - w który wbił się z pewnym trudem - a potem wręczyłem mu swoją lornetkę Leica Vecta, z wbudowanym laserowym dalmierzem. W chwili szaleństwa ukradłem ją kiedy odchodziłem z wojska. Byłem jak dziecko, które musi mieć swoją ulubioną zabawkę.

Potem wyjąłem z futerału accuracy international 0.338 super magnum, wariant modelu AW, czyli arctic warfare, schowałem do kieszeni wszystkie akcesoria i dwa czteronabojowe magazynki, a następnie zacząłem maskować broń paskami juty i bawełny, leżącymi z tyłu furgonetki. W końcu przyszła pora na makijaż - wysmarowałem twarz trzykolorowym kremem maskującym.

Niebo tymczasem nakryło się siną chmurą zwiastującą dalsze opady; w powietrzu wciąż unosiła się mgiełka mżawki.

Miałem nadzieję, że nie ustanie, utrudniając Jazz wykonanie jej zadania.

Kiedy byliśmy gotowi, uruchomiłem furgonetkę i ruszyliśmy na północ główną drogą przez blokadę, aż dotarliśmy do zatoczki, w której stał otoczony policyjną taśmą samochód z wypożyczalni. Dookoła kręcili się policjanci i żandarmeria, pozornie niewiele robiąc. Przejechałem kawałek dalej i zatrzymałem się obok przełazu w przydrożnym płocie.

Gerry wskazał kciukiem w lewo.

- Co tam się dzieje?

Dostrzegłem grupę policjantów i dwóch treserów psów. Stali nad brzegiem strumienia płynącego równoległe do drogi. Był wśród nich sierżant Nash.

- Chodź, zobaczymy - powiedziałem.

Nie chcąc wzbudzać konsternacji ani kłótni, zostawiłem broń w samochodzie i razem z Gerrym wysiadłem na drogę.

Przeszliśmy przez przełaz i zsunęliśmy się po lekkim zboczu. Nash nas zauważył.

- To ty, Phil? Czy strach na wróble po mobilizacji? Uśmiechnąłem się.

- Uwierz mi, słyszałem już wszystkie dowcipy o strachach na wróble. - Popatrzyłem na małą grupkę zmieszanych policjantów i dwa bardzo podniecone rott-weilery. - Mogę spytać, co się dzieje?

Nash wzruszył ramionami.

290

- Zaczęło się bardzo dobrze. Złapaliśmy trop przy samochodzie. Ciągnął się przez dwa pola na zachód, potem skręcił na północ, potem znów na wschód tutaj. A teraz psy go zgubiły.

- Jazz zgubiła je w strumieniu - powiedziałem.

- Standardowa sztuczka - zgodził się Nash. - A więc teraz może być wszędzie. Gdzie to się wybierasz tak odstawiony?

- Idziemy obserwować strefę D. Nash zmarszczył brwi.

- Od wschodu? Naprawdę nie sądzę, żeby tam była. Za mało osłony. Poza tym w nocy dokładnie wszystko przeszukaliśmy.

- No, ja mam przeczucie.

- Za mało mamy ludzi - poskarżył się Nash. - O wiele za mało. Komisarz próbuje ściągać ludzi po służbie, ale to trudne zadanie, a czasu jest mało. Jeśli naprawdę uważasz, że strefa D jest prawdopodobna, postaram się kogoś tam posłać.

- Dobry pomysł - powiedziałem i wskazałem mniej więcej nasz zamierzony punkt obserwacyjny na mapie Lassitera. - Dopilnuj, żeby snajperzy S019 wiedzieli, gdzie jesteście. Nie chciałbym, żeby nas wzięli za Jazz.

- Jasne - odparł, notując.

- Och, i jesteście podłączeni do waszej sieci radiowej - dodałem. - Kryptonim „Tango Dwa”.

Nash się uśmiechnął.

- Bardzo śmieszne. No, muszę iść działać. Powodzenia.

Nash zastanawiał się, jak najlepiej rozmieścić ludzi, a Geny i ja wróciliśmy na drogę. Wyjąłem z samochodu magnum, a potem przeszliśmy przez jezdnię na wschód i weszliśmy do strefy C. Byłem pewien, że szanse, iż Jazz wybierze ten rejon, są najmniejsze. Musieliśmy jednak trzymać się martwych pól na wypadek, gdyby mogła nas wypatrzeć ze swojej kryjówki - którą jak podejrzewałem, miała gdzieś w strefie D. Przesuwaliśmy się wolno, ale miarowo, trzymając się zagłębienia terenu, żeby się nie wychylać. Czasami wymagało to czołgania się na czworakach od osłony do osłony.

W końcu dotarliśmy do północnego sektora wschodniej flanki bazy, oznaczonej przez nas jako strefa D. Teraz musieliśmy gimnastykować się jeszcze bardziej - pelziliśmy na brzuchach przez mokrą trawę, aż dotarliśmy do niewielkiego wzniesienia. Roślinność była tu szorstka i karłowata, a jedyną osłonę dawały wyższe kępy chwastów i rzadkie, niskie krzaki. Dokładnie zbadaliśmy teren, znajdując w końcu niewielkie zagłębienie, w którym mogliśmy się ułożyć obok siebie, wystawiając tylko nieznacznie głowy nad krawędź górki. Mieliśmy stąd widok na całą długość strefy D, ciągnącej się na południe.

Po prawej stronie mieliśmy wschodni ciąg ogrodzenia lotniska, z połaciami przystrzyżonej trawy i betonowymi pasami startowymi, zamazany przez opar

mżawki. W oddali widać było zarys wieży kontrolnej i miejsce, w którym prezydent George W. Bush miał wysiąść ze swojego samolotu. Ku mojemu rozczarowaniu jednak chmura zaczynała się rozwiewać, przepuszczając promienie słońca, które rozpraszały mgłę. Mimo to punkt obserwacyjny mieliśmy idealny.

Obaj przyjęliśmy pozycję Hawkinsa, ponieważ mieliśmy bardzo niewielką osłonę. Skręcając ramiona tak, że linia strzału karabinu była niemal prostopadła do reszty ciała, zmniejszałem swoją sylwetkę, która przy zwykłej pozycji wzdłuż byłaby wyraźniejsza.

Ustaliliśmy dokładne miejsce, wycofaliśmy się do martwej strefy i nawzajem pomogliśmy sobie udoskonalić kamuflaż, używając zeschniętej trawy i miejscowej roślinności. Mnie było łatwiej, w kombinezonie ghillie i kapturze, ale Geny miał tylko zwykły mundur kamuflujący i furażerkę. Ale posługując się paskami juty i bawełną z samochodu, szybko przeobraziłem go w podobnego do mnie stracha na wróble.

Podaliśmy przez radio naszą pozycję i koordynaty do kontroli Zulu, a potem wróciliśmy na punkt obserwacyjny i zaczęliśmy systematyczne oznaczanie i numerowanie rejonu celu według punktów charakterystycznych. Były to większe krzaki i drzewa, stojąca samotnie brama, resztki ceglanej ściany ze zburzonego domu, wzniesienia i zagłębienia - określaliśmy też zasięg. Leica sprawiała, że było to o wiele łatwiejsze i dokładniejsze, ale ja byłem na tyle staroświecki, że brakowało mi prymitywnych, ale skutecznych metod oceny odległości. Na przykład obliczania połowy drogi do danego miejsca, co jest dużo prostsze, a potem mnożenia jej przez dwa. Albo dodawania ocen doświadczonych snajpera i obserwatora i dzielenia wyniku na pół.

Kiedy zaznaczyliśmy punkty charakterystyczne i odległości, Geny sporządził na ich podstawie mapkę w notesie - czyli kartę zasięgów - a potem narysował li nie rozchodzące się promieniście od nich do naszej pozycji - w mojej dawnej branży mówiło się na to „zachodzące słońeczko”. Geny nałożył na to siatkę kwadratów, żebyśmy mogli zacząć szczegółowe przeszukiwanie kwadratów; obaj równocześnie przepatrywaliśmy każdy kolejny kwadrat, od lewej do prawej. On patrzył przez leicę, ja przez lunetę super magnum.

Jak zwykle zaczęliśmy od sektora najbliższej nas. Jeśli Jazz się tam schowała, ryzykowaliśmy najbardziej. Nic jednak nie zauważyliśmy i przeszliśmy do następnego szeregu kwadratów, dalej od naszej pozycji.

Był to powolny długi proces, ale w takim wypadku nie warto się spieszyć. Cały czas nasłuchiwalismy radiowej sieci policyjnej i staraliśmy się śledzić inne działania w rejonie. Zdawałem sobie sprawę z upływu czasu, ale zdziwiłem się, kiedy;

zobaczyłem, że jest już dziesiąta.

Wtedy usłyszałem w krótkofalówce eksgranadera, sierżanta Nasha.

- Zulu do Tango Dwa. W końcu udało mi się posłać ludzi do strefy D. Będą się przesuwać w stronę waszej pozycji od południa. Właśnie mi powiedziano, że jesteście uzbrojeni. Nie podoba mi się to. Nie róbcie sobie tylko z moich ludzi tarcz strzeleckich. Starym trepom, takim jak wy, nie powinno się pozwalać bawić bronią. Odbiór.

- Potwierdzam - odparłem z lekkim uśmiechem. - Ty się lepiej martw, żeby wasze krawężniki do nas nie strzelały. Bez odbioru.

Kilka chwil później na drugim końcu strefy D, niemal niewidoczne gołym okiem, pojawiły się dwie białe furgonetki, a potem uzbrojeni policjanci, jak ludziki z makiety kolejki, rozstawili się podobnie do nagonki podczas polowania na bażanty. Zaczynając drugie przeszukanie terenu, ruszyli wolno w naszą stronę. Gdzieś pomiędzy nami, jak sądziłem, ukrywała się Jazz. Ukrywała się, obserwowała, pociła z niecierpliwości, od nadmiaru adrenaliny i - odkąd pojawili się uzbrojeni policjanci - strachu. Wyobrażałem sobie, jak patrzy na zegarek, poganiając wskazówki, by szybciej doszły do jedenastej. Godziny, kiedy miała dokonać swojego wielkiego czynu i spróbować uciec. Czasu miała coraz mniej, ale my też.

- Dobra, Geny - powiedziałem. - Zaczynamy jeszcze raz, od połowy dystansu.

Zrobiliśmy co w naszej mocy, by mieć pewność, że Jazz nie ma nigdzie w pobliżu nas, i znów zaczęliśmy badać kolejne kwadraty zapewniające dobrą pozycję strzelecką. Każdy taki kwadrat obejmował około pięćdziesięciu metrów i każdy zachodził na sąsiedni na jakieś dziesięć, żeby przypadkiem nie pominąć żadnego kawałka.

Modliliśmy się, żeby coś zobaczyć, cokolwiek podejrzanego. Odbicie albo ciemny błysk niezastłoniętej soczewki lunety; refleks słońca na metalu; nienaturalnie prostą linię lufy; jakikolwiek przedmiot, zrobiony przez człowieka, albo kolor, nawet czarny, który rzadko występuje w zaroślach, zazwyczaj tylko w cieniu. Ale wątpiłem, by Jazz popełniła tak elementarny błąd. W Sarajewie podobno stworzyła własny wzór miejskiego ghillie, ręcznie zszywając ze sobą kanciaste kawałki materiału, szare, rdzawe i czarne. Tak jak w naturze rzadko pojawiają się linie proste, w rejonach miejskich trudno o miękkie kształty, nawet w gruzowiskach po bombardowaniu.

Czas uciekał, a my koncentrowaliśmy się na każdej kratce, widząc, że tyraliera policjantów jest coraz bliżej. Ale nie dało się tego robić szybciej, a oni doszli może do jednej piątej strefy D, kiedy przez radio odezwał się sierżant Nash:

- Kontrola Zulu do wszystkich jednostek, Łysy Orzeł jest w naszej przestrzeni powietrznej. Silny tylny wiatr nad Atlantykiem oznacza, że czas przybycia przesuwa się na dziesiątą czterdzieści pięć. Powtarzam, dziesiątą czterdzieści pięć. Wszystkie jednostki, ogłaszam najwyższy stopień alarmu. Bez odbioru.

Geny zerknął na mnie.

- Pięć minut.

Kiwnąłem głową. Nagle przyszło mi do głowy, że może szukamy kogoś, kogo tam po prostu nie ma. Może Jazz wcale nie przyjechała tym porzuconym samochodem. Albo przyjechała, ale kiedy zobaczyła policję, postanowiła przerwać misję. Mogła też, nawet teraz, zmienić zdanie. Przyczaić się, przeczekać, aż prezydent wyląduje, a potem wysłiznąć się przy pierwszej sposobności.

W powietrzu rozległa się cicha muzyka. Niewielka orkiestra dęta RAF, stojąca na betonowej płycie pod wieżą kontrolną ćwiczyła skróconą wersję *Gwiazdzistego sztandaru* przed rychłym lądowaniem.

Geny obejrzał się przez ramię w niebo.

- To chyba Łysy Orzeł. Nad horyzontem, już leci.

- Patrz na wprost - upomniałem go. - Skup się.

- Przepraszam.

Ustawiliśmy powiększenie tak, żeby widzieć całą strefę D. Linia policjantów przesunęła się o kolejne pięćdziesiąt metrów.

Na płycie pojawiły się dwie czarne limuzyny i małe postacie komitetu powitalnego. Schodki ustawiono w gotowości.

Rozległ się coraz głośniejszy, ogłuszający ryk silników odrzutowca; samolot podszedł do lądowania. Zerknąłem na bok w samą porę, by zobaczyć, jak jego podwozie dotyka pasa startowego. Nie był to Air Force One, którego się spodziewałem, ale boeing 777 w kolorach American Airlines. Zmusiłem się, by patrzeć na wprost. Widząc samolot kątem oka, dostrzegłem, że zmienił ciąg, by wyhamować. Potem zaczął kołować na płycie. Parę minut później zatrzymał się, a schodki podjechały na wyznaczoną pozycję do wjazdu. Wiedzieliśmy, że prezydent ma wysiąść, bo orkiestra RAF żwawo zabrała się do grania.

Wtedy nagle poczułem niespodziewany podmuch wiatru nad naszą pozycją coś gwizdnęło pomiędzy nami. To było raczej wrażenie przemieszczającego się powietrza niż rzeczywisty dźwięk.

- Au! - wrzasnął nagle Geny, łapiąc się za ucho.

- Co jest...? - zacząłem. Przeszło mi przez myśl, że użądliła go osa; sporo ich było tej jesieni.

Wtedy zobaczyłem czarną dziurę w klapie jego furażerki. Kiedy odjął rękę od ucha, była na niej krew.

Kłamka zapadła, kiedy spojrział w niebo, podniósł głowę i na ułamek sekundy zdradził naszą pozycję. Jazz chroniła swoją i zauważyła go; może nawet podejrzewała, że gdzieś tu jesteśmy, od dłuższego czasu.

Oprócz świstu przelatującego pocisku nic nie usłyszałem. Jazz musiała używać tłumika, bo nie rozległ się wystrzał. Tłumik poprawiał jej bezpieczeństwo, ale obniżał celność. Chociaż nie powinno to być zbyt wielką pociechą bo powiedziała mi, że niedawno w Bośni sporo ćwiczyła.

- Głowa w dół! - syknąłem. - Ona tam jest.

294

- Wiem - odparł Gerry ze złością, pokonując szok. - Dzięki, że spytałeś, ale nie jestem martwy. Za to będę mógł pokazywać bliźnię wnucom.

Spojrzałem na strefę D. Linia policjantów zbliżała się powoli, żaden z nich nie wiedział, co się właśnie stało. Skoro strzał Jazz przeszedł między nami, ale zбочzył trochę - przypadkiem albo celowo - w stronę Gerry'ego, to musiała być niemal na wprost nas, może trochę na prawo.

- Sprawdź pionowe kratki - warknąłem. - Czterdzieści pięć do jeden-zero--pięć.

- Potwierdzam - odparł Gerry, odzyskując spokój.

Znów przyłożyliśmy oczy do lunety i lornetki, bo teraz wiedzieliśmy, gdzie szukać, w prostej linii przed sobą w strefie D. Najpierw szybko, potem jeszcze raz, wolniej. Mając kilka minut i wiedząc, że ktoś - my - czekamy, żeby odpowiedzieć ogniem, Jazz postanowiła odwrócić naszą uwagę na kilka chwil przed lądowaniem, zmusić nas do zmiany pozycji w najważniejszej fazie przybycia prezydenta.

Cóż, uznałem, że nic nie działyśmy, musimy ją wystawić. Włączyłem radio.

- Tango Dwa do Kontroli Zulu. Potwierdzam Włamywacza w strefie D. Powtarzam, Włamywacz potwierdzony w strefie D. Zostaliśmy ostrzelani, nie ma ofiar. Próbuje zlokalizować. Sugeruję, żeby wasza oblawa bardzo uważała. Odbiór.

Sierżant Nash zaklął.

- Potwierdzam, bez odbioru.

- Chyba coś mam - powiedział nagle Geny. Obaj zerknęliśmy na leżącą między nami mapkę. - Kratka siedem-sześć - dodał. Posługując się „zachodzącym słoneczkiem”, wiedziałem dokładnie, gdzie patrzeć. Przycisnąłem oko do lunety.

- Środek kratki - powiedział Gerry - potem godzina trzecia jakies piętnaście metrów. Widzę zmianę koloru i dziwną poziomą linię.

- Mam - szepnąłem.

To była prawie linia prosta, zamaskowana trawą i roślinnością ale nie do końca. W całości miała jakies dwa i pół metra.

- Kryjówka? - spytał Gerry.

Byłem pewny, że ma rację. I chyba wiedziałem, co to jest, krawędź zamaskowanej płachty namiotu. Jeśli się nie myliłem, Jazz wykorzystała małe zagłębienie terenu albo sama wykopała sobie dołek. Musiała użyć drucianej siatki albo jakiegoś innego lekkiego materiału jako pokrywy, a potem przykryła go płachtą i przysypała ziemią oraz porostami. Potem wystarczyły jej otwór wielkości króliczej nory z tej strony, w którą zamierzała strzelać. Nie musiała nawet ryzykować i wysuwać lufy karabinu. Trzeba by stanąć na jej kryjówce i wpaść do środka, żeby się zorientować, że w ogóle tam jest.

Wtedy zobaczyłem ciemny cień. Czarny. Otwór, przez który musiała do nas strzelić.

- Podawaj, Gerry.

Zanim zdążył odpowiedzieć, usłyszeliśmy głos w radiu. Amerykański.

- Prezydent wychodzi na schody, schodzi... - Nagle wybuchła panika. - O mój Boże! - Chwila niedowierzania. - Prezydent trafiony! Powtarzam! Prezydent trafiony!

Tak samo jak Geny byłem za bardzo zaprzęgnięty tym, co robiliśmy, żeby zwracać uwagę na prezydenta. Wydawał się nieważnym szczegółem.

- Podawaj!-warknąłem. Gerry ustawił lornetkę.

- Wysokość pięć-siedem-zero metrów. Odchylenie cztery kliki w lewo. Skorygowałem celownik karabinu, widziałem otwór strzelniczy kryjówki Jazz wychodzący w naszą stronę.

Prawie nie docierały do mnie komentarze Amerykanina w radiu.

- Spada. Na płytę. Lekarz! Lekarz! Ochrona na miejsce! Już!

- Wskazanie, otwór strzelniczy w kryjówce - powiedział Gerry.

W tym momencie zobaczyłem jej twarz - a może to sobie wyobraziłem. Tak naprawdę to musiały być jej oczy, wielkie i jasne. Patrzyły spomiędzy błota i kremu maskującego, pokrywających jej twarz w ciemnym wnętrzu kryjówki. Oczy kobiety, którą tak bardzo kochałem.

- Potwierdzam - mruknąłem. - Widzę. Mój palec zawinął się delikatnie na spuście.

- Pora strzelać - ciągnął Geny. Oczy zniknęły.

- Nie mogę, Gerry - powiedziałem nagle. - Nie mogę.

- Co?

Wtedy usłyszeliśmy krzyk od strony zbliżającej się wciąż policyjnej obławy. Oderwałem wzrok od lunety i zobaczyłem, jak jeden z policjantów pada; jego karabin zwisał na pasku, kiedy mężczyzna złapał się obiema rękami za twarz. Czysty strzał w głowę. Wszyscy pozostali padli plackiem na ziemię, nie wiedząc, skąd strzelano.

- Chryste! - syknąłem wściekle przez zęby.

Pochyliłem głowę i znowu zacząłem obserwować otwór w kryjówce Jazz. Znowu zacisnąłem palec na spuście. Ilu policjantów mogła zabić, żeby się bronić? Nie miałem wyboru.

Nagle w sztucznej króliczej norze znowu pojawiły się oczy. Miałem wrażenie, że patrzą prosto na mnie. Przez sekundę były oczami małej afgańskiej dziewczynki, jakby jakiś komputerowy haker włamał się do mojego mózgu. Mrugnąłem mocno i obraz zniknął.

Oczy wciąż na mnie patrzyły, przesywały moją duszę.

296

- Na litość boską, Phil! - wrzeszczał Gerry. - Ona w nas celuje! Uspokoilem oddech, palec nacisnął delikatnie na spust. Pole widzenia zaczynało mi się rozmywać przez nagłą wilgoć wzbierającą w oczach.
Strzeliłem.

Rozległ się krótki krzyk, który nie zdążył przerodzić się we wrzask. Oczy w króliczej norze zniknęły. Odsunąłem głowę od lunety i puściłem karabin. Ręce mi się trzęsły. Powoli wstałem, nie zauważyłem nawet, że chwycił mnie skurcz mięśni nóg.

- Zastąp mnie, Gerry - powiedziałem, nie patrząc na niego. - Zamelduj się Kontroli Zulu.

- Uwważaj, stary - ostrzegł. - Ona może jeszcze żyć.

Zostawiłem super magnum na dwójnogu i ruszyłem w dół łagodnej pochyłości w stronę kryjówki, ściągając kaptur ghillie. Nie obchodziło mnie, czy trafiłem, czy może zraniłem ją tylko tak, że wciąż mogła strzelać. Jeśli tak się to miało skończyć, niech tak będzie.

Ale niepotrzebnie się martwiłem. Kiedy dotarłem do kryjówki, okazała się skonstruowana tak, jak przewidywałem.

Ściągnąłem płachtę i drucianą siatkę.

Leżała tam, na plecach, z nogami rozrzuconymi, tam gdzie cisnęła ją siła trafienia. VSS rosyjskiej produkcji leżał obok.

Oczy wciąż miała otwarte, wpatrzone we mnie z ładnej, pokrytej kremem kamuflującym twarzy, a tuż na prawo od środka jej czoła widniał równy otwór, jakby go ktoś wywiercił.

Nachyliłem się, ściągnąłem bawełnianą chustę z głowy Jazz, pozwalając, by jej włosy się rozsypały. Potem zamknąłem jej powieki. Krew wsiąkała w ziemię, krew z rany wylotowej, która musiała oderwać jej tył czaszki.

- Wybacz, Jazz - szepnąłem.

Gerry musiał poinformować o wszystkim policjantów, bo biegli galopem w moją stronę. Wszędzie dookoła słychać było szaleńcze wycie karettek, dobiegające z płyty lotniska i z drogi, na której zostały zaparkowane policyjne furgonetki.

Pierwszy policjant dobiegł wreszcie do mnie i zajrzał do kryjówki.

- Niezły strzał - powiedział krótko. - Zabiła Andy'ego. Pieprzona suka. Nie odpowiedziałem, po prostu stamtąd odszedłem.

Epilog

Kiedy wróciłem na naszą pozycję strzelecką zauważyłem, że Geny czujnie mi się przygląda. Było widać, że bardzo stara się znaleźć właściwe słowa. Pomogłem mu wybrnąć z zakłopotania.

- Nie musisz pytać - powiedziałem - tak, nie żyje. To było czyste trafienie, nie cierpiała.

Geny kiwnął głową.

- To dobrze. To chyba jedyne, co w tym wszystkim dobre. Podniosłem super magnum i złożyłem dwójnóg.

- Jakież wiadomości o prezydencie?

- Właśnie rozmawiałem przez radio z Nashem, pytałem go. Zbył mnie. Jest rozkaz, żeby nikt na sieci o tym nie rozmawiał.

Kwestie bezpieczeństwa.

- Nie brzmi to dobrze.

- Jeśli przeżył - powiedział Gerry - dostanie pewnie najlepszą opiekę, jaką można kupić za pieniądze.

- Będzie mu potrzebna - powiedziałem. - Chodź, wracamy.

Szliśmy w milczeniu, przez strefę D i całą strefę C do mojej furgonetki. Niebo się oczyściło, zostało tylko kilka rzadkich białych obłoczków i zanosilo się na ładny dzień. Ale nie mogę powiedzieć, żeby mi to poprawiło nastrój. Przebraliśmy się w cywilne ubrania w samochodzie, a potem starliśmy, na ile się dało, krem maskujący.

Kiedy wróciliśmy do hotelu, ściągnięte posiłki policji wносиły swoje bagaże z powrotem do białych vanów na parkingu.

Nie wyglądało to obiecująco. Jeśli prezydent nie żył, nie byłiby już potrzebni i wracaliby do swoich obowiązków w przydziałowych bazach. Gdy szliśmy do wejścia, zauważyłem zaparkowanego pod drzwiami granatowego mercedesa z przyciemnianymi szybami. To był samochód Królowej Śniegu.

Po całym poprzednim gwarze hotel wydawał się teraz wyjątkowo cichy, w recepcji nie było prawie nikogo. Odebrałem właśnie klucze do pokoju, kiedy Geny powiedział:

- Spójrz na to, Phil.

Na ozdobnym stoliku leżało pół tuzina ułożonych w wachlarz egzemplarzy lokalnej gazety. Z pierwszej strony bił w oczy nagłówek: „Czterooosobowa rodzina ginie w wybuchu gazu w Fenwell”.

- Nie wierzę - powiedziałem. Geny z dezaprobatą pokręcił głową.

- Wygląda na to, że już się zaczęło oficjalne tuszowanie sprawy.

- Muszę się napić.

- Nie mogę się nie zgodzić.

Kiedy ruszyliśmy do baru, zobaczyłem stojącego w wejściu sierżanta Nasha w mundurowej czapce, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Dębowe drzwi za nim były zamknięte.

- Cześć, Ron, mogę ci postawić drinka? - spytałem. - Czy jesteś jeszcze na służbie? Widzę, że wszystkie wasze posiłki się zbierają.

Pokręcił głową.

- Nie zbierają. Jadą do bazy Mildenhall. - Przerwał, widząc, że nic nie rozumiem. - I tak, jestem na służbie, a bar jest na razie nieczynny. Spotkanie na wysokim szczeblu.

- Jakie wieści, Ron? Co się stało z prezydentem Bushem?

- Nie mogę powiedzieć. Utajnione ze względów bezpieczeństwa.

- Na litość boską Ron, wszyscy wiedzą że został trafiony. Zginął czy jest ranny? Powiedz mi tylko to.

Nash już miał odpowiedzieć, kiedy drzwi za nim się otworzyły i stanął w nich Joe Lassiter.

- Ach, Mason, tu jesteś. Tak myślałem, że rozpoznałem twój głos.

Nie zabrzmiało to, jakby był z tego zadowolony. Zauważyłem też, że oficjalnie zwrócił się do mnie po nazwisku.

- Skoro tu jesteście, ty i Shaw, lepiej wejdźcie.

Nash wydawał się zaskoczony, ale odsunął się i nas wpuścił. Bar był pusty, nie licząc dwóch osób siedzących na niskich fotelach przy stoliku zastawionym brudnymi filiżankami i spodkami. Jedną z nich był Herbert J. Weatherspoon, drugą Felicity Goodall. Amerykanin wyglądał szykownie i elegancko jak zawsze, a szefowa sekcji MI-5 zachowywała się jak kobieta interesu. Żadne z nich nie wstało, kiedy podeszliśmy i żadne z nich nie zaproponowało, żebyśmy usiedli, kiedy Lassiter dołączył do nich na trzecim fotelu. Dlaczego czułem się, jakby traktowano mnie i Gerry'ego jak niegrzecznych uczniów wzywanych do dyrektora?

To Weatherspoon odezwał się pierwszy. Miał pokerową twarz, ale zauważyłem, że nie był specjalnie spięty.

- No, no, panowie - zaczął. - Wygląda na to, że odwaliliście brudną robotę. Dobrze widzieć, że ktoś po brytyjskiej stronie umie działać zdecydowanie.

Felicity rzuciła mu lodowate spojrzenie.

- Szkoda tylko - dodał - że się trochę spóźniście.

- Na litość boską - powiedziałem - czy ktoś nam powie, co z nim?

- Walczy o życie. Leci śmigłowcem do szpitala w Westminster - odparł swobodnie Amerykanin. Znow uderzyło mnie, że nie jest specjalnie przejęty. - Kula w serce. Na szczęście miał kamizelkę kuloodporną. Pech, że zamachowiec użył pocisku zapalającego.

- Co mówią lekarze? - spytał Geny. - Czy prezydent przeżyje? Weatherspoon uśmiechnął się z zadowoleniem pod nosem i zerknął na swój złoty zegarek.

- Moim zdaniem powinien. Chyba że mózg mu wypłynie od tej całej wiedzy i mądrości. Mniej więcej w tej chwili powinien opuszczać Girton College z żoną i córką.

- Co? - sapnąłem.

- Herbie jest z siebie bardzo zadowolony - powiedziała ostro Felicity. - Air Force One wylądował w bazie Mildenhall, jednej z pobliskich baz amerykańskich sił powietrznych. Człowiek, który wylądował tutaj, był dublerem kaskaderem. Nikt w Wielkiej Brytanii nie wiedział o tej zmianie planów, nie licząc premiera i naszego dyrektora generalnego. Dwa dni temu zorganizowano ściśle tajną operację, żeby ustalić nowe miejsce spotkań. Amerykanie postanowili sami zająć się kwestiami bezpieczeństwa.

Teraz zrozumiałem, dlaczego Weatherspoon nie przyjął wcześniejszej sugestii Lassitera, by prezydent wylądował w innej bazie - bo tę ściśle tajną decyzję już podjęto.

Byłem w szoku.

- Świadomie wystawiliście na cel niewinnego człowieka? Weatherspoon wzruszył ramionami.

- Wasi ludzie zapewni mi, że komórka terrorystów jest inwigilowana i zostanie aresztowana. Dlatego nie spodziewaliśmy się, że z tego zagrożenia cokolwiek wyniknie. Ale nie podobało się nam, że w ogóle istnieje jakieś zagrożenie i że nasze przygotowania są znane wrogowi. - Uśmiechnął się znow i wstał. - W tej grze najlepiej jest, jeśli prawa ręka nie wie, co robi lewa. A teraz proszę mi wybaczyć, muszę się przygotować na wieczorny koktajl z prezydentem. Kiedy mnie mijał, złapałem go za ramię.

- Zabójczym chciała zastrzelić waszego drogocennego prezydenta tylko dlatego, że jej niewinny mąż jest przetrzymywany bez procesu w zatoce Guantanamo.

300

Zamknijcie to cholerne więzienie, bo przez nie każdy muzułmanin na świecie zaczyna myśleć, że może Al-Kaida ma rację. Weatherspoon dwoma palcami zdjął moją dłoń z ramienia, jakby to było coś bardzo nieprzyjemnego, co spadło z góry.

- Och, panie Mason, powinien pan wiedzieć, że ci ludzie zawsze znajdują jakiś sposób, żeby usprawiedliwić to, co usprawiedliwić się nie da.

Wyszedł.

- Wredny gnojek - warknął Lassiter.

- Dość tego, Joe! - skarciła go Felicity. Odwróciła się do Gerry'ego i do mnie. - Narobiliście obaj koszmarnego bałaganu, który teraz ja muszę posprzątać. Chociaż prawdę mówiąc, bardziej mam pretensje do Joego. Trzeba wytłumaczyć się ze zwłok Jaśminy Alagic i tego biedaka, którego zastrzeliła. Koroner będzie miał z nami używanie. Oczywiście musimy zagrać kartą bezpieczeństwa narodowego. Ile się da, trzeba zataić przed opinią publiczną. Ale będziemy się też musieli przyznać, że nasze głupie działania zostały przez nas usankcjonowane jako część operacji antyterrorystycznej.

- To prawda - powiedziałem.

Felicity popatrzyła na mnie z wściekłością.

- I poszły tak źle, że Melissa Thornton ma teraz sposobność zrobić to, co zawsze chciała, przenieść mnie do działu Irlandii Północnej. - Wskazała kciukiem Lassitera. - A jakby tego było mało, on idzie ze mną.

- Nie mogło trafić na miłszą parkę - mruknąłem pod nosem.

- Dlatego na pewno nie będzie dla ciebie zaskoczeniem - ciągnęła - że twoja firma już dla nas nie pracuje. Chcę, żeby jak najmniej wiązało was ze Służbą Bezpieczeństwa. Zwłaszcza że to wy zatrudniliście tę Jasminę Alagic. Jutro albo pojutrze ktoś przyjdzie odebrać wam cały specjalistyczny sprzęt, który wam daliśmy. - Zawahała się. - Nie zapomnij też przed wyjazdem oddać policji tego karabinu, z którego strzelałeś. To wszystko.

Gerry i ja popatrzyliśmy po sobie, a Lassiter wstał.

- Odprowadzę was. Wyszliśmy do recepcji.

- Mówiłem ci, jaka ona jest - powiedział. - A tobie się zdawało, że na ciebie leci, co? - Klapnął mnie po plecach. - Dobry strzał, Phil. A przy okazji, w końcu udało się nam zwinąć doktora Samira z mieszkania w Chigwell. Można więc powiedzieć, że jakieś efekty są chociaż niewielkie. Zresztą mówiąc szczerze, nie mam nic przeciwko temu, żeby wrócić do działu Irlandii Północnej. Tutaj było za dużo harówki. Do zobaczenia kiedyś tam. Ciao.

Geny i ja poszliśmy się spakować i spotkaliśmy się z powrotem na dole, gdzie odkryliśmy, że bar jest znów otwarty. Lassiter i Felicity zniknęli. Wypiliśmy po szybkim piwku i wyszliśmy do samochodów.

- Co teraz będziesz robił? - spytał Geny.

301

- Wrócę pewnie do spraw komercyjnych i małżeńskich - powiedziałem w zamyśleniu. - Ale może być ciężko.
- Tak sobie myślałem, wiesz, ustawiłem się nieźle w kręgach międzynarodowych szkoleń wojskowych i wykładów. Świetne pieniądze. A mało kto ma taką wiedzę jak ty o inwigilowaniu i snajperstwie. Może założymy spółkę?
Pomysł był intrygujący.
- Pomyślę.
- Ale jeden warunek. - Mrugnął okiem. - Zatrzymujemy śliczną Kate jako sekretarkę.
Zaśmiałem się.
- W takim razie będziemy wygłaszać nie swoje wykłady w nie te dni, co powinniśmy.
Jadąc na południe, rozważałem różne możliwości, ale byłem tak zmęczony, że ledwie mogłem zebrać myśli. Kiedy w końcu dotarłem do biura, Kate poszła już do domu. Nie miałem siły najedzenie ani prysznic, padłem tylko na łóżko, nawet się nie rozbierając.
Kiedy w końcu wyszedłem do biura w poniedziałek, Kate pisała coś na laptopie. Podniosła wzrok.
- Cześć, Phil, jak ci się podoba moja nowa bluzka? To Stella McCartney i kosztowała tylko osiemdziesiąt funtów. Tyle że to model z zeszłego sezonu.
- Cudowna - powiedziałem, popijając kawę z kubka. - Ale czy kiedy mnie nie było, wydarzyło się coś ważnego?
- Kilka minut temu dzwonił Ciapat. Wrócił do pracy. Powiedział, że bardzo mu przykro, że świetnie mu się z nami pracowało i że współczuje, że nie przedłużyli nam kontraktu z MI-5. - Spojrzała na mnie i zamrużyła oczami. - To się zgadza?
Kiwnąłem głową.
- Coś jeszcze?
- Wcześniej dzwoniła żona, zostawiła ci wiadomość. Pytała, czy chciałbyś wziąć Danny'ego na weekend?
Zza chmur wyrzało słońce.
- Zadzwoń do niej.
- Och, i przyszło to. Podała mi kopertę bąbelkową.
Otworzyłem ją i wyjąłem zawartość, maszynopis i odręczne notatki. To były obiecane przez Jazz szczegóły o Al-Kaidzie. Znalazłem tam także krótki liścik: „Drogi Philu, przykro mi, że to się tak musiało skończyć i mam nadzieję, że za bardzo się nie męczylesz. Z pomocą Allacha rozpocznę nowe życie z Zoe. Jeśli nie, i tak jest w dobrych rękach. A skoro zmieni się prezydent USA, może niedługo uwolniony zostanie Ricardo. Tymczasem masz tu szczegóły fałszywej

tożsamości, której będzie używał Nawed Husajn, odlatując z Heathrow. Ucałowania, Jazz".
Nawed, koordynator Al-Kaidy, który tak długo się nam wymykał. Zerknąłem na dołączoną notkę. Wylatywał z kraju dziś po południu. - Kate - powiedziałem. - Łącz mnie z Lassiterem. I to już.

